



Karl Ove

**KNAUSGÅRD**

Moja walka

POWIEŚĆ

**4.**





Karl Ove  
**KNAUSGÅRD**  
Moja walka  
KSIĘGA CZWARTA  
Z norweskiego przełożyła Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Literackie



# Spis treści

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ 5

Przypisy

Tytuł oryginału: MIN KAMP. FJERDE BOK. ROMAN

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK

Redakcja: HENRYKA SALAWA

Korekta: KAMIL BOGUSIEWICZ, JACEK BŁACH

Projekt okładki i stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

Copyright © Forlaget Oktober as, Oslo, 2009

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05874-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)







## Część 5

**N**a taśmie wijącej się przez halę przylotów powoli przyjechały moje dwie walizki. Były stare, pochodziły z końca lat sześćdziesiątych, znalazłem je wśród rzeczy mamy w stodole na dzień przed przyjazdem ciężarówki, która miała nas przeprowadzać, i natychmiast je zaanektowałem. Pasowały do mnie i do mojego stylu, nie do końca współczesnego, utrzymującego się nieco z boku głównego nurtu.

Zgasilem papierosa w przytwierdzonej do ściany popielniczce-słupie, zdjąłem walizki z taśmy i wyniosłem je na plac przed halą.

Była za pięć siódma.

Zapaliłem kolejnego papierosa. Z niczym mi się nie spieszyło, nigdzie nie musiałem zdążyć, z nikim nie miałem się spotkać.

Niebo się zachmurzyło, ale powietrze mimo wszystko zachowało ostrość i przejrzystość. Krajobraz miał w sobie coś z pejzażu wysokich gór, chociaż lotnisko, przed którym stałem, zbudowano niezbyt wysoko nad poziomem morza. Nieliczne drzewa w zasięgu mojego wzroku były niskie i powyłrzywiane. Szczyty gór zamykających widok pokrywał śnieg.

Przedemną szybko zapełniał się lotniskowy autobus.

Czy powinienem do niego wsiąść?

Pieniądze, które tata tak niechętnie pożyczył mi na podróż, miały wystarczyć aż do wypłaty mojej pierwszej pensji, czyli na miesiąc. Ale nie wiedziałem, gdzie jest schronisko młodzieżowe, a błądzenie po nieznanym mieście z dwiema walizkami i plecakiem nie byłoby dobrym początkiem mojego nowego życia.

Nie, równie dobrze mogłem wziąć taksówkę.

Oprócz krótkiego wypadu do pobliskiego ulicznego barku, w którym kupiłem dwie kiełbaski wetknięte w purée ziemniaczane w tekturowym pojemniku, cały ten wieczór spędziłem w pokoju w schronisku. Leżałem na łóżku z kódrą pod plecami, słuchałem muzyki z walkmana i pisałem listy do Hilde, Eiriki i Larsa. Zacząłem też list do Line, dziewczyny, z którą chodziłem tego lata, ale odłożyłem go po napisaniu jednej strony, rozebrałem się i zgasilem światło, chociaż nie zrobiło to żadnej różnicy, bo letnia noc była jasna, a pomarańczowa zasłonka żarzyła się w pokoju jak ołko.

Zwykle zasypiałem łatwo w każdych warunkach, lecz tej nocy nie mogłem zmrzyć oka. Już za cztery dni miałem zacząć pracę. Już za cztery dni miałem wejść do klasy w szkole, w niewielkiej wiosce położonej na północnym wybrzeżu Norwegii, w regionie Nord-Norge, w której nigdy wcześniej nie byłem, o której nic wcześniej nie wiedziałem, nie oglądałem nawet zdjęć stamtąd.

Ja!

Osiemnastoletni mieszkaniec Kristiansand, który właśnie skończył liceum, właśnie wyprowadził się z domu, a jego jedynym doświadczeniem związanym z pracą było kilka wieczorów i weekendów w fabryce parkietu, kilka artykułów napisanych do lokalnej gazety i parę dni wcześniej zakończone miesięczne letnie zastępstwo w szpitalu psychiatrycznym, miał teraz zostać wychowawcą w szkole w Håfjord.

Nie, nie mogłem zasnąć.

Co będą o mnie myśleć uczniowie?

Kiedy na pierwszej lekcji wejdę do klasy, a oni usiądą na swoich miejscach, co im wtedy powiem?

A pozostali nauczyciele, na miłość boską, co oni sobie o mnie pomyślą?

Otworzyły się jakieś drzwi, dobiegły zza nich muzyka i głosy. Ktoś szedł korytarzem, podśpiewując. Ktoś inny zawołał: *Hey, shut the door!* Zaraz potem wszystkie dźwięki znów zamknęto gdzieś w środku. Przewróciłem się na drugi bok. Sen uniemożliwiła mi z pewnością również niezwykłość białej nocy, a gdy myśl o tym, że tak trudno zasnąć, dotarła do mnie w pełni, to zaśnięcie stało się kompletnie niemożliwe.

Wstałem, ubrałem się, usiadłem na krześle przy oknie i zacząłem czytać. *Dødt løp* Erlinga Gjelsvika.

Wszystkie książki, które mi się podobały, w gruncie rzeczy mówiły o tym samym. *Hvite niggere* Ingvara Ambjørnsena, *Beatlesi* Larsa Saabye Christensena, *Jack* Ulfa Lundella, *W drodze* Jacka Kerouaca, *Piekielny Brooklyn* Huberta Selbye, *Romans z kokainą* M. Agiejewa, *Kolos* Finna Alnæsa, *Lasso rundt fru Luna* Agnara Myklego, trzy książki o historii bestialstwa Jensa Bjørneboego, *Gentleman* Klasa Östergrena, *Ikaros* Axela Jensena, *Buszujący w zbożu* J.D. Salingera, *Humlehjertene* Oli Bauera, *Listonosz* Charlesa Bukowskiego. Wszystko to były powieści o młodych mężczyznach, którzy nie potrafili odnaleźć się w społeczeństwie, pragnęli od życia czegoś więcej niż schematy, czegoś więcej niż rodzina, krótko mówiąc, młodzi mężczyźni, których brzydziło mieszczaństwo i którzy poszukiwali wolności. Wyjeżdżali z domu, upijali się, czytali i marzyli o wielkiej miłości albo o wielkiej powieści.

Wszystkiego, czego pragnęli, pragnąłem i ja.

O wszystkim, o czym marzyli, marzyłem i ja.

Wielka tęsknota, która zawsze ścisnęła mnie w piersi, ustępowała podczas czytania tych książek, lecz tylko po to, by w momencie, gdy je odkładałem, powrócić z dziesięciokrotnie większą siłą. Tak było przez całe liceum. Nienawidziłem wszelkich autorytetów, byłem przeciwnikiem całego tego cholernego ugrzecznionego społeczeństwa, w którym dorastałem, z jego mieszczańskimi wartościami i materialistycznym poglądem na człowieka. Gardziłem tym, czego uczono mnie w liceum, nawet tym, co dotyczyło literatury; wszystko, co moim zdaniem powinienem wiedzieć, cała wiedza, jakiej potrzebowałem, jedyna naprawdę konieczna, znajdowała się w książkach, które czytałem, i w muzyce, której słuchałem. Nie obchodziły mnie pieniądze ani wyznaczniki statusu, wiedziałem, że wartość życia znajduje się gdzie indziej. Nie chciałem studiować, nie chciałem się kształcić w tak konwencjonalnej instytucji jak uniwersytet, pragnąłem wyjechać na południe Europy, nocować na plażach, w tanich hotelach, u poznanych po drodze przyjaciół, chwycić się dorywczych zajęć, żeby przeżyć, zmywać talerze w hotelu,

pracować przy załadunku lub rozładunku statków, zbierać pomarańcze... Tej wiosny kupiłem sobie książkę zawierającą listę wszelkich możliwych i niemożliwych robót, które można wykonywać w różnych krajach Europy. Ale wszystko to miało prowadzić do stworzenia powieści. Chciałem osiąść w jakiejś hiszpańskiej wiosce i pisać, pojechać do Pampeluny, tam uciekać przed bykami, potem przenieść się do Grecji, na którąś z wysp, i pisać tam, a po roku albo dwóch wrócić do Norwegii z gotową powieścią w plecaku.

Taki był plan. Dlatego po maturze, inaczej niż wielu moich kolegów, nie poszedłem do wojska, ani też nie zapisałem się na uniwersytet, tylko skierowałem się do biura pośrednictwa pracy w Kristiansand i poprosiłem o listę wszystkich wolnych stanowisk nauczycielskich na północy kraju, w regionie Nord-Norge.

– Podobno będziesz n a u c z y c i e m, Karl Ove? – mówili ludzie, których spotykałem pod koniec lata.

– Nie – odpowiadałem wtedy. – Będę pisarzem. Ale na razie muszę z czegoś żyć. Popracuję na północy przez rok, odłożę trochę pieniędzy i wyjadę na południe Europy.

Teraz to już nie był jedynie pomysł, to była rzeczywistość, w której się znajdowałem: jutro miałem zejść do portu w Tromsø, ekspresowym promem popłynąć do Finnsnes, a stamtąd autobusem wrócić nieco na południe, do niewielkiej wioski Håfjord, gdzie według planu miał na mnie czekać szkolny dozorca.

Nie, nie mogłem zasnąć.

Wyjąłem z walizki opróżnioną do połowy butelkę whisky, z łazienki przyniosłem szklankę, nalałem, odsunąłem na bok zasłonkę i patrząc na dziwnie oświetlone osiedle, wypilem pierwszy, przyprawiający o dreszcz łyk

Kiedy się obudziłem nazajutrz około dziesiątej, niepokój zniknął. Spakowałem swoje rzeczy, z automatu telefonicznego w recepcji zadzwoniłem po taksówkę, stanąłem przed schroniskiem z walizkami, zapaliłem papierosa i czekałem. Pierwszy raz w życiu jechałem gdzieś bez zaplanowanego powrotu. Zresztą nie miałem do czego wracać. Mama sprzedała nasz dom i przeprowadziła się do Førde. Tata z nową żoną też zamieszkał w Nord-Norge, jeszcze dalej na północy niż ja. Yngve wybrał Bergen. A ja, ja byłem w drodze do mojego pierwszego własnego mieszkania. Miałem mieć własną pracę i zarabiać własne pieniądze. Pierwszy raz decydować o wszystkich elementach swojego życia.

Cholera, ależ to przyjemne uczucie!

Podjechała taksówka, więc rzuciłem papierosa na ziemię, przydeptałem go, po czym ułożyłem walizki w bagażniku, który otworzył mi kierowca, starszy, korpulentny mężczyzna o siwych włosach, ze złotym łańcuszkiem na szyi.

– Do portu – rzuciłem, siadając z tyłu.

– Port jest duży – powiedział, odwracając się w moją stronę.

– Jadę do Finnsnes. Poproszę na przystań ekspresowych promów, które tam kursują.

– W porządku, teraz jasne.

Ruszył w dół.

– Jedziesz do tamtejszego liceum? – spytał.

– Nie, wybieram się dalej, do Håfjord.

– Tak? Na ryby? Nie wyglądasz mi na rybaka.

– Będę tam pracował jako nauczyciel.

– Aha, aha. Wielu z południa tak robi. Ale czy ty nie jesteś zdecydowanie za młody na takie zajęcia? Trzeba chyba mieć skończone osiemnaście lat?

Roześmiał się i spojrzął w lusterko.

Ja też się zaśmiałem.

– W tym roku skończyłem liceum. Zakładam, że to więcej niż nic.

– Jasne. Ale pomyśl tylko o tych dzieciakach, które tam dorastają. Nauczyciele zaraz po maturze. Co roku nowi. Nic dziwnego, że po dziewiątej klasie młodzi idą na morze łowić.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Ale to akurat nie moja wina.

– Nie, nie, żadna wina. Kto tu mówi o winie? Życie rybaka jest o wiele lepsze niż studia! Siedzenie na tyłku i kucie do trzydziestki.

– Ja też nie idę na studia.

– Ale nauczycielem będziesz!

Znów spojrzął na mnie w lusterku.

– Tak – potwierdziłem.

Na kilka minut zapadła cisza. W końcu taksówkarz oderwał rękę od drążka zmiany biegów i wskazał:

– Tam jest twój ekspresowy prom.

Zatrzymał się przy terminalu, wystawił walizki, trzasnął pokrywą bagażnika. Wręczyłem mu pieniądze, nie bardzo wiedziałem, jak się zachować w kwestii napiwku, i całą drogę się o to denerwowałem, ale w końcu rozwiązałem problem, mówiąc, że może zatrzymać resztę.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział. – I powodzenia.

Dałem mu pięćdziesiąt koron.

Kiedy odjechał, przeliczyłem pieniądze, które mi zostały. Nie wyglądało to dobrze, ale mogłem chyba spodziewać się zaliczki, powinni zrozumieć, że przed rozpoczęciem pracy mogę nie mieć pieniędzy, prawda?

Finnsnes, ze swoją jedną główną ulicą i wieloma prostymi, prawdopodobnie wzniesionymi w pośpiechu betonowymi budynkami, najbardziej przypominało miasteczko na Alasce albo w Kanadzie. Uświadomiłem to sobie, gdy kilka godzin później siedziałem w cukierni przy filiżance kawy, czekając na autobus. O żadnym centrum nie było tu mowy, w tym małym miasteczku całość należało uznać za centrum. Panująca w Finnsnes atmosfera różniła się całkowicie od tej w miastach, do których przywykłem, rzecz jasna dlatego, że to miasteczko było znacznie mniejsze, ale też nie podjęto tu żadnych wysiłków, by uczynić je ładniejszym albo przyjemniejszym. Większość miast ma swój awers i rewers, ale tu najwyraźniej nie dawały się od siebie odróżnić.

Przekartkowałem dwie książki, które kupiłem w księgarni tuż obok cukierni. Jedna nosiła tytuł *Nowa woda*, a napisał ją nieznanymi mi autor, Roy Jacobsen, drugą był *Sennepslegionen* Mortena Jørgensena, muzyka będącego członkiem dwóch zespołów, których karierę kilka lat temu śledziłem. Może wydawanie teraz pieniędzy na książki nie było zbyt mądre, ale miałem przecież zostać pisarzem, więc powinienem dużo czytać, zwłaszcza po to, by rozpracować konkurencję. Kiedy przeglądałem te książki, nieustannie tłukło mi się po głowie pytanie: czy potrafię pisać jak oni?

Potem pozostało mi już tylko podejść do autobusu, wypalić ostatniego przed podróżą papierosa, włożyć walizki do luku bagażowego, zapłacić kierowcy, poprosić, by dał mi znać, kiedy dojedziemy do Håfjord, przejść na tył i usiąść z lewej strony, na przedostatnim siedzeniu, moim ulubionym, odkład pamiętałem.

Po prawej stronie, lekko na ukoś, siedziała ładna jasnowłosa dziewczyna, o rok albo dwa ode mnie młodsza, na sąsiednim miejscu położyła szkolny plecak, dlatego pomyślałem, że pewnie chodzi do liceum w Finnsnes i wraca do domu. Obserwowała mnie, jak wsiadałem, a gdy kierowca wrzucił bieg i autobus, kołysząc się, ruszył z przystanku, odwróciła się i znów na mnie popatrzyła. Trwało to zaledwie moment, jedynie musnęła mnie wzrokiem, ale to wystarczyło, żeby mi stanął.

Włożyłem słuchawki i wsunąłem kasetę do walkmana. The Smiths, *The Queen is Dead*. Żeby nie wyjść na natręta, przez najbliższe kilometry skoncentrowałem się na wyglądaniu przez okno po swojej stronie, starając się przezwyciężyć wszelkie impulsy każące mi popatrywać na dziewczynę.

Minąwszy osiedle, które zaczynało się tuż za centrum i ciągnęło przez kilka kilometrów – wysiadła na nim mniej więcej połowa pasażerów autobusu – znaleźliśmy się na długim, pustym i zupełnie prostym odcinku drogi. Nad Finnsnes bezbarwne niebo wypełniało miasto obojętnym światłem, natomiast tutaj błękit był mocniejszy i głębszy, a w słońcu, wiszącym nad górami na południowym zachodzie, których niskie, ale strome zbocza cały czas zasłaniały widok na rozciągające się gdzieś za nimi morze, czerwonawe, a w niektórych miejscach niemal fioletowe krzewinki, rosnące gęsto po obu stronach drogi, zdawały się wręcz żarzyć. Z drzew rosły tu głównie pokręcone niskie sosny i karłowate brzozy. Po mojej stronie zielone zbocza gór, ku którym ciągnęła się dolina, pięły się w górę łagodnie, natomiast te naprzeciwko były strome, dzikie, o alpejskim charakterze, mimo dosyć skromnej wysokości.

Nigdzie nie było widać ani człowieka, ani domu.

Ale ja nie przyjechałem tu po to, by poznawać nowych ludzi, przyjechałem, żeby mieć spokój do pisania.

Na tę myśl radość przeszła mnie jak błyskawica.

Byłem już w drodze, w drodze!

Dwie godziny później, wciąż zamknięty w kapsule muzyki, dostrzegłem drogowską z nazwą miejscowości. Po jej długości domyśliłem się, że musi chodzić o Håfjord. Droga, którą wskazywała strzałka, wiodła w sam środek góry. Trudno to było nazwać tunelem, raczej po prostu dziurą, bo ściany wyglądały tak jak zaraz po wysadzeniu skały, w środku nie zainstalowano żadnego oświetlenia. Woda ze sklepienia lała się w takich ilościach, że kierowca musiał włączyć

wycieraczki. Kiedy wyjechaliśmy z drugiej strony, aż jęknąłem. Między dwoma długimi, poszarpanymi łańcuchami gór o pionowych, pozbawionych drzew zboczach ciągnął się wąski fiord, a za nim, jak ogromna błękitna równina, morze.

Ach!

Autobus jechał drogą przyklejoną do skalnej ściany. Aby mieć jak najlepszy widok, wstałem i przeszedłem do drugiego rzędu siedzeń. Kątem oka dostrzegłem, że jasnowłosa dziewczyna odwraca się do mnie i uśmiecha, widząc mnie z twarzą przyklejoną do szyby. Przed górami po drugiej stronie fiordu znajdowała się niewielka wyspa, z przodu gęsto zabudowana domami, od strony morza zupełnie pustkowie, tak przynajmniej wyglądało to z tej odległości. W porcie, osłoniętym falochronem, cumowało kilka kutrów rybackich. Góry ciągnęły się jeszcze przez jakiś kilometr. Te najbliższe miały zbocza ubrane w zieleń, ale te dalsze były zupełnie nagie, szare, opadały prosto w morze.

Autobus przejechał przez kolejny przypominający grotę tunel. Po jego drugiej stronie, na łagodnym jak na tutejsze warunki, lekko miseczkowatym zboczcu doliny, usytuowana była wioska, w której miałem spędzić najbliższy rok.

Boże.

To przecież fantastycznie.

Większość domów stała przy drodze wijącej się przez wioskę na kształt litery U. Poniżej jej dolnego odcinka, koło przystani, przy której cumowało mnóstwo łodzi, wznosił się przemysłowy budynek, punkt skupu ryb. Przy zakręcie stała kaplica. Wzdłuż górnej drogi ciągnął się szereg domów, dalej rosły krzewinki i karłowate brzozy, aż do punktu, w którym kończyła się dolina i do nieba pięły się wielkie góry.

Nic więcej nie było.

No owszem: tam gdzie górna droga schodziła się z dolną, niedaleko tunelu, stały dwa wielkie budynki. To musiała być szkoła.

– Håfjord – poinformował kierowca.

Schowałem słuchawki do kieszeni, przeszedłem na przód autobusu. Kierowca wysiadł ze mną i otworzył mi luk bagażowy, podziękowałem mu za podróż, odparł bez uśmiechu, że nie ma za co, wskoczył do środka i wkrótce potem autobus zawrócił i znów wjechał do tunelu.

Z walizkami w rękach i z plecakiem na ramionach rozejrzałem się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, wypatrując dozorcę, a jednocześnie wciągając głęboko w płuca świeże, przesycone solą powietrze.

W domu zaraz za przystankiem otworzyły się drzwi. Wyszedł z nich niewysoki mężczyzna, ubrany tylko w T-shirt i spodnie od dresu. Po kierunku, jaki obrał, zorientowałem się, że to mój człowiek.

Oprócz niewielkiego wianuszka włosów wokół uszu był kompletnie łysy. Twarz miał łagodną, rysy grube, jakie widzi się u ludzi, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę, ale kiedy się zbliżył, uświadomiłem sobie, że przesłonięte okularami świdrujące oczka niezbyt pasują do reszty.

– Knausgård? – spytał, wyciągając do mnie rękę, lecz nie patrząc mi w oczy.

– Owszem. – Ucisnąłem jego dłoń, była drobna, sucha, kojarzyła się z łapą zwierzęcia. –

Korneliusen, tak?

– Zgadza się – powiedział z uśmiechem i stając z opuszczonymi rękami, zaczął się rozglądać. – No i co o tym myślisz?

– O Håfjord?

– Ładnie tu mamy?

– Fantastycznie.

– Tam zamieszkaś. – Odwrócił się i pokazał ręką. – Będziemy sąsiadami. Bo ja mieszkam tam, widzisz? Pójdziemy zobaczyć?

– Chętnie – odparłem. – Nie wie pan, czy moje rzeczy już przysły?

Pokręcił głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– No to pewnie przyjdą w poniedziałek – stwierdziłem i ruszyłem obok niego drogą pod górę.

– Z tego co rozumiałem, będziesz uczył mojego najmłodszego syna – powiedział. – Stiga. Chodzi do czwartej klasy.

– Dużo pan ma dzieci?

– Czworkę. Dwoje mieszka w domu, Johannes i Stig. Tone i Ruben są w Tromsø.

Idąc, rozglądałem się po wsi. Grupa osób stała przed budynkiem, który musiał być sklepem, parkowało przed nim kilka samochodów. Przed jakąś budką na górnej drodze też stało kilka osób, z rowerami.

Fiordem nadpływała lódź.

W porcie krzyczały mewy.

Poza tym panowała całkowita cisza.

– Ile właściwie osób tu mieszka? – spytałem.

– Jakieś dwieście pięćdziesiąt – odparł. – Zależy, czy się wliczy młodzież, która uczy się i mieszka gdzie indziej, czy nie.

Zatrzymaliśmy się przed pobejcowanym na czarno domem z lat siedemdziesiątych; za wiatrolapem były drzwi do suterenu.

– To tutaj – oznajmił dozorca. – Wchodzi, powinno być otwarte. Ale od razu dam ci klucz.

Otworzyłem drzwi, w przedpokoju postawiłem walizki i wziąłem od niego klucz. W środku pachniało tak, jak zwykle pachnie w domach, w których od pewnego czasu nikt nie mieszkał. Unosił się słaby zapach wilgoci i pleśni, trochę taki jak w lesie.

Pchnąłem uchylone drzwi i wszedłem do pokoju. Podłogę pokrywała pomarańczowa wykładzina. Zobaczyłem ciemnobrązowe biurko, ciemnobrązowy stół i nieduży komplet wypoczynkowy, również z ciemnego drewna, obity brązowopomarańczową tkaniną. Dwa duże okna bez szprosów wychodzące na północ.

– Znakomite mieszkanie – powiedziałem.

– Kuchnia jest tam – wskazał drzwi na końcu niedużego saloniku i zaraz się odwrócił. – A sypialnia tam.



Tapeta w kuchni miała znajomy, charakterystyczny dla lat siedemdziesiątych wzorek, złotawo-brązowo-biały. Pod oknem stał niewielki stół. Obok lodówka z małym zamrażalnikiem w górnej części. Zlew w krótkim blacie ze sztucznego tworzywa. Na podłodze szare linoleum.

– A na koniec sypialnia – powiedział. Został w drzwiach, kiedy wszedłem do środka. Wykładzina na podłodze była ciemniejsza niż ta w salonie, tapeta jasna, a pokój zupełnie pusty, oprócz niskiego, niesamowicie szerokiego łóżka, z tego samego materiału co pozostałe meble, z drewna tekowego albo jego imitacji.

– Idealnie – stwierdziłem.

– Przywiołeś ze sobą pościel?

Pokręciłem głową.

– Przyjedzie z resztą moich rzeczy.

– Możemy ci pożyczyć, jeśli chcesz.

– Dobrze by było.

– No to przyniosę. A jeśli będziesz chciał o coś spytać, o cokolwiek to po prostu do nas przyjdź. My tutaj nie boimy się gości.

– Rozumiem – powiedziałem. – I bardzo dziękuję.

Z okna w salonie obserwowałem, jak idzie do swojego domu, który stał jakieś dwadzieścia metrów poniżej mojego.

Mojego!

Miałem własne mieszkanie, do diabła!

Trochę po nim pochodziłem, pootwierałem szuflady, pozaglądałem do szafek, w końcu znów zjawił się dozorca z naręczem pościeli. Po jego wyjściu zacząłem wypakowywać tę niewielką ilość rzeczy, którą ze sobą przywiołem. Ubrania, ręcznik, elektryczną maszynę do pisania, kilka książek, ryżę papieru. Biurko w salonie przesunąłem pod okno, postawiłem na nim maszynę, przeciągnąłem tam stojącą lampę, na parapecie ułożyłem książki, a oprócz nich numer magazynu literackiego „Vinduet”, który kupiłem w Oslo i postanowiłem prenumerować. Obok ustawiłem w stosiku piętnaście czy dwadzieścia kaset, które ze sobą wziąłem, a koło papieru na biurku położyłem walkmana i zapasowe baterie.

Kiedy miejsce do pisania było już gotowe, schowałem ubrania do szafy w sypialni, puste walizki wepchnąłem na najwyższą półkę, a potem przez chwilę stałem na środku pokoju, nie bardzo wiedząc, co dalej robić.

Czułem potrzebę zadzwonienia do kogoś, opowiedzenia, jak tu jest, ale telefonu w tym mieszkaniu nie było. Może powinienem wyjść i poszukać budki telefonicznej?

No i zgłodniałem.

Może iść do tego kiosku, w którym jest chyba uliczny barek?

Tutaj w każdym razie nie miałem nic do roboty.

Przed lustrem w łazieneczce, do której wchodziło się z przedpokojem, włożyłem czarny beret. Kilka sekund postać przed domem, rozglądając się. Jednym spojrzeniem dało się obrzucić całą wioskę i wszystkich jej mieszkańców. Nie było to miejsce, w którym można by się ukryć. Kiedy

ruszyłem drogą, na samej górze wysypaną żwirem, a dopiero na dole pokrytą asfaltem, czułem się zupełnie przezroczyści.

Przy barku kręciło się kilku piętnastoletnich chłopaków. Kiedy podszedłem, rozmowy ucichły. Minąłem ich bez jednego spojrzenia, wszedłem na schody prowadzące na podobny do tarasu podest i zbliżyłem się do okienka, z którego biło silne żółte światło, wyraźnie odcinające się od delikatnego, jakby zawieszonego w powietrzu wieczornego światła końca lata. W okienku prawie całkiem zarośniętym tłuszczem pojawił się chłopak mniej więcej w tym samym wieku, co tamci za moimi plecami. Z policzka wyrastały mu dwa długie czarne włosy. Czy miał piwne, czuprynę ciemną.

– Poproszę hamburgera z frytkami i colę.

Usiłowałem nasłuchiwać, żeby się zorientować, czy dochodzące z tyłu mamrotanie w jakimś stopniu dotyczy mnie. Ale nie dotyczyło. Zapaliłem więc papierosa, czekając, trochę pochodziłem tam i z powrotem po tarasie. Młody chłopak zanurzył we wrzącym tłuszczu przyominające podbierak narzędzie wypełnione kawałkami surowych ziemniaków. Na płycie do smażenia położył hamburgera. Oprócz cichego skwierczenia i głosów, teraz już nieco bardziej ożywionych, panowała zupełna cisza. Świeciło się w domach na wyspie po drugiej stronie fiordu. Niebo, niskie nad wyspą, nad otwartym morzem zdawało się wznosić coraz wyżej, niebieskoszare i trochę zamglone, miało niewiele wspólnego z wieczorną ciemnością.

Cisza nie przytłaczała, była otwarta.

Ale nie na nas, pomyślałem z jakiegoś powodu. Ta cisza zawsze była taka, na długo przed pojawieniem się ludzi, i pozostanie taka sama jeszcze długo po ich zniknięciu. Uszczona w miseczce ze skały, z morzem tuż za jej krawędzią.

Gdzie ono się właściwie kończy? W Ameryce?

Właśnie tak musiało być. W Nowej Fundlandii.

– Proszę, hamburger. – Chłopak wysunął na półkę przed okienkiem styropianową tackę z hamburgerem, kilkoma listkami sałaty, ćwiartką pomidora i stosem frytek. Zapłaciłem mu, chwyciłem tackę i odwróciłem się, żeby odejść.

– To ty jesteś nowym nauczycielem? – spytał jeden z chłopaków, przewieszony przez kierownicę roweru.

– Tak – potwierdziłem.

– No to będziesz uczył nas – oświadczył, splunął i zsunął lekko z czoła czapkę z daszkiem. – My będziemy w dziewiątej. A on, ten tam, w ósmej.

– Ach tak – powiedziałem.

– No. Jesteś południowcem?

– Tak pochodzę z południa.

– No tak – Pokiwał głową, jakby udzielił mi audiencji, a teraz informował, że właśnie się zakończyła i mogę odejść.

– Jak się nazywacie? – spytałem.

– Z czasem się dowiesz.

Rozśmieszło ich to. Ja też się uśmiechnąłem, udając, że nic się nie stało, ale czułem się głupio,

kiedy ich mijalem. Chlopak wygrał.

– A ty jak się nazywasz? – krzyknął za mną.

Odwrociłem głowę, ale nie zwolniłem.

– Miki – odparłem. – Myszka Miki.

– No proszę, na dodatek jeszcze z niego komik!

\*

Po zjedzeniu hamburgera rozebrałem się i położyłem do łóżka, nic innego mi nie pozostawało. Była zaledwie dziewiąta, w pokoju widno jak w południe w pochmurny dzień, a spowijająca wszystko cisza wzmagala odgłosy każdego mojego ruchu, więc chociaż byłem śpiący, również tego wieczoru upłynęło kilka godzin, nim w końcu zasnąłem.

W środku nocy zbudził mnie odgłos otwieranych drzwi. Chwilę później na piętrze nade mną rozległy się kroki. W północy wydało mi się nagle, że leżę w gabinecie taty w domu na Tybakken i że to on chodzi na górę. W jaki sposób, na miłość boską, tu trafiłem, zdążyłem jeszcze pomyśleć, nim znów zapadłem się w ciemność. Następnym razem obudziłem się w panice.

Gdzie ja jestem?

W domu na Tybakken? W domu w Tveit? W wynajętym mieszkaniu Yngvego? W schronisku w Tromsø?

Usiadłem na łóżku.

Spojrzenie, którym powiodłem dookoła, na niczym się nie zatrzymało, nic z tego, co widziałem, nie miało sensu. Czulem się tak, jakbym cały zsuwał się po gładkiej ścianie.

I nagle sobie przypomniałem.

Håfjord. Jestem w Håfjord.

We własnym mieszkaniu w Håfjord.

Z powrotem się położyłem i w myślach jeszcze raz przebyłem całą drogę tutaj. Potem zacząłem sobie wyobrażać wiosłą rozciągniętą za oknami i wszystkich mieszkających w niej ludzi, których nie znałem i którzy nie znali mnie. Poczulem coś, co mogło być nadzieją i wyczekiwaniem, lecz również lękiem i niepewnością. Wstałem, w małej łazience wziąłem prysznic i włożyłem cienką, prawie jak jedwab, zieloną koszulę i luźne czarne bawełniane spodnie. Chwilęostałem przy oknie, patrząc w dół na sklep, musiałem się tam wybrać po zakupy na śniadanie, ale nie tak od razu.

Na parkingu przed sklepem stało kilka samochodów, między nimi zebrała się nieduża grupka ludzi. Od czasu do czasu ktoś wychodził z torbami pełnymi sprawunków.

Równie dobrze mogłem mieć to już za sobą.

W przedpokoju włożyłem płaszcz, beret i białe trampki, przejrzałem się w lustrze, poprawiłem beret, zapaliłem papierosa i wyszedłem.

Niebo było równie łagodne i szarawe jak wczoraj. Góry po drugiej stronie opadały wprost do fiordu. Miały w sobie pewną brutalność, dostrzegłem jej przeblisk, nie zważały na nic, dookoła nich mogło się dziać wszystko, a i tak nie miało to znaczenia, były jakby gdzie indziej, a jednocześnie tak mocno obecne tutaj.

Przed sklepem stało teraz pięciu ludzi. Dwóch starych, co najmniej pięćdziesięcioletnich,

trzech pozostałych wyglądało na o kilka lat starszych ode mnie.

Zauważyli mnie już dawno, wiedziałem o tym, to było nieuniknione. Przy puszczam, że nie co dzień pojawiał się na tej drodze nieznamy w długim czarnym płaszczu.

Podniosłem papierosa do ust i zaciągnąłem się tak mocno, że aż rozgrzał się filtr.

Po obu stronach drzwi wisiały białe plastikowe chorągiewki z reklamą gazety „VG”. Na wystawie pełno było zielonych i pomarańczowych kartonowych plasz z rozmaitymi wypisanymi ręcznie promocyjnymi ofertami.

Od osób pod sklepem dzieliło mnie już tylko piętnaście metrów.

Czy powinienem się z nimi przywitać? Po prostu rzucić jakieś sympatyczne „cześć”?

Zatrzymać się i chwilę porozmawiać?

Powiedzieć, że jestem nowym nauczycielem? I trochę z tego pozartować?

Jeden z mężczyzn spojrzął na mnie. Leciutko skinął mu głową.

Nie odpowiedział.

Czyżby nie zauważył? Czy ruch mojej głowy był tak nieznaczny, że wyglądał jedynie na poprawienie sposobu, w jaki ją trzymałem, albo jakimimowolne drgnienie?

Bliskość tych ludzi wbijała się we mnie jak noże. W odległości metra od drzwi rzuciłem papierosa na ziemię, zatrzymałem się i przydeptałem go.

Czy mogłem go tak zostawić? Śmiecić? Czy może raczej powinienem podnieść?

Ale wtedy wyszedłbym na pedanta, prawda?

Niech to szlag, zostawię go, to są rybacy, na pewno sami też rzucają pety!

Położyłem rękę na drzwiach, pchnąłem je, wziąłem czerwony koszyk i ruszyłem w głąb sklepu, między regały. Pulchna, chyba trzydziestopięcioletnia kobieta stała z paczką serdelków w ręku i mówiła coś do dziewczynki będącej najpewniej jej córką, chudej, z długimi rękami i nogami, z obrażoną, niechętną miną. Po drugiej stronie kobiety mniej więcej dziesięcioletni chłopiec nachylał się nad ladą i w niej grzebał. Wrzuciłem do koszyka pełnoziarnisty chleb, torebkę kawy Ali, pudełko herbaty earl grey. Kobieta spojrzała na mnie, włożyła opakowanie kielbasek do koszyka i ruszyła w stronę drugiego końca sklepu, dziewczynka i chłopiec powlekli się za nią. Nie spieszyłem się, obszedłem sklep i obejrzałem dokładnie wszystko, co tu sprzedawali, z chłodziarki wziąłem brązowy kazi ser, puszkę pasztetu i tubę majonezu, znalazłem też mleko w kartonie i kostkę margaryny. Z tym wszystkim poszedłem do lady, przy której tamta kobieta już pakowała swoje zakupy do torby; jej córka tymczasem czytała coś na tablicy ogłoszeń przy drzwiach. Ekspedient skinął na mnie.

– Dzień dobry – powiedziałem i zacząłem wykładać towary z koszyka.

Był niewysoki, dobrze zbudowany, twarz miał szeroką, nos łukowaty, a mocno zarysowany podbródek pokrywał dywan czarno-siwych włosów.

– Jesteś może nowym nauczycielem? – spytał, wybijając ceny na kasie. Dziewczynka przy tablicy ogłoszeń odwróciła się i popatrzyła na mnie.

– Tak – potwierdziłem. – Przyjechałem wczoraj.

Chłopiec szarpał dziewczynkę za rękę, ale wyrwała mu się i wyszła na zewnątrz. Chłopiec

ruszył za nią, a chwilę później sklep opuściła również ich matka.

Musiałem kupić pomarańcze. I jabłka.

Pospieszyłem do lady z owocami, wrzuciłem do torby kilka pomarańczy, wziąłem dwa jabłka. Wróciłem do kasy, kiedy ekspedient właśnie wbijał ostatnią cenę.

– Poproszę jeszcze tytoń papierosowy Eventyrblanding i bibułka. I gazetę, „Dagbladet”.

– Jesteś z południa? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– Z Kristiansand.

Do sklepu wszedł starszy mężczyzna w kaszkiecie.

– Dzień dobry, Bertil! – zawołał.

– Kogo ja widzę! – Ekspedient puścił do mnie oko, uśmiechnąłem się leciutecznie, zapłaciłem, spakowałem zakupy do torby i wyszedłem. Jeden z tych, którzy stali przed sklepem, skinął mi głową, odpowiedziałem tym samym i natychmiast się od nich oddaliłem.

Wracając do mieszkania, patrzyłem na górę wznoszącą się na krańcu wioski. Była zupełnie zielona, aż po sam szczyt. Chyba właśnie to najbardziej zaskakiwało w tutejszym pejzażu. Spodziewałem się jałowości, pozbawionej wszelkich kolorów, a nie tak jaskrawego odcienia zieleni, która zdawała się jakby śpiewać nad wszystkim, zagłuszana jedynie ogromem błękitu i szarości morza.

Z przyjemnością wróciłem do mieszkania. Było to pierwsze mieszkanie, które mogłem nazwać swoim, więc czerpałem radość nawet z najbardziej trywialnych czynności, takich jak odwieszanie płaszcza czy wstawianie mleka do lodówki. Wprawdzie wcześniej tego lata przez miesiąc miałem maleńkie mieszkanie w budynku Szpitala Psychiatrycznego w Eg – to właśnie tam zawiozła mnie mama, kiedy wyprowadziłem się z domu, który zajmowaliśmy przez pięć ostatnich lat – ale to był jedynie pokój wśród innych pokoi, gdzie od dawna mieszkały samotne pielęgniarki, stąd nazwa „Kurnik”, tak samo jak praca, którą tam miałem, nie była prawdziwą pracą, tylko krótkim letnim zastępstwem właściwie bez żadnej odpowiedzialności. No i to mieszkanie było w Kristiansand. A ja w Kristiansand nie potrafiłem poczuć się wolny, zbyt wiele tam było związków ze zbyt wieloma ludźmi, realnych i wymyślonych, abym kiedykolwiek mógł w tym mieście robić to, co zechcę.

No ale tutaj! – pomyślałem, podnosząc do ust kromkę chleba i jednocześnie wyglądając przez okno. Odbicie gór po drugiej stronie fiordu na skutek drobnych ruchów wody załamywało się jak w kalejdoskopie. Tutaj nikt nie wiedział, kim jestem, z nikim nic mnie nie wiązało, nie było żadnych ustalonych schematów, tu mogłem robić, co chciałem. Ukryć się na rok i pisać, stworzyć coś w tajemnicy. Albo po prostu spokojnie żyć i odkładać pieniądze. To nie miało większego znaczenia. Najważniejsze, że w ogóle tu byłem.

Nalałem mleka do szklanki, opróżniłem ją kilkoma długimi łykami, odstawiłem razem z talerzem i nożem na blat, resztę produktów schowałem do lodówki i poszedłem do salonu. Wetknąłem sznur maszyny do pisania w gniazdko, włożyłem słuchawkę, podkręciłem głośność na full, wsunąłem kartkę do maszyny, ustawiłem głowicę na środku i na samej górze kartki napisałem

jedynkę. Zerknąłem na dom dozorczy. Na kamiennym płycie przed progiem stała para zielonych kaloszy. O ścianę opierała się szczotka z czerwonym włosiem. W mieszance żwiru i piasku pokrywającej placyk przed drzwiami leżało kilka samochodzików zabawek. Między naszymi domami rosły mchy, porosty, było też trochę trawy, kilka rachitycznych drzewek. Zacząłem palcem wybijać rytm muzyki o krawędź biurka. Napisałem jedno zdanie: „Gabriel stał na szczycie wzgórze i z niezadowoloną miną spoglądał na osiedle”.

Zapaliłem papierosa, przygotowałem dzbanek kawy, popatrzyłem na wioskę i fiord, na góry po drugiej stronie. Napisałem jeszcze jedno zdanie: „Za nim ukazał się Gordon”. Podśpiewywałem przy refrenie. Dodałem: „W uśmiechu wyszczerzył zęby jak wilk”. Odsunąłem krzesło, oparłem stopy o brzeg biurka, zapaliłem kolejnego papierosa.

Całkiem nieźle, prawda?

Sięgnąłem po *Rajski ogród* Hemingwaya i przez chwilę go kartkowałem, żeby wyczuć język. Dostałem tę książkę dwa dni wcześniej, jako prezent pożegnalny od Hilde, na stacji kolejowej w Kristiansand, skąd miałem jechać do Oslo, a stamtąd samolotem do Tromsø. Przyszli tam również Lars i Eirik, który chodził z Hilde, a oprócz nich Line, miała mi towarzyszyć aż do Oslo i tam się ze mną pożegnać.

Dopiero teraz spostrzegłem na stronie tytułowej dedykację. Hilde napisała, że wyjątkowo dużo dla niej znaczyłem.

Zapaliłem papierosa i dalej siedziałem, wyglądając przez okno i zastanawiając się nad jej słowami.

Co mogłem dla niej znaczyć?

Owszem, dostrzegała mnie, zwracała na mnie uwagę, ale nie wiedziałem, co widzi. Przyjaźń z nią oznaczała z jej strony troskliwość. Ale troska łącząca się ze zrozumieniem zawsze umniejsza osobę, która jej doznaje. Nie stanowiło to problemu, chociaż trochę o tym myślałem.

Nie byłem tego wart. Udawałem, że jestem, ona się na to złapała, o dziwo, bo jej umysłowi nie dawało się nic zarzucić. Hilde jedyna spośród moich znajomych czytała porządne książki i była też jedyną, o której wiedziałem, że sama pisze. Przez dwa lata chodziliśmy do tej samej klasy, od razu zwróciłem na nią uwagę, do tego, co mówiono w szkole, miała ironiczny, niekiedy wręcz buntowniczy stosunek jakiegoś nigdy wcześniej nie widziałem u żadnej dziewczyny. Gardziła przesadnym strojeniem się innych dziewczyn, ich udawaną skromnością, sztuczną dziecinnością, ale nie miała w sobie agresji ani rozgoryczenia, była dobra i troskliwa, z natury łagodna, chociaż niepozbawiona pewnej ostrości i niezwykłej samodzielności, która kazała mi coraz częściej się jej przyglądać. Szczupła, miała bladą cerę, blade piegi na policzkach i rudoblonde włosy; wyczuwało się w niej jakąś cielesną kruchość w znaczeniu przeciwieństwa siły, która w wypadku innej osoby, nie tak ostrej i nie tak samodzielnej, mogłaby u otaczających ją ludzi wzbudzić chęć zaopiekowania się nią, ale tak absolutnie nie było, raczej przeciwnie, to Hilde opiekowała się tymi, którzy stawali się jej bliscy. Często chodziła w zielonej wojskowej kurtce i w prostych niebieskich dżinsach, co sygnalizowało polityczny zwrot w lewo, lecz w kwestii poglądów na kulturę znajdowała się po drugiej stronie, bo była przeciwko materializmowi, ale optowała za duchem. Za wyższością tego, co wewnętrzne, nad tym, co zewnętrzne. Dlatego drwiła z takich pisarzy jak Solstad i Faldbakken, którego przeżywała

Fallusbaknem, czyli Fiutozadkiem, a lubiła Bjørneboego, Kaja Skagena, czy nawet André Bjerkego.

Hilde stała się osobą, którą darzyłem największym zaufaniem. Właściwie najlepszą przyjaciółką. Zacząłem bardzo często bywać u niej w domu, poznałem jej rodziców, niekiedy nawet tam nocowałem i jadłem u nich obiad. Hilde i ja, czasami razem z Eirikiem, czasami tylko we dwojkę, zajmowaliśmy się głównie rozmawianiem. Siedzieliśmy po turecki, przy butelce wina, na podłodze w jej mieszkaniu w suterenie, nocny mrok cisnął się do szyb, a my rozmawialiśmy o książkach, które przeczytaliśmy, o kwestiach politycznych, które nas zajmowały, o tym, co nas czeka w życiu, czego pragniemy i co potrafimy. Hilde podchodziła do życia z wielką powagą, czułem, że jako jedyna z rówieśników tak je traktuje, a ona zapewne to samo dostrzegała we mnie, jednocześnie dużo się śmiała i nigdy zanadto nie oddalała się od ironii. Mało co lubiłem bardziej od przebywania w tym domu razem z nią, z Eirikiem, a niekiedy z Larsem, chociaż chadzałem również innymi ścieżkami, zupełnie odmiennymi, co z kolei budziło we mnie nieustające wyrzuty sumienia: po wyjściu na dyskotekę, gdzie piłem i podrywałem dziewczyny, miałem wyrzuty sumienia wobec Hilde i tego, co nas łączyło; po rozmowie z Hilde o wolności, pięknie, czy też sensie wszystkiego potrafiłem mieć wyrzuty sumienia wobec tych, z którymi, kompletnie odmieniony, balowałem na dyskotekach, ponieważ podwójna moralność i hipokryzja, temat tylu naszych dyskusji z Hilde i Eirikiem, zagnieździły się również w moim sercu. Politycznie znajdowałem się daleko po lewej stronie, na granicy anarchizmu, nienawidziłem konformizmu i stereotypów i podobnie jak Hilde, z całą pozostałą młodą alternatywą dorastającą w Kristiansand, gardziłem religią i wszystkimi tymi idiotami, którzy wierzyli w te bzdury i chodzili na spotkania z durnymi charyzmatycznymi pastorami.

Wcale natomiast nie gardziłem wierzącymi dziewczynami. Z jakiegoś powodu właśnie one bardzo mnie interesowały. No i jak to wyjaśnić Hilde? Chociaż tak jak ona zawsze starałem się zajrzeć głębiej, pod powierzchnię, wychodząc z fundamentalnego, choć niewypowiedzianego na głos założenia, że to, co prawdziwe lub właściwe, znajduje się pod powierzchnią, i chociaż Hilde zawsze usiłowała skłonić mnie do szukania sensu, nawet gdyby miało się to skończyć objawieniem bezsensu, to chciałem żyć właśnie na tej połyskiwej, niebezpiecznie pięknej powierzchni i opróżnić puchar bezsensu – krótko mówiąc, kusily mnie wszystkie dyskoteki i knajpy w mieście, najbardziej zależało mi na tym, żeby się tam upić do nieprzytomności i polować na dziewczyny, które mógłbym przelecieć, a przynajmniej trochę się z nimi poobciskić. I jako to wytłumaczyć Hilde?

Nie mogłem tego zrobić i nawet nie próbowałem. Zamiast tego otworzyłem w swoim życiu nowy podrozdział. Nosił tytuł „Pijaństwo i nadzieja na cudzołóstwo”, a mieścił się tuż obok tego traktującego o zrozumieniu i zaangażowaniu, oddzielony od niego jedynie niewielką niczym ogrodowy płótek zmianą osobowości.

Line była wierząca. Nie obnosiła się z tym, ale wierzyła w Boga, więc jej obecność na dworcu kolejowym tak blisko mnie sprawiła, że w pewnym sensie poczułem się nieswojo.

Miała czarne kręcone włosy, mocno zarysowane brwi i przejrzyste niebieskie oczy. Poruszała się z gracją, a swojej niezależności nie kierowała przeciwko innemu, co było dość rzadkie. Lubiała rysować i często się tym zajmowała, możliwe, że miała talent w tym kierunku; po pożegnaniu się ze mną wyjeżdżała do wyższej szkoły ludowej, do grupy o profilu artystycznym. Nie byłem



w niej zakochany, ale uważałem ją za wspaniałą dziewczynę, ogromnie ją lubiłem, a czasami, kiedy napiliśmy się trochę białego wina, mimo wszystko potrafiły się we mnie obudzić całkiem intensywne uczucia do niej. Problem polegał na tym, że Line wyznaczała sobie bardzo wyraźne granice i nie zamierzała posunąć się zbyt daleko. W ciągu tych tygodni, kiedy ze sobą chodziliśmy, nie raz i nie dwa modliłem się i błagałem ją, żeby mi pozwoliła, kiedy pómnadzy obściskiwaliśmy się u niej w łóżku albo w moim pokoju w Kurniku. Ale ona nie dla mnie się oszczędzała.

– Nie mógłbym przynajmniej wziąć cię od tyłu?! – zawołałem kiedyś w rozpaczy, nie bardzo wiedząc, z czym się to wiąże. Line przylgnęła do mnie całym sprężystym ciałem i obsypała mnie pocałunkami. Zaledwie parę sekund później poczułem to znieawidzone drgnięcie w podbrzuszu i slipy wypełniła mi sperma. Musiałem się dyskretnie odsunąć od Line, która, wciąż w zaczepnym podnieceniu, nie potrafiła pojąć, dlaczego mój nastrój w jednej chwili tak gwałtownie się zmienił.

Na peronie stała obok mnie, z rękami wsuniętymi w tylne kieszenie spodni, z niedużym plecakiem na ramieniu. Do odjazdu pociągu zostało sześć minut. Ludzie ciągle wsiadali.

– Pójdę do kiosku. – Spojrzała na mnie. – Chciałbyś coś?

Pokręciłem głową.

– A zresztą może tak Colę.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę kiosku sieci Narvesen. Hilde spojrzała na mnie z uśmiechem. Lars błędził gdzieś wzrokiem. Eirik rozglądał się po porcie.

– Skoro zaczniesz samodzielne życie, to dam ci pewną radę – powiedział, odwracając się do mnie.

– Jaką?

– Pomyśl, zanim zaczniesz działać. Dbaj o to, żeby cię nigdy nie przyłapano na gorącym uczynku. Wtedy sobie poradzisz. Jeśli na przykład będziesz miał ochotę, żeby któraś uczennica zrobiła ci laskę, to niech to zrobi z a katedrą. Nie p r z e d. Rozumiesz?

– Czy to przypadkiem nie trąci podwójną moralnością? – spytałem.

Roześmiał się.

– A jeśli będziesz miał tam, na północy, dziewczynę, którą będziesz musiał bić, to bij ją tak, żeby nie było widać siniaków – dodała Hilde. – Nigdy nie uderzaj w twarz, bez względu na to, jak wielką będziesz miał ochotę.

– Uważasz, że mam mieć dwie dziewczyny? Jedną tu, na południu, a drugą na północy?

– Czemu nie?

– Jedną, którą będziesz bił, i drugą, której nie będziesz bił – stwierdził Eirik – Lepiej równowagi nie osiągniesz.

– Macie więcej takich rad? – spytałem.

– Oglądałem raz w telewizji wywiad z pewnym starym aktorem – włączył się Lars. – Spytano go, czy w ciągu długiego życia zdobył jakieś doświadczenie, którym mógłby się podzielić z publicznością. Odparł, że owszem. To doświadczenie dotyczyło zasłanki prysznicowej. Przekonał się, że jej krawędź musi znajdować się wewnątrz wanny, a nie poza nią, bo inaczej woda rozleje

się na całą podłogę.

Wybuchliśmy śmiechem. Lars wyglądał na zadowolonego.

Nadeszła Line, z pustymi rękami.

– Za długa kolejka – oświadczyła. – Ale w pociągu jest chyba jakiś barek

– Na pewno – odparłem.

– Wsiadamy?

– Wsiadamy – powiedziałem. – I to by było na tyle, jak mawiał Fleksnes<sup>[1]</sup>. Jeśli o mnie chodzi, nigdy więcej Kristiansand!

Uściskali mnie po kolei. To się zaczęło w drugiej klasie, za każdym razem kiedy się widzieliśmy, obejmowaliśmy się i ściskaliśmy.

Wreszcie zarzuciłem plecak na ramiona, wziąłem walizki do ręki wsiadłem za Line do wagonu. Pomachali nam kilka razy, pociąg ruszył, a oni poszli w stronę parkingu.

Nie do wiary, że to było zaledwie przed dwoma dniami.

Odłożyłem książkę i przeczytałem te trzy zdania, które napisałem, jednocześnie skręcając sobie świeżego papierosa i popijając stygnącą kawę.

Przy sklepie ruch się zmniejszył. Przyniosłem z kuchni jabłko i znów usiadłem przy biurku. Przez następną godzinę napisałem trzy strony. To była historia o dwóch chłopcach z osiedla i niźle mi wyszła, tyle zrozumiałem. Może jeszcze trzy strony i opowiadanie będzie gotowe. Wcale nie najgorzej, całe opowiadanie napisane od początku do końca w pierwszy dzień spędzony na północy. Jaktak dalej pójdzie, na Boże Narodzenie będę miał gotowy cały zbiór!

Kiedy wypłukiwałem fusy z dzbanka, zobaczyłem samochód jadący pod górę od strony sklepu. Zatrzymał się przed domem dozorczy i wysiadło z niego dwóch mężczyzn w wielką okółko dwudziestu pięciu lat. Obaj byli mocno zbudowani, jeden wysoki, drugi niższy, okrąglejszy. Obróciłem dzbanek i postawiłem go pod kran, żeby napełnił się wodą, po czym umieściłem na płytce. Tamci dwaj ruszyli pod górę. Zrobiłem krok w bok, żeby nie zobaczyli mnie przez okno.

Ich kroki zatrzymały się tuż przy wiatrolapie.

Przyszli do mnie?

Coś do siebie powiedzieli. W mieszkaniu rozległ się świdrujący odgłos dzwonka.

Wytarłem dłonie o uda, wyszedłem na korytarz otworzyć drzwi.

Niższy wyciągnął rękę. Twarz miał kwadratową, podbródek lekko wysunięty, usta nieduże, oczy chytre. Czarne wąsy i lekki zarost na policzkach. Na szyi gruby złoty łańcuch.

– Remi – przedstawił się.

Zaskoczony, ująłem jego dłoń.

– Karl Ove Knausgård – powiedziałem.

– Frank – Ten wysoki też wyciągnął łapę, ogromną. Twarz miał tak okrągłą jak ten niższy kwadratową. Okrągłą i mięsistą. Wargi pełne, cerę delikatną, niemal różową. Włosy jasne i cienkie. Wyglądał jak wielkie dziecko. Oczy miał dobre, też jak u dziecka.

– Możemy wejść? – spytał ten o imieniu Remi. – Słyszeliśmy, że siedzisz tu sam, i pomyśleliśmy, że może przyda ci się trochę towarzystwa. Przecież na razie nie znasz tu jeszcze nikogo.

– Aha. Miło z waszej strony – odparłem. – Wejdźcie!

Zrobiłem krok do tyłu. Miło! Skąd mi się to wzięło, do jasnej cholery? Czy ja miałem pięćdziesiąt lat?

Zatrzymali się w salonie i rozejrzeli. Remi kilka razy kiwnął głową.

– W zeszłym roku mieszkał tu Harrison – powiedział.

Spojrzałem pytająco.

– Poprzedni nauczyciel, który tu przyjechał na zastępstwo. Często do niego przychodziliśmy. Bardzo fajny facet.

– Super – dodał Frank.

– Nigdy nie odmawiał – powiedział Remi.

– Już go nam brakuje – oświadczył Frank – Możemy usiąść?

– O rany, no pewnie. Napijecie się kawy? Akurat się gotuje.

– Kawa? Chętnie.

Zdjęli kurtki, rzucili je na podłokietnik i usiedli na kanapie. Ich torsy przypominały wielkie beczki. Ramiona tego o imieniu Frank miały grubość moich ud. Nawet stojąc przy kuchennym blacie tyłem do nich, wyczuwałem ich obecność, wypełnili sobą całe mieszkanie, poczułem się przy nich słaby jakbaba.

„Miło z waszej strony”. „Napijecie się kawy?”

Do diabła, nie miałem przecież żadnego kubków! Tylko ten jeden, który ze sobą przywiozłem.

Zajrzałem do szafek nad blatem. Oczywiście puste. Potem otworzyłem dolne. Pod zlewem, przy rurze kanalizacyjnej, stała szklanka. Oplukałem ją, wysypałem trochę kawy do dzbanka, kilka razy stuknąłem nim o płytkę, zaniósłem go do salonu i zacząłem się rozglądać za czymś, na czym mógłbym go postawić.

Padło na *Rajski ogród*.

– No i jak? – spytał Remi. – Co w ogóle myślisz, Karl Ove?

Nieprzyjemnie poruszony brzmieniem własnego imienia wypowiedzanego tak poufale przez faceta, którego wcześniej w życiu nie widziałem, poczułem, że policzki zaczynają mi płonąć.

– No nie wiem – odparłem.

– Wybieramy się dzisiaj na zabawę – poinformował Frank – W Gryllefjord. Przyłączysz się?

– Jest miejsce w samochodzie i wiemy, że nie miałeś czasu, żeby jechać do monopolowego, więc mamy wódkę i dla ciebie. Co ty na to? – spytał Remi.

– Nie bardzo wiem.

– To znaczy, że wolisz się nudzić w tym pustym mieszkaniu?

– Niech sam zdecyduje! – powiedział Frank.

– No tak jasne.

– Zamierzałem trochę popracować – wyjaśniłem.

– Popracować? Nad czym? – spytał Remi, ale jego spojrzenie już zatrzymało się na maszynie do pisania. – Pisziesz?

Znów oblało mnie gorąco.

– Trochę. – Wzruszyłem ramionami.

– Aha, pisarz. No nieźle – zaśmiał się Remi. – W całym życiu nie przeczytałem żadnej książki. Nawet kiedy chodziłem do szkoły. Zawsze się wykręcałem. A ty? – Spojrzała na Franka.

– Ja przeczytałem dużo. Te z serii Cocktail, no wiesz.

Obaj głośno się roześmiali.

– A to się liczy? – Remi spojrzał na mnie. – Ty jako pisarz odpowiedz, czy pornosy liczą się jako literatura?

Uśmiechnąłem się z przyzorem.

– Książka to zawsze książka – stwierdziłem.

Zapadła cisza.

– Podobno jesteś z Kristiansand? – spytał Frank.

Kiwnąłem głową.

– Masz tam kobiety?

Moment zwlekałem z odpowiedzią.

– I tak, i nie – odparłem.

– I tak, i nie? To ciekawe – powiedział Remi.

– Brzmi jak coś dla ciebie. – Frank spojrzał na kumpła.

– Dla mnie? Nie. Ja jestem bardziej w typie albo, albo.

Przez chwilę znów panowała cisza. Wypili po łyku kawy.

– Masz dzieci? – spytał Remi.

– Dzieci? – zdumiałem się. – Do diabła, no co wy, przecież mam dopiero osiemnaście lat!

Nareszcie jakaś przytomna odpowiedź.

– Takie rzeczy już się w historii zdarzały – zauważył Remi.

– A wy macie dzieci?

– Franknie, ale ja mam. Syna. Dziewięcioletniego. Mieszka u swojej matki.

– Z tego czasu, kiedy było albo, albo – dodał Frank i obaj się zaśmiali, patrząc na mnie.

– No, nie dołączajmy mu więcej w pierwszy spędzony u nas dzień – zdecydował Remi, wstając.

Frank też się podniósł. Wzięli kurtki i wyszli do przedpokoju.

– Pomyśl o tej dzisiejszej zabawie – rzucił jeszcze Remi. – Gdybyś zmienił zdanie, znajdziesz nas u Hege.

– Przecież on nie wie, gdzie ona mieszka – zauważył Frank.

– Musisz iść górną drogą, czwarty dom po lewej stronie, od razu się zorientujesz. Będą przed

nim stały auta. – Wyciągną rękę. – Mam nadzieję, że przyjdiesz. Dzięki za kawę!

Kiedy zamknąłem drzwi za nimi, poszedłem do sypialni i położyłem się na łóżku na plecach. Rozprostowałem ręce i nogi, zamknąłem oczy.

Nadjechał jakiś samochód. Zatrzymał się tuż obok

Otworzyłem oczy. Kolejni goście?

Nie. Trzasnęły drzwi gdzieś w innej części domu. To wrócili moi sąsiedzi. Może z zakupów w Finnsnes. Ciekawe, co to za jedni?

Miałem taką wielką ochotę zadzwonić, porozmawiać z k i m s z n a j o m y m!

Zasnąć, czego również pragnąłem, by oderwać się od wszystkiego, nie zdołałem. Poszedłem więc do łazienki, rozebrałem się i jeszcze raz wziąłem prysznic. To był sposób na oszukanie samego siebie, że zaczyna się coś nowego. Co prawda nie tak dobry jak sen, ale lepszy niż nic. Potem, z mokrymi włosami i kłoszłą lepiącą się do pleców, zasiadłem do dalszego pisania. Pozwoliłem dwóm dziesięciolatkom krążyć po lesie. Bali się lisów, dlatego każdy miał pistolet na kapiszony, żeby je wystraszyć, gdyby jakieś się pokazały. Nagle chłopcy usłyszeli strzały. Pobiegli w stronę, skąd dobiegł odgłos, i znaleźli ukryte w środku lasu wysypisko śmieci. Tam dwaj mężczyźni strzelali do szczurów. Kiedy dotarłem do tego miejsca, coś się we mnie napięło, jakby łuk radości i mocy, nagle nie mogłem nadążyć z pisaniem, opowieść cały czas wyprzedzała tekst, to było cudowne uczucie, czyste i piękne.

Mężczyźni, którzy strzelali do szczurów, poszli sobie, a dzieciaki zaciągnęły z wysypiska do lasu dwa krzesła i stół, tam zasiadły do przeglądania pism pornograficznych. Chłopiec, który miał na imię Gabriel, wetknął fiutka do pustej butelki i nagle poczuł okropny ból. Kiedy go wyciągnął, na czubku członka siedział żuk Gordon o mało nie pęłł ze śmiechu, śmiał się tak, że aż się przewrócił. Całkiem zapomnieli o tym, że czas płynie, a gdy Gabriel w końcu to sobie uświadomił, było już za późno. Kiedy wrócił do domu, ojciec, wściekły, zaciśniętą pięścią uderzył go w wargi, aż krew z nich poszła, a potem go zamknął w niedużym pomieszczeniu z bojlerem, gdzie chłopiec musiał spędzić sam całą noc.

Skończyłem kilka minut po wpół do ósmej – na biurku obok maszyny leżał plik składający się z siedmiu gęsto zapisanych kartek

Uczucie triumfu było we mnie tak wielkie, że wręcz krzykiem domagało się, abym komuś o nim opowiedział. Komukolwiek! Komukolwiek!

Ale byłem całkiem sam.

Wyłączyłem maszynę, zrobiłem sobie kilka kanapek i zjadłem je na stojąco przy kuchennym oknie. Drogą pod lekko szarzejącym, ale wciąż błękitnym niebem przeszła szybko jakaś postać. Z tunelu wyjechały dwa samochody, jeden za drugim. Musiałem wyjść. Nie mogłem dłużej siedzieć w domu.

Wtedy ktoś zapukał.

Otworzyłem. Na zewnątrz stała kobieta około trzydziestki, w samym T-shircie i spodniach. Miała miękko uformowaną twarz, nos duży, lecz mimo to nie dominujący, oczy brązowe, ciepłe. Włosy w kolorze ciemnoblonde ściągnęła do tyłu i upięła w węzeł.

– Cześć – rzuciła. – Chciałam się z tobą przywitać. Jesteśmy sąsiadami, mieszkam piętro

wyżej. No i jesteśmy kolegami po fachu. Ja też uczę. Mam na imię Torill.

Podala mi rękę. Palce miała szczupłe, ale uścisk dłoni mocny.

– Karl Ove – przedstawiłem się.

– Witaj w Håfjord – powiedziała z uśmiechem.

– Dziękuję.

– Słyszałam, że przyjechałeś wczoraj.

– Tak, autobusem.

– Aha. Na pewno nadarzy się mnóstwo okazji do pogadania, a teraz chciałam ci tylko powiedzieć, że jeśli będziesz czegoś potrzebował, to po prostu dzwoń do naszych drzwi. Cukru, kawy, pościeli czy czego by ci tam brakowało. Na przykład radia. Masz? U nas jest co najmniej o jedno za dużo.

Kiwnąłem głową.

– Mam walkmana – odparłem. – Ale dziękuję za propozycję. Bardzo miło, że zesłałaś „Bardzo miło”.

Uśmiechnęła się.

– No to do zobaczenia – powiedziała.

– Tak, do zobaczenia.

Po jej odejściu dalej stałem w przedpokój. Co się właściwie wydarzyło?

Każde spotkanie tutaj przypominało cios siekierą w duszę.

Musiałem się przeżyć.

Ubrałem się, kilka sekund spędziłem przed lustrem w łazience, żeby odpowiednio nasadzić beret, zamknąłem drzwi na klucz i ruszyłem drogą w dół. Kawalek dalej odsłaniał się zza łańcucha gór widok na morze, na ostry jak nóż horyzont oddzielający wodę od nieba, na którym zawisły nieruchomo dwie wielkie, całkiem białe chmury. Po drugiej stronie fiordu z warkotem płynął do brzegu nieduży kuter. Fiord nazywał się Fugleøyfjorden, Fiord Ptasiej Wyspy. No a wyspa oczywiście zwała się Fugleøya, czyli Ptasia. Pierwsi ludzie, którzy tu przybyli, musieli sobie pomyśleć: no dobrze, jak nazwiemy ten fiord? Rybi? Nie, Rybi Fiord to był ten poprzedni. Wobec tego może Ptasi? Tak! Świetny pomysł!

Szedłem dalej drogą obok skupu ryb, całkiem teraz pustego, z wyjątkiem mew skulonych na dachu, w stronę zakrętu prowadzącego do górnej części wioski. Zaraz za ostatnim domem pionowo wznosiła się góra. Nie było tu żadnych obszarów pośrednich, do jakich przywykłem tam, gdzie się wychowałem, do tych mglistych, trudnych do zdefiniowania miejsc niebędących ani czyjaś nieruchomością, ani dziką przyrodą. Tutaj z przyrodą, w dodatku nie tą niską, miękką przyrodą południa, tylko dziką, twardą, arki czną, miało się do czynienia od razu po przekroczeniu progu.

W sumie może ze sto domów.

Daleko na północy, u stóp gór, blisko morza.

Miałem wrażenie, że poruszam się po krawędzi świata. Że dalej nie da się już zajść. Jeszcze kroki z niego zniknę.

Boże, jak cudownie, że będę tutaj mieszkał!

Tu i ówdzie dostrzegałem ruch w oknach mijanych domów. Migotliwe światło telewizorów. Wszystko jakby zatopione w szumie fal uderzających o brzeg albo w niego wplecione, bo był tak równy i regularny, że przede wszystkim wydawał się cechą powietrza, jakby mogło ono być nie tylko zimniejsze albo cieplejsze, lecz również głośniejsze lub cichsze.

Przedemną pojawił się ów dom, w którym najpewniej mieszkała osoba o imieniu Hege, w każdym razie na podjeździe stało kilka samochodów, z otwartych na werandę drzwi dobiegała muzyka, a za wielkimi oknami z lat siedemdziesiątych dostrzegłem sylwetki ludzi skupionych wokół stołu. Kusiło mnie, żeby podejść i zapukać, przecież nie mogli niczego ode mnie oczekiwać, nikogo tu nie знаłem, pewna nieśmiałość byłaby więc naturalna, mógłbym tylko siedzieć i pić, nic nie mówiąc, dopóki nie zadziałałby alkohol, który rozluźniłby wszystko, również serce, teraz takie małe, mocno ściśnięte.

Myśląc o tym, nie zatrzymałem się, nawet nie zwolniłem, bo gdyby zobaczyli, że przystaję i się waham, a potem idę do domu, uznaliby, że coś o mnie wiedzą.

Może tęskniłem za tym, by serce mi urosło, ale tak naprawdę wcale tego nie potrzebowałem, no i zamierzałem przecież pisać, powtarzałem to sobie w myślach, aż minąłem ten dom i było już za późno, żeby tam wejść.

Kiedy zatrzymałem się przy drzwiach do swojego mieszkania, spojrzałem na zegarek

Obejście całej wioski zajęło mi piętnaście minut.

W obrębie tych piętnastu minut miało się zatem toczyć moje życie przez najbliższy rok

Przeniknął mnie dreszcz. Wszedłem do przedpokoju i zdjąłem płaszcz. Chociaż wiedziałem, że nic się nie wydarzy, zamknąłem drzwi na klucz i nie otwierałem ich przez całą noc.

Następnego dnia nie wychodziłem z domu, tylko siedziałem i pisałem, chwilami patrząc na ludzi, którzy w nieregularnych odstępach czasu ukazywali się na drodze i zaraz znów znikali mi z oczu, krążyłem po mieszkaniu, coraz intensywniej zastanawiając się nad tym, co powiem, kiedy we wtorek zaczną się lekcje, w myślach formułowałem kolejne zdania na powitanie, jednocześnie usiłując wymyślić strategię, jaką obiorę wobec uczniów. Przede wszystkim musiałem sprawdzić, na jakim są poziomie. Może zacząć od klasówek ze wszystkich przedmiotów? I dostosować się do wyników? Ale nie, takie klasówki to zbyt radykalne posunięcie, za bardzo autorytarne, za dużo szkoły w szkole.

Zadać jakąś pracę do odrobienia w domu?

Nie. Na lekcjach i tak trzeba zapelnąć tyle czasu, że najlepiej byłoby przygotować zadania do wykonania w szkole. Mogłem się tym zająć jutro.

Poszedłem do sypialni, położyłem się na łóżku, przeczytałem do końca te dwie kupione po drodze książki, a kiedy już je skończyłem, wziąłem się do artykułów w magazynie literackim, który znalazłem w Oslo, za wiele z nich nie rozumiejąc. Owszem, znałem większość słów, które się na nie składały, ale ich sens cały czas pozostawał jakby poza moim zasięgiem, jakby mówiły o nieznanym, nowym świecie, dla którego język starego świata nie był przeznaczony. Ale jedna

rzecz wybijała się z tych stron z siłą większą niż wszystko inne, a mianowicie opisy pewnej książki, *Ulissesa*, która w swojej obcości wydawała się absolutnie fantastyczna. Wyobrażałem sobie ogromną wieżę, jakby lśniąca od wilgoci, otoczoną mgłą i słabym, bladym światłem przyszłego chmurami słońca. Powieść uznano za główne dzieło modernizmu, a mnie modernizm kojarzył się z nisko zawieszonymi szybkimi samochodami i wyścigowymi, z lotnikami w skórzanych kaskach i skórzanych kurtkach, z zeppelinami unoszącymi się nad wieżowcami w rozświetlonych, a mimo to mrocznych metropoliach, z komputerami, z muzyką elektroniczną. Z nazwiskami takimi jak Hermann Broch, Robert Musil, Arnold Schönberg. W ten świat, jak rozumiałem, włączono elementy wcześniejszych, dawno minionych kultur, jak to zrobił Broch z Wergiliuszem i Joyce z Odyseuszem.

Będąc w sklepie poprzedniego dnia, nie pomyślałem o tym, że akurat wypada niedziela, dlatego jadłem kanapki z pasztetem i majonezem, kiedy nagle znów rozległ się dzwonek Wierchem dłoni wytarłem usta i pospieszyłem do przedpokoju.

Pod drzwiami stały dwie dziewczyny. Jedną rozpoznałem natychmiast. To była ta, która siedziała na ukos ode mnie w autobusie, kiedy tu jechałem.

Uśmiechała się.

– Cześć – powiedziała. – Poznajesz mnie?

– Jasne. Jesteś dziewczyną z autobusu.

– A ty jesteś nowym nauczycielem z Hålfjord! – Roześmiała się. – Tak sobie pomyślałam, kiedy cię zobaczyłam, chociaż nie byłam pewna. Ale dowiedziałam się wczoraj na zabawie. – Wyciągnęła rękę. – Mam na imię Irene.

– Karl Ove. – Uśmiechnąłem się.

– A to jest Hilde. – Skinieniem głowy wskazała drugą dziewczynę, której też ucisnąłem dłoń.

– Jesteśmy siostrami ciotecznymi – wyjaśniła Irene. – Przyjechałam dziś do niej w odwiedziny. Ale właściwie to był tylko pretekst, żeby cię poznać. – Znów się roześmiała. – Żartowałam.

– Wejdziecie?

Spojrzały na siebie.

– Chętnie – zdecydowała Irene.

Miała na sobie niebieskie dżinsy, niebieską kurtkę dżinsową, a pod nią białą bluzkę z koronkami. Była pulchna, piersi pod bluzką wyglądały na ciężkie, a biodra na szerokie. Miała jasne półdługie włosy, bladą cerę, kilka piegów wokół nosa, oczy duże, niebieskie, wesołe. Kiedy znalazłem się obok niej w przedpokoju i poczułem zapach jej perfum, również ciężki, a ona z niepewnym pytaniem w oczach podała mi kurtkę, bo nie było tam żadnego wieszaka, znów mi stanął.

– Twoją kurtkę też wezmę – zwróciłem się do Hilde, która w obecności kuzynki jakby blała; podała mi okrycie z nieśmiałym przelotnym uśmiechem. Obie kurtki powiesiłem na oparciu krzesła przy biurku i szybko wsunąłem rękę do kieszeni spodni, żeby wybrzuszenie z nadto nie rzucało się w oczy. Dziewczyny z pewnym wahaniem weszły do pokoju.

– Jeszcze nie mam swoich rzeczy – wyjaśniłem. – Dopiero przyjadą.

– Rzeczywiście trochę tu ponuro. – Irene się uśmiechnęła.



Usiadły na kanapie, obie ze złączonymi kolanami. Ja zająłem miejsce na krześle naprzeciwko nich, z nogą założoną na nogę, żeby zakryć bulę, która wcale się nie zmniejszyła. Przecież ta dziewczyna siedziała w odległości zaledwie metra ode mnie.

– Ile masz lat? – spytała.

– Osiemnaście. A wy?

– Szesnaście – odparła Irene.

– Siedemnaście – powiedziała Hilde.

– To znaczy, że dopiero skończyłeś liceum? – spytała Irene.

Kiwnąłem głową.

– Ja chodzę do drugiej klasy – wyjaśniła. – Do liceum w Finnsnes. To szkoła z internatem. Mieszkałam tam. Możesz przyjechać mnie odwiedzić, jeśli chcesz. Z czasem na pewno zaczniesz często bywać w Finnsnes.

– Chętnie przyjadę – oświadczyłem.

Nasze oczy się spotkały. Uśmiechnęła się. Odpowiedziałem uśmiechem.

– Ale właściwie pochodzę z Hellevika – mówiła dalej. – To następna wioska, za górą. Trzeba jechać jeszcze kilka kilometrów. Masz prawo jazdy?

– Nie mam.

– Szłoda.

Chwilę milczeliśmy. W końcu wstałem, poszedłem po popielniczkę i tytoń, skręciłem papierosa.

– Poczęstujesz mnie? – spytała. – Swój zostawiłam w kurtce.

Rzuciłem jej paczkę.

– Śmiać mi się chciało wczoraj, kiedy autobus tu jechał – powiedziała, rolując bibułkę wypełnioną tytoniem. – Wyglądałeś tak, jakbyś chciał wyjść przez okno.

Roześmiały się obie. Irene polizala klej, palcami wskazującymi i kciukami skleiła bibułkę. Gotowego skręta wsunęła do ust i zapaliła.

– Bo było pięknie jak cholera – próbowałem się tłumaczyć. – Nie miałem pojęcia, jak tu może wyglądać. Håfjord było dla mnie wyłącznie nazwą, a nawet tyle nie.

– To dlaczego chciałeś tu przyjechać?

Wzruszyłem ramionami.

– W pośredniaku dostałem listę nazw miejscowości i wybrałem tę.

Na górze ktoś przeszedł po podłodze.

Wszyscy spojrzeliśmy na sufit.

– Poznałeś już Torill? – spytała Irene.

– O tyle, o ile. A ty ją znasz?

– Jasne. Tutaj wszyscy się znają. To znaczy w Hellevika i Håfjord.

– I na Fugleøya – dodała Hilde.

Znów cisza.

– Napijecie się ławy? – spytałem, unosząc się z krzesła.

Irene pokręciła głową.

– Nie, chyba już pora, żebyśmy sobie poszły. Jak my ślisz?

– Chyba tak – przyświadczyła jej kuzynka.

Wstałem, zdjąłem kurtki z krzesła i podszedłem do Irene, bliżej, niż musiałem, żeby jej podać okrycie. Pełen wyobrażeń o jej biodrach, do których spodnie przylegały tak ściśle, jej ud, łydek i zaskakująco małych stóp, szyi, ciężkich piersi, krótkiego nosa i niebieskich oczu, jednocześnie naiwnych i bezczelnych, zamknąłem drzwi za dziewczynami. Cała wizyta trwała nie dłużej niż dziesięć, może piętnaście minut.

Poszedłem do kuchni nastawić kawę, kiedy znów rozległo się pukanie.

To była Irene, tym razem sama.

– W następny weekend jest zabawa w Hellevika. W zasadzie przyszłam właśnie po to, żeby ci o tym powiedzieć. Masz ochotę się wybrać? To dobry sposób na poznanie ludzi.

– Jasne, że mam ochotę. Przyjadę, jeśli tylko mi się uda.

– Jeśli ci się uda? – powtórzyła. – Po prostu wsiądź do pierwszego lepszego samochodu, wszyscy tam jadą, więc się zobaczymy!

Puściła do mnie oko. Potem się odwróciła i ruszyła w dół, ku Hilde, która stała, uderzając czubkiem buta o krawędź asfaltu.

Następnego dnia rano, kilka minut po ósmej, wyszedłem z mieszkania po raz pierwszy od ponad doby. Słońce wisiało nad górami na wschodzie i świeciło wprost na drzwi, a gdy je za sobą zamknąłem, twarz otuliło mi ciepłe letnie powietrze. Ale już kilka metrów dalej, tam gdzie krajobraz spowijał cień rzucany przez góry, było znacznie chłodniejsze, wyobraziłem sobie, że w nim również istnieją zakola, prądy, rozlewiska, łachy i wodospady, i z jakiegoś powodu podniosło mnie to na duchu. Przede mną, na niewielkim płaskowyżu stała szkoła i chociaż właściwie nie bałem się tam wejść, to jednak byłem na tyle zdenerwowany, że gdy się do niej zbliżałem, zaczęły mnie nękać przebiegłe niepokojy.

Wyglądała jak wszystkie inne szkoły – długi parterowy budynek połączony przy pomijającym tunel pasażem z większym, nowszym i wyższym, w którym mieściły się sala do zajęć praktyczno-technicznych, sala gimnastyczna i nieduża pływalnia. Między tymi dwoma budynkami rozpościerało się całkiem spore szkolne podwórze, kończące się dużym, pełnowymiarowym boiskiem do piłki nożnej. Wyżej, na wzniesieniu, królował inny budynek mieszczący, jak się domyśliłem, wiejską świetlicę.

Przed wejściem do szkoły stały zaparkowane dwa samochody. Duży biały jeep i niski czarny citroën. Słońce odbijało się w szeregu okien. Drzwi były otwarte, wszedłem do środka, na korytarz, żółtawe linoleum na podłodze wydawało się niemal białe w blasku słońca, wpadającym przez szybę w drzwiach długimi, przypominającymi rury smugami światła. Skręciłem za róg, po prawej stronie było troje drzwi, po lewej dwoje, dalej korytarz przechodził w dużą otwartą przestrzeń klasową. Idący nim mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na mnie. Miał brodę, a na czubku głowy ły sinę. Mógł mieć trzydzieści albo trzydzieści pięć lat.

– Witam! – zawołał.

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

– Ty jesteś... Karl Ove?

– Zgadza się. – Stałem przed nim.

– Sture – przedstawił się.

Podaliśmy sobie ręce.

– Zgadłem, że jesteś Karl Ove. – Uśmiechnął się. – Ale po prostu nie wyglądałeś mi na Nilsa Erika.

– Na Nilsa Erika? – zdziwiłem się.

– Tak W tym roku mamy dwóch młodych z południa. Ciebie i Nilsa Erika. Pozostali niewykwalifikowani nauczyciele pochodzą stąd, więc ich znam.

– Ty też stąd pochodzisz?

– Tak tak

Przez kilka sekund patrzył mi w oczy. Poczułem się nieswojo. Co to miało znaczyć? Czyżby jakiś test? Nie chciałem jednakulec i pierwszy odwracać wzroku, więc starałem się wytrzymać.

– Jesteś bardzo młody – stwierdził w końcu. – No ale o tym przecież wiedzieliśmy. Będzie dobrze. Chodź, musisz poznać pozostałych. – Spojrzał na drzwi, przy których staliśmy.

Otworzyłem je i wszedłem. To był pokój nauczycielski. Z niedużym łącznikiem kuchennym, kanapą z fotelami, pokoikiem z kopiarką i mnóstwem papierów, podłużnym bocznym pomieszczeniem z biurkami po obu stronach.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Przy stole siedziało sześć osób. Oczy wszystkich skierowały się na mnie.

Sknęli mi głowami i wymamrotali słowa powitania. Z łącznika kuchennego wyłonił się rudobrody mężczyzna, niewysoki, ale mocno zbudowany i energiczny.

– Karl Ove? – Uśmiechnął się szeroko.

Gdy potwierdziłem, uściśnęła mi rękę i zwrócił się do pozostałych:

– To jest Karl Ove Knausgård, młody człowiek który przyjechał aż z Kristiansand, żeby z nami pracować!

Przedstawił nauczycieli siedzących w pokoju, podając ich imiona i nazwiska, które już w następnej sekundzie wyleciały mi z głowy. Wszyscy mieli filiżanki z kawą, albo trzymali je w ręku, albo stały przed nimi na stole, i wszyscy, z wyjątkiem jednej starszej kobiety, byli młodzi. Wyglądali na dwudziestokilkulatków.

– Siadaj, Karl Ove. Kawy?

– Chętnie – odpowiedziałem i wcisnąłem się na sam koniec kanapy.

Przez najbliższe godziny dyrektor, który miał na imię Richard i najpewniej dobiegał czterdziestki, przedstawiał nam szkołę od różnych stron. Młodzi, niewykwalifikowani nauczyciele zostali oprowadzeni po wszystkich pomieszczeniach, otrzymali klucze, przydzielono im biurka, a potem omówiony został plan lekcji i rozmaite stałe procedury. To była mała szkoła, z tak niewielką liczbą uczniów, że na wielu lekcjach klasy łączono. Torill dostała wychowawstwo

pierwszej i drugiej klasy, Hege trzeciej i czwartej, ja piątej, szóstej i siódmej, Sture ósmej i dziewiątej. Nie miałem pojęcia, dlaczego akurat mnie przypadło takie zadanie, i czułem się dość niepewnie, zwłaszcza że ten drugi nauczyciel, który przyjechał z południa, Nils Erik, był ode mnie znacznie starszy, miał dwadzieścia cztery lata i za rok rzeczywiście zamierzał podjąć studia w szkole nauczycielskiej. Z powagą podchodził do tej pracy, z nauczaniem wiązał swoją przyszłość, ja natomiast nie miałem takich zamiarów, uczenie w szkole było ostatnią rzeczą, jaką chciałem robić w życiu. Pozostali niewykwalifikowani nauczyciele pochodzili stąd, znali tutejsze warunki i chyba również lepiej niż ja nadawali się do wzięcia odpowiedzialności za własną klasę. Dyrektor prawdopodobnie dokonał takiego wyboru na podstawie mojego podania, a kiedy to sobie uświadomiłem, poczułem się dość nieswojo, bo nieźle w nim przesadziłem.

Dyrektor pokazał nam, gdzie znajdziemy programy nauczania, omówiliśmy też pomoce naukowe, jakie były do dyspozycji. Około pierwszej skończyliśmy, poszedłem wtedy na pocztę położoną na drugim krańcu wioski, założyłem skrytkę pocztową, wysłałem kilka listów, zrobiłem zakupy, ugotowałem obiad, godzinę poleżałem na łóżku, słuchając muzyki i od czasu do czasu notując jakieś związane z nauczaniem hasła, które przychodziły mi do głowy, ale wyglądały trochę głupio, były zbyt oczywiste, więc zgłotłem te kartki i wyrzuciłem.

Przecież miałem wszystko pod kontrolą.

Pod wieczór znów poszedłem do szkoły. Trochę dziwnie się czułem, otwierając kluczem drzwi do wielkiego budynku i idąc korytarzami. Wszędzie było pusto i cicho. Sale wypełniało szarawe światło wieczoru, sączące się przez okna. Wszystkie półki i szafki były puste, klasy pozbawione charakterystycznych cech.

W małym pomieszczeniu przy pokoju nauczycielskim stał telefon, poszedłem tam zadzwonić do mamy. Ona też miała za sobą pierwszy dzień pracy w nowej szkole, a poza tym zajmowała się rozpakowywaniem rzeczy w nowym mieszkaniu, które wynajęła w szeregowcu stojącym nieco poza centrum Førde. Opowiedziałem jej trochę o tym, jak tu jest i jak się denerwuję przed jutrzejszymi lekcjami. Oświadczyła, iż jest pewna, że sobie poradzę, i chociaż ta pochwała nie była zbyt dużo warta, bo przecież padła z ust mojej matki, to mimo wszystko pomogła.

Po odłożeniu słuchawki przeszedłem do pokoiku z kopiarką i skserowałem swoje opowiadanie w dziesięciu egzemplarzach. Zamierzałem następnego dnia rozesłać je do znajomych. Potem zrobiłem rundę po wszystkich szkolnych pomieszczeniach. W sali gimnastycznej otworzyłem garażowe drzwi do schowka ze sprzętem, przekozłowałem piłką po podłodze, kilka razy rzuciłem ją do bramki do ręcznej na drugim końcu, zgasilem światło i przeszedłem na pływalnię. Woda w basenie była ciemna i nieruchoma. Potem zwiędziłem salę zajęć praktyczno-technicznych, później tę od przyrody. Z okien rozciągał się widok na wioskę, na stojące u podnóża góry domy w różnych kolorach, które zdawały się wibrować, i dalej na morze, bezkresne morze, i na wyrastające z morza niebo, pełne podłużnych, przypominających smugi dymu chmur.

Jutro rano przyjdą uczniowie i wtedy wszystko zacznie się na poważnie.

Pogasiłem światła, zamknąłem drzwi i ruszyłem do domu, podzwaniając trzymanym w rękę wielkim pękiem kluczy.

Kiedy się obudziłem następnego dnia rano, denerwowałem się tak, że o mało z tego powodu nie zacząłem wymiotować. Zdołałem wmusić w siebie jedynie kubek kawy. Poszedłem do szkoły pół godziny przed rozpoczęciem pierwszej lekcji, usiadłem na swoim miejscu i zacząłem przeglądać podręczniki, których mieliśmy używać. Wśród pozostałych nauczycieli, krążących między pomieszczeniem z kopiarką, klasami, kuchnią i kanapą, panowała luźna, wesoła atmosfera. Droga za oknem nadciągali już uczniowie. Pierś zasznurowała mi się ze strachu, serce się w niej tłukło jak uwięzione. Widziałem litery na stronie, na której otworzyłem książkę, ale nie składały się w słowa. Po pewnym czasie wstałem, poszedłem do kącika kuchennego po kawę. Kiedy się odwróciłem, poczułem na sobie wzrok Nilsa Erika. Wyglądał na kompletnie rozluźnionego, wygodnie oparty, siedział na kanapie z rozsuniętymi nogami.

– Ty masz pierwszą lekcję wolną, prawda? – spytałem.

Kiwnął głową. Włosy miał czarne, z takim samym nieokiełznanym wicherkiem jak u mojego dawnego przyjaciela Geira. Na policzkach różowił się leciutki rumieniec, oczy jaśniały niebiesko.

– Jestem cholernie zdenerwowany – przyznałem się, siadając w fotelu naprzeciwko niego.

– A czym się tak denerwujesz? – spytał. – Przecież wiesz, że w każdej klasie jest nie więcej niż pięciu, sześciu uczniów?

– Wiem. Ale mimo wszystko.

Uśmiechnął się.

– Zamienimy się? Przecież oni nas nie odróżniają. Ja będę Karlem Ovem, a ty Nilsem Erikiem.

– Możemy – odparłem. – Ale jak to zrobimy, kiedy będziemy się zamieniać z powrotem?

– Z powrotem? A po co?

– No, właściwie masz rację. – Wyjrzałem przez okno. Uczniowie zbierali się już w grupki. Niektórzy biegali raz w jedną, raz w drugą stronę. Wśród nich znalazło się również kilka matek, ich dzieci były odświętnie ubrane.

No tak, to przecież jasne. Część z tych dzieci przysła tu pierwszy raz. To był ich pierwszy dzień w szkole.

– No dobrze. Wobec tego skąd jestem?

– Z Høksund – odpowiedział. – A ja?

– Z Kristiansand.

– Świetnie! – ucieszył się.

– Akurat co do tego się mylisz – stwierdziłem, kręcąc głową.

Spojrzał na mnie chytrze.

– Teraz – powiedział. – Ale za kilka lat zobaczysz.

– A co się stanie za kilka lat? – spytałem.

W tym momencie zadzwonił dzwonek

– Za kilka lat będziesz myślał o rodzinnym mieście jak o rajku.

A co ty, do jasnej cholery, o tym wiesz, pomyślałem, ale powstrzymałem się od komentarza, potem wstałem, wziąłem do jednej ręki filiżankę, do drugiej stos książek i ruszyłem do drzwi.

– No to powodzenia! – rzucił jeszcze za mną Nils Erik

Do siódmej klasy chodziło pięcioro dzieci. Cztery dziewczynki, jeden chłopiec. Ponadto miałem pod opieką również trójkę z piątej i szóstej klasy. Czyli w sumie ośmioro uczniów.

Kiedy zatrzymałem się przed katedrą i odłożyłem na nią swoje rzeczy, wszyscy siedzieli wpatrzni we mnie. Dłonie miałem śliszkie, serce mi waliło, a oddech wciągałem z drżeniem.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Nazywam się Karl Ove Knausgård, pochodzę z Kristiansand i będę w tym roku waszym wychowawcą. Zacniemy od odczytania listy obecności, dobrze? Mam tu wasze imiona i nazwiska, no ale nie wiem jeszcze, kto jest kto.

Gdy to mówiłem, uczniowie zerkali na siebie przelotnie, dwie dziewczynki trochę chichotały. Ich skoncentrowana na mnie uwaga nie miała w sobie nic groźnego, wyczułem to od razu, była po prostu dziecinna. To były dzieci.

Wyjąłem kartkę z listą uczniów, spojrzałem na nią, potem na klasę.

Rozpoznałem dziewczynkę ze sklepu. Ale najsilniejszą osobowość prezentowała uczennica z lekko rudawymi włosami, w czarnych okularach. Wyczuwałem jej sceptycyzm. Pozostali nie stroszyli na mnie kółców.

– Andrea? – zacząłem odczytywać listę.

– Jestem – odezwała się dziewczynka, którą widziałem w sklepie. Powiedziała to ze spuszczonej wrokiem, ale w chwili, gdy jej głos ucichł, podniosła na mnie oczy.

Uśmiechnąłem się do niej na znak, że nie musi się mnie bać.

– Vivian?

Dziewczynka obok niej zawołała ze śmiechem:

– To ja!

– Hildegunn?

– Jestem – odparła ta w okularach.

– Kai Roald?

To był jedyny chłopiec w siódmej klasie. Ubrany w dżinsowe spodnie i kurtkę, bawił się długopisem.

– Jestem.

– Live?

Uśmiechnęła się dziewczynka z długimi włosami, z okrągłą buzią, w okularach.

– To ja – powiedziała.

Pozostała jeszcze do wyczytania para z szóstej klasy i dziewczynka z piątej.

W końcu odłożyłem kartkę i usiadłem na katedrze.

– Będę was uczył norweskiego, matematyki, religii i przyrody. Dobrze sobie radzicie w szkole?

– Nie za bardzo – odpowiedziała rudowłosa w okularach. – Zawsze mieliśmy niewykwalfikowanych nauczycieli z południa, którzy przyjeżdżają tu tylko na rok

Uśmiechnąłem się. Nie odwzajemniła uśmiechu.

– A jakie przedmioty lubicie?

Popatrzyli po sobie. Nikt nie miał ochoty odpowiadać.

– Na przykład ty, Kai Roald?

Stropił się. Na policzki wystąpił mu lekki rumieniec.

– Nie wiem – odparł. – Może zajęcia praktyczno-techniczne. Albo gimnastykę. W każdym razie nie norweski.

– A ty? – Ruchem głowy wskazałem dziewczynkę ze sklepu i zerknąłem na swoją kartkę. – Andrea?

Pod ławką założyła nogę na nogę, siedziała nachylona i coś rysowała.

– Nie mam ulubionego przedmiotu.

– Wszystkie tak samo lubisz czy wszystkich tak samo nie lubisz?

Podniosła głowę, oczy jej lekko błysnęły.

– Nie lubię – odparowała.

– I tak jest z wami wszystkimi? – spytałem.

– Tak!

– Okej – powiedziałem. – No ale tak się składa, że musimy tu siedzieć przez tyle godzin, ile nam wyznaczono, bez względu na to, czy to lubicie, czy nie. Powinniśmy się więc postarać, żeby minęły nam jak najlepiej. Zgodzicie się ze mną?

Nikt nie odpowiedział.

– Ponieważ nic o was nie wiem, chciałbym poświęcić pierwsze lekcje na poznanie was i sprawdzenie, nad czym powinniśmy więcej popracować.

Wstałem, wypilem łyk kawy, wierzchem dłoni wytarłem usta. W rogu po drugiej stronie sali ktoś zaczął śpiewać, wysokim, czystym głosem. To musiała być Hege, zaraz dołączyło do niej kilka dziecińczych głosów.

Pierwszoklasiści!

– Dlatego pomyślałem, że rozpoczniemy od pewnego zadania – podjąłem. – Napiszecie prezentację samych siebie na jedną stronę.

– O nie! Dlaczego musimy pisać? – zaprotestował Kai Roald.

– Co to jest prezentacja? – spytała Vivian.

Spojrzałem na nią. Podbródek miała ledwie zarysowany, przez to cała jej twarz sprawiała wrażenie niemal kwadratowej, nie była jednak z tego powodu wcale twarda, lecz raczej na jakis szczenięcy sposób miękką. Jej niebieskie oczy prawie znikły, kiedy się uśmiechała, a uśmiechała się często, już zdążyłem się o tym przekonać.

– To ma być opis tego, kim jesteś. Wyobraź sobie, że masz się przedstawić komuś, kto cię nie zna. Co byś przede wszystkim napisała?

Zmieniła pozycję na krześle, zsunęła kolana, rozsuwając stopy.

– Może, że mam trzynaście lat? I że chodzę do siódmej klasy w szkole w Hålfjord?

– Owszem, to dobry początek – stwierdziłem. – I może jeszcze, że jesteś dziewczynką.

– No tak, ten ktoś powinien to wiedzieć. – Roześmiała się.

– Dobrze, wobec tego napiszecie o sobie jedną stronę. Albo więcej, jeśli ktoś ma ochotę.

– Będziesz to później czytał na głos? – chciała wiedzieć Hildegunn.

– Nie – odpowiedziałem.

– A w czym mamy to napisać? – spytał Kai Roald.

Stuknąłem się w czoło.

– No prawda, przecież nie dostaliście zeszytów!

Śmiali się. To były dzieci, wyraźnie je to rozbawiło. Pognałem do pokoju nauczycielskiego po zeszyty, rozdałem je uczniom, wkrótce wszyscy zajęli się pisaniem, a ja w tym czasie stałem przy oknie i wpatrywałem się w szczyty gór po drugiej stronie fiordu, które zdawały się wykrzywiać ku niebu, zimne i czarne na tle jego jasnej lekkości.

Po dzwonku zebrałem swoje papiery, podniecony, wręcz przepełniony radością. Dobrze mi poszło, nie było się czego bać. A po dwunastu latach nieprzerwanej nauki w szkole następny moment, a mianowicie otwarcie drzwi do pokoju nauczycielskiego, sprawił mi zupełnie wyjątkową przyjemność; przekroczyłem linię graniczną, znalazłem się po drugiej stronie, byłem dorosły, odpowiedzialny za własną klasę.

Odłożyłem rzeczy na swoje biurko, nalałem kawy do filiżanki, usiadłem na kanapie i zacząłem się przyglądać innym nauczycielom, którzy już przyszli. Pomyślałem, że jestem na backstage'u, ale ta początkowo fajna myśl moment później zmieniła się w swoje przeciwieństwo, bo przecież wcale nie o tym marzyłem, do licha ciężkiego, byłem n a u c z y c i e l e m. Czy może być coś smutniejszego? A backstage to przecież zespół, dziewczyny, alkohol, tournée i sława.

Ale też i nie zamierzałem wcale poprzestać na nauczycielstwie. To miał być tylko pewien etap.

Wypiłem łyk kawy i spojrzałem na drzwi, które w tej samej chwili się otworzyły. Stał w nich Nils Erik

– No i jak ci poszło? – spytał.

– Dobrze – odparłem. – Rzeczywiście nie było się czego bać.

Za jego plecami pokazała się Hege.

– Dzieci są takie cudowne – powiedziała. – Takie słodkie!

– Karl Ove – rozległ się głos od strony wnęki kuchennej. Spojrzałem tam. Sture stał z kawą i patrzył na mnie. – Grasz w piłkę nożną, prawda?

– Tak. Ale nie jestem zbyt dobry. Dwa sezony temu grałem w piątej lidze.

– Mamy tu drużynę, jestem trenerem. To siódma liga, więc nie przypuszczam, żeby dołączenie do zespołu było dla ciebie jakimś problemem. Masz ochotę?

– Jasne.

– Tor Einar już się przyłączył. Prawda, Tor Einar? – spytał, zaglądając do pokoju z biurkami.

– Znów obrzucasz mnie błotem? – rozległ się stamtąd głos, a chwilę później w drzwiach ukazała się głowa.

– Tor Einar jako junior grał w czwartej lidze – wyjaśnił Sture. – No ale innych talentów,



niestety, nie ma.

– Przynajmniej nie wyłysiałem – odparował Tor Einar, dołączając do nas. – Więc nie muszę zapuszczać brody, żeby zachować męską godność, jak co poniektórzy.

Tor Einar pochodził z Finnsnes, miał bladą cerę, piegi i sztywne rude włosy, a z warg nie znikła mu uśmiech. Ruchy miał powolne i niemal demonstracyjnie staranne, jakby pragnął oznajmić, że oto ktoś, kto wszystko robi w swoim rytmie i kogo kompletnie nie obchodzą inni.

– Na jakiej pozycji grasz? – spytał.

– Pomocnika – odparłem. – A ty?

– Rozgrywającego. – Puścił do mnie oko.

– Aha. Terier ze środka boiska – powiedziałem. – O mnie, kiedy grałem, mówili „łoś”. To chyba tłumaczy wszystko...

Roześmiał się.

– Dlaczego „łoś”? – zainteresowała się Hege.

– Ze względu na styl biegania: długie, nierówne kroki, żadnej zmiany tempa – wyjaśniłem.

– Czy na boisku jest więcej zwierząt? – spytała.

– Są jeszcze jakieś? – Spojrzałem na Tora Einara.

– No... napastnik, który wbija piłkę do bramki, musi być silny jak byk

– I jeszcze tygrys. Tygrysie skoki bramkarza. Mamy też papużki nierozłączki, jedna bez drugiej nic nie działa. I oczywiście samotnego wilka.

– A na dodatek do tego wszystkiego jest jeszcze ochmistrz.

– I kto to jest?

– Ktoś, kto zawsze wie, gdzie są inni, i potrafi do nich skierować najpiękniejsze podania dokładnie we właściwym momencie.

– Jakże to strasznie dziecinne! – stwierdziła Hege.

– No i nosiciel wody – dodał Tor Einar. – Ten od czarnej roboty.

– Zapomnieliście o sędzim – zauważył Nils Erik – Sędzia przecież często jest ociężały jak wół.

– I wy się tym zajmujecie dobrowolnie! – prychnęła Hege.

– Ja nie – zastrzegł się Nils Erik

– No ale wy dwaj. – Spojrzała na mnie.

Zadzwoił dzwonek, wstałem po książki potrzebne na następną lekcję.

– Idziesz teraz do mojej klasy, prawda? – spytał Sture, kładąc mi rękę na ramieniu.

Potwierdziłem.

– Na angielski.

– Uważaj na chłopaka, który ma na imię Stian. Może próbować trochę cię zaczepiać. Ale jeśli się tym nie przejmiesz, to będzie okej. W porządku?

– Mam nadzieję. – Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli nie będziesz przypierał go do muru, tylko zawsze zostawisz mu jakąś drogę wyjścia, to nie będzie stanowił wielkiego problemu.

– Okej – powiedziałem.

Angielski był moją najsłabszą stroną, a na dodatek różnica wieku między mną a najstarszymi uczniami wynosiła zaledwie dwa lata, więc kiedy szedłem do drugiego budynku, w którym mieściła się sala lekcyjna ósmo- i dziewiętoklasistów, w żołądku znów ścisnęło mnie z nerwów.

Położyłem książki na katedrze. Uczniowie siedzieli w ławkach, ale w takich pozach, jakby wyrzuciła ich centryfuga. Wszyscy udawali, że mnie nie ma.

– *Hello, class!* – zacząłem. – *My name is Karl Ove Knausgård, and I'm going to be your teacher in English this year. How do you do?*

Nikt się nie odezwał. W klasie było czterech chłopaków i pięć dziewczyn. Dwoje patrzyło na mnie, dwoje coś tam sobie pisało, jedna dziewczyna robiła na drutach. Rozpoznałem chłopaka z barku ulicznego. Miał na głowie czapkę z daszkiem i huśtał się na krześle, patrząc na mnie z drwiącym uśmiechem. To musiał być ten Stian.

– *Well* – podjąłem. – *Now I would like you to introduce yourself.*

– Mów po norwesku – odezwał się Stian.

Siedzący za nim chłopak, wyjątkowo wysoka i chuda figura, wyższa ode mnie, a ja miałem metr dziewięćdziesiąt cztery, zaśmiało się głośno. Kilka dziewczyn zachichotało.

– *If you are going to learn a language, then you have to talk it* – wyjaśniłem.

Jedna z dziewczyn, ciemnowłosa, o jasnej cerze, regularnych rysach, nieco może zbyt pulchnej twarzy i o niebieskich oczach, podniosła rękę.

– *Yes?* – powiedziałem.

– *Isn't your English a bit too bad? I mean, for teaching?* – spytała.

Poczułem rumieniec występujący na twarz, zrobiłem więc kilka kroków i uśmiechnąłem się, żeby jakoś nad tym zapanować.

– *Well. I have to admit that my English isn't exactly perfect* – przyznałem. – *But that isn't the most important thing. The most important is to be understood. And you do understand me?*

– *Sort of* – powiedziała.

– *So, what's your name, then?*

Przewróciła oczami.

– Camilla.

– *Full sentences, please.*

– *Oh! My name is Camilla. Happy?*

– Tak

– *You do mean yes?* – spytała.

– *Yes.* – Znów się zaczerwieniłem. – *So. What's your name?* – zwróciłem się do dziewczyny siedzącej za Camillą.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie.

Oj, oj!

Jaka śliczna!

Niebieskie łagodne oczy zwięzły się, kiedy się uśmiechnęła. Duże usta. Mocno zarysowane kości policzkowe.

– *My name is Liv.* – Zaśmiała się.

– *Camilla, Liv. And you?* – Skinąłem głową na Stiana.

– Ja mam na imię Stian – odparł.

– *Well. What will that be in English?*

– Stian – odparł.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Po dzwonku na przerwę wyszedłem stamtąd kompletnie wykończony. Tyle razy musiałem im odparowywać, tyle rzeczy naraz pojąć, tyle zignorować, o tylu zapomnieć. Camilla ziewała i przeciągała się, unosząc ręce nad głowę, beczelnie przy tym na mnie patrząc. Była w samym T-shirtcie, więc jej piersi, duże i okrągłe, z pełną wyrazistością wypuły się pod białym materiałem. Miałem erekcję, to było nieuniknione, choćbym nie wiem jak bardzo starał się myśleć o czymś innym. Cieszyłem się, że mogę siedzieć za katedrą! Jakby to nie wystarczyło, ta o imieniu Liv okazała się równie czarująca, co ładna, zarazem nieśmiała i otwarta, a pewna żywiołowość, manifestowana zapewne przede wszystkim burzą ciemnoblonde włosów i kilkoma podzwaniającymi bransoletkami, lecz również sprzecznością między powściągliwą mową ciała a błyskiem w oczach, uniemożliwiała mi skupienie się na czymkolwiek innym w jej obecności. No i był jeszcze Stian, który przez cały czas bawił się scyzorykiem, usiłując wykorzystać każdą sposobność do przyłapania mnie na czymś, i nie chciał wykonywać absolutnie żadnych moich poleceń, oraz jego kumpel Ivar, śmiejący się z każdego słowa Stiana głuchym, nieco pustym śmiechem, któremu za każdym razem towarzyszyły rzucane na boki spojrzenia, ale ten chłopak był otwarty, czasami również na mnie, jego mogłem dla siebie wygrać, że dwa razy nawet zachichotał z czegoś, co powiedziałem.

W pokoju nauczycielskim osunąłem się na kanapę. Młoda nauczycielka o imieniu Vibeke przystanęła i uśmiechnęła się do mnie. Miała dziewiętnaście lat, obfite ciało, okrągłą, pogodną twarz, wesołe niebieskie oczy i trwałą ondulację na jasnych włosach.

– I jak ci idzie? – spytała.

– Dobrze. A tobie?

– Jako tako. Ale dla mnie nie ma tu tylu nowości, co dla ciebie, jaksądzę. Sama chodziłam do tej szkoły.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, ale ona tylko się uśmiechnęła i poszła do pokoju pracy. Obok mnie usiadła Jane, również pochodząca z tej wioski, dwudziestokilkuletnia, także wysoka i potężna, z ramionami pewnie ze dwa razy grubszymi niż moje. Miała długi, prosty, prawie rzymski nos, płaskie policzki, cienkie wargi z często opuszczonymi kącikami, nadającymi jej taką minę, jakby chciała powiedzieć, że osoby, na którą patrzy, nie tknęłyby nawet szczypcami do kominka. Z oczu biło jej niezadowolenie, właściwie emanowało z niej całej, ale parę razy widziałem, jak się śmieje, ożywała się wtedy, dokonywała się w niej totalna zmiana, a kiedy już

raz zaczęła się śmiać, nie mogła się powstrzymać, aż przyjemnie było wtedy patrzeć, jak się ze sobą znaga i próbuje na powrót odzyskać kontrolę.

Oprócz wszystkich tych młodych w gronie nauczycielskim była też jedna starsza kobieta, dobiegała pięćdziesiątki, ale wyglądała starzej. Prowadziła lekcje robót ręcznych i gospodarstwa domowego, była drobna i szczupła, miała ostre rysy twarzy, cienkie jasne włosy i przenikliwy głos, akurat teraz siedziała w fotelu po drugiej stronie stołu i robiła na drutach. Była nastawiona do mnie sceptycznie, poznawałem to po sposobie, w jaki na mnie patrzyła i nie patrzyła. No i miała rację, bo co ja właściwie tu robiłem? Czego chciałem od tej pracy?

Kiedy wszedłem po lekcji angielskiego, podniosła na mnie wzrok, a ja pomyślałem, że ona rozumie, jakie uczucia mnie przepełniają.

To było niemożliwe, ale mimo wszystko pomyślałem sobie właśnie tak

Na dużej przerwie poszedłem na pocztę położoną na drugim końcu wioski. W blasku słońca zbocza gór były jaskrawozielone. Morze intensywnie niebieskie. Coś w tym świetle, a może w chłodnym powiewie, który wyczuwałem w powietrzu jakby p o d s p o d e m tej warstwy ogrzewanej przez słońce, tak typowym dla sierpnia, uwolniło we mnie wspomnienie ze wszystkich tych lat, kiedy szedłem do szkoły po wakacjach, pełnego nadziei podniecenia, wiary w to, że może w tym roku wydarzy się coś wspaniałego.

Na zboczu za ostatnim szeregiem domów wśród zieleni już dawało się dostrzec przebłyśki żółci. Tutaj jesień oczywiście przychodziła wcześniej. Skinąłem głową kierowcy przejeżdżającego samochodu. Za kierownicą siedziała zapewne matka kóregoś z uczniów, odpowiedziała mi podobnym ruchem głowy. Wspiąłem się po niskim żwirowym zboczu i wszedłem do urzędu pocztowego, mieszczącego się na parterze zwykłego domu. W przedpokoju stały skrytki pocztowe, dalej były statywy z widokówkami i kopertami, plakaty z reklamami poczty na ścianach, biuro z okienkiem.

W okienku siedziała mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta. Trwała ondulacja na rudawych, dość cienkich włosach, okulary, na szyi cienki złoty łańcuszek. Przy stoliku pod oknem mężczyzna z chodzikiem drapał monetą los.

– Dzień dobry – powiedziałem do urzędniczki, kładąc przed nią koperty. – Chciałbym tylko to wysłać.

– Zaraz to załatwimy – odpowiedziała. – A tak w ogóle to już przyszedł do ciebie list.

– Naprawdę? No to nieźle!

W czasie gdy ważyła przesyłki i szykowała znaczki, otworzyłem swoją skrytkę. List był od Line.

Wróciłem do okienka, zapłaciłem, a potem wyjąłem z koperty list i czytałem go, idąc drogą.

Line napisała, że siedzi teraz w swoim pokoju i myśli o mnie. Bardzo mnie lubi i fajnie nam było razem, ale tak naprawdę nigdy nie była we mnie zakochana, więc teraz, kiedy rozjechaliliśmy się po kraju, doszła do wniosku, że najlepiej i najuczciwiej będzie ze sobą zerwać. Miała nadzieję, że dobrze mi się ułoży w życiu, radziła, żebym podchodził do pisania poważnie, tak jak ona do rysunku, i liczyła, że nie będę się na nią gniewał, teraz zaczyna się nasze nowe

życie, jesteśmy daleko od siebie, ona jutro wyjeżdża do swojej szkoły ludowej, a ja pewnie dotarłem już do wioski, w której będę pracował, więc dopóki czuje tak jak czuje, i ma pewność, że mnie nie kocha, dalsze utrzymywanie naszego związku byłoby zdradą wobec samej siebie. Podkreślała, że jestem fajnym człowiekiem i że zrywa ze mną nie dlatego, by myślała, że jest inaczej, lecz nad uczuciami nie da się zapanować, po prostu są takie, jakie są.

Schowałem list do kieszeni płaszcza.

Ja też nigdy nie zakochałem się w Line i wszystko to, co mówiła o mnie, mogłem powiedzieć o niej, lecz jednak zrobiło mi się trochę przykro i trochę się wkurzyłem, czytając jej słowa. Przecież chciałem, żeby mnie kochała! I chociaż wcale nie miałem ochoty dłużej z nią być i cieszyłem się, że to już koniec, uważałem, że to ja powinienem zerwać. Tymczasem Line okazała wyższość nade mną, odrzuciła mnie, prawdopodobnie pozostając w przekonaniu, że ją kocham i jestem zdruzgotany po przeczytaniu tego listu.

No cóż.

Przy punkcie skupu ryb trwała gorączkowa aktywność. Do przystani przybiło kilka kutrów, dwa wózki widłowe jeździły po wybetonowanym placu i znikwały w ciemnym wnętrzu hali. Po placu krążyli mężczyźni w wysokich kaloszach, a grupa kobiet w rozpiętych białych fartuchach i w białych czepkach stała przy krótszym boku budynku i paliła papierosy, nad nimi kłówały bijące szłydami mewy. Zajrzałem do sklepu i kupiłem kilka bułek, żółty ser, kostkę margaryny i litr mleka. Przywitałem się z ekspedientem, który spytał, czy już się zdomowiłem, potwierdziłem, że wszystko w porządku. Na następnej lekcji miałem okienko, więc po zjedzeniu dwóch bułek i schowaniu reszty produktów do niewielkiej lodówki w pokoju nauczycielskim usiadłem przy swoim biurku, żeby zaplanować kolejne dni. Nam, nauczycielom niewykwalifikowanym, przydzielono panią pedagog, która miała przyjeżdżać do szkoły raz w tygodniu, abyśmy mogli z nią omówić ewentualne problemy związane z nauczaniem. W przyszłym tygodniu mieliśmy również jechać na kurs do Finnsnes razem z innymi młodymi, niedoświadczonymi nauczycielami. W regionie było nas bowiem wielu; pochodzące stąd osoby podejmujące studia w szkołach nauczycielskich rzadko wracały w rodzinne strony po zdobyciu wykształcenia. Brak wykwalifikowanej kadry stanowił, rzecz jasna, duży problem i przedsięwzięto najrozsądniejsze kroki, aby mu zaradzić. Tam gdzie mieszkał teraz tata, przyznawano na przykład duże ulgi podatkowe i był to właśnie jeden z powodów, dla których przeprowadzili się tam z Unni. Oboje pracowali w liceum, to znaczy teraz tylko tata, bo Unni spodziewała się dziecka. Kiedy ostatnio się z nimi spotkałem, kilka tygodni temu, w szeregowcu, który kupili na południu, w Sørlandet, z zamiarem, że będzie na nich czekał do dnia, gdy ukończą służbę na północy, Unni już miała duży brzuch.

Właśnie wtedy wpadł mi do głowy pomysł wyjazdu na północ. Siedzieliśmy na tarasie, tata z gołym torssem, strzaskany na mahoń, z piwem w jednej ręce, z papierosem w drugiej, ja z krzyżem zwisającym z ucha, w ciemnych okularach, gdy spytał mnie, co zamierzam robić jesienią. Jego wzrok był wszędzie indziej, tylko nie w pobliżu mnie, nawet gdy zadawał mi pytanie, a w głosie, lekko otumanionym od tych wszystkich piw, które wypił, odład przyszedłem, pochrzniewały znużenie i brak zainteresowania, dlatego ja też odpowiedziałem na poły obojętnie, chociaż w sercu mnie zakłóło, wrzuciłem tylko ramionami i oświadczyłem, że w każdym razie nie zamierzam studiować ani iść do wojska. Stwierdziłem, że odpracuję wojsko w jakimś szpitalu

czy w podobnym miejscu.

Wyprostował się wtedy i zgasił papierosa w wielkiej popielniczce, która stała między nami na stole. Powietrze było ciężkie od pyłku kwiatowego, wszędzie dookoła bzycały osy i trzmiele. A nie mógłbyś zostać nauczycielem? – spytał, z wysiłkiem obracając się w fotelu, o jakieś dwadzieścia kilo cięższy od czasu naszego poprzedniego spotkania. Na północy Norwegii dostaniesz robotę od ręki. Z maturą przyjmą cię z otwartymi ramionami. Być może, mruknąłem. Przemysłaś to sobie. No to przemysł. A jak chcesz jeszcze jedno piwo, to wiesz, gdzie stoi skrzynka. Dlaczego nie, powiedziałem, przeszedłem do salonu, który po ostrym świetle na zewnątrz wydał mi się ciemny jak grób, i dotarłem do kuchni, gdzie siedziała Unni i czytała gazetę. Uśmiechnęła się do mnie. Była w szortach koloru khaki i luźnej szarej bluzce. Wezmę sobie jeszcze jedno piwo, oświadczyłem. Weź, weź, powiedziała, są przecież wakacje. No właśnie, jest gdzieś otwieracz? Tak leży tam, na stole, pokazała. Głodny jesteś? Nie bardzo, odparłem, tak gorąco. Ale przenocujesz, prawda? – spytała. Tak, powiedziałem. No to możemy się trochę wstrzymać z jedzeniem, stwierdziła. Odchyliłem głowę i pociągnąłem solidny łyk. Powinam trochę popracować w ogrodzie, westchnęła, ale jest po prostu za gorąco. To prawda, przyznałem. I brzuch tak mi przeszkadza. No tak, rzeczywiście. Nie masz ochoty wykąpać się w jeziorku? Dzisiaj chyba jest tam mnóstwo ludzi. Pokręciłem głową. Uśmiechnęła się, ja się uśmiechnąłem i poszedłem z powrotem do taty. No, wzięłeś sobie piwo, zauważył. Usiadłem. Dawniej to on pracowałby teraz w ogrodzie. A nawet jeśli nie, to jego wyostrożona uwaga koncentrowałaby się na tym, co się wokół niego działo, nawet gdyby chodziło jedynie o zatrzymujący się na moment samochód i wychylającego się z otwartego okna młodego mężczyznę. To wszystko jednak gdzieś przepadło, z jego oczu biła obojętność, całkowity brak zainteresowania. Ale nie do końca, bo kiedy na niego patrzyłem i jego spojrzenie zawadziło o moje, wciąż dostrzegałem w nim j e g o, tę twardość i chłód, z którymi wyrosłem i których wciąż się bałem.

Odstawił na podłogę pustą butelkę, sięgnął po nową i otworzył otwieraczem, który miał przy pasku. Zawsze przynosił sobie po trzy albo cztery butelki naraz, żeby nie latać stale do kuchni, jak mówił. Podniósł ją do ust, wziął kilka długich łyków. Tak, tak, powiedział, przyjemnie, że świeci słońce. Owszem, przyznałem. Przynajmniej się opaliłem, stwierdził. Tak, ja też, powiedziałem. Ty? – wydał usta. Wiesz, na północy kupiliśmy sobie solarium. Trzeba mieć coś takiego w tej ciemnicy. Wiem, odparłem, widziałem, kiedy tam byłem. Może i tak. Wypił jeszcze jeden solidny łyk, odstawił pustą butelkę obok poprzedniej, skrzył papierosa, zapalił, otworzył kolejną butelkę. Kiedy chcesz jeść obiad? – spytał. Mnie wszystko jedno, odparłem. Wy zdecydujcie. No tak, w tym upale nie czuje się głodu – sięgnął po leżącą na stole część gazety. Położyłem rękę na balustradzie i spojrzałem w dół. Trawnik przed tarasem był zupełnie wypalony, bardziej żółto-brązowy niż zielony. Szara droga całkiem pusta. Dalej ciągnął się wysypany żwirem zakurzony plac, za nim kilka drzew, za nimi znów ściany domów i dachy. Ojciec i Unni nie mieli tu żadnych znajomych, ani w sąsiedztwie, ani w mieście. Po błękitnym niebie przeleciała awionetka. Usłyszałem, że Unni, ciężko stąpając, przeszła przez salon. Na drodze E18 znów czołowe zderzenie, oznajmił tata. Osobowy zderzył się z tirem. Tak? – wyraziłem zainteresowanie. Prawie wszystkie tego rodzaju wypadki to ukryte samobójstwa, stwierdził. Ludzie wjeżdżają prosto w tira albo w ścianę. Nikt nie wie, czy zrobili to celowo, czy nie.

Przynajmniej unikają wstydu. Tak sądzisz? – spytałem. Oczywiście, odparł. W dodatku to skuteczne. Lekki skręt w bok i kilka sekund później już nie żyją. Podsunął mi gazetę. Małe szanse, żeby przeżyć coś takiego, prawda? Na zdjęciu był kompletnie zgnieciony samochód. Rzeczywiście, powiedziałem. Podniosłem się i po schodach zszedłem do toalety. Usiadłem na sedesie. Byłem trochę pijany. Wstałem i przemyłem twarz zimną wodą. Spuściłem wodę, na wypadek, gdyby ktoś tutaj zwracał uwagę na tego rodzaju szczegóły. Kiedy wróciłem na taras, tata odłożył już gazetę. Siedział oparty łokciem o balustradę, a ja uświadomiłem sobie, że zwykle przyjmował taką pozycję, kiedy latem prowadził samochód: łokieć wystawiał przez otwarte okno. Zadałem sobie pytanie, ile on właściwie ma lat, i zacząłem po cichu liczyć. Czterdzieści trzy skończył teraz, w maju. Pomyślałem o jego urodzinach, o tym, że zawsze kupowaliśmy mu tę samą wodę po goleniu, zielony Mennen, i że zawsze się wtedy zastanawiałem, na co mu ona, skoro nosił brodę. Uśmiechnąłem się. Tata podniósł się niepewnie, chwilę postać, żeby złapać równowagę, potem ruszył do salonu, jak zwykle długimi krokami, podciągając szorty z tyłu.

Myśl o podjęciu pracy nauczyciela na północy Norwegii, którą wtedy we mnie zaszczepił, coraz bardziej do mnie przemawiała. W zasadzie miała same zalety. Po pierwsze, chciałem mieszkać daleko, jak najdalej od wszystkiego i wszystkich znajomych, chciałem być zupełnie wolny. Po drugie, chciałem zarabiać własne pieniądze i mieć prawdziwą pracę. Po trzecie, chciałem móc pisać.

No a teraz siedzę tutaj, pomyślałem, patrząc lekko na ukoś. Na końcu niewielkiego korytarzyka prowadzącego do pokoju nauczycielskiego, tam gdzie znajdowały się dwie toalety, pojawiła się Torill. Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała, tylko się nachyliła i ze swojej półki wyjęła jakąś niedużą teczkę.

– Fajnie być nauczycielem – powiedziałem.

– Zaczekaj, to zobaczysz. – Uśmiechnęła się przelotnie i znów wyszła. Na placyku na zewnątrz pojawił się Nils Erik, otoczony moimi uczniami.

Pięć lat temu miałem tyle samo lat, co oni. Za pięć następnych będę miał tyle lat, co on.

Wtedy powinienem już zadebiutować. Powinienem mieszkać w jakimś dużym mieście, pisać, pić i żyć. Mieć piękną, szczupłą i zgrabną dziewczynę o ciemnych oczach i dużym biuście.

Przeszedłem do pokoju nauczycielskiego, podniosłem termos i lekko nim potrząsałem. Był pusty, więc napełniłem dzbanek wodą, przelałem ją do ekspresu, włożyłem filtr, odmierzyłem pięć łyżek kawy i uruchomiłem cały ten cyrk z charkotem i kaszlem, z powolnym podnoszeniem się czarnej cieczy w dzbanku i świeceniem czerwonego oczka.

– Dobrze ci idzie na razie? – rozległ się jakiś głos niepokojąco blisko mnie. Odwróciłem się. To Richard wpatrywał się we mnie intensywnie, szeroko się uśmiechając. Ale co to miało znaczyć? Czy umiał się poruszać po swojej szkole całkiem bezszelestnie?

– Tak, tak bym to określił – stwierdziłem. – To bardzo ciekawe.

– Owszem. Nauczyciel to piękny i bardzo szczególny zawód, a przede wszystkim odpowiedzialny.

Dlaczego tak powiedział? Czy uważał, że właśnie to powinienem usłyszeć? Że to duża odpowiedzialność? A jeśli tak, to dlaczego? Czy żył ode mnie brak odpowiedzialności?

– Mhm – mruknąłem. – Prawdę mówiąc, mój ojciec jest nauczycielem. Też pracuje na

północy, ale jeszcze dalej.

– Naprawdę? – zdumiał się Richard. – Może pochodzi z północy?

– Nie. Ulgi podatkowe go tu przy ciągnęły.

Richard się roześmiał.

– Napijesz się kawy? – spytałem. – Zaraz będzie gotowa.

– Po prostu przelej do termosu. Napiję się trochę, ale później.

Zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił. Nie wiedziałem, co było gorsze. To „przelej do termosu” czy „po prostu”. Jedno i drugie wydawało się patronizujące. A przecież nie musiał traktować mnie jak ucznia tylko dlatego, że miałem dopiero osiemnaście lat. Przecież byłem tu zatrudniony tak samo jak on.

Wkrótce rozległ się dzwonek i nauczyciele zaczęli przychodzić z lekcji, jedni milczeli, inni rzucali drobne, żartobliwe uwagi. Postawiłem termos na stole, a sam stanąłem przy oknie z pełną filiżanką w ręku. Uczniowie już wybiegli przed szkołę. Usiłowałem przypisać imiona do ich twarzy, ale pamiętałem jedynie Kaia Roalda, siódmoklasistę, może dlatego, że dobrze rozumiałem tę niechęć, którą u niego wychwyciłem, a z którą w sprzeczności pozostawał świadczący o zainteresowaniu, a niekiedy wręcz o zapale błysk w oku. No i oczywiście Liv, tę piękną dziewczynę z dziewiątej klasy. Stała teraz pod ścianą, z rękami w tylnych kieszeniach niebieskich dżinsów, ubrana w beżową, przypominającą anorak kurtkę i znoszone adidasy, żuła gumę i właśnie w tej chwili odgarniała na bok kosmyk włosów, który wiatr zrzucił jej na twarz. No i Stiana, stojącego na szeroko rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach i rozmawiającego ze swoim długim i chudym jak tyczka kumplem.

Odwróciłem się od okna. Nils Erik się do mnie uśmiechnął.

– Gdzie mieszkasz? – spytał.

– Niedaleko, poniżej szkoły. W mieszkaniu w suterenie.

– Pode mną – wyjaśniła Torill.

– A ty gdzie trafiłeś? – też byłem ciekaw.

– Do górnej części wioski. Również do mieszkania w suterenie.

– Tak pode mną – włączył się Sture.

– A więc tak to się układa – podsumowałem. – Ci z odpowiednim wykształceniem dostają mieszkania z widokiem, a ci niewykwalifikowani sutereny.

– To mądrość, której równie dobrze możesz się nauczyć już teraz – stwierdził Sture. – Na każdy przywilej trzeba zasłużyć. Ja się przez trzy lata mordowałem w Wyższej Szkole Nauczycielskiej. I coś mi się, do diabła, za to należy. – Roześmiał się.

– Mamy wam też nosić torby z zakupami? – spytałem.

– Nie, aż tak poważnych obowiązków nie macie. Ale oczekujemy, że co sobota przyjdziecie u nas posprzątać. – Puścił do mnie oko.

– Słyszałem, że w weekend jest zabawa w Hellevika. Ktoś z was się tam wybiera?

– Szybko się integrujesz – stwierdził Nils Erik.

– A kto ci o tym mówił? – zainteresowała się Hege.



– Gdzieś slyszalem. Zastanawialem sie, czy nie isc. Ale niezbyt fajnie byc samemu.

– Tu nigdy nie bedziesz na zabawie sam – powiedzial Sture. – To polnocna Norwegia.

– Ty sie wybierasz?

Pokręcil glowa.

– Musze sie zajac rodzina. Ale mogete ci cos podpowiedziec. Oczywiscie jesli chcesz.  
Roześmiał się.

– Ja chyba pojde – odezwala sie Jane.

– I ja – wlaczyla sie Vibeke.

– A co z toba? – Spojrzalem na Nilsa Erika.

Wzruszyl ramionami.

– Byc moze. To w piatek czy w sobote?

– Chyba w piatek

– Moze to nie taki glupi pomysl.

Dzwonek

– Pogadamy o tym pozniej – rzucil, wstajac.

– Dobrze. – Odstawilem filizanke na blat, wzialem ksiazki ze swojego biurka, poszedlem do klasy, usiadlem na katedrze i tak czekalem na uczniow.

Kiedy po szkole wróciłem do mieszkania, w wiatrołapie zastałem swoje rzeczy. Było to wszystko, co posiadałem, a więc niewiele: jeden karton z płytami, jeden z marną wieżą stereo, jeden z przyborami kuchennymi i jeden z przeróżnymi drobiazgami, które zgarnąłem z mojego starego pokoju, a oprócz tego trochę książek mamy. A jednak kiedy wnosiłem to wszystko do salonu, czułem się tak, jakbym dostał jakiś wielki prezent. Zmontowałem wieżę, ustawiłem płyty pod ścianą, przejrzałem je, wybrałem *My Life in the Bush of Ghosts* Briana Eno i Davida Byrne'a, jedną z moich absolutnie ulubionych, i gdy muzyka wypełniła pokój, zacząłem rozkładać pozostałe rzeczy. Wszystkie zabrałem z domu, kiedy się wyprowadzaliśmy; wszystkie te garnki, talerze, filizanki i szklanki towarzyszyły mi od dzieciństwa, odkąd zamieszkaliśmy na Tybakken. Brązowe talerze, zielone szklanki, duży garnek z jednym uchem, prawie zupełnie poczerniałymi bokami i spodem. Zdjęcie Johna Lennona, które powiesiłem teraz na ścianie za maszyną do pisania, wisiało u mnie w pokoju przez całe liceum. Na olbrzymi plakat FC Liverpoolu z sezonu 79/80, który zmieścił się teraz na ścianie za kanapą, patrzyłem od jedenastego roku życia. Niewykłuczone, że to był ich najlepszy skład wszech czasów. Kenny Dalglish, Ray Clemence, Alan Hansen, Emlyn Hughes, Graeme Souness, John Toshack. Z plakatu Paula McCartneya już wyrosłem, więc zwinięty odłożyłem na szafę w sypialni. Kiedy już wszystko znalazło swoje miejsce, jeszcze raz przejrzałem płyty, wyobrażając sobie, że jestem kimś innym, kto nigdy wcześniej ich nie widział, i zastanawiałem się, co ów ktoś pomyślałby o tym zbiorze, a raczej o jego właścicielu, czyli o mnie. Miałem trochę ponad sto pięćdziesiąt longplayów, większość uzbierałem w ciągu dwóch ostatnich lat, kiedy pisałem recenzje płyt do lokalnej gazety, a poza tym wydawałem na płyty prawie całe pieniądze, jakie miałem, często kupowałem wszystkie wczesne nagrania zespołów, które mi się podobały. Każda z tych płyt była

niewielkim osobnym światem. Wszystkie wyrażały konkretne poglądy, nastroje i emocje. Ale żadna nie była wyspą, istniały między nimi połączenia, które się rozgałęziały – na przykład Brian Eno zaczynał w Roxy Music, wydawał płyty solowe, był producentem U2, współpracował z Jonem Hassellem, Davidem Byrne'em, Davidem Bowiem i Robertem Frippem, a Robert Fripp grał w Scary Monsters Bowiego, Bowie był producentem Lou Reeda z zespołu Velvet Underground i Iggy'ego Popa z The Stooges, natomiast David Byrne był w Talking Heads, którzy na swojej najlepszej płycie *Remain in Light* wykorzystali gitarzystę Adriana Belewa, a ten z kolei grał na kilku płytach Bowiego i długo był jego ulubionym gitarzystą koncertowym. Ale rozgałęzienia i powiązania istniały nie tylko między płytami, lecz sięgały również do mojego życia. Muzyka wiązała się niemal ze wszystkim, co robiłem, żadna płyta nie była wolna od wspomnień. Gdy je puszczałem, wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich pięciu lat, buchało jak para z filizanki, chociaż nie w postaci ciągów myślowych i skojarzeń, tylko jako nastroje, wrażenia, przestrzenie. Niektóre ogólne, inne konkretne. Gdyby moje wspomnienia ułożyć w stos na przyczepie życia, to muzyka byłaby opasującymi je linami, utrzymującymi wszystko na właściwym miejscu.

Ale wcale nie to było w niej najważniejsze. Najważniejsza była sama muzyka. Gdy na przykład puszczałem płytę *Remain in Light*, której słuchałem regularnie od ósmej klasy i która nigdy mi się nie znudziła, przy trzecim utworze, *The Great Curve*, z jego fantastycznie rozkołysanym, a jednocześnie złożonym akompaniamentem, wypełnionym po brzegi energią, kiedy włączały się instrumenty dęte i chór głosów, niemożliwe było pozostawanie w bezruchu, naprawdę niemożliwe, ta muzyka pobudzała każdą część mojego ciała, i ja, najbardziej pozbawiony poczucia rytmu osiemnastolatek na świecie, nagle zaczynałem poruszać ciałem jak wąż, w przód i w tył, musiałem jeszcze pogłębiać, rozkręcać muzykę na full, no a kiedy byłem już na nogach, nie pozostawało mi nic innego jak tańczyć, jeśli akurat byłem sam. A pod koniec, już po tym wszystkim, jak cholerny myśliciel nad całą roztańczoną wioską, pojawia się przesterowana gitara Adriana Belewa i och, Boże, tańczę, a radość wypełnia mnie całego, pragnę jedynie, żeby to trwało, żeby solówka dalej się ciągnęła, żeby ten samolot nigdy nie wylądował, słońce nigdy nie zaszło, a życie nigdy się nie skończyło.

Albo *Heaven Up Here* zespołu Echo and the Bunnymen, kompletne przeciwieństwo Talking Heads, bo dla nich ważne są nie rytmy i napęd, tylko dźwięki i nastroje, ta wielka bijąca z nich skarga, cała tęsknota, całe piękno i ponurość, która przez cały czas otwiera się i zamyka w muzyce, która jest muzyką. I chociaż dużo wiem o wokaliście, chociaż przeczytałem mnóstwo wywiadów z nim, podobnie jak z członkami większości zespołów, których płyty miałem, ta wiedza jest wypierana przez muzykę, muzyka nie chce jej znać, bo w muzyce nie ma znaczeń, nie ma sensu, nie ma żadnych osób, są tylko głosy, każdy ze swoim charakterystycznym brzmieniem, i to właśnie jest nieodłączną cechą muzyki samej w sobie, czysta postać, brak ciała czy osobowości, ba, coś w rodzaju osobowości bez osoby, a na każdej płycie jest nieskończoność takich śladów, pochodzących jakby z innego świata, z którym człowiek styka się za każdym razem, gdy ją nastawia. Nigdy nie mogłem pojąć, co takiego mnie wypełnia, kiedy wypełniała mnie muzyka, wiedziałem jedynie, że stale chcę to czuć.

Oprócz tego muzyka oczywiście robiła ze mnie kogoś ważnego, dzięki niej znajdowałem się w awangardzie, stawałem się kimś, kogo należy podziwiać, rzecz jasna nie w takim stopniu,

w jakim należało podziwiać jej twórców, ale wśród słuchających byłem na czele. Tu, na północy, zapewne nikt tego nie dostrzeże, tak jak nie dostrzegał tego prawie nikt w Kristiansand, ale wiedziałem, że istnieją środowiska, w których takie rzeczy się dostrzega i ceni. Zamierzałem do nich dołączyć.

Przez pewien czas porządkowałem płyty, ustawiałem jedną przy drugiej tak, aby wzmocnić wrażenie wywierane przez poszczególne krążki i być może doprowadzić u osoby, która by je przeglądała, do wzbudzenia nowych, zaskakujących skojarzeń. Potem poszedłem do sklepu, kupiłem kilka piw i gotowe mrożone danie obiadowe, pasta carbonara. Do tego dorzuciłem jeszcze kalarepę, kalafior, kilka jabłek i śliwek, a także kłóć winogron, wszystko to zamierzałem wykorzystać nazajutrz na lekcji przyrody z trzecią i czwartą klasą, podczas przeprowadzonej w wielkim stylu efektownej wizualizacji wszechświata, którą wymyśliłem dzień wcześniej, przeglądając program nauczania.

Po powrocie do domu wstawiłem gotowe danie do piecyka i zjadłem je prosto z tacki przy kuchennym stole, popijając piwem i czytając „Dagbladet”. Przyjemnie syty, położyłem się w sypialni, żeby godzinę odpocząć. Jeszcze długo w mojej podświadomości przesuwają się obrazy nauczycieli, uczniów i wnętrz szkolnych, ale w końcu odpłynąłem. Z powrotem do rzeczy wistości przywołał mnie półtorej godziny później dzwonek do drzwi. Nie wiedziałem już, czego mogę się spodziewać, wszyscy zdawali się dzwonić do moich drzwi, więc ciągle zaspany, ale w nerwach, szybko przeszedłem do przedpokoj.

W drzwiach stały trzy dziewczyny z mojej klasy. Jedna z nich, Andrea, uśmiechała się odważnie i spytała wprost, czy mogą wejść, druga, Vivian, zarumieniała się, chichocząc, a trzecia, Live, patrzyła na mnie bezczelnie zza wielkich, grubych okularów.

– Jasne – powiedziałem. – Wchodźcie.

Zrobiły to samo co wszyscy inni goście, rozejrzały się, wchodząc do salonu. Cały czas trzymały się blisko jedna drugiej, było trochę popychania, chichotów i rumieńców na dziewczęcych policzkach.

– Siadajcie. – Wskazałem na kanapę.

Usłuchały.

– No i jak? – spytałem. – Co was tu sprowadza?

– Chciałyśmy zobaczyć, jak mieszkasz. Strasznie nam się nudziło – powiedziała Andrea.

Czyżby była kimś w rodzaju przywódczyni? W szkole nie sprawiała takiego wrażenia.

– Tu w ogóle nie ma co robić – oświadczyła Vivian.

– W ogóle – podkreśliła Live.

– No to rzeczywiście nie najlepiej – przyznałem. – Ale u mnie też nie dzieje się za dużo, niestety.

– No tak, to dziura – stwierdziła Andrea.

– Moje mieszkanie? – spytałem.

Jej twarz stanęła w ogniu.

– Nie wygłupiaj się! Wioska!

– Wyprowadzam się stąd w tej sekundzie, w której skończę dziewiątą klasę – obwieściła Vivian.

– Ja też – powiedziała Live.

– Zawsze musisz po mnie papugować! – prychnęła Vivian.

– No i co z tego? – spytała Live.

– „No i co z tego?” – Przedrzeźnienie Vivian wypadło idealnie, nie zapomniała nawet o małym tiku koleżanki: dwukrotnym szybkim zmarszczeniu nosa pod okularami.

– Ooo – westchnęła Live.

– Nie możesz mieć monopolu na opuszczenie wsi po skończeniu szesnastu lat. – Spojrzałem na Vivian, która się uśmiechnęła i spuściła wzrok

– Mówisz dziwne rzeczy, Karl Ove – stwierdziła Andrea. – Co to znaczy monopol?

Użył przez nią mojego imienia tak mnie zaskoczyło, że chociaż na nią patrzyłem, bo przecież to ona się odezwała, oblało mnie gorąco i spuściłem wzrok

– Że tylko jedna osoba coś robi – wyjaśniłem, znów na nią patrząc.

– Aha – mruknęła z taką miną, jakby zaraz miała umrzeć z nudów. Dwie pozostałe dziewczyny się roześmiały. Ja tylko się uśmiechnąłem.

– Widzę, że musicie się jeszcze dużo nauczyć – powiedziałem. – Macie szczęście, że tu przyjechałem.

– Ja już się nie muszę niczego uczyć – odparowała Andrea. – Umiem wszystko, co jest mi potrzebne.

– Oprócz prowadzenia samochodu – zauważyła Vivian.

– Właśnie że umiem jeździć samochodem.

– No tak ale ci nie wolno. O to mi chodziło.

Zapadła cisza. Patrzyłem na nie z uśmiechem, ale prawdopodobnie również z pewną wyniosłością, bo Andrea nagle zmrużyła oczy i oświadczyła:

– My już mamy trzy naście lat. Nie jesteśmy dziećmi, jeśli tak ci się wydaje.

Roześmiałem się.

– A dlaczego miałbym tak pomyśleć? Chodźcie do siódmej klasy, przecież o tym wiem. Sam nawet pamiętam, co wtedy czułem.

– Kiedy?

– Na początku gimnazjum. Dzisiaj przecież był wasz pierwszy dzień w gimnazjum.

– Wielka mi różnica – prychnęła Vivian. – Najwyżej taka, że jest jeszcze nudniej niż w szóstej klasie.

Rozeległ się ostry dzwonek do drzwi. Dziewczyny spojrzały po sobie. Poszedłem otworzyć.

To był Nils Erik

– Cześć. Zaprosisz starego kumpla na filiżankę kawy?

– A nie wolałbyś piwa?

Uniósł brwi, patrząc na mnie jakby z niedowierzaniem, a może miał to być wyraz potępienia.

– Nie, dziękuję. Później będę jeszcze jeździł samochodem. Lepiej się nie narażać.

– Proszę, wejdź.

Kiedy się zatrzymał na środku salonu, dziewczyny wlepiły w niego wzrok

– A więc to tutaj spędzacie wieczory – skomentował.

– U ciebie jeszcze nie były? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Ale po południu przyszły w odwiedziny dzieciaki z czwartej klasy. Akurat smażyłem kotlety rybne.

– My się po prostu strasznie nudzimy – oświadczyła Live.

Dwie pozostałe spojrzały na nią ze złością. Potem wstały.

– No – odezwała się Andrea. – Chyba pójdziemy dalej.

– Trzymajcie się – powiedziałem. – I zajrzyjcie jeszcze kogoś dnia.

– Ha! – rzuciła Vivian z przedpokoju, zanim drzwi się za nimi zatrzasnęły.

Nils Erik się uśmiechnął. Chwilę później zobaczyliśmy, że poszły w stronę sklepu.

– Biedne dzieciaki – stwierdziłem. – Muszą być naprawdę zdesperowane, skoro rozrywają się dla nich odwiedziny u nauczycieli.

– Może wydajesz im się interesujący – zasugerował Nils Erik.

– A ty nie?

– Ja? – prychnął. – Ale wiesz, postanowiłem się przejechać. Masz ochotę się ze mną wybrać?

– A dokąd?

Wzruszył ramionami.

– Może na drugą stronę fiordu? Albo do Hellevika?

– Wolałbym tam. Drugą stronę widać przecież stąd.

Nils Erik okazał się typem, który nade wszystko lubi przebywać na łonie natury. Jak wyjaśnił, starał się o tę pracę ze względu na tutejszą przyrodę. Przywiózł ze sobą namiot i śpiwór, w każdy weekend zamierzał robić wyieczki. Spytał, czy będę mu towarzyszył.

– Oczywiście nie co tydzień – dodał z uśmiechem, kiedy w ślimaczym tempie wleliśmy się wzdłuż fiordu jego żółtym samochodem.

– To nie bardzo w moim stylu – stwierdziłem. – Chyba zrezygnuję.

Pokiwał głową.

– Tak myślałem. Ale co wobec tego sprowadza tutaj takiego noszącego się na czarno mieszkańca wielkiego miasta?

– Zamierzam pisać.

– Pisać? Ale co? Podania? Wnioski? Spisy rzeczy do załatwienia? Listy? Limeryki do radia? Komentarze do gazet?

– Piszę opowiadania do zbioru.

- Opowiadania! Formuła jeden literatury!
- Tak się mówi? – spytałem.
- Nie. – Roześmiał się. – Właściwie to nie. Tak się mówi raczej o wierszach. Coś takiego powiedział któryś z tej grupy poetyckiej Stuntpoetene, Poetów Kaskaderów, no wiesz.
- Nie wiedziałem, ale postanowiłem to przemilczeć.
- I tak mógłbyś chyba się wybrać ze mną na wycieczkę? Przynajmniej w jeden czy drugi weekend. Godzinę drogi stąd jest fantastyczny rezerwat przyrody.
- Raczej nie. Jeżeli coś ma z tego wyjść, to muszę pracować.
- No ale przyroda, chłopcze! Cudowne boskie dzieło stworzenia! Wszystkie te kolory! Wszystkie rośliny! O tym powinieneś pisać.
- Roześmiałem się drwiąco.
- Nie mam wiary w przyrodę. To stereotyp.
- To o czym piszesz?
- Wzruszyłem ramionami.
- Dopiero zacząłem. Ale możesz przeczytać, jeśli chcesz.
- Chętnie!
- Przyniosę ci jutro.

\*

Do wioski wróciliśmy około ósmej wieczorem. Było jasno jak w dzień. Niebo nad morzem tak zdumiewało ogromem, że zanim wszedłem, przez kilka minut stałem przed domem i na nie patrzyłem. Było puste, niczego na nim nie dostrzegałem, a mimo to pomyślałem, że jest łagodne, życzliwe i chce jak najlepiej dla ludzi, którzy pod nim mieszkają. Może w kontraście do twardych, jałowych gór?

Zjadłem kolację, zapaliłem papierosa i popijając herbatę, zacząłem przeglądać prace moich uczniów. Vivian miejscowym dialektem napisała:

*Mam na imię Vivian i mam trzysta lat. Mieszkam w wiosce, która nazywa się Hålfjord. Dobrze się tu czuję. Mam siostrę, której na imię Liv. Tata jest rybakiem, mama zajmuje się domem. Moja najlepsza przyjaciółka ma na imię Andrea. Robimy razem dużo rzeczy. W szkole jest nudno. Czasami pracujemy w przetwórni ryb. Obcinamy języki dorszy. Za zarobione pieniądze chcę sobie kupić wieżę stereo.*

A więc Vivian i Liv były siostrami!

Z jakiegoś powodu podniosło mnie to na duchu. Wzruszyła mnie też jej nieporadność. A może szczerłość?

Zrezygnowałem z poprawiania, to mogło podzielać zbyt zniechęcająco. Napisałem jedynie krótki komentarz na czerwono:

*Bardzo dobrze, Vivian! Staraj się tylko podczas pisania unikać form dialekalnych.*

Zajrzałem do następnego zeszytu.

*Mam na imię Andrea. Jestem trzynastoletnią dziewczynką i mieszkam na samym krańcu wyspy w północnej Norwegii. Mój brat ma dziesięć lat, a siostra pięć. Tata łowi ryby, mama zajmuje się w domu Camillą. Lubię słuchać muzyki i oglądać filmy. Mój ulubiony to „Mistrz”. Poza tym włączę się po wiosce ze swoimi koleżankami, Vivian, Hildegunn i Live. Trochę tu nudno, ale na pewno będzie lepiej, kiedy wreszcie osiągniemy taki wiek, że będziemy mogły chodzić na zabawy!*

Do tej pory traktowałem Andreę i Vivian jak dwa kawałki tej samej tkaniny, widziałem je dwa razy i właściwie za każdym razem z trudem je od siebie odróżniałem. Ale po tych krótkich wypracowaniach zorientowałem się, że sporo je dzieli. A może po prostu jedna potrafiła lepiej wyrażać się na piśmie niż ta druga?

Napisałem w zeszycie Andrei podobny komentarz jak poprzedni, przeczytałem trzy ostatnie wypracowania mieszczące się gdzieś między tamtymi dwoma, skomentowałem je, schowałem zeszyty do torby, nastawiłem *My Bag* Lloyda Cole'a i znów zapatrzyłem się na wioskę, a muzyka wywołała reakcję w postaci gęsiej skórki. Powoli zacząłem poruszać się w rytm utworu, początkowo był to tylko lekki ruch ręką i od czasu do czasu jeden krok, ale gdy zgasił światło, żeby nikt nie mógł mnie zobaczyć, rzuciłem się w taniec, zamknąłem oczy i głośno śpiewałem z radości.

Tej nocy miałem we śnie wytrysk. Przełała się przeze mnie fala rozkoszy, wyniosła mnie ku przebudzeniu, którego za wszelką cenę chciałem uniknąć i wcale też do niego nie dotarłem, bo tuż przed sformulowaniem do końca myśli, kiedy przecucie tego, kim jestem, a komu jest tak dobrze, już zmieniano się w pewność, znów zapadłem się w ciężki mrok i pozostałem w nim aż do chwili, gdy zadzwonił budzik, a ja otworzyłem oczy w pokoju wypełnionym światłem, w slipach lepkich od spermy.

Początkowo miałem wyrzuty sumienia. Bóg jeden wie, co mi się śniło. Potem, kiedy już przypomniałem sobie, gdzie jestem i co robię, powrócił ucisk w brzuchu. Wstałem, poszedłem do łazienki, tłumacząc sobie, że nie ma się czym denerwować, przecież klasa jest taka mała, a uczniowie to tylko dzieci, ale to w niczym nie pomagało. Czuję się tak, jakbym miał wyjść na scenę i nie pamiętać żadnej kwestii. Starałem się odzyskać tamten fantastyczny nastrój z poprzedniego wieczoru, gdy z taką przyjemnością czytałem wypracowania, napawając się radosnym uczuciem, które budziły we mnie rolę nauczyciela, obserwowanie uczniów, planowanie odpowiednich dla nich rozwijających zajęć, ale to wszystko zniknęło, kiedy wycierałem się w zaparowanej łazience. Wcale nie byłem nauczycielem, nie byłem nawet dorosłym, lecz jedyne śmiesznym nastolatkiem, który na niczym się nie znał.

– O, do diabła! – wrzasnąłem. Ręcznikiem starłem parę z lustra i przez tych kilka sekund, dopóki lustro znów nie zaparowało, przyglądałem się swojej twarzy.

Cholera, prezentowałem się świetnie.

To przynajmniej coś.

Tuż przed wyjazdem podciąłem długie włosy. Teraz całą głowę pokrywała mi gęsta czupryna długości mniej więcej trzech centymetrów, lekko cieniowana przy skroniach i na karku. Z lewego ucha zwisał krzyżyk.

Uśmiechnąłem się.

Zęby miałem białe, równe, a w oczach błysk, na który z przyjemnością patrzyłem, aż do momentu, gdy poczucie niewiarygodnego braku godności osoby, która uśmiecha się do samej siebie w lustrze i prawie puszcza do siebie oko, znów wywołało ściskanie w brzuchu.

O, do diabła!

Włożyłem koszulkę z *Dream of the Blue Turtles*, czarne levisy, grube białe skarpety, przez chwilę przymierzałem na zmianę zieloną kurtkę i niebieską dżinsową, w końcu zdecydowałem się na tę pierwszą. Wypróbowałem do niej beret, ale nie pasował, i dwie minuty później z gołą głową ruszyłem pod górę do szkoły, niosąc w ręku białą torbę z reklamą kawy Ali.



Trzecia i czwarta klasa, połączone w jedną na wszystkie lekcje, liczyły dwanaścioro uczniów, pięć dziewczynek i siedmiu chłopców. Wydawało się, że dzieciaków jest więcej, przez to, że stale się kręciły, biegały, pokrzykiwały, za nic nie chciały usiedzieć spokojnie. Kiedy wreszcie znalazły się na swoich krzesłach, jedno wykrcęcało nogę tu, drugie rękę tam, a ich spojrzenia nieustannie krążyły, jak u zdenerwowanych psów.

Wcześniej nie mieli ze mną lekcji, jedynie o mnie słyszeli i widzieli mnie z daleka, więc kiedy wreszcie znalazłem się na przypisanym im terytorium, spojrzenia wszystkich skierowały się na mnie.

Uśmiechnięty, odłożyłem torbę na katedrę.

– Co w niej masz? – spytał jeden z chłopców. – Co masz w tej torbie?

Popatrzyłem na niego. Jasna cera, puciołowata twarzyczka, piwne oczy, króciutkie włosy.

– Jak ci na imię? – spytałem.

– Reidar.

– A ja jestem Karl Ove. I jednej rzeczy możecie się nauczyć już teraz, na samym początku, a mianowicie tego, że jeśli chcecie coś powiedzieć, musicie podnieść rękę.

Ręka Reidara natychmiast wystrzeliła w powietrze.

Bystrzak

– Słucham – powiedziałem.

– Co masz w tej torbie, Karl Ove?

– To tajemnica. Ale dowiecie się jeszcze w ciągu tej lekcji. Najpierw muszę poznać wasze imiona.

Rękę podniósł chłopiec siedzący za Reidarem. Mały chudzielec z jasnymi włosami i jasnoniebieskimi, dość twardo jak na jego wiek spoglądającymi oczami.

– Jak ci na imię? – spytałem.

– Stig. A ty jesteś surowy?

– Surowy? Ja? Nie.

– Mama mówi, że właściwie jesteś za młody, żeby być nauczycielem. – Rozejrzał się po kolegach.

Gruchnął śmiech.

– W każdym razie jestem starszy od was – odparowałem. – Myślę więc, że sobie poradzę.

– Dlaczego masz krzyżyk w uchu? – spytał Reidar. – Jesteś wierzący?

– A co ja przed chwilą mówiłem o podnoszeniu ręki?

– Ojej. – Roześmiał się i podniósł rękę.

– Nie, nie jestem wierzący. Jestem ateistą.

– A co to jest? – spytał Reidar.

– Ręka! Gdzie jest ręka?

– O!

– Ateista to ktoś, kto nie wierzy w Boga – wyjaśniłem. – Ale teraz muszę się w końcu dowiedzieć, jak macie na imię. Zaczynamy od tamtego końca.

Po kolei podawali mi swoje imiona:

Vibeke

Kenneth

Susanne

Stig

Reidar

Lovisa

Melanie

Steve

Endre

Stein-Inge

Helene

Jo.

Niektórzy natychmiast z czymś mi się skojarzyli i wiedziałem, że ich zapamiętam – na przykład tę drobną dziewczynkę, wyglądającą jak laleczka, o niesamowitej regularności we wszystkim, od rysów twarzy po kształty ciała i strój, chłopca z okrągłą buzią, małego chudzielca, który sprawiał wrażenie zagniewanego, tamtego z wielką głową i ciepłym spojrzeniem, tego, który tak hałasował, i jeszcze jasnowłosą dziewczynkę z warkoczycami, która wydawała się bardzo rzeczowa i rozsądna. Inni byli zbyt mgliści i za mało się pokazali, abym zdołał coś w nich uchwycić.

– Więc to jest trzecia i czwarta klasa – powiedziałem. – Jak się nazywa wioska, w której mieszkacie?

– No jakto, Håfjord! – zawołał Reidar.

Nie odezwałem się, tylko dalej na nich patrzyłem. Wreszcie dwojgu czy trojgu rozjaśniło się w głowach, podnieśli ręce. Wskazałem na tę małą laleczkę.

– Lovisa?

– Håfjord – odpowiedziała.

– A w jakim okręgu leży Håfjord?

– W Troms.

– A w jakim kraju?

Teraz wszystkie ręce były już w górze. Wskazałem na grubaską.

– W Norwegii.

– A w której części świata?

– W Europie.

– Świetnie! – pochwalilem, a on się uśmiechnął.

– A jak się nazywa nasz glob? Ktoś wie? Tak, Reidar?

– Ziemia?

– Owszem, ale Ziemia ma też inną nazwę, jako planeta.

Odwrociłem się i wypisałem na tablicy wszystkie nazwy po kolei: „HÅFJORD, TROMS, NORWEGIA, EUROPA, TELLUS”. Znow odwróciłem się do nich.

– A gdzie leży Tellus?

– W przestrzeni kosmicznej – odpowiedział Stig.

– Owszem – potwierdziłem. – W Układzie Słonecznym, w naszej Galaktyce, która się nazywa...

Na tablicy napisałem: „DROGA MLECZNA”.

– Słyszeliście już o niej?

– Tak! – zawołało kilkoro.

– Dla nas ta Galaktyka jest ogromna, ale w porównaniu z resztą kosmosu: malusieńka. A jak myślicie, co jest poza kosmosem?

Patrzyli na mnie, zdezorietowani.

– Nigdy się nad tym nie zastanawialiście? Endre?

Endre pokręcił głową.

– A coś tam w ogóle jest? – spytał.

– Tego nikt nie wie, ale chyba nie może nie być niczego. Coś musi się tam znajdować.

– A co o tym piszą w podręczniku? – zainteresował się Reidar.

– Nic. Nikt tego nie wie.

– Nikt?

– Nikt.

– To dlaczego mamy się o tym uczyć?

Uśmiechnąłem się.

– Macie się uczyć o miejscu, w którym mieszkacie, a to przecież wszechświat, jeśli spojrzemy na to szerzej. Kosmos. To, na co patrzycie co wieczór. Chociaż, właściwie wy jesteście za mali na patrzenie w gwiazdy, pewnie już wtedy śpicie.

– Wcale nie jesteśmy mali! – zaprotestował któryś.

– Żartowałem. Ale gwiazdy widać dopiero, kiedy jest ciemno. Księżyc i planety też. O nich również będziecie się uczyć.

Odwrociłem się i napisałem na tablicy: „WSZECHŚWIAT”.

– Okej – powiedziałem. – Czy ktoś zna nazwę jakiejś planety w naszym Układzie Słonecznym?

– Tellus! – zawołał Reidar.

Ktoś się roześmiał.

– Jeszcze jakiegoś?

– Pluton!

– Mars!

– Znakomicie – pochwaliłem, a ponieważ więcej propozycji nie było, narysowałem na tablicy cały Układ Słoneczny.

SŁOŃCE  
MERKURY  
WENUS  
TELLUS  
MARS  
JOWISZ  
SATURN  
URAN  
NEPTUN  
PLUTON

– Tutaj to wygląda tak, jakby te planety znajdowały się obok siebie, ale odległości między nimi są ogromne. Podróż na Jowisza zajęłaby mnóstwo lat. Chciałbym wam pokazać, jak wielkie są te odległości, więc wólcie ubrania, pójdziemy na boisko.

– Wy chodzimy? Na lekcji?

– Tak. Chodźcie. Ubierzcie się i idziemy.

Poderwali się z miejsc i ruszyli do wieszaków. Stałem w drzwiach z torbą w ręku.

Na boisku stłoczyli się wokół mnie. Czuję się trochę jak pasterz, tak zupełnie, absolutnie inny niż te małe, dzikie stworzenia.

– Stajemy tutaj – zarządziłem, wyjmując z torby piłkę. Położyłem ją na ziemi. – To jest Słońce. Zgoda?

Popatrzyli na mnie z pewnym wahaniem.

– No chodźcie, idziemy dalej.

Po dwudziestu metrach zatrzymałem się i położyłem na ziemi śliwkę.

– To Merkury, planeta, która znajduje się najbliżej Słońca. Widzicie Słońce?

Wszyscy spojrzeli na piłkę, która rzuciła niewielki cień na żwir, i pokiwali głowami.

Następnie wyłożyłem dwa jabłka, dwie pomarańcze, kalarepę, kalafior, a na koniec, przy samych drzwiach do wiejskiej świetlicy, winogrono, które miało wyobrażać Plutona.

– Rozumiecie teraz, jak strasznie daleko jest od jednej planety do drugiej? – spytałem. – Małe Słońce jest tak daleko, a Merkurego-śliwki w ogóle stąd nie widzimy. A to – spojrzałem na dzieci wpatrzone w boisko – to tylko malusieńka, tycia tycia część kosmosu, naprawdę bardzo mała. Czy to nie dziwne, że Ziemia, na której mieszkamy, znajduje się w odległości milionów kilometrów od innych planet?

Niektórzy myśleli tak intensywnie, że aż trzeszczało, inni patrzyli na wioskę albo na fiord.

– No, ale teraz wracamy do klasy. Chodźcie, biegnijmy!

W pokoju nauczycielskim wyjąłem egzemplarz mojego opowiadania, spiąłem zszywaczem kartki i podałem je Nilsowi Erikowi, który siedział na kanapie i czytał lokalną gazetę „Troms Folkeblad”.

– To jest to opowiadanie, o którym ci mówiłem.

– Interesujące!

– Kiedy je przeczytasz, jak myślisz? Dzisiaj wieczorem?

– Aż tak ci się pali? – Spojrzał na mnie z uśmiechem. – Zamierzałem wieczorem wybrać się do Finnsnes. Może byś się ze mną przejechał?

– Świetny pomysł.

– Wobec tego opowiadanie przeczytam jutro, a potem zrobimy sobie kolokwium, dobrze?

Kolokwium to uniwersytet, nauka, studia, dziewczyny i imprezy.

– Super – powiedziałem i poszedłem po kawę.

– A co ty właściwie robiłeś z dziećkami na dworze? – rzucił za mną Nils Erik.

– Nic specjalnego. Próbowałem im zilustrować wszechświat.

Kiedy wszedłem do klasy na następną lekcję, trzy dziewczyny stały razem pod oknem i szeptały o czymś w podnieceniu. Na moje przyjście w ogóle nie zareagowały.

– Nie możecie tam stać i gadać – powiedziałem. – Lekcja się zaczęła. Za kogo wy się uważacie? Jesteście uczennicami, musicie stosować się do zasad i robić to, co każą nauczyciele!

Natychmiast się do mnie odwróciły, ale kiedy zobaczyły, że się uśmiecham, dalej gadały.

– Hej! – zawołałem. – Siadajcie!

Z pewnym ociąganiem, które później tego dnia określiłem jako dość wyrafinowane, ponieważ ich ruchy były na tyle wystudiowane, a pewna cięłość, którą zwykle miały w sobie, nagle zniknęła, przesłonięta gwałtownym przyływem kobiecej godności, ruszyły do swoich ławek.

– Przeczytałem, co napisaliście – oświadczyłem i zacząłem rozdawać zeszyty. – Wypracowania były bardzo dobre, ale parę rzeczy, które dotyczą wszystkich, chciałbym omówić od razu.

Zaczęli sprawdzać, co napisałem w komentarzach.

– Nie dostaniemy stopni? – spytała Hildegunn.

– Nie za taką małą pracę. Chodziło mi głównie o to, żeby czegoś się o was dowiedzieć.

Andrea i Vivian porównały swoje komentarze.

– Napisałeś nam prawie to samo! – stwierdziła Vivian. – Jesteś leniwy?

– Leniwy? – powtórzyłem z uśmiechem. – Z czasem zaczniecie dostawać stopnie, na pewno będą różne. Nie wiadomo, czy wtedy będziecie się z tego cieszyć.

Za mną otworzyły się drzwi klasy. Odwróciłem się. To był Richard. Wszedł i usiadł przy stoliku pod ścianą, gestem dając mi znak, żebym kontynuował.

Co to miało znaczyć? Chciał mnie skontrolować?

– Przed wszystkim musimy zapanować nad waszym dialektem – podjąłem. – Nie możecie pisać w dialekcie. To a b s o l u t n i e zakazane. M u s i c i e pisać zgodnie z przyjętym standardem językowym.

– Ale przecież my tak mówimy! – Vivian lekko obróciła się na krześle, zerkając na Richarda, który siedział z kamienną twarzą i rękami założonymi na piersi. – Dlaczego mamy pisać inaczej, niż mówimy?

– Harrison w zeszłym roku pozwalał nam tak pisać – dodała Hildegunn.

– Mówił, że najważniejsze, żebyśmy w ogóle coś pisali – włączyła się Live.

– W zeszłym roku byliście jeszcze w podstawówce – powiedziałem. – Teraz chodźcie już do gimnazjum. Dlatego wasz język powinien być zgodny z normą. To dotyczy młodzieży w całym kraju. Mówić możecie, jak chcecie, ale pisząc, musicie się zdecydować i wybrać albo boknål, albo nynorsk. Nie ma nawet o czym dyskutować. Jeśli nie chcecie, żeby wasze wypracowania były upstrzone na czerwono, i dostawać za nie trój i dwój, po prostu musicie się dostosować.

– Ach! – Andrea spojrzała najpierw na mnie, potem na Richarda. Inni uczniowie chichotali.

Poprosiłem, żeby wszyscy wyjęli książki i otworzyli je na tej samej stronie. Wskazałem na Hildegunn, która zaczęła czytać. Richard wstał, lekko skinął mi głową i wyszedł.

Na przerwie zapukałem do drzwi jego gabinetu.

Kiedy wszedłem, spojrzał na mnie, podnosząc głowę znad biurka.

– Cześć, Karl Ove – powiedział.

– Cześć. Chciałem tylko spytać, dlaczego przyszedłeś na moją lekcję.

Przypatrywał mi się po trosze badawczo, po trosze pytająco. Potem się uśmiechnął i swoim zwyczajem, jak się już zorientowałem, przygryzł dolną wargę, pokryty zarostem podbródek wysunął w przód i zaczął przypominać kozła.

– Postanowiłem zobaczyć, w jaki sposób prowadzisz lekcję – powiedział. – Od czasu do czasu będę do ciebie zaglądał. Wielu z was nie ma wykształcenia pedagogicznego, muszę wiedzieć, jak sobie radzicie. Uczenie wcale nie jest łatwe.

– Obiecuję, że zgłoszę problemy, jeśli się pojawią. Możesz mi zaufać.

Roześmiał się.

– Wiem. Nie o to chodzi. Idź teraz na przerwę.

Z powrotem zagłębił się w papierach, które miał rozłożone przed sobą. To była sztuczka podkreślająca autorytet. Przez kilka sekund broniełem się przed nią, nie chcąc jej ulec, ale jednocześnie nie miałem nic więcej do powiedzenia, a jego słowa też nie wymagały żadnej zdecydowanej reakcji. W końcu odwróciłem się i poszedłem do pokoju nauczycielskiego.

Kiedy po szkole zajrzałem na pocztę, w mojej skrytce znalazłem trzy listy. Jeden od Bassena, który zaczął studiować w wyższej szkole w Stavanger, drugi od Larsa, który zamieszkał razem z dziewczyną w Kristiansand, i jeden od Eirika, który rozpoczął studia na politechnice w Trondheim.

Bassen zrelacjonował mi incydent, który zdarzył mu się tuż przed wyjazdem z miasta. Pewna dziewczyna, a właściwie nie dziewczyna, tylko kobieta, bo miała już dwadzieścia pięć lat, zaprosiła go do siebie i w trakcie, jak się wyraził, dostała jakiegoś ataku. Przestraszył się. Pisał, że wyglądało to tak, jakby została poddana wstrząsom elektrycznym, całe jej ciało podrygiwało i drżało, więc myśląc, że to może epilepsja, wysunął się z niej i wstał.

*Śmiertelnie się przeraziłem, Karl Ove! Nie wiedziałem, co robić, czy dzwonić po karetkę. A gdyby umarła? Naprawdę tak myślałem. A ona otworzyła oczy, przyciągnęła mnie do siebie i spytała, co ja wyprawiam. „Nie przerywaj!”, krzyknęła. Wyobrażasz to sobie? Po prostu miała orgazm! Tak reagują dojrzałe kobiety!*

Śmiałem się z tego, idąc i czytając jego list, ale poczułem też ukłucie czegoś innego, bo jeszcze nigdy nie spałem z żadną dziewczyną, nigdy nie uprawiałem seksu, innymi słowy byłem prawiczką, i nie tylko tak się tego wstydziłem, że od dwóch lat kłamliwie przypisywałem sobie wiele seksualnych doświadczeń, w które Bassen i reszta przypuszczalnie wierzyli, ale przede wszystkim jak szalony pragnąłem przespać się z dziewczyną, właściwie z jakąkolwiek, i wreszcie przeżyć to, czego Bassen i inni moi kumple regularnie doświadczali. Za każdym razem, gdy słyszałem o ich eskapadach, rozlewały się po mnie w równych częściach słabość i pożądanie, w równych częściach bezsila i moc, bo im dłuższy czas mijał, a ja ciągle żadnej nie przeleciałem, tym bardziej zaczynałem się tego bać. Prawie o wszystkich innych swoich problemach mogłem z kimś porozmawiać, aby w ten sposób ulżyć sercu, ale o tym nie mogłem powiedzieć nikomu, nigdy, przenigdy, w żadnych okolicznościach, a za każdym razem, gdy o tym myślałem, czyli wcale nie rzadko, bo nawet kilka razy na godzinę, ogarniał mnie swoisty, ciężki mrok, mrok beznadziei, niekiedy przelotnie, jak chmura nasuwająca się na słońce, a czasami na dłużej, lecz bez względu na formę tej beznadziei, nie potrafiłem przed nią uciec, tyle wątpliwości i udręk się z nią wiązało. Czy zdołam? Dam radę? Jeśli już wbrew wszelkim przeciwnościom w końcu dojdzie do tego, że znajdę się w jednym pokoju sam z nagą dziewczyną, to czy w ogóle będę w stanie to zrobić? Czy mi się to uda?

Wszelkie sekrety i podwójna gra, jakie się z tym wiązały, nie ułatwiały mi niczego.

– Wiesz, co jest napisane na czubku kondomów? – spytał raz Trond tej wiosny, kiedy na którejś z przerw całą paczką gadaliśmy na trawniku przed szkołą.

Patrzył przy tym na mnie.

Dlaczego? Podejrzewał, że bujam? Że bujam o dziewczynach, że bujam o seksie?

Zaczerwieniłem się.

Co miałem odpowiedzieć? „Nie”, i tym się zdradzić, czy „tak”, czego naturalną konsekwencją byłoby kolejne pytanie: „a co?”.

– Nie, a co? – spytałem.

– Masz aż tak małego fiuta?

Wybuchnęli śmiechem.

Ja też się śmiałem, z niesamowitą ulgą.

Ale czy Espen nie przyglądał mi się dziwnie, jakby wszystko wiedział i na poły triumfował z tego powodu?

Dwa dni później wieczorem odwoził mnie do domu; wracaliśmy od Gislego.

– Ile dziewczyn właściwie posuwałeś, Karl Ove? – spytał, gdy jechaliśmy przez Krageboen łagodnie pnąc się w górę drogą, ze starymi, zniszczonymi domami po obu stronach.

– Dlaczego o to pytasz?

– Tak się tylko zastanawiałem. – Zerknął na mnie i zaraz znów spojrzął na drogę. Na ustach miał chytry uśmieszek

Zmarszczyłem brwi, udając, że się koncentruję.

– Nooo – zacząłem. – Sześć. Albo nie, chwileczkę, p i ę ć.

– Które?

– A co to, inkwizycja?

– Nie. Ale chyba możesz odpowiedzieć?

– Cecilie, wiesz, tę z Arendal, z którą chodziłem.

Mijaliśmy akurat stary sklep, w którym zwinąłem tyle słodyczy. Dawno go już zamknęli. Espen włączył migacz.

– Aha – powiedział.

– I Marianne.

– Przeleciałeś Marianne? Nie wiedziałem! Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Trzeba zachować trochę prywatności.

– O żadnym z moich znajomych nie wiem tak mały jako tobie. Ale to dopiero dwie.

Wielki facet z ogromnym brzuchem i wiecznie rozdziawioną gębą stał przy płocie i patrzył, jak przejeżdżamy.

– Niezła rodzinka – powiedziałem.

– Nie wykręcaj się. Zostały jeszcze trzy. Ja ci potem wymienię swoje, jak będziesz miał siłę słuchać.

– No dobrze. Jeszcze Islandka, która pracowała w kiosku z lodami obok mnie. Latem zeszłego roku, kiedy sprzedawałem kasety na ulicy w Arendal. Któregoś dnia nocowałem u niej.

– Islandka! Brzmi fantastycznie.

– I takbyło. I jeszcze dwa razy *one night stand*. U nas w mieście. Nie wiem nawet, jak miały na imię te dziewczyny.

Zjeżdżaliśmy z ostatniego wzgórza. Drzewa nad rzeką rosły gęsto jak mur. W dole krajobraz się otwierał, odsłaniając widok na pole i nieduże boisko, na którym trzy niewysokie postacie kopały piłkę i strzelały gole czwartej.

– A twoje? – spytałem.

– Już nie ma na to czasu – stwierdził. – Jesteśmy na miejscu.

– No mów!



Roześmiał się i zatrzymał samochód.

– Widzimy się jutro – powiedział.

– Drań! – rzuciłem, otworzyłem drzwiczki i ruszyłem do domu.

Wsluchany w odgłos jego samochodu zjeżdżającego ze wzgórza, pomyślałem, że odpowiadając mu, za bardzo wdałem się w szczegóły, lepiej byłoby, gdybym powiedział po prostu, że nic mu do tego. Sam na pewno takby zareagował.

Dlaczego jemu się udawało, a mnie nie?

Nie ceniał dziewczyn równie wysoko jak ja, to jedno. Nie żeby mniej je lubił, o nie, ale może nie uważał ich za lepsze od siebie, za tak wysoko stojące w hierarchii, że nie da się z nimi rozmawiać czy robić zwykłych rzeczy, traktował je jak równorzędne istoty, a może nawet sądził, że sam stoi wyżej, bo poczucia własnej wartości mu nie brakowało. To oznaczało, że się nimi nie przejmował, a kiedy one to widziały, zaczynało im na nim zależeć. Ja je traktowałem jak istoty absolutnie nietykalne, jak coś w rodzaju aniołów, kochałem w nich wszystko, od naczyń krwionośnych pod skórą na nadgarstku po załomek ucha, na widok piersi obciągniętej T-shirtem albo gołego uda pod letnią sukienką doznawałem wrażenia, że wszystko w moim wnętrzu się rozpada, zaczyna wirować, a ogromne pożądanie, które mnie wtedy ogarniało, było lekkie jak światło, lekkie jak powietrze i tkwiło w nim wyobrażenie, że wszystko jest możliwe, nie tylko tutaj, ale wszędzie, i nie tylko teraz, lecz przez całą przyszłość. Jednocześnie z tym wyobrażeniem spod spodu wystrzelała przypominająca trąbę powietrzną ciężka i mroczna świadomość, i jeszcze poddanie się, rezygnacja, bezsilna, świat, który się wokół mnie zamykał. Niedzarność, milczenie, przestraszone oczy. Rozpalone policzki i ogromny niepokój.

Ale były też inne powody. Było coś, czego nie umiałem nazwać, i coś, czego nie rozumiałem. Istniały tajemnice, istniała ciemność, istniały poczynania nieznoszące światła dziennego i drwiący ze wszystkiego śmiech. Domyślałem się tego, ale nic o tym nie wiedziałem. Nic.

Schowałem list od Bassena do kieszeni i szybkim krokiem ruszyłem pod górę, Nils Erik miał po mnie przyjechać za pół godziny, a wcześniej musiałem coś zjeść.

Dwie godziny później wjechaliśmy na główną ulicę w Finnsnes. Kiedy dotarłem tu z Oslo i Tromsø, uznałem tę miejscowość za dziurę. Gdy teraz, zaledwie po pięciu dniach, przyjechałem tu z Hålfjord, wydała mi się duża, trudna do ogarnięcia, prawie jak miasto pełne możliwości.

Nils Erik zaparkował na placu przed dużym supermarktem i ruszyliśmy na poszukiwanie sklepu monopolowego. Kupiłem flaszkę fińskiej wódki Koskenkorva na zabawę, cztery butelki białego wina i małą whisky do domu. Nils Erik wziął trzy butelki czerwonego wina, co mnie nie zdziwiło, był typem od czerwonego wina, a nie od piwa czy wódki. Zanieśliśmy butelki do samochodu i potem zaciągnąłem go do sklepu z AGD, w którym sprzedawano również sprzęt stereo. Moja wieża była kiepska i od dawna mnie to martwiło, dlatego mając już stałą pracę, postanowiłem jakoś temu zaradzić.

W sklepie mieli tylko miniwieże, nie najlepsze, ale doszedłem do wniosku, że porządny sprzęt mogę kupić jeszcze później, i rozejrzałem się za obsługą.

Za ladą stojący tyłem mężczyzna otwierał niewielkim nożykiem do papieru olbrzymie kartonowe pudło. Podszedłem do niego.

– Chciałbym prosić o pomoc – powiedziałem.

Ledwie poruszył głową.

– Chwileczkę – odparł.

Znow stanąłem pod ścianą z miniwieżami. Gestem przywołałem Nilsa Erika, który przeglądał płyty w skrzynce.

– Którą byś wybrał? – spytałem.

– Żadnej. Miniwieże to szajs.

– Zgadzam się. Ale prawdopodobnie niczego innego tu nie mają, a mnie ten sprzęt potrzebny tylko na czas mieszkania tutaj.

Spojrzał na mnie.

– Czy ty śpisz na pieniądzach? A może Knausgårdowie to rodzina armatorów? O tym nie wspominałeś!

– Można wziąć na raty, zobacz. Trzy czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć. To tylko kilka stów miesięcznie.

Ekspedient, chudy facet, ale z brzuskiem, w okularach w metalowych oprawkach, z pożyczką na głowie, w końcu się wyprostował i rozejrzał za mną.

Wskazałem na miniwieżę Hitachi.

– Chciałbym ją kupić. Można wziąć na raty, prawda?

– Można, jeśli tylko ma się stałe zatrudnienie.

– Pracuję jako nauczyciel w Håfjord.

– Aha. Wobec tego trzeba wypełnić papiery. Proszę podejść ze mną do lady...

W czasie gdy wpisywałem swoje dane do formularza, poszedł do magazynu po sprzęt.

– Myślisz, że mądrze robisz? – spytał Nils Erik – Raty na koniec wychodzą prawie dwa razy drożej. A po drodze też trzeba płacić całkiem sporo. Aż tak dobrze nie zarabiamy.

Spojrzałem na niego.

– Czy ty jesteś moją matką?

– Nie, nie, oczywiście, to twoja sprawa. – Wrócił do płyt.

– No właśnie.

Ekspedient wyszedł z magazynu z olbrzymim kartonem w objęciach. Wręczył mi go, sam zaczął sprawdzać dokumenty, a kiedy wreszcie stwierdził, że wszystko jest w porządku, zanieśliem sprzęt do samochodu i postawiłem na tylnym siedzeniu.

Następnym i ostatnim już punktem programu był supermarket. Pchając każdy swój wózek, chodziliśmy po nim i wybieraliśmy rzeczy, których nie mogliśmy kupić w naszej wiosce. Od razu wzięłem dwie paczki papierosów, a w głębi sklepu, przy ladzie z owocami, kiedy Nils Erik zajął się makaronami, schowałem te paczki do kurtki, po jednej do każdej kieszeni, i dalej wypełniałem wózek różnymi produktami. Zawsze kradłem papierosy, kiedy robiłem zakupy w supermarketach. To było całkowicie bezpieczne, nigdy mnie nie złapali. Taka kradzież kójarzyła

mi się z wolnością, z olewaniem wszystkiego i robieniem tego, co się chce, a nie co się musi. Była wyrazem buntu, niepodporządkowania się, jednocześnie określającym moją osobowość w taki sposób, w jaki chciałem, by została określona. Kradłem. Byłem kimś, kto kradnie.

Zawsze mi się upieкло, mimo to trochę się denerwowałem, pchając wózek ku niewielkiej wyspie z kasą, przy której siedziała ekspedientka. Ale w jej oczach nie było nic dziwnego, nie zbliżyli się też do mnie żadni dyskretni panowie, więc spoconymi dłońmi wyłożyłem po kolei zakupy na taśmę, zapłaciłem, zapakowałem wszystko do toreb i wyszedłem ze sklepu, szybko, chociaż nie na tyle, żeby rzuciło się to w oczy. Przed wejściem się zatrzymałem, zapaliłem papierosa i zaczęła na Nilsa Erika, który pojawił się minutę później z dwiema ciężkimi, wypchanymi reklamówkami.

Pierwsze kilometry przejechaliśmy w milczeniu. Ciągle byłem na niego zły za to moralizowanie w sklepie ze sprzętem. Nienawidziłem wtrącania się w to, co robię, bez względu na to, czy chodziło o moją matkę, mojego brata, nauczyciela czy najlepszego przyjaciela. Nie chciałem tego słuchać. Nikomu nic do tego, nikt nie będzie mnie pouczał, co mam robić.

Nils Erik od czasu do czasu zerkał na mnie znad kierownicy. Pejzaż za oknem stał się bardziej płaski, niskie drzewa, niewysokie zarośla, mech, strumyki, płytkie, prawie czarne jeziora, a w oddali łańcuchy wysokich, ostrych szczytów. Nils Erik zatankował paliwo zaraz za Finnsnes, w samochodzie ciągle czuć było benzyną, zrobiło mi się przez to trochę mdło.

Znów na mnie spojrzął.

– Nastawisz jakąś muzykę? W schowku jest kilka kaset.

Otworzyłem schowek i wziąłem kasy na kolana.

Sam Cooke. Otis Redding. James Brown. Prince. Marvin Gaye. UB40. Smokey Robinson. Stevie Wonder. Terence Trent D'Arby.

– Lubisz soul?

– Soul i funk

Puściłem jedyną kasetę z muzyką, którą słyszałem już wcześniej, *Parade* Prince'a. Usiadłem wygodnie i patrzyłem na góry, w dolnych partiach pokryte zielonym kędzierzawym dywanem zarośli, krzewów i karłowatych drzew, w górnych również zielonym mchem i krzewinkami.

– Właściwie dlaczego ukradłeś te papierosy? – spytał Nils Erik – Oczywiście nic mi do tego. Możesz robić, co chcesz, jeśli o mnie chodzi. Jestem po prostu ciekawy.

– Widziałeś? – zdumiałem się.

Kiwnął głową.

– Przecież masz pieniądze – powiedział. – Nie wziąłeś tych fajek dlatego, że po prostu ich potrzebujesz.

– No nie.

– Jakby to wyglądało, gdyby cię przyłapali? Przecież jesteś nauczycielem.

– A złapali mnie?

– Nie.

– Wobec tego to tylko hipoteza.

– Nie musimy o tym rozmawiać.

– Ale możemy – powiedziałem. – Proszę, mów.

Zaśmiał się krótko.

Nastąpiła pauza, długa, ale nie przykra, droga była prosta, góry piękne, muzyka dobra, Nils Erik, amator zajęć na świeżym powietrzu, w ogóle mnie nie obchodził.

A potem wszystko się odwróciło. Jakbyśmy zaszedł daleko w obranym kierunku i nagle zaczął się cofać, bo coś pozostało niezadowolone, Nils Erik nic złego mi nie zrobił, nie chciał mi wyrządzić krzywdy, był po prostu ciekawy i może trochę zbyt natrętny, ale tutaj nie znalazłem nikogo innego i być może wcale nie trafiło mi się z nim najgorzej.

Zacząłem nucić *Sometimes It Snows in April*.

– Słyszałeś nową płytę Prince'a? – spytałem. – *Lovesexy*?

Pokręcił głową.

– Ale jeśli Prince przyjedzie latem do Norwegii albo do Szwecji, to się wybiorę – oświadczył. – Jego ostatnie koncerty są świetne. Rozmawiałem ze znajomymi, którzy byli na koncercie w ramach tournée w związku z *Sign o' the Times*. Podobno najlepsza rzecz, jaką widzieli.

– I ja chętnie bym to zobaczył – powiedziałem. – Ale ta ostatnia płyta też jest dobra. Nie tak dobra jak *Sign o' the Times*, ale... Pisałem zresztą o niej do „Fædrelandsvennen”, kiedy się ukazała, i o mało się wygłupiłem przy tym. – Spojrzałem na niego. – W jakimś angielskim czasopiśmie muzycznym wyczytałem, że Prince jest analfabetą, i chciałem o tym napisać, wiesz, mało brakowało, a cały artykuł ustawiłbym pod tym kątem, że Prince nie umie czytać, ale na szczęście wydało mi się to trochę dziwne i zrezygnowałem. Później przyszło mi do głowy, że może on nie umie czytać nut. Ale nie wiem tego na pewno. Wszystkie te niedokładne informacje, jakie się ma, to bardzo nieprzyjemna sprawa. Człowiek wbije sobie do głowy coś, co się z niczym nie zgadza, i kiedy powie o tym na głos, robi mu się trochę głupio, ale kiedy o tym napisze i dzień później wydrukują to w gazecie, jest jeszcze gorzej.

– Myślałem, że gazetom właśnie o to chodzi. – Nils Erikuśmiechnął się, nie odrywając oczu od drogi.

– Może i tak.

Daleko przed nami widać już było drogę do Håfjord, wąską szarą kreską, prowadzącą wprost w czarną dziurę w skałę.

– We wtorek dostałem długi list od mojej dziewczyny – powiedziałem.

– Tak?

– To znaczy od... Chodziliśmy ze sobą latem. Miała na imię Line...

– Miała? Umarła w ciągu tygodnia?

– Dla mnie tak. Właśnie o to chodzi. Zerwała ze mną. Napisała, że jestem fajny, bla, bla, bla, ale że nigdy nie była we mnie zakochana i że najlepiej zakończyć to wszystko, skoro wyjechałem na północ.

– To znaczy, że jesteś wolny – stwierdził Nils Erik.

– No właśnie. Wyjąłeś mi to z ust, to miała być moja następna kwestia.

Z tunelu wynurzył się samochód, nieduży, czarny jak żuk gnojarski, ale szybko się powiększał. Jechał ze sporą prędkością.

Kiedy nas mijał, kierowca uniósł rękę w geście pozdrowienia. Nils Erik odpowiedział tak samo, zwinął i zjechał na ostatni fragment drogi prowadzący do wsi.

– To dziwne, prawda? – powiedziałem. – Wszyscy tutaj wiedzą, kim jesteśmy, a my nikogo nie znamy.

– No właśnie. Trafiliśmy do naprawdę przerażającego miejsca.

Przekręcił dźwigienkę przy kierownicy, włączając długie światła, i popchnął drugą, żeby uruchomić wycieraczkę. Krople skapujące ze sklepienia tunelu uderzyły w maskę, przednią szybę i w dach. Warkot silnika odbijał się od skalnych ścian otaczających nas jak skorupa; rozpadła się w momencie, gdy wyjechaliśmy na drugą stronę, i rozpostarł się przed nami rozległy niebieski fiord.

– A ty jesteś wolny? – spytałem.

– Owszem, i to bardzo. Od lat nie miałem dziewczyny.

Czyżby homo?

O nie, tylko nie to!

Prawdę mówiąc, był dość dziwny. I te policzki z wiecznym rumieńcem...

– Tu za bardzo nie ma w czym wybierać – ciągnął. – Ale i konkurencja nie jest zbyt duża. Więc chyba jedno z drugim się równoważą. – Roześmiał się.

„Konkurencja nie jest zbyt duża”, co to miało znaczyć? Że tu nie ma tak dużo innych gejów?

Kompletnie zmrożony w środku, wpatrywałem się w niebieską, matową teraz powierzchnię morza.

– Ale Torill jest niezła – podjął za chwilę.

Torill!

Fałszywy alarm.

Znow na niego spojrzałem. Chociaż oczy miał skierowane na drogę, zwracał uwagę również na mnie.

– Ale ona jest przecież stara – powiedziałem.

– Stara? Skąd! Przypuszczam, że ma jakieś dwadzieścia osiem lat. Góra trzydzieści. Po pierwsze, to wcale nie znaczy, że jest stara! Po drugie, jest seksowna. B a r d z o seksowna!

– W ogóle tego nie zauważyłem.

– Ja nie mam osiemnastu lat, Karl Ove, tylko dwadzieścia cztery. Dlatego dwudziestoosmiolatka nie jest dla mnie starą kobietą. Ani nieosiągalną. – Roześmiał się. – A to, że akurat Torill być może jest dla mnie nieosiągalna, to zupełnie inna sprawa.

Wolno ruszyliśmy wąską, jakby wciśniętą w zboczne góry drogą. Miejscowi kierowcy jeździli tędy z taką samą prędkością jak gdzie indziej, ale nie Nils Erik, typ trochę ostrożny i rozsądny, o tym już zdążyłem się przekonać.

– No a ty? Masz kogoś na celowniku? – spytał z uśmiechem.

– Prawdę mówiąc, spodobała mi się dziewczyna, którą zobaczyłem w autobusie, kiedy tu jechałem. Chodzi do liceum w Finnsnes, mieszka w Hellevika.

– Ho, ho!

– Zobaczmy. Ale poza tym nie wiem.

– Vibeke to bujna dziewczyna.

– Masz na myśli, że gruba?

– Nie, ale wiesz... Ładna jest. Może trochę pulchna, ale co to szkodzi. A Hege... niełatwo z nią sobie poradzić, przypuszczam. I tak jest pociągająca, prawda?

– Czy ty jesteś wszytkożerny? – spytałem.

– Kobiety to kobiety. Takie jest moje credo.

Przed nami była już wioska. Nils Erik zatrzymał się przed moim mieszkaniem i wniósł mi torby z zakupami, bo ja wziąłem wielki karton z miniwieżą, pożegnał się i pojechał do siebie. Zamontowałem sprzęt, puściłem *Sulk Associates*, kompletnie historyczną płytę, której słuchałem, leżąc na kanapie. Po jakimś czasie wziąłem się do pisania listów, ale starałem się streszczać, żeby załatwić ich kilka, bo istotne było nie to, co miałem do przekazania teraz, tylko opowiadanie, które dołożyłem później do każdej koperty.

Następnego dnia podczas jednej z przerw podszedł do mnie Sture.

– Mogę cię prosić na słówko? – spytał, drapiąc się w łysinę.

– O rany, no pewnie – odparłem.

– Właściwie chciałem tylko dać ci pewną małą radę w związku z trzecio- i czwartoklasistami. Słyszałem, że wczoraj poruszyłeś im cały wszechświat...

– Tak?

– Oni są jeszcze bardzo mali, no wiesz, więc może niegłupio byłoby zacząć od drugiego końca, na przykład od przygotowania planu szkoły. Później wioski. A potem wyspy. Rozumiesz? Zacząć od tego, co znają, i z tego punktu posuwać się dalej, do Norwegii, Europy i świata. Dopiero p o t e m ewentualnie zająć się wszechświatem. Jeżeli wciąż jeszcze tu wtedy będziesz!

Zaśmiał się i puścił do mnie oko, żeby wyszło bardziej po kumpłowsku niż autorytarnie. Ale to nie była żadna rada, tylko upomnienie. Kiedy napotkałem jego wzrok, wszystko się we mnie zagotowało.

– Przemyśle to sobie. – Odwróciłem się i odszedłem.

Byłem wściekły, a jednocześnie czułem się głupio, bo rozumiałem, że miał rację. Te małe dzieciaki przypuszczalnie nic nie rozumiały, a to, co interesowało mnie, kiedy miałem dziesięć lat, nie musiało wcale być ciekawe dla nich.

W pokoju nauczycielskim nie miałem ochoty z nikim rozmawiać, więc usiadłem na swoim miejscu i udawałem, że czytam, aż do dzwonka, kiedy mogłem iść do uczniów.

To dziwne, pomyślałem, stając przed katedrą i czekając, aż przybiegną. Dziwne, że to wśród uczniów w klasie czułem się jak u siebie, a nie wśród grona pedagogicznego w pokoju nauczycielskim.

Ale gdzie oni się podzieli?

Podszedłem do okna. Na placyku między dwoma budynkami nie było widać żywej duszy. Czyżby zostali na boisku?

Spojrzałem na zegarek. Od dzwonka minęło już pięć minut. Uznałem, że coś musiało się stać, i wyszedłem na korytarz, kierując się do wyjścia. Z drugiego końca szybkim krokiem nadciągał Sture. Ruszyłem za nim i zobaczyłem, że na dworze puszcza się biegiem.

Bili się. Dwaj chłopcy stali w zwarciu, jeden zaraz został rzucony na ziemię, ale szybko się podniósł. Otaczała ich gromada innych uczniów. Panowała całkowita cisza. Za nimi rozciągała się wioska, a za nią góry i morze.

Ja też zacząłem biec, ale głównie dla zachowania pozorów, bo już wiedziałem, że Sture robi z tym porządek i bardzo się z tego cieszyłem.

Bili się Stian i Kai Roald. Stian był silniejszy, to on cisnął Kaia Roalda na ziemię, ale tamten nie ustępował i znów się na niego rzucił.

Obaj znieruchomieli, kiedy dotarł do nich Sture. Złapał Stiana za kurtkę na plecach i trzymając go na odległość wyciągniętej ręki, zaczął go strofować. Chłopiec spuścił głowę jak łarcony pies. Na mnie z pewnością takby nie zareagował.

Stanąłem przy nich.

Kai Roald wbił spojrzenie w ziemię. Spodnie miał uszargane na kolanach i na udach. Oczy mokre od łez.

– Co ty wyprawiasz? – spytałem. – Bijesz się?

– Odczep się! – odburknął.

Położyłem mu rękę na ramieniu. Odwrócił się do mnie.

– Wchodzimy do środka – zarządziłem, patrząc na pozostałych uczniów z klasy. – A wy co tu robicie? Przecież nawet się nie biliście!

Kai Roald prędko podniósł na mnie wzrok, jakby spodziewał się łary, a teraz zrozumiał, że nic takiego go nie spotka.

– Chodźcie – powtórzyłem. – Idziemy. Kai Roald, ty idź do toalety i trochę się ogarnij. Nie najlepiej się prezentujesz.

Klasa Sturego już była przy drzwiach.

– Połała się krew? – spytał Sture.

– Nie. Tylko się pobrudzili i posmarkali.

W klasie porozmawialiśmy przez chwilę o tym, co się stało. Kiedy przyszedł Kai Roald, zapowiedziałem mu, że może się bić, ile chce, byle nie robił tego w szkole.

– W weekendy możesz walczyć od wstania do pójścia spać, popołudniami również, ale nie w szkole. Wytrzymasz? – spytałem.

Pokręcił głową.

– To ten cholerny Stian zaczął! – powiedział.

– Okej. Rozliczysz się z nim po powrocie do domu, ale nie tutaj. Jeżeli taka sytuacja się

powtórz, będą musiał cię ukarać, rozumiesz? A nie warto. Wstrzymaj się kilka godzin i będziesz mógł robić, co zechcesz. No, ale bierzemy się do lekcji, bo musicie się jeszcze czegoś nauczyć. Przecież wy nic nie umiecie!

Cztery dziewczyny popatrzyły na mnie ze swoimi najbardziej obrażonymi minami.

– Nic – powtórzyłem. – Więc wyciągajcie książki.

– A ty tak cholernie dużo umiesz? – spytała Hildegunn.

Vivian i Andrea się roześmiały.

Pogroziłem im palcem.

– I proszę nie przeklinać! Nie życzę sobie tego na lekcji.

– Ale w północnej Norwegii wszyscy przeklinają – oświadczyła Vivian.

– Z przeklinaniem obowiązują takie same zasady jak z bójkami. W domu możecie sobie przeklinać ile wlezie, ale nie tutaj. Mówię poważnie. No już. Wróćcie do poprzedniego zadania, strona trzynasta i dalej. Będę pomagał w razie potrzeby. A na początku następnej lekcji omówimy problemy, gdyby się jakieś pojawiły, dobrze?

Podszedłem do okna, stanąłem przy parapecie i założyłem ręce na piersi. Z dala dobiegał do mnie głos Nilsa Erika, miał angielski z czwartą klasą. Pomyślałem o Stianie, stanął mi przed oczami jego bezczelny uśmiech i przypomniałem sobie spojrzenia, jakie mu słały dziewczyny z klasy. Widziałem, że go podziwiają. Może nawet się w nim podkochiwały?

Na pewno.

Ta myśl lekko mnie zakłuła. Przecież to tylko głupi gówniarz.

Podszedłem do katedry, zerknąłem na Hege, która zebrała swoich uczniów w kąciku bibliotecznym, dzieci siedziały wokół niej na poduszkach, a ona czytała im na głos.

Wyczuła moje spojrzenie, podniosła głowę, popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Odpowiedziałem uśmiechem. Usiadłem za katedrą i zacząłem przeglądać podręcznik, żeby się zorientować, co mogę robić na następnej lekcji.

Kiedy znów podniosłem głowę, napotkałem spojrzenie Andrei. Na jej policzkach wykwił rumieniec. Uśmiechnąłem się. Podniosła rękę, jednocześnie wbijając wzrok w ławkę. Podszedłem do niej.

– Z czym ci pomóc? – spytałem.

– Z tym fragmentem. – Pokazała. – Dobrze zrobiłam?

Nachyliłem się i przeczytałem to, co napisała. Siedziała nieruchomo, śledząc mój palec sunący po kartce. Bił od niej lekki zapach przypominający woń jabłek. Pewnie szampon, pomyślałem, czując coś na kształt drżenia w piersi. Jej oddech, włosy opadające na twarz, oczy patrzące spoza nich. Wszystko to tak blisko.

– No... No... Wygląda na to, że jest w porządku.

– Naprawdę? – Podniosła na mnie wzrok.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, prędko się wyprostowałem.

– Tak – potwierdziłem. – Pracuj dalej.





Po lekcji nie zastałem nikogo w pokoju nauczycielskim. Dopiero kiedy usiadłem, zauważyłem Torill, w kąciiku kuchennym szykowała sobie kanapkę.

– Miałaś okienko? – spytałem.

Kiwnęła głową i ugryzła kawałek chleba. Kiedy żuła i przełykała, uniosła palec na znak, że zaraz odpowie.

– Tak – odparła. – Ale wolnego nie miałam! Przygotowywałam się do następnych lekcji.

– Aha. – Sięgnąłem po leżącą na stole gazetę. Przeglądałem ją, cały czas świadom ruchów Torill. Podnoszenia do ust i opuszczania kanapki, kręcenia się po pomieszczeniu kuchennym.

W końcu otworzyła drzwi lodówki i nachyliła się. Podniosłem wzrok. Była w czarnych stretchowych spodniach. Patrzyłem na opięte nimi i przez to tak wyraźnie widoczne uda, potem na pośladki. Miała szeroki tyłek, ale nie za szeroki, przeciwnie, te pełne kształty bardzo jej przydawały kobiecości.

Krew zaczęła mi pulsować w członku, więc założyłem nogę na nogę, nie odrywając wzroku od Torill. Fantastycznie byłoby się z nią przespać, poczuć przy sobie te uda i ten tyłek. Boże. Wejść w nią. O Boże. Piersi pod dłońmi. I nagą skórę! Gładkie wnętrze ud!

Przełknąłem ślinę i spojrzałem w sufit. To nigdy nie będzie możliwe. Nawet gdybym wbrew wszelkim oczekiwaniom znalazł się w łóżku razem z nią lub z kims takim jak ona, i tak nic by z tego nie wyszło. Wiedziałem o tym.

Wyprostowała się, w rękę trzymała karton z mlekiem. Otworzyła go i zaczęła nalewać do szklanki, jednocześnie na mnie zerkając. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się.

Wszystko wy czuła.

Zaczerwieniłem się i odpowiedziałem uśmiechem, gorączkowo usiłując wykombinować coś, co odwróciłoby jej uwagę od moich rumieńców i od skrytych myśli.

Odchyliła głowę i wypila mleko duszkiem. Wierzchem dłoni starła białe wąsy i znów na mnie spojrzała.

– Napijesz się kawy, Karl Ove? Wyglądasz tak, jakbyś jej potrzebował!

Co chciała przez to powiedzieć? Dlaczego wyglądałem tak, jakbym potrzebował kawy?

– Nie, dziękuję – odparłem.

Ale odmowa przecież przyciąga uwagę!

– A zresztą owszem, poproszę.

– Z mlekiem?

Pokręciłem głową.

Nalała do dwóch filiżanek, przyniosła je, jedną mi podała i z lekkim westchnieniem usiadła przy mnie.

– Wzdry chasz? – spytałem.

– Tak? – zdziwiła się. – Po prostu już późno, a dziś w nocy trochę źle spałam.

Dmuchałem na czarną, wydawałoby się, że nieprzebytą powierzchnię, po bokach pokrytą jasnobrązowymi mi bąbelkami, wypięm łyk

– Bardzo mnie u was sły chać? – spytałem. – Muzykę i w ogóle?

Pokręciła głową.

– Słyszę, że tam jesteś, ale to nic nie szkodzi.

– Na pewno?

– O rany, jasne.

– No bo jeśli będzie za głośno, to musicie powiedzieć.

– A ty słyszysz coś z naszego mieszkania?

– Nie, niewiele. Najwyżej, że przechodisz.

– To dlatego, że Georg wypłynął na połów. Kiedy jestem sama, zachowuję się o wiele spokojniej.

– Długo go nie będzie?

– Nie, wracają do domu w tę sobotę.

Uśmiechnęła się. Miała takie miękkie, czerwone wargi, tak bardzo ruchliwe w porównaniu z białymi, twardymi zębami.

– Aha. – Przesunąłem wzrok Na drugim końcu pokoju otworzyły się drzwi i wszedł Tor Einar, a zaraz za nim wkroczyli Hege i Nils Erik – Można powiedzieć, że przysłiście całym oddziałem.

– Owszem, bo szanujemy czas trwania lekcji – oświadczył Nils Erik – Wiemy, że każda minuta jest niezwykle cenna dla przyszłości uczniów. Dlatego nie możemy, powtarzam: n i e m o ż e m y, kończyć lekcji trzy minuty przed dzwonkiem. To by było wysoce nieodpowiedzialne. Posunąłbym się wręcz do nazwania tego n i e w y b a c z a l n y m.

– Rzeczywiście, dźwigasz ciężkie brzemię jako niewykwalifikowany nauczyciel – stwierdziłem. – Dlaczego nie dostałeś wychowawstwa tak jak ja? Mógłbyś wtedy w większym stopniu decydować o tym, jak spożytkować swój czas.

– Bo moim celem jest zostać niewykwalifikowanym dyrektorem szkoły. Nie jest to zbyt powszechne i z pewnością nie będzie łatwe, ale właśnie do tego się przymierzam. – Zatarł ręce i zrobił minę wyrażającą pazerność. – A teraz przyjemnie będzie zjeść trochę suchego chleba z wyschniętym serem!

W drzwiach pojawili się Vibeke, Jane i Sture. Wstałem, żeby ustąpić miejsca tym, którzy chcieli coś zjeść. Z filiżanką w ręku stanąłem przy oknie.

Niebo było szare, ale nie ciężkie. Dziewczynki z mojej klasy stały pod ścianą naprzeciwko i rozmawiały. Ósmo- i dziewiątoklasistom pozwalano zostawać w klasie, jeśli chcieli, a chcieli niemal zawsze, przynajmniej dziewczyny. Dzieciaki z młodszych klas podstawówki zwykle bawily się po drugiej stronie, koło boiska.

Nie miałem jeszcze dyżuru na żadnej przerwie.

Odwrociłem się od okna.

– Kto właściwie ma teraz dyżur? – spytałem.

– Pozwolę sobie zgadywać. Ty – odpowiedział Sture, który stał oparty o futrynę, z jedną ręką wyciągniętą nad głową.

Podszedłem do grafiku na ścianie. Rzeczywiście wypadła moja kolej.

– Cholera, całkiem zapomniałem! – Wskoczyłem na korytarz, po drodze chwyciłem kurtkę i włożyłem ją w biegu.

Z wiaty chroniącej przed deszczem ruszyła w moją stronę nieduża, okrągłutka postać, chłopczyk, który miał na imię Jo. Udałem, że go nie widzę, i skręciłem w stronę, gdzie grupa dzieciaków biegła przy bramce, kopiąc ciężką szarą piłkę.

Zobaczyły mnie i przerwały grę.

– Zagrasz z nami? – spytały.

– Mogę zagrać. W każdym razie przez chwilę.

– No to ty przeciwko nam!

– Okej.

Podali piłkę bramkarzowi, który wykopał ją w sam środek gromady. Dzieciaków było dużo, ale miały krótkie nogi, więc stosunkowo łatwo mogłem piłkę przejąć i zatrzymać. Zdarzało mi się kóregoś chłopaka potrącić tak, że się przewrócił, domagali się wtedy rzutów wolnych, a ja krzyczałem, że są małymi tchórzami, więc znów brali się do roboty i zaczynali mnie gonić. Parę razy oddałem im piłkę, wyłącznie po to, żeby podtrzymać ich motywację, ale w końcu ruszyłem do bramki i kopnąłem piłkę tak, że ominęła bramkarza, po czym ogłosiłem, że wygrałem i że to już koniec. Zaczęli protestować, krzyczeli, żebym nie odchodził, że jeszcze mi pokażą, najmłodszy dosłownie ciągnęli mnie za spodnie. Uwolniłem się i musiałem odbiec kilka kroków, żeby dali mi spokój. Zobaczyłem, że znów pochłonęła ich gra, więc poszedłem sprawdzić, co słychać u uczniów po drugiej stronie podwórza.

Pod ścianą stał Jo, sam, w czapce smętnie ściągniętej na czoło.

– Nie chcesz grać w piłkę? – rzuciłem w przelocie.

Zrobił kilka kroków w moją stronę, więc musiałem się zatrzymać.

– Nie lubię piłki nożnej – odparł jęklonie.

– Ale i tak mógłbyś zagrać.

– Nie. Mogę iść z tobą?

– Ze mną? – zdziwiłem się. – Ale przecież ja tylko chodzę w koło.

Wziął mnie za rękę.

– No dobrze – zgodziłem się. – Skoro tak chcesz...

Nie rozumiał, jakto wygląda w oczach jego kolegów, kiedy chodzi z nauczycielem za rękę?

Najwyraźniej nie.

Ciągnąc za sobą małego grubaska, przeszedłem na drugą część szkolnego podwórza, tam gdzie do uczniów z mojej klasy przyłączyli się teraz ci z ósmej i dziewiątej.

– Wczoraj odrabiałem lekcje dłużej, niż zamierzałem. – Jo znów na mnie spojrział.

– Naprawdę? To się tylko chwali. A zrozumiałeś coś z tego?

- Tak mi się wydaje. Przynajmniej trochę.
- Ale skoro nie lubisz piłki, to co innego lubisz?
- Rysować. Rysowanie bardzo lubię.
- Nie lubisz żadnych zajęć na dworze?
- Trochę lubię jeździć na rowerze. Razem z Endrem.
- Przyjaźnicie się?
- Czasami.

Spojrzałem na niego. Buzię miał bez wyrazu.

Czyli biedaczyna bez przyjaciół.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, jego twarzyczka zmiękła w uśmiechu. Położyłem mu rękę na ramieniu i kucnąłem przy nim.

– A może pójdziemy pograć w piłkę razem? Będziemy w jednej drużynie?

– Ale ja nie umiem!

– E tam, jasne, że umiesz. Wystarczy biegać i kopać piłkę. Pomogę ci. Chodź, musimy się pospieszyć, jeśli chcemy zdążyć. Niedługo dzwonek

– Okej – zgodził się i ruszyliśmy truchtem do bramki.

– Jeszcze raz z wami zagram. Jo będzie w drużynie ze mną. Czyli Jo i ja przeciwko reszcie, okej?

– Przecież Jo nie umie grać! – zawołał Reidar.

– Wszyscy jesteście pataluchy – odparowałem. – No, zaczynamy.

Ale on rzeczywiście nie umiał. Kiedy mu podałem piłkę, ledwie potrafił ją kopnąć. Przynajmniej jednak kręcił się po boisku uśmiechnięty, a na szczęście dwie minuty później zadzwonił dzwonek

– Jo, weźmiesz piłkę i zaniesiesz ją do pokoju nauczycielskiego, dobrze?

– Dobrze! – zawołał i pobiegł z piłką pod pachą. Szybko ruszyłem za nim, z nadzieją, że mignie mi jeszcze gdzieś Liv z dziewiątej klasy, zanim wejdzie na lekcję.

I rzeczywiście zdążyłem ją zobaczyć. Szła obok Camilli, ukradkiem zerknęła na mnie, skręcając na korytarz. Popatrzyłem na jej szczupłą, jędrną pupę o idealnym kształcie i natychmiast otworzyło się we mnie coś w rodzaju otchłani.

Po ostatniej lekcji dalej siedziałem w pokoju nauczycielskim, czekając, aż inni pójdą do domu. Miałem ochotę pobyć tu sam, to przecież jakaś odmiana od siedzenia w mieszkaniu, a poza tym zamierzałem trochę podzwonić.

W końcu na parkingu przed szkołą został już tylko samochód Richarda. Dyrektor na razie siedział w swoim gabinecie, ale w każdej chwili mógł tu zajrzeć, dlatego dalej przeglądałem leksykon, czekając, aż i on wreszcie się spakuje i pójdzie do domu.

Podczas ostatnich lekcji pokrywa chmur powoli ciemniała, a teraz zastukały o szyby pierwsze krople deszczu. Patrzyłem, jak uderzają o asfalt, początkowo wcale nie zostawiając śladów, jakby

w ogóle ich nie było, ale już kilka sekund później rozpostarły na nim swoją ciemną wilgoć, bo wrota niebios się otworzyły i wylał się z nich deszcz. Lunęło. Strugi wody przecinały powietrze z taką mocą, że widziałem, jak poszczególne krople odbijają się od ziemi. Z rynien chlusnęły wodospady, spływały po ziemi wzdłuż muru sąsiedniego budynku, z okien i dachu dochodziło warde bębnienie.

– Ależ ulewa! – Richard stanął w drzwiach uśmiechnięty, w zielonym anoraku, z nożem przy pasku.

– Rzeczywiście, to wcale nie lekki deszczyk

– Chcesz trochę dłużej popracować? – spytał, wchodząc do pokoju.

– No... Taki przynajmniej miałem zamiar.

– A jak oceniasz ten pierwszy tydzień?

– Wydaje mi się, że poszło dobrze.

Kiwnął głową.

– W przyszły piątek będziesz mógł porozmawiać z Sigrid, panią pedagog. Myślę, że niegłupio by było zapisać sobie pytania i problemy przed spotkaniem z nią, żeby wykorzystać okazję i wynieść z tego coś pożytecznego.

– Dobrze, tak zrobię.

Przygryzł dolną wargę, przez co znów przypominał kozła.

– No tak Wobec tego miłego weekendu – powiedział.

– Wzajemnie.

Pół minuty później zobaczyłem przez okno, jak biegnie do samochodu, osłaniając głowę aktówką.

Wyjął kluczyki, otworzył drzwiczki, wszedł.

Zapaliły się reflektory auta, a mnie ciarki przeszły po plecach. Tyłne czerwone światła odbijały się od mokrego czarnego asfaltu, a żółte przednie drążyły w deszczu dwa jasne tunele, które wchłaniała ściana, sama się rozjaśniając.

Bębniący deszcz, szerokie strumienie wody spływającej po ziemi, wodospady walące z rynien.

To był świat, a ja w nim żyłem.

Co mogłem robić? Miałem ochotę walić zaciśniętymi pięściami w okna, biegać po pokoju, rzucać krzesłami i stołami, bo po brzegi wypełniły mnie siła i życie.

*It's the end of the world as we know it!* – zaśpiewałem w pokoju nauczycielskim na cały głos.

*It's the end of the world as we know it!*

*And I feel fine!*

*And I feel fine!*

Kiedy samochód Richarda zjechał ze zbrocza, zrobiłem rundę po budynku szkoły, żeby sprawdzić, czy przypadkiem, wbrew moim oczekiwaniom, kogoś tu nie ma. Na przykład dozorca zajętego jakąś naprawą. Ale było całkiem pusto, więc kiedy się co do tego upewniłem, poszedłem do pokoiku z telefonem i wykręciłem numer mamy.

Nie odebrała.

Może pracowała do późna? Może po drodze do domu wstąpiła do supermarketu, a może wybrała się gdzieś coś zjeść?

Zadzwońm do Yngvego. On odebrał od razu.

– Halo – powiedział.

– Halo, tu Karl Ove.

– Jesteś na północy?

– Tak, jasne. Co u ciebie?

– Wszystko w porządku. Właśnie wróciłem z czytelni. Trochę odsapnę i idę na miasto.

– A dokąd się wybierasz?

– Do klubu studenckiego, do Hulen, tak mam zamiar.

– Farciarz.

– To ty wyjechałeś na północ. Przecież mogłeś się przeprowadzić do Bergen.

– Mogłem.

– A co tam sły chać u ciebie? Masz już mieszkanie i wszystko?

– Tak, całkiem niezłe. We wtorek zacząłem prowadzić lekcje. To nawet dość fajne. Ja też dziś wieczorem wychodzę, chociaż nie do Hulen. Do świetlicy w sąsiedniej wiosce.

– Są tam jakieś fajne dziewczyny?

– No... jedną spotkałem w autobusie. Może i coś z tego będzie. Ale poza tym wszystkie wyprowadziły się do domu. Tutaj zostały albo uczennice, albo gospodynie domowe.

– No to musisz się rozejrzeć wśród uczennic.

– Cha, cha.

Chwila milczenia.

– Dostałeś moje opowiadanie? – spytałem.

– Tak, dostałem.

– A czytałeś?

– Tak, ale tylko przeleciałem. Pomyślałem, że coś ci na ten temat napiszę, przez telefon trudno wytłumaczyć.

– No ale podobało ci się? A może nie potrafisz powiedzieć?

– Owszem, nawet mi się podobało, takie żywe, fajne. Ale pogadamy o tym później, dobrze?

– Dobrze.

I znów milczenie.

– Co u taty? – spytałem. – Miałeś od niego jakieś wieści?

– Żadnych. A ty?

- Też zadnych. Pomyślałem, że do niego zadzwonię.
- To pozdrów go ode mnie. Nie będę musiał z nim rozmawiać przez kilka tygodni.
- Dobrze, pozdrowię. W tygodniu napiszę do ciebie list.
- Napisz. No to na razie.

– Na razie. – Odłożyłem słuchawkę, poszedłem do pokoju nauczycielskiego i usiadłem na kanapie, z nogami na stole. Coś w tej rozmowie z Yngvem mnie przygnębiło, ale nie wiedziałem co. Może to, że wybierał się do klubu studenckiego w Bergen, wielkim mieście, ze swoimi kumplami, a ja szedłem na wiejską zabawę, cholera wie gdzie, z samymi nieznanymi.

A może chodziło o tamto „nawet mi się podobało”.

Powiedział: „Owszem, nawet mi się podobało”.

Nawet?

Czytałem wcześniej opowiadanie Hemingwaya o chłopcu, który poszedł ze swoim ojcem lekarzem do obozu indiańskiego, jakaś kobieta tam rodziła, z tego co pamiętałem, że się skończyło, możliwe nawet, że ktoś umarł, no ale wszystko jedno, po wizycie w tym obozowisku wrócili do domu i tyle. Po prostu. Moje opowiadanie było równie dobre jak tamto, wiedziałem o tym. Owszem, opisywałem inne środowisko, ale to dlatego, że Hemingway tworzył w innych czasach. Ja współcześnie, właśnie dlatego tak wyszło.

Ale co właściwie wiedział Yngve? Ile książek przeczytał? Czytał na przykład Hemingwaya?

Znowu poszedłem do pokoju z telefonem. Z tylnej kieszeni spodni wyjąłem kartkę i wykręciłem numer taty. Równie dobrze mogłem mieć to już za sobą.

– Halo? – usłyszałem.

Ostry głos. Ta rozmowa w każdym razie będzie krótka.

– Cześć, tu Karl Ove.

– O, cześć.

– Już się tu zainstalowałem. I zacząłem pracę.

– To świetnie. Dobrze ci tam?

– Pewnie.

– No to w porządku.

– A co u was?

– Wszystko po staremu. Unni jest w domu, a ja właśnie wróciłem z pracy. Zaraz siadamy do jedzenia. Ale miło, że zadzwoniłeś.

– No to pozdrów Unni!

– Pozdrowię. Trzymaj się.

– Cześć.

Gwałtowna ulewa ustała, kiedy wracałem ze szkoły do domu, ale wciąż padało na tyle, że gdy dotarłem do swojego mieszkania, miałem kompletnie przemoczone włosy. Wytarłem je ręcznikiem w łazience, odwiesiłem kurtkę, buty postawiłem przy grzejniku, który włączyłem,



usmażyłem kilka ziemniaków, trochę cebuli i serdelka pokrojonego w kawałki, zjadłem wszystko przy stole w kuchni, czytając wczorajszą gazetę, potem się położyłem na łóżku i w ciągu kilku minut zasnąłem, jakby otulony przyjemnym chrobotaniem deszczu o szybę.

Obudził mnie dzwonek. Kiedy wstałem, żeby otworzyć, zobaczyłem, że nie tylko deszcz przestał padać, ale że niebo nad wioską zrobiło się błękitne.

To był Nils Erik.

Stał na ugiętych kolanach, ręce trzymał odsunięte od ciała jak dwa nawiasy, wargi miał zaciśnięte, a oczy otwarte szeroko.

– To tutaj jest zabawa? – spytał piskliwym głosem starca.

– Tutaj, tutaj, zapraszam!

Nie ruszał się z miejsca.

– A są jakieś dziewczyny... Ale takie naprawdę młode?

– Jak młode?

– Trzynastolatki.

– Pewnie, że są! Wchodzi już, bo cholernie zmarzłem!

Odwrociłem się i ruszyłem w głąb mieszkania. Otworzyłem wyjętą z lodówki butelkę wina.

– Napijesz się białego wina? – zawołałem.

– Moje wino musi być czerwone jak krew młodych dziewcząt – zapisał.

– No to nieźle – skonstatowałem.

Przyšedł do kuchni z butelką czerwonego i postawił ją na blacie. Podałem mu otwieracz.

Był w niebieskiej koszuli marki Poco Loco, czarnym skórzanym krawacie i czerwonych bawełnianych spodniach.

W każdym razie nie jest osobą, która by się bała wrażenia, jakie robi na ludziach, uśmiechnąłem się. Nieprzejmowanie się cudzymi opiniami to z pewnością ważny element jego charakteru.

– Powiem ci, że kolorowo się prezentujesz – rzuciłem.

– Należy chwycić okazję, kiedy się nadarza – stwierdził. – A słyszałem, że tutaj właśnie tak trzeba się ubierać, jeśli chce się wyrzucić wrażenie na paniach.

– Właśnie tak? Na czerwono-niebiesko?

– Otóż to.

Ścisnął butelkę kolanami i z cmoknięciem wyciągnął korek.

– Cudowny odgłos – stwierdził.

– Wezmę szybki prysznic, dobrze?

Kiwnął głową.

– Oczywiście. A ja w tym czasie nastawię jakąś muzykę, dobrze?

– Oczywiście.

– Nikt nam nie zarzuci, że nie jesteśmy młodymi uprzejmymi mężczyznami. – Zaśmiał się.

Poszedłem do łazienki, błyskawicznie się rozebrałem, puściłem wodę i stanąłem pod

strumieniem, obmyłem się pod pachami i w kroczu, jeszcze stopy, potem odchyliłem głowę i zwilżyłem włosy, po czym zakręciłem wodę, osuszyłem się, wtarłem trochę żelu we włosy, okręciłem się w pasie ręcznikiem i przez salon, w którym Nils Erik siedział na kanapie w wystudiowanej pozie, z zamkniętymi oczami, i słuchał Davida Sullivana, przeszedłem do sypialni, gdzie włożyłem świeże slipy, skarpetki, białą koszulę i czarne spodnie. Po zapięciu koszuli założyłem jeszcze czarny wąski krawat bolo i poszedłem do Nilsa Erika.

– Przecież podobno właśnie tak nie wolno się ubierać – stwierdził. – Jeśli chce się mieć branie. W białą koszulę, bolo z orłem i czarne spodnie.

Usiłowałem wymyślić jakąś błyskotliwą ripostę, ale się nie udało.

– Cha, cha – powiedziałem tylko, nalałem sobie szklankę białego wina i wypłem duszkiem.

Miało smak letnich nocy, tłumnych dyskotek, wiaderka z lodem na stołach, błyszczących oczu i nagich opalonych ramion.

Wzdrygnąłem się, bo przeszył mnie dreszcz.

– Nieprzyzwyczajony do picia? – skomentował Nils Erik.

Spojrzałem na niego drwiąco i znów napełniłem szklankę.

– Słyszałeś nowego Chrisa Isaaka? – spytałem.

Pokręcił głową.

Nastawiłem płytę.

– Jest świetna – powiedziałem.

Przez dłuższą chwilę nie odzywaliśmy się do siebie.

Skręciłem papierosa i zapaliłem.

– Udało ci się zerknąć na moje opowiadanie? – spytałem.

Kiwnął głową. Wstałem i trochę ściszyłem.

– Przeczytałem je przed wyjściem. Jest dobre, Karl Ove.

– Tak uważasz?

– Tak. Bardzo żywa narracja. Ale dużo więcej nie mam do powiedzenia na ten temat. Nie jestem krytykiem literackim czy pisarzem.

– A coś ci się w nim podobało bardziej niż cała reszta?

Pokręcił głową.

– Nie, nic takiego. Całe jest dobre, równe, dobrze się plecie.

– To się cieszę – powiedziałem. – A co myślisz o zakończeniu w porównaniu z resztą?

– Koniec jest mocny.

– Właśnie tego chciałem, rozumiesz? Żeby to nastąpiło niespodziewanie, to z ojcem.

– No i tak jest.

Nalał sobie do szklanki. Wargi już miał czerwone od wina.

– Czytałeś *Beatlesów*? – spytał.

– Kurczę, jasne, że tak. To moja ulubiona powieść. Właśnie po niej postanowiłem, że będę pisać. Ta i jeszcze *Hvite niggere* Ambjørnsena.

– Tak właśnie sobie myślałem.

– A co? Dostrzegasz podobieństwo?

– No, raczej tak.

– Za duże?

Uśmiechnął się.

– Nie, takbym nie powiedział. Ale widać, że ta książka cię zainspirowała.

– A co myślisz o krwi? Pojawia się mniej więcej w połowie, kiedy wszystko zmienia się na czas teraźniejszy.

– Chyba nie zwróciłem uwagi.

– A ja właśnie z tego byłem najbardziej zadowolony. Piszę, że on widzi krew, naczynia krwionośne, tkankę i ścięgna u Gordona. W samym środku robi się bardzo intensywnie.

Nils Erik z uśmiechem kiwnął głową.

Znow na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Pisanie okazało się o wiele łatwiejsze, niż przypuszczałem – podjąłem. – To moje pierwsze opowiadanie. Wcześniej trochę pisywałem do gazet, ale to zupełnie co innego. Między innymi z tego powodu przyjechałem tutaj, chciałem po prostu spróbować napisać książkę. No i zacząłem... i... zwyczajnie trzeba było pisać. Żadna czarodziejska sztuczka.

– No tak. Zamierzasz na to postawić?

– Tak. Właśnie o to mi chodzi. W weekend chciałbym napisać kolejne opowiadanie. Czytałeś Hemingwaya?

– Pewnie. Bez tego nie można.

– Trochę coś takiego. Bezpośredniego. Proste go i już. Z mnóstwem napięcia.

– Aha.

Znow napełniłem szklankę i wypilem do dna.

– Zastanawiałeś się, jakby to było, gdybyśmy starali się o przyjęcie do jakiejś innej szkoły? – spytałem.

– O czym mówisz?

– No... Przecież to niesamowity przypadek, że padło akurat na Håfjord. Mogło paść na jakiekolwiek inne miejsce. Wtedy musielibyśmy wchodzić w relacje z ludźmi, którzy mieszkają tam, i wydarzyłoby się zupełnie co innego niż to, co dzieje się tutaj.

– I wtedy zupełnie kto inny siedziałby tutaj, słuchał wina i pił Chrisa Isaaka. Albo odwrotnie. Wino by słuchało, a Chris Isaak pił. Taka gra pólówek – Roześmiał się. – Zdrowie, Karl Ove! I dzięki za to, że akurat ty tu siedzisz, a nie ktoś inny!

Stuknęliśmy się.

– Chociaż gdyby to był ktoś inny, a nie ty, to pewnie i jemu powiedziałbym to samo.

Dzwonek do drzwi.

– To musi być Tor Einar – stwierdziłem, wstając.

Kiedy otworzyłem, stał odwrócony do mnie tyłem i się rozglądał. Między zboczami gór

wisiałoby szarawe sierpniowe światło, o wyraźnie innym charakterze niż to rozjaśniające niebo, ono bowiem było niebieskie i lśniące jak metal.

– Cześć – powiedziałem.

Tor Einar odwrócił się w moją stronę powolnym, wystudiowanym ruchem. Oto ktoś, kto miał dużo czasu.

– Cześć. Mogę wejść?

– Wchodź, wchodź.

Zrobił to z tą samą drobiazgową starannością, którą zauważyłem u niego już w pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłem. Jakby każdy ruch miał dokładnie przemyślany, i to nie raz, zanim go wykonał. A wszystko z uśmiechem na ustach.

Uniesieniem ręki powitał Nilsa Erika.

– O czym gadaliście?

Nils Erik się uśmiechnął.

– O tenisie w porcie.

– I o cichej lipie – dodałem.

– Tylko że tutaj nie ma lip.

Tor Einar roześmiał się i lekko podciągnął spodnie na kolanach, zanim usiadł obok Nilsa Erika.

– No i co? Podsumowaliście tydzień? – spytał.

– Owszem, właśnie tym się zajmowaliśmy – powiedział Nils Erik.

– Wygląda na to, że stworzymy fajną grupę – stwierdził Tor Einar.

– Masz na myśli nauczycieli?

– Tak. Prawdę mówiąc, oprócz was dwóch znałem wszystkich już wcześniej.

– Ale ty przecież nie jesteś stąd, prawda? – spytał Nils Erik.

– Moja babcia tu mieszka. Od dzieciństwa spędzam tutaj każde lato i każde Boże Narodzenie.

– Chyba też właśnie skończyłeś liceum, mam rację? – spytałem. – W Finnsnes?

Potwierdził.

– Nie znasz przy padkiem dziewczyny, której na imię Irene? Stąd, z Hellevika?

– Irene, no pewnie. – Twarz mu pojaśniała. – Znam, co prawda nie tak dobrze, jakbym chciał.

A co, ty ją znasz?

– Za dużo powiedziane, spotkałem ją w autobusie, kiedy tu jechałem. Wydała mi się całkiem fajna.

– Zamierzasz się z nią dzisiaj spotkać? Taki jest plan?

Wzruszyłem ramionami.

– W każdym razie mówiła, że będzie.

Pół godziny później szliśmy pod górę za moim mieszkaniem. Byłem lekko pijany, w ten pogodny, wesóły sposób, w jaki człowiek upija się białym winem, kiedy myśli w głowie zderzają się ze sobą jak pęcherzyki powietrza, a tym, co się z nich wydobywa, kiedy pękają, jest po prostu

radość.

Siedzieliśmy u mnie, powtarzałem w myślach, i ogromnie się tym radowałem.

Jesteśmy kolegami z pracy, na dobrej drodze do przyjaźni.

I napisałem cholernie dobre opowiadanie.

Radość, radość, radość.

I jeszcze to światło, przytłumione w dole, wśród ludzi i ich rzeczy, przesycane jakby delikatnie wypolerowaną ciemnością, rozproszoną w nim i nie usiłującą nim zawładnąć ani go do niczego przymusić, lecz jedynie lekko je zmiękczyć albo wysycić, i lśniące czyste, przejrzyste, wysoko na niebie.

Radość.

I jeszcze ta cisza. Szum dochodzący od strony morza, nasze kroki na żwirze, od czasu do czasu jakiś inny odgłos, kiedy ktoś otworzył drzwi albo coś zawołał, ale wszystko spowite ciszą, jakby bijącą od ziemi, od przedmiotów i otaczającą nas w sposób, którego nie określałem jako pierwotny, lecz tak odczuwałem, bo kojarzyła mi się z ciszą w Sørbøvåg w letnie poranki, kiedy byłem dzieckiem, z ciszą rozciągniętą nad fiordem, pod częściowo skrytym we mgle zboczem potężnej góry Lihesten. Z ciszą świata. Ta cisza była również tutaj, kiedy pijany szedłem pod górę razem z moimi nowymi kolegami, i chociaż ani ta cisza, ani to światło, które nas otaczały, nie były teraz najważniejsze, to jednak z tym wszystkimi współgrały.

Radość.

Osiemnaście lat w drodze na zabawę.

– To tam. – Tor Einar wskazał dom, który mijalem wieczorem kilka dni temu.

– Duży dom – zauważył Nils Erik

– Tak, mieszka z partnerem – wyjaśnił Tor Einar. – Ma na imię Vidar i jest rybakiem.

– A kim innym miałby być? – spytałem, zatrzymując się przed drzwiami i sięgając ręką do dzwonka.

– Tu wystarczy wejść – pouczył mnie Tor Einar. – Jesteśmy w północnej Norwegii.

Otworzyłem drzwi i wszedłem. Z góry dobiegały głosy i muzyka. W powietrzu nad schodami wisiał dym. W milczeniu zdjęliśmy buty i weszliśmy na piętro. Było otwarte, na wprost kuchnia, na lewo salon, na prawo prawdopodobnie sypialnia.

W salonie siedziała mniej więcej dziesięcioosobowa grupa, rozmawiała i śmiała się, ściśnięta wokół stołu zapełnionego butelkami i szłem, paczkami tytoniu i popielniczkami. Wszyscy mężczyźni, w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, byli mocno zbudowani, wielu miało wąsy.

– No, są nauczyciele – odezwał się któryś.

– Może będziemy musieli zostać za karę – rzucił inny.

Ryknęli śmiechem.

– Cześć wszystkim – przywitał się Tor Einar.

– Cześć – powiedział Nils Erik

Hege, jedyna kobieta w tym gronie, wstała i przyniosła krzesła od stołu, który stał przy oknie.

– Siadajcie, chłopcy – zaprosiła. – Jeśli potrzebne wam szkło, to znajdziecie je w kuchni.

Poszedłem tam, stanąłem i przez szybę spojrzałem na zbrocze góry ciągnące się za domem, potem zmieszałem sobie drinka, sok pomarańczowy z wódką. Przez chwilę postąłem w drzwiach, obserwując grupę wokół stołu, ci ludzie przypominali mi trochę czarowników z tymi swoimi miksturami w rozmaitych kolorach, w zależności od tego, czego dodali do wódki – soku czerwonego, pomarańczowego, sprite'a, coli – ze swoimi paczkami tytoniu, do których nieustająco sięgali, żeby skrócić kolejne papierosy, ze swoimi wąsami, z ciemnymi oczami i ze swoimi wieloma historiami. Wyobraziłem sobie, że pochodzą z różnych stron i raz na rok wyznaczają sobie spotkanie tutaj, gdzie wśród podobnych sobie mogą w pełni manifestować swoją inność.

Ale było przecież odwrotnie. To oni byli regułą, a ja wyjątkiem, nauczycielem wśród rybaków. Co więc tu robiłem? Czy nie powinienem siedzieć w domu i pisać, zamiast być tutaj, i nie wtapiać się w ich grono?

Wyjście do kuchni okazało się głupstwem. Nils Eriki Tor Einar już załatwili wstęp i z największą oczywistością rozsiedli się wśród tych rybaków. Ja też mógłbym tak siedzieć, gdybym nie wyszedł, po prostu ukryć się za kolegami i niezauważenie wślizgnąć się do tej grupy.

Wypiłem łyki ruszyłem do przodu.

– A tu mamy pisarza – odezwał się któryś.

Spojrzałem na niego i od razu go poznałem. To on odwiedził mnie pierwszego dnia. Remi.

– Cześć, Remi. – Wyciągnąłem do niego rękę.

– Chodziłeś na taki kurs, gdzie uczą zapamiętywania imion? – spytał, ściskając mi dłoń.

Potrząsnął nią w sposób, jakiego nie używało się od lat pięćdziesiątych.

– Jesteś pierwszym rybakim, którego poznałem – odparłem. – Więc to oczywiście, że pamiętam, jak ci na imię.

Roześmiał się. Cieszyłem się, że sporo wypiliśmy przed wyjściem, bo inaczej odebrałoby mi teraz mowę.

– Pisarz? – powtórzyła zdziwiona Hege.

– Tak, tak, chłopak pisze. Widziałem na własne oczy!

– Nie wiedziałam. Masz takiego bzika?

Siadając, skinąłem jej głową, na poły przepraszająco, i wyjąłem z kieszeni opakowanie z tytoniem.

Przez następną godzinę w ogóle się nie odzywałem. Skręcałem papierosy, paliłem, piłem, uśmiechałem się, kiedy inni się uśmiechali, śmiałem się, kiedy się śmiali. Patrzyłem na nieźle podpitego Nilsa Erika, który niby podchwycił żartobliwy ton, ale nie do końca, był po prostu inny, miał w sobie pewną lekkość, charakterystyczną dla południowego wschodu Norwegii, więc cały czas pozostawał trochę poza nawiasem. Ci rybacy wcale go nie odrzucali, nie na tym to polegało, po prostu jego żarty miały fundamentalnie inny charakter, co w tych okolicznościach go obnażało. On w przeciwieństwie do nich żartował słowami i wcielał się w rozmaite role, wykrzywił się, podnosił i zniżał głos, oni tego nie umieli. Śmiał się trochę jakby podniecony, niemal historycznie, czym również zdecydowanie się od nich różnił.

Tor Einar był im bliższy, znał obowiązujący tu ton, ze wszystkimi łączyły go poufale stosunki,

choć i on nie był wcale jednym z nich, nie należał do nich, przypominał raczej etnografa, który dostatecznie dobrze zna swój materiał badawczy, by móc go naśladować i przedrzeźniać, bo tak bardzo go lubi, może właśnie o to chodziło, o to, że on lubił ten ich ton, który dla nich był czymś zwyczajnym, i nigdy nie zastanawiali się nad tym, czy go lubią, czy nie.

Tor Einar, kiedy się śmiał, uderzał się w uda, coś takiego wcześniej widziałem jedynie na filmach. Potrafił również pocierać uda, gdy mówił.

Przygrywka do zabawy, jak to nazywali, była wolna od dyskusji. Nie podejmowano kwestii związanych z polityką, z kobietami, z muzyką ani z futbolem. Opowiadano sobie historie. Jedna następowała po drugiej, śmiech falą przelewał się wokół stołu, a wszystkim, co ci magicy wyciągali z cylindrów, miało związek z wioską, która mimo swoich skromnych rozmiarów wydawała się niewyčerpaną studnią wydarzeń. Mieszkał tu sześćdziesięciokilkuletni rybak, który całe życie cierpiał na chorobę morską i ciągle jeszcze czuł mdłości, gdy tylko wskoczył na pokład swojego kutra. Była paczka rybaków, która po dobrym sezonie wynajęła apartament w hotelu SAS-u w Tromsø i w ciągu kilku bardzo intensywnych dni przepuściła bajońskie sumy. Facet o imieniu Frank i mięsistej, trochę dziecinnej twarzy podobno spalił dwadzieścia tysięcy koron; upłynęło trochę czasu, zanim zrozumiałem, że „spalił” oznacza właśnie, że zniszczył je w ogniu, dokładnie to. Inny, jak mówili, posrał się w windzie, i tu również dopiero po chwili pojąłem, że trzeba to przyjąć dosłownie, facet był tak pijany, że regularnie się posrał. Sądząc po dalszej rozmowie, tego rodzaju przypadki nie należały do rzadkości, z tego co rozumiałem, szczególnie Frankowi często zdarzało się tak upić, że budzenie się we własnym gównie nie było dla niego niczym niezwykłym. Jego matka, ta starsza nauczycielka z naszej szkoły, miała, zdaje się, niezbyt łatwe życie, bo Frank ciągle z nią mieszkał. Historie Hege były inne, ale przez to wcale nie mniej dziwne. Na przykład ta o przyjaciółce, która tak strasznie bała się egzaminu, że Hege zabrała ją do lasu i uderzyła kijem w głowę, żeby umożliwić tamtej usprawiedliwienie nieobecności.

Obserwowałem ją, kiedy opowiadała. Czyżby drwiła sobie z nas? Ale nie, raczej na to nie wyglądała. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się szeroko. Potem zmrzyła oczy, lekko marszcząc nos, znów je otworzyła, uśmiechnęła się i odwróciła głowę. Co to miało znaczyć? Czyżby to był jakiś odpowiednik puszczenia oka? Może sygnal, że mam nie wierzyć we wszystko, co słyysz?

Powiedzieć o nich, że się dobrze znali, to za mało. Oni się znali jak łyse konie. Wychowywali się razem, chodzili razem do szkoły, razem pracowali, razem się bawili. Widzeli się w zasadzie codziennie i w zasadzie przez całe swoje życie. Znali swoich rodziców i dziadków, wielu z nich było rodzeństwem ciotecznym albo trochę dalszymi kuzynami. Można by przypuszczać, że będzie tu nudno, na dłuższą metę wręcz nieznośnie nudno, bo przecież tu się nie działo nic nowego, wszelkie wydarzenia dotyczyły tych dwustu pięćdziesięciu osób, które tu mieszkały i które znały swoje najdrobniejsze tajemnice i dziwactwa. Wyglądało jednak na to, że jest przeciwnie, jakby świetnie się tym wszystkim bawili, a panujący między nimi nastrój cechował się pogodą i beztronską.

Siedząc z nimi, w myślach układałem zdania, które zamierzałem napisać w listach i wysłać na południe. „Wszyscy mieli wąsy! Naprawdę! Wszyscy!” albo: „Wiesz, jakiej muzyki słuchali? Bonnie Tyler! I Dr. Hook! Ile lat temu ta muzyka rozbrzmiewała gdzieś w świecie? Gdzie ja trafiłem? W jakieś miejsce kompletnie zapomniane przez Boga”. I: „Tutaj, mój przyjacielu, wyrażenie «posrać się» jest traktowane dosłownie. *Say no more...*”.

Kiedy w końcu wstałem, żeby iść do toalety, miałem już w sobie ponad jedną trzecią butelki wódki, toteż wpadłem na siedzącego obok mnie faceta, a że trzymał w ręku szklankę, trochę jej zawartości się wychlapało.

– Prze... przepraszam. – Wyprostowałem się, wyszedłem na środek salonu.

– Jedni mają skłonności do gadania, inni do picia – powiedział tamten rybak ze śmiechem.

Musiał mieć na myśli Nilsa Erika i mnie.

Gdy tylko trochę przyspieszyłem, z równowagą wszystko było w porządku.

Ale gdzie tutaj mógł być kibel?

Otworzyłem jakieś drzwi. Za nimi była sypialnia. Sypialnia Hege, pomyślałem i czym prędzej te drzwi zamknąłem. Naprawdę nie lubiłem zaglądać do cudzych sypialni.

– Łazienka jest po drugiej stronie – rozległ się jakiś głos z kuchni za moimi plecami.

Mężczyzna o piwnych oczach, gęstych, półdługich ciemnych włosach, z wąsami zwisającymi po obu stronach ust, patrzył wprost na mnie. To musiał być Vidar, partner Hege. Miał w sobie jakąś oczywistość przebywania w tym domu.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem.

– Nie ma za co. Byłoby tylko nie nasikał na podłogę.

– Postaram się. – Wszedłem do łazienki. Sikając, opierałem się o ścianę. Uśmiechałem się do siebie. Facet wyglądał jak basista z zespołu z lat siedemdziesiątych, Smokie czy coś takiego. Niewiarygodnie potężny.

Co Hege robi z takim macho?

Spuściłem wodę i leżałem się kołysząc, postałem przed lustrem. Znowu się do siebie uśmiechnąłem.

Kiedy wyszedłem z łazienki, okazało się, że reszta postanowiła już wyruszać. Rozmawiali o jakimś autobusie.

– Tu jeździ autobus o tej porze? – zdziwiłem się.

Remi odwrócił się do mnie.

– Autobus naszego zespołu.

– Macie tu zespół? Grasz w nim?

– Jasne. Nazywamy się Autopilot. Przygrywamy do tańca w wiejskich świetlicach.

Zszedłem za nim po schodach. Zapowiadało się coraz lepiej.

– A na czym grasz? – spytałem, wkładając płaszcz w korytarzu.

– Na perkusji.

Objąłem go za ramię.

– To tak jak ja. To znaczy grałem. Dwa lata temu.

– Naprawdę?

– Tak – Cofnąłem rękę, nachyliłem się i spróbowałem włożyć but. Wpadłem na kogoś. Znowu na Vidara.

– Przepraszam – powiedziałem.



– W porządku. Pamiętałeś o zabraniu swojej flaszki?

– Cholera, nie.

– To ta, prawda? – Uniósł butelkę wódki.

– Tak. Bardzo ci dziękuję! Bardzo!

Uśmiechnął się, oczy jednak miał zimne i obojętne. Ale to nie był mój problem. Odstawiłem butelkę na podłogę, skupiłem się na butach. Kiedy w końcu je włożyłem, wypadłem na jasną noc, na drogę, gdzie czekała już cała banda. Autobus stał zaparkowany na podjeździe sto metrów dalej. Któryś z rybaków otworzył drzwi i usiadł na miejscu kierowcy, całą resztą wsiedliśmy i ruszyliśmy w głąb wielkiego starego grata. Urządzono go kanapami, stołami i barkami, wszytko z pluszu i sklejki, tak przynajmniej wyglądało. Usiedliśmy, kierowca uruchomił warkotliwy silnik, wyciągnięto butelki i wyruszyliśmy w drogę, wzdłuż fiordu, z drinkiem w jednej ręce i papierosem w drugiej.

To było jak bajka.

Śpiewałem na całe gardło stary filmowy szlagier *Kiełbasiarzu, kiełbasiarzu, gdzieś ty się podział*, wywijając przy tym rękami i usiłując skłonić do śpiewu innych. Autobus skojarzył mi się ze starym filmem, w którym Leif Juster grał kierowcę autobusu, a także Leif Juster – z innym jego filmem, tym o zagubionym kiełbasiarzu.

Mniej więcej godzinę później autobus zajechał pod wiejską świetlicę, wyskoczyłem z niego i zniknąłem w zatłoczonym lokalu.

Kiedy się obudziłem, w pierwszej chwili niczego nie pamiętałem.

W głowie miałem pustkę.

Nie wiedziałem, jak się nazywam ani gdzie jestem. Wiedziałem jedynie, że się z czegoś przebudziłem.

Ale pokój wyglądał znajomo, to była sypialnia w moim mieszkaniu.

Jak się tu znalazłem?

Usiadłem, poczułem, że jeszcze ciągle jestem pijany.

Która może być godzina?

Co się stało?

Zasłoniłem twarz rękami. Musiałem się czegoś napić. Natychmiast. Ale nie miałem siły iść aż do kuchni, więc z powrotem opadłem na łóżko.

Byłem na tej przy gry wce, później siedziałem w autobusie. I śpiewałem. Śpiewałem!

O nie!

A potem położyłem mu rękę na ramieniu. Niby po kumplowsku. Ale przecież nie byliśmy kumplami. Nie byłem nawet mężczyzną. Tylko idiotycznym przybyszem z południa, który nie potrafi choćby porządnie zawiązać węzła. Z rękami cienkimi i jak słomki.

No nie, teraz już nieodwołalnie musiałem się czegoś napić.

Usiadłem. Ciało, ciężkie jak ołów, stawiało opór, ale zmusiłem się do opuszczenia stóp na podłogę, przytrzymałem się mocno myśli i popchnąłem samego siebie tak, żeby stanąć na nogi.

O cholera.

Tęsknota za łóżkiem okazała się tak silna, że musiałem zmobilizować całą wolę, jaka mi jeszcze została, żeby się z powrotem nie położyć. Tych kilka kroków do kuchni kompletnie mnie wykończyło, musiałem na chwilę oprzeć się o blat i tak postać, zanim znalazłem w sobie dość siły, żeby nalać wody do szklanki i wypić. Potem jeszcze raz i jeszcze. A teraz odległość do sypialni wydała mi się tak ogromna, że w połowie drogi się zatrzymałem i położyłem na kanapie.

Chyba nie zrobiłem nic złego, prawda?

Tańczyłem. Tak tańczyłem z najprzeróżniejszymi osobami.

Czy nie było wśród nich również kobiety po sześćdziesiątce? Do której się uśmiechałem i z którą wywijałem? Do której się przy ciskałem?

Była.

Cholera. Jasna cholera.

Niech to szlag.

Nagle poczułem się tak jakby ciśnienie we mnie narastało, i chociaż nie istniał żaden punkt będący źródłem bólu, zabolowało mnie wszystko, ból się rozprzestrzenił, był nieznosny i w końcu zaatakował mięśnie żołądka. Przełknąłem ślinę, podniosłem się, próbując go powstrzymać, potykając się, ruszyłem do łazienki, ciśnienie narastało, w końcu istniało już tylko ono. Podniosłem pokrywę sedesu, ukłęknałem, objąłem porcelanę ramionami i posłałem żółto-zieloną kaskadę prosto w wodę, która chlapnęła mi aż na twarz, ale to nie szkodziło, nic mi już nie szkodziło, tak cudownie było móc się opróżnić, tak fantastycznie i cudownie.

Osunąłem się na podłogę w łazience.

Boże, jak dobrze.

Ale znów zaczęło się to samo. Mięśnie żołądka wily się jak węże. Jasna cholera. Jeszcze raz nachyliłem się nad sedesem, dostrzegłem włos łonowy tuż przy przedramieniu, którym opierałem się o porcelanę, skurcze nie przestawały targać pustym żołądkiem, z jękiem otworzyłem usta, ale nic z nich nie wyszło.

Nagle bez ostrzeżenia chlusnęła ze mnie żółć, spłynęła po białej porcelanie, cienka strużka zwisała mi z ust, otarłem je i znów położyłem się na podłodze. Czy to już koniec? Już po wszystkim?

Tak

Nagle ogarnął mnie spokój niczym w kościele. Skulony w pozycji płodu na łazienkowej podłodze, pełną piersią chłonałem ten spokój, który spowił ciało.

Co robiłem z Irene?

Wszystko we mnie znów się spięło.

Irene.

Tańczyliśmy.

Mocno się do niej przy ciskałem, właściwie ocierałem się nabrzmiałym fiutem o jej brzuch.

I co?

Coś więcej?

Tę jedną scenę ze wszystkich stron zdawała się otaczać ciemność. Ją zapamiętałem, ale nic

z tego, co było wcześniej ani później.

Ale chyba nic złego się nie stało?

Wyobraziłem sobie Irene leżącą w rowie, uduszoną, w podartym ubraniu.

Co za bzdury!

Ale ten obraz wrócił. Irene w rowie, uduszona, w podartym ubraniu.

Jak mógł być tak wyraźny? Jej niebieskie spodnie okrywające cudowne pełne uda, rozerwana biała bluzka, fragment odsłoniętej, nagiej piersi, zupełnie puste oczy. Głina w rowie, wyrastające z niej rzadkie żółta trawy, żółte i zielone, chorobliwe światło późnej nocy.

Co za bzdury!

Czy nie stałem przy autobusie, kiedy zespół skończył grać i plac przed świetlicą wypełnił się roześmianymi i pokrzykującymi ludźmi?

Tak

I Irene też tam była!

Przecież się całowaliśmy!

Ja z butelką wódki w ręku, bo piłem prosto z gwinta. Irene złapała mnie za kłapę marynarki, była tym typem dziewczyny, który łapie za kłapy, a potem na mnie spojrzała i powiedziała...?

Co powiedziała?

O, do diabła!

Nie wiadomo skąd się biorąc, węże w brzuchu znów zaczęły się wić, a ponieważ nic już w nim nie było, jeszcze bardziej się wściekły i zacisnęły tak mocno, że jęknąłem. Objąłem sedes rękami, zwiesiłem głowę nad otworem, ale w środku byłem całkiem pusty.

– Do diabła! – wrzasnąłem. – Dajcie już spokój!

Wykrztusiłem z siebie porcję niewiarygodnie lepkiej żółci, wypłułem ją, licząc, że to już koniec, ale żołądek dalej wykręcał się na lewą stronę, więc próbowałem mu pomóc, charcząc, jakby coś utkwiło mi w gardle, bo gdybym jeszcze coś z siebie wydusił, może ten odruch wymiotny wreszcie by minął.

I znowu jęk

Kolejna porcyjka śluzu.

Już. Dosyć.

Koniec?

Tak

Ach.

Och.

Chwyciłem się brzegu umywalki i podciągnąłem. Opłukałem twarz zimną wodą i ledwie trzymając się na nogach, przeszedłem do pokoju, stosunkowo lekko, z lepszym samopoczuciem, znów położyłem się na kanapie, myśląc o tym, że muszę się dowiedzieć, która godzina, ale nie miałem na to siły, teraz najważniejsze było, aby organizm doszedł do siebie i dzień mógł się zacząć. Miałem przecież pisać kolejne opowiadanie.



Takie połączenie zapomnienia, pamiętanie zaledwie cząstki tego, co robiłem, miewałem od czasu, kiedy upiłem się pierwszy raz. Stało się to latem po skończeniu dziewiątej klasy, w trakcie Norway Cup, nieprzerwanie się wtedy śmiałem, to było fundamentalne doświadczenie, odurzenie alkoholowe zabrało mnie tam, gdzie czułem się wolny i robiłem, co chciałem, a jednocześnie podnosiło mnie na duchu i sprawiało, że wszystko wokół mnie wydawało się cudowne. Stało się normą, że później pamiętałem jedynie fragmenty i urywki, pojedyncze sceny, jaskrawo oświetlone na tle ciemnej ściany, z której się wyłaniałem i za którą znikalem. I tak to trwało. Kolejnej wiosny poszedłem z Janem Vidarem na miejski karnawał, mama umalowała mnie na Bowiego z płyty *Aladdin Sane*, miasto było pełne ludzi w czarnych perukach z lokami, kłujących spodniach i cekinach, wszędzie dudniły brazylijskie bębny wybijające rytm samby, ale w powietrzu wyczuwało się chłód, ludzie byli sztywni, przeważało ogromne skrępowanie, należało pokonywać je przez cały czas, i to było widać wśród przybyłych, którzy bardziej się wili, niż tańczyli, chcieli pokazać, że są wyzwoleni, o to im chodziło, ale się nie udawało, to były lata osiemdziesiąte, nowa epoka wyzwolenia, zwrócona ku przyszłości, kiedy wszystko, co norweskie, uważano za przygnębiające, a wszystko, co przychodziło z południa, za żywe i swobodne, kiedy jeden kanał telewizyjny, od dwudziestu lat informujący Norwegów o tym, co niewielki krąg uczonych w Oslo uważał za istotne dla nich, nagle zyskał otoczenie nowych, zupełnie innych kanałów, o wiele lżej podchodzących do życia, kanałów, które przede wszystkim chciały bawić i sprzedawać – te dwie wielkości od tej pory stopiły się w jedno, rozrywka i sprzedaż stały się dwiema stronami tego samego medalu, wchłaniającymi w siebie wszystko inne, co również zmieniło się w rozrywkę i sprzedaż, od muzyki po politykę, literaturę, wiadomości, zdrowie, tak, po wszystko. Karnawał uliczny podkreślał tę zmianę, przejście społeczeństwa od powagi lat siedemdziesiątych do bez troski dziewięćdziesiątych, a sam ów moment przejścia uwidaczniał się w nieporadności ruchów, w niepewności spojrzeń albo w dzikości i triumfie tych, którzy przezwyciężyli nieporadność i niepewność, a teraz kręcili chudymi tyłkami na platformach ciężarówek, wolno przejeżdżających ulicami Kristiansand w ten chłodny wiosenny wieczór, kiedy w powietrzu wyczuwało się mżawkę. Tak było w Kristiansand, podobnie jak we wszystkich szanujących się norweskich miastach pewnej wielkości. Karnawał był nowością, a miał się stać nową tradycją, tak mówiono, co roku ci sztywni biali ludzie mieli afirmować wyzwolone życie tak mocno, jak potrafili, stać na palach ciężarówek w przebraniach południowców, tańcząc i śmiejąc się przy wtórze bębnow, w które drażniąco i hipnotycznie walili eksdobsze ze szkolnych orkiestr dętych.

Nawet dwóch szesnastolatków takich jak Jan Vidar i ja rozumiało, że to smutne. Oczywiście niczego bardziej nie pragnęliśmy niż eksplozji południowego temperamentu w naszej rzeczywistości, bo przecież tak bardzo tęskniliśmy za rozkołysanymi piersiami i pośladkami, za muzyką i zabawą, i tak bardzo chcieliśmy być ciemnowłosymi, pewnymi siebie mężczyznami, którzy przebiegają w tych kobietach jak w ulegalkach. Byliśmy przeciwni chciwości,

sprzyjaliśmy szczodrości, występowaliśmy przeciwko ograniczeniom, opowiadając się za otwartością i wolnością. Mimo to jednak kiedy obserwowaliśmy te sceny, ogarniał nas smutek w imieniu naszego miasta i naszego kraju, bo tak mało było w tym powodów do dumy, trochę tak jakby całe miasto samo z siebie drwiło, w ogóle tego nie rozumiejąc. Ale my rozumieliśmy i posępni krążyliśmy po ulicach z małymi butelkami wódki wetkniętymi do kieszonek na piersi, powoli coraz bardziej pijani, przeklinaliśmy nasze miasto, głupich ludzi, którzy w nim mieszkali, ale cały czas wypatrywaliśmy znajomych twarzy, z którymi udałoby się nawiązać kontakt. To znaczy twarzy dziewcząt, a w ostateczności twarzy znajomych chłopaków w towarzystwie twarzy nieznanymi dziewcząt. Nasz projekt był z góry skazany na niepowodzenie, wiedzieliśmy, że nigdy w ten sposób nie poderwiemy żadnej dziewczyny, ale nie rezygnowaliśmy, zawsze pozostawała iskierka nadziei, a dopóki się tliła, szliśmy dalej, coraz bardziej pijani i coraz smutniejsi. I nagle w jakimś momencie sam sobie zniknąłem z oczu. Nie zniknąłem Janowi Vidarowi, bo on mnie widział, a kiedy o coś mnie pytał, nawet otrzymał odpowiedź, sądził więc, że wszystko jest w porządku, ale się mylił, zniknąłem, byłem pusty, zapadłem się w pustkę duszy, inaczej nie potrafię tego określić.

Kim się jest, kiedy się nie wie, że się jest? Kim się było, kiedy się nie pamięta, że się było?

Następnego dnia obudziłem się w mieszkaniu na Elvegaten i nie wiedziałem nic o niczym, miałem wtedy wrażenie, jakbym poprzedniego dnia na mieście urwał się ze smyczy.

Zdawałem sobie sprawę, że mogłem zrobić wszystko, bo będąc tak pijany jak w dniu karnawału, nie miałem w sobie żadnych granic, robiłem po prostu to, co wpadło mi do głowy, no a co może człowiekowi nie wpaść do głowy?

Zadzzwoniłem do Jana Vidara. Spał, ale ojciec ściągnął go z łóżka do telefonu.

– Co się działo? – spytałem.

– No... – przeciągał. – W zasadzie nic, prawda? Właśnie dlatego było tak nudno.

– Z ostatniej części nic nie pamiętam. Film mi się urwał gdzieś po drodze do portu, na Silokaia.

– Naprawdę? Nic?

– Nic.

– Nie pamiętasz, że stałeś na ciężarówce i wszystkim pokazywałeś gołą dupę?

– Naprawdę?

Roześmiał się.

– Nie, jasne, że nie. Uspokój się, nic się nie stało. A zresztą tak Kiedy wracaliśmy do domu, odginałeś wszystkie lusterka w samochodach na całej ulicy. Ktoś na nas krzyknął i uciekliśmy. Nic po tobie nie było widać, w ogóle się nie zorientowałem. Aż tak się upiłeś?

– Tak, to przez wódkę.

– Ja zasypiam, kiedy jestem taki pijany. Ależ to był straszny wieczór! Nigdy więcej nie wyciągniesz mnie na karnawał, tyle jest przynajmniej pewne.

– Wiesz, co myślę?

– Nie.

– Kiedy w przyszłym roku znów będzie karnawał, i tak na nim będziemy. Nie stać nas na to, żeby nie iść. W tym zaszranym mieście tak mało się dzieje.

– To prawda.

Zróżczyliśmy się i poszedłem zmyć z twarzy błyskawicę *Aladdin Sane*.

Kolejny raz tak się upiłem w wieczór świętojański, również z Janem Vidarem. Powlekliśmy się na gładkie skały poniżej lasu koło Hånes, każdy z torbą piwa w rękę, tam łąziliśmy, popijaliśmy i marziliśmy na padającym gęsto letnim deszczu, wśród kumpli Øyvinda i kilku innych chłopaków z Hamresanden, którzy znaleźli się w tym miejscu przez przypadek. Øyvind wybrał akurat ten wieczór na zerwanie ze swoją dziewczyną, Lene, która siedziała na kamieniu w pewnej odległości od reszty i płakała. Podszedłem, żeby ją pocieszyć, siadłem przy niej i gładząc ją ręką po plecach, mówiłem, że są jeszcze inni chłopcy, że niedługo o tym zapomni, że jest taka młoda i śliczna. Popatrzyła na mnie z wdzięcznością i pociągnęła nosem, pożałowałem wtedy, że jesteśmy na dworze, a nie w jakimś pomieszczeniu, gdzie są łóżka, a skoro już jesteśmy na dworze, to szkoda, że pada. Nagle Lene spojrzała na swoją kurtkę i zaczęła krzyczeć, całe ramię miała we krwi i jak się okazało, plecy także. To była moja krew, skaleczyłem się w rękę, chociaż w ogóle tego nie poczułem, i krew się lała. Ty cholerny idioto, powiedziała Lene, wstając. To nowusienka kurtka, wiesz, ile kosztowała? Przepraszam, nie chciałem, tłumaczyłem. Chciałem tylko trochę cię pocieszyć. Idź do diabła, warknęła i dołączyła do reszty. W trakcie wieczoru Øyvind łaskawie zgodził się przyjąć ją z powrotem, ja natomiast nie ruszyłem się z miejsca i piłem sam, wpatrzony w szarą powierzchnię morza, na której deszcz nieustająco rysował małe, delikatne kółeczka. W końcu przysiadł się do mnie Jan Vidar i mogliśmy kontynuować naszą ciągnącą się od lat rozmowę o dziewczynach, o tym, które są fajne, a które nie i z którymi najchętniej byśmy się przespali, powoli upijaliśmy się coraz bardziej, aż w końcu wszystko się rozpuściło i zmieniło w upiorny świat rodem z krainy duchów, w który się zapadłem.

Upiorny świat: kiedy w nim byłem, wchłaniał mnie całego, a kiedy się budziłem i opuszczałem go, niewiele z niego pamiętałem, tu jakąś twarz, tam ciało, pokój, schody, tylne podwórze, wszystko blade, ale jaśniejące, w otoczeniu morza ciemności.

Cholera, to prawdziwy film grozy! Czasami przypominałem sobie najdziwniejsze szczegóły, na przykład kamień na dnie strumienia czy butelkę oliwy z oliwek na kuchennej półce, zwykłe, codzienne przedmioty, reprezentujące jednak coś, co trwało całą noc. Zostawały z niej jedynie te dziwactwa. Co ten kamień miał w sobie? Albo ta butelka? Pierwsze dwa razy, kiedy się tak zdarzyło, nie czułem lęku, po prostu zarejestrowałem to jako neutralny fakt. Ale kiedy się powtarzało, zaczęło mi się kojarzyć z czymś strasznym, ponieważ tak całkowicie traciłem kontrolę nad sobą. Nie, nic się nie stało i z pewnością nic nie miało się stać, ale faktem było, że w ogóle nie panowałem nad tym, co robię. Jeśli byłem z gruntu dobry, to byłem dobry również w takim stanie, ale czy byłem z gruntu dobry? Tak n a p r a w d e ?

Z drugiej strony czułem również dumę, bo przecież upijanie się od czasu do czasu do nieprzytomności to wyróżnik tych fajnych.

W tamte walcje, kiedy skończyłem szesnaście lat, pragnąłem właściwie tylko trzech rzeczy. Pierwsza – mieć dziewczynę. Druga – przespać się z którąś. Trzecia – upijać się.

A szczerze mówiąc, zależało mi tylko na dwóch: na przespaniu się z jakąkolwiek dziewczyną i na upijaniu się. Zajmowałem się mnóstwem innych rzeczy, miałem wielkie ambicje dokonania czegoś w różnych dziedzinach, lubiłem czytać, słuchać muzyki, grać na gitarze, oglądać filmy,

grać w piłkę, kąpać się i pływać z maską, wyjeżdżać za granicę, mieć pieniądze, kupować sobie ciuchy i sprzęt, ale we wszystkim tym chodziło właściwie o jak najlepsze samopoczucie, o to, by czas płynął w sposób najatrakcyjniejszy, i wszystko to było fajne, ale koniec końców, kiedy przychodziło co do czego, to n a p r a w d ę pragnąłem jedynie tych dwóch rzeczy.

Nie. Koniec końców, chodziło mi wyłącznie o jedno.

Chciałem się przespać z jakąś dziewczyną.

Tylko tego pragnąłem.

Płonąłem w środku, a ten pożar nigdy nie gasł. Nawet we śnie rozpałały się we mnie płomienie, wystarczyło mignięcie piersi w marzeniu sennym i już miałem wytrysk, leżąc w łóżku w swoim pokoju.

O nie, znów, myślałem za każdym razem, budząc się w zabrudzonych slipach, lepjących się do skóry i włosów. Praniem moich ubrań zajmowała się mama i początkowo zawsze starannie płukałem slipy, zanim wcisnąłem je do kosza na brudną bieliznę, ale również podejrzane mogło się wydać to, dlaczego trafiają tam mokre gacie, mama mogła się nad tym zastanawiać, więc w końcu z tego zrezygnowałem i zacząłem wrzucać od razu do kosza przesiąknięte spermą slipy, które po kilku godzinach robiły się kruche, jakby pokryte solą czy czymś podobnym, i chociaż musiała to zauważyć, bo zdarzało się to co najmniej dwa, a zwykle trzy razy w tygodniu, myśl o jej zdumieniu odsuwałem od siebie w momencie, gdy zamykałem pokrywę kosza. Mama nigdy o tym nie wspominała, ja też; tak zresztą było z wieloma rzeczami i z pewnością musiało tak być w tym domu, w którym mieszkaliśmy we dwoje: o jednych sprawach się mówiło, komentowało je i rozważało, usiłowało zrozumieć, o innych się nie mówiło, nawet się o nich nie wspominało i nie podejmowało próby ich zrozumienia.

Popęd miałem wielki, ale krążył po pustych salach niewiedzy, w których to, co się działo, po prostu się działo. Oczywiście mogłem spytać o radę Yngvego, był o cztery lata ode mnie starszy i o wiele, wiele bardziej doświadczony. On już to zrobił, wiedziałem. Ja nie. Więc dlaczego się go nie poradziłem?

To nie wchodziło w rachubę. Należało do tych rzeczy, które nie mieściły się w głowie. Z jakiego powodu, nie wiedziałem, ale tak było. A poza tym co pomogłaby rada? Pewnie przypominałaby radę dotyczącą wspinaczki na Mount Everest: najpierw idziesz w prawo, potem już prosto do góry i wkrótce tam jesteś.

Oddałbym wszystko za możliwość przespania się z jakąś dziewczyną. Właściwie z jakąkolwiek. Czy stałoby się to z kimś, kogo kochałem, czyli z Hanne, czy z jakąś dziwką, było bez żadnego znaczenia, nawet gdyby miało nastąpić w ramach satanistycznego rytuału wtajemniczenia z kozią krwią i kapturami, zgodziłbym się w tym uczestniczyć. Ale to nie spadało samo z nieba, to trzeba było sobie samemu wziąć. W jaki dokładnie sposób, nie wiedziałem, więc wpadałem w błędne koło, bo z niewiedzy wynikała niepewność, a jeżeli coś działało dyskwalifikująco, coś, czego dziewczyny sobie nie życzyły, to właśnie niepewność. Tyle już rozumiałem. Należało być pewnym, zdecydowanym, przekonującym. Ale jak to osiągnąć? Jak, na miłość boską, do tego dotrzeć? Jak przejść od stania przed dziewczyną w świetle dziennym w pełnym ubraniu do kochania się z nią w ciemności kilka godzin później? Te dwa stany dzieliła otchłań. Kiedy



widziałem dziewczynę stojącą przede mną w dziennym świetle, to w rzeczywistości znajdowałem się na krawędzi bezdennej otchłani. Gdybym się w nią rzucił, nie wydarzyłoby się nic innego, oprócz tego, że bym spadł, prawda? Ona przecież nie wysłaby mi naprzeciw, widząc, jak bardzo się boję, wycofałaby się, zamknęła w sobie albo zwróciła ku innemu. Ale tak naprawdę, myślałem, tak naprawdę oba te stany dzieli nie i e w i e l k a odległość. Wystarczy ściągnąć jej przez głowę T-shirt, rozpiąć biustonosz i spodnie, a potem zsunąć je z niej – i już będzie naga. Potra to dwadzieścia sekund, góra trzydzieści.

Bardziej zdradzieckiego wyobrażenia nie było. Świadomość, że od jedynej rzeczy, której tak naprawdę szczerze pragnąłem, dzieli mnie zaledwie trzydzieści sekund, a zarazem oddziela otchłań, potrafiła doprowadzić mnie do szaleństwa. Dość często przylapywałem się na marzeniach o życiu w epoce kamiennej, kiedy wystarczyłoby, żebym wyszedł z pałką, walnął nią w głowę najbliższą znajdującą się kobietę i zaciągnął ją do chaty, aby następnie zrobić z nią to, co będę chciał. Ale to było nierealne, nie istniały tego rodzaju drogi na skróty, tych trzydzieści sekund stanowiło iluzję, podobnie jak niemal wszystko, co dotyczyło kobiet. Ach, jaką drwiną była ich dostępność dla oczu, lecz dla niczego więcej. Gdziekolwiek się człowiek obrócił, wszędzie były dziewczyny i kobiety. Wszędzie były piersi pod bluzkami, uda i biodra okryte spodniami, uśmiechnięte piękne kobiece twarze i włosy rozwiewane wiatrem. Piersi ciężkie, piersi jędrne, piersi okrągłe, piersi kołyszące się, piersi białe i ciemne... Nagi nadgarstek, nagi łokieć, nagi policzek, nagie oko, które się rozgląda. Nagie udo w szortach albo w krótkiej letniej sukience. Naga dłoń, nagi nos, nagie zagłębienie w szyi. Wszystko to dostrzegałem wokół siebie nieustannie, wszędzie dookoła dziewczyny, dostęp do nich był nieskończony, studnia, nie, całe morze kobiet, w którym się pławilem, codziennie widywałem ich kilkaset, a każda poruszała się w charakterystyczny dla siebie sposób, charakterystycznie stała, odwracała się, unosiła głowę, patrzyła, już same te ich oczy o zawsze wyjątkowym spojrzeniu, wszystko, co istniało i żyło w tej konkretnej osobie, uwidaczniało się w spojrzeniu, bez względu na to, czy było ono przeznaczone dla mnie, czy nie. Ach, to iskrzące spojrzenie! Ach, to mroczne spojrzenie! Błyszczące radością! Pociągająco mroczne! Albo nawet nieinteligentne i głupie! Bo również takie spojrzenia prowokowały, i to dość mocno, głupie, puste spojrzenia, rozchylone usta, idealnie piękne ciała.

Wszystko to stałe znajdowało się w pobliżu, a od wszystkich tych kobiet i moich związanych z nimi pragnień dzieliło mnie trzydzieści sekund, będących zarazem przepaścią.

Przeklinałem tę przepaść. Przeklinałem samego siebie. Ale bez względu na głęboką frustrację, na mrok, który temu towarzyszył, te kobiety nie przestawały jaśnieć.

Nagle pojawiła się szansa.

Kilka tygodni po tamtym ponurym wieczorze świętojańskim pojechałem z drużyną piłki nożnej do Danii na obóz treningowy. Miasto, do którego nas zawieziono, nazywało się Nykøbing i leżało na wyspie Mors na Limfjorden. Mieszkaliśmy na obrzeżach w jakimś schronisku, może w szkole z internatem, z wielkimi boiskami otoczonymi starymi, rzucającymi cień drzewami. Wieczorami niektórzy z nas się wymykali, chociaż nie mieliśmy na to pozwolenia, ale miasto było tak blisko, a dopóki punktualnie stawialiśmy się na wyznaczone zajęcia, patrzono na to przez palce, jeżeli w ogóle ktośkolwiek odkrył naszą nieobecność. Kupowaliśmy tanie wino w supermarketach, przesiadywaliśmy na dworze na ławkach, popijając je, chodziliśmy na dyskotekę w pobliżu. Już drugiego wieczoru poznałem Dunkę, która spotykała się ze mną co

wieczór do końca naszego pobytu, słiczną, pełną życia i energii. Obściskaliśmy się na ławce, tańczyliśmy na dyskotecie, pewnej nocy wybraliśmy się na spacer po parku, aż ostatniego wieczoru pomyślałem, że to się musi stać teraz, nie miałem innych możliwości, więc teraz albo nigdy.

W ten pożegnalny wieczór wszyscy opuścili kwaterę, zaczęliśmy od grillowania na plaży, kierownictwo postawiło nam piwo, a kiedy już zostało wypite, taksówkami pojechaliśmy do wielkiego lokalu położonego w lesie, niedaleko miejsca, w którym mieszkaliśmy. Dziewczyna obiecała, że przyjdzie, i przyszła, przywitała się ze mną na swój serdeczny sposób, stanęła na palcach, pocałowała mnie i złapała za rękę. Usiedliśmy przy stoliku, zacząłem wlewać w siebie wino, żeby nabrać odwagi do wykonania swojego planu. W barze zwierzyłem się Jøggemu i Bjørnowi, że spróbuję przemycić tę dziewczynę do pokoju, żeby ją przelecieć. Uśmiechnęli się i życzyli mi powodzenia. To był szczęśliwy wieczór, nad zielonymi drzewami wisiały ciężkie, szaroczarne chmury, pod lśniącymi koronami drzew chodzili ludzie, pili, śmiali się i tańczyli, pachniało potem i perfumami, dymem papierosowym i alkoholem, ona siedziała przy naszym stoliku i rozmawiała z Haraldem, ale cały czas spoglądała w moim kierunku, rozjaśniła się, kiedy zobaczyła, że podchodzę z kolejną butelką wina. Brzuch mnie bolał, gdy przy niej siadałem. Nachyliła się, pocałowaliśmy się, już chciałem nalać jej wina do kieliszka, ale zakryła go ręką, bo nazajutrz szła do pracy. Coś jej się przypomniało, spytała, czybym do niej nie zajrzał. Odpowiedziałem, że przecież jutro wyjeżdżamy. Zaprotestowała: Nigdzie nie pojedziesz. Zostaniesz tutaj, żeby być ze mną, przecież tu też możesz chodzić do szkoły! Albo poszukasz sobie pracy, co ty na to? Dobrze, odparłem, właśnie tak zrobimy.

Roześmialiśmy się i natychmiast zalała mnie fala rozpacz: już niedługo będziemy u mnie w pokoju. Już niedługo ona stanie tuż przy mnie i będzie szeptać, przekonana, że wiem, co robię.

– Masz ochotę się ze mną przejść? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– No a wino? – spytała.

– Przecież wrócimy. – Wstałem. Położyłem jej rękę na ramieniu i poniekąd wyprowadziłem ją z lokalu. Obejrzałem się i zobaczyłem Jøggego i Bjørna. Uśmiechnięci, podnieśli kciuki.

Kiedy wyszliśmy, popatrzyła na mnie.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Do lasu? – zaproponowałem. Ująłem jej drobną dłoń i ruszyliśmy. Jej piersi całowałem już wcześniej, na jakiejś ławce wsunąłem głowę pod jej sweter i całowałem wszystko, co tylko miałem w zasięgu ust. Śmiała się i mocno przyciskała moją głowę. Właśnie to robiłem z dziewczynami. Leżałem na nich, całowałem się z nimi, całowałem ich piersi. Tylko raz ściągnąłem jednej majtki i wsunąłem w nią palec, ale to już było dwa lata temu.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Co się stało? – spytała, obejmując mnie całym ramieniem. – Zimno ci?

– Może trochę. Ochłodziło się przecież.

Wielkie, ciężkie chmury, które gromadziły się od dawna, zatrzymały się nad lasem i wieczorny mrok między drzewami jeszcze zgęstniał. Nadciągnęły porywy wiatru, rozkołysały się gałęzie

nad naszymi głowami.

We mnie pulsowała krew.

Przełknąłem ślinę.

– Chcesz zobaczyć, jak mieszkamy? – wyduśłem z siebie.

– Chętnie.

Stanął mi, gdy tylko to powiedziała. Mocno wciskał się w spodnie. Znow przełknąłem ślinę.

O zmierzchu zewnętrzne światła na budynkach, w których mieszkaliśmy, były zupełnie żółte. Wydawało się, że latarnie otaczają aureole. Poczułem mdłości, a dłonie miałem zupełnie lepkie od potu. Ale wiedziałem, że muszę to zrobić.

Przystanąłem, objąłem ją, pocałowaliśmy się. Miała mały, śliski język. W członku pulsowało mi aż do bólu.

– To już tutaj – szepnąłem. – Na pewno chcesz ze mną wejść?

W jej oczach dostrzegłem błysk zdziwienia, ale nie protestowała, potwierdziła, że chce.

Znow ująłem ją za rękę, mocno uściśnąłem i szybkim krokiem pokonałem ostatnich dwieście metrów. Przy pustej recepcji przytuliłem ją, niemal dusząc się z pożądania. Jeszcze tylko przejść przez korytarz do pokoju, który zajmowałem z trzema innymi chłopakami. Wyjąc klucz, drżącą ręką włożyć go w zamek, obrócić, nacisnąć kławkę, pchnąć drzwi i wejść do środka.

– Już wróciłeś, Karl Ove? – spytał ze śmiechem Jøgge.

– Przeprowadziłeś gościa? – odezwał się Bjørn.

– Jak miło – powiedział Harald. – Napijesz się piwa, Lisbeth?

Nie mogłem nic powiedzieć. Oni też mieszkali w tym pokoju, mieli takie samo prawo tu być. Nie mogłem czynić im wyrzutów o to, że przybiegli tu z czystej złośliwości, bo wtedy wyszłoby na jaw, jakie plany miałem w stosunku do Lisbeth. I chociaż ona się pewnie tego domyślała, to jednak nie wypadało mówić o tym wprost, zwłaszcza przy innych, bo co by wtedy pomyślała, że ją wydałem przed kolegami?

– Co wy tu, do cholery, robicie? – spytałem.

Jøgge się uśmiechnął.

– A co wy tu robicie?

Spojrzałem na niego z wyrzutem. Siedział na łóżku i zginał się wpół ze śmiechu.

Harald podał Lisbeth piwo. Wzięła, uśmiechnęła się do mnie.

– Fajnie, że twoi koledzy też przyszli – powiedziała.

Co? Naprawdę tak myślała?

– Ktoś ma fajkę? – Rozejrzała się.

– My jesteśmy piłkarzami – oświadczył Harald. – Jedynie Karl Ove pali.

– Proszę. – Bjørn wypukał jednego prince'a mild ze swojego pudełka i podał Lisbeth.

Taka wspaniała szansa mogła się nie powtórzyć przez lata. A oni mi ją zepsuli z czystej, diabelskiej złośliwości.

Lisbeth włożyła rękę do tylnej kieszeni moich spodni i przysunęła się do mnie jeszcze bliżej.

Fiut znów naprężył mi się jakłom. Westchnąłem.

– Napij się piwa, Karl Ove – zaproponował Jøgge. – To było tak dla żartu.

– Wiem. Rzeczywiście, świetny żart.

Znów o mało nie pęł ze śmiechu.

Posiedzieliśmy w pokoju pół godziny, Lisbeth rozmawiała ze wszystkimi. Kiedy piwo się skończyło, wróciliśmy do tamtego baru. Koło pierwszej w nocy Lisbeth poszła do domu. My zostaliśmy aż do rana. Następnego dnia spotkaliśmy się na chwilę, wymieniliśmy adresy, a ona się rozplakała, chociaż nie bardzo, ale kilka łez spłynęło jej po policzkach. Objąłem ją.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Przecież niedługo możemy się spotkać w Løkken. Wystarczy, że się przeprawię promem. Chciałabyś?

– Tak – Uśmiechnęła się przez łzy.

– No to napiszę do ciebie i wszystko dokładnie ustalimy. Dobrze?

– Dobrze.

Pocałowaliśmy się, a kiedy się odwróciłem, już odchodząc, zobaczyłem, że stoi i za mną patrzy.

To z przyjazdem do nadmorskiego miasteczka Løkken było oczywiście bzdurą. Powiedziałem tak żeby choć trochę załagodzić sytuację. Lisbeth się dla mnie nie liczyła, byłem wtedy zakochany w Hanne i stan ten trwał całą zimę i wiosnę. Wszystko kręciło się wokół niej, pragnąłem jedynie być w jej pobliżu i wcale nie po to, żeby wciągnąć ją do łóżka. Nie chodziło nawet o nadzieję na pocałunek czy dotyk, liczyły się ten blask i to napięcie, które mnie wypełniały, kiedy ją widziałem, a które czasami wydawały mi się nie z tego świata, lecz zstępujące z jakiegoś innego. Nie bo jak inaczej to wyjaśnić? Była zwyczajną dziewczyną, takich jak ona musiały być tysiące, ale tylko ona, przez to, że była dokładnie taka, a nie inna, potrafiła wprawić moje serce w drżenie i rozświetlić mi duszę. Raz tej wiosny kłęknałem przed nią na asfalcie i spytałem, czy wyjdzie za mnie za mąż. Hanne prowadziła rower. Było ciemno i padał deszcz, szliśmy koło bloków na Lund, a kiedy to zrobiłem, tylko się roześmiała. Sądziła, że się wygłupiam.

– Nie śmieję się – powiedziałem. – Mówię poważnie. Możemy się pobrać. Możemy się wyprowadzić do domu na wyspie i po prostu tam być, we dwoje. Naprawdę możemy! Nikt nas nie powstrzyma, jeśli się na to zdecydujemy.

Znów się roześmiała tym swoim cudownym perlстым śmiechem.

– Karl Ove! Przecież mamy dopiero szesnaście lat!

Wstałem.

– Rozumiem, że nie chcesz. Ale ja mówię serio. Myślę wyłącznie o tobie. Tylko z tobą pragnę być. Mam udawać, że tak nie jest?

– Ale ja chodzę z innym i dobrze o tym wiesz.

– Wiem.

I rzeczywiście wiedziałem. Zgadzała się na te spacerzy ze mną tylko dlatego, że to jej

pochlebiało, ponieważ tak bardzo się różniłem od wszystkich innych jej znajomych. Nadzieja na to, że kóregoś dnia zwiąże się ze mną, coraz bardziej przygasła, lecz mimo to nie rezygnowałem, nigdy bym nie rezygnował. Kiedy więc stałem na pokładzie promu z Danii, na wietrze rozwiewającym włosy, mrużąc oczy przed niskim popołudniowym słońcem, ze wszystkich stron otoczony błękitnym morzem, myślałem o Hanne, nie o Lisbeth.

Po przyjeździe do Kristiansand nie zamierzałem bowiem wcale wracać do domu, tylko wybierałem się do domu letniskowego nad morzem na imprezę klasową, na którą najprawdopodobniej przyjechać miała również Hanne. W ciągu lata wysłałem do niej kilka listów, między innymi dwa z Sørbøvåg, gdzie włożyłem się samotnie z walkmanem nad rzeką i cały czas myślałem tylko o niej, wstawałem w nocy i wychodziłem pod rozgwieżdżone niebo, doliną rzeki szedłem do wodospadu, tam wdrapywałem się wysoko na skalną półkę, żeby siedzieć pod gwiazdami i za nią tęsknić.

Odpowiedziała mi widokówką.

Ale po przygodzie z Lisbeth moja wiara w siebie bardzo urosła i nawet widok potężnego morza nie mógł osłabić ani jej, ani też mojego ogromnego pragnienia, tak wielkiego, że wyganiało mnie nocami, każąc wędrować, i przyprawiało mnie o lzy na widok wszystkich pięknych istniejących na świecie rzeczy, których nie mogłem do niczego wykorzystać, lecz nie umiałem też spokojnie przetrwać.

– Cześć, Łoś! – odezwał się za moimi plecami Jøgge. – Chcesz ostatnie piwo?

Kiwnąłem głową, podał mi tuborga i stanął obok mnie.

Otworzyłem puszkę, odrobina piany zalała błyszczące wieczko, wyssałem ją, potem odchyliłem głowę i wziąłem potężny łyk

– Nic nie może się równać z czwartym dniem picia – stwierdziłem.

Jøgge zaśmiał się w ten swój dziwny sposób, jakby na wdechu, tak łatwy do naśladowania, że naśladowali go wszyscy.

– Niezła dziewczyna z tej Lisbeth – powiedział. – Jak ją poderwałeś?

– Poderwałem? Ja? Nigdy w życiu nie poderwałem dziewczyny. Pytasz niewłaściwą osobę.

– Obściskiwaliście się przez tydzień, zgodziła się przyjąć z tobą do pokoju. Jeśli to nie podryw, to ja już nic nie wiem.

– Ale przecież sam nawet nie kiwnąłem palcem! To ona! Po prostu do mnie podeszła i położyła mi rękę na piersi! O tak!

Dotknąłem dłonią jego torsu.

– Hej, przestań! – zawołał.

Roześmialiśmy się.

– No to ja już nic nie wiem – powtórzył. – Myślisz, że kiedykolwiek będę miał dziewczynę? Ale szczerze.

– K i e d y k o l w i e k ? S z c z e r z e ?

– Nie wygłupiaj się. Myślisz, że znajdzie się taka, która mnie zechce?

Jøgge jako jedyny ze znajomych chłopaków potrafił zadać takie pytania, i to na poważnie.

Zaskakiwał pełną otwartością i był bardzo miły, ale urodziwym mało kto by go nazwał. Eleganckim też. Mocny, takie określenie chyba najlepiej do niego pasowało. Solidny. Na sto procent godny zaufania. Inteligentny. Dobry człowiek z poczuciem humoru. Ale nie fotomodel.

– Jakaś musi się znaleźć – powiedziałem. – Po prostu za wysoko mierzysz, to twój problem. Ty byś chciał... no kogo?

– Cindy Crawford.

– Teraz to ty nie żartuj. Mów poważnie. O której najczęściej myślisz?

– O Kristin. Inger. Merethe. Wenche. Therese.

Rozłożyłem ręce.

– To przecież najładniejsze dziewczyny! Nigdy żadnej z nich nie dostaniesz! Ty le powinieneś zrozumieć!

– Ale mnie właśnie na nich zależy. – Uśmiechną się od ucha do ucha.

– To tak jak mnie.

– Coś ty? – Odwrócił głowę w moją stronę. – A ja myślałem, że tobie zależy wyłącznie na Hanne.

– To zupełnie coś innego.

– A co?

– Miłość.

– O Boże. Chyba wracam do reszty.

– Idę z tobą.

Siedzieli w kawiarni przy stoliku i grali w karty. Teraz pili tylko colę, bo już dopływaliśmy. Usiadłem z nimi, z Haraldem, z jego protegowanym Ekse, z Helgem i Torem Erlingiem. Nie lubili mnie. Z żadnym nie mógłbym się nigdzie spotkać, oprócz takich okazji jak ta. Tolerowali mnie, ale nic więcej, zawsze mieli na podorędziu jakiś złośliwy komentarz. Ale mnie to nie przeszkadzało, olewałem ich.

Z Jøggem było inaczej. Przez dwa lata chodziliśmy do tej samej klasy, dyskutowaliśmy o polityce, mało nie biorąc się przy tym za łby, on popierał prawicę, ja lewicę. O dziwo, lubił dobrą muzykę, na tej zapadłej wsi był jedyną znaną mi osobą, która miała jakiś gust. Stracił ojca w dzieciństwie, mieszkał z matką i młodszym bratem, dlatego zawsze ciążyła na nim duża odpowiedzialność. Czasami kumple próbowali mu dokuczyć, bo łatwo mu było dopiec, ale on się tylko z tego śmiał, więc rezygnowali. Grupa, w której teraz siedzieliśmy, zwykle stosowała wobec niego lekką, dobroduszną mobbing, a jeśli się odgryzał, przedrzeźniali jego śmiech. Cichł wtedy albo dalek się z nimi śmiał.

Tak to był fajny chłopak. Uczył się w średniej szkole handlowej, tak jak dwóch innych chłopców z drużyny, reszta chodziła do zawodówki. Napisałem mu kilka wypracowań, za które mi zapłacił, chodziło mu tylko o to, żeby nie były za dobre, bo nikt by nie uwierzył, że są jego dziełem. Raz rzeczywiście znalazł się w strefie zagrożenia, ponieważ na zadany temat napisałem mu wiersz, a jego nauczyciel stwierdził, że to trochę zbyt odległe od charakteru i natury Jøggego. Ale jakoś się wybronił, interpretacja wiersza, do której go zmuszono, była nawet rozsądna, więc dostał czwórkę.

Trochę się rozczarowałem, bo akurat w ten wiersz włożyłem kawałek duszy i sporo pracy. Liczyłem raczej na szóstkę. No ale to była handlówka, więc czego innego mogłem się spodziewać?

W kawiarniach w mieście być może odwracałbym głowę, widząc wchodzącego Jøggego, bo on był w innym typie, niewłaściwym, ale może sam miał tego świadomość? W każdym razie nigdy nie spotkałem się z nim w takich okolicznościach.

– Hej, Casanova, jeszcze jedno piwo? – spytał teraz.

– Dlaczego nie? – odpowiedziałem. – Ale wobec tego kim ty jesteś? Anty-Casanovą?

– *My name is Bøhn. Jørgen Bøhn* – odparł ze śmiechem.

Półtorej godziny później schodziłem na ląd w Kristiansand, z wielkim workiem marynarskim na plecach. Reszta jechała dalej, do Tveit, a ja się wybierałem na imprezę z Bassenem, który już na mnie czekał, kiedy przeszedłem przez cło.

– Cześć – powiedział.

– Cześć.

– Miałeś fajne lato?

– Takie sobie. A ty?

– Fajne.

– Jakieś laski? – spytałem.

– Jasne. Trafiły się ze dwie.

Roześmiał się. Poszliśmy na dworzec autobusowy, wsiedliśmy do autobusu, który nas zawiózł na inną przystań promową. Tego roku urządziliśmy sobie zawody, który z nas zaliczy obmacywanie większej liczby dziewczyn w klasie, rozmawialiśmy o tym trochę, siedząc na łei, popijając piwo i czekając, aż Siv przyłączy się do nas swoją łodzią. Nadciągająca noc była ostatnią szansą na zmianę układu sił, szala zdecydowanie przechylała się na korzyść Bassena; on zdążył obmacać siedem dziewczyn, ja tylko cztery.

Czasami zastanawiałem się, jak to będzie jesienią. Bassen miał iść do klasy o profilu przyrodniczym, ja – społecznym, a do tej pory byliśmy w tej samej klasie, więc nic dziwnego, że trzymaliśmy się razem.

Na jednej z pierwszych lekcji siedzieliśmy obok siebie i kiedy rozdano nam karteczki, na których mieliśmy wypisać trzy swoje cechy, Bassen nachylił się i przeczytał moją odpowiedź. Napisałem: „Ociężały, ospały, poważny”.

– Czyś ty kompletnie zgłupiał? – spytał wtedy. – Musisz koniecznie dopisać „Kompletny brak samoświadomości”! W życiu czegoś podobnego nie słyszałem! Przecież nie jesteś, do cholery, ani ospały, ani ociężały. Poważny też nie. Kto w tobie zaszczerpił takie przekonanie?

– A ty co napisałeś?

Pokazał mi swoją kartkę.

„Mocno stąpający po ziemi, szczerzy, diabelnie energiczny”.

– Wyrzuć tę kartkę! – polecił. – Nie możesz wypisywać takich bzdur.

Zrobiłem, jak powiedział. Na nowej kartce napisałem: „inteligentny, nieśmiały, chociaż nie do końca”.

– Teraz lepiej – ocenił. – O rany! Ociężały i ospały!

Kiedy pierwszy raz byłem u Bassena w domu późną jesienią, przepelniał mnie wręcz nabożny szacunek dla niego. Aż trudno było mi uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Ten chłopak miał w sobie wszystko, co sam chciałem mieć, i nawet później, kiedy częściej się widywaliśmy, ta myśl zawsze krążyła gdzieś w pobliżu. Również teraz. Jego obecność wypełniała mnie całego. Ujmowało mnie wszystko, co robił, każde spojrzenie, jakie rzucił, nawet to znudzone, skierowane ku morzu, nawet na nie zwracałem uwagę i myślałem o nim.

Dlaczego chciał się ze mną spotykać? Przecież we mnie nie było nic, co mogłoby mu się przydać.

Starałem się nigdy nie przedłużać wspólnie spędzanego czasu, żeby się nie zorientował, jaki w istocie jestem nudny. Dręczyło mnie coś w rodzaju gorączki, dwa całkowicie sprzeczne uczucia, tak było na przykład w tamto wiosenne przedpołudnie, kiedy zwagarowaliśmy z lekcji, motorowerem pojechaliśmy do niego do domu i słuchaliśmy płyt, leżąc na trawniku. Było fantastycznie, a jednocześnie czułem, że muszę to zakończyć, bo coś mi mówiło, że nie jestem tego wart, że nie potrafię temu sprostać. Dlatego leżałem na trawniku przed jego domem jak na szpilkach, z zamkniętymi oczami, i słuchałem Talk Talk, grupy, którą odkryliśmy jednocześnie. Śpiewała *It's My Life* i wszystko powinno być w porządku, była wiosna, miałem szesnaście lat, pierwszy raz poszedłem na wagary i leżałem na trawniku razem z moim nowym kumplem. Ale wcale nie było mi dobrze, raczej nieznośnie.

Bassen najprawdopodobniej sądził, że boję się reprimendy za wagary i pewnie dlatego zacząłem szykować się do odejścia. Skąd mógł wiedzieć, że było mi za d o b r z e? Że za b a r d z o go lubiłem?

Teraz nie odzywaliśmy się do siebie już mniej więcej od pięciu minut.

Skurciłem papierosa, żeby wypełnić to milczenie czymś naturalnym. Bassen zerknął na mnie. Z kieszeni koszuli wyjął paczkę prince'ów mild i wsunął jednego do ust.

– Masz ogień? – spytał.

Podaliśmy mu żółtą zapalniczkę Bic. Przypalił papierosa i wydmuchał chmurę dymu, która na kilka sekund zawisała przed nim w powietrzu, zanim się rozwiła.

– Co właściwie słycać u twoich starych? – spytał, oddając mi zapalniczkę. Wziąłem ją, zapaliłem swojego skurta, drugą ręką zgniotłem pustą puszkę i rzuciłem ją między kamienie przy brzegu.

Zmierch spowijał już pobliskie wyspy, przytłoczony niżem w powietrzu. Szara powierzchnia morza była zupełnie gładka. Puszka z brzękiem potoczyła się po kamieniach.

– Chyba w porządku – odparłem. – Tata jest teraz w domu w Tveit ze swoją nową dziewczyną. Mama w zachodniej Norwegii. Za kilka dni wraca.

– Będziecie dalej mieszkać tylko we dwoje?

– Tak



Zza cypla wyłoniła się łódź. Sterowała nią osoba o długich jasnych włosach, odcinających się od całej szarości otoczenia, a kiedy wstaliśmy, podnosząc worki, pomachała do nas i zawołała coś, co dzieląca nas odległość stu metrów zredukowała do ściszonego pisku.

To była Siv.

Wrzuciliśmy worki do łodzi, wsiedliśmy i dziesięć minut później już schodziliśmy na brzeg przy jej domku letniskowym.

– Jesteście ostatni – oświadczyła. – Nareszcie możemy usiąść do jedzenia.

Hanne już tam była. Siedziała przy stole, ubrana w białą koszulę i niebieskie dżinsy. Zobaczyłem, że grzywała jej urosła i zasłania czoło.

Uśmiechnęła się, nieco zawstydzona.

Pewnie przez te listy, które do niej napisałem.

Jedliśmy krewetki. Piłem piwo, a odurzenie, które we mnie narastało, było cięższe i jakby bardziej sięgało podstaw niż to, którego doświadczałem wcześniej, na pewno przez całe to picie w poprzednich dniach. Ogarniało nie tylko głowę i myśli, zaczynało się gdzieś daleko w głębi ciała i wolno rozpościerało, wiedziałem, że fala, która mnie zaleje, długo nie odpuści.

I tak się stało. Posprzątaaliśmy w salonie, tańczyliśmy, nad pasmem wysp zapadała noc, więc poszliśmy się kąpać po ciemku. Stałem na końcu trampoliny, nade mną było czarne niebo, pode mną czarna woda, a kiedy skoczyłem, miałem wrażenie, że nigdy nie dosięgnę jej tafli, cały czas tylko opadałem i nagle otoczył mnie słony chłód, nic nie widziałem, wszystko stało się czarne, ale nie było w tym żadnego niebezpieczeństwa, wystarczyło kilka ruchów rękami i wyłoniłem się na powierzchnię, zobaczyłem innych na brzegu, w ciemności przypominających niewyrośnięte, blade drzewka.

Hanne czekała z ręcznikiem, narzuciła mi go na ramiona. Usiedliśmy na skale nieco wyżej. Kilka dziewczyn kąpało się nago.

– One się kąpią bez niczego – powiedziałem.

– Widzę – odparła Hanne.

– A ty nie chcesz?

– Skąd. To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała.

Pauza.

Spojrzała na mnie.

– A ty byś chciał, żebym się wykąpała nago?

– Tak

– Tak właśnie myślałam. – Roześmiała się. – A sam nie możesz?

– Woda jest zimna. On się robi taki mały.

– On? – Uśmiechnęła się.

– Tak

– Dziwny jesteś – stwierdziła.

Znów milczeliśmy. Patrzyłem na wysepki, odrobinę ciemniejsze w swojej czerni niż niebo nad nimi. Nad horyzontem jaśniała smuga światła. Chyba nie wstawał już nowy dzień?

– Fajnie się z tobą tutaj siedzi – powiedziałem. – Kocham cię.

Zerknęła na mnie.

– To wcale nie jest takie pewne.

– Jak możesz nie mieć pewności? Przecież ja myślę wyłącznie o tobie. Kiedy wyjechałem do Vestlandet, i tak czułem się fantastycznie, chociaż ciebie tam nie było, bo wypemniałeś mnie aż po brzegi. Jakbym się tobą upił.

– W ogóle sporo pijesz – stwierdziła. – Nie mógłbyś bardziej się oszczędzać? Ze względu na mnie.

– Chodziło mi o to, że byłem pełen ciebie.

– Przecież zrozumiałam. Ale mówiąc poważnie, nie musisz chyba tyle pić?

– A czym mam się odurzać? Jezusem?

– Nie wygłupiaj się. Po prostu naprawdę troszczyć się o ciebie martwię. Chyba ci to nie przeszkadza?

– Nie.

Umilkliśmy. W trampolinie siłowały się dwie osoby. Domyśliłem się, że jedną z nich jest Bassen.

Obie wpadły do wody. Ci na brzegu zaczęły krzyczeć i klaskać.

Gdzieś w oddali błysnęła latarnia morska. Z tyłu, z otwartych drzwi domku, płynęła muzyka.

– Ty właściwie nic o mnie nie wiesz – stwierdziła Hanne.

– Wiem dość.

– Nie, widzisz kogoś innego. Nie mnie.

– Mylisz się. Pod tym względem się mylisz.

Długo na siebie patrzyliśmy, w końcu Hanne się uśmiechnęła.

– Dołączymy do reszty? – zaproponowała.

Z westchnieniem wstałem.

– Chociażby po to, żeby jeszcze się napić – powiedziałem. Podałem jej rękę i pomogłem wstać.

– Przecież obiecałeś.

– Niczego nie obiecywałem. Ale wiesz co?

– Co?

– Mogę potrzymać cię za rękę przez ten kawałek do domku?

– Możesz.

Włożyłem spodnie i samą marynarkę, a potem razem z Bassenem zacząłem tańczyć do *Don't You (Forget About Me)* Simple Minds. Hanne w tym czasie siedziała przy stole i trochę rozmawiała z Annette, a trochę się nam przyglądała.

Stanąłem przy niej i nalałem do szklanki wódki z sokiem.

– Bardzo seksownie wyglądasz w samej marynarce – stwierdziła.

– Ty też tak uważasz? – Spojrzałem pytająco na Annette.

– Nie. Oczywiście, że nie. Wy się chyba niedługo zaczniecie całować?

– Wygląda na to, że nie w tym życiu.

– No to może w niebie? – podsunęła.

– Ale ja nie wierzę w Boga – oświadczyłem.

Hanne się roześmiała, a ja podszedłem do Bassena, nachylnego nad kolekcją płyt.

– Znalazłeś coś? – spytałem.

– Nooo – mruknął. – Jest przynajmniej Sting. Ale muszę niedługo iść w kimono. Przecież jutro jadę do Anglii. Na ten prom nie chciałbym się spóźnić.

– Możesz chyba przespać się na promie – zauważyłem. – Nie musisz się kłaść już teraz.

– Dlaczego nie? – Roześmiał się. – Będziesz miał większą swobodę działania, kiedy się wycofam.

– I tak wygrałeś. Nie miałem nawet cienia szansy.

Wyjął z okładki płytę w koszulce i położył ją ukośnie na dłoni, krążek sam się wysunął. Opierając go na kciuku, a czterema pozostałymi palcami podtrzymując za etykietkę na środku, położył go na talerzu gramofonu.

– A jak ci idzie z Hanne? – spytał, przesunął ramię z igłą nad pierwszy rowek i wolniutko je opuścił za pomocą małej dźwigienki.

– W ogóle nie idzie.

– Wyglądaliście na bardzo szczęśliwych, kiedy tak siedzieliście na tej skałe.

– I na tym koniec.

Z głośników popłynęło *If You Love Somebody Set Them Free* i wkrótce tańczyli już wszyscy.

Nocowaliśmy na stryszu, drzemałem prawie do południa, a potem najdłużej jak się dało odwlekałem wyjazd, nie chciałem, żeby to się kończyło, chciałem tam być, chciałem, żeby ta radość, którą czułem, wciąż trwała, ale w końcu Siv musiała przewieźć na stały ląd ostatnią partię gości, więc wskoczyłem do łodzi. Podczas przeprawy w milczeniu siedziałem na dziobie, potem znalazłem sobie wolne miejsce z tyłu autobusu i z czołem przy ciśniętym do szyby patrzyłem na falujący krajobraz południowej Norwegii, który stopniowo nabierał coraz bardziej miejskiego charakteru, aż zatrzymaliśmy się na dworcu i przesiadłem się do autobusu jadącego do domu, gdzie mieszkał teraz tata z Unni.

Jeździłem tym autobusem prawie codziennie przez trzy lata, ale miałem wrażenie, jakbym to robił całe życie. Znałem każdy zakręt, niemal każde drzewo po drodze, a wiele osób, które wsiadały lub wysiadały, widywałem na tyle często, że się witaliśmy, chociaż poza tym nigdy nie zamieniliśmy ani słowa.

Na tej imprezie było tak fajnie. Chyba jeszcze nigdy tak dobrze się nie czułem.

Z drugiej strony to tylko impreza klasowa.

No ale była Hanne.

Przed zaśnięciem leżeliśmy w osobnych śpiworach i zwróceni twarzami ku sobie rozmawialiśmy szeptem może z godzinę. Hanne usiłowała nawet śmiać się szeptem, a ja wtedy myślałem sobie, że gotów byłbym teraz umrzeć; w niczym by mi to nie przeszkadzało.

– Mogę cię pocałować na dobranoc? – spytałem, kiedy wreszcie mieliśmy iść spać.

– W policzek – powiedziała.

Przysunąłem się na łokciach o kilka centymetrów, Hanne policzkiem obróciła się lekko w moją stronę. Powoli przybliżyłem głowę, ale w ostatniej chwili zmieniłem kierunek i wycisnąłem soczysty pocałunek na jej wargach.

– Ty oszuście! – Roześmiała się.

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc.

Tak było.

I chyba niemożliwe, żeby cały ten wieczór i noc nic dla niej nie znaczyły.

Musiała coś do mnie czuć.

Coś musiała czuć.

Wiele razy powtarzała, że jest we mnie zakochana. Mówiła, że mnie lubi, i to nawet bardzo, ale nic poza tym.

A teraz miała zmienić szkołę, przenieść się do liceum w Vågsbygd, tam gdzie mieszkała.

Przynajmniej ominie mnie udręka, jaką byłoby codzienne patrzeć na nią!

Autobus kierunkowskazem zasygnalizował zjazd w stronę Kjevik i w tej samej chwili tuż nad naszymi głowami przeleciał z hukiem samolot. W następnej sekundzie dotknął ziemi i pomknął po pasie z taką prędkością, że wydawało się, iż stoimy w miejscu.

Migoczące światła, huk silników. Żyliśmy w przyszłości.

Mogłem się od czasu do czasu spotkać z Hanne w mieście, mogliśmy zjeść razem obiad, iść do kina, a w sobotę przed południem popływać na basenie. Stopniowo powinna zacząć zdawać sobie sprawę, że jednak się we mnie kocha. Będzie chciała zerwać z tamtym, z płonącym wzrokiem oświadczyć, że teraz nic już nas nie rozdziela.

No ale co potem?

Kiedy już będziemy parą?

Będziemy się odwiedzać wieczorami, całować i jeść pizzę? Wychodzić do kina z jej przyjaciółmi?

To nie wystarczy.

Chciałem ją mieć całą. M i e ć. Nie jako element życia licealisty, ot, szkolną miłośćkę, bo Hanne znaczyła dla mnie więcej. Chciałem z nią mieszkać. Być z nią na okrągło przez całą dobę, dzielić z nią całe życie. I to nie w mieście, ze wszystkim, co się tam wokół nas bez przerwy działo, tylko na jakiejś wyspie, albo może w lesie, bez znaczenia, byle to było miejsce, w którym moglibyśmy być zupełnie sami.

Albo w Oslo, w wielkim mieście, gdzie nikt by nas nie znalazł.

Robiłbym zakupy, wracając z czytelnicy, no bo oczywiście bym studiował, a potem gotowałbym jej obiad w naszym własnym mieszkaniu.

Z czasem moglibyśmy mieć dziecko.

Autobus zatrzymał się przy niewielkim budynku dworca i wsiadł niewysoki mężczyzna w czapce z daszkiem i z niedużą walizką. Zapłacił kierowcy i pogwizdując, ruszył na tył autobusu. Usiadł na miejscu tuż przede mną.

Aż rozłożyłem ręce. Przecież cały autobus był pusty! Dlaczego musiał usiąść akurat tutaj!

Pachniał słodko wodą po goleniu, na szyi miał pełno pojedynczych włosków, płatki uszu grube i czerwone. Wieśniak z Birkeland.

Dziecko?

Przecież wcale go nie pragnąłem. Nie chciałem życia od dziewiątej do szesnastej, uważałem je za pułapkę, od której zamierzałem trzymać się z daleka, ale z Hanne to oznaczało co innego, z Hanne o co innego chodziło.

Nie, do diabła, oczywiście, że się nie pobierzemy, oczywiście, że nie zamieszkamy na wyspie, oczywiście, że nie będziemy mieć dziecka!

Uśmiechnąłem się. To musiała być najbardziej wariacka myśl, jaka kiedykolwiek przyszła mi do głowy.

Po drugiej stronie pasa startowego, zaraz za drogą, stał dom Jøggego. W oknach się świeciło, wychyliłem się lekko, żeby sprawdzić, czy przypadkiem przez moment go nie zobaczę. Ale jeśli dobrze go znałem, to pewnie leżał teraz na łóżku wodnym i słuchał Petera Gabriela.

Następnego dnia przed południem obudził mnie hałas odkurzacza pracującego w pokoju bezpośrednio przede mną. Leżałem dalej. Odkurzenie się skończyło, ale zastąpiło je podzwanianie butelek, szum zmywarki, woda nalewana do wiadra. Wróciłem do domu w trakcie przyjęcia, które zorganizowali ojciec i Unni. Ostatni obraz, jaki zapamiętałem, zanim przemknąłem na górę do swojego pokoju, to wykrzywiona twarz taty i Unni kładąca mu rękę na ramieniu. Pierwszy raz widziałem ojca pijanego i pierwszy raz widziałem, jak płacze.

Po pewnym czasie otworzyły się drzwi, na żwirze zachrzęściły kroki, a potem ich głosy rozległy się tuż pod moim oknem.

Stał tam stół z ławą, przy którym tata często siadywał latem, w charakterystyczny dla siebie sposób, z nogą założoną na nogę, lekko pochylonymi plecami, z gazetą w rękach i dymiącym papierosem w palcach.

Śmiali się. Jej jasny głos, jego ciemniejszy.

Wstałem i ostrożnie podszedłem do okna.

Niebo było odrobinę zamglone, jakby przyblakło o jeden ton, ale słońce świeciło, a nieruchome powietrze w ogrodzie drgało.

Otworzyłem okno.

Rzeczywiście siedzieli na ławie, plecami oparci o ścianę, z oczami zmrużonymi przed słońcem. Oboje mieli odchyłone głowy i słysząc mnie, spojrzeli w górę.

– Czyżby Kakłove wstał? – spytał tata.

– Dzień dobry, skównoneczku! – zawołała Unni.

– Dzień dobry – odpowiedziałem i umocowałem okno haczykiem. Nie podobał mi się sposób, w jaki ich głosy w pewnym sensie mnie objęły, jakbyśmy byli teraz razem we troje. A to przecież nieprawda, oni byli we dwoje, a ja na dodatek

Ale rola buntującego się nastolatka odpowiadała mi jeszcze mniej. Za skarby świata nie chciałem im dawać absolutnie żadnego powodu do czynienia mi wyrzutów o cokolwiek

Zjadłem w kuchni kilka kanapek, starannie po sobie posprzątałem, okruchy z talerza i ze stołu wysypałem do wiadra ze śmieciami pod zlewem, przyniosłem z pokoju walkmana, włożyłem buty, zawiązałem je i okrążyłem dom.

– Idę się przejść – oznajmiłem.

– Dobrze – powiedział tata. – Wybierasz się do jakiegoś kolegi?

Nie znał imienia żadnego z moich kumpi. Nawet Jana Vidara, z którym kolegowałem się od trzech lat, nie zapamiętał. Ale teraz, siedząc obok Unni, chciał się pokazać jako dobry, wtajemniczony w sprawy syna ojciec.

– Tak, chyba tak – odparłem.

– Jutro mam zamiar przewozić swoje rzeczy. Dobrze by było, żebyś nie wychodził z domu, bo mogę potrzebować pomocy przy noszeniu.

– Jasne. No to na razie.

Do żadnego kolegi się nie wybierałem; Jan Vidar tego lata pracował w piekarni, Bassen był w drodze do Anglii, Per prawdopodobnie miał robotę w fabryce parkietu, a co robił Jøgge, nie miałem pojęcia, ale nigdy nie wsiadłbym na rower i nie pojechał do niego bez żadnego konkretnego powodu. Pasowało mi jednak to, że pobędę trochę sam, więc założyłem słuchawki, włączyłem „play” i dając się porwać muzyce, ruszyłem w dół zbocza. Krajobraz był zupełnie nieruchomy, nieliczne chmury zastygły na niebie nad wzgórzami po drugiej stronie doliny. Szedłem dalej drogą, na niej również panował całkowity spokój, bo po tej stronie, oprócz gospodarstwa położonego kilometr dalej pod górę, w odległości kilkudziesięciu kilometrów nie było żadnego domu. Tylko las i woda.

Zieleń świerkowych igieł w blasku słońca była zupełnie jasna, a w cieniu prawie czarna, ale wszystkie drzewa miały w sobie jakąś lekkość, lato sprawiło, że nie stały zamknięte w sobie jak zimą, tylko pozwalały ciepłemu powietrzu się przenikać i wyciągały się ku słońcu jak wszystko, co żyje.

Skreśliłem w starą leśną drogę. Chociaż znajdowała się zaledwie paręset metrów ponad naszym domem, dotychczas szedłem nią nie więcej niż dwa albo trzy razy, w dodatku tylko zimą, z nartami na nogach. Nic się przy niej nie działo, nikt tu nie mieszkał, i żaden z miejscowych dzieciaków nie zapuszczał się w tę stronę, tylko w przeciwną, w dół, bo tam wśród ludzi mogło się coś wydarzyć. Pomyślałem, że gdybym tutaj się urodził, być może znałbym każdy krzak i każdą skałkę, tak jak w okolicy domu na Tybakken. Ale tutaj mieszkalem od trzech lat i nic we mnie nie zapadło, nic nie miało znaczenia, prawdziwego znaczenia.

Wyłączyłem muzykę i zsunąłem słuchawki na szyję. Nade mną powietrze było tak przesycone

ptasim śpiewem, iż dosłownie miałem wrażenie, że mogę je z o b a c z y ć. Chwilami coś szeleściło w zaroślach przy drodze, uznałem, że to pewnie też ptaki, ale żadnego nie widziałem.

Droga pięła się łagodnie, cały czas w cieniu wysokich drzew rosnących po obu stronach. Na samej górze było niewielkie jeziorko. Ułożyłem się na plecach w trawie przy brzegu, patrzyłem w niebo, słuchałem muzyki, *Remain in Light*, i myślałem o Hanne.

Musiałem napisać do niej kolejny list. I to tak dobry, że bym już nie schodził jej z myśli.

Następnego dnia, kiedy tata się wyprowadzał, właściwie nie potrzebował mnie do pomocy. Wszystkie kartony znosił sam, ładował do wynajętego wielkiego białego samochodu i woził je do miasta, obracał trzy razy; dopiero gdy przyszła kolej mebli, przydała mu się moja pomoc. Kiedy już je wstawił i zatrzasnął drzwi auta, spojrzął na mnie.

– Będziemy w kontakcie – powiedział.

Położył mi rękę na ramieniu.

Nigdy wcześniej tego nie robił.

Oczy mi zwilgotniały, spuściłem wzrok. Zabrał rękę, usiadł za kierownicą, zapuścił silnik i wolno ruszył w dół.

Lubił mnie?

Czy to możliwe?

Wytarłem oczy rękawem koszulki.

No i tyle, pomyślałem. Już nigdy więcej nie będę mieszkał razem z tatą.

Od skraju lasu przybiegł kot, z uniesionym ogonem. Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzął na mnie żółty mi ślepiami.

– Chcesz wejść, Mefisto? – spytałem. – Może zgłodniałeś?

Nie odpowiedział, tylko szturchnął mnie łebkiem w nogę, a kiedy mu otworzyłem, pobiegł prosto do miski i stanął przy niej, patrząc na mnie.

Otworzyłem mu świeżą puszkę, naładowałem furę do miski i wszedłem do salonu, gdzie w powietrzu ciągle jeszcze wisiał słaby zapach perfum, których używała Unni.

Wyszedłem na taras i stanąłem na schodach na zewnątrz. Chociaż słońce nie świeciło już na naszą działkę, ciągle było ciepło.

Pod górę szedł Per, prowadząc rower.

Zbliżyłem się do krawędzi skarpy.

– Pracowałeś? – zawołałem.

– W pocie oblicza mego! – odchrząknął. – Nie jestem taki, jak poniekąd wylegujący się całe dnie.

– Ile punktów do emerytury dziś zarobiłeś?

– Więcej, niż ty zbierzesz przez całe życie!

Widziałem, że się śmieje pod nosem. Takim już był typem, poza tym zawsze wydawał się starszy, niż wskazywał na to jego wiek.

Uniósł rękę na pożegnanie, ja też, i wróciłem do domu.

Tata zabrał dwa obrazy ze ściany w salonie. Połowę płyt, jak przy puszczałem, połowę książek. Wszystkie swoje papiery, biurko i przybory piśmienne. Kanapę sprzed telewizora, dwa skórzane fotele. Połowę sprzętów kuchennych. No i oczywiście wszystkie swoje ubrania.

Ale dom nie wyglądał na ogołocony.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon. Poszedłem odebrać.

– Halo, tu Karl Ove, słucham.

– Cześć, tu Yngve. Co słychać?

– Tata właśnie pojechał z ostatnim transportem. Mama niedługo przyjeżdża. Jestem sam z kotem. A ty gdzie?

– Jeszcze u Tronda. Pomyślałem, że może do was przyjadę. Właściwie zamierzałem zajrzeć jutro, ale skoro tata już się wyniósł, to może jeszcze dziś wieczorem.

– Przyjedź. Byłoby super.

– Zobaczą. Arvid ma mnie podrzucić, może znajdzie czas dzisiaj. Ale wobec tego dobrze. Ewentualnie widzimy się wieczorem.

– Świetnie.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem sprawdzić, co zostało w lodówce.

Kiedy godzinę później mama podjechała pod dom, miałem już usmażone kielbaski, cebulę i ziemniaki, nakrojony chleb i masło wystawione na nakryty stół.

Wyszedłem przed dom. Wjechała samochodem do garażu, wysiadła, stanęła na palcach, sięgnęła do uchwytu bramy i zamknęła garaż.

– Cześć – powiedziała. – Sam jesteś?

– Tak – odparłem.

– Fajnie było w Danii?

– Tak. A tobie w Sørbøvåg?

– Bardzo fajnie.

Nachyliłem się, żeby ją uściskać, i poszedłem za nią do kuchni.

– Zrobiłeś coś do jedzenia!

Uśmiechnąłem się.

– Siadaj. Masz za sobą długą drogę. Zaraz nastawię wodę na herbatę. Nie wiedziałem, o której dokładnie wrócisz.

– Może powinnam była zadzwonić. No ale opowiadaj. Jak było w Danii?

– Bardzo fajnie. Super boiska. Rozegraliśmy kilka meczów. A ostatniego dnia wieczorem poszliśmy się zabawić. Ale i tak najfajniejsza była impreza klasowa. Naprawdę świetna.

– Widziałeś się z Hanne?

– Tak. Właśnie dlatego było tak fajnie.

Uśmiechnęła się, ja też się uśmiechnąłem.



Zadzwoił telefon. Odebrałem.

– Cześć, tu tata.

– Cześć – zdziwiłem się.

– Jest już mama?

– Tak. Chcesz z nią rozmawiać?

– Nie, a o czym miałbym z nią mówić? Chcieliśmy spytać, czy nie przyszedłbyś do nas z wizytą w poniedziałek. Na obiad. Na taką małą parapetówkę.

– Chętnie. O której?

– O szóstej. A co z Yngvem? Miałeś od niego jakieś wieści?

– Nie, on chyba jeszcze jest na Tromøi.

– To jak się odezwie, przekaż mu, że też będzie mile widziany.

– Przekażę.

– No to dobrze. Trzymaj się.

– Cześć.

Odłożyłem słuchawkę. Jak mógł mieć taki zimny głos, skoro zaledwie kilka godzin temu położył mi rękę na ramieniu?

Wróciłem do kuchni, mama właśnie wlewała wrzątek do imbryka.

– Tata dzwonił – przekazałem.

– Tak?

– Zaprosił mnie na obiad.

– To chyba dobrze.

Wzruszyłem ramionami.

– Miałeś z nim latem jakiś kontakt?

– Nie, tylko z jego adwokatem – odparła, stawiając imbryk na stole. Usiadła.

– I co mówi adwokat?

– No... chodzi o podział domu. Nie możemy się porozumieć. Ale ty nie musisz się tym martwić.

– Nie muszę? Chyba wolno mi o tym myśleć, jeśli zechcę?

Łopatką do smażenia przeniosłem z patelni na talerz kilka kielbasek, ziemniaki i cebulę.

– Nie musisz zajmować stanowiska, raczej o to mi chodziło – wyjaśniła.

– Zająłem stanowisko już wiele lat temu. Kiedy miałem siedem lat, wtedy zająłem stanowisko. Więc to nic nowego. Żaden problem.

Wbiłem widelec w kawałek kielbaski mocno wygiętej od gorąca, podniosłem go do ust i ugryzłem.

– Ale jeśli nic się nie zmienia, to zanoszą się na to, że w przyszłości będziemy mieć raczej niewiele pieniędzy. To znaczy ty dostaniesz alimenty od taty. Chciałabym, żebyś mógł sam dysponować jak największą ich częścią, ale jeśli mam spłacić tacie dom, to moja sytuacja finansowa będzie naprawdę trudna.

– Nie szkodzi – powiedziałem. – To tylko pieniądze. Nie o to chodzi w życiu.

– Może i tak – Uśmiechnęła się. – Dobrze mieć takie nastawienie.

Yngve i Arvid pojawili się koło dziesiątej. Arvid ledwie zajrzał przez drzwi, żeby się z nami przywitać, i zaraz pojechał, a Yngve zaciągnął walizkę i wielką torbę do swojego pokoju, którego przez te trzy lata, kiedy tu mieszkaliśmy, prawie nie używał.

– Chyba nie wyjeżdżasz już jutro? – spytałem, gdy wrócił na dół.

– Nie, wylatuję pojutrze, to znaczy wylatuję jak wylatuję, liczę na wolne miejsce w samolocie.

Przeszliśmy do salonu. Usiadłem w wyplatany fotelu, Yngve obok mamy na kanapie. Za oknem dwa nietoperze fruwały to w jedną, to w drugą stronę, chwilami całkiem znikając w mroku nadciągającym od wzgórz za rzeką, i zaraz znów ukazując się na tle jaśniejszego nieba. Yngve nalał kawy z termosu.

– No dobrze – powiedział. – Chyba pora na jakieś małe sprawozdanie.

Przez cały okres dorastania siadywaliśmy we trójkę i rozmawialiśmy, byłem do tego przyzwyczajony, ale teraz tata już z nami nie mieszkał i różnica była ogromna. Pierwszy raz nie mogłem wejść w każdej chwili, nie musieliśmy cały czas uważać na słowa i ruchy, a to zmieniało wszystko.

Wcześniej też omawialiśmy każdy temat, ale nigdy nie mówiliśmy ani słowa o tacie. Taką była niepisana reguła.

Do tej pory nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Ale wtedy nie mogliśmy w nim rozmawiać, to było nie do pomyslenia.

Dlaczego?

Może miało to jakiś związek z lojalnością. Może ze strachem, że nas podsłucha. Ale bez względu na to, co się wydarzyło w ciągu dnia, i bez względu na to, jak bardzo byłem wyprowadzony z równowagi, nigdy nie poruszałem z nimi tego tematu. Owszem, z Yngvem w cztery oczy, ale naprawdę nigdy, kiedy taksiedzieliśmy we trójkę.

A teraz jakby otworzyła się tama. Wszystko nagle spłynęło jednym wąwozem w jedną dolinę, która szybko się wypełniła, nie pozostawiając miejsca na nic innego.

To Yngve zaczął mówić o tacie i wkrótce omawialiśmy kolejne incydenty, jeden po drugim. Yngve opowiedział, jak po otwarciu supermarketu B-Max tata wysłał go po zakupy z listą, pieniędzmi i surowym przykazaniem, że ma przynieść paragon. Przyniósł, ale reszta się nie zgadzała, więc tata wrzucił go do piwnicy i tam złożył mu skórę. Yngve opowiedział też, jak dostał lanie za przebicie dętki w rowerze. Ja nigdy nie dostawałem takiego lania, tata z jakiegoś powodu traktował Yngvego o wiele surowiej, ale opowiedziałem o tym, jak mnie policzkował i jak zamykał mnie w piwnicy, a sedno tych historii było niezmiennie takie samo: wściekłość taty wywoływał zawsze jakiś drobny szczegół, jakaś błahostka, dlatego właściwie było to dość komiczne, w każdym razie śmialiśmy się teraz, kiedy sobie o tym opowiadaliśmy. Raz zostawiłem w autobusie rękawiczki, dostałem w twarz, gdy się o tym dowiedział. Oparłem się w przedpokoju o delikatną etażerkę, aż się wywróciła, też mnie wówczas uderzył. A to było takie

niesprawiedliwe! Przyznałem, że cały czas żyłem w lęku przed nim, a Yngve na to powiedział, że tata od zawsze manipulował nim i jego myślami, do dzisiaj się to nie skończyło.

Mama się nie odzywała. Siedziała tylko i słuchała, patrząc to na Yngvego, to na mnie. Momentami stawała się jakby nieobecna. Już wcześniej słyszała o większości tych incydentów, ale kiedy się o nich opowiadało po kolei, działały być może bardziej przytłaczająco.

– On miał w sobie ogromny wewnętrzny chaos – odezwała się w końcu. – Większy, niż sądziłam. Widziałam, że jest wściekły, ale nigdy nie widziałam, jak was bił. Przy mnie nigdy was nie uderzył. A wy nigdy nic nie mówiliście. Ale starałam się zrównoważyć jego złość, dać wam coś w zamian...

– Spokojnie, mamó – powiedziałem. – Nic nam się nie stało. To już przeszłość. Teraz już tak nie jest.

– Zawsze dużo ze sobą rozmawialiśmy, ale mną też manipulował, naprawdę. I to bardzo. Miał też jednak świadomość swojego zachowania. I mówił mi o tym, więc ja... potrafiłam spojrzeć na wszystko, co się działo, również od jego strony. Skarżył się, że ma taki zły kontakt z wami, i twierdził, że to ja stoję na przeszkodzie. W pewnym sensie miał rację, bo zawsze to do mnie przychodziliście. Kiedy on się zjawiał, zmykaliście. Miałam z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Z tym co się działo dawniej, jakoś sobie poradziłem – oświadczył Yngve. – Ale gorzej było potem, kiedy się przeprowadziliście tutaj, a ja zostałem sam. Nie mogłaś mi wtedy pomóc. Miałem siedemnaście lat, chodziłem do liceum i byłem bez grosza przy duszy.

– Wiem – westchnęła mama. – Chciałam być lojalna w stosunku do waszego ojca. A w tej sprawie nie powinnam była. To mój błąd. Duży błąd.

– Daj spokój – powiedziałem. – To już minęło. Zostaliśmy tylko my.

Mama zapaliła papierosa. Spojrzałam na Yngvego.

– Co będziemy robić jutro?

Wzruszył ramionami.

– A na co masz ochotę?

– Może pójdziemy popływać?

– Albo wybierzemy się do miasta. Pochodzimy po sklepach z płytami, posiedzimy w kawiarni. – Spojrzał na mamę. – Pożyczysz mi samochód?

– Pożyczę.

\*

Mama położyła się pół godziny później. Wiedziałem, że cały czas myśli o naszej rozmowie i że przez to nie będzie mogła zasnąć. Nie chciałem, żeby tak się zadreczęła, bo wcale na to nie zasłużyła, ale nie dało się tu nic poradzić.

Kiedy usłyszeliśmy skrzywienie podłogi nad drugą częścią salonu, Yngve spojrzał na mnie.

– Pójdiesz ze mną zapalić?

Kiwnąłem głową.

Po cichu wyszliśmy do przedpokoju, włożyliśmy buty i kurtki. Wymknęliśmy się do ogrodu po przeciwnej stronie domu niż ta, w której była mama.

– Kiedy właściwie przyznasz się, że palisz? – spytałem, patrząc, jak płomień zapalniczki oświetla Yngvemu twarz i jak po jego zgaśnięciu czerwienieje żar.

Usłyszałem, że Yngve wydmuchuje dym.

– A ty?

– Ja mam szesnaście lat, nie wolno mi palić. Ale ty masz, do diabła, dwadzieścia!

– Dobrze, dobrze.

Poczułem się trochę urażony i zrobiłem kilka kroków w głąb ogrodu. Od krzewu z białymi kwiatami, rosnącego na końcu pola ziemniaków, bił ciężki zapach. Jak te kwiaty się nazywały? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Niebo było jasne, las po drugiej stronie rzeki ciemny.

– Widziałeś kiedyś, jak rodzice się obejmują? – spytał Yngve.

Wróciłem do niego.

– Nie. Nie przypominam sobie. A ty?

W półmroku zobaczyłem, że kiwa głową.

– Raz. To było w Hove, więc musiałem mieć pięć lat. Tata tak na mamę nakrzyczał, że zaczęła płakać. Stała w kuchni i szlochała. On poszedł do salonu, ale za chwilę wrócił, objął ją i pocieszał. To był jeden jedyny raz.

Ja też się rozplakałem. Ale było ciemno i plakałem bezgłośnie, więc Yngve się nie zorientował.

Przed wyjazdem do miasta poszedłem poszukać mamy. Chodziła po ogrodzie w wielkich roboczych rękawicach i małutkim sekatorem przycinała obrzeża rabatek.

– Dasz mi trochę pieniędzy? – spytałem. – Spłukałem się w Danii.

– Zobaczą, co mam – powiedziała i poszła po torebkę. Ruszyłem za nią.

– Pięćdziesiąt koron ci wystarczy? – Wyjęła z portfela zielony banknot.

– A nie masz setki? Chciałem sobie kupić płytę albo dwie.

Przeliczyła monety.

– Dziewięćdziesiąt. Niestety, więcej nie mam.

– No to niech będzie.

Poszedłem do samochodu, który już czekał z włączonym silnikiem, i usiadłem obok Yngvego w ray banach.

– Też sobie takie kupię, jak będę miał pieniądze. – Wskazałem na okulary.

Wolno ruszył w dół.

– Kupisz, jak dostaniesz pierwszą ratę kredytu studenckiego.

– To przecież jeszcze d w a l a t a!

– No to zacznij pracować. Idź układać deski w Boen, czy coś w tym rodzaju.

– Myślałem o recenzowaniu płyt – powiedziałem. – I o przeprowadzaniu wywiadów z zespołami.

– Tak? Pomysł niezły. A dla kogo?

– Dla „Nye Sørlandet”.

Jechaliśmy wąską drogą wśród drzew, mijaliśmy stare, pomalowane na biało domy, w dole cały czas migotała rzeka. Kiedy dotarliśmy do wodospadu i zobaczyłem kilka sylwetek na skale, spojrzałem na Yngvego.

– A nie możemy się później wykłapać? Zdążylibyśmy.

– Możemy. W Hamresanden, dobrze?

– Okej.

– Sprzedają tam lody?

– Jasne, że tak. Może nawet włoskie.

Zabrałem Yngvego do sklepu o nazwie Giełda Płyt, mieszczącego się w dawnym budynku giełdy, nie bez przyjemności wynikającej z tej sytuacji, bo tutaj to ja lepiej się orientowałem, wiedziałem, gdzie co leży i o co chodzi.

Podsunał mi płytę.

– Masz to?

– Nie. A co to jest?

– The Church. *The Blurred Crusade*. Musisz ją mieć.

– No dobra, to kupię.

Stać mnie było jeszcze na płytę w obniżonej cenie, więc kupiłem 77 Talking Heads. Yngve musiał się wstrzymać z kupowaniem czegokolwiek do czasu otrzymania kredytu studenckiego.

Usiedliśmy w kawiarni przed biblioteką, paliliśmy i piliśmy kawę. Liczyłem na pojawienie się jakichś znajomych, bo jeszcze Yngve gotów pomyśleć, że nie mam w mieście żadnych przyjaciół, chciałem też, by moi znajomi zobaczyli, że siedzę tu razem z nim.

Ale tego dnia najwyraźniej nikt nie wyszedł na miasto.

– W którym sklepie mama kupiła nam płyty na Gwiazdkę? – spytał Yngve. – Pamiętasz?

Pod choinkę Yngve dostał od mamy debiutancką płytę The The, a ja *Script of the Bridge* The

Chameleons. Nigdy wcześniej nie słyszałem o takim zespole, ale okazał się absolutnie fantastyczny. Podobnie było z Yngvem i The The. Kompletnie nie mieściło nam się w głowach, w jaki sposób mamie się to udało. W mieście nie było w zasadzie nikogo, kto by się lepiej orientował w muzyce niż Yngve i ja. A mama nam powiedziała, że po prostu weszła do jakiegoś sklepu z płytami, tam o p i s a ł a najpierw Yngvego, a potem mnie, i ekspedient polecił jej te dwie płyty.

Spytałem, który to był sklep, wyjaśniła mi, więc wybrałem się tam w okresie międzyświątecznym. Za ladą stał Harald Hempel. Wtedy zrozumiałem. Grał w Lily and the Gigolos, a tego, czego on nie wiedział o muzyce, nie warto było wiedzieć.

– To sklep na Dronningens gate – powiedziałem. – Zajrzymy tam?

– Ale tylko na chwilę.

Kiedy stamtąd odjeżdżaliśmy, wskazałem budynek w następnym kwartale.

– Tam się mieści redakcja „Nye Sørlandet”. Tej gazety, o której ci mówiłem.

Yngve zerknął we wskazaną stronę.

– Wygląda na niedużą – stwierdził.

– Tak, to druga gazeta lokalna w mieście. Mniej więcej taka jak „Tiden” w Arendal.

Spojrzałem w bok w Elvegaten, przy której mieszkał teraz tata, żeby sprawdzić, czy przypadkiem go nie zobaczę. Ale nie.

– Jak myślisz, co będzie lepsze? – spytałem. – Napisać podanie czy iść z nimi pogadać?

– Iść i pogadać.

– Okęj. Wobec tego tak zrobię.

– Słyszałeś, że Simple Minds przyjeżdżają? Do Drammenshallen.

– Nie.

– No właśnie. Jeszcze do tego daleko, ale bilety zaczną sprzedawać trochę wcześniej. Powinieneś się wybrać.

– Pewnie. A ty nie?

– Za daleko i za drogo. Ale dla ciebie to tylko przejazdka pociągiem.

– No to się wybiorę – oświadczyłem i usiadłem wygodniej.

Podczas jazdy usiłowałem sobie wyobrazić tę okolicę bez drogi, bez osiedli, tak jak kiedyś musiała wyglądać. Nietknięte mniejsze i większe zatoki, ogromne, może wręcz nieprzebyte obszary lasu. Plaża w Hamresanden jedynie jako pas piasku przy ujściu rzeki i wzdłuż zatoki morskiej. Bez przyczep kempingowych, namiotów, domków letniskowych, straganów i bez ludzi. Bez sklepów, bez stacji benzynowych, domów, kłopicy, bez niczego. Tylko las, góry, plaża i morze.

To było zupełnie niewyobrażalne.

– Zrezygnujemy z Hamresanden – powiedział Yngve. – Zgadzasz się? Mama na pewno już niedługo będzie czekać z obiadem.

– Możemy zrezygnować. I tak mam ochotę posłuchać tej płyty The Church.

Nigdy nie przeżywałem czyjegoś odjazdu równie głęboko jak mama, chyba że chodziło o Yngvego. Chociaż nawet wtedy nie targały mną gwałtowne uczucia, ogarniało mnie raczej coś w rodzaju smutku.

Nie odwiozłem go więc wraz z mamą na lotnisko Kjevik, tylko pojechałem rowerem do Jana Vidara i razem wybraliśmy się nad rzekę, na bystrze, i tam kąpaliśmy się dobrą godzinę. wodą podchodziliśmy przez bystrze do góry, a potem spływaliśmy nad równą, śliską od alg skałą, wciągani pod powierzchnię przez prąd, z którym nie dało się walczyć, można mu się było jedynie poddać, a najwyżej zrobić kilka ruchów w bok i powoli przemieszczać się do brzegu.

Później leżeliśmy na skałe z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków i suszyliśmy się na słońcu, obok nas stały nasze adidasy, w butach Jana Vidara leżały złożone okulary.

Tego dnia były tam również Merethe i Gunn. Leżały na gołej skałe sterczącej z samego środka bystrza, obie w bikini. Ich obecność nas podniecała, jakby wprowadzając nas w stan gwałtownego przyspieszenia, a jednocześnie przecież leżeliśmy nieruchomo. Skutek był sprzeczny z naturą. W każdym razie takie odnosiłem wrażenie.

Merethe miała czerwony kostium.

Była od nas o dwa lata młodsza, chodziła dopiero do ósmej klasy, teraz zdała do dziewiątej, ale jakie to miało znaczenie?

Nie mógłbym z nią chodzić, ale czy moje ciało się tym przejmowało?

Takie leżenie i gapienie się na nią było strasznie frustrujące. Patrzenie na jej uda, szersze, kiedy się rozpląszczyły na skałe, na ten maleńki obszar między nimi, na czerwony materiał przylegający do tego miejsca. No i na jej piersi.

Wstaliśmy, w nadziei, że na nas spojrzą i może pomyślą to samo co my. Ale one były tak zblazowane, tak światowe, że nawet my, Jan Vidar i Karl Ove, nie byliśmy warci zawieszenia oka. Wspięliśmy się na znajdujący się za nimi próg skalny, z którego spływała kaskada, pozwoliliśmy się porwać prądowi, pociągnął nas przez bystrze i wy niósł na szeroką, głęboką rzekę.

Dziewczynom nawet nie drgnęła powieka.

Ale do takich sytuacji zdążyliśmy się przyzwyczaić. To samo powtarzało się już trzecie lato z rzędu. Czuliśmy ból w środku, Jan Vidar przypuszczalnie również, w każdym razie wiał się i kręcił, kiedy leżeliśmy na skałe.

Nie mogliśmy już sobie powtarzać, że my też będziemy mieć szansę, bo w to nie wierzyliśmy.

Dlaczego chłopaki tak mi wszystko popsuli w Danii?

To było naprawdę szatańskie posunięcie. Przecież tak niewiele z tego mieli, dodatkową chwilę śmiechu, a mnie popsuli najważniejsze.

Opowiedziałem o tym Janowi Vidarowi.

Śmiał się.

– Dostałeś, na co zasłużyłeś. Jak mogłeś być taki głupi, żeby uprzedzić Bjørna i Jøggego?

– Wszystko się składało. Absolutnie wszystko. Naprawdę idealnie! No i... nic nie wyszło.

– Była taka fajna?

- Bardzo. Bardzo fajna.
  - Fajniejsza niż Hanne?
  - Tego się nie da porównać. To trochę tak jak porównywanie jabłek z gruszkami.
  - Co?
  - Nie można porównywać Hanne do jakiejś Dunki, którą chciałem przelecieć. Nie rozumiesz?
  - A z Hanne co byś chciał?
  - W żadnym razie nie chcę o niej rozmawiać w taki sposób.
- Uśmiechnął się i zamknął oczy.

Następnego dnia po południu pojechałem do taty. Byłem w białej koszuli, czarnych bawełnianych spodniach, białych trampkach. Żeby się nie czuć tak cholernie obnażony, jak zawsze się czułem w samej koszuli, wziąłem też ze sobą marynarkę, niosłem ją przerzuconą przez ramię, przytrzymując za wieszak. Było za gorąco, żebym mógł ją włożyć.

Wyskoczyłem z autobusu zaraz za mostem Lundsbrua i przeszedłem opustoszałą, jak zwykle latem, senną ulicą do domu, który tata miał do dyspozycji, a gdzie i ja mieszkałem minionej zimy.

Tatę zastałem w ogrodzie na tyłach domu, polewał płynną podpałką węgiel na grillu. Stał w samych niebieskich kąpielówkach, stopy wsunął w rozdeptane adidasy bez sznurowadeł. Również ten strój był bardzo dla niego nietypowy.

- Cześć – przywitał mnie.
  - Cześć.
  - Siadaj! – Skinieniem głowy wskazał mi ławkę przy ścianie.
- Kuchenne okno było otwarte, ze środka dobiegało podzwanianie szklanek i talerzy.
- Unni coś tam szykuje – wyjaśnił tata. – Niedługo przyjdzie.
- Oczy miał zamglone.

Odsunął się ode mnie o kilka kroków, sięgnął po leżącą na stole zapalniczkę i podpalił węgiel. Na grillu pojawił się płomień, niski, prawie przezroczysty, na samym dole niebieski. Wydawało się, że nie ma żadnego kontaktu z węglem, że unosi się w powietrzu nad jego kawałkami.

- Miałeś jakieś wieści od Yngvego?
- Tak – odparłem. – Zajrzał do nas na chwilę w drodze do Bergen.
- Tutaj się nie pokazał.
- Mówił, że chciałby zobaczyć, jak się urządziłeś, ale nie miał czasu.

Tata zapatrzył się w płomień, teraz już niższy. Potem się odwrócił i podszedł do mnie, usiadł obok na składanym krzeselku. Wy czarował skądś kieliszek do czerwonego wina i butelkę. Musiały stać w pobliżu na ziemi.

- Zrobiłem sobie dziś przyjemność i piję wino – oznajmił. – Jest przecież lato, no wiesz.
- Wiem.
- Twojej matce się to nie podobało.



– Tak?

– Tak, tak Uważała, że to nic dobrego, rozumiesz?

– Nie.

– No tak – Opróżnił kieliszek jednym haustem. – A potem Gunnar przyszedł tu węszyć. Później poleci od razu do dziadków i powie im, co widział.

– Na pewno chciał cię tylko odwiedzić.

Tata nie odpowiedział, znów napełnił kieliszek

– Schodzisz, Unni? – zawołał. – Mój syn jest tu z wizytą!

– Tak, zaraz – rozległo się z góry.

– Właśnie że przyszedł węszyć – powtórzył tata. – A potem będzie się podlizywał twoim dziadkom.

Trzymał kieliszek w dłoniach i patrzył prosto przed siebie.

Po chwili odwrócił głowę w moją stronę.

– Chcesz coś do picia? Może jakiejś oranżady? Chyba mamy butelkę w lodówce. Idź do Unni, zapytaj.

Wstałem, ucieszony, że mogę odejść.

Gunnar był rozsądnym i uczciwym człowiekiem, pod każdym względem przyzwoitym i porządnym, od zawsze, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Skąd więc ten nagły ataktaty na brata?

Ostre światło na tylnym podwórzu sprawiło, że po wejściu do kuchni początkowo nic nie widziałem nawet na wyciągnięcie dłoni. Unni na mój widok odłożyła szcztokę do zmywania, podeszła i mnie uściskała.

– Cieszę się, że cię widzę, Karl Ove. – Uśmiechnęła się.

Ja też się do niej uśmiechnąłem. Unni była ciepłą osobą. Zawsze kiedy ją widziałem, była w dobrym humorze, niemal radosna. I traktowała mnie jak dorosłego. Jakby szukała porozumienia ze mną. Podobało mi się to i nie podobało zarazem.

– I ja się cieszę – powiedziałem. – Tata mówił, że w lodówce jest oranżada albo coś podobnego.

Zajrzałem i wyjąłem stojącą tam butelkę coli. Unni wytarła szklankę i mi ją podała.

– Twój ojciec to wspaniały człowiek – oświadczyła. – Ale ty pewnie o tym wiesz.

Nie odpowiedziałem, tylko się uśmiechnąłem, a upewniwszy się, że brak odpowiedzi nie zostanie uznany za przejaw niechęci, znów wyszedłem przed dom.

Tata siedział jak wcześniej.

– Co mama mówiła? – spytał, znów jakby rzucając pytanie w powietrze.

– O czym? – Usiadłem, odkręciłem butelkę i nalałem tyle coli do szklanki, że aż musiałem odsunąć ją od siebie, żeby piana skapnęła na kamienne płyty.

On nawet nie zwrócił na to uwagi!

– No, o rozwodzie.

– Nic szczególnego – odparłem.

– Pewnie jestem potworem. Siedzicie i rozmawiacie o tym?

– Nie, w ogóle. Słowo honoru.

Cisza.

Ponad białym płótnem z desek widać było kawałek rzeki, zielonkawej w ostrym słońcu, i dachy domów stojących przy brzegu po drugiej stronie. Nad tym wszystkim górowały drzewa, te pięknie zielone stworzenia, których nigdy do końca się nie zauważa, mija się je tylko i rejestruje bez większego wrażenia, bez głębszego zastanowienia, podobnie jak na przykład psy czy koty, ale po namyśle należy stwierdzić, że przecież one są obecne w o wiele większym stopniu, w sposób wręcz przytłaczający.

Na grillu płomienie zniknęły już zupełnie. Niektóre kawałki węgla żarzyły się pomarańczowo, inne zmieniły się w szarobiałe poduszczyki, kilka wciąż pozostało tak samo czarnych jak wcześniej.

Zastanawiałem się, czy mógłbym zapalić papierosa. Miałem paczkę w wewnętrznej kieszeni marynarki. Na tamtej ich imprezie moje palenie przeszło. Ale to wcale nie oznaczało, że teraz byłoby tak samo w porządku.

Tata wypił. Poglądził się po gęstych włosach z boku na głowie. Dolał sobie wina, ale starczyło tylko na pół kieliszka, butelka była już pusta. Uniósł ją przed oczy, żeby przeczytać etykiętę. Wstał i zniknął we wnętrzu domu.

Pomyślałem, że muszę okazać mu tyle dobroci, na ile mnie stać, bez względu na to, co robił, będę dobrym synem.

To postanowienie zapadło jednocześnie z podmuchem wiatru, który nadciągnął od morza, i w pewien dziwny sposób te dwa zjawiska spłoty się dla mnie ze sobą, miały w sobie pewną świeżość, przynoszącą ulgę po długim dniu zawieszenia w bezruchu.

Tata wrócił, dopił resztkę wina pozostawioną na dnie kieliszka i dopiero wtedy dolał sobie nowej butelki.

– Dobrze mi jest teraz, Karl Ove – wyznał, kiedy usiadł. – Dobrze nam razem.

– Właściwie chyba to zauważyłem.

– No tak – odparł, ale już mnie nie słuchał.

Tata upiekł na grillu kilka befsztyków i zaniósł je do salonu, gdzie Unni nakryła stół białym obrusem, lśniącymi nowymi talerzami i kieliszkami. Dlaczego nie usiedliśmy w ogrodzie, nie wiedziałem, ale domyślałem się, że ma to jakiś związek z sąsiadami. Tata nigdy nie lubił być oglądany, a już na pewno nie w tak intymnych sytuacjach, do jakich zaliczał jedzenie.

Zniknął na kilka minut i wrócił w białej haftowanej bluzie, którą nosił wtedy na ich przyjęciu, i w czarnych spodniach.

Podczas gdy siedzieliśmy na dworze, Unni ugotowała brokuły i upiekła ziemniaki w piecyku. Tata nalał mi czerwonego wina. Stwierdził, że jeden kieliszek mogę wypić, ale nie więcej.

Pochwaliłem jedzenie, grillowane mięso miało wyjątkowy smak, zwłaszcza że było tak dobrej jakości.

– Na zdrowie! – powiedział tata. – Wypijmy za Unni!

Unieśliśmy kieliszki, spojrzeliśmy na siebie.

– I za Karla Ovego – dodała Unni.

– No to równie dobrze możemy wypić i za mnie – zaśmiał się tata.

To była pierwsza przyjemna chwila, poczułem rozlewające się po ciele ciepło. W oczach taty nagle pojawił się błyski z samego podniecenia zacząłem jeść szybciej.

– Bardzo nam miłutko we dwoje – stwierdził tata, kładąc rękę na ramieniu Unni, która się roześmiała.

Wcześniej określenie „miłutko” za nic nie przeszłoby mu przez usta.

Spojrzałem na swój kieliszek, był pusty. Zawahałem się, zorientowałem, że się waham, wetknąłem łyżeczkę w ziemniak, żeby to ukryć, i jakby w przedłużeniu tego ruchu niby przypadkiem sięgnąłem po butelkę z winem.

Tata nic nie zauważył. Wypiłem ten kieliszek dość szybko i nalałem sobie jeszcze jeden. Tata skręcał papierosa, Unni też. Siedzieli wygodnie oparci.

– Musimy mieć jeszcze butelkę – zarządził tata i wyszedł do kuchni. W powrotnej drodze uściaskał Unni.

Przyniosłem papierosy z marynarki, usiadłem i zapaliłem.

Tata znów nie zwrócił na to uwagi.

Wstał, wyszedł do łazienki. Stąpał niepewnie. Unni uśmiechnęła się do mnie.

– Jesienią zacznę uczyć norweskiego w pierwszej klasie – powiedziała. – Może mi coś podpowiesz? To będzie moja pierwsza klasa.

– Jasne.

Znów się uśmiechnęła, patrząc mi w oczy. Spuściłem wzrok, wypilem spory łyk wina.

– Bo ty się interesujesz literaturą, prawda? – ciągnęła.

– Tak. Do pewnego stopnia. Między innymi.

– Ja też. I nigdy nie czytałam więcej niż wtedy, kiedy byłem w twoim wieku.

– Aha.

– Pochłaniałam wszystko, co się dało. Myślę, że to były jakieś egzystencjalne poszukiwania, najbardziej intensywne akurat wtedy.

– No tak.

– Widzę, że znaleźliście wspólny język – usłyszałem głos taty z tyłu. – To dobrze. Musisz lepiej poznać Unni, Karl Ove. To naprawdę wspaniała osoba. Cały czas się śmieje. Prawda, że cały czas się śmiejesz, Unni?

– Nie cały. – Roześmiała się.

Tata usiadł, wypił łyk z kieliszka, spojrzenie w tej chwili miał puste jak u zwierzęcia.

Potem się nachylił.

– Nie zawsze byłem dla ciebie dobrym ojcem, Karl Ove. Wiem, że tak myślisz.

– Nie, wcale nie.

– Nie wygłupiaj się. Nie musimy dłużej udawać. Uważasz, że nie zawsze byłem dobrym ojcem, i masz rację. Wiele rzeczy zrobiłem źle. Ale wiedz, że zawsze się starałem, jak tylko mogłem. Naprawdę!

Spuściłem wzrok. W jego ostatnich słowach brzmiało niemal błaganie.

– Kiedy się urodziłeś, Karl Ove, jedną nóżkę miałeś wykrzywioną. Wiedziałeś o tym?

– Tak, trochę.

– Tamtego dnia pobiegłem do szpitala i wtedy zobaczyłem, że masz nóżkę odkręconą w niewłaściwą stronę. Założyli ci gips i leżałeś, taki maleńki, z zagipsowaną całą nogą. A kiedy ten gips w końcu zdjęli, to cię masowałem. Wiele razy w ciągu dnia, codziennie przez kilka miesięcy. Musieliśmy tak robić, żebyś w ogóle chodził. To ja cię masowałem, Karl Ove. Mieszkaliśmy wtedy w Oslo.

Po policzku popłynęły mu łzy. Zerknąłem na Unni, spojrzała na niego i uściśnęła go za rękę.

– W ogóle nie mieliśmy pieniędzy. Pamiętasz, musieliśmy zbierać owoce, a ja łowiłem ryby, żeby w ogóle związać koniec z końcem. Musisz brać pod uwagę również to, kiedy będziesz wspominał, jak nam się żyło. Starałem się, jak tylko mogłem, nie możesz myśleć, że było inaczej.

– I wcale tak nie myślę – oświadczyłem. – Wiele rzeczy się wydarzyło, ale to nic takiego strasznego.

Szybko podniósł głowę.

– Właśnie że tak! Nie zaprzeczaj! – Spojrzała na papierosa, którego trzymał w palcach, wziął ze stołu zapalniczkę, zapalił, z powrotem usiadł. – No, ale teraz w każdym razie jest milutko.

– To prawda – przyznałem. – A obiad był prawdziwą ucztą.

– Wiesz, Unni też ma syna – powiedział. – Prawie w tym samym wieku co ty.

– Nie mówmy teraz o nim – włączyła się Unni. – Teraz to Karl Ove jest tutaj.

– Ale to oczywiste, że Karl Ove chce o nim usłyszeć. Przecież będą prawie braćmi, prawda? Zgodzisz się ze mną, Karl Ove?

Kiwnąłem głową.

– To fajny chłopak. Poznałem go tydzień temu – dodał.

Nalałem sobie do kieliszka tak ostrożnie, jak tylko potrafiłem.

W jadalni zadzwonił telefon. Tata wstał, żeby odebrać.

– Oj! – westchnął, prawie tracąc równowagę, a do dzwoniącego telefonu rzucił: – Już odbieram, przestań tak hałasować!

Podniósł słuchawkę.

– Cześć, Arne – powiedział.

Mówił głośno. Gdybym chciał, słyshałbym każde słowo, ale nie chciałem.

– Ostatnio był pod ogromną presją – szepnęła Unni. – Musi odreagować.

– Rozumiem.

– Szkoda, że Yngve nie mógł przyjść.

„Yngve”?

– Musiał wracać do Bergen.

– Ależ mój drogi, zrozum... – Tata mówił teraz jeszcze głośniej.

– Kto to jest Arne? – spytałam.

– Mój kuzyn – wyjaśniła Unni. – Widzieliśmy się z nimi na początku lata. Są bardzo mili, na pewno ich poznasz.

– No tak

Tata wrócił i odkrył, że butelka z winem jest prawie pusta.

– Napijemy się trochę koniaku, tak po obiedzie, dobrze?

– Ty chyba nie pijesz koniaku? – zwróciła się do mnie Unni.

– Nie, chłopaknie może pić takiego mocnego alkoholu – stwierdził tata.

– Już piłem – oznajmiłem. – Latem. Na obozie treningowym.

Tata spojrział na mnie.

– Mama o tym wie? – spytał.

– Mama? – powtórzyła Unni.

– Możesz dostać kieliszek, ale nie więcej – zdecydował tata, patrząc na Unni. – Tak będzie dobrze?

– Jasne – odparłem.

Przyniósł koniak i kieliszki, nalał i rozsiadł się na głębokiej białej kanapie stojącej przy oknie wychodzącym na drogę, na której zmierzch jak woal przesłonił białe ściany domów po jej drugiej stronie.

Unni go objęła, drugą rękę położyła mu na piersi. Uśmiechną się.

– Widzisz, jak mi teraz dobrze, Karl Ove?

– Widzę. – Wzdrygnąłem się, gdy alkohol zapiekł na języku. Ramiona mi leciutko zdrzżały.

– Ale ona ma też temperament – dodał. – Prawda?

– Pewnie – potwierdziła z uśmiechem.

– Raz cisnęła budzikiem o ścianę.

– Bo lubię wszystko wyrzucić z siebie od razu.

– Jest inna niż twoja matka.

– Musisz ciągle o niej mówić? – spytała Unni.

– Nie muszę. A ty nie bądź taka delikatna. Przecież mam z nią syna. – Skłnął głową na mnie. – To mój syn. Chyba wolno nam porozmawiać?

– Oczywiście – powiedziała Unni. – Rozmawiajcie sobie, a ja się pójdę położyć.

Wstała.

– Ależ, Unni... – zaczął tata.

Zniknęła w drugim pokoju.

Wstał i wolnym krokiem ruszył za nią, na mnie w ogóle nie patrząc.

Słyszałem ich głosy dobiegające zza ściany. Ściszone, pełne złości. Wypilem koniak z kieliszka, jeszcze sobie dolałem i uważnie odstawiłem butelkę dokładnie w to samo miejsce, w którym stała wcześniej.

Ho, ho!

Krzyczał.

Wkrótce wrócił do mnie.

– Mówiłeś, że o której odjeżdża ostatni autobus? – spytał.

– Dziesięć po jedenastej.

– To niedługo. Może lepiej, żebyś już poszedł. Musisz zdążyć.

– Dobrze. – Wstałem. Musiałem szeroko rozstawiać nogi, żeby się nie zachwiać. Uśmiechnąłem się. – Dziękuję za miły wieczór – powiedziałem.

– Będziemy w kontakcie. Chociaż już razem nie mieszkamy, to między nami nic się nie zmieni. To ważne.

– No tak

– Rozumiesz?

– Tak Ważne, żebyśmy byli w kontakcie.

– Nie bujasz?

– Nie, nie. To ważne teraz, kiedy się rozwiedliście.

– Właśnie. Zadzwonię. No i zaglądam, kiedy będziesz w mieście, dobrze?

– Dobrze.

Przy wkładaniu butów o mało się nie przewróciłem, musiałem oprzeć się o ścianę. Tata już popijał na kanapie i nie zwrócił na to uwagi.

– No to cześć – rzuciłem, otwierając drzwi.

– Cześć – odpowiedział.

Wyszedłem w ciemność, kierując się do przystanku.

Do przyjazdu autobusu został mniej więcej kwadrans, więc przysiadłem na schodach, zapaliłem papierosa i patrząc na gwiazdy w górze, myślałem o Hanne.

Miałem przed oczami jej twarz.

Śmiała się, oczy jej błyszczały.

W uszach brzmiał mi jej śmiech.

Śmiała się prawie nieustannie. A nawet kiedy się nie śmiała, śmiech i tak słychać było w jej głosie.

„Koniec świata”, mówiła, kiedy coś było głupie albo komiczne.

Myślałem o tym, jaka jest, kiedy ogarnia ją powaga. Wówczas jakby zaczynała grać na moim boisku, a ja czułem, że otaczam ją ogromną czarną chmurą, bo zawsze widzę o wiele więcej. Ale tak było tylko w sytuacjach poważnych, w innych nigdy.

Przebywając z Hanne, ja też śmiałem się niemal bez przerwy.

## Ten jej nosek

Była bardziej dziewczyną niż kobietą, tak jak ja bardziej chłopakiem niż mężczyzną. Często powtarzałem, że przypomina kota. To była prawda, miała w sobie coś kociego, w ruchach, lecz również w pewnej miękkości, w dopominaniu się o bliskość.

Słuchałem jej śmiechu dźwięczącego mi w uszach, paliłem papierosa i patrzyłem w gwiazdy. Wreszcie jednak rozległ się ciężki warkot autobusu sunącego między rzędami domów, więc pstryknięciem wyrzuciłem peta na ulicę, wstałem, przeliczyłem wyjęte z kieszeni monety i kiedy wsiadłem, podałem je kierowcy.

Ach, te przytłumione światła w wieczornych autobusach, te przytłumione dźwięki. Nieliczni pasażerowie, wszyscy zamknięci w swoich własnych światach. Krajobraz przesuwany się w ciemności za oknem. Szum silnika. Przemieszczanie się z jednego miejsca na drugie, siedzenie i myślenie o tym, co się ma najpiękniejszego i najdroższego, chęć pozostania w takim otoczeniu, ponieważ odciecie się od reszty świata, czy to nie wtedy dopiero człowiek naprawdę w nim jest? Dopiero wtedy naprawdę jest tym światem wypełniony?

O, to jest pieśń o młodym mężczyźnie, który kocha młodą kobietę. Czy ma prawo użyć słowa „kochać”? Nie wie nic o życiu, nie wie nic o niej, nie wie nic o samym sobie. Wie jedynie, że nigdy wcześniej nie czuł niczego z taką siłą i z taką wyrazistością. Wszystko sprawia ból, ale nic nie jest równie przyjemne. O, to pieśń o szesnastolatku, który siedzi w autobusie i myśli o niej, tej jedynej, nie wiedząc, że uczucia powoli, powoli będą matowieły i słaby, że życie, które teraz jest takie wielkie i nieogarnione, nieubłaganie zacznie się kurczyć, aż osiągnie rozmiary, z którymi człowiek będzie umiał sobie poradzić, zmieni się w coś, co już tak bardzo nie boli, lecz zarazem nie przynosi już takiej radości.

\*

Coś takiego mógł napisać jedynie czterdziestoletni mężczyzna. Mam teraz czterdzieści lat, tyle samo, ile miał wtedy mój ojciec, siedzę w naszym mieszkaniu w Malmö, w sąsiednich pokojach śpi moja rodzina. Linda i Vanja w naszej sypialni, Heidi i John w pokoju dziecięcym, Ingrid, babcia dzieci ze strony matki, na łóżku w salonie. Dwudziesty piąty listopada 2009 roku. Połowa lat osiemdziesiątych jest tak odległa w czasie, jak wtedy były lata pięćdziesiąte. Ale niemal wszyscy bohaterowie tej historii ciągle są na świecie. Hanne jest i Vidar jest, i Jøgge. Moja matka, mój brat Yngve – z nim rozmawiałem przez telefon dwie godziny temu, planujemy wspólny wyjazd latem na Korsykę, on ze swoimi dziećmi, Linda i ja z naszymi – wszyscy oni są. Ale tata nie żyje, nie żyją babcia i dziadek, rodzice taty.

Wśród rzeczy pozostałych po tacie znalazły się też trzy notesy i jeden dziennik. Przez trzy lata odnotowywał wszystkie osoby, które spotkał w ciągu dnia, wszystkie, do których telefonował, wszystkie razy, kiedy się kochali, i ile pił. Od czasu do czasu zdawał krótką relację z wydarzeń, najczęściej jednak nie.

Częsty zapissek „K.O. z wizytą”.

K.O. to ja.

Czasami po moich odwiedzinach zanotował: „K.O. wesół”.

Czasami: „Udana rozmowa”.

Czasami: „Atmosfera znośna”.

Czasami nic.

Rozumiem, że notował, z kim się spotkał i z kim rozmawiał, że zaznaczał wszystkie kłótnie i wszystkie pojednania, ale nie pojmuję, dlaczego zapisywał, ile pije. Trochę tak, jakby rejestrował własny upadek.

\*



Kiedy po wakacjach znów zacząłem chodzić do szkoły, miałem wrażenie, jakby cofnięto mnie do początku: wszystko okazało się takie jak wtedy, gdy rok wcześniej zaczynałem naukę w liceum. Klasa była nowa, uczniowie i nauczyciele nieznanymi. Jedyną różnicą polegała na tym, że w pierwszej klasie było dwadzieścia sześć dziewczyn, a w drugiej tylko dwadzieścia cztery.

Usiadłem na tym samym miejscu, na końcu w lewym rogu, patrząc od strony katedry, i zachowywałem się w ten sam sposób: zabierałem głos na lekcjach, dyskutowałem o tym, co mówią nauczyciele, często wyklócałem się z innymi uczniami w kwestiach dotyczących polityki czy religii. Na przerwach wszyscy wychodzili z klasy i znikali, przyłączając się do swoich dawnych paczek czy kumpi, a ja poświęcałem niemal całe swoje siły i zdolności kombinowania na unikanie upokorzenia, jakim byłoby samotne wystawanie gdzieś pod ścianą. Szedłem do biblioteki i czytałem, na przykład *Wieżę Sokołów* dwudziestoletniego pisarza Erika Fosnesa Hansena, i myślałem o tym, że do dwudziestki brakuje mi już tylko czterech lat; może wtedy to moje nazwisko będzie widnieć na okładce książki? Siedziałem w klasie na swoim miejscu i udawałem, że odrabiam lekcje. Szedłem na stację benzynową naprzeciwko szkoły, żeby coś kupić, najczęściej jakąś gazetę wydawaną w Oslo, bo nie mogłem jej przecież czytać na spółkę z nikim innym i dlatego była świetnym usprawiedliwieniem samotnego przesiadywania w stołówce podczas dłużącego się w nieskończoność okienka. Albo udawałem, że kogoś szukam. Chodziłem w górę i w dół po schodach, długimi korytarzami, niekiedy docierałem do pobliskiej hali sportowej Gimlehallen lub do szkoły handlowej, cały czas polując na fikcyjną osobę, za którą się rozglądałem. Najczęściej jednak stałem i paliłem przed wejściem. Oczywiście dlatego, że ta czynność decydowała o miejscu mojego przebywania, miałem powód, żeby tak stać, a jednocześnie nie byłem tam sam, obok stali moi „koleczy”, gdyby ktoś zaczął się zastanawiać.

Lęk przed tym, by nie zaczęto mnie traktować jako kogoś bez przyjaciół, nie był nieuzasadniony. Któregoś dnia na tablicy ogłoszeń pojawiła się nowa kartka. Pewien uczeń, który dopiero sprowadził się do miasta i nie znał nikogo w szkole, napisał, że chce się z kimś zaprzyjaźnić, a gdyby ktoś zechciał zaprzyjaźnić się z nim, to proponuje spotkanie przy maszcie do flagi o dwunastej następnego dnia.

Następnego dnia o dwunastej przy maszcie flagowym dosłownie zebrał się tłum. Wszyscy chcieli zobaczyć to nieszczęsne, pozbawione przyjaciół stworzenie, które, rzecz jasna, się nie pojawiło.

Czy to był żart? Czy może ów spragniony przyjaźni stchórzył, zobaczywszy takie zgromadzenie?

Bez względu na to, kim był, cierpiałem razem z nim.

Któregoś dnia poszedłem do redakcji „Nye Sørlandet” i poprosiłem o rozmowę z osobą zajmującą się w gazecie muzyką. Zaprowadzono mnie do pokoju Steinara Vindslanda. Okazał się

młodym człowiekiem z bujnymi ciemnymi włosami, przyciętymi po bokach i na karku, trochę podobnie jak basista Simple Minds, z trzydniowym zarostem i błyskiem w oku. Przedstawiłem się i powiedziałem, co mnie sprowadza.

– Nie, nie mamy żadnego stałego recenzenta płyt – odparł. – Zazwyczaj ja się tym zajmuję. Ale mam tak cholernie dużo innej roboty, że dobrze by było, gdyby ktoś mógł to przejąć.

Przyjrzał mi się badawczo.

Ubrałem się odpowiednio na tę okazję: w koszulę w szachownicę, podobną do tej, którą nosił The Edge, pas z ćwiekami, czarne spodnie.

– Jaką muzykę lubisz?

Wyjaśniłem, pokiwał głową.

– Spróbujemy. Zobacz. – Zaczął grzebać w płytach, którymi zasypane było biurko. – Weź do domu te i napisz o nich. Jeśli ci wyjdzie, to jesteś naszym nowym recenzentem.

Pisałem cały weekend. Szłic za szłicem. W poniedziałek po szkole poszedłem do redakcji, żeby oddać sześć ręcznie zapisanych stron. Steinar Vindslund przeczytał je na stojąco w swoim pokoju, niepokojąco szybko. Potem spojrzął na mnie.

– Uważam cię za naszego nowego recenzenta płyt – oświadczył.

– Podobało ci się?

– To jest dobre. Masz kilka minut?

– Tak, a co?

– Pstryknę ci parę zdjęć i napiszę o tym króciutki artykuł. Zadam ci kilka pytań. Chodzisz do Szkoły Katedralnej?

Kiwnąłem głową. Wziął ze stołu aparat fotograficzny, przyłożył go do oka i wycelował we mnie.

– Usiądź tam. – Wskazał kąt pokoju.

Ciarki przeszły mi po plecach, gdy usłyszałem trzask migawki.

– Weź teraz te płyty – poleciał. – I wysuń je do mnie.

Wręczył mi trzy longplaye, trzymałem je, starając się jak najpoważniej patrzeć w obiektyw.

– Mówiłeś, że lubisz U2. Co jeszcze?

– Big Country. Simple Minds. Davida Bowiego. No i oczywiście Iggy'ego. Talking Heads. R.E.M. Chronic Town. Słyszałeś? Cholernie dobra płyta. Piekielnie ostra.

– Słyszałem. Chciałbyś wygłosić jakieś oświadczenie?

Poczułem, że się rumienię.

– Nieee.

– A jest jakaś sprawa, na której ci zależy, jeśli chodzi o muzykę? Oferta koncertowa w mieście? Programy muzyczne w telewizji? Masz jakieś poglądy na to?

– No... Szkoda, że w radiu jest tylko jeden program z dobrą muzyką, a w telewizji nie ma żadnego.

– Świetnie. Ciągłe masz szesnaście lat?

– Tak

– No, to już wszystko. Puścimy to jutro. Zacziesz w przyszłym tygodniu. W porządku?

– Tak

– Zajrzyj... powiedzmy w czwartek. Żebyśmy mogli omówić sprawy praktyczne. – Podał mi rękę. – Aha, i wiesz co?

– Tak?

– Nie możesz pisać ręcznie, tak po prostu nie można. Jeżeli nie masz maszyny do pisania, to musisz sobie załatwić.

– Jasne – powiedziałem. – Dziękuję.

Przystanęłam na ulicy przed redakcją.

To było zbyt fantastyczne, żeby mogło być prawdziwe. Byłem stąd byłym recenzentem płyt w gazecie! W wieku szesnastu lat!

Zapałem papierosa i ruszyłem w dół ulicą. Suchy asfalt, szyby w kilku miejscach pociemniałe od spalin, samochody, wszystko to kazało mi myśleć, że jestem w wielkim mieście. I jako młody dziennikarz muzyczny idę ulicami Londynu. Właśnie wyszedłem z rozgorączkowanej redakcji.

Steinar Vindstrand okazał się dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem. Niewiarygodnie prędko. Wszystko działa się tak szybko. Musieli zdążyć na deadline, to dlatego. Kuć żelazo, póki gorące, i pisać w obłądnym tempie.

Miał też pojęcie o muzyce. Na pewno znał Haralda Hempla. Może nawet jakieś zespoły z Oslo?

Mogłem teraz poznać muzyków!

Wcześniej nawet nie przyszło mi to do głowy. Ale teraz byłem dziennikarzem muzycznym, mogłem przychodzić do zespołów przyjeżdżających do miasta.

Jasne, że tak!

Piętnaście metrów przede mną znajdowało się skrzyżowanie Dronningens gate z Elvegata. Skoro już znalazłem się w tych stronach, to powinienem zajrzeć do taty albo do dziadków.

Pojawił się tylko jeden problem. Zostało mi zaledwie siedem koron, a po piątej zniżka uczniowska w autobusie już nie obowiązywała.

Może jednak uda mi się pożywić tyle, ile mi brakuje? Przecież mam teraz pracę i w ogóle.

Zatrzymałem się przed skrzyżowaniem, paliło się czerwone światło, więc przycisnąłem guzik na niebieskiej skrzynce i zamknąłem oczy, żeby sprawdzić, jakie to uczucie stać w tym miejscu, kiedy jest się niewidomy.

Może ważniejsza byłaby wizyta u dziadków? Nie odwiedzałem ich, odkąd tata się wyprowadził. A jeśli trochę się martwili, że po rozwodzie rodziców, kiedy zamieszkałam tylko z mamą, stracą ze mną kontakt?

Do taty mogłem zajrzeć w czwartek, po spotkaniu ze Steinarem.

Ze Steinarem!

W tym momencie rozległo się cykanie. Sygnał dla niewidomych. Otworzyłem oczy

i ruszyłem przez przejście. Minąłem duży kwadratowy budynek, w którym mieścił się supermarket, i wszedłem na most Lundsbrua, gdzie zapach morza zawsze był o wiele mocniejszy i gdzie mocniejsze wydawało się też światło, prawdopodobnie z powodu odbicia w wodzie, która tutaj otwierała się szerzej.

Widać było na niej dwie białe żaglówki. Do brzegu płynął kuter motorowy. Zatrzymałem się i wychyliłem, oparty dłońmi o murowaną barierkę. Woda wokół filarów była zupełnie zielona.

Tata raz tu do niej wpadł. Było to w zasadzie jedyne wydarzenie z jego dzieciństwa, o którym opowiadał. Dostał wtedy straszne lanie od dziadka i później kilka godzin przeleżał pod schodami.

Nie wiedziałem, czy to prawda. Tata opowiadał też, że grał kiedyś w drużynie Startu i był obiecującym piłkarzem, co okazało się wierutnym kłamstwem. Kiedy indziej powiedział, że wszystko, co robią Beatlesi, to plagiat, bo znajdowali swoje utwory od pewnego niemieckiego kompozytora, a kiedy ja, dwunastolatek zakochany w Beatlesach, spytałem, skąd o tym wie, wyjaśnił, że w młodości grał na pianinie i pewnego dnia, ćwicząc właśnie utwory tego Niemca, którego nazwiska nie pamiętał, odkrył, że to są te same melodie! Wciąż miał w domu dziadków tamte nuty. Uwierzyłem mu oczywiście, przecież to mówił tata. Następnym razem, kiedy tam byliśmy z wizytą, spytałem, czy nie mógłby przynieść tych nut i zagrać nam piosenek na pianinie. Powiedział, że leżą schowane zbyt głęboko na strychu i odnalezienie ich zajęłoby za dużo czasu. Właśnie wtedy zrozumiałem, że tata kłamie. Kłamał! Tata kłamał!

To odkrycie nie było dla mnie ciężarem, przeciwnie, przyniosło mi ulgę, bo tym samym Beatlesi zachowali twarz.

Ruszyłem dalej przed siebie, skręciłem w prawo drogą na skróty, wyszedłem na Kuhlmsveien i zacząłem się wspinać lekko pod górę, patrząc, jak morze, takie puste i niebieskie, rozpościera się coraz szerzej.

Ale dlaczego twierdził, że byliśmy tacy biedni?

Jaki to miało związek z czymkolwiek?

Aż pokręciłem głową, mijając otoczony siatką ogród, w którym rosły trzy jabłonie, z gałęziami ciężkimi od ciemnoczerwonych jablek. Na sąsiednim podjeździe lśnił w słońcu niebieski samochód.

Zadzwoiłem do drzwi i babcia wychyliła głowę przez okno. Zaraz się cofnęła i chwilę później już mi otwierała.

– To ty? – zdumiała się. – Wejdz.

Wszedłem i ją uściskałem. Odrobinę zeszywniała. Pomyślałem więc, że pewnie powinienem już wyrosnąć z tych uścisków.

Pachniała tak jak zawsze. Gdy poczułem ten zapach, to jakby otworzyło się przede mną całe moje dzieciństwo. Idziemy do babci! Babcia przyjeżdża! Babcia tu jest!

– Co ty masz w uchu? – spytała.

Zapomniałem!

Odkąd zacząłem nosić kółczyk z krzyżykiem, byłem tu dwa razy i za każdym razem go zdejmowałem. Ale nie dzisiaj.

– To tylko krzyżyk – odparłem.

– Ach, te dzisiejsze czasy! Żeby chłopak nosił kółczyk! Ale zdaje się, że tak ma to teraz wyglądać.

– No właśnie.

Odwróciła się, ruszyłem za nią na górę po schodach. Dziadek jak zawsze siedział na swoim krześle w kuchni.

– To ty – powiedział.

Zobaczyłem, że pod zegarem przy krótszej ścianie stoi wysoki niebieski taboret schodkowy, który zawsze tak lubiłem, a na stole dzbanek z kawą na drucianej podkładce, która również zawsze tam była.

– Zaczęłeś nosić kółczyk? – spytał dziadek

– Tak Teraz tak trzeba, żeby się podobać – wyjaśniła babcia. Z uśmiechem pokręciła głową. Potem podeszła i zmierzwiła mi włosy.

– Dostałem dzisiaj pracę – oznajmiłem.

– Naprawdę? – zainteresowała się babcia.

Potwierdziłem.

– W gazecie „Nye Sørlandet”, jako recenzent muzyczny.

– A ty się znasz na muzyce? – zdziwił się dziadek

– Trochę.

– Czas szybko leci – stwierdził. – Urosłeś.

– Przecież on już chodzi do liceum – przypomniała babcia. – Licealista! Na pewno spotyka się też z jakąś dziewczyną, nie sądzisz?

Puściła do mnie oko.

– Nie, niestety, nie – powiedziałem.

– Jeszcze zdążyysz. Taki ładny chłopiec jak ty!

– Jak ty tylko wyjmiesz z ucha ten krzyż, dziewczyny zaczną się tłoczyć – orzekł dziadek

– Myślisz, że one się boją krzyża? – Babcia spojrzała na niego z powątpiewaniem.

Dziadek nie odpowiedział, tylko wrócił do gazety, którą odłożył, gdy przyszedłem. Na jej lekturę potrafił poświęcić wiele godzin, czytał wszystko, każde najdrobniejsze ogłoszenie.

Babcia usiadła na krześle, sięgnęła po paczkę z mentolowym tytoniem.

– Ale palić chyba nie zaczęłeś?! – spytała.

– Owszem.

Podniosła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Naprawdę?

– Niedużo. Ale próbowałem.

– Chyba się nie zaciągasz?

– Nie.

– Nie możesz się zaciągać, pamiętaj! Hej, dziadku. – Popatrzyła na niego. – Pamiętasz, kto nas

nauczył palić?

Milczał, polizała więc klej na bibułce, zamknęła skręta i sama odpowiedziała:

– Twój ojciec!

– Tata?

– Tak Byliśmy na działce, miał przy sobie papierosy i powiedział, że musimy spróbować. No więc spróbowaliśmy. Prawda, dziadku?

Kiedy i tym razem nie uzyskała odpowiedzi, puściła do mnie oko.

– Coś mi się wydaje, że łapie go skłeroza – stwierdziła, wsunęła papierosa do ust, zapaliła i zaraz wydmuchała wielką chmurę dymu.

Rzeczywiście się nie zaciągała. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem.

– Głodny jesteś? – spytała. – My jedliśmy już jakiś czas temu, ale gdybyś chciał, mogę ci podgrzać.

– Chętnie. Właściwie jestem głodny jak wilk

Odłożyła papierosa na brzeg popielniczki, wstała i podeszła do lodówki. Była w niebieskawej sukience sięgającej jej do połowy łydek, w beżowych rajstopach i w kapturach.

– Jeśli już to schowałeś do lodówki, nie musisz mi nic szykować – powiedziałem.

– Nie martw się.

Zaczęła się krzątać przy kuchence. Patrzyłem na dziadka. Interesował się polityką i piłką nożną. Tak jak ja.

– Jak myślisz, kto wygra wybory? – zagailem.

– Hm? – Opuścił gazetę.

– Kto wygra wybory, jak myślisz?

– Wiesz, trudno powiedzieć. Ale mam nadzieję, że Willoch. Ten kraj nie zniesie już więcej socjalizmu, tyle przynajmniej jest pewne.

– A ja liczę na Kvanmo.

Spojrzała na mnie. Surowo i poważnie. Ale nie, wcale nie, bo już chwilę później się uśmiechała.

– Jesteś taki sam jak matka – oświadczył.

– Wiem. Nie chcę, żeby pieniądze rządziły życiem ludzi. I wolałbym, żebyśmy nie interesowali się wyłącznie sobą, tym naszym grajdołkiem.

– A kim innym mielibyśmy się interesować?

– Tymi, którzy cierpią. Ubogimi. Uchodźcami.

– Ale dlaczego mają tu przyjeżdżać, żebyśmy ich utrzymywali? Możesz mi to wyjaśnić?

– Nie słuchaj go. – Babcia postawiła garnek na kuchence. – On się tylko z tobą drażni.

– Przecież musimy pomagać tym, którym źle się układa.

– Owszem – odparł dziadek – Tylko najpierw musimy pomóc naszym własnym biednym, a dopiero potem tamtym. Ale im nie chodzi o pomoc, tylko o to, żeby tu mieszkać. My wywalczyliśmy sobie nasz dobrobyt, a oni chcą go przejąć, nic w zamian nie dając. Dlaczego mamy się na to godzić?

Babcia usiadła na swoim krześle.

– Wiesz, co zrobił laborant, kiedy dotarł do labiryntu?

– Nie – powiedziałem, chociaż mało co wiedziałem lepiej.

– Zrobił sobie labę! – Roześmiała się.

Dziadek znów uniósł gazetę.

Zapadło milczenie. Garnek trzaskał na płytce kuchenki. Babcia zapaliła papierosa, który zdążył zgasnąć, oparła dłoń o przedramię drugiej ręki i zaczęła cicho gwizdać pod nosem. Dziadek przerzucił stronicę.

Wyczerpałem już wszystkie tematy do rozmowy. Na wiadomość, że dzisiaj zostałem recenzentem płyt, poświęciliśmy mniej czasu, niż planowałem.

Czy odważę się wyjąć papierosy z kieszeni kurtki?

Krzyż i papierosy to chyba byłaby już przesada.

Ale przed oczami stanął mi tata. Może to przeważało, przecież już dwa razy paliłem przy nim, a on nie zaprotestował.

Jeśli to było w porządku dla taty, to dla dziadków chyba też.

Wyjąłem paczkę.

Babcia spojrzała na mnie.

– Masz własne papierosy? – zdumiała się.

Kiwnąłem głową. Nie chciałem przypalać jej zapalniczką, to by było w pewnym sensie zbyt intymne lub zbyt agresywne, więc znów wsunąłem rękę do kieszeni i wyjąłem własną. Zapaliłem.

– Killka dni temu byłem u taty – oznajmiłem. – Wszystko u niego w porządku.

– Tak, zajrzał do nas wczoraj – powiedziała babcia.

– Będziemy się starali utrzymać kontakt, chociaż nie mieszkamy już razem – zapewniłem. – Wydaje mi się, że tata ma za sobą trudne lato, z tym rozwodem i w ogóle.

– Tak sądzisz? – Popatrzyła na mnie, wydmuchując dym.

– No tak. Przecież tak długo byli małżeństwem. Rozwód to chyba nie taka prosta sprawa.

– Na pewno nie – zgodziła się babcia.

– Z wami też będę się starał utrzymywać jak najlepszy kontakt. Przecież mogę zaglądać po szkole. A teraz, kiedy mam już pracę, mógłbym od czasu do czasu wpaść na obiad.

Babcia się do mnie uśmiechnęła. Potem się odwróciła, zerknęła na garnek, który wydawał z siebie ściszone, jakby kłaskające perkotanie, potem wstała, odsunęła go na bok, wyłączyła płytkę i postawiła przede mną talerz ze zdućcami.

Zgasilem w popielnicze wypalonego do połowy papierosa. Babcia podniosła garnek i trzymając go za jedno ucho, zanurzyła w nim chochlę i nałożyła mi na talerz dwa klopsiki, dwa ziemniaki i trochę cebuli.

– Uprościłam sobie trochę i podgrzałam ziemniaki w sosie.

– Wygląda pysznie – pochwaliłem.

Podczas gdy jadłem, nikt się nie odzywał. Ale nie trwało to zbyt długo.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem, kiedy skończyłem, odkładając nóż i widelec na talerz. – Naprawdę pyszne.

– To dobrze. – Babcia wstała, zabrała go ode mnie, oplukała w zlewie, otworzyła zmywarkę, wyciągnęła wagonik ze sterczącymi, przypominającymi niemal rybnie ości drucianymi przegródkami, wstawiła talerz i zamknęła zmywarkę.

Zegar na ścianie pokazywał dwie minuty po piątej.

Jeśli chciałem pożyczyć pieniądze, należało załatwić to tak, żeby nie wyglądało na zaplanowane. Przecież wcale nie musiałem siedzieć u nich tyle czasu, gdybym wyszedł wcześniej, wtedy zdążyłbym wrócić do domu na legitymację. Musiałem to sobie uświadomić nagle.

Ale mogłem to jeszcze chwilę odwlec.

Czy przeszłoby zapalenie kolejnego papierosa?

Intuicja podpowiadała mi, że popełniłbym błąd. Miarka by się przebrała.

– Co takiego interesującego jest w tej gazecie? – spytała nagle babcia. – Czytałam ją przed południem i kompletnie nic w niej nie znalazłam.

– Czytam nekrologi – wyjaśnił dziadek

– Nawet to cię teraz interesuje? – Babcia ze śmiechem spojrzała na mnie. – Nekrologi! – Roześmiała się jeszcze głośniejsze.

Ja się tylko uśmiechnąłem.

– Poznaliście już nową przyjaciółkę taty? – spytałem.

– Unni? Tak. Poznaliśmy. Miła dziewczyna.

– To prawda. Wydaje mi się, że pasuje do taty. Ale muszę przyznać, że ja się z tym czuję trochę dziwnie.

– To oczywiste – powiedziała babcia.

– Ale w niczym mi to nie przeszkadza – zapewniłem.

– No tak jasne, pewnie tak

Znów chwilę pogwizdała. Ułożyła palce w kształt grabi i zaczęła oglądać swoje paznokcie.

– Dużo w tym roku owoców? – spytałem.

– Nie najgorzej. Weźmiesz ze sobą trochę jabłek?

– Może kilka. Ich smak jarzy mi się z dzieciństwem.

– Nie wątpię. Dam ci parę w torbie.

Uniosłem głowę i spojrzałem na zegar.

– Ojej! Już tak późno? Dziesięć po piątej? – Poderwałem się i zacząłem szukać pieniędzy po kieszeniach. Wyjąłem, przeliczyłem, zacisnąłem wargi. – Ostatni autobus ze zniżką odszedł o piątą. Teraz moja legitymacja szkolna jest już nieważna, a mam za mało pieniędzy na normalny bilet. – Zerknąłem na babcie i spuściłem wzrok – Ale może uda mi się złapać okazję.

– Zaraz sprawdzę, pewnie będę mogła coś ci dołożyć – powiedziała babcia. – Musisz jechać



autobusem, to przecież daleko!

Wstała.

– No to ja lecę – zwróciłem się do dziadka.

Opuścił gazetę.

– Wobec tego się trzymaj – powiedział.

– Cześć.

Poszedłem za babcią do przedpokoj. Z jasnoszarego płaszcza, który wisiał w szafie, wyjęła niewielką portmonetkę, otworzyła ją i popatrzyła na mnie.

– Ile kosztuje autobus? – spytała.

– Czternaście koron – wyjaśniłem.

Dała mi dwie dziesiątki.

– Za resztę możesz sobie kupić coś dobrego – powiedziała.

– Ale ja tylko pożyczam. Następnym razem oddam.

Zachnęła się.

Chwilę staliśmy w milczeniu. Wyczułem, że czeka, aż sobie pójdę.

Zdążyła zapomnieć o jabłkach?

Kilka sekund stałem, nie bardzo wiedząc, co robić. Powiedziała przecież, że dostanę jabłko, więc chyba mogłem jej o nich przypomnieć?

Ale z drugiej strony, dała mi pieniądze na autobus. Nie chciałem za bardzo marudzić.

Odwrociła głowę, przejrzała się w lustrze, dotknęła ręką włosów i lekko je przygładziła.

– Mówiłaś jeszcze o jabłkach. Może wezmę kilka, żeby mama spróbowała. Ona na pewno też tęskni za tym smakiem.

– Oj, rzeczywiście – powiedziała babcia. – Jabłka!

Otworzyła drzwi na schody prowadzące do piwnicy.

Długo przeglądałem się w lustrze. Podniosłem lekko koszulkę, żeby kołnierzyk trochę rozciągnięty, za bardzo nie zwisał, przegarnąłem palcami włosy, żeby bardziej sterczały. Uśmiechnąłem się. Spowaźniałem. Znow się uśmiechnąłem.

– Proszę. – Babcia już wracała z piwnicy. – Masz kilka jabłek

Podala mi torbę, wziąłem, wyszedłem na schody, odwróciłem się do babci.

– No to do widzenia – powiedziałem.

– Do widzenia.

Ruszyłem do furtki, a babcia zamknęła za mną drzwi.

Na Rundingen zapaliłem papierosa, czekając na autobus. Jeździły zaledwie raz na godzinę, ale miałem szczęście, następny zjawił się już po kilku minutach.

Wsiadłem i czekając na bilet i resztę, spojrzełem w głąb wozu.

Czy to nie Jan Vidar?

Oczywiście.

Siedział i wyglądał przez okno, z brodą opartą na ręce. Spozstrzegł mnie dopiero, kiedy stanąłem przy jego siedzeniu. Wyjął z uszu małe słuchawki od walkmana.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. – Opadłem na siedzenie. – Czego słuchasz?

– B.B. Kinga.

– B.B. Kinga! Odbiło ci?

– To świetny gitarzysta, możesz mi wierzyć albo nie.

– On?

Jan Vidar kiwnął głową.

– Jest taki gruby, że kiedy gra, musi trzymać gitarę całkiem poziomo. Nie zauważyłeś? Zupełnie jakby grał na elektrycznej gitarze hawajskiej.

– A jak myślisz, skąd wszystko biorą Zeppelini? Właśnie od tych starych bluesmanów.

– No wiem. Ale to nie znaczy, że my mamy ich słuchać. Moim zdaniem blues to jeden wielki szajs. Owszem, dobry jako inspiracja do czegoś innego, ale sam blues? Przecież to w kółko jedna i ta sama melodia!

– Jak się potrafi zagrać tak jak on, to potrafi się zagrać wszystko – orzekł Jan Vidar. – Przecież to ty stale gadasz o feelingu. Że to ze względu na feeling Jimmy Page jest lepszym gitarzystą od Ritchiego Blackmore'a czy Yngwiego Malmsteena. Teraz już się z tobą zgadzam. Nie musimy więcej o tym dyskutować. No ale feeling, człowieku, posłuchaj tylko tego gościa!

Podał mi słuchawkę. Włożyłem ją do ucha, wcisnął „play”. Posłuchałem dwie sekundy i wyciągnąłem.

– W kółko to samo.

Jan Vidar trochę się naburmuszył.

– Zły jesteś?

– Dlaczego miałbym być zły? I tak wiem, że mam rację.

– Ale śmieszne.

Autobus zatrzymał się na światłach przed E18.

– Dlaczego wsiadłeś na Rundingen? – spytał Jan Vidar. – Byłeś u dziadków?

Kiwnąłem głową.

– Tak, ale wcześniej byłem w „Nye Sørlandet”.

– A po co?

– Dostałem tam robotę.

– Robotę?

– Tak.

– Jako kto? Roznosiciel gazet? – Roześmiał się.

– Ale śmieszne – powtórzyłem. – Nie, jako dziennikarz muzyczny.

– Naprawdę? To świetnie! Naprawdę?

– Tak. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

Zapadła cisza. Jan Vidar podciągnął nogi i kolanami oparł się o siedzenie naprzeciwko.

– A ty? – spytałem. – Skąd wracasz?

– Od kumpla. Trochę graliśmy.

– A gdzie gitara?

Kiwnął głową do tyłu.

– Leży za mną, na tylnym siedzeniu.

– Dobry jest?

– W każdym razie lepszy od ciebie.

– No, to niewiele trzeba.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i Jan Vidar znów wyjrzał przez okno. Popatrzyłem w tył na wypadek, gdyby siedział tam ktoś znajomy, kogo wcześniej nie zauważyłem. Ale zobaczyłem tylko nieznanego mi chłopaka, na oko z siódmej klasy, i kobietę około pięćdziesiątki, która trzymała na kolanach białą torbę ze sklepu z butami. Żuła gumę, a to był błąd, do tych okularów i takiej fryzury guma do żucia ani trochę nie pasowała.

– Pamiętasz, jak mnie zastępowałeś? – spytał Jan Vidar.

– Jasne!

Był wtedy roznosicielem gazet. Wypracował sobie długą, ciężką trasę. Chciał mieć trochę wakacji i miałem go zastąpić przez tydzień. Nigdzie nie wyjeżdżał, po prostu lenił się w tym czasie, kiedy ja roznosiłem gazety, a potem szliśmy razem się kąpać albo jechaliśmy do kogoś rowerem.

Ale po trzech dniach nadeszło tyle skarg, że Jan Vidar musiał wrócić do pracy. I tyle z tych pieprzonych wakacji, powiedział, chociaż chyba wcale tak bardzo się nie złościł.

– Ciągle nie pojmuję, jak mogłeś narobić takiego cholernego bałaganu – powiedział teraz.

Wzruszyłem ramionami.

– Staralem się jak mogłem.

– To niewiarygodne – stwierdził.

Przerobił tę trasę razem ze mną dwukrotnie, na dwie czy trzy rzeczy należało zwrócić uwagę. Niektórzy chcieli, żeby gazetę donosić im pod same drzwi, gdzie indziej były skrzynki z identycznymi nazwiskami. Właśnie tych szczegółów, które wielokrotnie wbijał mi do głowy, nie byłem w stanie sobie przypomnieć, kiedy już stanąłem z gazetą w ręku sam, musiałem więc improwizować i słuchać głosu intuicji.

– Ale to przecież było zaledwie w zeszłym roku! W pierwszej chwili wydało mi się, że strasznie dawno temu – powiedziałem.

– To było fajne lato – skonstatował Jan Vidar.

– Rzeczywiście.

Wjechaliśmy w las za skrzyżowaniem Timenes. Słońce oświetlało czubki drzew na wzgórzach, ale tutaj w ogóle nie było go widać. Mijany akurat przystanek kolarzył mi się z Billym Idolem. Wybraliśmy się na jedną z tych urządzanych bez przekonania imprez, na które od czasu do czasu

trafialiśmy, i wracając do domu w mróz, nuciłem piosenki właśnie z jego płyty.

*Rebel Yell.*

– Wydaje mi się, że z każdym cholernym przystankiem na trasie stąd aż do domu mam związane jakieś wspomnienia.

Pokiwał głową.

Z prawej strony otworzył się widok na Topdalsfjorden. Tuż przy brzegu woda była niemal lśniąco niebieska, lecz dalej pieniała się biało na wietrze. Na plaży siedziały dwie rodziny, kilkoro dzieci brodziło w wodzie.

Zbliżała się jesień.

– Są u ciebie w zawodówce jakieś fajne dziewczyny? – spytałem.

– Nie zauważyłem. A w Katedralnej?

– Jest jedna, cholernie fajna, i to w mojej klasie. Ale po pierwsze, jest wierząca...

– Do tej pory jakoś ci to nie przeszkadzało.

– No nie, tylko że ona jest wierząca do potęgi. Należy do zielonoświątkowców, do zboru Filadelfia. Ale nosi puchówki, markowe ciuchy, Bik Boki Poco Loco.

– A po drugie?

– Nie lubi mnie.

– Widziałeś się z Hanne?

Pokręciłem głową.

– Parę razy z nią rozmawiałem, ale tylko przez telefon.

Zastanawiałem się, czy Jan Vidar nie ma już trochę dość słuchania o Hanne, więc nie drążyłem tematu, chociaż akurat na to miałem ogromną ochotę. Ostatnie dziesięć minut przejechaliśmy w milczeniu, trochę jakby ukołysani do snu równym warkotem silnika autobusu, który obaj znaleźliśmy tak dobrze. Miałem wrażenie, jakbyśmy całe życie jeździli tym autobusem. W górę i w dół, tam i z powrotem, dzień po dniu. Autobus, autobus, autobus. Na autobusach się znaleźliśmy. Byliśmy ekspertami od autobusów. Podobnie jak ekspertami od jazdy na rowerach bez celu i od niekończącego się wałęsania, nie mówiąc już o tym, co było punktem zwrotnym w naszym życiu i na czym znaleźliśmy się najlepiej, a mianowicie na dowiadrywaniu się, czy coś się gdzieś nie wydarzyło. Jakis chłopak miał na wideo *Tekszańską masakrę piłkarską mechaniczną*? No to popedałowaliśmy do rozpadającej się chałupy, przed którą leżało mnóstwo żelastwa i rupieci, a przy nich stał kompletnie obcy, nieprzyjemny, trochę też opóźniony w rozwoju dwudziestolatek, on po prostu tam stał, kiedy się zjawiliśmy, na środku podwórza, bez żadnego zajęcia, które dałoby się zidentyfikować, zwyczajnie stał, a gdy podjechaliśmy, odwrócił się do nas.

Dom stał na środku pieprzonego pola.

– Słyszeliśmy, że masz *Tekszańską masakrę* – powiedział Jan Vidar.

– Zgadza się. Ale akurat teraz komuś pożyłem tę kasetę.

– Aha. – Jan Vidar spojrział na mnie. – No to chyba spadamy.

Ósmoklasista, który został sam w domu i zaprosił do siebie kilku kumpli? No to pojechaliśmy do niego, zapakaliśmy i zostaliśmy zaproszeni do środka, oglądali telewizję, nie mieli nic do picia, nie

było żadnych dziewczyn, a na dodatek te szczeniaki okazały się kompletnymi idiotami. Mimo to siedzieliśmy z nimi, po prostu nic lepszego nam się nie trafiło, jeśli mielibyśmy być szczerzy.

A często by waliśmy.

Ktoś gdzieś dostał nową gitarę?

No to trzeba wskoczyć na rower, pognać tam i ją obejrzeć.

Tak świetnie wychwytywaliśmy nowości. Ale tym, na czym naprawdę znaleźliśmy się najlepiej, w czym osiągnęliśmy prawdziwe mistrzostwo, były jednak jazda autobusami i przesiadywanie w swoich pokojach.

Nikt nie mógł nas w tym pokonać.

Do niczego to nie prowadziło. Nie robiliśmy nic, z czego coś by wynikało. Zbyt ciekawych rozmów też nie prowadziliśmy, nie dało się tak tego określić. Tych kilka tematów, które poruszaliśmy, rozwijało się tak powoli, że sami czuliśmy, iż stoimy w miejscu; żaden z nas nie był wybitnym gitarzystą, chociaż bardzo pragnęliśmy umieć grać, bardziej niż czego innego. A jeśli chodziło o dziewczyny, to zdarzało nam się, chociaż z rzadka, dopaść taką, która nie protestowała, kiedy wsuwaliśmy głowę pod podciągnięty sweter i całowaliśmy jej piersi. To były wielkie chwile. W naszym świecie pożółkłej trawy, szarej gliny w rowach i kurzu wiejskich dróg zapalały się światła łaski. W każdym razie ja tak czułem, ale przypuszczam, że Jan Vidar czuł podobnie.

O co chodziło? Po co to robiliśmy? Czy na coś czekaliśmy? Jeśli tak, to śląd czerpaliśmy tyle cierpliwości? Bo przecież nic się nie działo. Kompletnie nic! Ciągle to samo! Dzień po dniu! W deszczu, na wietrze, w marznącej mżawce i śniegu, w słońcu i w czasie burzy ciągle robiliśmy to samo. Dowiadaliśmy się o czymś, jechaliśmy tam, wracaliśmy, przesiadywaliśmy u Jana Vidara w pokoju, dowiadaliśmy się o czymś innym, wsiadaliśmy w autobus, jechaliśmy na rowerach, szliśmy piechotą, siedzieliśmy w pokoju. Latem się kąpaliśmy. I tyle.

O co chodziło?

Przyjaźniliśmy się ze sobą i nic poza tym.

A nasze życie polegało na czekaniu.

Jan Vidar z gitarą w ręku wyskoczył z autobusu w Solsletcie, ja pojechałem dalej, jako jedyny pasażer, aż do Boen, gdzie też wyskoczyłem i ruszyłem do domu, z plecakiem na ramionach i z torbą pełną jabłek od babci.

Mama czekała na mnie z obiadem.

– Cześć – powitała mnie, kiedy stanąłem w drzwiach. – Ja też dopiero wróciłam.

– Spójrz. – Podałem jej torbę. – Jabłka od babci.

– Byłeś u nich?

– Tak. Mam cię pozdrowić.

– Dziękuję.

Podniosłem pokrywkę garnka. Sos pomidorowy z kawałkami ryby, na pewno czarniaka.

– Zjadłem u nich – powiedziałem.

– To dobrze. Ale ja jestem głodna.

Zepchnęła kota z kolan na podłogę, wstała, wyjęła jeden talerz.

– A jak ci poszło w „Nye Sørlandet”, Karl Ove? – spytałem.

– Ojej, zupełnie zapomniałam!

Uśmiechnąłem się.

– Dostałem tę robotę! On tylko przejrzał recenzje i było załatwione!

– Dużo nad nimi pracowałeś – zauważyła, nakładając sobie na talerz kilka kawałeczków ryby, a po uniesieniu pokrywki z drugiego garnka wzięła jednego ziemniaka. Kołysał się wolno na łyżce, kiedy ją opuszczała w stronę talerza, i stoczył się z niej, kiedy ją obróciła.

– No i zamierzają napisać o mnie krótki artykuł – podjąłem. – Puszczą jutro.

„Puszczą” to było prawdziwie dziennikarskie wyrażenie.

– Świetnie, Karl Ove – powiedziała.

– Owszem, ale jest pewien haczyk

Postawiła talerz na stole, wyjęła z szuflady sztucce, usiadła. Usadowiłem się naprzeciwko niej.

– Haczyk? – powtórzyła i zaczęła jeść.

– Powiedział, że muszę sobie załatwić maszynę do pisania. U nich nie można pisać ręcznie. Po prostu tak nie może być. Dlatego muszę sobie kupić maszynę.

– Nowa maszyna do pisania sporo kosztuje.

– Daj spokój. Musimy znaleźć na to pieniądze. To przecież inwestycja. No i ja też trochę na tym zarobię, rozumiesz?

Kiwała głową, żując.

– A nie mógłbyś pożyczyć w redakcji?

Prychnąłem.

– Pierwszego dnia w pracy? Przyjść tam i od razu prosić o pożyczanie maszyny?

– Może rzeczywiście to niezbyt dobry pomysł.

Kot otarł się o moją nogę. Nachyliłem się i podrapałem go po futerku na piersi. Zamknął oczy i zaczął mruzczyć. Wziąłem go na kolana, wyciągnął się, wyprostował łapy.

– Jak myślisz, ile to może kosztować? – spytała mama.

– Nie mam pojęcia.

– Może da się kupić w przyszłym miesiącu, kiedy dostanę pensję. Ale teraz, niestety, jestem spłukana do czy sta.

– Wtedy będzie za późno, rozumiesz?

Kiwnęła głową.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – uprzedziłem ją. – Jaknie ma pieniędzy, to nie ma.

– Niestety, właśnie tak Możesz też poprosić ojca, no wiesz.

Nie odezwałem się. Ale to była prawda. Na pewno miał trochę pieniędzy. Tylko czy będzie chciał mi je dać?

Jeśli nie zechce, to powstanie niezręczna sytuacja. Tata uzna, że czegoś się od niego domagam. Odmówi, potem uświadomi sobie, że to m n i e odmawia, ale wtedy będzie już za późno, żeby się

jednak zgodzić, i to go rozzłości, a wszystkiemu będę winien ja.

– Zapytam go. – Podrapałem kota za uchem. Zaczął się z rozkoszą przeciągać, nie otwierając oczu.

– A tak w ogóle to przyszedł dziś do ciebie list – powiedziała mama. – Położyłam go na komodzie w przedpokoju.

– List?

Zestawiłem kota na podłogę, z przykrością, bo tak mu było u mnie dobrze, ale już w następnej chwili to leciutkie klucie w sercu ustąpiło, bo nieczęsto dostawałem listy.

Moje nazwisko wypisane na kopercie dziewczęcym charakterem pisma.

Stempel pocztowy prawie nieczytelny.

Ale list nadano pocztą lotniczą, a znaczki były duńskie.

– Idę do siebie – oznajmiłem. – Nie przeszkadza ci, że zjesz sama?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała mama z kuchni.

W swoim pokoju usiadłem na krześle przy biurku i rozerwałem kopertę. Wyjąłem list i zacząłem czytać.

*Nykøbing, Mors, 20/8/85*

*Cześć, Karl Ove!*

*Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Nie wiem tego, bo nie napisałeś, chociaż przyrzekłeś. Dlaczego? Szkoda, że nie widziałeś, jak biegam do skrzynki pocztowej zaraz po przebudzeniu. Okej, jeśli nie chce Ci się pisać, i tak się nie obrażę, bo za bardzo Cię kocham, że bym mogła się obrazić, ale przyznam, przykro mi, że nie mam od Ciebie żadnych wiadomości. Przyjedziesz jeszcze do Danii? A jeśli tak, to kiedy? Po Twoim wyjeździe zrobiło się tutaj bardzo smutno. W ciągu dnia spędzam czas z przyjaciółmi. Wieczorem chodzę do Dyskoteki, ale to już niedługo się skończy, bo 14 września przeprowadzam się do Izraela. Bardzo się z tego cieszę, tylko tak bardzo chciałabym Cię jeszcze zobaczyć przed wyjazdem.*

*Może myślisz, że jestem głupia, bo taki ważny był dla mnie ten krótki czas, który spędziliśmy razem. Pewnie dlatego, że jesteś jedynym chłopakiem, z którym chodziłam, a w którym jednocześnie tak szaleńczo się zakochałam, więc nie rozczarowuj mnie, tylko napisz szybko.*

*Twoja kochająca*

*Lisbeth*

Odłożyłem list na biurko. Pierś niemal brutalnie rozsadzała mi rozpacz. Naprawdę mogłem się z nią przespać! Przecież ona chciała! Napisała, że się we mnie zakochała, że mnie kocha, na pewno by się zgodziła.

Wiedziała, do czego to wszystko zmierza, jakie mam zamiary, byłem tego pewien.

Cholerny Jøgge!

Pierdolone gnojki!

Wiedziony impulsem, ponownie wziąłem do ręki kopertę i zajrzałem do środka.

Było tam jeszcze zdjęcie.

Wyjąłem je. Fotografia Lisbeth. Nie uśmiechała się, patrzyła prosto w obiektyw, lekko przekrzywiając głowę. Ubrana w żółtą bluzę z dużym czerwonym logo Nike, włosy opadające na czoło zasłaniały jedno oko. Za ucho po drugiej stronie założony był cienki warkoczyk.

Szyja naga. Długa, ładna szyja.

Miała też ładne wargi, duże, pełne, prawie nieproporcjonalnie pełne w stosunku do wąskiej twarzy.

Wyglądała na bardzo niezadowoloną.

Ale pamiętałem, co czułem, kiedy ją obejmowałem. Jak się śmiała, wsuwając mi rękę pod koszulę i kładąc na piersi, a ja się wtedy wyprostowałem i nabrałem więcej powietrza.

– Nie musisz się tak przeżywać – powiedziała. – Daj sobie z tym spokój, podobasz mi się taki, jaki jesteś. Jesteś fantastyczny.

I była Dunką.

Włożyłem zdjęcie i list z powrotem do koperty, wsunąłem go do dziennika, który schowałem do szuflady, i wstałem.

Kiedy zszedłem na parter, mama zmywała.

– Wiesz – zaczęła – coś mi się przypomniało. Tata miał kiedyś maszynę do pisania. Na pewno gdzieś tu jeszcze jest. Nie wyobrażam sobie, żeby ją zabrał. Sprawdź w stodole, w tych kartonach, które tam stoją.

– T a t a miał maszynę do pisania?

– Owszem. Przez kilka lat pisywał na niej listy. – Oplukała szklankę w zimnej wodzie, postawiła ją do góry dnem na ociekaczu. – W pierwszych naszych wspólnych latach pisał też wiersze.

– T a t a?

– Tak. Bardzo interesował się poezją. Jego ulubionym poetą był Obstfelder. Pamiętam, że lubił też Vilhelma Kraga. Romantyków.

– T a t a? – powtórzyłem.

Mama się uśmiechnęła.

– Ale to nie były dobre wiersze.

– O tym nie musisz mnie przekonywać – powiedziałem, ruszając do przedpokoju, włożyłem buty i poszedłem na tył stodoły, będący tak naprawdę jej frontem, w każdym razie wtedy, gdy używano jej zgodnie z przeznaczeniem, bo to właśnie z tej strony znajdowały się wielkie wrota, za którymi dawniej przechowywano siano. Poziom niżej, ten, z którego korzystał tata, składał się z małych pomieszczeń, w latach siedemdziesiątych przerobionych na mieszkanie. Ale na górze niczego nie zmieniono.

Wszedłem i jak tyle razy wcześniej zdziwiłem się, że posiadamy taką wielką przestrzeń. I że do niczego jej nie wykorzystujemy.

Najwyżej jako składzik

Na ścianach wisiały stare gospodarskie sprzęty, koła do wozu, uprzęż, zardzewiałe kosy, widły do gnoju i grabie. W kilku miejscach tata wypisał kredą pieszczotliwe zdobienia, których



używał, mówiąc o mnie; zrobił to, kiedy się tu sprowadziliśmy i kiedy tak się wszystkim cieszył.

Ciągle jeszcze tu były.

Kakłove

Loffe

Love

Klove

Kukuryklove

Nasze kartony ustawiono pod przeciwległą, długą ścianą. Nigdy do nich nie zaglądałem. To było nie do pomyslenia, kiedy tata żył z nami, bo najczęściej przesiadywał w mieszkaniu tuż pod tymi wielkowymi deskami w podłodze, więc z całą pewnością przyszedłby sprawdzić, gdyby ktoś chodził po górze. Musiałbym mieć naprawdę b a r d o dobre wytłumaczenie, żeby tu być, nie mówiąc już o grzebaniu w tych starych rzeczach.

Leżały tu ubrania, noszone, jak pamiętałem, przez rodziców w moim dzieciństwie – rozszwane spodnie, które przypuszczalnie kupili tamtej zimy, kiedy razem wyjechali do Londynu, bo tak szerokich dzwonów w Norwegii się nie spotykało nawet w latach siedemdziesiątych, biały płaszcz mamy, kurtka taty, wielka, pomarańczowa, z brązową podpinką, jeździł w niej na ryby, szale, spódnice i chusty, okulary przeciwsłoneczne, paski, kozaki i pantofle. Dalej był karton z obrazami, które wcześniej wisiały u nas na ścianach. Dwa pudła z niepotrzebnymi przyborami kuchennymi.

Ale maszyny do pisania ani śladu!

Otworzyłem jeszcze dwa kartony, szybko je przeszukałem, dotarłem do takiego, w którym najwyraźniej leżały czasopisma, popakowane w reklamówki.

Może jakieś komiksy, o których zupełnie zapomniałem?

Zajrzałem do torby na wierzchu.

Pisma pornograficzne.

Otworzyłem następną.

Również pisma pornograficzne.

Cały wielki karton wypełniony pornosami. Do kogo należały?

Rozłożyłem kilka na podłodze, zacząłem przeglądać. Większość pochodziła z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dziewczyny z rozkładówek miały na ciele ślady po bikini. Wszystkie piersi i łona były blade. Wiele kobiet sfotografowano na tle przyrody. Stały za drzewami, leżały na łące, wszystkie w charakterystycznych dla lat siedemdziesiątych kolorach, wielkie piersi z wielkimi brodawkami, niekiedy trochę obwisłe.

Siedziałem z erekcją, przerzucając kartki tam i z powrotem. Parę czasopism pochodziło z obecnej dekady i nie miały w sobie takiej obcości. Na tych z lat sześćdziesiątych dziewczyny prawie w ogóle nie rozsuwały nóg.

Czy on całym latami przechowywał te pisma w domu? W swoim gabinecie?

A przede wszystkim: czy naprawdę je kupił?

Poskładałem je i chwilę się zastanawiałem. Czułem, że powinienem te pisma ukryć, po pierwsze, żeby mama ich nie znalazła. A po drugie, sam miałem ochotę jeszcze do nich zajrzeć.

Ale czy na pewno? O n je przeglądał. O n na nie patrzył.

Nie mogłem zatem więcej tego robić. To byłoby zbyt obrzydliwe.

Postanowiłem, że zostawię wszystko tak, jak leżało. Mama przecież nigdy nie zaglądała do tych pudeł.

Nie mieściło mi się to w głowie. Przez wszystkie te lata, kiedy byłem mały, tak, do diabła, jeszcze zanim się urodziłem, aż do zeszłego roku, on kupował pisma pornograficzne i trzymał je u nas w domu.

Niech to szlag.

Zacząłem otwierać kolejne kartony i w przedostatnim zobaczyłem maszynę do pisania. Starą, ręcznego typu. Powinienem był mieć tego świadomość i gdybym znalazł ją wcześniej niż te pornosy, pewnie poczułbym rozczarowanie, może bym jej nie zaakceptował, tylko upierał się, żeby rodzice kupili mi nową, ale teraz, po tym odkryciu, nie miało to już znaczenia.

Zniosłem maszynę na dół i pokazałem mamie, która odpoczywała, leżąc na kanapie.

– Chyba się nada – oceniła z przykniętymi oczami.

– Tak, może być. Będziesz spała?

– Tylko chwileczkę. Obudzisz mnie za pół godziny, jeśli do tej pory nie wstanę?

– Dobrze.

Poszedłem do swojego pokoju i jeszcze raz przeczytałem list od Lisbeth.

Napisała wprost, że mnie kocha.

Nie usłyszałem tego nigdy wcześniej od żadnej dziewczyny.

Czy właśnie tak czuła się Hanne, kiedy mówiłem, że ją kocham? Bo przecież nie kochałem Lisbeth. Owszem, podobało mi się, że tak napisała, ale to nic więcej nie znaczyło. Było mi miło, cieszyłem się z tych słów, lecz w pewnym sensie w ogóle mnie to nie dotyczyło. Lisbeth mnie nie dotyczyła. Inaczej niż Hanne.

Ale czy Hanne w stosunku do mnie miała właśnie takie odczucia?

Tak przecież mówiła.

Bawiła się mną?

Dlaczego mnie nie chciała? Dlaczego nie chciała ze mną być?

Tak bardzo jej pragnąłem!

Na niczym innym mi nie zależało. Chciałem tylko jej!

Naprawdę.

Ale skoro mnie odrzucała, nic nie mogłem z tym zrobić. Moje uczucia i tak nie miały żadnego znaczenia.

Postanowiłem, że Hanne musi posmakować własnego lekarstwa. Nie miałem nic do stracenia.

Zszedłem do telefonu, podniosłem słuchawkę i wykręciłem wszystkie cyfry, z wyjątkiem

ostatniej. Wyrzesałem przez okno. Na krzaka po drugiej stronie podjazdu dwa czarne ptaki skubały czerwone jagody. Mefisto przyglądał się temu na ugiętych łapach, ogon poruszał mu się jak wahadło.

Wykręciłem ostatnią cyfrę.

– Halo, słucham – rozległ się głos jej ojca.

Okropnie nie lubiłem, kiedy odbierał telefon, bo zapewne domyślał się, co próbuję osiągnąć – jego córka chodziła przecież z innym chłopakiem, nie ze mną. Zdarzało mi się rozmawiać z Hanne przez telefon nawet godzinę, więc z pewnością nie podobało mu się, że wydzwaniam.

– Dzień dobry, tu Karl Ove – powiedziałem. – Czy zastałem Hanne?

– Zaczekaj chwileczkę, zaraz sprawdzę.

Usłyszałem jego kroki na schodach, a jednocześnie patrzyłem, jak Mefisto podkrada się bliżej ptaków, które kompletnie nie zwracały na niego uwagi i dalej skubały jagody, śmiesznie poruszając łebkami. Potem w słuchawce dał się słyszeć odgłos lekkich kroków i już wiedziałem, że to Hanne. Serce zabiło mi szybciej.

– Cześć – powiedziała. – To niesamowite, że dzwonicz. Właśnie o tobie myślałam!

– A o czym?

– Po prostu o tobie.

– Co dzisiaj robisz?

– Uczę się. Francuskiego. Tu jest wyższy poziom niż w zeszłym roku. Jest mi trochę trudno. A co z twoim francuskim?

– Tak jak w zeszłym roku. Wtedy nic nie umiałem i teraz też nic nie umiem. Pamiętasz tamtą klasówkę, z której dostałem czwórkę?

– Oczywiście, pamiętam. Taki byłeś z tego dumny.

– Tak? Bo normalnie dostawałem same dwójki, więc nic dziwnego, że się ucieszyłem. Ale wybrnąłem prostym sposobem. Tekst zadania był bardzo długi, zawierał mnóstwo francuskich słów. Wykorzystałem je w odpowiedzi, trochę poprzestawiałem, dodałem parę własnych, pstryk i czwórka.

– Bystry jesteś!

– Prawda?

– A co ty dzisiaj robiłeś?

– W zasadzie nic specjalnego. Dostałem list i kilka razy go przeczytałem.

– Tak? A od kogo?

– Od pewnej dziewczyny, którą poznałem w Danii.

– O? Nic nie opowiadałeś!

– Rzeczywiście. Tyle się stało, ale pomyślałem... że to dla ciebie niezbyt interesujące.

– Oczywiście, że interesujące.

– E, chyba nie.

– A co ona pisze?

– Że mnie kocha.

– Przecież byłeś tam tylko tydzień!

– Przez ten tydzień dużo się wydarzyło. Przespaliliśmy się ze sobą.

– Naprawdę?

– Tak

Zapadła cisza.

– Dlaczego mi to mówisz, Karl Ove?

Przez chwilę nie odpowiadałem, w końcu jednak powiedziałem:

– Mówiłem przecież, że dla ciebie to nic interesującego. A ty zaprzeczyłaś. Wtedy uznałem, że mogę ci jednak o tym powiedzieć.

– Aha.

– No a potem... Kiedy się to stało, dużo myślałem o nas. Że może nie... no wiesz. Że może jednak nie czuję tego wszystkiego, o czym mówiłem. Do ciebie. O to mi chodzi. Te listy latem... Wydaje mi się, że lubiłem być w tobie zakochany. Rozumiesz, o czym mówię? Kiedy poznałem Lisbeth... – zawiesiłem głos, żeby jej imię wywarło jak największe wrażenie – to było w pewnym sensie coś bardzo rzeczywiście, z krwi i kości. Nie tylko myśli. A kiedy dostałem ten list, zrozumiałem, że się w niej zakochałem. To fantastyczne! Między tobą a mną i tak nic nie było. I nic nie ma. Uznałem po prostu, że muszę ci o tym powiedzieć.

– No tak Dobrze, że mówisz. Warto wiedzieć.

– Ale chyba mimo to zostaniemy przyjaciółmi?

– Ależ oczywiście. Możesz się kochać, w kim chcesz, przecież nie jesteśmy parą.

– No nie.

– Ale i tak trochę mi przykro. Nad morzem w tym domku letniskowym było tak fajnie. Z tobą.

– Wiem. Rzeczywiście fajnie.

– Tak

– Chyba musisz już wracać do swojego francuskiego?

– Muszę. Trzymaj się. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

– Cześć.

Odłożyłem słuchawkę.

Wszystko między nami się popsuło. Właśnie tego chciałem. I tak się stało.

Dzień później na pierwszej przerwie pobiegłem na stację benzynową po drugiej stronie drogi E18, żeby kupić aktualne wydanie „Nye Sørlandet”. Wziąłem egzemplarz ze stojaka i przejrzałem ostatnie strony.

Kiedy zobaczyłem swoje zdjęcie, oblało mnie gorąco.

To był duży artykuł, prawie na całą stronę, a zdjęcie zajmowało dwie trzecie kolumny. Siedziałem na nim, patrząc wprost na czytelnika, z trzema płytami rozłożonymi przed sobą jak

wachlarz.

Przeleciałem wzrokiem tekst. Napisano w nim, że jestem żarliwym fanem muzyki, młodym człowiekiem krytycznie patrzącym na marginalizację rocka w społeczeństwie. Osobiście najwyżej cenię brytyjską muzykę niezależną, ale obiecuję, że będę otwarty na wszelkie rodzaje muzyki, nawet na tę z list przebojów.

Nie wyraziłem się dokładnie tak, a po zastanowieniu stwierdziłem, że w ogóle nic takiego nie powiedziałem, ale rzeczywiście tak myślałem, a Steinar Vindstrand to zrozumiał.

Zdjęcie było świetne.

Zapłaciłem, złożyłem gazetę i ścisnąc ją w rękę, wróciłem do szkoły. W klasie, która powoli się zapełniała, położyłem ją na ławce, usiadłem na krześle, jak zawsze przechylając je tak, żeby oparło się o ścianę, i obserwowałem kolegów.

Wątpiłem, by któryś z nich czytał „Nye Sørlandet” częściej niż tylko od czasu do czasu, ta gazeta prawie nie miała stałych czytelników. W Kristiansand liczył się jedynie „Fædrelandsvennen”, regionalny dziennik południowej Norwegii. Dlatego rozłożenie na ławce innej gazety mogłością ściągnąć na siebie nieco uwagi. Ktoś mógł spytać, po co mi „Nye Sørlandet” w szkole.

Gotowi pomyśleć, że przyniosłem ją z domu! Że wziąłem ze sobą, żeby pokazać!

Ustawiłem krzesło normalnie i złożyłem gazetę. Przecież to wcale nie tak. Kupiłem ją na stacji benzynowej. Nie miałem gdzie jej podziąć, dlatego trzymałem przy sobie.

A niech tam. Może lepiej o wszystkim uprzedzić?

Powiedzieć wprost?

Tylko żeby nie wyglądało, że się chwaleb.

Ale to przecież nie były przechwałki, lecz najprawdziwsza prawda. Zostałem recenzentem płyt, a dzisiaj zamieszczono ze mną wywiad w gazecie, którą kupiłem na stacji benzynowej tuż przy szkole.

Nie było sensu się ukrywać.

– Hej, Lars! – zawołałem. Lars był najmniej groźnym z chłopaków. Odwrócił się do mnie. Uniosłem gazetę. – Zostałem recenzentem płyt. Chcesz zobaczyć?

Wstał i podszedł. Wtedy otworzyłem na właściwej stronie.

– Cholera, nieźle! – powiedział, prostując się. – Hej, Karl Ove jest w gazecie! – krzyknął w głąb klasy.

To było więcej, niż mogłem liczyć, bo chwilę później już otoczyła mnie gromada, a wszyscy patrzyli na moje zdjęcie i czytali to, co pod nim napisano.

Wieczorem przejrzałem swoje pisma muzyczne i przestudiowałem umieszczone w nich recenzje płyt i artykuły. Zorientowałem się, że piszących można właściwie podzielić na trzy typy. Pierwsi to dowcipni i bystrzy, a często złośliwi, tacy jak Kjetil Rolness, Torgrim Eggen, Finn Bjelke i Herman Willis. Drudzy ciężcy i poważni, jak Øivind Hånes, Jan Arne Handorff, Arvid Skancke-Knutsen i Ivar Orvedal. A na koniec ci posiadający wiedzę, piszący wprost, jasno

i przystępnie, jak Tore Olsen, Tom Skjælesæther, Geir Rakvaag, Gert Johansen i Willy B.

Miałem wrażenie, jakbym ich wszystkich znał. Ogromną sympatią darzyłem Jana Arnego Handorffa. Nie rozumiałem prawie nic z tego, o czym pisał, ale domyślałem się, że w teksty wkłada dużo uczucia. Co drugi list od czytelników zarzucał jego artykułom niezrozumiałość, a on jakby w ogóle się tym nie przejmował i w głębi płataniny słów trzymał się obranego kursu, zanurzając się coraz głębiej w nieprzeżyty mrok. Bardzo też sobie ceniłem tych, którzy potrafili dołożyć przeciwnikom jednym zabójczym zdaniem. Wyobrażałem sobie, że również potrafili śmiertelnie dźgnąć swoich adwersarzy. Ale liczyła się już sama taka możliwość. Wielu krytyków pisało naprawdę ostro, gdy jakiś zespół zmieniał kurs na bardziej komercyjny, a więc wybierał łatwiejszą drogę, co działo się właśnie na przykład z Simple Minds, nie wahali się wtedy przed wytknięciem tego zespołowi, prosząc o uzasadnienie. Dlaczego? Byliście tacy dobrzy, mieliście wszystko i nagle chcecie, żeby wasze płyty się sprzedawały? Zależy wam na stadionach? Co wy wyprawiacie? Jak wy myślicie? Po co? A jeśli zespół okazywał się dla nich niedostępny, co zdarzało się często, bo Norwegia nie była najważniejszym krajem dla rozwijających się bandów, i tak punktowali muzyków swoimi ostrymi i jakbrzytymi komentarzami.

Sam do tej pory napisałem zaledwie trzy recenzje, te, które czytał Steinar Vindstrand. Usiłowałem zachować w nich rzeczowy ton, a jednocześnie okazać twardość, i jedną płytę zjechałem paroma ironicznymi komentarzami zamieszczonymi na końcu. Dotyczyło to nowej płyty Stonesów, których nigdy nie lubiłem, uważałem, że są okropni, z wyjątkiem albumu *Some Girls*, akurat ten uznałem za nie najgorszy. Teraz Stonesi przekroczyli już czterdziestkę i byli tak żałośni, jak tylko można.

Miałem to, czego trzeba, w sobie, w środku. Ważne było, żeby to z siebie wydobyć.

Na dworze pociemniało, jesień nakryła świat dłonią, a ja to uwielbiałem. Ciemność, deszcz, nagle szczeliny w przeszłości, które się otwierały, gdy z rowu buchnął zapach wilgotnej trawy i ziemi lub gdy reflektory samochodu oświetliły jakiś dom, a wszystko to jakby uchwycone i wzmocnione muzyką z wallmana, który zawsze miałem przy sobie. Kiedy słuchałem This Mortal Coil i myślałem o tym, jak bawiliśmy się po ciemku na Tybakken, ogarniała mnie radość, ale nie ta mająca związek z jasnością, lekkością i beztróską, ta nowa radość brała się z czegoś innego, a w zetknięciu z melancholią i pięknem muzyki, powiązanymi ze światem, który wokół mnie umierał, przypominała żalobę, piękną żalobę, zawód miłosny, piękno w niesamowity sposób mieszało się z bólem i z tego rodziło się wręcz dzikie pragnienie, by żyć mocniej. By się z tego wydobyć, dotrzeć do życia, dotrzeć tam, gdzie naprawdę się żyje, na ulice wielkiego miasta, w otoczenie drapaczy chmur, na iskrzące przyjęcia z pięknymi ludźmi w obcych mieszkaniach. Tęsknota za wielką miłością, za huśtawką uczuć, jaka się z nią wiązała, za akceptacją, ulgą i ekstazą.

Rzucić dziewczynę, znaleźć nową i ją też rzucić. Wejść na szczyt i być bezwzględny uwodzicielem, kimś, kogo pragną wszystkie, ale kogo żadna nie dostanie.

Ułożyłem czasopisma muzyczne w stosie na samym dole regału z książkami i zszedłem na parter. Mama siedziała w garderobie i rozmawiała przez telefon, uśmiechnęła się do mnie przez otwarte drzwi. Chwileczkę postąpiłem, żeby się zorientować, z kim rozmawia.

Z jedną ze swoich sióstr.

Przygotowałem sobie w kuchni kanapkę, zjadłem ją na stojąco przy blacie, wypłem szkanłkę mleka. Wróciłem na górę i zacząłem pisać list do Hanne. Oświadczyłem w nim, że chyba najlepiej będzie, jeśli przestaniemy się już widywać.

Napisanie tych słów dobrze mi zrobiło. Z jakiegoś powodu chciałem się zemścić na Hanne, zranić ją, skłonić, by myśli o mnie kojarzyła jej się ze stratą.

Włożyłem list do koperty i schowałem go do szkolnego plecaka; miał tam leżeć aż do następnego dnia, kiedy po szkole kupię znaczki.

Wysłałem go, zanim wsiałem do powrotnego autobusu, przekonany, że postąpiłem słusznie. Wieczorem, leżąc na kanapie i czytając wypożyczoną ze szkolnej biblioteki książkę, *Før hanen galer* Jensa Bjørneboega, nagle uświadomiłem sobie, co zrobiłem.

Przecież ją kochałem, więc dlaczego napisałem, że nie chcę już nigdy się z nią zobaczyć?

Żal dosłownie we mnie eksplodował.

Musiałem to odwołać.

Odłożyłem książkę na podłokietnik i usiałem. Czy powinienem napisać nowy list? Przyznać, że wcale serio nie myślałem tego, co napisałem w poprzednim? Że chcę się z nią widywać bez względu na wszystko?

To by wypadło idiotycznie.

Musiałem zadzwonić.

Nim zdążyłem zmienić decyzję, poszedłem do pokoju z telefonem i wykręciłem jej numer.

Odebrała sama.

– Cześć – powiedziałem. – Dzwonię, żeby cię przeprosić za mój poprzedni telefon. Nie chciałem być taki.

– Chyba nie masz za co przeproszać.

– Właśnie że mam. I jeszcze jedno. Nie będę ci długo zawracał głowy, ale wysłałem dziś do ciebie list.

– Naprawdę?

– Tak. Tylko że wcale nie myślę tak jak tam napisałem. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. W każdym razie to same bzdury. Dlatego chciałbym cię teraz prosić, żebyś nie czytała tego listu, dobrze? Po prostu go wyrzuć.

Roześmiała się.

– Teraz to już porządnie mnie zaciekawileś! Naprawdę myślisz, że wytrzymam i go nie przeczytam? A co tam powypisywałeś?

– Nie mogę powiedzieć. Właśnie o to chodzi!

Znów się roześmiała.

– Dziwak z ciebie. Dlaczego w takim razie to napisałeś, skoro wcale tak nie myślisz?

– Nie wiem. Byłem w takim dziwnym nastroju. Hanne, możesz mi to obiecać? Po prostu wyrzuć ten list i udaj, że nie istnieje. Właściwie on naprawdę nie istnieje. Bo ja wcale tak nie myślę.

- Zobaczą, co się da zrobić. Ale to przecież list do mnie. To ja teraz o nim decyduję, prawda?
- No tak, jasne. Tylko bardzo cię proszę, bądź dla mnie dobra.
- Czy w tym liście jest coś nieprzyjemnego? No tak, oczywiście.
- W każdym razie teraz już o tym wiesz. Ale jeśli chcesz, żebym padł przed tobą na kolana i cię błagał, to już klękam. Właśnie teraz. Klęczę przed tobą. Błagam cię, wyrzuć ten list!
- Wstań – powiedziała ze śmiechem.
- W co jesteś ubrana? – spytałem.
- Upłynęło kilka sekund, zanim odpowiedziała:
- W T-shirt i spodnie od dresu. Przecież nie wiedziałam, że zadzwonisz. A ty w co?
- Ja? Ja mam czarną koszulę, czarne spodnie i czarne skarpety.
- Nie rozumiem, dlaczego o to pytasz. – Roześmiała się. – Na Gwiazdkę dam ci w prezencie czapkę, tak kolorową, że będzie ci głupio w niej chodzić, ale będziesz musiał, skoro dostaniesz ją ode mnie. No, przy najmniej wtedy, kiedy będziesz się ze mną spotykał.
- To złośliwość w czystej postaci.
- Nie masz na nią monopolu.
- O co ci chodzi? Przecież nie jestem zły tylko dlatego, że nie wierzę w Boga, prawda?
- Trochę się z tobą drażnię. Ty w ogóle nie jesteś zły. Ale już mnie wołają, chyba zrobili coś do jedzenia i chcą, żebym spróbowała.
- To jak, wyrzucisz ten list?
- Roześmiała się.
- Trzymaj się!
- Posłuchaj! – zawołałem.
- Ale już odłożyła słuchawkę.

Spotkanie ze Steinarem Vindsladem było krótkie i polegało na tym, że pokazał mi, jak pisać recenzje na specjalnych arkuszach używanych w gazecie, kilka pól na górze należało wypełnić w konkretny sposób, dostałem cały plik takich kartek. Steinar powiedział też, że mam tygodniowo wybierać trzy płyty w sklepie płytowym, z którym redakcja zawarła umowę. Płyty mogłem zatrzymać i to miało być moje wynagrodzenie, czy to w porządku? Oczywiście się zgodziłem. Na koniec wyjaśnił jeszcze, że teksty mam przynosić jemu, a on zajmie się resztą.

Puścił do mnie oko i podał mi rękę, potem się odwrócił i zajął jakimiś papierami leżącymi na biurku, a ja wyszedłem na ulicę, ciągle spięty po tym spotkaniu. Było zaledwie wpół do czwartej, postanowiłem więc sprawdzić, czy nie zastanę taty w domu, stanąłem pod drzwiami, zadzwoniłem, a ponieważ nie było żadnego odzewu, zrobiłem kilka kroków w bok i zajrzałem przez okno. Dom wydawał się pusty i już miałem iść na przystanek, gdy zobaczyłem, że nadjeżdża samochód ojca, jasnoszara ascona.

Podjechał pod krawężnik i stanął.

Jeszcze zanim tata wysiadł z auta, zorientowałem się, że jest taki jak dawniej. Spięty, surowy, pod pełną kontrolą. Rozpiął pas bezpieczeństwa, sięgnął po torbę leżącą na siedzeniu pasażera



i wysiadł. Przechodząc przez ulicę, nie patrzył na mnie.

– Ty tutaj? – spytał.

– Tak Pomyślałem, że zajrzę.

– Powinieneś wcześniej zadzwonić, przecież wiesz.

– Wiem, ale po prostu byłem w okolicy, więc...

Wzruszył ramionami.

– Nic się tu teraz nie dzieje – powiedział. – Myślę, że równie dobrze możesz wsiąść w autobus do domu.

– No tak

– A następnym razem zadzwonisz, dobrze?

– Dobrze.

Odwrócił się do mnie plecami i wsunął klucz w zamek. Powlokłem się w stronę autobusu. Miał rację. Równie dobrze mogłem sobie iść. Przecież nie odwiedzałem go ze względu na siebie, tylko na niego. A z tego, że akurat mu to nie pasowało, nic sobie nie robiłem. Przeciwnie.

Zadzwonił o wpół do jedenastej wieczorem. Wydawał się pijany.

– Cześć, tu tata. Jeszcze się nie położyłeś?

– Nie. Lubię siedzieć długo w nocy.

– Twoja wizyta nie bardzo mi odpowiadała, rozumiesz? Ale miło, że mnie odwiedzasz. Nie o to chodzi, rozumiesz?

– Jasne.

– Żadne jasne. Ważne, żebyśmy się rozumieli.

– No tak Oczywiście, że to ważne.

– Siedzę sobie tutaj, dzwonię trochę po ludziach, żeby dowiedzieć się, co słyhać. I popijam sobie przy tym kielonka.

„Kielonek” było jednym z określeń, które sobie ostatnio przyswoił. Innym było „słabować”. Tego nauczył się od Unni. Trochę słabuję, powiedział kiedyś, aż wtedy na niego spojrzałem, bo jakby to nie on mówił, tylko ktoś zupełnie inny.

– Urządzamy jutro kolację. Przyjdzie kilku kolegów z pracy. Poznałeś ich wtedy u nas, w Sannes. Miło by było, gdybyś i ty znalazł czas.

– Chętnie – powiedziałem. – O której?

– Myśleliśmy, że o szóstej, wpół do siódmej.

– Dobrze.

– Chyba się jeszcze nie rozłączamy? Czy już chcesz?

– Nie.

– Mnie się wydaje, że chcesz. Nie masz ochoty gadać ze swoim starym ojcem.

– Ależ mam.

Na chwilę zapadło milczenie. Tata czegoś się napił.

– Słyszałem, że byłeś u dziadków.

– Byłem.

– Mówili coś o Unni i o mnie?

– Nie. W każdym razie nic szczególnego.

– Musisz być bardziej konkretny. Mówili o nas, ale nic szczególnego?

– Powiedzieli, że byłeś u nich dzień wcześniej, a potem, że już poznali Unni i że jest miła.

– Tak powiedzieli?

– Tak

– Zastanawiałeś się nad tym, gdzie chcesz spędzić święta? Z nami czy z twoją matką?

– Na razie o tym nie myślałem. Do świąt jeszcze trochę czasu.

– Owszem, to prawda, ale to trzeba zaplanować. Zastanawiamy się, czy jechać na Południe, do ciepłych krajów, czy obchodzić święta tutaj. Jeśli przyjdziecie, to zostaniemy. Ale musimy to wiedzieć już niedługo.

– Pomyślę o tym – obiecałem. – Porozmawiam z Yngvem.

– Możesz przyjść do nas sam.

– No tak, mogę. Nie możemy trochę się z tym wstrzymać? Na razie w ogóle się nad tym nie zastanawiałem.

– Jasne, że możemy. To oczywiste, że musisz się namyślić. Ale pewnie najchętniej spędziłbyś święta z mamą?

– Niekoniecznie.

– Mhm. Wobec tego widzimy się jutro.

Rozłączył się, a ja poszedłem do kuchni i nastawiłem wodę.

– Napijesz się herbaty? – zawołałem do mamy, która siedziała na kanapie w salonie z podwiniętymi nogami i kotem na kolanach. Robiła na drutach, słuchając muzyki klasycznej w radiu.

Na dworze było już prawie całkiem ciemno.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała.

Kiedy przyszedłem pięć minut później z dwoma kubkami, odłożyła robótkę na podłokietnik, a kota zsunęła z kolan na kanapę. Wyprostowała łapy i przeciągnął się, wystawiając pazury. Mama spuściła nogi na podłogę i kilka razy potarła jedną dłoń o drugą, co robiła często po dłuższym siedzeniu nieruchomo.

– Wydaje mi się, że tata chyba trochę pije – powiedziałem, siadając w wilkinowym fotelu pod oknem. Zatrzeszczał pod moim ciężarem. Dmchnąłem na herbatę, wypilem maleńki łycalek, spojrzałem na mamę. Mefisto stanął przede mną, a moment później już siedział u mnie na kolanach.

– To z nim teraz rozmawiałeś? – spytała mama.

– Tak

– I co, był pijany?

– Trochę. Poza tym nieźle się wstawił, kiedy byłem u nich ostatnio na obiedzie.

– I co o tym myślisz?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Trochę mnie to dziwi. Kiedy przyszedłem na tę imprezę, którą urządzali tutaj, pierwszy raz widziałem go pijanego, a teraz się to powtórzyło dwa razy w ciągu krótkiego czasu.

– Może nie ma w tym nic aż tak dziwnego – stwierdziła mama. – W jego życiu zaszły przecież ogromne zmiany.

– No tak, może to minie. Ale on się robi wtedy bardzo męczący. Marudzi, mówi o tym, co źle zrobił w naszym dzieciństwie, potem wpada w sentymentalny ton i opowiada, jak mi masował nogę po urodzeniu.

Mama się roześmiała.

Spojrzałem na nią z przyjemnością. Śmiała się tak rzadko.

– Naprawdę tak mówił? Raz się zdarzyło, że cię masował. Ale miał wtedy dla ciebie dużo czułości, to mu trzeba przyznać.

– Później już nie?

– Oczywiście, że tak. Oczywiście, że miał dla ciebie czułość, Karl Ove.

Spojrzała na mnie. Zdjąłem Mefista z kolan i wstałem.

– Chciałabyś posłuchać czegoś konkretnego? – Kłęknałem przed niedużą kolekcją płyt, którą ustawiłem pod ścianą. Mefisto ruszył do kuchni tak wolno, jak chodził tylko wtedy, kiedy był obrażony.

– Nie, nastaw coś, na co sam masz ochotę.

Wyłączyłem radio i puściłem Sade. To była jedyna z moich płyt, co do której w ogóle istniała jakaś szansa, że mogłaby się spodobać mamie.

– No i co, fajne? – spytałem, kiedy muzyka wypełniała pokój już od kilku minut.

– Tak, bardzo ładne – stwierdziła, odstawiła kubek na stolik przy kanapie i znów sięgnęła po robótkę.

Następnego dnia po szkole poszedłem do Giełdy Płyt i porozmawiałem z ekspedientem, wyjaśniłem, że mam umowę ze Steinarem Vindsladem z „Nye Sørlandet” na trzy płyty, pokiwał głową, a ja poświęciłem pół godziny na wybranie tych do zrecenzowania – chodziło o znalezienie takich, o których coś wiedziałem, a najchętniej już omawianych w innych pismach, żeby mi mógł się tym troszkę kierować.

Wybrałem też jedną płytę za własne pieniądze, które rano dostałem od mamy. Zgłodniałem, więc poszedłem do piekarni Geheba, kupiłem drożdżówkę i pogryzając ją, z torbą z płytami w drugiej ręce, powlokłem się w górę Markens gate. Papierową torebkę po drożdżówce wyrzuciłem na ziemię i otarłem jedną rękę o drugą. Nagle jakiś starszy, dość opasły, ale dobrze ubrany facet krzyknął za mną:

– Hej, ty! U nas w mieście nie śmieci się na ulicach! Podnieś to!

Odwróciłem się i posłałem mu tak lodowate spojrzenie, na jakie tylko było mnie stać. Bałem

się, ale przewyżczyłem ten strach i zrobiłem kilka kroków w jego stronę.

– Niech pan sam podniesie, skoro to dla pana takie ważne – oświadczyłem. Potem, z nogami miękkimi ze strachu i piersią drżącą z podniecenia, odwróciłem się do niego plecami i ruszyłem dalej przed siebie.

Byłem na pięćdziesiąt procent pewien, że pobiegnie za mną, chwyci mnie i zacznie szarpać, może nawet uderzy w brzuch, ale nic takiego się nie stało.

Mimo to szybkim krokiem minąłem kilka kwartałów i dopiero odważyłem się obejrzeć.

Nikt za mną nie szedł.

Że też się ośmieliłem!

Tak odpyskałem!

Dzisiaj ma teraz o czym myśleć. Jak mógł mi rozkazywać? Jak mógł sobie pozwolić na taką bezczelność!?

Czy nie byłem wolnym człowiekiem? Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. N i k t!

Aż we mnie pulsowało, kiedy mijałem hotel Caledonien. Była dopiero czwarta, miałem dwie godziny do zabicia, więc skierowałem się do biblioteki bocznymi uliczkami, żeby nie ryzykować, że znów wpadnę na tamtego faceta. Zająłem wolne miejsce w czytelni, przez pewien czas oglądałem swoje płyty, w końcu z półki za mną wyjąłem książkę, był to pierwszy tom trylogii Bjørneboego o historii bestialstwa, o której Hilde z mojej klasy wyrażała się z takim przejęciem. Z powieści tego autora oprócz kilku stron *Før hanen galer*, które zdążyłem przerzucić poprzedniego dnia, czytałem jedynie *Rekin*, miałem wtedy dwanaście lat i pochłonałem tę książkę jak Jacka Londona. Ale teraz, gdy przejrzałem pierwsze strony *Historii bestialstwa*, rozumiałem, że nic do mnie nie dotarło. To było głębokie i bolesne, a opis działania ciepłego wiatru fenomenalny.

Czy zło pochodzi z zewnątrz?

Porywa ludzi za sobą jak wiatr?

Czy też rodzi się wewnątrz?

Spojrzałem na plac przed kościołem, na którym już leżało kilka żółtych i pomarańczowych liści. Ulicą szli ludzie pod parasolami.

Czy ja też mógłbym stać się zły? Ulec wiatrowi sprzecznemu z moją naturą i torturować kogoś?

A może już byłem zły?

Pomyślałem, że kwestia tortur raczej nie wchodzi w grę, i czytałem dalej. Na tej książce jednak wzrok dawało się zatrzymać ledwie przez chwilę, bo zaraz trzeba go było odrywać. Tortury to ekstremum, eksterminacja Żydów to ekstremum. Ale tego dokonali zwykli ludzie! Dlaczego to robili? Nie wiedzieli, że to złe? Jasne, że wiedzieli. Czy naprawdę tego chcieli? Chodzili sobie po swoim porządnym miasteczku z pięknymi fasadami, pilnowali, żeby wszyscy robili to, co do nich należy, uważali się za piekielnie dobrych, ale tak naprawdę p r a g n ę l i czynić zło, gdyby tylko nadarzyła się okazja? Nieświadomi tego? Czy zło było czymś, co w sobie nosiło, co nie miało formy, ale ujawniało się, gdy ta okazja się nadarzyła?

Jakie to głupie, że żyli, wierząc w Boga i w niebo, jaka to próżność! Niewiarygodna próżność!

Dlaczego Bóg miałby wybrać akurat ich, tak przejętych właściwym zachowaniem wszystkich innych? Ci cholernie mali ludzie, dlaczego Bóg miałby się troszczyć akurat o nich?

Prawie się roześmiałem w głos, ale w ostatniej chwili stłumiłem śmiech do cichego prychnięcia.

Rozejrzałem się, na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi, więc aby ukryć, że się rozglądam, znów wyjrzałem przez okno, trochę na ukoś, jakbym świadomie szukał czegoś wzrokiem.

Czy to nie Renate?

Cholera, tak, to ona.

Weszła do pizzerii Peppes. Towarzyszyła jej chyba Mona.

Przez krótki moment szaleństwa chciałem iść za nimi, natknąć się na nie niby przypadkiem, spytać, czy mogę się przysiąc do ich stolika, porozmawiać, swobodnie brylując, potem wrócić razem z nimi autobusem do domu, był piątek, a one atrakcyjne, na pewno wybierały się gdzieś na imprezę, moglibyśmy wypić kilka piw, odprowadziłbym Renate do domu, wzięłaby mnie za rękę i zaprosiła do środka, a ja bym się zgodził, i ledwie przekroczylibyśmy próg, już ściągnąłbym z niej T-shirt i spodnie, rzucił ją na łóżko i pieprzył do utraty rozumu.

Cha, cha. Pieprzył do utraty rozumu, na pewno.

Nawet teraz zrobiło mi się słabo, gdy tylko o tym pomyślałem. Owszem, może zdołałbym ją rozebrać, w wyjątkowo dobry dzień może i by mi się to udało, ale to wszystko, na co mnie było stać. Na tym się kończyło. Potem przychodziło osłabienie.

Renate była o d w a lata młodsza. Miała ciało, na którego widok wszyscy się ślinili. Tam gdzie mieszkalem, stanowiła uosobienie cielesności.

Raz w autobusie znęcały się nade mną. A raczej nie Renate, ona się tylko przyśuchiwała, ale Mona, o t r z y lata młodsza.

Jesteś taki ładny, Karl Ove, mówiła. Ale nigdy się nie odzywasz. Dlaczego nic nie mówisz? A co jest z twoimi policzkami? Czerwienisz się! Pójdiesz z nami? Idziemy do Renate. To by dopiero było coś, no nie? A może jesteś homo? Dlatego tak cicho siedzisz?

Bezczelna diablica z wielką gębą i jeszcze większą pewnością siebie.

Przez całą ósmą klasę kochałem się w jej siostrze, ale nie bardzo miałem z czym do niej uderzyć. Byłem przecież o tyle od nich starszy, a nawet nie potrafiłem się odciąć, wiedziałem, że tylko jeszcze bardziej bym się zaplątał. Jednocześnie była też Renate, młodsza nie o trzy, tylko o dwa lata, chodziła do dziewiątej i... Ale przecież ona też to wszystko słyszała i widziała, jak tępym wzrokiem patrzę za okno, czerwony na twarzy, jakby mi się wydawało, że da się wybrnąć z sytuacji samym udawaniem, że ich nie widzę ani nie słyszę.

Beznadziejne. Dlaczego nie mogłem po prostu ich przelecieć? Może nie Mony, ale Renate?

No nie, nie mogłem.

Opuściłem wzrok i dalej czytałem. Już po chwili wszystkie inne myśli, oprócz tych towarzyszących słowom Bjørneboego, wyparowały mi z głowy. I dobrze.

Na kolację do taty i Unni przyszło sześcioro innych gości. Duży stół w jadalni został nakryty

białym obrusem, były świeczniki, serwetki i srebrne sztućce. Tata powiedział, żebym wypił kieliszek wina do jedzenia, więc tak zrobiłem. Mało się odzywałem, głównie siedziałem i obserwowałem, jakich ogarnia coraz weselszy nastrój, jak rozmawiają i się śmieją. Po wypiciu tego jednego kieliszka znów wyciągnąłem rękę po butelkę i nawet już ją uniosłem, ale tata spojrzął na mnie i pokręcił głową. Odstawiłem. Opowiadał o kimś, kto ma półroczną córeczkę i zastanawia się, czy ochrzcić dziewczynkę, czy nie.

– Żadne z rodziców nie jest wierzące, ale oboje są przekonani, że tradycja jest ważna. Czy to wystarczy? – spytał.

Serce mocniej zabiło mi w piersi.

– Ja poszedłem do konfirmacji dla pieniędzy – oświadczyłem. – A w dniu, w którym skończyłem szesnaście lat, wystąpiłem z Kościoła Państwowego.

Wszyscy na mnie spojrzeli, większość z łagodnym uśmiechem.

– Wystąpiłeś z Kościoła? – zdumiał się tata. – W tajemnicy? Kto ci na to pozwolił?

– Wolno to zrobić, kiedy się ma skończonych szesnaście lat – wyjaśniłem. – A ja już mam szesnaście.

– Może i wolno – odparł tata. – Ale nie znaczy, że to słuszne.

– Przecież sam wystąpiłeś z Kościoła – roześmiała się Unni. – Więc jak możesz mówić, że twój syn nie powinien tego robić?

Bardzo mu się to nie spodobało.

Zamaskował irytację uśmiechem, ale ja go znałem, był wyraźnie niezadowolony. Wyczułem jego chłód. Unni nie, dalej wesoło rozmawiała.

Powoli chłód taty zaczął znikać, rozmywał się w alkoholu. To co zwykle było dla niego ważne, nagle przestało się liczyć, nawet to, że miałem wypić tylko jeden kieliszek wina. Zaryzykowałem i sięgnąłem po butelkę, a on rzeczywiście nie zwrócił na to uwagi. Nalałem sobie i znów stanął przede mną pełny kieliszek.

Tata się rozluźnił, w pokoju coraz mocniej odczuwało się jego obecność. To na niego zwracało się uwagę, to on przyciągał spojrzenia. Ale w tych spojrzeniach, które się ku niemu zwracały, brakowało ciepła. Tata miał w sobie czegoś za dużo, za głośno mówił, wcinał się w nieodpowiednich miejscach, śmiał się nie wiadomo z czego, wygadywał głupoty i nie słuchał. W końcu się obraził, wyszedł na pewien czas, potem wrócił, jakby nic się nie stało, długo całował się z Unni na oczach wszystkich. Goście odwracali od nich wzrok, również ich miny świadczyły wyraźnie, że nie chcą tego, co im proponował, to było zbyt gwałtowne na ich gust. Widziałem, że nie wypada zachowywać się tak jak tata, i pomyślałem, że ci cholerni idioci nic nie wiedzą, niczego nie rozumieją, są tacy mali i nawet z tego nie zdają sobie sprawy, właśnie to chyba było najgorsze, to, że uważali się za takich wspaniałych, a byli tacy mali, tacy mali.

Tej jesieni wytworzył się pewien schemat. Tata pił w każdy weekend, wtedy nie miało żadnego znaczenia, czy przyjdę przed południem, po południu czy wieczorem, w sobotę czy w niedzielę, ale kiedy zaczynał się nowy tydzień, już nie pił, a przy najmniej o wiele mniej, może z wyjątkiem jednego rozmamlanego wieczoru w tygodniu, kiedy obdzwaniał wszystkich znajomych; telefonował również do mnie i coś bredził. Starałem się odwiedzać go co najmniej raz, najlepiej dwa razy w tygodniu, a kiedy nie pił, był taki jak zawsze, surowy i rzeczowy, zadawał mi kilka pytań o szkołę, czasami o Yngvego, a potem siedzieliśmy i bez słowa oglądaliśmy telewizję, aż w końcu wstawałem i mówiłem, że muszę już iść. Czuję, że nie chce mnie widzieć u siebie, ale dalej dzwoniłem i pytałem, czy mogę przyjść, a on odpowiadała, że tak, że jest w domu. Kiedy się upił, wszystko zmieniało się w jeden wielki bałagan i chaos. Chciał wtedy rozmawiać o tym, jak dobrze mu z Unni, i nie szczędził szczegółów z życia z mamą, porównywał je do tego, które wiodł teraz z Unni. Potem płakał albo Unni wyrwało się coś nieprzemyślanego, wychodził wtedy z pokoju w złości lub we wzburzeniu. Wystarczyło, że wymieniła imię jakiegoś mężczyzny, a już potrafił wstać i wyjść, podobnie zresztą było z nią – gdy tata wypowiedział imię jakiejś kobiety, Unni wstawała i wychodziła.

Co najmniej raz podczas każdego z takich wieczorów koniecznie chciał rozmawiać o moim dzieciństwie, które zlewało mu się z jego własnym. Twierdził, że dziadek go bił, a on, chociaż może nie był dla mnie dobrym ojcem, to zawsze bardzo się starał – powtarzał to ze łzami w oczach – zawsze starał się, jak tylko mógł. Często wspominał, jak masował mi nogę, i podkreślał, że byli wtedy tacy biedni, prawie nie mieli pieniędzy.

Niewiele z tego relacjonowałem mamie. Z nią wiodłem zupełnie inne życie, moje prawdziwe życie, z nią rozmawiałem o wszystkim, o czym myślałem, z wyjątkiem tego, co miało związek z dziewczynami, z tym strasznym poczuciem pozostawania poza nawiasem w szkole, no i z tym, co robił tata. O wszystkim innym jej mówiłem, a ona słuchała, nierzadko ze szczerze zaskoczoną miną, jakby nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Oczywiście na ogół nie było to dla niej nowością, po prostu jej zdolność empatii sprawiała, że czasami całkiem zapomniała o sobie. Niekiedy można było odnieść wrażenie, że myślimy tak samo lub że przynajmniej jesteśmy równorzędnymi partnerami do rozmowy. Potem nagle mogło się to odmienić i ujawniał się dzielący nas dystans, tak jak w tych tygodniach, kiedy czytałem Bjørneboego i przez wiele kolejnych wieczorów rozprawiałem o bezsensie wszystkiego, aż mama w końcu nagle wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem, takim aż do łez, identycznym, jak śmiał się dziadek, jej ojciec, i powiedziała, że wcale nie jest tak, jak mi się wydaje, muszę się tylko rozejrzeć wokół siebie! Już do końca tego tygodnia chodziłem naburmuszony. Ale ona miała rację. A najdziwniejsze, że w pewnym sensie zamieniliśmy się na stanowiska. Zwykle to ja twierdziłem, że najważniejsze jest korzystanie z życia, że nigdy nie dam się złapać w pułapkę, której na imię obowiązek, praca od dziewiątej do szesnastej, a ona mówiła, że życie to męka, że bym nie sądził, że jest inaczej. Tymczasem teraz podpisywałem się pod czarnowidztwem

Bjørneboego, pod tą ścianą bezsensu, którą się widziało, gdy tylko zaczynało się myśleć jego kategoriami, i potwierdzałem istnienie wszelkiej nędzy tego świata, chociaż jednocześnie nie dotyczyło to tak do końca mojego własnego życia i planów, jakie z nim wiązałem, jasnych i mocnych. Ale nie pozostawało to kompletnie bez związku, ponieważ owo alternatywne życie, wykraczające poza ideały mieszczańskie, posiadało wiedzę o bezsensie, a czyż właśnie nie ta wiedza była przeszkodą dla całego tego myślenia o używaniu życia, niepracowaniu, olewaniu wszystkiego i niesłuchaniu głosu obowiązku? Dziennik, który prowadziłem w latach licealnych, wypełniały tego rodzaju przemyślenia. „Czy istnieje Bóg?”, zapisywałem na górze jednej strony i trzy strony dalej kończyłem stwierdzeniem: „Nie, raczej nie”. Byłem anarchistą, ale nie wyznawałem punkowego hasła „pieprzyć wszystko”, bo tworzyłem w myślach pewną strukturę: nikt nie powinien być ponad innymi, nie powinno istnieć żadne państwo narodowe, wyobrażałem sobie raczej luźny związek jednostek na płaszczyźnie lokalnej. Żadnych wielonarodowych spółek, żadnego kapitalizmu, a już z całą pewnością żadnej religii. Opowiadałem się za wolnością, za wolnymi ludźmi i ich w pełni wolnymi wyborami. Mama, słysząc o tym, potrafiła spytać: A kto się będzie zajmował chorymi? Odpowiadałem niepewnie, że to chyba można rozwiązać na szczeblu lokalnym. Dzardało jej się pytać dalej: Kto będzie wtedy za to płacił? I w jakiej walucie? Istnienie jakichś ogólnonarodowych instytucji musisz chyba przewidzieć? Czy może chciałbyś zlikwidować cały system pieniężny? Dlaczego nie? – odpowiadałem wtedy. Co jest złego w gospodarce naturalnej? Ale po co nam, na miłość boską, taka gospodarka? W jaki sposób w tym systemie produkowano by wszystkie te twoje płyty? Trafiałem wtedy na grząski grunt, kolidowały ze sobą moje dwa światy, ten zawierający wszystko, co fajne i przyjemne, i ten pryncypialny. A inaczej mówiąc, to, czego chciałem, i to, w co wierzyłem. Nie byłem, do jasnej cholery, żadnym ekowegetarianinem! Wcale nie o to chodziło. A jednak, jeżeli konsekwentnie stosowałem się do zasad przyjętych w punkcie wyjścia, trafiałem właśnie do tej szufladki.

Mamę ze dwa razy odwiedziły jej koleżanki z Arendal, ze dwa razy te z okresu studiów w Oslo i ze dwa razy te, które poznała, pracując w Kristiansand. W ich obecności zachowywałem się jak dojrzały syn, siadałem z nimi, rozmawiałem, żeby je zaskoczyć i żeby im zaimponować. Po moim wyjściu mówiły mamie, że jestem taki dojrzały, a przecież przekonanie ich o tym było śmiesznie proste.

Większość czasu poza szkołą poświęcałem na napisanie tych trzech recenzji płytowych w tygodniu, ale ponieważ nie płacono mi w koronach i øre, w niektóre wieczory pracowałem również w fabryce parkietu. W tych miesiącach bardzo pilnowałem wizyt u dziadków, ponieważ wiedzieli, co się dzieje z tatą, a zależało mi na pokazaniu, że mnie to nie zmienia, że jestem taki sam jak dawniej, jednocześnie w pewnym sensie reprezentowałem również dla nich tatę, i fakt, że dobrze mi się układa, poprawiał nieco wrażenie, jakie pozostawiało życie taty.

W szkole zawarłem kilka nowych znajomości. Bassen w drugiej klasie zaczął się trzymać z chłopakiem, który nazywał się Espen Olsen, aroganckim gościem z Hånes, nieznośnie przekonany o własnej wyższości, znającym wszystkich, których warto było znać. Już wcześniej zwróciłem na niego uwagę. Był jednym z tych, których się zauważa, podczas wyborów władz szkolnych bez najmniejszego wahania wchodził na mównicę i przemawiał do zatłoczonej stołówki, i z wielką pewnością siebie pełnił funkcję przewodniczącego licealnego stowarzyszenia Idun. Raz stanąłem obok niego na przerwie. To ty recenzujesz płyty dla „Nye Sørlandet”? –



spytał. Potwierdziłem. Widziałem cię raz w pierwszej klasie i śmiać mi się zachciało, powiedział. Miałeś przypięty znaczek z Paulem Youngiem, obok Echo and the Bunnymen! Jak to w ogóle m o z ł i w e? Z Paulem fuckin' Y o u n g i e m? Paul Young jest niedoceniony, odparłem. Roześmiał się głośno i drwiąco, ale zaraz dodał, że R.E.M. są dobrzy. A słyszałeś Green on Red? Pewnie, jasne. A czy on słyszał Wall of Voodoo? Żartujesz sobie? Stan Ridgway jest najlepszy!

Kilka tygodni później ni stąd, ni zowąd zaprosił mnie na przygrzywkę do imprezy, którą organizował u siebie w domu. Zastanawiałem się, skąd to zaproszenie. Przecież nie miałem nic ciekawego do wniesienia, nic, czego mógłby ode mnie potrzebować. Ale mimo wszystko zgodziłem się przyjść. Miał kupić piwo, powiedział, że w ogóle nie muszę się tym martwić, mogę za nie zapłacić po przyjściu, więc w sobotę wczesnym wieczorem wsiadłem do autobusu, wyskoczyłem na dawnym przystanku *Rebel Yell* i pomaszzerowałem pod górę do Hånes, pod adres, jaki mi podał, niedaleko centrum handlowego, w którym rok wcześniej mieliśmy tamten katastrofalny koncert.

Oklazało się, że mieszka w szeregowcu. Otworzył mi mężczyzna, najpewniej jego ojciec.

– Zastałem Espena? – spytałem.

– Tak – Odsunął się na bok – Wejdz. Espen jest na piętrze.

Nieco bardziej w głębi przedpokoju stała kobieta, zapewne matka Espena, wkładała buty.

– Ciebie chyba jeszcze nie znamy – powiedział ojciec.

– Nie. – Wyciągnąłem do niego rękę. – Karl Ove.

– A więc to ty jesteś Karl Ove?

Matka uśmiechnęła się do mnie i też uściśnęła mi dłoń.

– Wychodzimy, jak widzisz. Udanego wieczoru!

Wyszli, a ja ruszyłem po schodach na górę. Z pewnym wahaniem, bo to był obcy dom.

– Espen? – zawołałem głośno.

– Tutaj! – rozległ się jego głos, więc otworzyłem drzwi, zza których dochodził.

Leżał w wannie, z rękami wyciągniętymi wzdłuż krawędzi, szeroko uśmiechnięty. W momencie gdy zobaczyłem go nagiego, musiałem wykorzystać całą swoją siłę koncentracji, żeby patrzeć mu w oczy. Za nic na świecie nie mogłem spojrzeć na jego fufasa unoszącego się tuż pod powierzchnią wody, chociaż odruch cały czas mi to nakazywał. Nie patrz na jego fiuta. Nie patrz na jego fiuta. I wytrzymałem. Patrzyłem mu prosto w oczy, myśląc o tym, że chyba jeszcze nigdy nikomu nie patrzyłem w oczy tak długo.

– Trafieś? – Uśmiechnął się. Leżał w tej wannie całkowicie rozluźniony, jakby był panem całego świata.

– Tak, bez problemu.

– Jesteś jakiś dziwny. – Roześmiał się. – Coś nie tak?

– Nie, skąd.

Znów się roześmiał.

– Tak dziwnie mi się przyglądasz.

– Wcale nie – powiedziałem, cały czas patrząc mu w oczy.

– Nigdy wcześniej nie widziałeś fiuta?

– O której przyjdą inni? – spytałem zdecydowanie.

– O ósmej oczywiście. Tobie też tak mówiłem. Ale ty, rzecz jasna, musiałeś przyjść tak cholernie wcześnie.

– Mnie powiedziałaś, że na siódmą.

– Na ósmą.

– Na siódmą.

– Posłuchaj, uparciuchu, rzuć mi ręcznik dobrze?

Rzuciłem. Zanim zdążył wstać, odwróciłem się i wyszedłem. Czoło miałem zupełnie mokre od potu.

– Zaczęłam na dole, aż się wyszykujesz, w porządku?

– Jasne. Tylko nigdzie nie siadaj, dobra?

Wiedziałem, że sobie żartuje, ale mimo to nigdzie nie usiadłem, chodziłem tylko i rozglądałem się ostrożnie.

Naprawdę mówił, że o siódmej?

Na jednej ścianie wisiały jego zdjęcia z dzieciństwa i wczesnych lat nastoletnich, był na nich razem z innym chłopcem, pewnie z bratem.

Kiedy zszedł na dół, ubrany w niebieskie dżinsy i biały T-shirt, bez skarpet, skierował się prosto do sprzętu stereo i nastawił płytę. W pokoju zabrzmiały pierwsze akordy, wtedy zerknął na mnie chytrze.

– Wiesz, kto to jest? – spytał.

– Oczywiście – powiedziałem.

– No kto?

– Violent Femmes.

Kiwnął głową i się wyprostował.

– Prawda, że są świetni?

– Pewnie.

– Piwo?

– Fajnie by było.

Nie znałem osobiście tych innych, którzy przyszli, ale oczywiście wiedziałem, kim są, bo chodzili do Katedralnej. Trond, wysoki, chudy, jasnowłosy, z trójkątną twarzą, miał duże usta, umiał się wypowiadać i z tego co się zorientowałem, nigdy nie zabrakło mu języka w gębie. Gisle stanowił jego przeciwieństwo, drobny, ciemnowłosy, z chytrymi ciemnymi oczami, mało się odzywał, a to co mówił, było raczej konkretne, dalekie od słownej ekwilibrystyki. Przyszli też bliźniacy, Tore i Erling, których rozróżnienie zajęło mi kilka miesięcy. Opętani na punkcie muzyki, zawsze weseli, pełni zapału, mówili jeden przez drugiego i patrzyli na otaczających ich ludzi z ciepłem w oczach. Twierdzili, że widzieli mnie w pociągu do Drammen poprzedniej zimy,

w drodze na koncert U2. O tym, że jechałem tam sam i sam oglądałem występ U2, co było przecież dość dziwne, nie wspomnieli. Bassen znał ich wszystkich już wcześniej, należał do tej samej paczki, ale między nim a Espenem były jakieś kwasy, ledwie się tolerowali, nigdy jednak nie zdołałem się dowiedzieć, na czym polegał ten ich zatarg.

Tego wieczoru Bassena nie było, a ponieważ z pozostałych nie znałem nikogo, z Espenem zaś rozmawiałem zaledwie parę razy, długo siedziałem, w ogóle się nie odzywając.

Espen sypał drobnymi złośliwościami, zrozumiałem, że chce mnie rozruszać, lecz jedynie uświadomił mi moją milkliwość, spowijającą myśli jak deszczowe chmury.

Ale piłem. A im więcej piłem, tym większą czułem lekkość. Kiedy w końcu się upiłem, nareszcie znalazłem się tam naprawdę, w pokoju razem z nimi, plotłem bzdury, śpiewałem na całe gardło piosenki, które leciały z płyt, aż jęczałem, że to taki dobry utwór, cholera, świetne, to naprawdę supergrupa!

Właśnie tak chciałem się bawić, tego pragnąłem, upijać się, śpiewać, wytaczać się z autobusu na przystranku, wtaczać do dyskoteki albo baru, pić, gadać i zarykiwać się ze śmiechu.

\*

Następnego dnia obudziłem się około dwunastej. Od chwili, gdy wsiedliśmy do autobusu koło domu Espena, nie zostało mi w pamięci prawie nic oprócz paru przebiegów, na szczęście dostatecznie długich i konkretnych, abym mógł je umiejscowić, jeśli nie w czasie, to przynajmniej w jakimś punkcie.

Ale jak wróciłem do domu?

Byłe tylko się nie okazało, że wzięłem taksówkę! Taksówka kosztowała dwieście pięćdziesiąt koron, w takim razie wydałbym wszystko, co miałem.

Ale nie, dotarłem nocnym autobusem, bo po drodze patrzyłem na oświetlony niewielki stok narciarski poniżej podstawówki w Ve.

Wciąż jeszcze nie wytrzeźwiałem, miałem też to uczucie składające się w równych częściach z dyskomfortu i zadowolenia, które rozpoznawałem przy innych okazjach, kiedy tak się upiłem. Zszedłem do kuchni ciągle nim wypełniony. Śniadanie dalej stało na stole, mama przy biurku w głębi salonu przygotowywała się do zajęć.

– Dobrze się wczoraj bawiłeś? – spytała.

– Pewnie – powiedziałem. Nastawiłem wodę na herbatę, wyjąłem z lodówki kilka kotletów z siekanej wołowiny, usmażyłem je, przyniosłem sobie wczorajszą gazetę i jedząc, przez dwie godziny to czytałem, to patrzyłem na niemal całkowicie żółtopomarańczowy krajobraz za oknem. Kac nie był równie przyjemny jak upojenie, ale jeden stan był dość bliski drugiemu, bo poczucie dochodzenia do siebie, powolne odzyskiwanie przez organizm siły, w dodatku całkiem sporej, miało również swoje przebiegi triumfu.

Niebo nad żółtymi drzewami liściastymi i zielonymi iglastymi było gęste i szare. Ta szarość, a także fakt, że wzrok zatrzymywał się tak nisko, wydawałoby się, że zaledwie kilka metrów nad czubkami drzew, jeszcze przydawały intensywności kolorom, żółć, zieleń i czerń zdawały się jakby pędzić, chociaż jednocześnie powstrzymywała je szarość nieba, pewnie dlatego wydawały się tak szaleńczo jaskrawe, miały moc, by unieść się i zniknąć w nieskończoności, ale nie mogły tego zrobić, dlatego ta ich moc spalała się na miejscu.

Zadzwoił telefon.

To był Espen.

Nigdy wcześniej do mnie nie telefonował, więc się ucieszyłem.

– Dotarłeś wczoraj do domu? – spytał.

– Tak. Ale nie pytaj mnie, jak to się stało.

– No tak – Roześmiał się. – Cholera, aleśmy się uwalili.

– Mhm. A ty jak wróciłeś?

– Taksówką. Nie mam forsy na takie rzeczy, ale warto było.

– Pewnie.

– Co porabiasz na tej swojej zabitej wsi?

– Nic. Później siądę do recenzowania płyt, więc muszę być w domu.

– Tak? O czym będziesz pisał?

– O Tuxedomoon.

– Aha, o nich. Ale ta ich muzyka to przecież tylko jakieś europejsko brzmiące awangardowe śmiecie. Nie mam racji?

– To jest naprawdę niezłe. Nastrojowe.

– Nastrojowe? – prychnął. – Zjedź tę płytę. Widzimy się w poniedziałek

Koło czwartej, kiedy na dworze ledwie zaczęło się ściemniać, usiadłem przy biurku w salonie i wzięłem się do recenzji. Pisałem do ósmej, potem poszedłem do mamy i przez dwie godziny oglądałem razem z nią telewizję. Nie powinienem był tego robić, bo jeden z bohaterów brytyjskiego serialu okazał się homoseksualistą, i za każdym razem, gdy o tym wspomiano lub gdy się to ujawniało, czerwieniłem się jak burak. Nie chodziło o to, że sam byłem gejem i nie potrafiłem o tym powiedzieć mamie, ale ona mogła przecież tak pomyśleć. Było to trochę zamknięte koło, bo kiedy się czerwieniłem, gdy padło słowo „gej”, na pewno właśnie tak sobie myślała, a ja przez to czerwieniłem się jeszcze mocniej.

W swoich najczarniejszych chwilach potrafiłem sobie wyobrazić, że naprawdę jestem gejem.

Czasami tuż przed zaśnięciem zdarzało się, że nie wiedziałem, czy jestem chłopakiem, czy dziewczyną. Po prostu tego nie wiedziałem! Świadomość pracowała na najwyższych obrotach, żeby to wyjaśnić, ale ściany moich myśli były zupełnie gładkie, całkiem się wśród nich gubiłem, równie dobrze mogłem być dziewczyną jak chłopakiem, aż wreszcie udawało mi się dotrzeć na suchy ląd i z szeroko otwartymi ze strachu oczami, z lękiem ściskającym pierś stwierdzałem, że mam zdecydowanie określoną płć.

A skoro to się mogło we mnie zdarzyć, skoro potrafiła się zrodzić taka wątpliwość, to kto wie, co jeszcze we mnie siedziało? Co się we mnie kryło?

Ów lęk bywał tak silny, że czasami usiłowałem w jakiś sposób pilnować swoich snów, być w nich obecny, żeby sprawdzać, co mi się śni, kogo pożądam przez sen, chłopaka czy dziewczyny.

Ale nigdy nie pożyądałem chłopaka, zawsze chodziło o dziewczyny, i we śnie, i na jawie.

Nie byłem homoseksualistą, miałem co do tego niemal pełne przekonanie. Wątpliwość, maleńka jak muszka, bzyząc, oblatywała rozległe krajobrazy, którymi rządziła moja świadomość, ale, niestety, wystarczył już sam fakt, że istnieje. Dlatego słowo „homoseksualizm”, gdy padało w szkole, wystawiało mnie na wielką próbę, zaczerwienienie się w takiej sytuacji byłoby prawdziwą katastrofą, tak wielką, że nie miałem nawet odwagi o niej myśleć. Opanowałem pewną sztukę polegającą na tym, żeby coś robić, w zasadzie wszystko jedno co, chociażby pocierać oko albo drapać się w głowę, cokolwiek co odciągnęłoby uwagę od palających policzków lub jakoś je wytłumaczyło.

Na treningach piłki nożnej określenie „pedał” było jednym z najpowszechniejszych wyzwisk. Co ty, pedał jesteś? Albo: Ty pieprzony pedale! W tym jednak nie kryło się żadne zagrożenie.

Ponieważ wszyscy stale tak się przezywali, nikomu nie przyszłoby do głowy, że ktoś naprawdę może być gejem.

No i przecież nim nie byłem.

Kiedy film się skończył, mama zaparzyła herbatę, przyniosła dwa kubki do salonu, siedzieliśmy i gadaliśmy na różne tematy. Głównie związane z rodziną. W ciągu dnia rozmawiała z całym swoim rodzeństwem, dzwoniła do Kjellaug, Ingunn i Kjartana, a teraz relacjonowała mi, co mówili. Opowiadała o ich pracy, o pracy szwagrów, o zajęciach dzieci. Najwięcej czasu poświęciliśmy Kjartanowi, któremu przyjęto do druku w czasopiśmie literackim cztery wiersze, miały się ukazać na wiosnę. Kjartan stale myślał o przeprowadzeniu się do Bergen i rozpoczęciu studiów filozoficznych, babcia jednak źle się czuła, dziadek sam nie dałby sobie rady, a Kjellaug mieszkała za daleko i pomagała tylko w weekendy, poza tym oprócz pracy miała też własną rodzinę i własne gospodarstwo.

– Ale on i tak sam studiuje filozofię – powiedziała mama. – Może to wcale nie takie głupie. Kjartan nie ma już dwudziestu lat, życie uniwersyteckie mogłoby się okazać wcale nie takie łatwe, jak to sobie wyobraża.

– Może i tak – przyznałem. – Ale przecież ty niedawno byłaś przez rok studentką, a też nie masz dwudziestu lat.

– Rzeczywiście. – Roześmiała się. – No ale ja mam przecież rodzinę, mam was. Nie utożsamiałam się w pełni ze studentami, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi, a Kjartan ma ogromne oczekiwania wobec życia studenta.

– Czytałaś te jego nowe wiersze?

– Tak, przyśłał mi.

– Zrozumiałaś coś?

– Chyba trochę tak.

– Pokazywał mi jeden wiersz latem, nie rozumiałem k o m p l e t n i e n i c. Był o kimś, kto idzie skrajem nieba. Co to znaczy?

Uśmiechnęła się do mnie.

– No właśnie, co to może znaczyć?

– Nie mam pojęcia. Coś związanego z filozofią?

– Na pewno. Ale ta filozofia, którą on studiuje, dotyczy życia. A o życiu wszyscy coś wiedzą.

– Dlaczego nie może pisać zwyczajnie, tak jak jest, po prostu?

– Niekórzy tak robią. Ale są też rzeczy, o których nie da się mówić wprost.

– Jakie?

Westchnęła i pogłaskała kota po głowie, którą ten zaraz uniósł, przymykając oczy z rozkoszy.

– Na studiach czytałam pisma pewnego duńskiego filozofa, który się nazywa Løgstrup. Zajmował się tą filozofią, która ma takie wielkie znaczenie dla Kjartana. Heideggerem.

– Tak, to nazwisko i ja pamiętam. – Roześmiałem się.

– On używa pewnego pojęcia, o którym pisze Heidegger – ciągnęła mama. – T r o s k a.

W pielęgniarstwie to najważniejsze pojęcie. Przecież tu liczy się właśnie troska o ludzi. Ale czym właściwie jest troska? W jaki sposób ją okazujemy? Chodzi o to, żeby być człowiekiem dla drugiego człowieka. Ale co to znaczy być człowiekiem?

– Pewnie zależy od tego, kogo pytasz – stwierdziłem.

– No właśnie. – Pokiwała głową. – Ale czy istnieje coś takiego, co łączy wszystkich ludzi? To pytanie filozoficzne. Ważne również dla pracy, którą wykonuję.

– To rozumiem – powiedziałem. – Ale nie rozumiem, dlaczego z tego powodu siedł skrajem nieba.

– A na pewno musisz to zrozumieć?

– Po co mam czytać, jeśli nie rozumiem?

– Może powinieś spytać Kjartana następnym razem, kiedy go zobaczysz.

– O to, co miał na myśli?

– Dlaczego nie?

– Nie mogę rozmawiać z Kjartanem. On jest stale zły. No, może nie zły, tylko skwaszony. Albo jakiś dziwny.

– Rzeczywiście, masz rację. Ale nie jest groźny, jeśli tak ci się wydaje.

– Wiem.

Zapadła cisza.

Usiłowałem wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć, bo było już późno, więc dłuższa przerwa przypominałaby mamie, że powinna się już położyć, a nie chciałem, żeby od razu szła spać, miałem ochotę jeszcze z nią rozmawiać. Z drugiej jednak strony powinienem skończyć tę recenzję, więc im dłużej tu z nią siedziałem, nic nie robiąc, tym dłużej musiałem ślepczeć w nocy.

– No – powiedziała mama – znów zrobiło się późno.

– Wiem.

– Będziesz jeszcze pracował?

Kiwnąłem głową.

– Tylko nie siedź za długo.

– Muszę poświęcić na to tyle czasu, ile trzeba.

– Wiem, wiem. Wobec tego dobranoc. – Wstała.

– Dobranoc.

Kiedy szła przez salon, kot przeciągał się przy kanapie. Patrzył na mnie.

– O nie, nie. – Pokręciłem głową. – Muszę pracować.

Z recenzowaną płytą na adapterze pisałem wersję za wersją, gniołem odrzucane kartki i ciskałem je na rosnący na podłodze stos.

Minęła już druga, kiedy wreszcie byłem zadowolony, wyciągnąłem kartkę z maszyny, odsunąłem krzesło od biurka i ostatni raz przeczytałem to, co napisałem.

Tuxedomoon

*Holy Wars* (Cramboj)

Recenzja Karla Ovego Knausgård

Tuxedomoon pochodzą z San Francisco, ale obecnie ich bazą jest Bruksela. Zespół zimą wybiera się do Norwegii, 1 grudnia zagra w Operze Norweskiej w Oslo.

Blaine Reininger, główny muzyk Tuxedomoon, opuścił zespół, stawiając na bardzo obiecującą solową karierę. *Holy Wars* to pierwsza płyta tej grupy bez Reiningera.

Członkowie Tuxedomoon mają klasyczne wykształcenie muzyczne, a wychowani są na rocku. Rezultat jest trudny do zaszklafkowania, lecz główne hasła w tym wypadku to rock awangardowy, futurizm i modernizm.

Zespół sięga do głębi, wypróbować i odkrywa nowe muzyczne ścieżki. *Holy Wars* to piękna, nastrojowa płyta, chociaż momentami wydaje mi się trudno dostępna. Zawiera mgliste nastroje przeszłości przemieszanej z przyszłością, instrumenty syntetyczne splecione z akustycznymi. Tekstem jednego z utworów na płycie jest przetłumaczony na angielski wiersz średniowiecznego francuskiego poety. Ten utwór, *St. John*, jest w mojej opinii najmocniejszy na całym krążku, z frapującym wstępem organowym i takimże refrenem.

Wraz z *In a Manner of Speaking* stanowi jaśniejszą stronę płyty. Inne utwory godne zauważenia to *Bonjour Tristesse* i instrumentalny *The Waltz*.

Zanim się położyłem, napisałem do mamy kartkę, żeby mnie nie budziła, bo skończyłem bardzo późno. Zwykle wstawała godzinę przede mną, jadła śniadanie, piła kawę i wypalała papierosa, słuchając radia. Potem budziła mnie i w dniach, kiedy akurat dobrze się składało, podwoziła mnie do szkoły. Jej szkoła znajdowała się zaledwie o kilometr dalej. Zwykle mało rozmawialiśmy przez te pół godziny dojazdu do miasta, i często myślałem o tym, jak różne jest to milczenie od tego, które dzieliłem z tatą, kiedy cisza paliła mnie jak gorączka. Z mamą milczenie było pozbawione wszelkiego napięcia.

Tego dnia rano obudziłem się o pół godziny za późno, żeby zdążyć na autobus. W półśnie stwierdziłem, że mi uciekł, zdjąłem lepkie slipy i nagi poszedłem do pokoju z szafami ubraniowymi, gdzie ku swojemu przerażeniu odkryłem, że nie mam już więcej czystej bielizny.

Dlaczego mama nie zrobiła prania? Przecież miała na to cały pieprzony weekend!

W łazience zastałem na środku suszarkę zapełnioną ciuchami, ale wszystkie były mokre, więc domyśliłem się, że jednak poprzedniego wieczoru nastawiła pranie, tylko zapomniała je rozwiesić i zrobiła to dopiero w biegu dziś rano.

Była taka roztargniona.

To oznaczało, że miałem wybór między wyciągnięciem używanych slipów z kosza na bieliznę albo włożeniem mokrych.

Długo się wahałem. Na dworze było dość zimno i wiedziałem, że przejście kilometra do autobusu w mokrych majtkach to żadna przyjemność.



No ale z drugiej strony nigdy nie wiadomo, jak blisko ludzi się będzie w ciągu dnia. Nie uważałem, że śmierdzą, ale gdybym miał nawet cień podejrzenia, że tak jest, zachowywałbym się jeszcze sztywniej i bardziej nienaturalnie niż zwykle.

Co by było, gdyby Merethe z mojej klasy, ta, którą potrafiła tak nagle ogarnąć ochota na flirt, akurat dzisiaj postanowiła utkwic we mnie niebieskie oczy i podejść blisko, żeby przelotnie pogładzić mnie po ramieniu, albo nawet po piersi tą swoją śliczną rączką?

Jednak muszą być te mokre.

Wziąłem prysznic, zjadłem śniadanie, oceniłem, że nie zdążę bez stresu na kolejny autobus, więc postanowiłem pojechać jeszcze następnym.

Na dworze niebo było błękitne, słońce stało nisko, w cieniu pod drzewami nad brzegiem rzeki, nad spokojną wodą snuła się mgła.

Kiedy autobus zatrzymał się koło szkoły, kończyła się trzecia lekcja, a ponieważ nie było już sensu na nią wchodzić, pojechałem dalej, do miasta i zajrzałem do redakcji „Nye Sørlandet” z trzema recenzjami. Steinar był w swoim pokoju.

– Wagarujesz – powiedział.

Potwierdziłem.

– Nieładnie. – Uśmiechnął się. – Masz coś dla mnie?

Wyjąłem kartki z plecaka.

– Połóż tam. – Wskazał na biurko.

– Nie spojrzysz na to? – Zawsze zerkał na tekst, zanim wyszedłem.

– Nie. Ufam ci. Do tej pory robiłeś dobrą robotę, więc dlatego dzisiaj miałoby być inaczej. Trzymaj się!

– Cześć – rzuciłem i wyszedłem. Jego słowa sprawiły, że aż zaczął bić ode mnie blask. Żeby to uczcić, poszedłem kupić kolejne dwie płyty. Potem usiadłem u Geheba, zjadłem drożdżówkę i popijając colę, uważnie obejrzałem okładki. Kiedy już wszystko na nich wypatrzyłem, zrobiło się tak późno, że aż głupio byłoby iść do szkoły, więc powłóczyłem się trochę po ulicach i wczesnym autobusem wróciłem do domu. Zatrzymałem się przy skrzynce pocztowej na skrzyżowaniu, oprócz gazety leżały w niej trzy listy. Dwie koperty z okienkami do mamy – czyli rachunki. A do mnie koperta poczty lotniczej!

Rozpoznałem charakter pisma w adresie, a na stemplu pocztowym sprawdziłem, że list jest z Izraela. Wstrzymałem się z otwarciem go aż do chwili, kiedy usiadłem przy biurku w swoim pokoju. Otworzyłem kopertę, wyjąłem list, wstałem, nastawiłem płytę, znów usiadłem. Zacząłem czytać.

*Tel Awiw, 10/9/1985*

*Cześć, Karl Ove!*

*Przyjechałam do Tel Awiwu miesiąc temu. Fajnie tutaj, ale też i niełatwo. W życiu tyle się nie nasprzątałam, co przez ten miesiąc. Tu jest trzydzieści stopni ciepła, piszę ten list, leżąc na tarasie.*

*Już dwa razy byłam nad Morzem Śródziemnym, izraelscy chłopcy uczyli mnie grać we frisbee i surfować. Ale tym miejscowym chłopakom nie można ufać, kiedy ma się jasne włosy. Uważają, że dziewczyna przyjechała tu na wakacje, i od razu sobie myślą, aha, ta musi być łatwa. A ja nie mogę zapomnieć o Tobie. Sama siebie nie rozumiem. Myślę, że to dlatego, że byłeś/jesteś tym, którego najbardziej w życiu kochałam. Dlatego proszę Cię, Karl Ove, mimo że w Twoim życiu na pewno pojawiło się wiele innych dziewczyn, nie zapominaj o mnie i przyjeźdź w przyszłym roku do Danii. A gdybyś był tak miły i szybko mi tym razem odpisał, to będziesz très bien.*

I'm your fan

Lisbeth

Wstałem, podszedłem do okna, otworzyłem je i wychyliłem się, opierając przedramiona na parapecie. Powietrze było chłodne i ostre, ledwie dawało się wyczuć ciepło świecącego wprost na mnie słońca.

Ona naprawdę tak myślała. Pisała serio.

Wyprostowałem się, wziąłem list, wyszedłem na dwór, na ławkę pod oknem, i przeczytałem go jeszcze raz. Położyłem go obok siebie i zapaliłem papierosa.

Mogłem jechać do Danii latem. I nie musiałem tu wracać.

Nie musiałem tu wracać.

Nigdy wcześniej nie przeszło mi to przez myśl, a przecież zmieniało wszystko.

W chłodnym, ostrym blasku słońca świecącego mi prosto w twarz, pod ciemnoniebieskim jesiennym niebem, w środku lasu nad rzeką, nagle jakby otworzyła się przede mną przyszłość. Nie w postaci tego, czego się po mnie spodziewano, a co robili wszyscy, najpierw wojsko na północy Norwegii, potem uniwersytet w Bergen czy w Oslo, studiowanie tam przez sześć lat, przyjazdy do domu na wakacje, praca, małżeństwo i dzieci, które stawały się wnukami ich rodziców.

Zamiast tego wyjazd i zniknięcie z oczu wszystkim. Rozpłynięcie się. I to nie „za kilka lat”, tylko t e r a z. Powiedzenie mamie latem: „Posłuchaj, wyjeżdżam i nigdy więcej nie wrócę”. Nie mogła mi tego zabronić, po prostu nie mogła. Byłem przecież wolny. Byłem panem samego siebie. Przyszłość stała przede mną otworem, jak drzwi.

Buki w Danii. Małe murowane domki. Lisbeth.

Nikt by nie wiedział, kim jestem. Byłbym po prostu kimś, kto tam przyjechał, kto wkrótce odjedzie. Nie musiałbym wracać! Nikt nigdy nie musiałby dowiadywać się o mnie niczego więcej. Mogłem po prostu zniknąć, rozplątać się.

Naprawdę mogłem.

Na zakręcie poniżej domu pojawiło się auto. Rozpoznałem warkot silnika golfa mamy. Zgasilem papierosa, zakopałem peta pod kawałkiem darni i wstałem, kiedy samochód zatrzymał się na żwirze przed domem.

Wyσιάła, otworzyła bagażnik i wyjęła z niego dwie torby z zakupami spożywczy mi.

– Dostałaś jakieś pieniądze? – zdziwiłem się.

- Tak, dzisiaj dzień wypłaty.
- A co kupiłaś na obiad?
- Klopsiki rybne.
- Świetnie. Strasznie jestem głodny.

Ta gadka o świętach była ze strony taty jedynie pustą groźbą. W rzeczywistości wcale nas nie chciał u siebie i zarezerwował wyjazd na Maderę, nie zapytawszy już więcej o preferencje moje czy Yngvego.

My wybieraliśmy się razem z mamą do dziadków w Sørbøvåg. To miały być pierwsze święta bez taty i bardzo się z tego cieszyłem. Już kilka razy po rozstaniu rodziców jeździliśmy tam tylko we trójkę i wszystko toczyło się swobodnie, bez przymusu.

Ostatniego dnia przed feriami poszedłem do rodziców taty, żeby złożyć im życzenia świąteczne. Nazajutrz wylatowaliśmy z mamą do Bergen, tam mieliśmy się spotkać z Yngvem i już we trójkę popłynąć promem do Sørbøvåg.

Jak zwykle otworzyła mi babcia.

– To ty? – Uśmiechnęła się.

– Tak, byłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę wam złożyć życzenia – wyjaśniłem i ruszyłem za nią na górę, nie uścisnąwszy jej na powitanie. Dziadek siedział na swoim krześle, oczy na moment mu rozbłyły, kiedy mnie zobaczył. Tak przy najmniej mi się wydawało.

– Obiad jeszcze nie gotowy – oświadczyła babcia. – Ale mogę ci podgrzać parę bułek, jeśli jesteś głodny.

– Chętnie zjem. – Usiadłem, z kieszeni koszuli wyjąłem papierosy i zapaliłem.

– Chyba nie zacząłeś się zaciągać, co? – spytała babcia.

– Nie.

– To dobrze. Wiesz, że to niebezpieczne?

– Wiem.

Ustawiła na płycie drucianą podkładkę i włączyła grzanie. Na podkładce położyła dwie bułki, wyjęła masło, żółty i brązowy kozi ser.

– Tata wyjechał dziś rano na Maderę – obwieściłem.

– Tak, słyszeliśmy – powiedziała babcia.

– Na pewno fajnie spędzą czas – stwierdziłem. – Czy wy też tam kiedyś byliście?

– My? Nie – odparła babcia. – Nie, nigdy nie byliśmy na Maderze.

– Może chłopak myśli o Las Palmas – podsunął dziadek – Tam byliśmy.

– Tak, w Las Palmas tak – potwierdziła babcia.

– To pamiętam. Dostaliśmy od was kuszulki. Jasnoniebieskie z granatowym nadrukiem, z napisem „Las Palmas” i jakimś palmami kokosowymi.

– Tak dobrze to pamiętasz? – zdziwiła się babcia.

– Tak – odparłem.

Bo rzeczywiście pamiętałem. Coś z tamtego czasu jaśniało w świadomości. Ale nie wszystko było tak wyraźne. Raz wydawało mi się, że pamiętam, jak babcia mówiła, że ktoś był w przedpokój na dole, jakiś obcy człowiek, więc pomyślałem, że może ktoś się włamał, lecz kiedy wspomniałem o tym później, babcia popatrzyła na mnie zdziwiona i pokręciła głową. Nie, nigdy nie było żadnego obcego w przedpokój. Śląd więc mi się to wzięło? Inne niby-wspomnienia były podobnie obalane natychmiast, gdy tylko o nich napomknąłem. Miałem w pamięci, że jakiś nasz prapradziadek czy wuj prapradziadka wyjechał do Ameryki i tam ponownie się ożenił, nie rozwiodłszy się uprzednio z pierwszą żoną w Norwegii, czyli, innymi słowy, popełnił bigamię. Wspomniałem o tym podczas pewnego niedzielnego obiadu tej jesieni, kiedy siedzieliśmy razem przy stole, babcia, dziadek, tata, Unni i ja. Ale nikt o niczym takim nie słyszał, babcia pokręciła głową niemal ze złością. Miałem wrażenie, że w tej historii było też coś o ciosach zadawanych nożem. Ale jeśli to się nie zdarzyło, lecz jedynie mi się wydawało, to jak w ogóle mogło się pojawić? Czy ktoś opowiedział mi o tym we śnie? Czy zacerpnałem tę historię z niezliczonych powieści, które czytałem jeszcze w czasach gimnazjum, i po prostu przeniosłem ją na jakieś mgliste postacie z rodziny, w ten sposób wciągając samego siebie w jądro opowieści?

Nie wiedziałem.

Ale przyjemne to nie było, bo wychodziłem przez to na niewiarygodnego, na kogoś, kto kłamie, kto zmyśla, innymi słowy, na kogoś takiego jak tata. Kryła się w tym ironia losu, bo przecież tak bardzo zależało mi na tym, żeby nigdy nie kłamać, właśnie z powodu taty. Owszem, dopuszczałem białe kłamstwa, jeśli nie chciałem, żeby o czymś dowiedzieli się inni, najczęściej mama, ale również tata. Lecz jeśli coś ukrywałem, robiłem to przez wzgląd na nich, a nie na siebie, więc nie było to przynajmniej niemoralne.

– Fajnie, że będę miał trochę ferii – powiedziałem.

– Na pewno – przyznała babcia.

– A Gunnar z rodziną przyjdzie do was w Wigilię?

– Nie, będą w domu. Ale myślę, że my się do nich wybierzemy.

– Aha.

– No już. Gotowe. – Babcia przełożyła dwie bułki na talerz, postawiła go przede mną i też usiadła.

Zapomniała o zwykłym nożu i o nożu do sera.

Wstałem, żeby je sobie przynieść.

– Co się stało? Brakuje ci czegoś?

– Noża i noża do sera.

– Siedź, ja ci podam!

Wyjęła je z szuflady i położyła obok mojego talerza.

– No już – powtórzyła. – Teraz masz wszystko, czego potrzebujesz.

Uśmiechnęła się, ja też się uśmiechnąłem.

Skórka na bułkach była tak krucha, że prawie strzelała mi w ustach. Jadłem szybko, ponieważ taki miałem zwyczaj, ale przede wszystkim dlatego, że oni nie jedli. Siedzieli w milczeniu, co jakby podkreślało każdy mój ruch, nawet zdjęcie okruszka ze stołu.

– Mama też się cieszy z ferii – oznajmiłem, smarując drugą bułkę.

– Na pewno.

– Nie była w Sørbøvåg od lata, a dziadkowie przecież się starzeją, zwłaszcza babcia. Jest dość poważnie chora.

– To prawda. – Babcia pokiwała głową.

– Nie może już sama chodzić.

– Ojej. Aż tak źle?

– Ale ma chodzik – wyjaśniłem. Przełknąłem, dłonią starłem kilka okruszyn z ust. – Więc w domu jakoś się przemieszcza. Ale na zewnątrz już nie wychodzi.

Do tej pory nigdy o tym nie myślałem. Babcia rzeczywiście już w ogóle nie wychodziła, stale była w domu, w tych małych pokojach.

– Ma parkinsona, prawda? – spytał dziadek

Kiwnąłem głową.

– Ale mamie przynajmniej dobrze się układa w pracy – powiedziałem. – Nie jest już dla niej aż taką nowością.

Babcia nagle się poderwała, uniosła zasłonkę w oknie i wyjrzała.

– Miałam wrażenie, że kogoś słyszę.

– Tylko ci się wydawało – stwierdził dziadek – Przecież nikogo nie oczekujemy.

Z powrotem usiadła. Pospiesznie przegarnęła ręką włosy, spojrzała na mnie.

– Ojej! – Znów wstała. – Zapomnielibyśmy o prezentach gwiazdkowych.

Na chwilę wyszła, a ja spojrzałem na dziadka, wpatzonego w gazetkę pomagającą w typowaniu zakładów piłkarskich, która złożona leżała przed nim na stole.

– Proszę. – Babcia wróciła z przedpokojem z dwiema kopertami w ręce. – To niewiele, ale może wam się przyda. Jedna dla ciebie, druga dla Yngvego. Doniesiesz do domu? – Uśmiechnęła się.

– Pewnie. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co – powiedziała babcia.

Wstałem.

– No to życzę wesołych świąt.

– My tobie też, wszystkiego dobrego.

Babcia zesza ze mną na dół. Zapatrzyła się przed siebie, kiedy wkładałem czarną kurtkę i owijałem szyję czarnym szalikiem.

– Mogę wydać trochę tego prezentu gwiazdkowego na autobus do domu? – spytałem, spoglądając na nią.

– Nie, nie możesz. Kupcie sobie za to coś ładnego. Nie masz pieniędzy?

– No, niestety.

– Sprawdzę, czy zostały mi jakieś drobne. – Z kieszeni płaszcza wiszącego w szafie wyjęła małą portmonetkę i wręczyła mi dwie dziesiątki.

– Wesołych świąt – powtórzyłem.

– Wesółych świąt. – Uśmiechnęła się do mnie i zamknęła drzwi.

Gdy tylko przestałem być widoczny z okien domu, otworzyłem kopertę ze swoim imieniem. W środku leżała stówka. Idealnie. Mogłem jeszcze przed powrotem do domu zejść do miasta i kupić dwie płyty.

W sklepie uświadomiłem sobie, że mogę kupić cztery, bo Yngve pewnie też dostał stówkę.

Rzeczywiście.

W domu mogłem mu oddać ze swoich. Przecież banknot nie był znaczony.

Do Sørbovåg dotarliśmy wieczorem. Deszcz, ze dwa stopnie ciepła i ciemność gęsta jak ściana, kiedy niosąc bagaże, szliśmy w stronę oświetlonego domu. Cały pejzaż dookoła był przesiąknięty wilgocią, zewsząd kapalo i wszędzie pluskało.

Mama zatrzymała się przy brązowych drewnianych drzwiach z rowkami i okienkiem na samej górze. Odstawiła walizkę i otworzyła. Uderzył mnie nieco ostry zapach, bijący od wiszącego w sieni ubrania dziadka, które nosił do obory, i wraz z widokiem drzwi i białej ściany na końcu korytarza w ciągu jednej sekundy otworzył przede mną całe dzieciństwo.

Dawniej czekali by na nas na podwórzu, a przynajmniej pospieszyliby do drzwi w momencie ich otwarcia, ale teraz nic się nie działo. Postawiliśmy walizki i zdjeliśmy kurtki, słuchając własnych oddechów i szelestu ubrań.

– No już – odezwała się mama. – Wchodzimy?

Dziadek wstał uśmiechnięty z kanapy, żeby się z nami przywitać.

– Widzę, że naród norweski rośnie – powiedział, spoglądając na mnie i na Yngvego.

Uśmiechnęliśmy się.

Babcia siedziała w fotelu i patrzyła na nas. Całe jej ciało się trzęsło, choroba kompletnie nią zaważnęła. Drżało wszystko, szczękę, ręce, stopy, nogi.

Mama siadła przy niej na stołeczku i ujęła jej dłonie. Babcia próbowała coś powiedzieć, ale z ust wydobył jej się tylko ochrypły szept.

– Zaniesiemy bagaże na górę – oznajmił Yngve. – Bo będziemy spać na górze, prawda?

– Róbcie, jak chcecie – powiedział dziadek

Weszliśmy po trzeszczących schodach, Yngve zajął stary pokój Kjartana, ja – dawny pokój dziecięcy. Zapaliłem światło na suficie, postawiłem plecak obok starego łóżeczka ze szczebelkami, odsunąłem zasłonkę i spróbowałem zobaczyć coś w ciemności na zewnątrz. Była nieprzenikniona, ale mimo to domyślałem się krajobrazu rozpościerającego się za oknem. Jakby go otwierał wiejący po nim wiatr. Na parapecie pełno było martwych much, w kącie pod sufitem wisiała pajęczyna, w pokoju panował chłód. Pachniało starością. Przeszłością.

Zgasilem światło i zszedłem na dół.

Mama stała na środku pokoju, dziadek oglądał telewizję.

– Przygotujemy coś na kolację? – zaproponowała mama.

– Możemy – odparłem.

To dziadek zajmował się teraz gotowaniem. Nauczył się gotować po śmierci swojej matki,

miał wówczas dwanaście lat, musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za rodzinę. Niewiele mężczyzn z jego pokolenia miało doświadczenia z kuchnią i był dumny, że to umie. Ale o mycie garnków, patelni, chochli i podobnych przyborów już tak nie dbał. Żółtobiała skorupa tłuszczu zalegająca dno patelni wyglądała tak, jakby topniała i krzepła mnóstwo razy. Rondle w szafce miały ranty pozostałe po gotowaniu ryby albo drobiny ziemniaków na dnie. Poza tym nie było brudno, dwa razy w tygodniu przychodziła pomoc do sprzątnięcia, ale dom był już podniszczony.

Mama i ja usmażyliśmy jajecznicę, zaparzyliśmy herbatę i wyjęliśmy produkty do kanapek. Yngve nakrył do stołu. Kiedy już wszystko przygotowaliśmy, poszedłem po Kjartana, który kilka lat temu wybudował sobie osobny dom, przylegający do starego. Drobne, delikatne krople deszczu dotknęły mojej twarzy, kiedy pokonywałem trzy metry dzielące mnie od jego drzwi. Zadzwoniłem, wszedłem do sieni i stając przy schodach, krzyknąłem do góry, że jedzenie gotowe.

– Tak, tak, już idę – usłyszałem.

Kiedy wróciliśmy, mama z babcią stały na środku pokoju. Mama podtrzymywała babcię i wolniutko prowadziła ją do stołu, przy którym już usiedli Yngve z dziadkiem. Dziadek opowiadał o wielkich możliwościach, jakie daje hodowla łosia. Gdyby był młodszy, sam by się na to nastawił. Jeden z sąsiadów zabrał się do tego i założył hodowlę niedaleko w fiordzie. Jakby wygrał w lotto, tyle pieniędzy na tym zarabiał.

Usiadłem i nalałem herbaty do filiżanki. W korytarzu pojawił się Kjartan, zatrzasnął drzwi za sobą, podszedł prosto do stołu i usiadł.

– Studiujesz nauki polityczne? – spytał od razu Yngvego.

– Cześć, Kjartan – powiedział Yngve, a ponieważ Kjartan nie zareagował na ten dyskretny przytyk, Yngve przytaknął. – A raczej politykę porównawczą, bo tak to się nazywa w Bergen. Ale to jedno i to samo.

Kjartan pokiwał głową.

– A ty chodzisz do liceum? – spytał, patrząc na mnie.

– Tak – odparłem.

Wstałem i wysunąłem krzesło dla babci. Siadała powoli, mama przybliżyła ją do stołu, zajęła miejsce obok niej z drugiej strony, a Kjartan zaczął mówić. Nie patrzył na nas. Jego ręce przenosiły chleb i inne rzeczy na talerz, smarowały kromkę i podnosiły ją do ust, nalewały herbatę i mleko, przysuwały do warg kubek, a wszystko to działo się jakby niezależnie od niego, od tego co mówił, od długiego, nieprzerwanego strumienia słów, które z niego płynęły. Potrafił sam się korygować, trochę się śmiać, nawet się nieco otworzyć, ale poza tym jakby całkiem niktął, aby to, co przemawiało w nim, przemówiło na głos.

Mówił o Heideggerze. Wygłosił dziesięciominutowy monolog o tym wielkim niemieckim filozofie i swoich zmaganiach z nim, po czym nagle przerwał i umilkł. Mama podjęła którąś z wygłoszonych przez niego myśli, spytała, czy o to chodzi, czy dobrze go rozumiała. Spojrzał na nią, uśmiechnął się przelotnie i kontynuował swój monolog. Dziadek, który wcześniej dominował wszelkie rozmowy toczące się wokół stołu, nie odezwał się w trakcie jedzenia. Siedział ze wzrokiem wbitym w talerz przed sobą, od czasu do czasu zerkał na boki, z wesołą miną, jakby wpadł na coś, co chciałyby nam powiedzieć, ale się powstrzymywał i znów spuszczał wzrok.

– Nie wszyscy tutaj słyszeli o Heideggerze – odezwał się nagle Yngve, gdy nastąpiła

nieoczekiwana chwila przerwy. – Są chyba inne tematy, na które możemy rozmawiać, a nie tylko mroczny niemiecki filozof?

– Na pewno są – przyznał Kjartan. – Możemy na przykład rozmawiać o pogodzie. Ale to znaczy o czym? Pogoda to coś, co jest zawsze. Pogoda to przecież coś, przez co ujawnia się egzystencja. Dokładnie tak samo, jak my ujawniamy się przez nastrój, w jakim jesteśmy, przez to, co w danej chwili czujemy. Nie można wyobrazić sobie świata bez pogody albo samego siebie bez uczuć. Ale *das Man* automatyzuje obie te rzeczy. *Das Man* mówi o pogodzie, jakby nie było w niej nic specjalnego, a więc jej nie widzi. Nawet Johannes – Kjartan skinięciem głowy wskazał dziadka – który codziennie poświęca godzinę na słuchanie prognoz i zawsze tak robił, nawet on widzi tylko deszcz albo słońce, mgłę albo marznącą mżawkę, ale nie te elementy same w sobie, jako coś wyjątkowego, coś, co się nam ukazuje i poprzez co ukazuje nam się wszystko inne w chwilach, no cóż, w chwilach szczególnej łaski. Tak Heidegger zbliża się do Boga i do boskości, ale nigdy się w nią nie zagłębia, nigdy nie dociera do końca, lecz boskość istnieje, jest tuż-tuż, może nawet jako warunek konieczny do myślenia. Co na to powiesz, Sissel?

– To co mówisz, brzmi niemal jak religia.

Yngve, który przewracał oczami, kiedy Kjartan zaczął mówić o pogodzie, nabił na widelec kawałek łososia i przeniósł go na swój talerz.

– Czy w tym roku będą i żeberka, i *pinnekjøtt*? – spytał.

Dziadek spojrział na niego.

– Tak. *Pinnekjøtt* ususzylimy u nas na strychu. Żeberka Kjartan kupił wczoraj.

– Przywiozłem kninkówkę – oznajmił Yngve. – Przyda się.

Mama podsunęła babci do ust szklankę z mlekiem. Babcia wypila, biała strużka ściekla jej z kącika warg.

Krajobraz był jak misa wypełniona ciemnością. Następnego dnia rano jej dno ukazywało się powoli, w miarę jak wlewało się do niej światło i rozcieńczało ciemność. Moim zdaniem nie dało się tego obserwować bez myślenia o ruchu, który ma w tym udział. Bo czyż Lihesten ze swoją ogromną pionową, w zaskakującej długości skalną ścianą nie zbliżał się do światła? Czy szary fiord nie wynurzał się z głębi ciemności, w której przez całą noc się ukrywał? A wielkie brzozy po drugiej stronie podwórza, przy płocie oddzielającym sąsiednią działkę, czy nie przesunęły się o kilka metrów?

Brzozy: pięciu czy sześciu jeźdźców, którzy przez całą noc trzy mali straż przed domem, a teraz musieli mocno ściągnąć cugle, by niespokojne konie znów znieruchomiały.

Przed południem mgła ponownie zaczęła gęstnieć. Wszystko szszarzało, nawet zimozielone świerki porastające zbocze po drugiej stronie jeziora pokryły się szarością i całe otoczenie nasycała wilgoć. Mżawka w powietrzu, krople zbierające się po spodniej stronie gałęzi i skupujące na ziemię z cichutkim, ledwie słyszalnym cmoknięciem, wilgoć w ziemi na podwórzu, gdzie kiedyś było bagno, ziemia się ruszała, gdy się na niej stanęło, buty się zapadały, błoto unosiło się po ich bokach.

Około jedenastej wsiedliśmy z Yngvem do samochodu Kjartana, pożyczyl nam go,



wybieraliśmy się do Vågen po ostatnie zakupy na świąteczny obiad. Kwaśną kapustę, czerwoną kapustę, kilka dodatkowych piw, orzechy, owoce i oranżadę do zaspokojenia pragnienia, jakie zawsze wywoływało *pinnekjøtt*. I jeszcze jakieś gazety, gdyby były, żeby zabić czas do wieczora, bo wigilie z dzieciństwa wciąż tkwiły we mnie tak mocno, że już teraz nie mogłem się doczekać, kiedy siądziemy do stołu.

Z wycieraczkami biegalącymi po przedniej szybie przejechaliliśmy przez podwórze i bramę, a potem w dół, drogą przy szkole, gdzie skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy dwukilometrową wąską szosą do Vågen, które w dzieciństwie wydawało mi się położone nieskończenie daleko. Niemalże każdy metr tej drogi stanowił dla mnie osobne miejsce, a najbardziej emocjonujący był most na rzecze, potrafiłem godzinami wisieć przewieszony przez balustradę i tylko patrzeć.

Samochodem ten odcinek pokonywało się w trzy, może w cztery minuty. Gdybym już wcześniej nie był tak mocno związany z tym pejzażem, niczego bym nie zauważył. Drzewa byłyby byle jakimi drzewami, zagrody byle jakimi zagrodami, most byle jakim mostem.

– To niewiarygodne, co ten Kjartan robi – odezwał się Yngve. – W ogóle nie zwraca uwagi na innych. Wydaje mu się, że wszystkich tak bardzo to interesuje jak jego?

– Nie wiem – powiedziałem. – W każdym razie nie rozumiem nic z tego, o czym on mówi. A ty?

– Częściowo – odparł Yngve. – Ale to wcale nie jest takie imponujące. Wystarczy trochę poczytać.

Zjechał z drogi i zaparkował. Ruszyliśmy do sklepu Spółdzielni. Akurat wychodziła z niego kobieta w długim płaszczu przeciwdeszczowym, przed nią stało małe dziecko. Spojrzała na nas, zaskoczona.

– Ależ to Yngve! Ty tutaj?

Kim była?

Uściskali się.

– To mój brat, Karl Ove – przedstawił mnie Yngve.

– Ingegerd. – Wyciągnęła do mnie rękę.

Uśmiechnąłem się. Dziecko przycisnęło się do niej.

– Rzeczywiście, mówiłeś, że masz tu dziadków – powiedziała. – Już sobie teraz przypominam. Fajnie cię widzieć.

Odszedłem kilka kroków i zapatrzyłem się w wodę fiordu. Była zupełnie nieruchoma, kilka łodzi cumowało na środku przy bojach, czerwonych, rozświetlających całą tę szarość.

Za naszego dzieciństwa dopływał tutaj prom z Bergen. Raz podróżowaliśmy nocą, spałem na twardej ławce, pachniało benzyną i kawą. To była prawdziwa przygoda. Prom nazywał się „Komandor”. Teraz zastąpiły go te ekspresowe. I już się tu nie zatrzymują.

– Idziesz? – rzucił za mną Yngve.

Odwrociłem się. Kobieta z dzieckiem już odchodziła do samochodu.

– Kto to był? – spytałem.

– Znajoma z Bergen. Chodzi z Helgem.

Kiedy wróciliśmy, dom pachniał szarym mydłem. Mama pomyła podłogi. Teraz zajmowała się parapetami. Obok babcia spała w fotelu. Mama wyżęła ścierkę nad wiadrem, wyprostowała się i popatrzyła na nas.

– Nastawicie owsiankę? – spytała.

– Ja to mogę zrobić – zaofiarował się Yngve.

– Może niedługo ubierzemy choinkę? – zaproponowałem.

– Przynieś ją, jeśli chcesz.

– A gdzie jest?

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Spytaj Kjartana.

Wsunąłem stopy w parę za małych drewniaków i szurając nogami, przeszedłem do tego drugiego domu. Zadzwońiłem, otworzyłem drzwi, zawołałem: „Halo!”.

Odpowiedzi nie było.

Ostrożnie wszedłem na górę po schodach.

Kjartan siedział rozparty w fotelu i wpatrywał się w fiord. Na uszach miał olbrzymie słuchawki. Wybijał rytm jedną stopą.

Najwyraźniej mnie nie zauważył. Gdybym nagle wtargnął w jego pole widzenia, pewnie by się przestraszył. A innego sposobu zwrócenia na siebie uwagi nie było. Wołanie nic by nie dało, bo muzyka grała tak głośno, że słyshałem ją ze słuchawek aż tu, gdzie stałem.

Wyszedłem.

Ścieżką od stodoły nadchodził dziadek, tuż za nim przemykał kot.

– No i co, dowiedziałeś się? – spytała mama, kiedy wróciłem.

– Kjartan był zajęty – powiedziałem. – Słuchał muzyki.

Yngve westchnął.

– Pójdę do niego – oświadczył.

Pięć minut później wniósł do przedpokój duży, ale dość nędzne drzewko. Oprawiliśmy je w mocno już zardzewiały metalowy stojak, a potem zaczęliśmy wieszac ozdoby wyjmowane z pudła, które w tym czasie zdążyła przynieść mama. Po jedzeniu poszedłem się przejść po gospodarstwie, do starych, zrujnowanych klatek norek, nad czarne jezioro, obok miejsca, gdzie dawniej były ule. Kawałek dalej, przy resztkach fundamentów domu, który kiedyś tu stał, zapaliłem papierosa. Znikąd nie dochodził żaden odgłos, nie było widać żywej duszy. Rzuciłem papierosa w mokrą trawę i ruszyłem z powrotem do domu. Buty błyszcząły mi od wilgoci. W łazience mama pomagała babci wziąć prysznic, Yngve słuchał dziadka, który siedział wychylony na kanapie, przedramionami opierając się o kolana, i snuł swoje opowieści, jak to miał w zwyczaj.

Usiadłem w drugim fotelu.

Dziadek opowiadał o tym, jak na początku dwudziestego wieku razem z ojcem łowił śledzie i jak czasem jedno zarzucenie sieci mogło przynieść szczęście. Raz naprawdę im się to zdarzyło. W jego błyszczących oczach ożył miniony czas. Opowiadał też o szyprze, który pewnego

wieczoru, na ostatnim odcinku rejsu do Trondheim, stał na dziobie, jak pies spuszczonej ze smyczy, mówił ze śmiechem dziadek, bo to był pies na kobiety. Wcześniej długo się stroił, aż w końcu stanął na samym dziobie i dosłownie węszył, a kuter wolno sunął ku rozświetlonemu miastu. Dziadek opowiedział też o tym, jak w pracy, w której był odpowiedzialny za wysadzenie skały podczas budowy odcinka drogi, wieczorami grali w baraku w pokera, a on stale wygrywał, ale pieniędzy nie mógł wydać – zamierzał wprawdzie kupić obrączkę dla babci, lecz nie chciał, żeby pieniądze na nią pochodziły z hazardu – włożył więc całość do puli i tylko patrzył, jak pozostałym na czoła występuje pot. Gdy opowiadał, jak wówczas wyglądali, zaśmiewał się do łez, my z Yngvem też się śmialiśmy, śmiech dziadka był tak zaraźliwy, że nie dawało się przed nim obronić, ze śmiechu zginał się wpół, łzy płynęły mu po policzkach. Ale bawił nas nie tylko historiami z odległej przeszłości, a jego opowieści nie były wyrazem nostalgii, bo gdy tylko się uspokoił i przestał śmiać, zaczął mówić o swojej wyprawie do Ameryki w odwiedziny do brata, Magnusa. Nocami, siedząc w samotności, skakał po nieskończeniu wielu kanałach w telewizji, które miał Magnus, nie mógł uwierzyć, że może ich być aż tyle, uznał to za istny cud. Uśmiechnąłem się wtedy, bo przecież dziadek nie znał angielskiego, więc nic nie rozumiał, mimo to całym nocami tkwił przed telewizorem jak przykuty.

Yngve spojrzał na mnie i wstał.

– Wyjdiesz się ze mną przewietrzyć?

– Tak, tak, idźcie. – Dziadek odchylił się na oparcie łanapy.

Padał deszcz, więc przeszliśmy pod daszek nad drzwiami Kjartana i zapaliliśmy papierosy.

– Co tam u Hanne? – spytał Yngve. – Dawno już o niej nie opowiadałeś.

– Nic. Od czasu do czasu rozmawiamy przez telefon. Ale nic z tego nie wychodzi. Ona po prostu nie chce ze mną być.

– No tak. Może raczej powinieneś o niej zapomnieć.

– Właśnie się staram.

Kopał piętą w mokrym żwirze. Przestał, spojrzał na stodołę. Była w złym stanie, w kilku miejscach farba się złuszczyła, a podjazd prowadzący do górnych wrót porósł trawą, lecz mimo wszystko zdawała się jaśnieć, bo tło, zielone podwórze, szary fiord i ciężkie, ołowianoszare niebo, jakby wypychało ją do przodu i unosiło.

A może wydawało mi się tak po prostu dlatego, że stodoła miała dla mnie tak wielkie znaczenie w dzieciństwie. Właściwie była jednym z najważniejszych budynków.

– A ja poznałem dziewczynę – oznajmił Yngve.

– Tak?

Kiwnął głową.

– W Bergen?

Tym razem pokręcił głową i tak mocno zaciągnął się papierosem, że aż zapadły mu się policzki.

– Prawdę mówiąc, w Arendal. Latem. Od tamtej pory jej nie widziałem. Ale pisaliśmy do siebie. No i mamy się znów spotkać w sylwestra.

– Zakochałeś się?

Spojrzał na mnie. Moje bezpośrednie pytanie mogło wywołać bardzo różne reakcje. Yngve

nie zawsze chciał rozmawiać o takich sprawach. No ale chyba naprawdę był zakochany. Kiedy mówił o tej dziewczynie, w niezwykle sposób jakby rozzarzył się w środku; przypuszczałem, że cały czas chciał o niej rozmawiać, w każdym razie jeśli był taki jak ja, a przecież był.

– Tak – powiedział. – Rzeczywiście można to ująć tak prosto. Nie potrzeba wielu słów! Właściwie wystarczy jedno!

– Jak ona wygląda? Ile ma lat? Gdzie mieszka?

– Może zaczniemy od tego, jak jej na imię. Tak by było najbardziej praktycznie.

– Okej.

– Ma na imię Kristin.

– No i?

– Jest o dwa lata młodsza ode mnie. Mieszka na Tromøi. Ma niebieskie oczy. Jasne, kręcone włosy. Dość drobna... Chodziłaś z nią do szkoły. Była o dwa lata wyżej od ciebie.

– Kristin? Nic mi nie dzwoni.

– Rozpoznasz ją, kiedy ją zobaczysz.

– No to musisz zacząć z nią chodzić.

– Taki mam zamiar. – Spojrzał na mnie. – Nie wybrałbyś się ze mną na tego sylwestra? Do schroniska Vindilhytta. Chyba że idziesz gdzie indziej?

– Nie, nie mam żadnych specjalnych planów. Mogę się wybrać z tobą.

– I tak będę jechał z domu. Jedź ze mną!

Kiwnąłem głową i odwróciłem się, żeby nie widział, jak bardzo się ucieszyłem.

Kiedy wróciliśmy do domu, dziadek spał z brodą wciśniętą w pierś i z założonymi rękami.

Wybiła piąta, w telewizji zaczął śpiewać chór Srebrni Chłopcy, zszedłem na dół ze swojego pokoju już przebrany. Biała koszula, czarny garnitur, czarne buty. W całym domu pachniało *pinnekjøtt*. Babcia była w swojej najlepszej sukience, włosy miała wyszczołkowane. Dziadek w granatowym garniturze. Kjartan w szarym, o kroju z lat siedemdziesiątych. Na stole nakrytym białym obrusem stał najlepszy serwis, obok leżały zielone serwetki. Cztery butelki piwa, w temperaturze pokojowej, bo tak się tutaj piło, i butelka kninkówki na środku. Brakowało jedynie jedzenia, po które już poszedł Yngve. Wszytko przygotował dziadek.

– Jest tylko pięć ziemniaków! – zdenerwował się Yngve. – Nie starczy nawet po jednym dla każdego!

– Ja nie muszę jeść ziemniaków – powiedziała mama. – Więc weźcie sobie.

– No ale mimo wszystko... Po jednym ziemniaku na świąteczny obiad?

Pomogłem mu nosić półmiski. Parujące *pinnekjøtt*, prostokątne kawałki wieprzowych żeberk z przypieczoną skórką, gdzieniegdzie z widoczną szczecinią. Duszona kalarepa, kwaśna kapusta, czerwona kapusta, pięć ziemniaków.

*Pinnekjøtt* było przepyszne, dziadek nasolił, wymoczył i ugotował je idealnie. Jedyńm minusem tego posiłku, tak ważnego posiłku w roku, były ziemniaki. Niczego przecież nie powinno brakować, a już zwłaszcza ziemniaków! Przełknąłem jednak jakoś to rozczarowanie, nikt więcej

najwyraźniej się tym nie przejął. Babcia trzęsa się skłona przy stole, ale oczy miała przytomne, widziała nas i cieszyła się, że jesteśmy, tyle zrozumiałem. Wystarczyło jej już samo to, że przyjechalśmy, zawsze tak było. Dziadek pałaszował mięso, aż tłuszcz spływał mu po brodzie. Kjartan prawie nie tknął jedzenia, rozprawiał o Heideggerze i Nietzschem, o poecie o nazwisku Hölderlin i niejakim Arnem Ruste, do którego posłał wiersze, a on życzliwie je skomentował. W tym jego słowotoku było więcej nazwisk, a wszystkie wypowiedane z pufałością, którą, jak sądził, podzielamy.

Po obiedzie Yngve i ja wynieśliśmy talerze i półmiski, a mama ubiła śmietaną do puddingu ryżowego. Kjartan, zostawszy sam z rodzicami, milczał.

– Proponuję, żebyśmy wprowadzili strefę wolną od Heideggera – powiedział Yngve.

Mama się roześmiała.

– To jest też trochę interesujące.

– Ale niekoniecznie w Wigilię – włączyłem się.

– Pewnie macie rację – przyznała.

– Może zjemy deser trochę później? – zaproponował Yngve. – Najadłem się po uszy.

– Ja też – powiedziałem. – *Pinnekjøtt* było w tym roku wyjątkowo dobre.

– To prawda – przyświadczyła mama. – Chociaż może trochę słone.

– Nie, nie – zaprotestował Yngve. – Akurat takie, jak powinno być. Idealne.

– To co, zaczynamy z prezentami? – spytałem.

– Możemy – zgodził się Yngve.

– Rozdasz?

– Pewnie.

Od Yngvego dostałem epkę *The Duke of Stratospher* i bluzę, od mamy biografię Bjørneboego autorstwa Wandrupa, od Kjartana kieszonkową latarkę, a od dziadków wielki kawał łososa i na dodatek czek na dwieście koron. Mamie dałem kasetę Vivaldiego, żeby mogła sobie słuchać w samochodzie, Yngvemu solową płytę Willsona-Pipera, gitarzysty z *The Church*, dla Kjartana kupiłem powieść Jana Kjærstada. Yngve wyczytywał imiona władczym głosem i pewną ręką wręczał paczki. Zgniołem papier prezentowy i wrzuciłem go do płonącego pieca. Od czasu do czasu popijałem małymi łyżkami koniak, przyniesiony przez dziadka. Yngve wręczył mu prezent od Ingrid, najmłodszej córki Kjellaug i Magnego, urodzonej ładnych kilka lat po rodzeństwie, a kiedy dziadek rozpakował paczkę i zobaczył, co to jest, zeszytniał. Nagle się poderwał i ruszył do pieca.

– Co dostałeś? – spytała mama. – Nie wyrzucaj!

Już utworzył drzwiczki, więc mama pospieszyła do niego.

– Nie możesz tego spalić! – oświadczyła, odbierając mu prezent.

Dziadek był jednocześnie nastawiony wojowniczo i kompletnie zagubiony.

– Pokaż! – zażądałem. – Co to jest?

– To gipsowy odlew jej rączki – wyjaśniła mama.

Odcisk drobnej rączki w gipsowej płycie. Dlaczego chciał go spalić?

– Johannes jest przesądny. – Kjartan się roześmiał. – To oznacza śmierć.

– No właśnie – potwierdził dziadek – Nie chcę tego widzieć na oczy.

– Odłożymy to tutaj – zarządziła mama, kładąc prezent na bok – Mała zrobiła to własnoręcznie w przedszkolu i ci przy słała. Nie możesz tego wyrzucić.

Dziadek się nie odezwał.

Ale czy babcia leciutko się nie uśmiechnęła?

Yngve wręczył Kjartanowi prezent od siebie. Butelkę wina.

– Trafieś w dziesiątkę – powiedział Kjartan. Siedział w fotelu w głębi pokoju, z kieliszkiem koniaku w rękę, spojrzenie miał łagodniejsze, bardziej pokojowo nastawione.

– Będziemy mogli jutro przesłuchać nasze nowe płyty na twoim sprzęcie? – spytałem.

– No pewnie.

Siedział tuż obok choinki. Nie stała całkiem prosto, nachylała się w jego kierunku, i nagle, akurat kiedy patrzyłem mu w oczy, jednocześnie łątem oka zobaczyłem, że zaczęła się przechylać. Kjartan obrócił się w jej stronę, w spojrzeniu miał panikę. Moment później drzewko zważyło się na niego.

Dziadek się roześmiał, Yngve, mama i ja też się śmialiśmy. Kjartan, przeklinając, wstał z fotela. Podnieśliśmy z Yngvem choinkę, zamocowaliśmy ją lepiej i przysunęliśmy do ściany.

– Nawet choinka nie chce mnie zostawić w spokoju. – Kjartan, zanim usiadł, przeciągnął ręką przez włosy.

– No to na zdrowie! – powiedział Yngve. – Wesołych świąt!

Podczas przerwy międzyświątecznej popłynęliśmy ekspresowym promem do Bergen, a stamtąd poleciliśmy samolotem na Kjevik. Kot był niemal chory z potrzeby bliskości i tak mnie drapał, że prawie rozerwał mi spodnie, kiedy wreszcie podczas kolacji mógł się ułożyć u mnie na kolanach.

Dobrze było wrócić do domu i dobrze było mieć przy sobie Yngvego.

Następnego dnia chciał odwiedzić dziadków, bo nie widział ich od lata, wybrałem się więc razem z nim.

Babcia już na schodach rozpromieniła się na nasz widok. Kiedy zsiłszy na górę, powiedziała nam, że dziadek jest w biurze, więc Yngve bez wahania zajął jego miejsce. Dzięki jego obecności przebywanie z babcią nie było tak rutynowe jak zazwyczaj, kiedy odwiedzałem dziadków sam. Yngve o wiele lepiej radził sobie z tonem panującym w tej rodzinie. Dowcipkował, roześmieszał babcie, żartował z nią tak, jak ja nigdy bym nie potrafił, nawet gdy bym ćwiczył sto lat.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, babcia spytała Yngvego, czy kupił sobie coś ładnego za te pieniądze, które dostał.

– Za jakie pieniądze? – zdziwił się.

Poczerwieniałem jak burak

– No, za te, które dostałeś od nas – wyjaśniła babcia.

– Nie dostałem żadnych pieniędzy.

– Zupełnie zapomniałem – powiedziałem. – Przepraszam.

Babcia miała taką minę, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Nie dałeś mu tych pieniędzy?

– Naprawdę przepraszam, zupełnie zapomniałem.

– Wydałeś?

– Tylko pożyczyłem. W domu miałem mu oddać z własnych i zupełnie wyleciało mi to z głowy.

Babcia wstała i wyszła.

Yngve spojrzał na mnie pytająco.

– Dostaliśmy po stówie – tłumaczyłem. – No i zapomniałem ci przekazać. Dam ci później.

Babcia przyszła z setką w dłoni i wręczyła ją Yngvemu.

– Proszę – powiedziała. – I więcej już do tego nie wracajmy.

Yngve naprawdę zaczął chodzić z Kristin w tego sylwestra. Wszystko widziałem. Najpierw, kiedy się spotkali, a ona, uśmiechnięta, spojrzała na niego, lekko przechylając głowę, powiedział coś i widać było, że jest naprawdę zawstydzony. Śmiałem się w duchu. Yngve się zakochał! Później już ze sobą nie rozmawiali, ale od czasu do czasu zerkali na siebie.

Nagle znaleźli się po przeciwnych stronach długiego stołu, Yngve gadał z Trondem, Kristin z kimś ze swoich znajomych.

Prawie na siebie nie patrzyli.

Dalej rozmawiali.

Nagle Yngve wstał, zniknął gdzieś na moment, znów usiadł i wrócił do rozmowy z Trondem, po chwili wziął kartkę i długopis, napisał coś.

A później podsunął tę kartkę Kristin!

Spojrzała na niego, potem na kartkę, przeczytała to, co napisał, znów na niego popatrzyła, wykonała w powietrzu gest pisania, a on podał jej długopis.

Naskrobała coś, pchnęła do niego kartkę, przeczytał. Potem wstał i podszedł do niej, i nagle pogrążyli się w rozmowie, jakby w pokoju zostali tylko we dwoje, a gdy następnym razem na nich spojrziałem, już się całowali. A więc mu się udało!

Od tego wieczoru nic oprócz Kristin się dla niego nie liczyło. Wyjechał do Bergen drugiego dnia nowego roku, po jego wyjeździe w domu zrobiło się pusto, ale tylko na dzień lub dwa, i znów przywykłem do jego nieobecności. Życie wróciło na utarty tor, z drobnymi wychyłami, raz w jedną, raz w drugą stronę, ze wszystkimi tymi nieprzewidywanymi zdarzeniami, jakich pełne jest życie każdego człowieka; niektóre z tych zdarzeń prowadzą do zamkniętych drzwi albo do pustych pokoi, konsekwencje innych natomiast naprawdę objawiają się dopiero wiele lat później.

Razem z Espenem zacząłem pracować w lokalnym radiu. Przygotowywaliśmy jeden program tygodniowo, szedł na żywo, a polegał na tym, że puszczaliśmy utwory naszych

ulubionych zespołów i dyskutowaliśmy o nich. Mówiłem wszystkim znajomym, że mają nas słuchać, i wielu rzeczy wście słuchało od czasu do czasu, nierzadko docierało do mnie w szkole albo w autobusie komentarz na temat czegoś, co powiedzieliśmy, albo zaprezentowanych płyt. Radio 1 było niewielką stacją, miało mało słuchaczy w powszednie wieczory, podobnie jak „Nye Sørlandet” nie było wielką gazetą, ale łącznie pozwalały mi poczuć, że jestem na drodze ku czemuś.

Program radiowy zmuszał mnie do pozostawiania po szkole w mieście, nie było sensu wracać do domu, tam tylko obrócić się w drzwiach i znów jechać do miasta, dlatego moim zwyczajem stały się wizyty u babci i dziadka. Byli o wiele pewniejszą kartą niż tata, gdy chodziło o coś do zjedzenia, więc unikałem tej niepewności, z jaką wiązały się odwiedziny u taty – nigdy nie wiedziałem, czy mnie przyjmie, czy też nie będzie miał na to ochoty.

Po pewnym takim długim wieczorze w mieście, gdy najpierw zjadłem obiad u dziadków, potem spotkałem się z Espenem w radiu, posiedziałem z nim, planując, a następnie realizując audycję, wsiadłem do autobusu i słuchałem muzyki przez całą długą drogę do domu, również przez ostatni kilometr, tak zatopiony w myślach, że ledwie zauważałem przykryty bielą świat, przez który szedłem, aż do czasu, gdy zdjąłem słuchawki, otworzyłem drzwi, rozsznurowałem buty, odwiesiłem kurtkę na miejsce i poszedłem do kuchni zjeść kolację.

Mama siedziała na górze i oglądała telewizję. Kiedy mnie usłyszała, wyłączyła telewizor i zeszła na dół.

– Słuchałaś? – spytałem.

– Tak

– Głupio wyszło, jak dostaliśmy ataku śmiechu, czy w miarę dobrze wypadło?

– Nie, głupio nie było, raczej śmiesznie. Ale wiesz, podczas twojej nieobecności dzwoniła babcia, mama ojca.

– Tak?

– Niestety, to nie była miła rozmowa. Powiedziała... powiedziała, że masz tam więcej nie przychodzić. Że zawsze jesteś głodny, jakbyś nigdy nie jadł, jesteś niechlujny i zawsze żebrzesz u nich o pieniądze.

– Co? Co takiego?

– Niestety – powtórzyła mama. – Oświadczyła, że to ja muszę się tobą zajmować, a nie oni. Że to ja jestem za ciebie odpowiedzialna. I nie żyć za siebie, żebyś do nich przychodził.

Rozplakałem się. Nie zdołałem się opanować, cios był dla mnie za silny. Odwróciłem się od mamy, twarz ściągnęła mi się w idiotyczny grymas, uniosłem ręce, żeby się zasłonić, i chociaż wcale tego nie chciałem, zacząłem szlochać.

Wyjąłem z szafki rondel i napełniłem go wodą.

– To nie ma żadnego związku z tobą – tłumaczyła mama. – Zrozum. Tu chodzi o mnie. To mnie chcą dokuczyć.

Postawiłem rondel na kuchence, ledwie cokolwiek widząc przez łzy, znów zasłoniłem twarz ręką, spuściłem głowę. Z ust wyrwał mi się kolejny szloch.

Mama się myliła, wiedziałem. Chodziło o mnie. Przecież gdy byłem u nich, wyczuwałem całe



to niezręczne milczenie i atmosferę napięcia, jaką ze sobą przynosiłem, czułem ją na ciele i w pewnym sensie rozumiałem.

Przemilczałem to jednak. Konwulsyjne drganie mięśni twarzy ustąpiło. Killka razy głęboko odetchnąłem, wytarłem oczy rękawem swetra. Usiadłem na krześle. Mama dalej stała.

– Jestem na nich wściekła – oświadczyła. – Chyba nigdy nie byłem równie wściekła jak teraz. Jesteś ich wnukiem. Trudno ci teraz. Mają o b o w i ą z e k cię wspierać. Bez względu na wszystko.

– Wcale nie jest mi trudno – zaprotestowałem. – Wszystko jest w porządku.

– Prawie nie masz wokół siebie bliskich osób, więc te z tego niewielkiego grona nie powinny odwracać się do ciebie plecami.

– Wszystko jest w porządku – powtórzyłem. – Nie martw się. Dam sobie radę bez nich.

– Ja też tak myślę. Ale jak oni mogą odwracać się od rodzonego wnuka? Wyobrazasz to sobie? Nic dziwnego, że twój ojciec tak się męczy.

– Myślisz, że on ma z tym jakiś związek?

Spojrzała na mnie. Jeszcze nigdy nie widziałem jej w takim wzburzeniu. Oczy jej pałały.

– Nie, nie wierzę. Chyba żeby t o t a l n i e się zmienił w ciągu tego pół roku.

– Zmienił się – stwierdziłem. – Jest zupełnie innym człowiekiem.

Usiadła.

– Poza tym jest jeszcze jedna sprawa – ciągnąłem. – O której nie wiesz. Yngve i ja przed świętami dostaliśmy od dziadków w prezencie po sto koron. Miałem dać Yngvemu jego stowę, ale wydałem. Później wyleciało mi to z głowy. Kiedy byliśmy u nich między świętami, sprawa wyszła na jaw.

– Ależ, Karl Ove! – Mama westchnęła. – Nawet gdybyś wziął sobie te pieniądze, to i tak nie byłby powód, żeby tak cię potraktować. Nie do nich należy karanie cię.

– Ale chyba rozumiesz, że się wkurzyli. No i babcia powiedziała prawdę. Jem u nich za każdym razem, kiedy tam jestem, i dostaję pieniądze na autobus.

– Nic złego nie zrobiłeś. Nie możesz tak myśleć.

No ale oczywiście myślałem. Leżałem, nie śpiąc, przez pierwsze godziny nocy, a mród jakby coraz mocniej ścisnął świat w objęciach, aż trzeszczały drewniane ściany domu i lód na rzece. Po ciemku potrafiłem spojrzeć na wszystko chłodniej i przytomniej. Skoro nie chcieli mnie widzieć, to nie muszą. Chodziłem do nich nie dla siebie. Niczego nie stracę, trzymając się od nich z daleka. Decyzja, że więcej już ich nie zobaczę, miała w sobie pewną dozę słodyczy. Nawet kiedy będą leżeć na łożu śmierci, nawet kiedy umrą i będą mieli spocząć w ziemi, nawet wtedy będę się trzymał od nich z daleka. Nie tak jak tata, który w okresie mojego dzieciństwa bojkotował ich, ale tylko od czasu do czasu, odcinał wszelki kontakt na miesiąc lub dwa, a potem wracał, jakby nic się nie wydarzyło. O nie, ja będę konsekwentny, nigdy więcej się z nimi nie spotkam, nigdy więcej się do nich nie odezwę.

To oni chcieli, żeby tak było, więc będą mieli to, czego sobie zażyczyli. Nie potrzebowałem dziadków, to oni potrzebowali mnie, a skoro tego nie rozumieli, to ich strata.

Któregoś popołudnia pojechałem sam pociągiem do Drammen, bo Simple Minds grali w tej samej hali, w której U2 występowali rok wcześniej. Uwielbiałem ich nową płytę, dźwięk był tak monumentalny, a utwory tak wspaniałe, że jesienią puszczałem ją na okrągło. Może i była nieco komercyjna, a piosenki nie takie mocne jak na *New Gold Dream*, ale i tak ogromnie mi się podobała. Po koncercie czułem się jednak nieco rozczarowany, szczególnie Jimem Kerrem, który był nieco podtyty, a poza tym p r z e r w a ł koncert, gdy jakiś fan wbiegł na scenę i ściągnął mu z głowy czerwony beret. Usiadł wtedy na brzegu sceny i oświadczył, że nie będą dalej grać, jeśli jego beret się nie znajdzie. Nie wierzyłem własnym uszom. Od tej pory przestała się liczyć jakość ich utworów, Simple Minds mieli u mnie przechlapane.

Do Kristiansand wróciłem pociągiem w środku nocy. Nie jeździły już autobusy, a taksówka do samego domu byłaby za droga, więc już wcześniej umówiłem się z Unni, że przenocuję u niej, w jej mieszkaniu. Dała mi klucz, żebym mógł swobodnie wejść. Tak więc pół godziny po opuszczeniu pociągu wsunąłem klucz w zamek, delikatnie otworzyłem drzwi i ostrożnie wszedłem do mieszkania. Wybudowane w latach pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych, składało się z dwóch pokoi, kuchni i łazienki; z okien w salonie rozciągał się widok na miasto. Byłem tu wcześniej dwa albo trzy razy, na obiedzie razem z tatą, i dobrze się tu czułem. Fajnie tu było, ładne obrazy na ścianach, i chociaż niezbyt lubiłem ceramiczne kubki i dywaniki z gałganków, kojarzące się z lewicowcami, to jednak pasowały do samej Unni i pewnie właśnie harmonię tego pomieszczenia wyczuwałem.

Pościeliła mi na kanapie, dała prześcieradło i kołdrę. Z półki wyciągnąłem książkę, *Ostatniego wikinga* Johana Bojera, przeczytałem kilka stron i zasnąłem.

Nazajutrz obudziła mnie krzątająca w kuchni. Ubrałem się, Unni nakryła do stołu w pokoju, przyniosła półmisek z jajkami na bekonie, herbatę i gorące bułeczki.

Przegadaliśmy cały ranek Głównie o mnie, lecz również o niej. O jej układach z synem, Fredrikiem, który nie chciał zaakceptować obecności taty w jej życiu, a także o jej pracy nauczycielki i o tym, jak jej się żyło w Kristiansand przed poznaniem taty. Ja opowiedziałem o Hanne i o tym, że mam zamiar pisać, kiedy skończę liceum. Wcześniej nikomu się z tego nie zwierzyłem, bo po prostu w ogóle o tym nie myślałem, ale teraz powiedziałem to na głos. Mam ochotę pisać, mam ochotę zostać pisarzem.

Kiedy od niej wyszedłem, było już za późno na pójście do szkoły, więc wróciłem autobusem do domu. Zimne słońce wisiąco nisko na niebie, ziemia była naga i mokra, byłem zadowolony, ale nie w pełni, bo rozmowa z Unni, a zwłaszcza szczerość w stosunku do niej budziła we mnie poczucie zdrady. Chociaż nie bardzo wiedziałem wobec czego.

Dwa miesiące później, na początku kwietnia, mama wyjechała na weekend, wybrała się do przyjaciółki w Oslo, zostałem więc sam w domu.

Po powrocie ze szkoły znalazłem w kuchni kartkę.

*Kochany Karl Ove!*

*Bądź dobry dla siebie i miły dla kota.*

Usmażyłem sobie kilka jajek i kotlety na obiad, wypilem filiżankę kawy i zapaliłem papierosa, a potem usiadłem w salonie z podręcznikiem do historii i zacząłem się uczyć. Krajobraz za oknem nie wyrwał się jeszcze z tego przedziwnego międzyczasu rozgraniczającego zimę i wiosnę. Ziemia była naga i mokra, niebo szare, drzewa bezlistne. Nic jeszcze nie było sobą, chociaż wszystko czekało, naładowane tym, co dopiero ma się wydarzyć. A jednocześnie być może już zaczęło się to dziać, w mroku niezauważalności, bo czy powietrze w lesie powoli się nie ocieplało? Czy od czasu do czasu nie rozlegał się w nim śpiew ptaka, po tyłu miesiącach ciszy, przerywanej jedynie z rzadka krakaniem wrony albo ochryplym skrzękiem sroki? Czy wiosna powolutku się nie podkradała, jak ktoś, kto chce zrobić niespodziankę przyjaciółom? Czy już się tu nie pojawiła, po to by w każdej chwili eksplodować zielenią i wypłuć z siebie liście i owady?

Takie miałem wrażenie, wiosna była już blisko. Może dlatego taki się czułem niespokojny. Pouczyłem się godzinę, potem wstałem, pochodziłem trochę po domu, wpuściłem do środka kota, który natychmiast pognął do miski, i nagle przypomniała mi się Hanne. Zanim zdążyłem pomyśleć, już stałem przy telefonie i wykręcałem jej numer.

Ucieszyła się, kiedy usłyszała, że to ja.

– Siedzisz w domu w piątkowy wieczór? To do ciebie niepodobne. Co porabiasz?

W zasadzie było to do mnie bardzo podobne. Ale pewnie tyle razy przesadziłem z opowieściami o swoim bujnym życiu towarzyskim, że Hanne włączyła je w swoje wyobrażenia na mój temat.

– Uczę się do egzaminu. No i jestem sam w domu. Mama wraca dopiero jutro. No i... trochę się nudzę. Zacząłem myśleć o tobie. Co robisz?

– Nic specjalnego. Ja też się trochę nudzę.

– Aha.

– Mogę do ciebie przyjechać – zaproponowała.

– Przyjechać?

– Tak! Mam już prawo jazdy. Będziemy pić herbatę i gadać długo w nocy, dobrze?

– Super! Ale na pewno możesz?

– Dlaczego miałabym nie móc?

– Sam nie wiem. Przyjeżdżaj!

Półtorej godziny później zajechała pożyczonym od siostry zielonym garbusem. Wciągnąłem buty i wyszedłem ją przywitać. Kiedy podjeżdżała pod górę, wydała mi się zupełnie nie na swoim miejscu za kierownicą samochodu, prowadzenie auta wiązało się z pewnym zestawem gestów, które kompletnie mi nie pasowały do jej trochę niezgrabnego dziewczęcego wdzięku. Robiła wszystko jak należy, więc nie o to chodziło, ale był w tym jakiś dodatek, od którego we krwi pulsowało mi szczęście. Zaparkowała przed garażem i wysiadła. Była w obcisłych czarnych spodniach, kiedyś powiedziałem, że wygląda w nich bardzo seksownie. Uśmiechnęła się i uściskała mnie na powitanie. Weszliśmy do środka, zrobiłem herbatę, nastawiłem płytę, chwilę porozmawialiśmy, opowiedziała mi trochę o swojej szkole, ja trochę o swojej. Jeszcze kilka

anegdota o wspólnych znajomych.

Ale rozmowa nie bardzo się kleiła.

– Kiedy się obudziłem rano, nawet przez myśl mi nie przeszło, że wieczorem będziesz tu siedziała.

– Mnie też nie.

Ponad wzgórzem za naszą działką przeleciał samolot, cały dom zatrzęsł się w posadach.

– Nisko leci – stwierdziłem.

– To prawda – przyznała. – Muszę na chwilę wyjść.

Zapaliłem papierosa, oparłem się na kanapie i zamknąłem oczy.

Kiedy wróciła, zatrzymała się przy drzwiach do ogrodu i wyjrzała. Podniosłem się, stanąłem za nią, delikatnie położyłem ręce na jej brzuchu. Nakryła je swoimi dłońmi.

– Bardzo tu ładnie – powiedziała.

W dole płynęła rzeka, błyszcząca, czarna, poziom wody się podniósł, zalała boisko do piłki nożnej, nad powierzchnią sterczały jedynie dwie skłone przez kogoś bramki. Powietrze nad doliną zgęstniało w zmięczeniu. Świeciło się w oknach domów na drugim brzegu. Po szybie tuż przed nami spływały kropelki wody.

– To prawda – przyznałem i przeszedłem w głąb salonu.

Chodziła z innym, była wierząca, a mnie uważała jedynie za przyjaciela.

Usiadła w wikinowym fotelu, odgarnęła włosy na bok, kubek z letnią herbatą podniosła do ust. Wargi były chyba najładniejszym elementem jej twarzy, łagodnie wygięte w łuk, w kącikach lekko podwinięte, jakby nie chciały się podporządkować pozostałym regularnym, czystym rysom. Z wargami wygrywały najwyżej jeszcze tylko oczy, które czasami wydawały mi się żółte, bo jej twarz miała w sobie coś kociego, chociaż oczywiście żółte wcale nie były, tylko zielonoszare.

– Późno się robi – stwierdziła.

– Chyba nie musisz już jechać?

– Właściwie nie. Jutro nie robię nic specjalnego. A ty?

– Ja też nie.

– A kiedy wraca twoja mamusia?

„Twoja mamusia”. Jedynie Hanne mogła powiedzieć coś takiego, jakby wciąż tkwiły w niej resztki dzieciństwa, jeszcze nie zeszlifowane.

Uśmiechnąłem się.

– Mamusia? Kiedy tak mówisz, czuję się jak dziesięcioletek

– No dobrze, twoja matka.

– Będzie dopiero jutro wieczorem. A co?

– Bo może bym tu przenocowała? Nie bardzo lubię jeździć po ciemku.

– A możesz?

– Co mogę?

– Nocować tutaj.

– Dlaczego miałyby m nie móc?

– Po pierwsze, chodzisz z innym chłopakiem.

– Już nie.

– Co? Naprawdę? Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

– Nie mówię ci wszystkiego, przyjacielu. – Zaśmiała się.

– A ja ci mówię wszystko!

– Aha, na pewno. Ale to, że już z nim nie chodzę, nie ma żadnego związku z tobą.

– Właśnie że ma. Jak najbardziej ma związek ze mną.

Pokręciła głową.

– Nie? – spytałem.

– Nie.

To było „nie” dla mnie, inaczej nie dało się tego zrozumieć. Z drugiej strony zrezygnowałem z Hanne już dawno, od wielu miesięcy nie zajmowała wszystkich moich myśli.

Fotel zatrzeszczał, kiedy zmieniała pozycję i podciągała nogi pod siebie.

Lubiłem ją. Lubiłem też, że siedziała tu, w tym starym domu. Niczego więcej chyba nie potrzebowałem?

Posiedzieliśmy jeszcze przez godzinę, aż ciemność za oknem zupełnie zgęstniała i w szybach odbijał się jedynie salon.

– Późno się robi – powiedziałem. – Gdzie chcesz spać?

– Nie wiem. Może w twoim pokoju. – Uśmiechnęła się. – Nie lubię spać sama w domu, którego nie znam. Zwłaszcza tutaj, przecież to niemal w środku lasu.

– Możesz spać u mnie. Przyniosę materac.

Wziąłem materac Yngvego i ułożyłem go na podłodze obok swojego łóżka. Przyniosłem świeżą pościel i obkleiłem kódrę i poduszkę, Hanne w tym czasie umyła zęby w łazience.

Przyszła do pokoju w samych majtkach i T-shircie.

W gardle mnie ścisnęło.

Jej piersi tak wyraźnie odznaczały się pod koszulką, że nie wiedziałem, gdzie mam patrzeć.

– Już – obwieściła. – Jestem gotowa. A ty nie myjesz zębów?

– Pewnie, że myję – odparłem, patrząc jej w oczy. – Już idę.

Kiedy wróciłem, siedziała na krześle przy biurku i oglądała zdjęcia, które przysłał mi Yngve. Były bardzo dramatyczne, czarno-białe, na niektórych prezentowałem się w wyszukanych pozach.

– Zobacz, jak ładnie wyszedłeś. – Podsunęła mi jedno.

Prychnąłem.

– Kładziemy się?

Dreszcz mnie przeszedł, kiedy wstała.

Nagie uda.

Drobne bosc stopy.

Kształtne piersi pod cienką koszulką.

Położyła się na materacu na podłodze, ja na łóżku obok. Podciągnęła kódrę pod samą brodę i uśmiechnęła się do mnie. Odpowiedziałem uśmiechem. Rozmawialiśmy trochę, przysunęła materac jeszcze bliżej mojego łóżka, tak że leżeliśmy niemal obok siebie.

Pomyślałem o tym, że mógłbym zsunąć się do niej. Położyć się tuż przy niej. Dotknąć jej piersi, pogłodzić ją po udach, po pośladkach.

Ale ona była przecież głęboko wierząca. Poza tym taka niewinna. Nie zdawała sobie sprawy, jaka jest ani w jaki sposób na mnie działa. Potrafiła zadawać najdziwniejsze pytania i właśnie ta jej strona, którą tak w niej kochałem, kazała mi również nie ruszać się z miejsca.

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc.

Leżeliśmy zupełnie nieruchomo.

– Śpisz? – spytała po chwili.

– Nie.

– Mógłbyś mnie trochę pogłaskać po plecach? To takie przyjemne.

– Dobrze.

Odrzuciła na bok kódrę i podciągnęła T-shirt, odsłaniając plecy. Przełknąłem ślinę i zacząłem dłonią przesuwać po jej plecach w górę i w dół, w górę i w dół.

– Ach, jak cudownie! – westchnęła.

Nie wiem, jak długo to robiłem, pewnie ze dwie minuty, ale w końcu musiałem przestać, bo inaczej bym oszalał.

– Teraz będziesz mogła zasnąć? – spytałem, cofając rękę.

– Tak – Obciągnęła koszulkę. – No to jeszcze raz dobranoc.

– Dobranoc.

Pojechala nazajutrz przed południem. Cały dzień leżałem na kanapie, ucząc się, a wieczorem zjadłem z mamą pizzę i oglądaliśmy telewizję. Siedziała z kotem na kolanach, obok na stole stała filiżanka kawy. Zjadłem sam prawie całą pizzę, wziąłem do ręki szklanke coli i oparłem nogi o stół. Leciał serial komediowy, *Albert i Herbert*, kompletnie bez sensu. Mama też musiała tak uważać, ale skoro już raz się tu rozsiedliśmy, potrzeba było trochę sił, żeby się z tego wyrwać.

Hanne wypełniła mnie sobą jak naczynie. Przez cały dzień nie schodziła mi z myśli. Już dawno z niej zrezygnowałem, wiedziałem, że ze mną się nie zwiąże, ale teraz ta stara, zardzewiała, choć kiedyś błyszcząca i mrugająca światłami karuzela znów odżyła.

Co by się stało, gdybym wczoraj się przy niej położył?

Nagle wszystko objawiło się jakby zalane innym światłem. Nagle jakby naprawdę się stało.

O Boże. Przecież ona cały czas tego chciała.

Przecież to jasne.

Boże. Boże.

Ale czy na pewno? Może jednak tylko mnie na tym zależało?

Podniosłem się do połowy, czułem, że muszę do niej zadzwonić, ale zaraz z powrotem opadłem na kanapę.

– Co się stało? – spytała mama.

– Nic. Coś mi się tylko przypomniało.

Proszone obiady u taty zupełnie się skończyły, w weekendy na ogół siedział sam i pił, tylko od czasu do czasu bywał trzeźwy, kiedy odwiedzali go krewni. Wspomniałem mu o telefonie babci, wiedział o tym i stwierdził, że dziadkowie mają rację – mama musi się mną lepiej opiekować, bo on płaci wysokie alimenty. Owszem, miałem tego świadomość. Ale fakt, że tak bardzo przeżyłem zakaz przychodzenia do dziadków, potraktował najzupełniej obojętnie, a może właśnie odwrotnie, bo w jego urodziny, kiedy kończył czterdzieści dwa lata, a ja zapowiedziałem swoją wizytę, zastałem ich tam. W przedpokoju wyczułem zapach babci, ale było już za późno, żeby zawrócić, nie mogłem uciec, dlatego otworzyłem drzwi do salonu, w którym oprócz babci i dziadka siedzieli już brat dziadka Alf ze swoją żoną Sølvi, a także Gunnar, Tove i ich dzieci. Nie patrzyłem na babcię, ani kiedy się witałem, ani kiedy siadałem przy stole. Ze wrokiem wbitym w stół zjadłem kawałek ciasta, wypiłem filiżankę kawy. Potem goście rozeszli się po domu, ktoś usiadł na kanapie, ktoś wynosił talerzyki, toczyła się luźna rozmowa. Nie było oczywiście żadnego alkoholu. Wstałem i poszedłem do toalety, a kiedy z niej wróciłem, natknąłem się na babcię.

– Nie to mieliśmy na myśli, Karl Ove – powiedziała. – Nie to!

– Aha. – Wyminąłem ją.

Czyli co? Nagle okazuje się, że wcale taknie mówiła?

Może jeszcze w ogóle nie dzwoniła?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że wszyscy tutaj wiedzą, co się stało. Być może nawet o tym dyskutowali. O mnie i o moim zachowaniu. Rozważali, co najlepiej z tym zrobić.

Natomiast tata, upijający się do nieprzytomności kilka razy w tygodniu, mógł ich zapraszać i udawać, że nic się nie dzieje, że wszystko jest w porządku.

Cholera, dlaczego nie było ze mną Yngvego?

Dlaczego musiałem radzić sobie z tym sam?

Nie widywałem się z dziadkami jeszcze przez kilka tygodni, ale w końcu któregoś popołudnia, kiedy byłem u taty, poprosił mnie, żebym tam z nim poszedł, żebym skończył z tą dziecinadą, bo przecież niedługo będą dorosły, i wreszcie ich odwiedził.

Tak zrobiłem i wszystko było jak dawniej.

Tata oficjalny, dziadek oficjalny, babcia kręcąca wszystkim, żartobliwie puszczająca oko, serwująca nam jedzenie, a potem wyciągająca tatę do ogrodu. W niczym mi nie przeszkadzało, że tata tak wyraźnie podzielił się na dwie osobowości, na tego, kim był, kiedy pił, i tego, kim był, kiedy nie pił, to znaczy takiego, do jakiego byłem przyzwyczajony, jakiego znałem. Po prostu tak

było. Nie zastanawiałem się nad tym.

Przez cały ten rok odkład się wyprowadził, w tym sentymentalnym pijackim bełkocie, podczas wszystkich kłótni i pojednań, scen zazdrości i chaosu, który wywoływał, tata regularnie mówił o tym dniu, kiedy separacja z mamą zmieni się w rozwód i wreszcie będzie mógł robić to, co chce. W momencie gdy się to stanie, zamierzał ożenić się z Unni. Tak mi dobrze z Unni, powtarzał, jestem taki szczęśliwy, kiedy się budzę przy niej, chciałbym się przy niej budzić już do końca życia, więc się pobierzemy, Karl Ove, możesz zacząć się już do tego przyzwyczajać. Gdyby nie to cholerne prawo, pobralibyśmy się już rok temu, tak wielkie ma to dla mnie znaczenie.

Jeśli sam nie byłem za bardzo pijany, mówiłem wtedy, że miło to słyseć, i uśmiechałem się głupio, może nawet ze łzami w oczach, bo zdarzało mi się popadać w identyczny sentymentalizm jak jego, i tak siedzieliśmy w fotelach z wilgotnymi oczami.

Kiedy przyszedł ten dzień, dotrzywał słowa. Był lipiec, Yngve, Kristin i ja przed południem pojechaliśmy autobusem do mieszkania taty, po którym kręcili się oboje z Unni niespokojnie, jeszcze nie gotowi. On w pięknej białej koszuli, ona w białej sukience z grubego materiału. Unni spytała, czy się czegoś napijemy, czekając na nich. Spojrzałem na tatę. Stał z piwem w rękę. Powiedział, żebyśmy wzięli sobie coś z lodówki. Zaofiarowałem się, że przyniosę. Poszedłem do kuchni i wróciłem z trzema piwami. Tata spojrzał na mnie. Może moglibyście się z tym wstrzymać, jeszcze wcześniej, a przed nami długi dzień, oświadczył. Przecież sam trzymasz w rękę butelkę, zauważyła Unni, a tata się uśmiechnął i stwierdził, że to może jednak nie takie groźne.

Oczekiwanie trwało dłużej, niż wyliczyli. Zdążyłem wypić dwa piwa, zanim wreszcie zesłaliśmy czekać na taksówkę, która miała nas zawieźć do budynku sądu. Było pochmurno i zimno. Troszeczkę czułem w sobie alkohol, przesłaniał myśli cieniutką błoną, przypominał parasol lekkiej radości. Yngve i Kristin stali objęci, uśmiechnąłem się, patrząc na nich, zapaliłem papierosa i spojrzałem na rzekę, ona również wydawała się przytłoczona naporem niskiego ciśnienia, ale ledwie zdążyłem się zaciągnąć, a już przyjechała taksówka. Było nas o jedną osobę za dużo, nikt wcześniej o tym nie pomyślał. Tata stwierdził, że pójdzie piechotą, to przecież niedaleko, ale Unni zaprotestowała:

- Nie, nie możesz iść piechotą w dzień własnego ślubu.
- My się przejdziemy – oświadczyła Kristin. – Prawda, Yngve?
- Jasne.

I tak się stało. Ja pojechałem z Unni i tatą do sądu, gdzie czekali już świadkowie. Pamiętałem ich mgliście z tamtej imprezy u nas poprzedniego lata. Nieduży, łysy mężczyzna i wysoka, pulchna kobieta z burzą włosów. Uścisnąłem im ręce, uśmiechnęli się, staliśmy w jakimś pokoju i czekaliśmy, tata niecierpliwie spoglądał na zegarek. Wkrótce miała być ich kolej, a Yngve i Kristin mogli się pojawić nie wcześniej niż za kilka minut.

W końcu przybiegli korytarzem, czerwoni, traktowali to jak przygodę. Tata popatrzył na nich obojętnie, weszliśmy, tata i Unni stanęli przed urzędnikiem udzielającym ślubów, ze świadkami po bokach. Powiedzieli swoje „tak”, wymienili obrączki, no i tata znów był żonaty. Oboje przyjęły nazwisko, które i dla niej, i dla niego było nowe, a raczej dwa nazwiska, osobno ładnie brzmiące



i stateczne, ale w połączeniu – śmiesznie nadęte i pretensjonalne.

W drodze do restauracji Sjøhuset, w której mieliśmy zjeść lunch, tata powiedział, że jedno z tych nazwisk pierwotnie szkockie, miało pewne powiązania z naszą rodziną, ponieważ nasze korzenie sięgały właśnie Szkocji. Unni ze swojej strony twierdziła, że przewijało się w jej rodzinie. W to mogłem uwierzyć, ale wiedziałem, że tata wygaduje bzdury.

Yngve myślał taksamo, bo wymieniliśmy spojrzenia, kiedy tata o tym perorował.

W restauracji o wyraźnie nadmorskim charakterze zajęliśmy stolik w głębi i zamówiliśmy krewetki i piwo. Tata i Unni się uśmiechali, wznosili toasty, to był ich dzień.

Wypiłem tam pięć piw, tata zauważył, poprosił, żebym był ostrożniejszy, ale zrobił to w życzliwy sposób, więc mu obiecałem, że będę, dodałem jednak, że zachowuję kontrolę. Yngve miał grype i trochę bardziej się oszczędzał. Poza tym była przecież Kristin, więc zwracał się głównie do niej, cały czas się śmiali i coś do siebie mówili.

Ja byłem na zmianę to podniecony, przypuszczalnie za sprawą alkoholu, w każdym razie potrafiłem zabrać głos i bez problemu rozmawiać ze wszystkimi z pewnością siebie, która od czasu do czasu, chociaż niezbyt często, się we mnie pojawiała, to całkowicie zagubiony, a wtedy wszyscy wokół stołu, z Yngvem włącznie, wydawali mi się kompletnie obcy, ale też absolutnie nieważni.

Kristin musiała to zauważyć, bo często wrywała się ze swojego odosobnienia z Yngvem i rzucała jakąś uwagę, która mogła wciągnąć mnie w rozmowę. Zachowywała się tak, odkąd związała się z Yngvem, stała się dla mnie kimś w rodzaju starszej siostry, osobą, z którą mogłem porozmawiać o wszystkim, taką, która rozumie. Jednocześnie była niewiele ode mnie starsza, więc to jej starszeństwo i siostrzowatość potrafiły nagle zniknąć i stawaliśmy naprzeciwko siebie jak rówieśnicy, ty le samo warci.

Po pewnym czasie opuściliśmy Sjøhuset i poszliśmy do mieszkania taty. Świadkowie nam nie towarzyszyli, mieli zjawić się dopiero na kolacji, stolik w restauracji Fregatten na Dronningens gate był już zarezerwowany. U taty dalej piłem i powoli zaczęło mi nieźle wirować w głowie, to było kapitalne uczucie, trochę obce o tej porze, bo kiedy tu sziłmy, jeszcze nie zaczęło się ściemniać i wszystkich mijających nas na ulicy ludzi wciąż angażowały codzienne czynności. Siedziałem coraz bardziej wstawiony, lecz o ile dobrze rozumiałem, nikt tego nie zauważał, ponieważ mój stan przejawiał się jedynie nieco większą swobodą w słowach. Alkohol jak zawsze wywoływał u mnie silne poczucie wolności i szczęścia, unosił mnie na fali, w której wszystko było fantastyczne, obawiałem się jedynie, że to się kiedyś skończy, dlatego cały czas musiałem pić, więcej i więcej. W końcu tata zamówił taksówkę, która miała nas zawieźć tych pięćset metrów do Fregatten. Dotarłem do auta, chwytając się na nogach. Teraz już musieliśmy się zmieścić. W lokalu wskazano nam stolik przy oknie w dużej, zupełnie pustej sali. Piłem od dziesiątej rano, teraz dochodziła już szósta i o mało nie wpadłem na szybę, kiedy odsuwałem sobie krzesło, żeby usiąść. Prawie nie zauważałem już obecności innych, nie słyszałem, co mówili, byli jedynie zamglonymi twarzami, a ich głosy ściszone szumem, jakbym znajdował się w lesie, otoczony człekokształtnymi drzewami i krzakami, a nie w restauracji w Kristiansand na weselu rodzzonego ojca.

Przyszedł kelner, dania były wybrane już wcześniej, więc teraz zbierał tylko zamówienia na

napoje. Tata poprosił o dwie butelki czerwonego wina, a ja zapaliłem papierosa i popatrzyłem na niego rozmytymi oczami.

– Jak się czujesz, Karl Ove? Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak – odparłem. – Wszystkiego najlepszego, tato. Masz fajną żonę. Naprawdę. Bardzo lubię Unni.

– To dobrze.

Unni uśmiechnęła się do mnie.

– Ale jak mam się do niej zwracać? Jest właściwie moją macochą.

– Oczywiście masz do niej mówić po imieniu – zdecydował tata.

– A jak mówisz do Sissel? – spytała Unni.

Tata spojrzał na nią.

– Mama – odpowiedziałem.

– Mnie możesz nazywać matką – zaproponowała Unni.

– Dobrze, będę tak mówił. Matka.

– Co za bzdura! – zaprotestował ostro tata.

– Smakuję ci wino, matko? – zwróciłem się do Unni.

– Jasne.

Tata wbił we mnie wzrok.

– Już dosyć, Karl Ove – powiedział.

– Już, już.

– Dołąd się wybieracie w podróż poślubną? – spytał Yngve. – Nic o tym nie mówiliście.

– Na razie nie będzie żadnej podróży poślubnej – odparła Unni. – Ale na dzisiejszą noc mamy zarezerwowany pokój w hotelu.

Przyšedł kelner, zaprezentował tacie butelkę.

Tata kiwnął głową bez najmniejszego zainteresowania.

Kelner nalał mu odrobinę do kieliszka.

Tata wziął mały łyček, kilka razy cmoknął.

– Znakomite – stwierdził.

– Cieszę się. – Kelner nalał wszystkim.

Ach, ten ciepły, ciemny smak! Jakże mile widziany po wszystkich tych ostrych, zimnych piwach!

Wlałem w siebie kieliszek czterema długimi łykami. Yngve siedział z głową opartą na ręce i wglądał przez okno. Drugą rękę musiał trzymać na udzie Kristin, sądząc po kąciku, w jakim znajdowało się jego ramię. Świadkowie, rozdzieleni Unni i tatą, w ogóle się nie odzywali.

– Zamówiliśmy podanie jedzenia na wpół do siódmej – poinformował tata i spojrzał na Unni. – Może w tym czasie zwiedzimy pokój?

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Niedługo wrócimy. – Tata wstał. – A wy siedźcie i bawcie się dobrze.

Pocałowali się i trzymając się za ręce, wyszli z restauracji.

Popatrzyłem na Yngvego. Ledwie musnął mnie spojrzeniem i zaraz odwrócił wzrok. Świadkowie wciąż siedzieli w milczeniu. Normalnie poczułbym się za nich odpowiedzialny i zadał im jakieś bezsensowne pytanie, w nadziei, że coś ich zainteresuje, nawet jeśli mnie nudziło, ale tym razem mi się nie chciało. Skoro wolą siedzieć i głupio się gapić, to niech siedzą.

Nalałem sobie pełny kieliszek wina, połowę wypilem jednym haustem i wstałem, żeby iść się wysikać. Trafiłem na jakiś długi korytarz, który przemierzyłem do samego końca, nie znajdując żadnej toalety. Zawróciłem więc i zszedłem na dół po schodach. Tym razem znalazłem się w piwnicy, zupełnie białej, paliło się tu ostre światło, a pod ścianą stały jakieś worki. Z powrotem na górę. Czy to tutaj? Inny wyłożony chodnikiem korytarz ciągnął się daleko. Nie, nie tu. Aha, trafiłem do recepcji.

– Toaleta? – spytałem.

– Słucham? – zdziwił się recepcjonista.

– Przepraszam. Ale czy pan wie, gdzie jest toaleta?

Nie patrząc na mnie, wskazał drzwi po przeciwnej stronie. Ruszyłem do nich, zataczając się. Musiałem stawiać dodatkowe kroki, ale udało mi się wejść do środka i oprzeć o ścianę. Rzeczywiście, to było tutaj. Wszedłem do jednej z kabin, zamknąłem drzwi, rozmyśliłem się, znów je otworzyłem. Toaleta była przecież pusta, prawda? Rzeczywiście nie było w niej żywej duszy. Podeszedłem do umywalki, rozpiąłem rozporek, wyciągnąłem fiuta i wysikałem się do niej. Żółte siki na moment wypełniły białą misę, ale zaraz wessał je odpływ. Kiedy to zrobiłem, wróciłem do kabiny, znów zamknąłem drzwi, usiadłem na sedesie, oparłem głowę na rękach i zamknąłem oczy. Sekundę później odpłynąłem.

W pewnym momencie wydało mi się, że słyszę, jak ktoś mnie woła, Karl Ove, Karl Ove, docierało to do mnie trochę tak, jakbym znajdował się gdzieś na spowitym mgłą płaskowyżu i kogoś wysłano, żeby mnie szukał. Karl Ove, Karl Ove. Znów odpłynąłem.

Kiedy się ocknąłem następnym razem, cały aż drgnąłem. Głową uderzyłem o ściankę kabiny. Dookoła panowała całkowita cisza.

Co się stało? Gdzie byłem?

O nie. Przecież to wesele. Zasnąłem? Tak zasnąłem! Czym prędzej wyszedłem z kabiny, opłukałem twarz zimną wodą i minąwszy recepcję, przeszedłem do restauracji.

Ciągle siedzieli przy stole. Patrzyli na mnie.

– Gdzieś ty, na miłość boską, się podziewał, Karl Ove? – spytał tata.

– Chyba przysnąłem. – Usiadłem. – Jedliście już?

– Tak, właśnie skończyliśmy – powiedziała Unni. – Chcesz teraz zjeść? Czekamy jeszcze na deser.

– Deser mi wystarczy – oświadczyłem. – Nie jestem głodny.

– Później będzie kawa i koniak. Od razu poprawi ci się forma.

Dopilem wino, które miałem w kieliszku, i znów dolałem sobie do pełna. Bolała mnie głowa, ale nie bardzo, trochę tak, jakby gdzieś w niej uchylono drzwi, z których płynął ból, i poczułem, jak dobrze zrobiło mi wino, bo za jego sprawą te drzwi znów się zamknęły.

Kiedy wyszliśmy z restauracji, dochodziło zaledwie wpół do dziesiątej. Byłem pijany, ale nie tak jak wtedy, kiedy tu przyszedłem. Sen odebrał mi trochę odurzenia, a wino i koniak nie zdołały zapłacić tej luki. Ale zamroczenie taty wzrosło gwałtownie. Stał, obejmując Unni, i czekał na taksówkę, nawet przez myśl mu nie przemknęło, żeby przejść tych pięćset metrów, i z dużym wysiłkiem umościł się na czarnym skórzanym siedzeniu.

Kiedy dotarliśmy do mieszkania, tata wyjął z lodówki piwo, a Unni nasypała orzeszków do miseczek. Yngve poczuł się gorzej, miał gorączkę, więc położył się na kanapie. Kristin usiadła na krzesło obok mnie przy stole.

Unni przyniosła koc i okryła nim Yngvego. Tata obserwował ich z odległości kilku metrów.

– Dlaczego go okrywasz? – spytał. – Jest wystarczająco dorosły, żeby sam się sobą zająć. M n i e nigdy nie okryłaś, kiedy słabowałem.

– Owszem, właśnie że tak – odparowała Unni.

– Wcale nie.

– Spokojnie – powiedziała Unni.

– I ty mi to będziesz mówić! – Tata przeszedł w drugi koniec pokoju, tam usiadł w fotelu, odwrócony do nas tyłem.

Unni lekko się zaśmiała, a potem podeszła do niego, żeby go ułagodzić. Wypiłem pół butelki piwa naraz, zaczęło mi się odbijać, gdy nagle uświadomiłem sobie, że obok mnie siedzi Kristin, więc kilka razy przełknąłem ślinę, zasłaniając usta ręką.

– Przepraszam – powiedziałem.

Roześmiała się.

– To zdecydowanie nie jest najgorsza rzecz, jaka się dziś wieczorem zdarzyła – stwierdziła, ale tak cicho, że sły chać to było jedynie przy stole.

Yngve się uśmiechnął. Poszedłem do lodówki po kolejne piwo. Kiedy mijałem młodą parę, tata właśnie wstawał z fotela.

– Dzwonię do babci – oświadczył. – Nie przysłali nawet kwiatka!

Otworzyłem lodówkę, wyjąłem piwo i nagle znów stałem w salonie, sięgając po otwieracz leżący na stole.

Yngve i Kristin, nieco zakłopotani, patrzyli przed siebie. Tata mówił głośno.

– Wziąłem dzisiaj ślub. Dotarło to do was? To wielki dzień w moim życiu!

Rzuciłem kapsel na stół, wypięłem lyki usiadłem.

– Jeden kwiatek mogliście przysłać. Chociaż w ten sposób okazać, że się mną interesujecie!

Pauza.

– Mamo! No ale mammo! – zawołał.

Odwróciłem się.

Plakał.

Łzy płynęły mu po policzkach, a kiedy mówił, twarz wykrzywiła mu się w przedziwnych grymasach.

– Ożeniłem się dzisiaj! A wy nie chcieliście przyjść. Nawet kwiatka nie przysłaliście! Na ślub

rodzonego syna!

Rzucił słuchawką i przez moment patrzył przed siebie. Łzy nie przestawały płynąć. W końcu wstał i wyszedł.

Beknąłem i spojrzałem na Unni. Pobieгла za nim. Z kuchni docierały płacz, szloch i podniesione głosy.

– No i co powiesz? – spytałem po dłuższej chwili, patrząc na Yngvego. – Idziemy na miasto, póki jeszcze trzy mamy się na nogach?

Usiadł.

– Źle się czuję. Chyba mam dość wysoką gorączkę. Myślę, że najlepiej będzie wrócić do domu. Dzwonimy po taksówkę?

– Nie pytając wcześniej taty?

– Nie pytając taty o co? – Tata stanął w drzwiach między pokojami.

– Chyba już pójdziemy – wyjaśnił Yngve.

– Nie, zostańcie jeszcze trochę. Przecież nie codziennie wasz ojciec bierze ślub. No, dalej, jest jeszcze piwo. Niech chociaż jeszcze przez chwilę będzie przyjemnie.

– Wiesz, jestem chory – powiedział Yngve. – Chyba naprawdę muszę już iść.

– No a ty, Karl Ove? – spytał tata, patrząc na mnie zamglonymi, właściwie zupełnie pustymi oczami.

– Wracam jedną taksówką – wyjaśniłem. – Słowo oni wychodzą, to ja też muszę.

– No to dobrze. – Tata wstał. – Wobec tego idę się położyć. Dobranoc i dziękuję za dzisiaj wieczór.

Zaraz potem rozległy się jego kroki na schodach. Do nas przyszła Unni.

– Niekiedy tak bywa – stwierdziła. – Za dużo emocji. Ale idźcie, niedługo się zobaczymy. Dziękuję, że przyszliście!

Wstałem. Uściskała najpierw mnie, potem Yngvego i Kristin.

Przed domem musiałem przysiąc na krawężniku, bo byłem zbyt zmęczony, żeby stać przez czas oczekiwania na taksówkę. Kiedy nazajutrz obudziłem się we własnym łóżku, wszystko, co się wydarzyło, przypominało trochę sen, nie byłem pewien niczego oprócz tego, że upiłem się jak nigdy dotąd. I że tata się upił. Wiedziałem, jak pijani wyglądają w oczach trzeźwych, i nieźle się przeraziłem, wszyscy widzieli, jak bardzo się upiłem na weselu ojca. To nic, że i on się zalał, bo położył to dopiero pod koniec, kiedy zostaliśmy już w mieszkaniu sami, wtedy dał upust wszystkim uczuciom.

Narobiłem im wstydu.

Właśnie tak.

Jakie znaczenie miało więc to, że chciałem dobrze?

Ostatnie tygodnie tego lata spędziłem w Arendal. Redaktor lokalnego radia, Rune, prowadził coś w rodzaju agencji, sprzedawał kasety stacjom benzynowym w regionie, i gdy pewnego wieczoru poskarżyłem się, że nie mam żadnej wakacyjnej pracy, zaproponował mi, żebym

handlował kasetami na ulicy. Kupiłem je od niego za określoną kwotę, nie zamierzał zarobić na tym dużo, a sam mogłem brać tyle, ile chciałem. Latem miasta południowej Norwegii są pełne turystów, którzy lekką ręką wydają pieniądze, a kasety z muzyką z list przebojów to z pewnością chodliwy towar.

– Świetny pomysł – powiedziałem. – Mój brat spędza to lato w Arendal, może mógłbym spróbować tam?

– Idealnie!

Tak oto doszło do tego, że w pewne przedpołudnie wrzuciłem torbę z ubraniami, turystyczne krzeselko i stolik, boombox i karton pełen kaset do samochodu mamy, którym Yngve dysponował przez całe lato, zająłem miejsce pasażera, włożyłem nowe ray bany, odchyliłem się, a Yngve uruchomił silnik i wyjechał na drogę.

Słońce świeciło tak jak przez cały lipiec, ruch po tej stronie rzeki był niewielki. Opuściłem okno po swojej stronie, oparłem się o nie łokciem i zacząłem w duchu wtórować Bowie'emu, mknęliśmy przez świerkowy las, a lśniąca rzeka na zmianę to nam się ukazywała, to znikła, od czasu do czasu pojawiały się duże piaszczyste łachy, przy których z krzykiem kłapały się dzieciaki.

Rozmawialiśmy trochę o rodzicach taty, których odwiedziliśmy dzień wcześniej, i o tym, że czas u nich jakby się zatrzymał, zwłaszcza w porównaniu z Sørbovåg, gdzie w ciągu ostatnich dwóch lat jakby przyspieszył i wszystko obrócił w ruinę.

Przejechaliśmy przez centrum niewielkiej miejscowości Birkeland, tam skierowaliśmy się na Lillesand i w końcu znaleźliśmy się na E18, na tym odcinku, który znałem jak własną kieszeń, bo tyle razy jeździłem nim w dzieciństwie.

Włączyłem kasety Psychedelic Furs z nagraniem ich najbardziej komercyjnej płyty, którą uwielbiałem.

– Opowiadałem ci, jak w Londynie podeszła do mnie dziewczyna? – spytał Yngve.

– Nie.

– Stwierdziła, że jestem identyczny jak wokalista z Psychedelic Furs, i chciała, żeby ktoś zrobił jej ze mną zdjęcie.

Spojrzał na mnie, rozbawiony.

– Myślałem, że jesteś podobny do Auduna Automata [\[2\]](#) z Tramteatret – powiedziałem.

– Jestem, ale to niezbyt pochlebne porównanie.

Mijaliśmy Nørholm, posiadłość Hamsuna, wychyliłem się, żeby zza Yngvego zobaczyć tę posesję. Byłem tam na wycieczce szkolnej w dziewiątej klasie, oprowadzał nas syn Hamsuna, oglądaliśmy jego domek w którym pisał, i meble, które sam zbił.

Teraz było tam zupełnie pusto, działka wyglądała na zarośniętą.

– Pamiętasz, jak tata mówił, że widział raz Hamsuna w autobusie do Grimstad?

– Nie. Naprawdę tak powiedział? – zdziwił się Yngve.

– Tak. Starego człowieka z laską i siwą brodą.

Yngve pokręcił głową.

– Pomyśl tylko, ile kłamstw nam naopowiadał. Z całą pewnością w wiele tych rzeczy ciągle

wierzemy, nawet o tym nie wiedząc.

– Możliwe. Nie mogę powiedzieć, żeby zmartwiła mnie jego wypowiedź.

– Mnie też nie zmartwiła – przyznał Yngve.

Tata i Unni dostali pracę na północy Norwegii. Mieli uczyć w tym samym liceum. Przez ostatnie tygodnie zajmowali się pakowaniem wszystkiego, co posiadali. Właśnie wysłali transport na północ, za parę dni sami mieli tam jechać.

– Kristin doszła do siebie po weselu? – spytałem. – Wydaje mi się, że przeżyła niezły szok

– Rzeczywiście było dość niezwykłe.

Wjechaliśmy do Grimstad, miniliśmy centrum handlowe Oddensenteret, stary hotel Norge, w którym przesiadywał Hamsun, pisząc, pokonaliśmy wznesienie i dotarliśmy na rozległą równinę.

– Ale o co właściwie chodziło z tym pokojem w hotelu? – spytałem. – Mieli przecież zarezerwowany pokój i w trakcie kolacji nawet tam poszli, więc co się z nim później stało?

Yngve wzruszył ramionami.

– Może zamierzali tam wrócić po naszym wyjściu?

– Raczej mi na to nie wyglądało.

– No tak, ale w ich życiu jest sporo nieplanowanych rzeczy. Zapowiadali przecież, że nie wybierają się w żadną podróż poślubną, a następnego dnia popłynęli promem do Danii i zatrzymali się w hotelu w Skagen.

– Masz rację – przyznałem.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok Kolløplassen, dawnego miejsca pracy mamy, gdzie przez rok chodziłem do przedszkola, wyciągnąłem szyję, bo pamiętałem, że była tam przepaść, nad którą codziennie łączyliśmy po drzewie. Ale to nie była żadna przepaść, jedynie niewielka skarpa. A drzewo najwyraźniej już ścięto. Zaczęliśmy zjeżdżać ze wzgórza, w dole już ukazywało się Arendal, a w oddali rozciągała się Tromøya w całym swoim nostalgicznym pięknie, zalana słonecznym blaskiem.

– I co teraz? – spytał Yngve. – Od razu załatwisz sobie miejsce?

– Może to i dobry pomysł.

Nic bowiem nie zostało zorganizowane wcześniej, Rune uważał, że wystarczy w pierwszym lepszym sklepie spytać, czy mogę rozłożyć się na ulicy, może nawet skorzystać z ich prądu, i mieć nadzieję, że nikt nie zażąda ode mnie prowizji. Na wypadek, gdyby się wahali, doradził, żebym zaproponował im kilka stów.

Yngve zaparkował samochód, poszliśmy na deptak. Zająłem do przypadkowo wybranego sklepu z odzieżą i spytałem, czy mógłbym sprzedawać kasety przed sklepem i czy mają wyjście do prądu, z którego mógłbym skorzystać. Możliwe, że będę im przyciągał klientów.

Zgodzili się bez najmniejszego problemu.

Po załatwieniu tej sprawy pojechaliśmy do mieszkania Yngvego. Zaliczył na studiach kurs przygotowawczy i rok polityki porównawczej, a teraz pracował tutaj, w hotelu Central, żeby zarobić na podróż do Chin, gdzie wybierali się z Kristin jesienią.

Mieszkanie, które wynajmowałam, znajdowało się niedaleko jeziora Langsæ, na obrzeżach miasta, a teraz i ja miałam tam mieszkać przez trzy tygodnie i spać na rozłożonym na podłodze materacu.

Tak długiego czasu nie spędziliśmy razem od dzieciństwa.

Następnego dnia Yngve zawiózł mnie z rzeczami do centrum. Fantastycznie było znaleźć się na spokojnych o poranku ulicach, blisko morza, niebieskiego, ciężkiego i spokojnego, rozstawiać stary żółty stolik kempingowy z lat siedemdziesiątych i układać na nim kasy, Genesis, Falco, Eurythmics, Madonnę i wszystko inne, co się dobrze sprzedawało w tych miesiącach, ciągnąć sznur ze sklepu, włączać magnetofon, siadać na krześle, wkładać ciemne okulary i wciskać „play”.

Oto ja, król Arendal.

Tuż obok mojego stolika był kiosk z lodami, w którym zaraz po moim przyjsciu pojawiła się dziewczyna. Zamiotła ulicę przed kioskiem, wniosła do środka kilka skrzynek, wyszła ze ściereką i przetarła witrynę z zewnątrz, po czym znów zniknęła w kiosku.

Wyglądała niezłe. Rudawe włosy, piegi, okrągłe kształty. Kiedy zobaczyłem ją następnym razem, pół godziny później, miała na sobie białe fartuch.

Fantastycznie.

Ale w moją stronę nie spojrzała ani razu.

To się na pewno jakoś ułoży.

Z czasem zaczęli pojawiać się ludzie. Krążyli po niewielkim deptaku, często kilkakrotnie mijając mój stolik. Obserwowałem ich i szybko zacząłem rozpoznawać twarze i sylwetki. Niektórzy się zatrzymywali i oglądali mój asortyment, a gdy wskazali którąś kasę, podrywałem się, wyjmowałem taką samą z pudła koło stolika, chowałem otrzymane pieniądze do kieszeni, dziękowałem za transakcję, stawiałem krzyżyk na przygotowanej kartce i z powrotem siadałem.

Co za praca!

Około jedenastej handel ruszył na poważnie. Do pierwszej sprzedałem naprawdę sporo kas, potem znów zrobiło się spokojniej i trwało tak do czasu, aż kilka minut przed czwartą przyjechał po mnie Yngve.

W mieszkaniu pieniądze dla Runego odłożyłem do foliowej torebki, a resztę wydałem, gdy wieczorem wyszliśmy na miasto. Kupowałem butelki białego wina w wiaderkach z lodem, tańczyłem, rozmawiałem z każdym, kto podszedł do stolika, przy którym siedział Yngve. Białe wino było moim odkryciem tego lata, wchodziło jak woda, a wywołane przez nie odurzenie niesło ze sobą poczucie lekkości i wesołość.

Nazajutrz dziewczyna z kiosku z lodami uśmiechnęła się do mnie po przyjsciu. To był przelotny uśmiech, ale bez wątpliwości przeznaczony dla mnie.

Koło jedenastej zapukałem do niej w szybę i spytałem, czy nie mógłbym dostać szklanki wody.

Podala mi.

– Można powiedzieć, że jesteśmy kolegami z pracy – zagadnąłem ją. – Jak ci na imię?



– Sigrid.

Miała dziwny akcent.

– Skąd jesteś?

– Z Islandii. – Uśmiechnęła się szeroko.

I na tym się skończyło, nigdy nie podeszła, żeby zamienić kilka słów, poprzestawała na tym przelotnym uśmiechu i na skinieniu głową, oznaczającym, że dzień się zaczął.

Parę wieczorów później nagle stanęła przede mną na dyskotecie. Byłem już tak pijany, że widziałem przed sobą tylko jej twarz, wszystko inne się zatarło. Kiedy następnego dnia rano obudziłem się w jej łóżku, nie pamiętałem, w jaki sposób się tam znalazłem, nie miałem pojęcia, co zrobiłem, żeby tam trafić, film mi się urwał, zostało jedynie parę scen już z jej mieszkania: ona leży tylko w majtkach, ja na niej, całujemy się, ustami dotykam jej cudownych piersi, wsuwam rękę między jej nogi, ale ona mówi: „nie, nie ma mowy”, a ja na to wstaję, ściągam slipy i staję przed nią w całej swojej okazałości, która najprawdopodobniej wcale jej nie zaimponowała, tak jak sobie to wyobrażałem, bo tylko się śmiała i powtórzyła, że nie.

Rano ze wstydu złapałem się za głowę. Już dawno zarejestrowałem, że Sigrid nie leży obok mnie, ale dopiero sekundę później zacząłem się zastanawiać, gdzie się mogła podziać, wtedy usiadłem i w pustą przestrzeń rzuciłem: „Halo!”.

Odpowiedzi nie było. Może wyszła do łazienki?

Wstałem.

O nie. Ciągle byłem nagi! Na stole, który stał na środku pokoju, leżała kartka.

*Cześć, królu Arendal!*

*Poszłam sprzedawać lody. Być może umówimy się kiedy indziej.*

S.

*(Wychodząc, zatrzasknij drzwi).*

Dlaczego, do diabła, podkreśliła „Być może”?

Ubrałem się, wsunąłem kartkę do tylnej kieszeni, zatrzasknąłem drzwi, tak jak kazała, i po wąskich, ciemnych, śmierdzących pleśnią schodach wyszedłem na ulicę. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Z tego, co wiedziałem, mogłem być daleko za miastem.

Na zewnątrz słońce poraziło mnie w oczy.

Ulica, mur po drugiej stronie.

Gdzie jest miasto?

Ruszyłem drogą w dół, wyszedłem za róg i nagle zorientowałem się, gdzie jestem. Koło strzelnicy!

Powlokłem się do centrum i starając się unikać budki z lodami, usiadłem nad zatoką Pollen z colą i torbą bułeczek. Już sam zapach słonej wody wprawiał mnie w dobry humor.

Posiedziawszy tam i napatrzwszy się na wszystkie wypływające i przepływające łódki, na mewy krążące w powietrzu i na samochody jeżdżące nabrzeżem Langbrygga po drugiej stronie,

a wszystko to pod intensywnie niebieskim i zupełnie nieruchomym niebem, poszedłem do Yngvego do hotelu. Obsługiwał jakichś gości, więc usiadłem na kanapie i obserwowałem, jak się cierpliwie uśmiecha, jak uprzejmie kiwa głową i mówi coś po angielsku, ubrany w niezbyt porządny hotelowy garnitur.

Po odejściu gości zwrócił się do mnie.

– Gdzieś ty się podziewał?

– Nocowałem u tej dziewczyny z kiosku z lodami. – Usłyszałem, jak cudownie zabrzmiało to zdanie.

– No i co? Będziecie teraz ze sobą chodzić?

– Chyba nie. Nie było jej, kiedy się obudziłem. Ale napisała mi kartkę, na której podkreśliła b y ć m o ż e. Być może umówimy się kiedy indziej. Jak myślisz, co to znaczy?

Wzruszył ramionami, nagle tracąc zainteresowanie.

– U mnie dziś będzie nocować Kristin.

– A ja gdzie będę spał?

– W łazience.

– Poważnie mówisz?

– A co, chyba możesz?

– Jasne, że mogę. Myślałem o was.

– Będzie dobrze. Ostrzegłem ją. A poza tym dzisiaj nocowałem u niej.

Poszło nawet niezłe, chociaż czułem się trochę dziwnie, leżąc na materacu w niewielkiej łazieneczce i słuchając, jak Yngve i Kristin chichoczą, śmieją się i rozmawiają ściszonymi głosami. Kiedy następnego dnia rano zjawiłem się na deptaku, cały byłem spięty. Wyszedłem z domu wyjątkowo wcześnie, żeby dotrzeć tam przed Sigrid, uważałem, że to mi da przewagę. Przyszła, posłała mi swój przelotny uśmiech, zniknęła w kiosku. Ja siedziałem, sprzedawałem mnóstwo kaset, a gdy wreszcie do niej poszedłem, to po to, żeby poprosić o szklankę wody.

Dostałem.

– Dziękuję za miło spędzony czas – powiedziałem.

– A ja tobie.

– Wybieram się wieczorem na miasto. Pójdiesz ze mną?

Pokręciła głową.

– No a jutro?

Jeszcze raz taksamo odmówiła.

– Nie jesteś dla mnie – stwierdziła z uśmiechem. – Ale może mimo to kiedyś się umówimy.

– A kiedy?

Wzruszyła ramionami i znów się uśmiechnęła.

Wróciłem na swoje miejsce i tak mijaly dni. Ona się zajmowała swoimi sprawami w kiosku, ja swoimi, od czasu do czasu nasze spojrzenia się spotykały i wtedy uśmiecaliśmy się do siebie.

Nic więcej się między nami nie wydarzyło.

W dziale papieżniczym księgarni kupiłem flamaster i karton. Na drzewie obok stolika powiesiłem plakat. Napisałem na nim: „Orginalne kasety” i cenę, a pod spodem kilka nazwisk ze szczytu listy przebojów. Już po kilku minutach podszedł jakiś czterdziestokilkuletni facet i pouczył mnie, że nie pisze się „orginalny”, tylko „oryginalny”. Uważałem, że jestem świetny z ortografii, że dobrze piszę, więc powiedziałem mu, że się myli, bo taka pisownia jest poprawna, w słowie „orginalny” nie powinno być żadnego „y”. Obstawiałem przy swoim, on przy swoim, ale w końcu odszedł, kręcąc głową.

Miałem pieniądze jak lodu. Ludzie szaleli za moimi kasetami, kupowali po cztery, po pięć naraz, dlatego wieczorami, kiedy wychodziłem z Yngvem, w ogóle nie oszczędzałem. Piłem jak nigdy wcześniej. Jeśli się całkiem splukałem, to wystarczyło sprzedać więcej kaset następnego dnia. Raz w tygodniu przyjeżdżał swoim czerwonym samochodem Rune i przywoził nowy zapas, a czasami obok mojego stolika przechodził ktoś znajomy z dawnych czasów. Na przykład Dag Lothar, który miał wakacyjną pracę w banku i był zupełnie taki sam jak kiedyś. Geir Prestbakmo, który chodził do szkoły zawodowej i jeździł nowiusińskim motorowerem, również nic się nie zmienił. No i John, klasowy twardziel, który sądząc z tego, co mówił, tylko się objął.

Któregoś dnia wybraliśmy się z Yngvem na Tromøę od strony otwartego morza, na plażę, tę, na którą zawsze zabierał nas tata. Yngve zaparkował samochód na terenie strzelnicy i ruszyliśmy przez gęste, kłujące krzaki. Napawałem się nieporównywalnym z niczym zapachem lasu, świerkowych igieł, słonej wody, a za chwilę widokiem morza, jego ogromnego szarego grzbietu, rozciągającego się tak od tyłu milionów lat. Powietrze było aż gęste od owadów. Przy każdym kroku mocno tupałem, bo roilo się tutaj od żmij, w każdym razie nie brakowało ich za czasów mojego dzieciństwa.

Kiedyś natknęliśmy się z tatą na jedną, zaledwie kilkaset metrów dalej, była wiosna, a żmija wygrzewała się w słońcu na płaskim głazie. Mogłem mieć wtedy z dziesięć lat. Tata kompletnie oszalał, zaczął rzucać w nią kamieniami, widziałem, jak ciało gada dosłownie ugięło się, kiedy trafiały. Żmija usiłowała przed nimi uciekać, ale cały czas sypały się nowe, aż w końcu znieruchomiała pod ich stosem. Ale w chwili kiedy chcieliśmy iść dalej, cholera, wypełza spod nich. Tata podszedł bliżej i dalej w nią ciskał, chciał, żebym się przyłączył, ale mnie się zrobiło niedobrze, żmija była już prawie nieruchoma, w końcu tata odważył się podejść bardzo blisko i trzymanym w ręku kamieniem zmiażdżył jej łeb.

Odwrociłem się. Yngve szedł tuż za mną. Przeszliśmy wzdłuż długiego grzbietu skalnego i znaleźliśmy zaciszne miejsce nad samą wodą. Poszedłem obejrzeć wielki garniec lodowcowy, który wcale nie był już taki wielki. Ze skały skoczyłem w spienioną wodę, przepłynąłem do długiej skalistej wysepki, odległej od mnie więcej sto metrów, i z powrotem. Ułożyłem się na plecach i suszyłem w słońcu, jadłem herbatniki i pomarańcze, paliłem papierosy i piłem kawę. Yngve zaproponował, żebym później pojechał z nim do Kristin, nie musiałby mnie wówczas odwozić aż do miasta. Spytałem, czy to na pewno będzie w porządku, oświadczył, że tak, bo to bardzo gościnni ludzie, poza tym reszta rodziny wyjechała na wakacje, więc została tylko Kristin.

Kilka godzin później podjechaliśmy pod jej dom. Potem oglądaliśmy film na wideo i jedliśmy pizzę. Yngve często tu bywał w ciągu ostatniego półrocza, lubił rodziców Kristin i jej rodzeństwo, a oni jego. Zorientowałem się, że traktują go niemal jak syna.

Siostra Kristin miała na imię Cecilie i była o rok młodsza ode mnie. Oglądałem jej zdjęcia, podobała mi się. Brat był znacznie młodszy od nich obu, chodził jeszcze do podstawówki.

Nocowałem w łóżku Cecilie.

Następnego dnia postanowiliśmy wyjść na miasto, Kristin miała przyprowadzić koleżanki, ale najpierw planowaliśmy coś zjeść w restauracji tylko we trójkę.

Do kolacji wypiliśmy dwie butelki białego wina, a kiedy poszliśmy na dyskotekę – kolejne trzy.

I kto stanął nagle przede mną, jak nie dziewczyna z lodziarni?

Później razem z nią, z Kristin i Yngvem pojechaliśmy taksówką na Tromøyę. Siedziałem z przodu. Czekając na taksówkę, obejmowaliśmy się z Sigrid i całowaliśmy, więc w aucie, ciągle tym oszołomiony, wyciągnąłem do niej rękę, do tyłu. Ujęła je i zaczęła pieścić. Ale jej dłonie wydały mi się dziwnie szorstkie.

– O, Karl Ove – odezwał się nagle Yngve z tylnego siedzenia.

Wybuchnęli śmiechem.

Wściekły, zabrałem rękę.

– Ile ty właściwie wypiełeś? – spytał Yngve.

– Pięć win.

– P i ę ć butelek? Wygłupiasz się!

– Nie.

– Nic dziwnego, że tak dziwnie się zachowujesz. Ja na twoim miejscu już leżałbym gdzieś na ulicy i bełkotał.

– Wiem.

Taksówka się zatrzymała, zapłaciłem, weszliśmy do domu.

Tam znów wszystko się powtórzyło. Jedyne z tą różnicą, że tym razem była z u p e ł n i e naga. Ale nie, nie chciała. Leżała taka biała, rozpalona i cudowna. I cały czas powtarzała tylko „nie, nie, nie”.

Kiedy się obudziłem rano, już jej nie było.

Ciągle pijany, wszedłem na górę do kuchni, w której Yngve i Kristin już jedli śniadanie.

– Pojechała niedawno autobusem – powiedziała Kristin. – Mam cię pozdrowić i podziękować ci za wczorajszą wieczór.

Niebo dla odmiany tego ranka się zachmurzyło. Postanowiłem zrobić sobie wolne, czytałem wyciągnięty na kanapie, dopóki Yngve nie pojechał do miasta na nocną zmianę.

Nazajutrz już jej nie było. W lodziarni siedziała jakaś dwudziestolatka. Spytałem ją, gdzie jest Sigrid. Odpowiedziała, że już tu nie pracuje, wczoraj był jej ostatni dzień. Czy wie, gdzie jej szukać? Niestety, nie wiedziała.

Byłem u Kristin jeszcze parę razy, któregoś wieczoru okazało się, że jej rodzina wróciła z wakacji. Przywitałem się ze wszystkimi, rzeczywiście byli tak sympatyczni, jak mówił Yngve. Wypożyczyliśmy *Czas Apokalipsy* na wideo, Kristin siedziała przytulona do Yngwego, a ja obok Cecilie. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na siebie i uśmiechaliśmy się, byliśmy tak wyraźnie

młodszy bratem i młodszą siostrą, jakbyśmy się znajdowali o całe piętro niżej od naszego rodzeństwa, którego ślub nikogo by nie zdziwił.

Istniało pewne napięcie, wyczuwałem je cały wieczór, ale jakiego rodzaju?

Czuliśmy się wobec siebie trochę zażenowani, czy o to mogło chodzić?

Obserwowałem, jak Cecilie momentami usiłuje przejmować inicjatywę, jakby chciała pokazać, że nie tylko jest blisko związana z siostrą, lecz również zdecydowanie od niej oddzielona.

Podobało mi się to. Podobała mi się jej silna wola, której ona sama ulegała.

Chodziła na zajęcia z baletu, Kristin twierdziła, że jest w tym dobra. Po szkole średniej zamierzała zdawać egzaminy do Wyższej Szkoły Baletowej.

Sposób, w jaki siadała na kanapie. Jej twarz, nagle całkiem otwarta i obnażona w uśmiechu. Ale nasz związek był niemożliwy. Nie mogłem więcej o tym myśleć.

Ale i tak myślałem.

Do końca mojej wakacyjnej pracy został już tylko tydzień. Nadal jeździłem z Yngvem do Kristin, bo również ja dobrze się czułem w tym domu, panowała tam taka miła atmosfera, ci ludzie byli po prostu dobrzy i to odzwierciedlało się we wszystkim.

Widziałem, jak serdecznie jest przyjmowany Yngve i jak się z tego cieszy.

Ale myślałem sobie też, cholera, jesteś idiotą, on to powinien mieć tylko dla siebie.

Myślałem jednak również o Cecilie, bo kiedy była w tym samym pokoju, całym sobą czułem jej obecność.

Wiedziałem, że z nią jest podobnie.

Któregoś wieczoru najpierw poszli spać rodzice. Potem Yngve i Kristin.

Cecilie i ja zostaliśmy w wielkim salonie, na dwóch końcach stołu. Rozmawialiśmy dość oficjalnie, bo o tym, co czułem, ani co, jak sądziłem, czuła ona, nie mogliśmy rozmawiać, nie mogliśmy też tego okazać.

– Byłem świadkiem tego, jak się ze sobą związali – powiedziałem. – W Vindilhytta. Szkoda, że nie widziałas. To było słodkie.

– Oni w ogóle są słodcy.

– To prawda.

W jakiej sytuacji nagle się znalazłem? W domu na Tromøi sam na sam z siostrą dziewczyny Yngvego?

Ale przecież nic złego w tym nie było. Z wyjątkiem moich uczuć.

– No nie. – Ziewnęła. – Najwyższa pora kłaść się spać.

– Ja jeszcze trochę posiedzę.

– Wobec tego widzimy się na śniadaniu.

– Tak, dobranoc.

– Dobranoc.

Ruszyła na dół po schodach tym swoim pewnym, eleganckim krokiem. Całe szczęście, że niedługo wracałem do domu i mogłem o wszystkim zapomnieć.

Następnego wieczoru poszedłem do Yngvego. Miał nocną zmianę. Dał mi ogromną pizzę, którą zjadłem przy stoliku w lobby, on w tym czasie pracował i od czasu do czasu przychodził do mnie porozmawiać. Mówił, że Cecilie i Kristin są teraz na mieście. Kristin miała niedługo się tu zjawić. Nie wiedział, czy Cecilie też. Ale przyszła. Wróciłem razem z nimi. To był ostatni wieczór. Już za kilka godzin miałem być z powrotem w domu. Chociaż wiedziałem, że głupio robię, poszedłem do Cecilie. Szedliśmy obok siebie, nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, po prostu szliśmy, słuchając swoich oddechów, głębokich i drżących, aż w końcu się objęliśmy i zaczęliśmy całować.

– Co my robimy? – spytałem. – Możemy tak?

– Myślałam o tym, odkąd cię zobaczyłam pierwszy raz.

Ujęła w dłonie moją głowę.

– Ja też – przyznałem.

Długo tak staliśmy, objęci.

– Zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili – powiedziała Cecilie.

– Rzeczywiście.

– Tylko nie żałuj. A zresztą rób, jak chcesz. Ale powiedz mi, jeśli będziesz żałował. Obiecujesz?

– Nie będę żałował. Obiecuję. Będziesz w domu w przyszły weekend?

Potwierdziła.

– Mogę przyjechać cię odwiedzić?

Znów kiwnęła głową. Pocałowaliśmy się po raz ostatni i odszedłem. Odwróciłem się, pomachała mi na pożegnanie, ja też jej pomachałem.

Kiedy przyszedłem do hotelu po klucze, Yngve stał za kontuarem i wpatrywał się w jakiś papier. Nie powiedziałem mu, co się wydarzyło. Czy my teraz ze sobą chodzimy? – zastanawiałem się, wspinając się na strome wzgórze Arendal w mglistym nocnym mroku późnego lata. A jeśli tak, to czy nie będzie to wyglądało dziwnie, że Yngve i ja chodzimy z dwiema siostrami? Czy to się trochę nie kojarzyło z cyrkiem? Chodźcie zobaczyć dwie pary rodzeństwa, które się ze sobą związały! Ale dlaczego miałbym się tym przejmować? Przecież Yngve mieszkał w Bergen, ja w Kristiansand, zresztą on i Kristin wkrótce wyjeżdżali do Chin.

Kompletnie mnie to zaskoczyło.

Ona też wracała teraz do domu, równie zaskoczona.

Następnego dnia rano Yngve odwiózł mnie do autobusu. Wtedy też nic mu nie powiedziałem. Zająłem miejsce przy oknie i od razu na niego spojrzałem, ale już odchodził ulicą.

Zamknąłem oczy i poczułem, że jestem do cna wykończony. Kiedy autobus skręcił do centrum Grimstad, zasnąłem i obudziłem się dopiero obok zoo. Przy skrzyżowaniu Timenes wyskoczyłem i przesiadłem się w inny autobus, który dowiózł mnie już do końca, do Boen. Przejeżdżając przez Solslette, starym zwyczajem sprawdziłem, czy nie widać Jana Vidara w oknie jego domu, ale go nie zobaczyłem, zresztą jego samochodu też nie było na podjeździe.

W końcu wysiadłem i zapaliłem papierosa, patrząc na wodospad. Ostatni kilometr pieszo wydawał mi się daleką wyprawą, wreszcie jednak się zmotylowałem i ruszyłem w drogę z torbą na plecach.

Po pokonaniu ostatniego wzniesienia zobaczyłem mamę stojącą przy beczce, w której zwykle paliliśmy papier. Nad brzegiem beczki unosił się cieniutki, prawie przezroczysty płomyk. Zauważyła mnie i ruszyła mi naprzeciw.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do mnie. – Jak ci tam było?

– Fajnie. A tutaj wszystko w porządku?

Kiwnęła głową.

– Ja też miło spędziłam ten czas – powiedziała.

– To świetnie. Chyba od razu pójdę pod prysznic i się przebiorę.

– Dobrze. Już przy gotowałam obiad. Wystarczy tylko podgrzać. Głodny jesteś?

– Jak wilk.

Wieczorem siedziałem przy biurku i czytałem, ale nie mogłem znaleźć spokoju, myśli miałem rozbiegane i wszystko, do czego docierały, powodowało, że czułem się zagubiony, nic nie było takie jak dawniej. Od czasu do czasu wyglądałem przez okno, patrzyłem, jak ogród za niewielkim poletkiem ziemniaków prawie niezauważalnie przechodzi w las; poczucie, że las rozciąga się tuż obok i czeka albo słucha, pojawiało się zawsze wraz z zapadnięciem ciemności, a wznagały je dodatkowo lekkie porywy wiatru, kiedy liście nagle zaczynały drżeć na rozkołysanych gałęziach.

Jeszcze tydzień temu w ogóle jej nie znałem, ledwie wiedziałem o jej istnieniu. No a teraz byliśmy parą.

A co z Hanne?

I co z tą dziewczyną z lodziarni, co to takiego było?

Miałem wrażenie, jakbym siedział nad puzzlami, a każdy kawałeczek pochodził z innej układanki. Nic do siebie nie pasowało, nic się ze sobą nie łączyło.

Zszedłem do salonu, do mamy.

– Na pewno dobrze ci było beze mnie? – spytałem.

Odłożyła książkę na stół.

– Tak – potwierdziła. – Naprawdę.

– Nie czułaś się samotna?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Przecież pracowałam. Miałam dużo roboty. I tak cudownie jest móc tu wrócić po pracy.

Kot, prawdopodobnie obudzony naszą rozmową, nadszedł z zaspianymi oczami. Wskoczył mi prosto na kolana i ułożył się, ciężko opierając łebek na moim udzie.

– A tobie jak poszło? – spytała mama.

Wzruszyłem ramionami.

– Fajnie. Podobabo mi się handlowanie na ulicy. Żyłem z dnia na dzień, zarabiałem pieniądze w ciągu dnia, a wieczorem wydawałem.

– Tak? – zdziwiła się mama. – A na co?

– Na różne rzeczy. Często wychodziliśmy coś zjeść na mieście, a to przecież kosztuje. Od czasu do czasu wypiliśmy z Yngvem piwo, ale trochę też zaoszczędziłem. Przywiozłem całą torbę forsy, prawie trzy tysiące koron.

Nie przeliczyłem tych pieniędzy, właściwie zupełnie o nich zapomniałem, dlatego teraz wstałem i poszedłem do przedpokoju, żeby ich poszukać i znaleźć dla nich bardziej odpowiednie miejsce niż reklamówka.

Ale reklamówki nie było.

Położyłem ją na podłodze tuż za drzwiami, prawda?

No tak Na butach. Białą torbę ze sklepu Beisland. Pełną wymiętych banknotów.

Może mama się nią zaopiekowała?

Wróciłem do salonu.

– Wzięłaś tę reklamówkę, która leżała w przedpokoju?

Podniosła głowę, palcem zaznaczywszy w książce miejsce, w którym czytała.

– Reklamówkę w przedpokoju? Wyrzuciłam.

– Wyrzuciłaś? Zwariowałaś? Tam było kilka tysięcy koron!

W dodatku nie moich, tylko Runego! Właściwie powinien dostać nawet więcej, bo w ostatnich dniach trochę nadszarpnąłem jego działkę.

– Trzymałeś w niej pieniądze? – zdumiała się mama. – I tak cisnąłeś ją na podłogę? Skąd mogłam wiedzieć?

– A gdzie ją wyrzuciłaś?

– Koło beczki. Tam gdzie palimy papier.

– Spaliłaś? Niemożliwe! Spaliłaś pieniądze?

Zamachałem uniesionymi rękami. Potem pognałem do przedpokoju, prędko włożyłem buty i pobiegłem do beczki.

Torba leżała.

Ale czy były w niej pieniądze?

Rozerwałem ją i zajrzałem do środka.

Dzięki Bogu. Były.

Zabrałem torbę, w swoim pokoju wysypałem banknoty na podłogę i przeliczyłem – było trochę ponad trzy tysiące dwieście. Schowałem je i zszedłem do salonu.

– Znalazłeś? – spytała mama.

Kiwnąłem głową. Nastawiłem płytę, przez chwilę przepatrywałem regał z książkami, w końcu wyjąłem *Pana*, usiadłem na kanapie i zacząłem czytać.

Do początku roku szkolnego został tydzień. Zamierzałem go poświęcić na napisanie kilku recenzji, więc wybrałem się do miasta i zajrzałem do Steinara Vindslanda, który ucieszył się, że przyjechałem, bo już wcześniej usiłował mnie złapać, parę razy dzwonił, ale bez powodzenia.

– Sprawa wygląda tak, że kończę tu pracę. Dostałem nową robotę w „Fædrelandsvennen”. Ty pewnie mógłbyś dalej tu zostać, chociaż nie mogę ci tego zagwarantować, bo to przecież ja miałem z tobą kontakt.

– Szkoda – powiedziałem z żalem.



– Wiem. Ale i tak mam dla ciebie propozycję. Będę odpowiadał za dział młodzieżowy i muzyczny. Nie mógłbyś czegoś pisać dla „Fædrelandsvennen”? Już nie recenzje płyt, bo tym zajmuje się Sigbjørn Nedland, na pewno widziałeś. Ale jakieś teksty młodzieżowe, może recenzje z koncertów czy wywiady z zespołami?

– Pewnie, bardzo chętnie!

– No to dobrze. Trzymaj się! – rzucił na pożegnanie.

„Nye Sørlandet” przypominała tonący statek, wszyscy o tym wiedzieli, więc to w zasadzie była dobra wiadomość. „Fædrelandsvennen” czytali wszyscy. Gdy bym napisał coś do tej gazety, zobaczyłoby to mnóstwo osób.

Poszedłem do Giełdy Płyt i kupiłem pięć longplayów, żeby uczcić awans, bo tak to oceniałem. Pieniądże wzięłem z torby, dwie stowy mniej czy więcej nie miały już żadnego znaczenia. I tak miałem w jakiś sposób zdobyć forszę dla Runege.

Kiedy wróciłem do domu, zadzwonił Yngve, spytał o tamten ostatni wieczór. Powiedział, że Cecilie zachowuje się dziwnie i tajemniczo, a poza tym pisze do mnie list.

Zrelacjonowałem mu, co się wydarzyło.

– To znaczy, że chodzisz z Cecilie?

– Owszem, po prostu tak

– Czy to nie będzie trochę dziwnie wyglądało?

– Może. Przeszkadza ci?

– Nie... Chyba nie.

– To świetnie.

Ale ciągle nie mogłem w to uwierzyć. Dwa dni później przyszedł list. Cecilie, oszołomiona, pisała, że dla niej to było jaksen i że pewnie nie powinna się przyznawać, lecz kiedy odeszła ode mnie tamtego wieczoru, łzy płynęły jej po policzkach.

W piątek do niej pojechałem. Byliśmy sami, musieliśmy po omacku szukać drogi do siebie. Rozmawialiśmy o tym, co się właściwie wydarzyło. Powiedziała, że bardzo mnie była ciekawa po tym wszystkim, czego się na mój temat nasłuchiwała od Kristin, i po tym, co widziała na zdjęciach. Liczyła, że może do czegoś dojdzie, a kiedy mnie zobaczyła, bardzo tego chciała, no ale przecież nic nie mogło się stać, bo byliśmy jedynie młodszym rodzeństwem. Przyznałem, że ze mną było tak samo. Mówiła, że Yngve przyglądał się nam kóregoś wieczoru, najpierw jej, później mnie, potem znów jej. Widocznie coś już musiało być w powietrzu. Potwierdziłem to, czując napięcie w całym ciele. Nie zaliśmy się, nie wiedzieliśmy, co się między nami dzieje, ale znów stało się to samo. Nagle się objęliśmy, pocałowaliśmy i położyliśmy na łóżku...

Ale nie przespaliśmy się ze sobą. Powtarzałem sobie, że ona jest taka młoda, że się tak mało znamy, więc musimy być ostrożni...

Wcale nie o to jednak chodziło.

Po prostu miałem wytrysk, zanim do czegokolwiek doszło.

Bardzo się tego wstydziałem, zupełnie znieruchomiałem, żeby tylko to się nie ujawniło.

Taka sytuacja powtarzała się przy każdym spotkaniu w następnych tygodniach.

Na pierwszym zebraniu w redakcji „Fædrelandsvennen” zaproponowałem, że napiszę artykuł o fenomenie młodziutkiej artystki Sissel Kyrkjebø. Wychwalały ją wszystkie gazety, sprzedawała niewiarygodne ilości płyt, ale właściwie dlaczego?

Steinar stwierdził, że to świetny pomysł.

Artykuł zatytułowałem: „Dlaczego Sissel tak się sprzedaje?”. Napisałem: „Posmakujcie tego nazwiska – Sissel Kyrkjebø<sup>[3]</sup>...”. Dalej brylowałem skojarzeniami z religią, społeczeństwem chłopskim i nacjonalizmem, no bo czy na okładce płyty nie wystąpiła na dodatek w stroju ludowym? Reprezentowała sobą wszystko, czego nie lubiłem – fałsz, manipulację, stereotypy, cholerny pocztówkowy obraz świata. Kto na dłuższą metę wytrzyma samo piękno, i to jeszcze w tak małej wyzywającej formie?

W kolejnych dniach posypały się listy czytelników. Jeden zaczynał od słów: „Karl Ove Knausgård<sup>[4]</sup>. Posmakujcie tego nazwiska”, a dalej pławił się w skojarzeniach z jałowością gospodarstwa na nagiej skale. „Fædrelandsvennen” była gazetą popularną, schlebiającą czytelnikom, innowacyjność, awangardowość i prowokacja, których byłem zwolennikiem, nie pasowały do tych ludzi, więc wkrótce na temat Sissel Kyrkjebø ukażało się zaskakująco dużo pozytywnych tekstów.

Uradowała mnie ta sytuacja, nareszcie moje nazwisko wyrwało się z anonimowej gromady, nie wysforowało się za bardzo, ale już nie ginęło w tłumie.

W weekend po ukazaniu się mojego artykułu przyjechał w odwiedziny Yngve i jak zwykle wybraliśmy się do dziadków. Tym razem zastaliśmy tam Gunnara. Gdy tylko weszliśmy, wstał i od razu spojrzał na mnie.

– Czy to nie nasz mistrz świata? – spytał.

Uśmiechnąłem się głupekowato. Ale on ciągnął:

– Za kogo ty się uważasz? Masz świadomość, na jakiego idiotę wychodzisz? Nie, pewnie nie. Tobie się wydaje, że jesteś kimś.

– O co ci chodzi? – wymamrotałem, chociaż doskonale wiedziałem, o czym mówi.

– Co ci skłania do tego, by wierzyć, że właśnie ty masz rację, a wszyscy inni się mylą? Ty, siedemnastoletni licealista! Przecież na niczym się nie znasz, a mimo to wywyższasz się do roli sędziego. To takie głupie!

Nic nie odpowiedziałem, wbilem tylko oczy w podłogę. Yngve też spuścił wzrok.

– Sissel Kyrkjebø to popularna, ceniona przez mnóstwo ludzi artystka. Krytycy dobrze o niej piszą, a wszyscy chcą jej słuchać. Nagle zjawiasz się ty i twierdzisz, że wszyscy się mylą. Ty! – Pokręcił głową.

Nigdy dotychczas nie widziałem go rozszoszczonego czy wzburzonego, dlatego mocno to mną wstrząsnęło.

– Właściwie już wychodziłem – powiedział Gunnar. – Miło cię widzieć, Yngve. Ciągle w Bergen?

– O tyle, o ile. Jesienią wyjeżdżam do Chin.

– No proszę. Zobaczyć kawałek świata?

Wyszedł, a my dopiero teraz zwróciliśmy się do babci i dziadka, którzy siedzieli przy kuchennym stole i podczas całego tego małego intermezza udawali, że nic się nie dzieje.

– Ja się w każdym razie z tobą zgadzam – oświadczył Yngve już w samochodzie, którym wracaliśmy do domu. – Uważam, że to co napisałeś, było jak najbardziej słuszne.

– Bo było. – Roześmiałem się. Coś w całej tej sytuacji mnie upajało.

\*

Z Cecilie godzinami rozmawiałem przez telefon. Ona dużo ćwiczyła, była ogromnie zdyscyplinowana i miała silną wolę. Ale także pewną lekkość i otwartość na życie. Zarazem jednak na pewne rzeczy się zamykała, jakby chciała coś przemilczeć, nie potrafiłem określić, co to jest, ale to wyczuwałem. W weekendy jeździłem do niej stopem, chyba że ona przyjeżdżała do mnie. Wolałem być u niej, bo w jej domu również mnie traktowano jak syna, choć może nie aż tak poważnie jak Yngvego, tak mi się przynajmniej wydawało. Byliśmy wszak młodszym rodzeństwem i z tego powodu chyba nie odnoszono się do nas z równą powagą, lecz trochę tak, jakbyśmy naśladowali starszego brata i siostrę, jakbyśmy nie mieli własnych praw i osobowości.

Kiedy zostawaliśmy sami, oczywiście byliśmy sobą. Wokół nas pogłębiała się jesień. Chodziliśmy w jej mroku, trzymając się za ręce albo ciasno objęci. Cecilie, jednocześnie pełna wdzięku i silna, otwarta i zamknięta, niczego nie udawała.

Któregoś wieczoru doszliśmy do mojej dawnej podstawówki, znajdowała się niedaleko ich domu. Przestałem do niej chodzić, kiedy miałem dwanaście lat, teraz skończyłem siedemnaście. Tych pięć lat wydawało mi się wiecznością, prawie nic nie wiązało mnie z tym chłopcem, którym wtedy byłem, i prawie już nic z tamtego czasu nie pamiętałem.

Ale kiedy stanąłem przed tą szkołą, jakby unoszącą się we mgle i w ciemności, eksplodowały wspomnienia. Puściłem rękę Cecilie, podszedłem do budynku i przycisnąłem dłoń do bejcowanych na czarno desek. Ta szkoła istniała naprawdę, nie była jedynie miejscem z mojej wyobraźni. Oczy mi zwilgotniały od gwałtownego przypływu emocji, jakby cały bogaty świat dzieciństwa na moment powrócił.

No i ta mgła.

Uwielbiałem mgłę, to co robiła ze światem.

Przypominałem sobie, jak razem z Geirem, Anne Lisbeth i Solveig biegaliśmy we mgle, a to wspomnienie miało taką moc, że aż zabolalo. Rozerwało mnie na kawałki. Miękkki żwir, drzewa lśniące od wilgoci, światła, które tak dziwnie świeciły.

– Nie mieści mi się w głowie, że kiedyś chodziłeś do tej szkoły – odezwała się Cecilie. – W ogóle nie kojarzę cię z Sandnes.

– To tak jak ja – powiedziałem, biorąc ją za rękę. Przeszliśmy wzdłuż budynku w stronę dobudówki, która w świetle moich wyobrażeń była zupełnie nowa. Przez całą drogę wyciągałem szyję, omiatałem wzrokiem wszystko, do czego mogłem dotrzeć, i wchłaniałem to w siebie.

– Musieliśmy chyba chodzić do tej szkoły jednocześnie? – spytałem, kiedy wspinaliśmy się po dawniej tak stromym zboczu do boiska.

– Tak – odparła. – Kiedy ty byłeś w szóstej klasie, ja chodziłam do piątej.

– Kristin do ósmej, a Yngve do pierwszej licealnej.

– A teraz ja jestem w drugiej licealnej.

– Świat jest taki mały – stwierdziłem.

Roześmialiśmy się i przeszliśmy przez puste boisko do żwirowej drogi prowadzącej przez las do sąsiedniej osady, Kongshavn. Zaledwie kilkaset metrów dalej zniknęło wrażenie powrotu do domu, przestałem rozpoznawać okolicę. Znaleźliśmy się w najbardziej zewnętrznej strefie dzieciństwa, w którą wcześniej zapuściłem się zaledwie kilka razy, a krajobraz nabrał cech snu, stał się czymś, co jednocześnie rozpoznawałem i odkrywałem.

Wszystko wydawało mi się takie dziwne. Dziwne, że byłem tutaj, że byłem tu z Cecilie, siostrą dziewczyny Yngvego. Dziwnie też się czułem, kiedy wracałem do mamy i tamtego życia, tak zdecydowanie oddzielone od tego, które tu kiedyś wiodłem.

Zacząłem pracę w nowej lokalnej rozgłośni radiowej, większej, cały sprzęt był tu nowy, a siedziba fantastyczna. Spytano mnie, czy nie chciałbym dla nich pracować, a ja oczywiście się zgodziłem. Ciągle też grałem w piłkę, ciągle pisałem do gazety i coraz częściej spędzałem wieczory na mieście. Kiedy nie spotykałem się z Hilde, Eirikiem i Larsem, piłem z Espenem i jego kumplami albo z ludźmi z radia, chyba że wóczyłem się gdzieś z Janem Vidarem. W ten świat nie dawało się wprowadzić Cecilie. Była dla mnie czymś zupełnie innym. Kiedy piłem w knajpie Kjelleren, wydawała mi się nieskończenie daleka. Kiedy siedziałem razem z nią, była nieskończenie bliska.

Pewien problem stanowiło dla mnie jej oddanie, ponieważ dawało mi przewagę, której wcale nie chciałem. Jednocześnie byłem od niej gorszy, ba, w ciągu tych tygodni, które zmieniały się w miesiące, upadałem tak nisko, jak tylko można upaść, bo powoli uświadamiałem sobie ową straszną prawdę, którą ujawniał związek z Cecilie, a mianowicie, że nie jestem zdolny przespać się z żadną dziewczyną. Po prostu nie potrafiłem. Wystarczył widok nagiej piersi, wystarczyło muśnięcie dłonią wewnętrznej strony uda, a ja już dochodziłem, na długo, zanim jeszcze cokolwiek zaczęło.

Za każdym razem!

Leżałem wtedy obok niej, takiej ślicznej, i wciskałem podbrzusze w materac, żeby nie ujawnić swojej upokarzającej tajemnicy.

Cecilie była młoda, długo miałem nadzieję, że nic nie rozumie. Na pewno rozumiała, ale raczej nie wyobrażała sobie, żeby mógł to być stan permanentny.

Któregoś wieczoru wspomniała, że matka spytała ją, czy nie myślała o recepcie na pigułki antykoncepcyjne.

Powiedziała to z uśmiechem, ale w jej głosie słychać było wyczekiwanie, a ja, który usiłowałem to wyprzeć, wmówić sobie, że nic podobnego tak naprawdę nie miało miejsca, zacząłem rozglądać się za jakąś drogą wyjścia. Owszem, ja także tego pragnąłem, ale istniały też inne problemy, większe, na przykład to, że mieszkaliśmy w różnych miastach i nie mogłem poświęcać jej w s z y s t k i h swoich weekendów. Właśnie w taki sposób myślałem, chociaż jednocześnie pamiętałem o jej oddaniu, takim przecież wielkim. Wiedziałem, że jest dla mnie gotowa na wszystko, potwierdzały to jej listy, przesyłane tęsknotą, mimo że pisane zaledwie w kilka godzin po naszym pożegnaniu.

Musiałem się z tego wyrwać.

Przyjechała do mnie na początku grudnia, w sobotnie przedpołudnie i planowała zostać do

niedzieli, do przyjazdu rodziców, którzy chcieli poznać mamę, przyszłą teściową obu ich córek. Zapowiadało się coś w rodzaju przyklepania naszego związku, co chyba nie bardzo było mi w smak. Poszliśmy na spacer, krajobraz zeszywniał od mrozu, pokryta szronem trawa na łące pod domem lśniła w blasku latarni. Potem zjedliśmy obiad z mamą, a następnie autobusem pojechaliśmy do hotelu Caledonien, Cecilie miała czerwoną sukienkę, tańczyliśmy do piosenki Chrisa de Burgha *The Lady in Red*, ja w myślach powtarzałem sobie, że nie, nie mogę z nią zerwać, nie chcę.

Nocnym autobusem wróciliśmy do domu, ostatni kawałek szliśmy, trzymając się za ręce, było zimno, Cecilie się do mnie tuliła. Weszliśmy do domu, rozebraliśmy się i wtedy pomyślałem: teraz. Wchodziliśmy na górę. Cecilie szła pierwsza. Otworzyła drzwi do mojego pokoju.

– Dokąd idziesz? – spytałem.

Odwróciła się i spojrzała zdziwiona.

– Położyć się.

– Będziesz spała tam. – Wskazałem jej pokój Yngvego, ściana w ścianę z moim.

– Dlaczego? – Robiła coraz większe oczy.

– Bo z nami już koniec – oświadczyłem. – Zrywam z tobą. Przykro mi, ale dłużej się nie da.

– Co ty wygadujesz?

– To naprawdę koniec. Musisz spać tam.

Posłuchała. Wszystkie jej ruchy nagle bardzo spowolniały. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Cecilie płakała, dobrze to słyszałem. Ściana była cienka. Zatkąłem uszy palcami i w końcu zasnąłem.

Następny dzień był nie do wytrzymania.

Cecilie płakała, mama chciała się dowiedzieć, o co chodzi, ale nie spytała wprost, a żadne z nas nie puściło pary z ust. Przyjechali rodzice Cecilie. Mama wcześniej przygotowała duży brunch, mieliśmy siedzieć przy stole i miło spędzać czas, obie rodziny, ale Cecilie się nie odzywała, twarz miała zapłakaną, jej rodzice konwersowali z mamą, ja od czasu do czasu wtrącałem jakiś komentarz. Oczywiście domyślili się, że coś jest nie tak, ale nie wiedzieli, o co chodzi, może przypuszczali, że po prostu się pokłóciliśmy.

Ale my się nigdy nie pokłóciliśmy. Śmialiśmy się razem, bawiliśmy się, rozmawialiśmy, całowaliśmy się, chodziliśmy razem na spacer, piliśmy razem wino, leżeliśmy razem obok siebie nadzy.

Cecilie nie płakała. Jadła w milczeniu, ruchy miała ostrożne, a u jej rodziców wyczułem wielką troskę o nią, starali się jakby otulić ją wszystkimi swoimi gestami i słowami.

W końcu pojechali.

Dzięki Bogu, musieli jechać aż do Arendal. To było daleko, więc most, który między naszymi rodzinami zbudował Yngve, też się oddalił.

Między świętami a Nowym Rokiem zadzwonił tata. Pijany, poznałem to po braku ostrości w głosie. Nie kontrolował go w pełni, brzmiało w nim coś nowego, chociaż wcale nie wydawał się

przez to lepszy.

– Cześć – powiedziałem. – Wesoly ch świąt! Ciągłe jesteście na Kanarach?

– Tak i zostaniemy tu jeszcze przez kilka dni. Fantastycznie tak się wyrwać z tych ciemności.

– To prawda – przyznałem.

– Będziemy mieli dziecko – oznajmił tata. – Unni jest w ciąży.

– Naprawdę? A kiedy będzie rodzić?

– Pod koniec lata.

– To dobra wiadomość – stwierdziłem.

– No tak Będziesz miał więcej rodzeństwa.

– To aż trochę dziwne.

– Jakie tam dziwne!

– Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli taką dużą różnicę wieku. I to, że nie będziemy razem mieszkąć.

– Rzeczywiście. Ale to i tak będzie twój brat albo siostra. Jedna z najbliższych ci osób.

– No tak

W kuchni mama nakrywała do stołu. Ekspres do kawy cicho bulgotał, wypuszczając z siebie nieduże obłoczki pary. Kilka razy potarłem ramię.

– Fajnie tam u was? – spytałem. – Możecie się kąpać?

– No jasne. Całymi dniami leżymy przy basenie. Uważamy, że cudownie jest się wyrwać z tych norweskich ciemności.

Zapadła chwila ciszy.

– Jest tam twoja matka? – spytał.

– Tak. A co, chcesz z nią rozmawiać?

– O czym miałbym z nią mówić?

– No nie wiem.

– To nie zadawaj głupich pytań.

– Dobrze.

– Byliście w święta w Sørbøvang?

– Tak. Dopiero wróciliśmy. Prawdę mówiąc, pół godziny temu.

– I co, oni ciągle żyją?

– Tak, tak

– Babcia chora?

– Tak

– Wiesz, że parkinson to dziedziczna choroba?

– Tak?

– Owszem. Więc i ty jesteś narażony. Możesz zachorować. Tylko pamiętaj wtedy, skąd to się wzięło.

– Będę się martwił, jak przyjdzie na to pora. Ale wiesz, muszę już kończyć i siadać do jedzenia. Pozdrów ode mnie Unni i przekaż jej gratulacje.

– Zadzwoń któregoś dnia po naszym powrocie, Karl Ove. Przecież ty prawie nigdy nie dzwonisz.

– Dobrze, zadzwonię. To na razie.

– Na razie.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do kuchni. Kot umościł się na siedzeniu krzesła dosuniętego do stołu, widziałem tylko jego puszysty ogon przewieszony przez krawędź. Mama otworzyła piekarniki położyła na blasze kilka zamrożonych bułek

– Nie bardzo mamy w domu co jeść – stwierdziła. – Ale znalazłam te bułki w zamrażarce. Ile zjesz?

Wzruszyłem ramionami.

– Ze cztery.

Dołożyła jeszcze jedną i zamknęła piekarnik

– Kto dzwonił?

– Tata.

Wysunąłem sobie krzesło obok tego z kotem i usiadłem.

– Wyjechał na Południe, prawda? – Mama podeszła do lodówki.

– Tak

Wyjęła sery, żółty i brązowy, położyła je na desce do krojenia, którą wzięła z blatu.

– Dobrze się bawią? Co mówił?

– Nic specjalnego. Tak tylko dzwonił pogadać. Chyba trochę podpiły.

Przyniosła jeszcze nóż do sera. Wzięła dzbanek z kawą z ekspresu, nalała do filiżanki.

– Napijesz się?

– Tak, poproszę. – Podałem jej swoją filiżankę. – Ale powiedział jedną dziwną rzecz. Że parkinson jest dziedziczny. I że jestem zagrożony.

– Tak powiedział? – Mama popatrzyła mi w oczy.

– Właśnie tak

Obkroiłem brzegi żółtego sera, położyłem je na swoim talerzu, ale zmieniłem zdanie i wrzuciłem do kubła na śmieci pod blatem.

– Niewiele o tym wiadomo – powiedziała mama.

– Nie denerwuj się. Myślisz, że ja się tym przejmuję?

Usiadła. Otworzyłem lodówkę i wyjąłem karton z sokiem, który stał w drzwiczkach. Spojrzałem na datę. Trzydziesty pierwszy grudnia. Potrząsnąłem nim. Zostało jeszcze trochę na dzień.

– Naprawdę tak powiedział? – spytała jeszcze raz mama.

– Tak. Ale nie przejmuj się tym. Mówiłem ci, że był trochę pijany.

– Opowiadałam ci już o jego pierwszym spotkaniu z moimi rodzicami?



Pokręciłem głową. Otworzyłem szafkę i wyjąłem z niej szklankę.

– Oboje wywarli na nim wielkie wrażenie, zwłaszcza babcia. Mówił, że zdawało mu się, jakby pochodziła z arystokraty cznego rodu.

– Arystokraty cznego? – Usiadłem, nalałem soku do szklanki.

– Tak Dostrzegał w niej coś wyjątkowego. Mówił o dostojności. Wiesz, u nas było dość ubogo, a przede wszystkim zupełnie inaczej niż w jego rodzinie. Nigdy nie żyliśmy w biedzie, zawsze wystarczało na jedzenie i ubranie, ale ledwie. To była wielka różnica w porównaniu z jego domem rodzinnym. Nie wiem, czego się spodziewał. No ale był zaskoczony. Może wynikało to stąd, że rodzice przyjęli go w zupełnie inny sposób niż ten, do którego był przyzwyczajony. Traktowali go poważnie, tak samo jak wszystkich innych. Może po prostu stąd się to brało.

– A ile miał wtedy lat?

Uśmiechnęła się.

– Oboje mieliśmy po dziewiętnaście.

– Napijesz się trochę soku? – spytałem. – Została jeszcze odrobina.

– Nie, dokończ.

Opróżniłem karton i rzuciłem nim do zlewu. Rzut był idealny. Gwałtowny hurgot poderwał kota.

– Mówił o jej oczach – ciągnęła mama. – To pamiętam. Twierdził, że mają w sobie moc, a zarazem są łagodne.

– Bo to prawda.

– Tak Twój ojciec zawsze potrafił patrzeć na ludzi.

– Teraz tak bym nie powiedział, zważywszy na to, co robi. – Wypiłem łyk soku.

Odruchowo zmrużyłem oczy, czując kwaśny smak

– Poniekąd właśnie dlatego mówię ci teraz o tym, żebyś zrozumiał, że dawniej miał w sobie coś więcej, niż teraz u niego dostrzegacie.

– Zrozumiałem.

Ze szczeliny przy dolnej krawędzi drzwiczek piekarnika lekko sączyła się para. Jak długo te bułki już się podgrzewały? Sześć minut? Siedem?

– Był kiedyś bardzo interesującym człowiekiem, o wiele ciekawszym niż inni z jego otoczenia. Myślę, że kiedy dorastał, nie mógł się pogodzić z tym, że nikt tego nie doceniał. Rozumiesz?

– Tak, oczywiście.

– No tak

– Ale skoro był taki fajny, to jak mógł nam w dzieciństwie robić takie rzeczy? Przecież ja się go śmiertelnie bałem! Cholera, przez cały czas!

– Nie wiem. Może się pogubił. Może poddał się jakimś zewnętrznym wymogom, niezgodnym z tym, co nosił w sobie. W domu wiele od niego wymagano, wychowywał się wśród mnóstwa zasad i reguł, a kiedy poznał mnie, zaczęłam mu stawiać inne wymagania, które chyba ani trochę mu nie odpowiadały. Tak prawdopodobnie ani trochę.

– Rzeczywiście coś takiego mówił.

– Naprawdę?

– Tak

– To znaczy, że wy o tym rozmawiacie?

Uśmiechnąłem się.

– Tak bym tego nie nazwał. Chodzi mi raczej o to, że on stale narzeka. No ale myślę, że te bułki już są gotowe.

Wstałem, obszedłem stół, otworzyłem piekarniki zacząłem jak najszybciej wyjmować gorące bułki, wrzucając po jednej do koszyka na pieczywo, który zaraz postawiłem na stole.

– To znaczy mnóstwo wymagań z zewnątrz i wielki chaos wewnętrzny, tak brzmi twoja diagnoza, dobrze rozumiem?

Uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście, można chyba tak powiedzieć.

Przekroiłem bułkę nożem, podałem mamie. Masło, którym posmarowałem następną, roztopiło się w momencie zetknięcia z szarobiałą, w kilku miejscach aż lepką od gorąca powierzchnią. Położyłem na niej dwa plasterki brązowego sera. Również one zaczęły się topić.

– Dlaczego po prostu nie odeszłaś?

– Od taty?

Z pełnymi ustami kiwnąłem głową.

– Ja też się nad tym nieraz zastanawiałam. Nie wiem.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Aż trudno było uwierzyć, że jeszcze rano tego dnia chodziliśmy po Sørbøvg. Wydawało się, że to o wiele dawniej. Trochę jakby w innym świecie.

– Nie znajduję na to dobrej odpowiedzi – podjęła mama po chwili. – Wiele rzeczy się na tołożyło. Rozwód byłby kłeską. Przecież spędziliśmy razem całe nasze dorosłe życie. Tworzy się mnóstwo różnych więzów. No i po prostu go kochałam.

– Nie bardzo to rozumiem – stwierdziłem. – Chociaż słyszę, co mówisz.

– Wiele można powiedzieć o twoim ojcu, ale w każdym razie życie z nim nie było nudne.

– Na pewno. – Wstałem po tytoń, który zostawiłem w kurtce w przedpokoju. – No a Kjartan? – spytałem, wróciwszy. – On chyba też ma w sobie pewien chaos?

– Tak sądzisz? – zdziwiła się mama.

– A nie? – Otworzyłem paczkę, wyjąłem bibułkę i napełniłem ją tytoniem. Trochę go poskubałem, żeby był luźniejszy.

– Być może. Kjartan w każdym razie czegoś szuka. Zawsze był osobą poszukującą. A kiedy już znalazł coś dla siebie, to się tego trzyma.

– Masz na myśli komunizm?

– Na przykład.

– No a ty? – Zacząłem owijać tytoń bibułką. – Ty też jesteś poszukująca?

– Ja? Nie. – Roześmiała się. – Ja usiłuję przeżyć. Tylko tyle.

Zwilżyłem śliną brzeg bibułki, skleiłem ją i zapaliłem papierosa.

Wieczorem następnego dnia wyszedłem z domu. Najpierw z jedną grupą piłem w domu u kogoś z liceum, ukradliśmy kilka piw z piwnicy, wyrzucono nas, więc pobiegliśmy w stronę miasta. Wszystko dookoła pokrywał śnieg, pod butami chrzęściło, a mróz jakby nas obejmował, mieliśmy wrażenie, że idąc, zderzamy się z nim twarzami, że przedzieramy się przez coś, co nie ma końca. Na stacji Shella przy Elvegaten okrążyliśmy jakiegoś niskiego faceta, który zaczął jedną z dziewczyn, śpiewaliśmy: „To du-du-du-dureń” i „To głu-głu-głu-głupek”. Kopnąłem go w tyłek, kiedy się odwrócił, i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kiedy już zapłaciliśmy i wyszliśmy na zewnątrz, okazało się, że ten mały człek na nas z kumplem, o wiele wyższym. Kto by się spodziewał? „To ten”, oznajmił mały, wskazując na mnie, kiedy zatrzymałem się przy dystrybutorach. Wyższy stanął tuż przede mną, nie odezwał się, tylko spojrzął mi prosto w oczy. Minęła sekunda albo dwie i walnął mnie z byka. Osunąłem się na ziemię. Z nosa poleciała mi ciepła krew, ściekała na beton. Nie mogłem zrozumieć, co się stało. Uderzył mnie? Głową? Nawet nie bolało.

Za sobą słyszałem Hauka. Krzyczał: „Mam tylko szesnaście lat! Mam tylko szesnaście lat! Mam tylko szesnaście lat!”. Usiadłem. Oni pobiegli w dół, Hauk i jeszcze dwóch przodem, ten wysoki za nimi. Wymachiwał nożem. Wstałem i podszedłem do dziewczyn, którym nikt nie groził. Marianne wbiegła do środka i przyniosła zwój papieru toaletowego, otarłem nim krew. Wkrótce potem zjawił się Hauk z tamtymi dwoma chłopakami, ciągle przerażeni, weszli do budynku i poprosili, żeby ekspedient zadzwonił po policję. Ten wieczór stracił moc, impreza się rozmyła, nagle nikt oprócz mnie nie miał już ochoty na zabawę, musiałem więc taksówką wrócić do domu, siedziałem z tyłu i wyglądałem przez okno, czując pulsowanie w nosie i w głowie.

Już w chwili otwarcia drzwi wiedziałem, że do domu wrócił Yngve. Podłoga zastawiona bagażami, jego kurtka na wieszaku, wielkie buty. Postanowiłem, że zrobię mu niespodziankę. Radość z tego pomysłu rozsadzała mi pierś. Otworzyłem drzwi do jego pokoju, zapaliłem światło i zawołałem: „Ta-dam!”, a on poderwał się na łóżku, kompletnie zdezorientowany. Wybuchnąłem śmiechem, całkiem tracąc kontrolę nad sobą, nie przestawałem się śmiać, a Yngve tylko na mnie patrzył i pytał, co się stało, co jest z moim nosem, ale śmiałem się tak, że nie mogłem odpowiedzieć, aż w końcu Yngve powiedział:

– Idź się położyć, Karl Ove, tak będzie najlepiej. Pogadamy jutro.

– Przyjechałeś prosto z Chin? – spytałem i dalej się śmiałem. W końcu jednak zamknąłem drzwi, poszedłem do swojego pokoju i cały czas chichocząc, rozebrałem się i położyłem do łóżka. Miałem wrażenie, że moja głowa jest skrzynką pełną przedmiotów, które przesypują się z boku na bok za każdym razem, gdy nią poruszę. Stwierdziłem, że przesypują się, nawet kiedy leżą nieruchomo, i zasnąłem.

Zbudziła mnie obolała twarz. Uświadomiłem sobie, co się stało, i przerażony, usiadłem.

Potem przypomniało mi się, że Yngve wrócił.

Jak dobrze.

Łekko pachniało dymem, najwyraźniej rozpalili w kominku. Z dołu dobiegały ściszone głosy. Pewnie siedzieli w kuchni i jedli śniadanie.

Wciągnąłem T-shirt i spodnie, zszedłem.

Spojrzeni na mnie. Yngve się uśmiechnęła.

– Pójdę się tylko trochę opłukać – oświadczyłem i ruszyłem do łazienki.

Ojej.

Nos tuż pod nasadą trochę się przekrzywił. Poza tym solidnie spuchł, a dziurki wypełniała zakrzepła krew. Delikatnie ją zmyłem i wróciłem do kuchni.

– Gdzieś ty się właściwie wczoraj plątała?

– Jeden facet zaprawił mnie z byką – oznajmiłem i usiadłem. Położyłem sobie bułkę na talerzu. – Nic nie zrobiłem. Na stacji benzynowej po prostu podszedł i mnie załatwił. Potem zaczął gonić moich kolegów. Biegł za nimi z nożem. Ślepa przemoc.

Mama westchnęła, ale nic nie powiedziała, a chwilę później mój temat się zakończył, bo Yngve wrócił do opowieści o Chinach, w których, jak się zorientowałem, musiał mówić już dość długo. Przeżycia wprost go przepelniały. Opowiadał i opowiadał, a ja wyobrażałem sobie, jak wielkie tłumy Chińczyków gromadziły się wokół Kristin, jak się przyglądali jej jasnym włosom, jaką przygodą była podróż koleją transsyberyjską, jak niesamowity jest Tybet i jakie dziwne są tamtejsze kolory. Ogromne żółte rzeki, porośnięte drzewami skały, obce wielkie miasta i tanie hotele, chiński mur, promy i pociągi, wszędzie aż gęsto od ludzi, psów i kur, a wszystko to tak odległe od pustego, pokrytego śniegiem, zmrożonego krajobrazu za oknem, że bardziej nie można się już oddalić.

Dwa dni później, w sylwestra, Yngve pojechał do schroniska Vindilhytta, natomiast ja, w nowych, wypastowanych butach i wypożyczonym smokingu, wybrałem się do Bassena. Była tam Hanne. Piłem wódkę z sokiem, chciałem tańczyć z Hanne, tańczyliśmy, piłem jeszcze więcej, zaproponowałem, żebyśmy zaczęli ze sobą chodzić, chociaż właściwie od dawna jej nie widziałem, ale myślałem o tym obsesyjnie, Hanne zbyła mnie śmiechem, obraziłem się, tańczyłem z innymi, byłem coraz bardziej pijany, a o dwunastej wyszliśmy na drogę, gdzie zebrali się również inni ludzie z sąsiedztwa, zabawa osiągnęła apogeum, wszyscy odpalali petardy, wypuszczając je z ręki w ostatniej sekundzie, krążyły z sykiem wśród zebranych, rozlegały się wrzaski i krzyki, huki i wybuchy, a ja patrzyłem na Hanne, trzęsła się z zimna, taka piękna, myślałem o tym, dlaczego nie mogę z nią być, obejmować jej teraz, gdy nagle tuż u jej stóp wylądowała petarda.

Ludzie zaczęli się z krzykiem cofać.

Ale to była moja szansa, więc podbiegłem i akurat w momencie, gdy miałem kopniakiem odrzucić tę petardę, wybuchła. Ogarnęło mnie bardzo dziwne uczucie, na łydce poczułem gorąco, a kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że spodnie mam w strzępach. Ciepła mi krew. Miałem nawet wielką dziurę w bucie! Nie zgodziłem się jechać na pogotowie. Ktoś stał mi krew ścierką i owinął nogę bandażem. Zawołałem, że teraz jestem porucznikiem Glahnem<sup>[5]</sup>, że strzeliłem sobie w stopę, aby Hanne zrozumiała, jak bardzo ją kocham. Przez jakiś czas skakałem na jednej nodze, w rozerwanych spodniach, z bandażem przesiąkniętym krwią, krzycząc, że jestem porucznikiem Glahnem, mam też mgliste wspomnienie, że siedziałem w jakimś kącie na

krzesła i płakałem, ale czy tak było, nie jestem pewien. W każdym razie do domu wróciłem koło piątej. Chodzi mi po głowie, że poprosiłem kierowcę taksówki, by zatrzymał się przy skrzynkach na listy, bo zawsze tam wysiadałem, aby warkot silnika nie zbudził mamy, i że przed zaśnięciem jeszcze schowałem głęboko w szafie spodnie i buty. Następnego dnia przed południem zdjęłem bandaże i wcisnąłem go do reklamówki, którą wetknąłem na dno kosza na śmieci, po czym przemyłem dość głęboką ranę, zakleiłem ją plastrem i poszedłem zjeść duże śniadanie.

Nie przeżywamy życia sami, ale to nie oznacza, że dostrzegamy tych, z którymi je przeżywamy. Kiedy tata przeniósł się na północ Norwegii i fizycznie się ode mnie oddalił, kiedy nie było jego ciała ani głosu, temperamentu ani spojrzenia, to w pewnym sensie zniknął również z mojego życia, został zredukowany do pewnego nieprzyjemnego odczucia, z którym od czasu do czasu musiałem się konfrontować, gdy dzwonił lub gdy coś mi o nim przypominało, uruchamiając się wtedy w mnie jakiś obszar, a w tym obszarze mieściły się wszystkie moje uczucia dla niego, lecz nie on sam.

O tamtych świętach, kiedy telefonował z Wysp Kanaryjskich, i o następnych tygodniach przeczytałem później w jego notatnikach. W tych zapiskach tata dochodzi do głosu, przemawia z samego środka swojego życia, i może tak przykro mi je czytać właśnie dlatego, że na jego osobę składają się nie tylko moje uczucia dla niego, lecz także mnóstwo innych elementów, jest pełnym, żywym człowiekiem, który żyje własnym życiem.

To Yngve znalazł te notatniki. Kilka tygodni po pogrzebie wynajął wielki samochód, wrócił do Kristiansand i załadował wszystkie rzeczy taty z garażu, potem pojechał do tego małego miasteczka we wschodnim rejonie Norwegii, gdzie tata mieszkał przez ostatnie lata, zabrał stamtąd nieliczne przedmioty, które zostały po nim, wszystko to przewiózł do Stavanger i ulokował na strychu, miało tam czekać, aż przyjadę, żebyśmy mogli to przejrzeć razem.

Kiedy Yngve zadzwonił do mnie owego wieczoru jesienią 1998 roku, powiedział, że przez moment był pewien, że tata żyje i jedzie za nim autostradą.

– A ja siedziałem w samochodzie pełnym jego rzeczy – opowiadał mi. – Wyobrażasz sobie, jak by się rozłościł, gdyby to odkrył? To kompletny absurd, ale byłem p e w i e n, że on za mną jedzie.

– Ze mną jest tak samo – wyznałem. – Za każdym razem, kiedy zadzwoni telefon albo dzwonek do drzwi, wydaje mi się, że to on.

– Tak czy owak – powiedział Yngve – znalazłem kilka jego dzienników. A właściwie raczej notatników. Codziennie coś notował. Z lat tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt sześć, siedem i osiem. Musisz to przeczytać.

– Tata prowadził dziennik? – zdziwiłem się.

– No niedokładnie, takie luźne notatki.

– I co tam jest?

– Sam musisz przeczytać.

Kiedy przyjechałem do Yngvego kilka dni później, wyrzuciliśmy prawie wszystko, co tata po

sobie zostawił. Ja zatrzymałem dla siebie jego kalosze, których wciąż, dziesięć lat później, używam, lornetkę, leżącą teraz, kiedy to piszę, na moim biurku, serwis i trochę książek. No i te notatniki.

Środa, 7 stycznia

Wstałem wcześniej, 5.30. Kielonek.

W prysznicu tylko zimna woda.

Autobus o 6.30 z Puerto Rico. Tu też ukradkiem wypilem jednego.

Na lotnisko. Kupiłem walkmana. Odlot 9.30. Trochę opóźniony – Kr.sand 16.30. Samolot do Oslo 17.05. Kłopotliwe.

To samo w Alta. Spotkałem Haraldsena. Przez Lakselv (-31).

Taksówka do domu. Dom wyziębiony. Rozgrzałem się tym, co przywoziłem. Męczący dzień.

Czwartek, 8 stycznia

Próbowałem wstać i iść do pracy. Ale musiałem zadzwonić do Haraldsena i rzucić ręcznik. Potworna abstynencja – cały dzień w łóżku... Usiłowałem czytać „Newsweek”. Ledwie obejrzałem coś w telewizji. Jutro do pracy?

Piątek, 9 stycznia

Wstałem o 7.00. Męki przy śniadaniu.

Do pracy. Ledwie przetrwałem trzy pierwsze lekcje. Na dużej przerwie dostałem okropnej biegunki i musiałem zwolnić HK. Do domu, żeby się podreperować – rum + cola. Aż trudno uwierzyć, jak bardzo to pomaga. Spokojne popołudnie i wieczór. Zasnąłem przed „Wiadomościami”.

Sobota, 10 stycznia

Spałem długo. W kuchni łyknąłem sherry. Wieczór spędzony w towarzystwie niebieskiego smirnoffa!

Niedziela, 11 stycznia

Już kiedy się obudziłem, czułem, że to będzie zły dzień. Sprawdziło się!

Poniedziałek, 12 stycznia

Z niedzieli na poniedziałek źle spałem. Leżałem, wierciłem się w łóżku i słyszałem „głosy”. Do pracy. Zaczęłem od podstaw angielskiego. Ciężko, kiedy nie jest się w formie. Wieczorne lekcje jeszcze bardziej stresujące!

Wtorek, 13 stycznia

*Kolejna bezsenna noc. Wygląda na to, że organizm nie toleruje braku alkoholu. Poszedłem do pracy.*

Wtorek, 20 stycznia

*Jeszcze jedna źle przespana noc. Zawsze tak jest, kiedy się nie weźmie „lekarstwa na sen”. Po 1 1/2 godziny jestem zbyt zmęczony, żeby dobrze pracować. Na obiad lufefisk, nie ma dla mnie nic pysniejszego. Po obiedzie się zdrzemnąłem – to była długa drzemka – wstałem o 22. Pracowałem do 3. Praca w nocy staje się już normą!*

Dalej to samo. Tata pije we wszystkie weekendy, coraz częściej również w dni powszednie. Próbuje rzucić, ma kilka zupełnie czystych dni, albo nawet tygodni, ale dłużej nie wytrzymuje. Nie może spać, czuje niepokój, słyszy głosy, jest taki zmęczony, że wręcz z ulgą czyta się o tym, iż wreszcie poszedł do monopolowego czy do sklepu, w którym sprzedają piwo, wraca do domu z alkoholem i cała jego wewnętrzna walka przycicha.

Pod datą 4 marca, w środę, zapisał jedynie: „Yngve, Karl Ove, Kristin”. Podczas ferii zimowych pojechaliśmy do nich w odwiedziny. Tata opłacił podróż dla całej naszej trójki. Unni zaprosiła też swojego syna Fredrika, który już tam był, kiedy dotarliśmy na miejsce. Z Kristiansand do Bergen leciałem samolotem razem z Kristin, trochę się oczywiście denerwowałem z powodu tego, co zaszło między mną a Cecilie, ale Kristin o tym nie wspomniała i odnosiła się do mnie tak jak zawsze. W Bergen dołączył do nas Yngve, poleciliśmy do Tromsø, tam przesiedliśmy się do niedużego turbośmigłowca, którym mieliśmy przebyć ostatni etap podróży.

Krajobraz pod nami był dziki i pusty, nigdzie żadnego domu ani drogi, a kiedy wreszcie dotarliśmy do lotniska, nie było mowy o powolnym zniżaniu, o nie, samolot dał nurka jak drapieżny ptak, który dostrzegł w dole zdobycz, tylko tyle zdążyłem pomyśleć i już koła dotknęły pasa, rozpoczęło się gwałtowne hamowanie, a nas rzuciło na siedzenia z przodu.

Z samolotu do niewielkiego budynku terminalu pasażerowie szli gęsiego. Było zimno i pochmurno, krajobraz biały, przetykany lśniącymi obszarami czerni w miejscach zbyt stromych, aby śnieg mógł się utrzymać.

Tata czekał na nas w hali. Był oficjalny i spięty. Spytał o podróż, ale nie słuchał odpowiedzi. Ręce mu się trzęsły, kiedy wsuwał klucz w stacyjkę i opuszczał ręczny hamulec. Całą drogę do miasta przez mgliste rozległe pustkowia milczał. Obserwowałem jego rękę. Na drążku zmiany biegów leżała spokojnie, lecz gdy ją od niej odrywał, drżała.

Zwrócony ku morzu dom, przed którym zaparkował samochód, znajdował się tuż za centrum, na osiedlu, sądząc po architekturze, wybudowanym w latach siedemdziesiątych. Tata i Unni wynajmowali całe górne piętro i mieli duży balkon, na który wychodziło się z salonu. Szyby w oknach były niemal mleczne, pomyślałem, że to pewnie od soli, chociaż dom od morza dzieliło kilkadziesiąt metrów. Unni czekała na nas w drzwiach, uśmiechnięta, wszystkich nas wyściskała. Chłopak, najpewniej Fredrik, siedział w salonie i oglądał telewizję, ale wstał na nasz widok i się z nami przywitał.

Uśmiechał się. My też.

Był wysoki, miał ciemne włosy, w pomieszczeniu wyraźnie wyczuwało się jego obecność. Kiedy z powrotem usiadł, poszedłem do przedpokójki po plecak i w otwartych drzwiach do kuchni mignął mi tata. Duszkciem pił piwo.

Unni pokazała nam, gdzie będziemy spać, zaniósłem tam swoje rzeczy. Kiedy wracałem, pierwsza butelka stała już pusta na stole, a tata wlewał w siebie drugą. Lekko mu się odbiło i postawił ją przy poprzedniej, starł pianę z brody i odwrócił się do mnie.

Napięcie, które było w nim wcześniej, zniknęło.

– Głodny jesteś, Karl Ove? – spytał.

– Pewnie, że tak. Ale nie ma pośpiechu. Możemy zjeść, kiedy wam pasuje.

– Kupiłem dzisiaj befsztyki i czerwone wino, więc to możemy zrobić. Albo krewetki. Tutaj mają duże, pyszne krewetki.

– Lubię jedno i drugie – powiedziałem.

Wyjął z lodówki kolejną butelkę piwa.

– Dobrze się napić piwa w ferie.

– Jasne – potwierdziłem.

– Ty też później dostaniesz. Do jedzenia.

– Fajnie.

Yngve i Kristin usiedli na kanapie. Rozglądali się, jak zwykle człowiek się rozgląda w obcym miejscu, dyskretnie wczuwając się w otoczenie, a jednocześnie cały czas zwracali uwagę na siebie nawzajem, niekoniecznie spojrzeniem, po prostu wszystkim, jak bliscy sobie ludzie, którzy wszystko robią we dwoje. Kristin była prawdziwym cudem, miała w sobie radość i naturalność, tak bardzo potrzebne Yngvem, chłonął to i pojawił się w nim ów blask dziecięcości, nabierał go tyłko przy niej.

Fredrik siedział w fotelu po drugiej stronie stołu i z rezerwą odpowiadał na pytania zadawane przez Yngvego i Kristin. Był o rok młodszy ode mnie, mieszkał gdzieś w regionie Østlandet ze swoim ojcem, grał w piłkę nożną, ponadprzeciętnie interesował się wędkarstwem, lubił U2 i The Cure.

Usiadłem w fotelu obok niego. Na ścianie nad kanapą zauważyłem niebieski obraz Sigvaldsena, który tata zabrał z domu po rozwodzie, a na obu dłuższych ścianach inne obrazy wiszące dawniej u nas. Komplet wypoczynkowy w drugim rogu pokoju wcześniej zawsze stał u taty w gabinecie, stamtąd też pochodził jeden z dywanów. Pozostałe meble rozpoznałem z mieszkania Unni.

Tata usiadł na kanapie. Jedną ręką objął Unni. W drugiej trzymał butelkę z piwem. Z ulgą pomyślałem o tym, że Yngve i Kristin są tutaj ze mną.

Tata zaczął zadawać pytania Yngvem, który odpowiadał krótko, ale bez niechęci. Kristin usiłowała zapanować nad sytuacją, pytała trochę o układy w mieście i w szkole, gdzie tata i Unni pracowali. Odpowiadała Unni.

Po chwili tata zwrócił się do Fredrika. Mówił swobodnym, dobronudszym tonem. Fredrik całym sobą reagował odpychająco, oczywiście było, że nie lubi taty, i właściwie świetnie to rozumiałem. Tyłko idiota nie usłyszałby fałszywego tonu w głosie taty, jakby mówił do dziecka, i nie pojąłby, że robi to dla Unni.



Fredrik odpowiedział z lekką złością, tata przez kilka sekund wpatrywał się przed siebie, Unni powiedziała coś milego, ale z wyrzutem, do Fredrika, którego aż skęciło.

Tata przez pewien czas milczał i tylko wlewał w siebie alkohol, w końcu się podniósł, wyszedł do kuchni i tam zaczął szykować obiad. My zostaliśmy w salonie z Unni. Kiedy około ósmej jedzenie stanęło na stole, tata był już pijany, chciał dogodzić wszystkim, lecz jego słowa do nikogo nie trafiały, a wysiłki wypadały idiotycznie. Cierpiał zwłaszcza Fredrik. My byliśmy do taty przyzwyczajeni, innego go nie znaleźliśmy, a Fredrik stracił przecież matkę z powodu tego typu.

Tata długo milczał, z niemądrą, obrażoną miną, w końcu wstał i poszedł do sypialni. Unni ruszyła za nim. Słyszeliśmy stamtąd ich głosy. Po chwili wrócili, jakby nic się nie stało. Opowiadali o wakacjach, o toczącej się w sądzie sprawie przeciwko biuro podróży. Okazało się, że tata na wyjeździe zasłabł, zemdlął w pokoju i został odwieziony do szpitala karetką. Twierdził, że to był atak serca. W każdym razie podał do sądu biuro podróży, bo podczas tego wyjazdu doszło do kilku incydentów, do kłótni z rezydentami, z innymi turystami w hotelu, a teraz oboje z Unni uważali, że wszyscy się na nich uwzięli, że wręcz stosowano wobec nich mobbing i że właśnie to doprowadziło do choroby taty. W szpitalu spędził dwa dni. Pokazał nam sporo zdjęć z tego wyjazdu, na niektóre aż przykro było patrzeć: jedna seria przedstawiała jakąś parę na tarasie, ujęcia stawały się coraz bardziej natrętne, tamta para w końcu wstała i wygrażając pięściami, ruszyła w stronę obiektu wu. Co oni wyprawiali?

– Zobacz, jacy pieniaczce – powiedział tata. – Ze wszystkiego niezadowoleni. Ludzie prawie tej samej kategorii co Gunnar.

– A co jest nie tak z Gunnarem? – zdziwił się Yngve.

– Z Gunnarem? Zaraz ci powiem. Przez całe lato węszył wokół mieszkania na Elvegaten. Chciał mnie pilnować, wiesz? Pilnować, żeby nie pił. Taki jest święty ten mój brat. Myślisz, że mi nie kazał przyhamować? Chciał rządzić własnym bratem! Przecież ja już byłem dorosły, kiedy on jeszcze sikał w majtki! Człowiek nie może sobie wypić piwka we własnym ogrodzie? Naprawdę posunął się za daleko! No i zobaczcie tylko, jak się podlizuje dziadkom. Chodzi mu o domek letniskowy. Zawsze chciał go przejąć. I w końcu go dostanie. Donosi do nich na mnie.

Nic nie powiedziałem. Wymieniliśmy tylko z Yngvem spojrzenia.

Jak tata mógł tak nisko upaść? Przecież Gunnar był jego młodszym bratem i utrzymywał porządek nie tylko we własnym życiu, również dzieci, które wychował, mieszkali razem z nim, miały do niego zaufanie, dostrzegałem to za każdym razem, gdy się z nimi spotykałem. Nie zauważałem w ich oczach nawet jednego przebłysku strachu, przeciwnie, lubiły swojego ojca. A powiedzenie tacie, że za dużo pije, również było na miejscu, bo kto inny miał mu to powiedzieć? Ja? Szkoda gadać. A domek letniskowy? Gunnar jako jedyny z braci z niego korzystał, i to od zawsze, w przeciwieństwie do taty kochał takie życie. Gdyby domek wpadł w ręce taty, natychmiast by go sprzedał.

Popatrzyłem na niego, siedział z rozmytymi oczami, z głupią miną, która pojawiała się u niego zawsze po pijaku.

– Chyba lepiej przełożmy oglądanie slajdów na jutro – zaproponował Yngve. – Późno się zrobiło.

– Jakich slajdów? – spytał tata.

– Z Chin – wyjaśnił Yngve.

– A, rzeczywiście.

Unni ziewnęła.

– Ojej. Muszę już iść do łóżka.

– Ja też zaraz przyjdę – oświadczył tata. – Jeszcze tylko chwilę porozmawiam z synami, którzy przyjechali tak daleko, żeby pobyc z swoim ojcem.

Unni zwichrzyła mu włosy i poszła do ich pokoju. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, wstał również Fredrik

– Dobranoc – powiedział.

– Ty też już się kładziesz? – spytał tata. – Przecież nie jesteś w ciąży!

Zaśmiał się, a ja spojrzałem na Fredrika, jednocześnie unosząc brwi, żeby mu pokazać, iż nie jest odosobniony w swoich ocenach.

– Mnie też chce się spać – włączyła się Kristin. – Albo to podróż, albo morskie powietrze. W każdym razie dobranoc.

Kiedy wyszła, zostaliśmy we trzech i nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Tata, patrząc przed siebie, dopił piwo, wziął następne. Ja nie byłem pijany, ale czułem działanie alkoholu.

– I tak tu sobie siedzimy – odezwał się do nas tata.

– No tak

– Jak za dawnych dobrych czasów. Pamiętacie Tybakken? Yngve i Karl Ove. Siedzieliście w kuchni i jedliście śniadanie.

– Jak moglibyśmy o tym zapomnieć – prychnął Yngve.

– Wiem. Ale mnie też nie było łatwo, musicie o tym wiedzieć.

– Wielu ludziom nie jest łatwo – stwierdził Yngve. – Jednak nie wyżywają się przez to na swoich dzieciach.

– To prawda – przyznał tata. Rozplakał się. – Tak się cieszę, że tu jesteście.

– Nie musisz chyba być taki sentymentalny. – Yngve wzruszył ramionami. – Nie możemy o tym porozmawiać zwyczajnie?

– Unni nosi teraz w brzuchu nowe życie. To będzie wasza siostra albo brat. Pomyślcie tylko!

Uśmiechnął się przez łzy, otarł je, opróżnił butelkę, skręcił sobie papierosa.

Spojrzałem na Yngvego. To było beznadziejne. Od taty nie dało się usłyszeć nic oprócz bredni.

– Idę spać – oświadczył Yngve.

Tata nie odezwał się po jego wyjściu. Nie chciałem, żeby został sam, więc posiedziałem jeszcze trochę, ale ponieważ nie zanosilo się na to, że wstanie albo coś powie, jedynie siedział i gapił się przed siebie, w końcu i ja poszedłem się położyć.

Następnego dnia po śniadaniu Yngve, Kristin, Fredrik i ja wyszliśmy do miasta, wędrowaliśmy przez pokryte śniegiem, spowite mrokiem jak w nocy ulice, po których hulał wiatr. Yngve i Kristin weszli do sklepu odzieżowego, a my z Fredrikiem usiedliśmy w kawiarni i zaczęliśmy rozmawiać. Trochę poprzeczaliśmy się nazwami zespołów, tworząc na tej podstawie coś w rodzaju platformy porozumienia, a potem rozważaliśmy, co właściwie można robić w tym opuszczonym przez Boga mieście. Przecież nie mogliśmy cały czas dusić się w mieszkaniu. Fredrik powiedział, że niedaleko jest pływalnia, zaproponował, żebyśmy się tam później wybrali. Kiedy wróciliśmy do domu, Unni stwierdziła, że to dobry pomysł. Naprawdę świetny, rzucił tata z głębi salonu. Nie byłem na pływalni od lat. Ty też chcesz z nimi iść? – spytała Unni. A co, uważasz, że nie powinienem?

Zorientowałem się, że Fredrikowi się to nie spodobało, ale pomyślałem, że może jakoś to będzie, do wieczora przecież jeszcze daleko.

Zawiozła nas Unni, bo tata zdążył już wypić parę piw. Poszliśmy z naszymi rzeczami do szatni, usiedliśmy na ławce.

Tata zaczął się rozbierać.

Odwrociłem się. Jeszcze nigdy nie widziałem, jak się rozbiera, nigdy nie przebywałem w tym samym pomieszczeniu, gdy wykonywał tak intymną czynność. Złożył spodnie, umieścił na nich zwinięte w kulkę skarpetki, na siedząco rozpiął koszulę.

Zrobiło mi się gorąco. Nie wiedziałem, gdzie mam podziąć oczy ani co ze sobą zrobić, bo zaczął zdejmować slipy. Przez kilka sekund był zupełnie nagi.

Jeszcze nigdy nie widziałem go nagiego. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy na moment zawadziłem o niego spojrzeniem.

Zerknął na mnie i leciutko się uśmiechnął.

Wszystko inne zniknęło, został tylko ten jego uśmiech przeznaczony dla mnie, trwający zaledwie moment, zanim się odwrócił i włożył kąpielówkę.

Ja też się przebrałem i razem weszliśmy na basen.

Po powrocie do domu zjedliśmy przygotowany przez Unni obiad, fondue, tata sam wypił butelkę czerwonego wina, a później Yngve i Kristin pokazywali slajdy z Chin. Unni pożyczyła rzutnik ze szkoły. Yngve i Kristin opowiadali i objaśniali, ale tata patrzył bez cienia zainteresowania. Widziałem, że Yngve się irytuje, i pomyślałem, że nie powinien się przejmować, mógł po prostu nie zwracać na taką uwagę.

W pewnej chwili Fredrik odpowiedział tacie ironicznie, tata się wkurzył, zaczął go strofować, przez co z kolei rozłościła się Unni i wyszła do drugiego pokoju, tata z trudem się dźwignął, ruszył za nią, krzyczeli na siebie, a my w salonie siedzieliśmy i udawaliśmy, że nic się nie dzieje. Coś uderzyło w ścianę, podniesiony głos przeszedł w krzyki i zaraz zapadła cisza. Tata wrócił, niczego

nie wyjaśnił, trochę się napił, nagle spojrzął na nas i uśmiechnął się tym swoim głupim uśmiechem, a potem, patrząc na Fredrika, oświadczył, że pozwala mu iść jutro na ryby, jeśli chce, ale jego synów nie interesuje żadne łowienie.

Ze wszystkich tych dni, które tata opisywał w swoich notatnikach, tylko ten jeden wyraźnie pamiętam, prawdopodobnie dlatego, że pierwszy i jedyny raz w życiu widziałem go nagiego.

W notatniku zapisał:

Piątek, 6 marca

*Razem z K.O. i Fredrikiem na basenie.*

*Dziwnie się znowu kępać. W domu fondue i slajdy z Chin. Potem rozmowa. Za dużo alkoholu. Sceny. Unni zła – zniszczyła budzik.*

*Przykra sprawa.*

Ostatniego wieczoru, który tam spędzaliśmy, zostałem w salonie sam, wszyscy już poszli spać. Palilem papierosy, zrobiłem sobie herbatę, przeczytałem trochę książkę, znaną na regale, wyjąłem z półki album z fotografiami, bo chciałem jeszcze raz obejrzeć tamte niepokojące zdjęcia, i na samym końcu odkryłem jakieś papiery. Wynikało z nich, że biuro podróży zebrało informacje ze szpitala, do którego trafił tata, i okazało się, że tamto omdlenie było spowodowane nadmiernym spożyciem alkoholu i leków.

Czytałem o tym, zdrętwiała ze zdumienia.

Leków?

Jakie leki mógł zażywać?

Odkryłem tam również inne dokumenty, niektóre miały związek z jakimś procesem, najwyraźniej toczącym się tej wiosny. Sprawa miała swój początek w incydencie z ochroniarzem na dworcu autobusowym w Kristiansand, i kiedy o tym przeczytałem, przypominałem sobie, że tata rzeczywiście o czymś takim wspominał, mówił, że został źle potraktowany, ale że się procesował, nie wiedziałem. W każdym razie przegrał z kretesem, zasądono nawet od niego zwrot kosztów postępowania.

Co on wyprawiał?

Odłożyłem album na miejsce, umyłem zęby i przeszedłem do wąskiego pokoiku, w którym miałem spać. Zrozumiałem się, zgasilem światło, położyłem głowę na poduszce.

Ale zasnąć nie mogłem.

Po jakimś czasie wstałem, poszedłem do salonu, usiadłem na końcu kanapy, przy którym stał stolik z telefonem, podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer do Hanne.

Od czasu do czasu zdarzało mi się dzwonić do niej w nocy. Gdyby telefon odebrał jej ojciec, zamierzałem się rozłączyć, ale to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Hanne miała drugi aparat zaraz za drzwiami swojego pokoju i zawsze odbierała pierwsza. Tym razem również tak się stało.

Rozmawialiśmy godzinę. Opowiedziałem jej trochę o tym, co tu się dzieje, że latem będę miał

siostrę albo brata i że nie potrafię sobie tego wyobrazić. Zrelacjonowałem jej zachowanie taty, związek Yngvego i Kristin.

Hanne słuchała, śmiała się, kiedy mówiłem coś zabawnego, dzięki czemu ciężar, który w sobie czułem, znacznie zelżał. W końcu zaczęliśmy mówić o innych rzeczach, o czekających nas egzaminach, o moim wagarowaniu, o jej chórze, o planach po skończeniu szkoły.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł tata.

– Muszę kończyć – rzuciłem do słuchawki i szybko ją odłożyłem.

– Co ty wyprawiasz, chłopcze? – krzyknął tata. – Wiesz, która jest godzina?

– Przepraszam. Starałem się mówić jak najciszej.

– A kto ci pozwolił korzystać z telefonu? Jak długo rozmawiałeś?

– Godzinę.

– Godzinę! Masz pojęcie, ile to kosztuje? Przecież zapłaciłem za twój bilet, żebyś mógł tu przyjechać! I to ma być podziękowanie? Wracaj do łóżka, natychmiast!

Spuściłem głowę, żeby nie zobaczyć moich łez, wstałem i lekko odwrócony bokiem, wróciłem do swojego pokoju. Serce mi waliło, lęk sparaliżował ciało, trząsnę się, kiedy zdejmowałem spodnie.

Odczekałem, dopóki nie nabrałem pewności, że zasnęła, i znów się wymknąłem z pokoju, znalazłem długopis, kawałek kartki i kopertę. Napisałem złośliwy liścik z przeprosinami za skorzystanie z jego drogiego telefonu i z informacją, że zostawiam tu pieniądze za tę rozmowę. Włożyłem stówę do koperty, zakleiłem ją, na wierzchu napisałem jego imię i wsunąłem ten list między książki, licząc, że najprawdopodobniej znajdzie go już po moim wyjeździe.

W domu rzadko myślałem o tacie, oprócz tych chwil, kiedy dzwonił albo w jakiś inny sposób o sobie przypominał. Ale i tak miałem swoje problemy. W coraz większym stopniu wiodłem podwójne życie. Wieczorami lubiłem siedzieć z mamą w domu, piliśmy herbatę, rozmawialiśmy, słuchaliśmy muzyki, oglądaliśmy telewizję albo pracowaliśmy osobno, ale lubiłem też wieczorami wychodzić, żeby się napić. Nie miałem prawa jazdy, a autobusy jeździły rzadko, mama jednak zawsze powtarzała, że może po mnie przyjechać, dla niej to żaden problem, wystarczy, żebym zadzwonił, nawet w środku nocy. Dzwoniłem, odbierała telefon, a godzinę później otwierałem drzwiczki jej samochodu i wsiadałem. Nie miała nic przeciwko temu, żebym wypił kieliszek, ale nie lubiła, łagodnie mówiąc, pijaństwa, więc kiedy się schlałem, musiałem jej unikać. Rozwiązywałem to, nocując u kogoś, albo mówiłem, że nie musi po mnie przyjeżdżać, bo wśród moich znajomych są też tacy z prawem jazdy, i czasami rzeczywiście ktoś mnie odwoził, a czasami wracałem taksówką albo nocnym autobusem. Nie czekała na mnie, miała do mnie zaufanie dzięki temu, co pokazywałem w domu. Będąc z nią, byłem prawdziwy. Ale byłem również prawdziwy, przebywając razem z Hilde. Byłem prawdziwy, upijając się z Espenem czy innymi kolegami z Katedralnej. Byłem prawdziwy, ale tych prawdziwości nie dawało się ze sobą połączyć.

Ukrywałem przed mamą także inne rzeczy. Na przykład wagarowanie. Zdarzało mi się to

coraz częściej, właściwie więcej nie było mnie w szkole, niż w niej byłem. Któregoś dnia mnie nakryła. Nie pojechałem do szkoły, zostałem w domu i odpoczywałem, a ona wróciła wcześniej niż zwykle i doszło do nieprzyjemnej rozmowy. Powiedziała, że muszę chodzić do szkoły, bo to ważne, a tego, co ważne, powinienem pilnować. Powiedziała, że w dzieciństwie byłem trzymany krótko, za krótko, dlatego teraz stara się dać mi swobodę, ale, niestety, nadużył wam jej. Mówiła o normach, o tym, że muszę wpływać ze mnie. Oświadczyłem, że szkoła nie jest najważniejszą rzeczą w życiu, ona na to, że owszem, ale ponieważ teraz chodzę do szkoły, to muszę ją skończyć i mam więcej nie wagarować. Poprosiła, żebym jej to obiecał. Czy mogłem? Owszem, mogłem. Obietnicy nie dotrzymałem, ale od tej pory ukrywałem się już lepiej. Miałem bardziej niż wyrozumiałego wychowawcę, który wbił sobie do głowy, że z jakiegoś powodu jest mi trudno. Na którejś szkolnej wycieczce usiadł obok mnie i powiedział: Wiem, że jest ci teraz trudno, Karl Ove, daj znać, jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić lub jeśli będziesz chciał porozmawiać. Uśmiechnąłem się, zapewniłem, że się zgłoszę, przez kilka sekund łyzy były już blisko, bo nie spodziewałem się takiej troski, ale zaraz mi przeszło. Przecież wagarowałem nie dlatego, że było mi trudno, przeciwnie, po prostu bardzo lubiłem się włóczyć, spotykać z ludźmi w kawiarniach, zaglądać do radia, kupować płyty albo tylko leżeć w domu i czytać. Już dawno podjąłem decyzję, że nie będę się dalej kształcił, bo nauczyliśmy się samych bzdur, a przecież w gruncie rzeczy chodziło o jedno, o to, żeby żyć, żyć tak jak się chce, czyli używać życia. Niektórzy najbardziej go używali, pracując, inni – nie pracując. Owszem, rozumiałem, że trzeba mieć pieniądze, a to oznaczało, że muszę pracować, ale nie przez cały czas i nie z czymś, co pozbawiałoby mnie wszelkich sił i wżerało się w moją duszę, nie zamierzałem skończyć jak ci podstarzali idioci, którzy pilnowali swoich żywopłotów i ukradkiem zerkali na podwórko sąsiada, żeby sprawdzić, czy on przy padkiem nie ma lepszych rzeczy, będących wyznacznikami statusu.

Tego nie chciałem.

Ale pieniądze stanowiły problem.

Mama wzięła dodatkową pracę, żeby jakoś związać koniec z końcem. Oprócz tego, że wykładała w szkole pielęgniarskiej, to brała jeszcze dyżury w Szpitalu Psychiatrycznym w Eg w weekendy i ferie. To chyba dom aż tyle kosztował. Żeby spłacić tatę, wzięła duży kredyt. Ja tej trudnej sytuacji nie odczuwałem, zarabiałem w gazecie i miałem alimenty od taty, a kiedy już wszystko wydałem, zawsze mogłem dostać trochę od mamy, więc nawet nieźle mi się powodziło. Zdarzało się, że mama krytykowała moje priorytety, bo na przykład w jedno piątkowe popołudnie potrafiłem kupić trzy nowe płyty, a jednocześnie chodziłem w butach z oderwaną podeszwą.

– Ale to przecież tylko rzeczy materialne – tłumaczyłem – to jedynie przedmioty, a muzyka to coś zupełnie innego. To sprawa ducha, do diabła! Coś, czego człowiek naprawdę potrzebuje. **N a p r a w d ę.** Dlatego muzyka musi mieć priorytet. Wszyscy wyznaczają sobie priorytety. Wszyscy chcą mieć nowe kurtki, nowe buty, nowe samochody, nowe domy, nowe przyczepy kempingowe, domki letniskowe i łodzie. A ja tego nie chcę. Kupuję książki i płyty, ponieważ one mówią, o co w tym wszystkim chodzi, co to znaczy być człowiekiem tu, na Ziemi. Rozumiesz?

– Tak tak, w pewnym sensie masz rację, ale czy chodzenie z oderwaną podeszwą nie jest bardzo niewygodne? Za pięknie też nie wygląda.

– No to co według ciebie mam zrobić? Jestem splukany. Tym razem wyższy priorytet miała muzyka.

– Zostało mi trochę w tym miesiącu. Możesz sobie kupić nowe buty. Tylko obiecaj, że nie wydasz na nic innego.

– Obiecuję.

Z jej gabinetu w szkole pielęgniarskiej poszedłem prosto do miasta. Kupiłem nowe adidasy i przeceniony longplay.

Na Wielkanoc drużyna piłkarska wybierała się do Szwajcarii na obóz treningowy, ja też oczywiście chciałem jechać, ale wyjazd był dość drogi, więc mama powiedziała, że niestety, nie pojedę. Żałowała, że tak jest, ale nie było nas na to stać.

Na tydzień przed wyjazdem położyła przede mną pieniądze.

– Mam nadzieję, że nie jest za późno? – spytała.

Zadzzwoniłem do naszego szkoleniowca, powiedział, że mogę jechać.

– Świetnie – ucieszyła się mama.

W ostatnich dniach przed wyjazdem dokończyłem artykuł o Prinsie, który przygotowywałem już od dawna, jego nowa płyta, *Sign o' the Times*, była przecież fantastyczna, chciałem, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Wyjechalśmy. Autokarem przez Danię i Niemcy. Nastrój był świetny, bo po drodze piliśmy kupione w sklepie bezcłowym piwo, a kiedy dotarliśmy do hotelu, Bjørn, Jøgge, Ekse i ja wyskoczyliśmy, chociaż autokar pojechał dalej, przez granicę do Włoch, bo w programie był mecz włoskiej Serie A. My woleliśmy jednak pić w barze. Kiedy reszta wróciła około dziesiątej wieczorem, byliśmy we wspaniałych humorach, a oni wszyscy, co do jednego, postanowili wcześniej iść spać. Mieszkałem w pokoju z Bjørnem, na piątym piętrze, bardziej luksusowym niż jakikolwiek inny pokój, w którym nocowałem wcześniej, z niedużymi, zgrabnymi meblami, lustrem i dywanem na podłodze. Położyliśmy się na łóżkach z piwami w rękę, dochodziła dopiero jedenasta, więc padła propozycja, abyśmy wyszli rozejrzeć się po mieście. Teoretycznie o dziesiątej zaczynała się cisza nocna, a o jedenastej już wszyscy powinni leżeć w łóżkach, no ale przecież nie wystawiano straży. Odczekaliśmy jeszcze chwilę, nie chcieliśmy ryzykować spotkania z kimkolwiek na korytarzu, a potem wyszliśmy. Złapaliśmy taksówkę, wydukaliśmy, że chcemy jechać do centrum, powiozła nas przez obce ulice, przesuwając się po nas miękkie światło mijanych latarni. Kierowca zatrzymał się przy jakimś placu, zapłaciliśmy, wysiedliśmy i ruszyliśmy przed siebie. Wkrótce natknęliśmy się na duży budynek, z którego płynęła muzyka. Na zewnątrz stali ochroniarze, ale nas przepuścili. W środku były dyskoteki, bary, olbrzymie kasyno i scena, na której piękne kobiety rozbrajały się do naga, a inne, bardzo skąpo ubrane i równie piękne, krążyły wśród publiczności.

Bjørn i ja popatrzyliśmy na siebie. Cóż to za fantastyczne miejsce?

Chodziliśmy po nim, przyglądaliśmy się i piliśmy, na chwilę stanęliśmy przed sceną i oglądaliśmy striptiz. Ku własnemu przerażeniu zorientowaliśmy się, że skąpo ubrane dziewczyny przechadzające się między stolikami to te same, które przed chwilą tańczyły na

szenie, bo obserwowaliśmy taniec jednej, a ona zaraz koło nas przeszła. Poszliśmy na dyskotekę, tam chodziliśmy od baru do baru, pokręciliśmy się po sali z ruletką, gdzie wszyscy mężczyźni byli w eleganckich garniturach, a kobiety w wieczorowych sukniach, w końcu znaleźliśmy się przed wielkimi podwójnymi drzwiami, za którymi w głębi zobaczyliśmy hol, między grupkami ludzi zajętych rozmową krążyli kelnerzy w czarno-białych strojach, roznoszący na tacach kieliszki z winem i drobne przekąski. Z nikim nie rozmawialiśmy, tylko piliśmy ostro, wyszliśmy stamtąd o wpół do czwartej rano i sześć godzin później, półprzytomni, stawiliśmy się na pierwszy trening. Przespaliśmy się ze dwie godziny przed następną turą treningową, zjedliśmy obiad, wypiliśmy kilka piw w barze i znów zaczęliśmy rozglądać się za taksówką, która by nas zawiozła do tego przypominającego pałac miejsca, gdzie znowu krążyliśmy jak we śnie do następnego ranka. Później pojechaliśmy w Alpy na narty i również to miało w sobie coś ze snu, bo niebo było zupełnie niebieskie, słońce świeciło i wszędzie, gdzie tylko spojrzeliśmy, widać było ubrane na biało góry, a po kilku minutach na wyciągu z nartami wiszącymi w powietrzu nagle otoczyła nas kompletna cisza. Jakbyśmy się znaleźli w zupełnie innej rzeczywistości. Dały się słyszeć jedynie nide odgłosy wyciągu blisko nas, nic poza tym. Poczułem ogromną radość, bo ta cisza była ogromna, tak jak ogromne jest morze, a jednocześnie, jak w każdej radości, tkwił w niej cień bólu. Cisza na takiej wysokości, po brzegi wypełniona pięknem, kazała mi zobaczyć samego siebie, czy raczej zdać sobie sprawę z własnego istnienia; nie chodziło w tym o moją psychikę czy moralność, nie miało nic wspólnego z moimi cechami, tylko o to, że się tam znalazłem, że moje ciało sunęło do góry, że tam byłem i to wszystko przeżywałem, no a potem miałem umrzeć.

Gdy stamtąd wracaliśmy, spałem w autolarze. Obudziłem się z bolącą głową. Wypiłem w barze kilka piw, zjadłem obiad, wypiliśmy jeszcze kilka, bo tego wieczoru wszyscy wychodzili się zabawić – niedaleko hotelu była dyskoteka, w której zostaliśmy do pierwszej. Tańczyłem, piłem i bratałem się z każdym, kogo napotkałem. W powrotnej drodze weszliśmy z Bjørnem na jakiś dach, a nie był to byle jaki dach, tylko dach szwajcarski, w górę wznosiły się kolejne wieżyczki, wspinaliśmy się, wdrapywaliśmy, pociliśmy, aż wreszcie znaleźliśmy się na szczycie, mniej więcej trzy dziesięć metrów nad parkingiem, na którym zebrała się już grupa ludzi. Stanęliśmy na drżących nogach i głośno krzyczeliśmy w noc, a potem na czworakach zaczęliśmy zniżać. Zostało nam już tylko kilka metrów, gdy nadbiegło dwóch mężczyzn z latarkami. Snopy światła podskakiwały w półmroku. Krzyknęli: *Polizei!*, i zatrzymali się pod nami, jeden wyciągnął i podświetlił identyfikatory. To Derrick zachichotałem. Zeskoczyliśmy. Zjawił się nasz szkoleniowiec, mówił trochę po niemiecku i wyjaśnił sprawę policjantom, którzy wprawdzie popatrywali na nas z niedowierzaniem, ale jednak w końcu nas puścili. Na zboczu prowadzącym do naszego hotelu zrównał się z nami jeden z chłopaków z drużyny seniorów. Powiedział, że jesteśmy bardzo odważni i że prawdziwe z nas twardziele, bo co wieczór wychodzimy pić, no i jeszcze wdrapaliśmy się na ten dach, naprawdę nas podziwiał, tak mówił. Twierdził, że nie jest taki twardy jak my, i właśnie stąd ten jego podziw.

Użył właśnie tego słowa. Podziw.

Kiedy w końcu się zatrzymał, żeby zacząć na pozostałych, powiedziałem Bjørnowi, że w ogóle bym taknie pomyślał. Pewnie, że nie, przyznał Bjørn. Naprawdę nieźle, że nas podziwiał, stwierdziłem. Bjørn spojrzał na mnie. Ale jazda, jak ci policjanci się zjawili i świecili na te swoje



znaczkę, przypominałem. *Polizei! Polizei!* Zaśmiewaliśmy się jeden przez drugiego. Nagle uświadomiłem sobie, że tamten chłopak wiedział, iż co noc wychodzimy pić. To mogło oznaczać, że wszyscy o tym wiedzieli, prawda? Ale jakie to miało znaczenie? Najgorsze, co mogło nas spotkać, to wykluczenie z drużyny, no ale przecież to była tylko piąta liga, a zważywszy na czekające nas matury, tak naprawdę nic a nic nas to nie obchodziło.

Po powrocie do hotelu wszyscy zebrali się w naszym pokoju. Niektórym seniorom w tym wyjeździe towarzyszyły dziewczyny, dwie z nich do nas dołączyły. Zobaczyłem, że Bjørn rozmawia z jedną, Amandą, tą, która chodziła z Jøranem. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat. Naprawdę próbował ją poderwać? Tutaj?

Tak tak było. Kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, on też zniknął, a ja zostałem sam. Położyłem się na łóżku i zasnąłem w ubraniu, ale już chwilę później Bjørn zaczął mnie szarpać.

– Zaraz tu przyjdzie Amanda – powiedział. – Możesz wyjść? Tylko na pół godziny.

Wstałem, zamroczony.

– Dobrze. – Podszedłem do okna, otworzyłem.

– Tędy wychodzisz? To przecież piąte piętro. Zapomniałeś?

– Nie, nie zapomniałem. Będzie okej.

Pod oknem przez całą długość budynku ciągnął się występ, szeroki mniej więcej na długość moich stóp. Dwa metry nad nim biegł następny. Stałem na tym dolnym i przytrzymując się górnego, zacząłem malusieńkimi kroczkami przesuwać stopy. Bjørn obserwował mnie, wychylił przez okno.

– Nie rób tego – powiedział. – Wracaj.

– Ty będziesz z Amandą, a ja sobie tutaj postoję – oświadczyłem. – Za pół godziny wrócę.

Jeszcze przez moment mi się przyglądał, w końcu zamknął okno. Spojrzałem w dół. Przed wejściem była duża fontanna, wokół niej otwarty plac, na którego skraju stało kilka zaparkowanych samochodów. Duże murowane ogrodzenie oddzielało teren hotelu od drogi. Nigdzie żywej duszy, ale nic w tym dziwnego, bo na pewno było już po trzeciej.

Powoli przesunąłem się do okna sąsiedniego pokoju. Zastony były zaciągnięte, nic nie mogłem zobaczyć. Wróciłem więc, zatrzymałem się tuż przy naszym oknie, przytknąłem głowę do szyby i zajrzałem. Obściskiwali się na łóżku Bjørna. Ze splecionymi nogami, ręka Bjørna przesuwała się w górę i w dół po jej udzie. Wyprostowałem się, znów zrobiłem kilka kroków w bok, spojrzałem w dół, było tak samo pusto. Jak długo już tam stałem? Dziesięć minut? Oderwałem jedną rękę od górnego występu, w kurtce poszukałem zapalniczki i papierosów, udało mi się jednego wyciągnąć, włożyć do ust i przywalić, i nawet się przy tym nie zachwiałem. Kiedy wyrzucony niedopałek przez moment mrugał jak czerwone oczko w dole na asfalcie, przesunąłem się pod okno i zapukałem w szybę. Bjørn się poderwał, Amanda wstała, Bjørn zbliżył się do okna, ona wyszła. Bjørn się odwrócił, jakby chciał za nią biec, ale się opanował i mi otworzył.

– Jeszcze pięć minut! Nie mogłeś mi dać jeszcze pięciu minut?

– Skąd mogłem wiedzieć? Z tego miejsca, w którym stałem, nie było widać, jak to się rozwija.

– Podglądałeś?

– No co ty? Żartowałem. Ale chciałbym już iść spać. Moim zdaniem ty też powinienes się

położyć. Czeka cię ciężki dzień, przeprawa z Jøranem.

Bjørn prychnął.

– On jest zbyt zadufany w sobie, żeby pomyśleć, że Amanda w ogóle mogłaby spojrzeć na kogoś innego.

– Uważam, że on jest w porządku.

– Ja też. Ale Amanda jest jeszcze fajniejsza.

Roześmiał się.

Położyłem się i natychmiast zasnąłem, nie znalazłszy odpowiedzi na tajemnicze, trochę dokuczliwe pytanie: Dlaczego Amanda w ogóle chciała Bjørna? Co on takiego zrobił, że się nim zainteresowała?

Ostatniego dnia w Lucernie, po obiedzie, autokar z zapuszczonym silnikiem czekał na nas przed hotelem. Wszyscy mieliśmy jechać zabawić się w mieście. Miejsce zabawy utrzymywano w tajemnicy, ale oczywiście okazało się, że to nasze kasyno. Podczas gdy inni juniorzy łazili z otwartymi gębami, Bjørn i ja jakdwaj światowcy usiedliśmy przy stoliku w lokalu ze striptizem i popijaliśmy białe wino.

– Dała mi dzisiaj swój numer telefonu – oznajmił Bjørn. – Powiedziała, że jak wrócimy, muszę do niej zadzwonić.

– Dlaczego, u diabła, to robi? Zerwała z Jøranem?

Bjørn pokręcił głową.

– Skąd. Ciągłe są razem. Nie cieszysz się ze względu na mnie?

– Pewnie, że się cieszę, ona jest fajna.

– Fajna? Cudowna! Fantastyczna i cudowna. No i ma dwadzieścia cztery lata!

Dopiliśmy wino i poszliśmy się rozejrzeć. Po pewnym czasie Bjørn zniknął mi z oczu, zacząłem lazić sam. Stałem przy drzwiach do dużego holu, po chwili, wiedziony nagłym impulsem, wszedłem. *What is going on here?* – spytałem niedużego łysego faceta w okularach. *It's a conference*, odpowiedział. *For who?* – chciałem wiedzieć. *Biologists. Okey*, powiedziałem, *interesting*. Odsunął się, a ja się rozejrzałem. Przy wysokich stolikach stali ludzie, ale było ich o wiele mniej niż za pierwszym razem. Na jednym ze stolików zobaczyłem zielono-białą plakietkę z nazwiskiem. Przypiąłem ją do klapy marynarki i ruszyłem dalej. W głębi znajdowała się duża sala konferencyjna, wznoszące się amfiteatralnie rzędy foteli, na środku mównica. Ktoś właśnie przemawiał, a na płótnie za jego plecami wyświetlano slajdy. Zajęta była trochę ponad połowa miejsc. Zszedłem kilka rzędów niżej, potem ruszyłem w głąb rzędu. Ludzie, żeby mnie przepuścić, wstawali jak w kinie. W końcu usiadłem, skrzyżowałem nogi i popatrzyłem na mówcę. No proszę, powiedziałem sam do siebie, i co ty na to? *How very interesting!* Po dwudziestu minutach przyglądania się w równym stopniu publiczności co przemawiającemu, którego trzeszczący w mikrofonie głos wypełniał całe audytorium, cały czas przeszkadzając jak dokuczliwa myśl, wstałem i wróciłem na dyskotekę. Okazało się, że większość juniorów ogląda striptiz. Ja też tam poszedłem. Jøgge natychmiast do mnie podbiegł.

– Pożyczysz mi pieniądze?

- A ile ci potrzeba? Mam trochę, ale nie za dużo.
- Tysiąc. Masz tyle?
- Na co ci tysiąc koron?
- Właściwie potrzebuję dwa tysiące. Tyle kosztuje szampan.
- Dwa tysiące za szampana? Zwariowałeś?
- Jeśli postawisz któreś z tych dziewczyn drogiego drinka, to wolno ci będzie z nią porozmawiać. A jeśli postawisz jej szampana, to będziesz mógł z nią wyjść.
- I ty chcesz tak zrobić?
- Tak do diabła, jeśli tylko będę miał pieniądze! Masz czy nie masz? – Rozejrzał się. – No dalej, tak cię proszę! Potrzebne mi dwa tysiące. Jeszcze nigdy nie spałem z żadną dziewczyną. Mam osiemnaście lat, a nigdy nie uprawiałem seksu. Nie tak jak wy! A to kosztuje dwa tysiące. Daj mi, proszę!
- Padł przede mną na kolana i złożył dłonie w błagalnym geście.
- A najgorsze, że mówił z całą powagą.
- Tak bym chciał przelecieć dziewczynę. O niczym innym nie myślę. A tutaj mogę. Nie obchodzi mnie, że to dziwki. Przecież one wszystkie są takie śliczne! Proszę was! Okażcie mi litość! Harald! Else! Bjørn! Karl Ove!
- Nie mam aż tyle – oświadczyłem. – Może by wystarczyło na krótką rozmowę...
- Mówię serio! – Jøgge wstał. – To naprawdę szansa dla mnie! Przecież w Kristiansand nie ma takich miejsc.
- Sorry, Jøgge. Chętnie bym ci pomógł – powiedział Bjørn.
- Ja też – dołączył Harald.
- Niech to szlag trafi! – zaklął Jøgge.
- Musisz posłużyć się starą metodą – podsunął Bjørn. – Poderwij kórąś. Przecież tutaj jest pełno dziewczyn.
- Łatwo ci tak mówić – westchnął Jøgge.
- Daj spokój. Chodź z nami! – Bjørn pociągnął go za sobą. – Zobaczmy, co się jeszcze wydarzy.

Takiego odurzenia jak tej nocy nie czułem nigdy wcześniej. Miałem wrażenie, że w moich żyłach płynie zielona, chłodna rzeka. Mogłem wszystko. Gdy staliśmy przy barze, zwróciłem uwagę na pewną dziewczynę na parkiecie, młodszą ode mnie o rok albo dwa. Miała jasne włosy i śliczną, wręcz niewiarygodnie śliczną twarz. Gdy nasze spojrzenia skrzyżowały się po raz drugi, już się nie wahałem, tylko zszedłem po dwóch stopniach na parkiet. W tej samej chwili utwór, przy którym tańczyła, skończył się i dziewczyna wraz z trzema innymi ruszyła w stronę ściany. Ja za nimi. Zatrzymałem się przed nią, powiedziałem, że zwróciłem na nią uwagę, bo wyglądała fantastycznie. *You looked amazing*, powtórzyłem. Uśmiechnęła się, podziękowała i przyjrzała mi się, lekko przechylając głowę. Spytałem, czy jest Amerykanką. Okazało się, że tak. Wobec tego może mieszka tu, w tym mieście? Nie, mieszka w Maine, wszystkie są z Maine. A ja skąd jestem?

*A small barbaric country up north, odparłem. We are in fact the first generation who knows how to eat with fork and knife. Odwróciłem się i skinieniem głowy wskazałem na chłopaków z drużyny, którzy obserwowali mnie od baru. I'm with them, dodałem. We are football players, on a training camp here. Do you want to dance?*

Kiwnęła głową.

Chciała!

Wyszliśmy na parkiet, objąłem ją. Bliskość jej ciała wywołała w mojej głowie elektryczną burzę. Kręciliśmy się w kółko, momentami mocniej się do niej przyciskałem, kiedy indziej odsuwałem ją od siebie i patrzyłem jej w oczy. *What's your name?* – spytałem szeptem. *Melody*, odszepnęła. *Melody?* – powtórzyłem. *No, Melanie!* – Uśmiechnęła się.

Po skończonej piosence podziękowałem jej za taniec i wróciłem do chłopaków, którzy ciągle popijali w barze.

– Jak ci się to udało? – spytał Bjørn.

– Po prostu podszedłem i poprosiłem ją do tańca. Nie miałem pojęcia, że to takie proste. To niesamowite.

– Musisz do niej znów podejść, nie możesz tak tu stać.

– Podejdę, tylko jeszcze trochę się napiję. Szlag by trafił, to nasz ostatni wieczór!

O trzeciej miał czekać podstawiony autokar. Dochodziło wpół do, nie miałem czasu do stracenia. A mimo to zwlekałem. Ciągłe ją czułem, to było coś w rodzaju fantomowej radości, jej piersi, te jej piersi, ich dotyk na ciele, lekki, drażniący nacisk, wszystko to miałem w sobie, a gdybym znów do niej podszedł, cała ta przyjemność rozwiłaby się w zupełnie nowej sytuacji, która być może wcale tak dobrze by się nie skończyła. Wypiłem dwa kieliszki wina jeden po drugim i znów ruszyłem w stronę tych dziewczyn. Uśmiechnęła się na mój widok. Chciała tańczyć. Tańczyliśmy. Później staliśmy w łacie i rozmawialiśmy. Chłopaki kierowały się już na zewnątrz, więc powiedziałem jej, że muszę iść. Zaproponowała, że mnie odprowadzi. Wziąłem ją za rękę, zatrzymaliśmy się przed wejściem, o rzut kamieniem od autokaru, który już czekał z włączonym silnikiem. Gdzie mieszkasz? – spytałem. Wymieniła nazwę hotelu. Nie, nie tutaj, w Maine. Chciałbym do ciebie napisać. Mogę? Podała mi adres. Nie miałem nic do notowania. A ona? Też nie. Chodźże już, wołano od strony autokaru, jedziemy! Nauczę się tego adresu na pamięć, oświadczyłem. Powtórz go jeszcze! Powtórzyła, potem ja dwa razy. Dostaniesz ode mnie list, obiecałem. Kiwnęła głową i popatrzyła na mnie. Nachyliłem się, pocałowałem ją, objąłem i mocno przytuliłem. Muszę już iść. Miewaj się dobrze w tym swoim barbarzyńskim kraju, powiedziała z uśmiechem. Przed drzwiami autokaru jeszcze się zatrzymałem, pomachałem do niej i wsiałem.

Wszyscy, którzy już siedzieli w środku, bili mi brawo. Kłaniałem się to w lewo, to w prawo, w końcu usiadłem obok Bjørna. Pijany, radosny, a jednocześnie zagubiony, pomachałem jej jeszcze raz, kiedy autokar ją mijał.

– Cholera, że też to się nie zdarzyło pierwszego wieczoru – powiedziałem.

– Dała ci swój adres?

– Jasne. Nauczyłem się go na pamięć. Ona mieszka w...

Zapomniałem. Za skarby świata nie mogłem sobie przypomnieć.

– Nie zapisałeś? – spytał Bjørn.

– Nie. Zaufałem pamięci.

Roześmiał się.

– Dureń! – rzucił.

W pokoju urządziliśmy dogrywkę. Bjørn niechcący zniszczył lampę, obracał się z butelką w rękę i uderzył nią w szklany abażur, a ten się zbił. Ktoś inny, nie wiem kto, stłukł drugą z czystej złośliwości. Wtedy zdjąłem ze ściany wielki obraz, który irytował mnie przez cały tydzień, i wyrzuciłem go przez okno. Z hukiem rozbił się na asfalcie pięć pięter niżej. W pokoju pod nami zapaliło się światło. Cholera, jak to miało sens? – spytał Bjørn. To żaden problem, stwierdziłem, po prostu weźmiemy jakiś obraz z korytarza i powiesimy na tym samym miejscu. W życiu się nie zorientują. A co z tym na dole? Zaraz go usunę, oświadczyłem. I tak zrobiłem. Zjechałem windą na parter, minąłem pustą recepcję, wyszedłem na dziedziniec, pozbierałem wszystkie kawałeczki, jakie mogłem znaleźć, i ułożyłem je w fontannie tuż przy murku, żeby było je widać dopiero z bliska. Gdy wracałem do pokoju, zdjąłem ze ściany korytarza jeden z obrazów, które tam wisiały. Incydent musiał jednak otrzeźwić pozostałych, bo kiedy wróciłem, pokój był pusty, tylko Bjørn leżał na plecach z rozdziawioną gębą i zamkniętymi oczami. Ja też się położyłem i zaraz zasnąłem.

Następnego dnia rano musieliśmy się spakować i zaraz po śniadaniu wyjeżdżaliśmy. Kiedy ładowaliśmy bagaże do autokaru, zjawił się dyrektor hotelu, chciał wiedzieć, kto mieszkał w pokoju pięćset cztery. To był pokój mój i Bjørna, więc podeszliśmy do niego, a wtedy ten mały człowieczek tak się wściekł, że dosłownie zaczął przed nami podskakiwać. *People like you should not be allowed to live in a hotel!* – wrzeszczał. *You have to pay for this!* To była bardzo nieprzyjemna scena. Przepraszaliśmy, mówiliśmy, że nie chcieliśmy zrobić nic złego i że zapłacimy. Mam wrażenie, że nawet się przed nim ukloniłem, wszyscy inni tylko się zaśmiewali. Podeszł nasz szkoleniowiec, Jan, powiedział, że się tym zajmie, a właściciel dostanie sowite zadośćuczynienie za szkody, bardzo przeproszał, tłumaczył, że jesteśmy młodzi i w takim wieku wiele może się zdarzyć. Znow się ukloniliśmy i w końcu wsiedliśmy do autokaru. *People like you should not be allowed to stay in a hotel!* – krzyknął jeszcze raz dyrektor. Jan wyciągnął portfel, wręczył mi plik banknotów, autokar ruszył, Jan wsiadł i powoli wyjechaliśmy na drogę. Dyrektor hotelu długo patrzył za nami wzrokiem pełnym nienawiści.

Po powrocie do domu szybko wpadłem w swoje dawne ja, a raczej to ono wpadło we mnie. W szkole, gdzie mówiło się niemal wyłącznie o przygotowaniach do matury, snułem się jak cień po korytarzach, a na lekcjach wypełniałem zeszyty bazgrołami. Wyjazd do Szwajcarii był czymś w rodzaju pochodu triumfalnego i miałem nadzieję, że okres przedmaturalnych zabaw<sup>[6]</sup>, który był tuż za progiem, będzie podobny. Pracę roczną z wiedzy o społeczeństwie przygotowałem w domu w ciągu jednej nocy, było to dwudziestostronicowe porównanie rewolucji rosyjskiej z rewolucją w Nikaragui, którą interesowałem się już od kilku lat. Napisałem też list do hotelu w Szwajcarii z prośbą o podanie mi, jeśli to możliwe, adresu osoby, która tam mieszkała, bo

przypadkiem znalazł się u mnie jej portfel, a chciałbym go zwrócić, był własnością młodej Amerykanki o imieniu Melanie i nieznanym mi nazwisku, wiedziałem jednak, że w Wielkanoc mieszkała właśnie w tym hotelu.

Pod koniec kwietnia urządziłem imprezę w domu. Jako redaktor gazetki maturzystów – funkcję tę dzieliłem z Hilde – powinienem w zasadzie znaleźć się w zarządzie komitetu organizacyjnego obchodów, z tego co wiedziałem, tak było zawsze, ale z jakiegoś powodu nas pominięto. Może dlatego, że ani Hilde, ani ja nie za bardzo pasowaliśmy do galerii typów, które tam rządziły, albo od razu nie zajęliśmy należnych nam miejsc z odpowiednią oczywistością, nie wiedziałem. W każdym razie w pewien sobotni wieczór zaprosiłem do domu cały zarząd, a także tych maturzystów, którzy jeździli naszym samochodem. Mama miała nocować u przyjaciółki, wybierała się tam po południu, więc przykazałem wszystkim, aby pod żadnym pozorem nie zjawiali się wcześniej niż o szóstej. Tymczasem czerwona furgonetka podjechała pod dom już koło trzeciej. Siedział w niej Christian z dwiema dziewczynami. Powiedział, że chce tylko zostawić piwo. No przecież mówiłem, że o szóstej. Wiem, odparł, ale już tu jesteśmy. Gdzie mogę wyładować? Dziesięć minut później w kuchni stał stos skrzynek, sięgający od podłogi do sufitu. Sufit wprawdzie był dość nisko, ale mamie, z którą Christian ledwie się przywitał, wnosząc w objęciach pierwszą skrzynkę, niezbyt się to spodobało. Co to ma znaczyć? – spytała po ich odejściu. Zamierzacie wypić to wszystko? Chyba nie planujesz urządzić w domu pijaństwa? Na to się nie zgadzam. Spokojnie, powiedziałem. To przecież naturalna impreza. Wszyscy mają skończone osiemnaście lat. Na pewno sporo się będzie piło. Ale biorę odpowiedzialność za wszystko. Będzie dobrze, obiecuję. Pewien jesteś? – spytała, patrząc mi w oczy. Przecież tego piwa wystarczy dla setki ludzi! Ile tu właściwie jest skrzynek? Spokojnie, powtórzyłem. Na imprezach naturalnych sporo się pije. Właśnie w tym cała rzecz. Cała? – zapytała. No, może nie cała. Ale prawie. Wiem, że ci się to nie podoba, i przepraszam, że tak się stało, ale obiecuję, że skończy się dobrze. I tak już za późno na odwoływanie, stwierdziła, ale gdybym wcześniej wiedziała to, co wiem teraz, nigdy bym ci nie pozwoliła. Musisz mi obiecać, że sam nie będziesz dużo pił. Wziąłeś na siebie odpowiedzialność, obiecałeś, że wszystko będzie dobrze. Jasne, jasne, zapewnilem.

Zjedliśmy obiad przy żółtej wieży ze skrzynek z piwem, mama wsiała do samochodu i pojechała do miasta, ja nastawiłem płytę, wziąłem sobie jedną butelkę i położyłem się na kanapie, czekając, aż przyjdą inni.

Kilka godzin później całe podwórce było zastawione czerwonymi samochodami. Wszędzie snuli się rozwrzeszczani maturzyści w czerwonych kombinezonach, dziewczyny i chłopcy, wszyscy z butelkami piwa w rękach. Z aut dudniła muzyka, a w salonie sprzęt stereo był ustawiony tak głośno, że dźwięki aż się zniekształcały. Zjawilo się trzy albo i cztery razy więcej osób, niż zapraszałem.

Około pierwszej w nocy impreza osiągnęła punkt kulminacyjny. Christian, wrzeszcząc, kopniakiem zrobił wielką dziurę w drzwiach do łazienki, Trond w kuchni wybijał rytm do muzyki dwoma ogromnymi nożami, walił ostrzami, a każde uderzenie zostawiało ślad w drewnianym blacie. Ludzie rzygali przed wejściem do salonu, na żwirze między samochodami, w łóżku w pokoju Yngvego. Ktoś na stojąco pieprzył się za krzakiem bzu, inni podskakiwali w rytm muzyki, ryjąc ile sił w płucach. Ludzie stali na maskach i na dachach samochodów, nagi chłopak

wywiłał nad głową swetrem. Chociaż postanowiłem niczym się nie przejmować i udało mi się nawet upić, cały czas tkwiło we mnie przerażenie, które regularnie przebijało się do świadomości, powtarzałem wtedy w myślach: „nie, o nie”, ale niewiele to pomagało, bo zaraz wciągały mnie kolejne z najprzeróżniejszych zdarzeń rozgrywających się wokół mnie.

Około trzeciej impreza zaczęła dogasać. Ktoś jeszcze tańczył, ktoś się całował, niektórzy już spali rozciągnięci na stole, skuleni w jakimś kącie albo pod krzakiem. Ja na kanapie przed telewizorem obściskywałem się z jakąś dziewczyną, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, siedziała tam, ja się przysiadłem i po prostu zaczęliśmy się całować. Wszystko w tej dziewczynie było ciemne, nawet ubranie. Jako jedyna tutaj nie miała czerwonego kombinezonu, tylko czarną bluzę, czarną spódnicę, czarne rajstopy. Pójdiesz ze mną do pokoju? – spytałem szeptem. Kiwnęła głową. Dużo już wypilem i sądziłem, że może dzięki temu będzie inaczej, bo olewałem już wszystko, niczym się nie denerwowałem, więc wyjąłem z kieszeni klucze i otworzyłem drzwi do swojego pokoju, cały czas ją obejmując, a ona zdjęła małą torebkę przewieszoną na ukoś przez ramię i położyła się na łóżku. Na łóżku, przemknęło mi przez głowę. Ściągnąłem z niej bluzę i zacząłem całować ciemne brodawki piersi, długo ocierałem się o nie twarzą, powtarzając w myślach, że to będzie teraz, mam tu dziewczynę i to się teraz stanie, nogi mi drżały, kiedy się unosiłem, żeby zdjąć jej rajstopy, pozwoliła mi na to, zrzuciłem spodnie, to teraz, teraz, dziewczyna była naga, jej skóra jaśniała w ciemności, wsunąłem rękę między jej nogi, wyczułem pod dłonią kręcone, a zarazem gładkie włosy, byłem nagi, przesunąłem się, ciężki jesteś, westchnęła, więc się trochę uniosłem, mój członek dotknął tych włosów, przycisnąłem go, ona powiedziała: trochę niżej, więc się przesunąłem, poczułem miękką wilgoć, no i... nie, nie, nie.

Moim ciałem wstrząsnął przeciągły, przypominający porażenie prądem skurcz, a ona leżała z otwartymi oczami i tylko na mnie patrzyła.

Nie, nie, nie.

Nawet w nią nie wszedłem. Zagłębiłem się najwyżej na jakieś dwa centymetry. I już było po wszystkim. Osunąłem się na nią i zacząłem całować ją w szyję. Odepchnęła mnie i lekko się uniosła. Wyciągnąłem do niej rękę, dotknąłem jej piersi, ale wstała, włożyła majtki i rajstopy i wyszła z pokoju.

Rano obudziła mnie dyskusja tocząca się za lekko uchylonymi drzwiami. Rozpoznałem głosy Espena, Tronda i tej dziewczyny. Nie, wcale nie, powiedziała. Właśnie że tak widziałem. Poszłaś razem z nim do pokoju. Nie, upierała się. No ale przecież widzieliśmy. Tylko go odprowadziłam, chciał się położyć spać, ale potem wyszłam. Do niczego nie doszło. Cha, cha, cha, zaśmiał się Espen. Jasne, że się pieprzyliście. Ona ciągle zaprzeczała. No to gdzie teraz szłaś? Przecież chciałaś wejść do tego pokoju. Po co byś do niego szła, gdybyście się nie bzykali? Przecież ty go znasz, prawda? Nie, nie znam. Szłam tylko po coś, co tam zostawiłam. Po torebkę.

Wstałem, błyskawicznie wciągnąłem spodnie i włożyłem koszulkę, chwyciłem jej torebkę i wyszedłem do nich.

– Proszę. – Podałem jej torebkę. – Zapomniałaś zabrać.

– Dziękuję. – Ruszyła na dół, nawet nie spojrzawszy mi w oczy.

- Jasna cholera, ale tu pieprznik! – stwierdził Espen.
  - Wyobrażam sobie.
  - Pomogę ci posprzątać.
  - To dobrze.
  - Powiem też Gislemu i Trondowi. – Spojrzał na mnie. – Przeleciałeś Beate?
  - Tak jej na imię? Przeleciałem.
  - Ona twierdzi, że nie.
  - Słyszałem.
  - Dlaczego tak mówisz?
  - Skąd mogę wiedzieć?
- Nasze spojrzenia się spotkały.
- Nie mam pojęcia – dodałem. – Idę obejrzeć ten horror.

Z drzwiami nie dało się nic zrobić, nadawały się jedynie do wymiany. Nacięć w stole też nie dało się usunąć, ale czy wszystkiego innego nie można wyszorować? Przez całe przedpołudnie sprzątałyśmy i zmywałyśmy. Espen, Gisle i Trond pojechali do domu koło pierwszej, a ja dalej usiłowałem zrobić porządek, z narastającym poczuciem paniki, bo bez względu na to, jak się starałem, śladów po imprezie nie dawało się usunąć.

Mama wróciła około piątej. Wyszedłem jej na spotkanie przed dom, żeby nie odkryła sama, co się stało, i nie przeżyła szoku, chciałem ją o tym uprzedzić.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć. No i jak wam poszło?

– Niestety, nie najlepiej.

– To znaczy? Co się stało?

– Sprawy wymknęły się trochę spod kontroli. Ktoś zrobił dziurę w drzwiach do łazienki, no i zdarzyło się sporo innych drobniagów. Sama zobaczysz. Bardzo mi przykro.

Spojrzała na mnie.

– Przypuszczalam, że tak się to skończy. Ale chodźmy obejrzeć.

Po zakończonych oględzinach usiadła przy kuchennym stole, obiema rękami potarła twarz i spojrzała na mnie.

– Rzeczywiście niedobrze.

– Wiem.

– Co my zrobimy z tymi drzwiami? Nie stać nas na nowe.

– Mamy tak mało pieniędzy?

– Niestety. Kto wybił tę dziurę?

– Taki jeden, Christian, kompletny idiota.

– No to chyba powinien zapłacić.



– Powiem mu.

– Powiedz. – Wstała i westchnęła. – Musimy coś zjeść. Mamy chyba filety z dorsza. Mogą być?

– Pewnie, że mogą.

Wyszła odwieść płaszcz, a ja wyciągnąłem z lodówki dwa opakowania ryby. Mama zaczęła myć ziemniaki, w tym czasie pokroiłem filety.

– Rozmawialiśmy o tym już wcześniej – powiedziała.

– Tak

– Musisz dokonywać własnych wyborów, a jeśli te wybory okażą się błędne, sam musisz ponosić konsekwencje.

– To jasne. – Nasypałem trochę mąki, soli i pieprzu na talerzyk, w tej mieszance obtoczyłem miękkie kawałki ryby, postawiłem patelnię na płycie i obserwowałem, jak grudka masła sunie po czarnej, rozgrzewającej się powierzchni; przeszło mi przez myśl, że przypomina dom, gdy gliniaste podłoże, na którym stoi, zaczyna się spod niego powoli usuwać, wyprostowany, z resztkami godności, tuż przed zagładą.

– Roczne zużycie w ciągu jednego wieczoru, albo nawet gorzej.

– Ten dom jest z tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku – przypomniałem. – Więc jeden rok to niewiele.

Nie odpowiedziała. Odezwała się dopiero po chwili:

– Masz osiemnaście lat. Nie mogę dłużej o tobie decydować, nie mogę tobą rządzić, mogę jedynie być przy tobie i mieć nadzieję, że przyjdiesz do mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

– Wiem.

– Mogłam próbować cię powstrzymać, ale właściwie dlaczego? Jesteś dorosły i ponosisz odpowiedzialność za swoje uczynki. Mam do ciebie zaufanie. Możesz robić, co chcesz. Ale ty też musisz mi ufać. Czyli traktować mnie jak dorosły dorosłego. A ten dom jest naszą wspólną własnością. Oboje za niego odpowiadamy.

Wzięła odrobinę mydła na dłoń i umyła ręce pod kranem, wytarła je w ścierkę.

– Widzę, że umywasz ręce.

Uśmiechnęła się, ale bez radości.

– To poważna sprawa, Karl Ove. Martwię się o ciebie.

– Nie masz żadnego powodu – zapewniłem. – To co tu się wydarzyło... to była po prostu naturalna zabawa.

Nic na to nie powiedziała, a ja rzuciłem filety na patelnię, pokroiłem cebulę, dołożyłem do tego puszkę pomidorów, przyprawiłem całość i usiadłem z sobotnią gazetą. Otworzyłem ją na stronie, na której był mój artykuł o Prinsie, oddany już kilka tygodni temu, wreszcie wydrukowany. Położyłem go mamie.

– Czytałaś?

W poniedziałek podszedłem do Christiana i powiedziałem, że drzwi są zupełnie do niczego. Aha, mruknął. To ty je zniszczyłeś, przypomniałem. No tak, ja, przyznał. Musisz odkupić. Nie muszę, warknął. Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałem. To co słyszysz, to była twoja impreza. Ale to przecież ty je zniszczyłeś. Owszem, odparł. I nie zapłacisz za zniszczenia? Nie, oświadczył stanowczo i odszedł.

Kiedy wróciłem do domu po szkole, znalazłem w skrzynce list z zagranicy. Otworzyłem go od razu i czytałem po drodze do wejścia. Napisał do mnie dyrektor hotelu Grand Europe w Lucernie. Informował, że wszystkie pokoje rezerwowane są wyłącznie na nazwisko, bez imienia, dlatego nie może mi pomóc w uzyskaniu adresu Melanie, ale sugeruje zwrócenie się do dwóch biur podróży, które rezerwowały u nich noclegi. Podał mi adres jednego w Filadelfii, drugiego w Lugano. Schowałem list z powrotem do koperty i wszedłem do domu. Runął mój plan korespondowania z Melanie przez rok, a następnie przyjazdu do niej w ramach niespodzianki. A tak podniecała mnie myśl, że może właśnie w Ameryce będzie moja przyszłość.

Przez dalszą część wiosny byłem niemal na okrągło pijany. Natychmiast po przebudzeniu się w czerwonej furgonetce czy u kogoś na kanapie albo na ławce w parku zdobywałem coś nowego do picia i rozpoczynałem wszystko od początku. Mało co mogło się równać z witaniem dnia piwem i upijaniem się już przed południem. Ale życie! Isć tu i pić, isć tam i pić, spać, kiedy nadarzy się okazja, może coś zjeść, pić dalej. To było fantastyczne. Uwielbiałem być pijany. Bardziej się wtedy zbliżałem do swojego prawdziwego ja i miałem odwagę robić to, co naprawdę chciałem. Nie znałem żadnych granic. Do domu jeździłem tylko po to, żeby wziąć prysznic i się przebrać, ale raz, kiedy usiadłem w salonie z sześciopakami carlsbergów, w oczekiwaniu na furgonetkę, która miała po mnie przyjechać, mama nagle się wściekła. Tolerowała wiele rzeczy, ale tym razem przeholowałem. Nie zgadzała się na to, żebym siedział w salonie sam i wlewał w siebie piwo. Miałem do wyboru albo przestać pić, albo znaleźć sobie jakieś inne miejsce do mieszkania. Wybór był prosty, wstałem, wziąłem carlsbergi, rzuciłem „cześć” i wyszedłem na drogę. Przystałem na zбочu, zapaliłem papierosa i czekając na samochód, otworzyłem kolejne piwo. Skoro nie chciała, żebym mieszkał w domu, no to nie.

– Dlaczego tu siedzisz? – spytał Espen, kiedy furgonetka się przede mną zatrzymała.

– Mama mnie wyrzuciła z domu. Ale to nic straszego.

Wsiadłem, w drodze do miasta wypiliśmy to, co mieliśmy, w supermarkecie kupiliśmy jeszcze kilka skrzynek piwa i ruszyliśmy dalej, w stronę Vågsbygd, gdzie tej nocy było spotkanie. Na trawiastej polanie tuż nad morzem, u stóp zбочa porośniętego starym lasem liściastym, siedzieliśmy i piliśmy, a ja znów zniknąłem sam dla siebie i chodziłem w koło, bez żadnej myśli w głowie. Jak zawsze czułem się fantastycznie. Gówniane międzyludzkie relacje, które zwykle tak mnie pętały, przestały mieć znaczenie, byłem wolny, wszystko widziałem chłodno i przezrzyście, jak szkło. Zacząłem wypytywać o Geira Helgego, chudego, sympatycznego chłopaka w okularach, mówiącego dialektem z Mandal. Palił haszysz, wszyscy o tym wiedzieli, a teraz i ja chciałem spróbować. Myślałem o tym od dawna. Haszysz stygmatyzował, oznaczał, że wypadało się poza nawias, przestawało się być porządnym człowiekiem, bo schodziło się na drogę prowadzącą prosto do narkomanii. Tak w każdym razie uważano w Kristiansand. Mnie

natomiast możliwość wejścia na tę drogę wydawała się niesłychanie kusząca, nasycała życie sensem i znaczeniem. Być ćpunem, żyć tylko dla zdobywania narkotyku, zrezygnować ze wszystkiego innego – to było największe zagrożenie, jakie potrafiłem sobie wyobrazić. Ćpuny rezygnowali ze swojego człowieczeństwa, stawali się kimś w rodzaju diabłów, to było straszne, okropne, najgorsze, prawdziwe piekło. Śmiałem się z tych, którzy haszysz natychmiast kojarzył się z heroiną, oni ulegali głupiej propagandzie, dla mnie palenie haszyszu było wyłącznie projektem wolnościowym, lecz chociaż uważałem je za zupełnie niegroźne, to jednak był to przecież narkotyk, który w pewnym sensie zrobiłby ze mnie narkomana, a ta myśl mnie uwodząco laskotała.

Chciałem kraść, pić, palić haszysz i eksperymentować z innymi używkami. Z kokainą, amfetaminą, meskaliną, całkiem się rozpląnąć i wieść wspaniałe życie rockandrollowca. Olewać absolutnie wszystko. Ależ mnie to pociągało! Z drugiej jednak strony nie mogłem się uwolnić od tego we mnie, co chciało, żebym był dobrym uczniem, porządnym synem, przyzwoitym człowiekiem. Gdybym tylko zdołał to zdławić!

To miała być właśnie taka próba. Na myśl o paleniu haszyszu, o tym, że naprawdę mogłem to zrobić, tak jak naprawdę mogłem zostać ćpunem, gdybym kiedykolwiek się na to odważył, na myśl, że po prostu wystarczy się zdecydować, zwyczajnie zrobić ten krok, w moim wnętrzu dosłownie eksplodowały szczęście i ekscytacja, kiedy szedłem pod górę między drzewa, gdzie siedział Geir Helge. Spytałem go, czy ma co palić. Przyznałem, że jeszcze nigdy nie próbowałem, i poprosiłem, żeby mi pokazał, na co z chęcią przystał. Po wypaleniu wolno ruszyłem w dół zbrocza, chcąc dołączyć do pozostałych. Początkowo niczego szczególnego nie czułem, może byłem trochę zbyt pijany, Geir Helge wspomniął coś o tym, że hasz nie zawsze działa za pierwszym razem i nie zawsze po wypiciu dużej ilości alkoholu. Ale kiedy usiadłem z tyłu w zupełnie pustej czerwonej furgonetcie, coś się zaczęło dziać. Poruszyłem lekko barkiem i poczułem, że staw mam jakby posmarowany olejem, jakbym cały był naoliwiony. Każdy, nawet najdrobniejszy ruch wystarczył, by po całym ciele rozlewała się przyjemność. Siedziałem więc, to leciutko kiwnąłem palcem, to odrobinę uniosłem ramię, to znów poruszyłem biodrami, i już ciało zalewały mi kolejne fale czystej przyjemności.

Zajrzał do mnie Espen.

– Co robisz? Żle się czujesz?

Otworzyłem oczy i wyprostowałem się. Ten ruch był tak gwałtowny, że fala rozkoszy dosłownie mnie załała.

– Nie, wszystko dobrze. Fantastycznie. Ale chcę zostać sam. Przyjdę później.

Nie przyszedłem, zasnąłem tam, a w następnych dniach oprócz tego, że piłem, to jeszcze paliłem, ile tylko mogłem. W ostatnie noce przed 17 Maja byłem tak najarany i pijany, że w ogóle nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. W dzień święta obudziłem się rano i zobaczyłem, że jestem w furgonetcie. Parkowaliśmy gdzieś na jakimś placu, za oknami było aż gęsto od ludzi. Mglisto przypomniałem sobie, że piliśmy w parku Tresse i w pewnym momencie siedzieliśmy wraz z nieruchomym i milczącym mężczyzną pod brezentem łodzi cumującej przy jednym z pływających pomostów, później Espen zaciągnął mnie i Sjura jeszcze raz na tę łódź, twierdząc, że ów człowiek nie żyje, ale kiedy do niej zajrzeliśmy, okazała się całkiem pusta. Espen,

zrozpaczony, biegł w kółko, a co było dalej – już nie pamiętam. Ile minut zostało mi z tej długiej nocy? Może z dziesięć.

W jakimś momencie natknęliśmy się na bezdomnego, siedział na ławce w parku. Stanęliśmy wokół niego i chwilę z nim pogadałiśmy. Powiedział, że podczas wojny pływał razem z Larsenem z Szetlandów<sup>[7]</sup>, od tej chwili nazywałem go Szetlandzkim Fiutem. Ze śmiechem powtarzałem to najczęściej jak mogłem. Cześć, Szetlandzki Fiucie. Po jakimś czasie zachciało mi się sikać, więc obszedłem go i nasikałem mu na plecy. Ruszyliśmy dalej przez noc, przystawaliśmy to tu, to tam, zawsze znalazł się ktoś, kto poczęstował nas piwem czy wódką. Śmiałem się, tańczyłem, piłem i obmacywałem każdą dziewczynę, która nawinęła mi się pod rękę. Potrafiłem podejść do koleżanki z klasy i powiedzieć, że stale o niej myślę i ciągle się jej przyglądam, co było kłamstwem, ale działało. Otwierały się wszystkie szlabany. Wszystko się otwierało.

Kiedy 17 Maja obudziłem się w furgonetce i zobaczyłem, że ze wszystkich stron otaczają mnie odświętnie ubrani ludzie, nieźle się wystraszyłem. Ale nawet ten strach nie był groźny, bo wystarczyło wypić jeszcze kilka butelek i cały zniknął, mogliśmy zacząć sprzedawać wydaną przez nas gazetkę, żeby zdobyć pieniądze na kolejne piwa i już o dwunastej czułem w sobie taką swobodę, jaka pojawiała się tylko po kilku dniach picia, z krzykiem biegałem po ulicach, rozmawiałem z obcymi, z jednym żartowałem, z innym zaś się naśmiewałem, ale byłem zarazem straszliwie zmęczony, i właśnie w takim stanie, kiedy rzucałem się jak wściekły to na przód, to na tył pochodu, maszerującego środkiem ulicy, na której po obu stronach tłoczyli się ludzie w najlepszych ubraniach, wśród garniturów, strojów ludowych i norweskich flag, nagle usłyszałem, że ktoś mnie woła.

Dziadkowie.

Z chichotem zatrzymałem się przed nimi. Towarzyszył im syn Gunnara i nie zdziwiłoby mnie, gdybym był pierwszym pijanym, jakiego widział w życiu. Dziadkowie obrzucili mnie zimnymi spojrzeniami, ale mnie to w niczym nie przeszkadzało, dalej się śmiałem i biegałem, do egzaminu zostały jeszcze tylko dwie doby, a nie chciałem, żeby ten cudowny czas się skończył. W dyskoteczce Fun-Senteret odbyła się impreza finałna, atmosfera przy gasała bez względu na to, jak starałem się to w sobie zwalczyć, w końcu wraz z dwoma innymi, którzy też nie chcieli zaakceptować, że już po wszystkim, późną nocą pojechaliśmy taksówką do Bassena. Nie było go, dom zastaliśmy pusty, więc przystawiliśmy drabinę do uchylonego okna na piętrze. Po dostaniu się do środka usiedliśmy na podłodze w salonie i paliliśmy haszysz z podziurkowanych puszek po coli. Kiedy Bassen przyjechał rano, oczywiście się wściekł, ale nie na tyle, by nie pozwolił nam się przespać kilka godzin. Wtedy już do wszystkich dotarło, że zabawa definitywnie się skończyła. Kiedy się obudziłem, ciągle byłem pijany, ale tym razem nie mogłem wypić kłina i już w autobusie do domu zacząłem tonąć, coraz głębiej zapadać się w siebie, to było straszne, wszystko wydawało się przerażające. Mama ani słowem nie wróciła do tego, że mnie wyrzuciła, prawie nie rozmawialiśmy, a kiedy się zanurzyłem w wannie, brud unosił się na powierzchni gęstą warstwą. Spać mi się chciało, więc położyłem się wcześniej, bo następnego dnia mieliśmy egzamin z norweskiego, ale nie mogłem zasnąć. Ręce mi się trzęsły, nie tylko one drżały, również sznur od lampki wił się jak wąż za każdym razem, gdy na niego spojrziałem. Podłoga się przekrzywiła, ściany się waliły, oblewał mnie pot, kręciłem się w łóżku z głową pełną nieproszonych obrazów. To było straszne. Noc w piekle. Ale w końcu przyszedł rano, wstałem,

ubrałem się i autobusem pojechałem do szkoły. Nie mogłem się skupić, co dwadzieścia minut wzywałem dyżurującego nauczyciela, który szedł ze mną do toalety, gdzie opłukiwałem twarz zimną wodą.

Ze wszystkiego, co wydarzyło się w tych dniach i co tak nagle potrafiło do mnie wrócić, najbardziej mnie przerażało tamto spotkanie z dziadkami. No ale przecież nie mogli wiedzieć, że piłem aż tyle? Nie mogli chyba wiedzieć, że nie tylko piłem, ale również paliłem haszysz? Nie, nie mogli. Na początku czerwca tamtego roku zapisałem w dzienniku, że miesiące przed maturą były najszcześniejszym okresem mojego życia. Właśnie takich słów użyłem. Najszcześniejszy okres mojego życia.

Dlaczego tak napisałem?

Miałem w sobie tyle radości. Śmiałem się, byłem wolny i bratałem się ze wszystkimi.

Pod koniec czerwca wyprowadziłem się z domu, mama zawiozła mnie do mieszkania przy szpitalu, tam pracowałem przez miesiąc, prowadziłem się z Line, wieczorami i w weekendy piłem wino i paliłem haszysz, kiedy mogłem go zdobyć. Espen kategorycznie się temu sprzeciwiał, uważał haszysz za okropne świństwo, ale podtrzymywał tamtą historię z nocy z szesnastego na siedemnasty maja o tym, że widział na łodzi martwego człowieka. Pewnego popołudnia zadzwonił z rewelacją, że w gazecie zamieszczono notkę o mężczyźnie, którego znaleziono unoszącego się na wodzie w basenie portowym. Espen twierdził, że to ten sam, nie wiedziałem, czy mówi serio, czy dalej próbuje ciągnąć ten żart. Upierał się, że pamięta, chociaż mgliście, trochę jak przez sen, że własnoręcznie wyrzucił tego nieboszczyka za burtę. Dlaczego miałbyś to zrobić? – spytałem. Bo byłem pijany, odparł. Nikt inny oprócz ciebie nie widział tego trupa, zmyślasz. Nie, nie zmyślam, to prawda, powiedział. A co z tym człowiekiem, który siedział razem z nami w łodzi? Pamiętasz go? Pewnie. Jego widziałeś? Tak On nie żył. Daj spokój, Espen. Skoro nie żył, to po co miałbyś go wrzucać do wody, a potem przybiec po nas? Nie wiem.

Ten miesiąc był pełen podobnych zdarzeń, co do których nie miałem pewności, czy wydarzyły się naprawdę, czy nie, a wraz z poczuciem, że wszystko jest możliwe, że nie ma żadnych granic, i długimi odcinkami czasu, z których nic absolutnie nie pamiętałem, zacząłem tracić z oczu samego siebie. Miałem wrażenie, że znikam. Trochę mi się to podobało, a trochę nie. Rutynowe czynności w szpitalu, gdzie głównie byłem odpowiedzialny za nakrywanie do stołu podczas posiłków, a poza tym pomagałem, kiedy było potrzeba, neutralizowały to wrażenie, ale go całkiem nie wymazywały, bo wieczorami zawsze wychodziłem, piłem z napotkanymi znajomymi, przecież było lato i zawsze ktoś się trafił. Któregoś wieczoru odmówiono nam wejścia do Kjelleren. Wtedy razem z Bjørnem wdrapaliśmy się na dach domu w tym samym kwartale, przebiegliśmy wzdłuż kalenic, prześlizgnęliśmy się przez okienko na strychu i dotarliśmy do Kjelleren, gdzie nikogo już nie było, bo na przedostaniu się do lokalu najwyraźniej zesła nam dobra godzina. Wspięliśmy się więc kilka pięter wyżej, weszliśmy do jakiegoś mieszkania, ktoś się obudził i zaczął krzyczeć, powiedzieliśmy, że pomyliliśmy drzwi. Ze śmiechem pobiegliśmy w stronę Tresse, gdzie ojciec Bjørna miał mieszkanie, w którym mogliśmy przenocować. Rano zadzwoniłem do szpitala, poinformowałem, że jestem chory, zapewne mi nie uwierzyli, ale co mogli zrobić?

Wieczorem tego dnia piłem z technikiem z radia, Paulem, który podczas wyjazdu do Oslo na koncert grupy Imperiet prowadził samochód. W powrotnej drodze, gdzieś w środku Telemarku, przy minus dwudziestu stopniach, pędząc setką, wpadliśmy w poślizg, wypadliśmy z drogi, ścieliśmy słup, wzbiliśmy się w powietrze i wylądowaliśmy w rowie. Teraz umrzemy, pomyślałem wtedy i wcale mnie ta myśl nie zaniepokoiła. Ale nie umarliśmy. Auto nadawało się do kasacji, my natomiast byliśmy w dobrej formie. Mieliśmy co opowiadać. Również o tym, co działo się dalej, o tamtym starym domu, do którego zastukaliśmy, o strzelbie stojącej w sieni, o poczuciu znalezienia się w zupełnie innym, brzydszym od naszego, świecie, o niewiarygodnym mrozie na dworze, kiedy przez dwie godziny próbowaliśmy złapać stopa, stojąc na drodze w adidasach i marynarkach. O tym właśnie gadaliśmy w Kjelleren z Paulem i jego dziewczyną, ładną dwudziestotrzyletą albo czterolatką. Od dawna obserwowałem ją ukradkiem, więc kiedy zaproponowała, żebyśmy taksówką pojechali do niej we dwoje i trochę popalili, oczywiście się zgodziłem. Paliliśmy, a ja po haszu czasami niesamowicie się podniecałem, i tym razem także, gdy siedziałem obok niej na kanapie, od razu mnie trafiło, momentalnie, wyciągnąłem do niej rękę, odsunęła się ze śmiechem, mówiła, że kocha Paula, a potem położyła mi rękę między nogami i ze śmiechem stwierdziła, że jestem już dorosły. W Kjelleren prawie wcale się nie odzywała, bo tam był Paul, który się do nas uśmiechał, wyraźnie miał do niej zaufanie, no i się nie mylił.

W pracy następnego dnia niczego nie komentowano, ale czułem, że nie mają ochoty mnie zatrzymać, chociaż starałem się, żeby byli zadowoleni. Zatrudniono mnie tylko na miesiąc, więc kiedy dobiegł końca, wróciłem do naszego domu, który nie był już nasz, bo mama go sprzedała. Przez następne dwa dni pakowaliśmy dobytek do pudeł, a potem przyjechała wielka ciężarówka i wszystko zabrała.

Został tylko kot.

Co mieliśmy zrobić z kotem?

Z Mefistem?

Mama nie mogła go zabrać tam, gdzie miała zamieszkać, a ja, wybierający się na północ Norwegii, tym bardziej.

Musielimy go uśpić.

Ocierał się o nasze nogi. Mama wsunęła do klatki puszkę pasztetu, kot wszedł, zamknęła drzwiczki, postawiła klatkę na siedzeniu pasażera i pojechała do weterynarza w mieście.

Ja tego popołudnia opalałem się na skałach przy wodospadzie i kąpałem, a kiedy wróciłem do domu, samochód znów stał w garażu. Mama siedziała w kuchni i piła kawę. Na mój widok wstała i wyminęła mnie bez słowa, ze spuszczonej wrokiem.

– Mefisto już nie żyje? – spytałem.

Nie odpowiedziała. Zerknęła tylko na mnie, otworzyła drzwi i wyszła. Oczy miała pełne łez.

Pierwszy raz widziałem, jak mama płacze.

Osiem dni później leżałem zwinięty w pozycji płodu na kanapie w Håfjord, tak cudownie opróżniwszy w kiblu żołądek. Spałem płytko, wystarczył głośniejszy warkot silnika samochodu, żebym otworzył oczy. Ale nic nie musiałem robić, nie miałem żadnych obowiązków, mogłem przespać całą sobotę i całą niedzielę. Poniedziałek był nieskończenie daleko, tak przynajmniej mi się wydawało, kiedy leżałem i czułem, jak znów zapadam w sen.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Poszedłem otworzyć, zaskoczony lekkością własnego ciała.

Przyszedł Sture.

– Trening – oznajmił. – Za piętnaście minut. Zapomniałeś? A może marnie się czujesz po wczorajszym?

– Trochę. – Uśmiechnąłem się. – Ale nie zdycham. – Przesesałem włosy palcami. – Tyle że nie mam korków. Zamierzałem kupić, ale wyleciało mi z głowy, więc chyba nie dam rady grać.

Sture wyciągnął rękę schowaną dotąd za plecami, okazało się, że trzyma w niej takie właśnie buty.

– Czterdzieści pięć? – spytał. – Czy czterdzieści sześć?

– Czterdzieści pięć – odpowiedziałem i wziąłem od niego te korki.

– To co, widzimy się na górze?

– Tak

Nie grałem w piłkę już od paru miesięcy i dziwnie się czułem, znów biegając po boisku, zwłaszcza tam, bo coś w położeniu tego boiska, wciśniętego między zielone zbocza gór, z morzem tuż na wprost, pozostawało w sprzeczności ze wszystkim, co do tej pory kojarzyłem z futbolem. Fakt, że drużyna składała się prawie z samych rybaków, nie polepszał sprawy. Paru było niezłych, zwłaszcza ten, który miał na imię Arnfinn, podobny do jednego z angielskich środkowych pomocników, tak często widywanych na meczach ligowych w latach siedemdziesiątych, lysiejący, rudy, dość niski, krępy, z niewielkim brzuszkiem, nie najszybszy na świecie, ale umiejący sprawić, że wokół niego coś zaczynało się dziać, gdy tylko przechwytywał piłkę, chociażby jedynie podał ją dalej, posłał długie dośrodkowanie czy wykiwał napastnika, robił to wszystko, nie podnosząc głowy, na nic nie patrzył, tylko ryzykował na wycucie. Kilka razy mnie zablokował, czułem się wtedy tak, jakbym wpadł na drzewo. Miał talent. Niezły był też ich napastnik, wysoki, chudy facet, który zdumiewająco szybko się poruszał, no i mieli dobrego bramkarza o imieniu Hugo. Reszta grała na takim poziomie jak ja, może trochę gorzej, z wyjątkiem Nilsa Erika, który chyba nigdy wcześniej nie kopał piłki i rozgrzewał się przysiadami, jakich raczej nikt nie wykonywał od początku lat pięćdziesiątych.

Po skończonym treningu rozebraliśmy się w szatni przy pływalni, wzięliśmy prysznic

i poszliśmy do sauny. Wszyscy oprócz mnie i Nilsa Erika mieli ciała białe jak kreda, wielu z piegami na plecach i ramionach, inni byli bardzo owłosieni, a kiedy paradowali nadzy, naśmiewając się z siebie nawzajem, przyszło mi do głowy, że to niemal inna rasa ludzi. Ja ciągle miałem opaloną skórę po lecie, ślad po kąpielówkach odcinał się wyraźną bielą, na ramionach, torsie czy plecach nie miałem ani jednego włoska, z wyjątkiem prawie niewidocznego puchu, a moje plecy były proste i wąskie jak kolumna, a nie, jak ich, szerokie i nabrziałe. Nie wspominając już o ramionach, cienkich jak gałązki, podczas gdy u tamtych przypominały pnie. Pierś miałem w zasadzie płaską jak stół, ani trochę niepodobną do tych ich beczek. Ich ciała nie były idealne, o nie, niejeden miał obwisłą oponę na brzuchu i sadło po bokach, żadna z kłatek piersiowych nie dzieliła się wyraźnie na połowy, jak u tych, którzy regularnie trenują, nie widziałem też żadnego sześciopaka na brzuchu, do tego było im bardzo daleko. Zrozumiałem jednak, że dla nich liczy się siła. A w takiej sytuacji nie ma znaczenia brzuch lekko zwisający nad paskiem czy wylewający się na kołnierzyk drugi podbródek.

Siedzieliśmy na drewnianych ławach w saunie, ktoś otworzył piwo, bramkarz Hugo podsunął mi butelkę, spytał, czy się napiję.

– Właściwie zamierzałem dziś wieczorem pracować, ale jedno mogę chyba wypić.

– To dobrze – stwierdził.

Z szyjki uniosła się para, chłodne szkło miało zielony kolor.

– Wczoraj wieczorem było fajnie! – powiedział.

– Pewnie – przyznałem.

– Ty się bawiłeś z Irene, prawda?

Uśmiechnąłem się nieśmiało.

– Przecież widzieliśmy. Jasny gwint, jeden tydzień w Nord-Norge wystarczy i Karl Ove już ma dziewczynę!

– Przyjechał tu i od razu zarywa nasze laski. Wracaj na południe, skąd przyjechałeś!

Śmiali się, ja też.

– Ale nasz Pinokio chciał tylko tańczyć. – Hugo spojrzął na Nilsa Erika.

Pinokio? Rzeczywiście przypominał Pinokia.

– Owszem – potwierdził Nils Erik – Lubię tańczyć. Swego czasu udzielałem się w Instytucie Tańca w Horten.

Popatrzyli na niego i uśmiechnęli się niepewnie. Wybuchnąłem śmiechem. Instytut w takiej dziurze! W tej samej chwili zjawił się Sture, ręcznikiem trzepnął jednego z graczy, żeby się przesunął i zrobił mu miejsce. Był szczupły, nie tak mocnej budowy jak pozostali, ale nie dało się go też nazwać drobnym, miał niezłe mięśnie. Nosił brodę, był łysy i zachowywał się z dużą pewnością siebie. Wcześniej trochę się obawiałem, że jako nauczyciel będzie uległy w stosunku do tutejszych rybaków, ale już w ciągu kilku pierwszych sekund, kiedy widziałem go razem z nimi, zrozumiałem, że wcale tak nie jest.

Odwrócił się i spojrzął na mnie.

– We wtorek gramy mecz. Pojedziesz z nami, prawda?

Kiwnąłem głową.



- Będziesz środkowym obrońcą.
- Środkowym obrońcą? – zdziwiłem się.
- Tak. Tak zdecydowałem.

Mrugnął i się odwrócił. Dopilem resztkę piwa, beknąłem, wstałem i poszedłem pod prysznic. Za chwilę stanął obok mnie Nils Erik.

Miał wielkiego fiuta, który objął mu się o uda.

Po co komuś, kto ma takie rumiane policzki i lubi chodzić po lesie, taki wielki fiut, pomyślałem. Na co mu on?

– Trenowałeś gimnastykę zbiorową? – spytałem.

– Gimnastykę? Nie.

– Trochę tak to wygląda, sądząc po twoich ćwiczeniach rozgrzewających.

Roześmiał się i wykonał kilka przysiadów.

– A więc o to ci chodziło? – spytał.

– No właśnie. Nie wolno ci tego uczyć mojej klasy na wuefie. To kompletnie zniszczy ich wiarę w siebie.

Dwóch czy trzech innych odkręciło prysznic. W ciągu kilku sekund pomieszczenie wypełniło się parą.

– Pójdziecie później do mnie? – zaproponował Hugo. – Posiedzimy, trochę popijemy.

– Chętnie bym przyszedł, ale nie mogę – powiedziałem.

– Ja też nie – stwierdził Nils Erik – Dwa wieczory z rządu to trochę za dużo.

– Mięczaki!

Wszystko się we mnie ścisnęło. Nie chciałem uchodzić za mięczaka, a poza tym wygrałbym z nim zawody w picie, pierwszy zwałiłby się pod stół. Ale nie mogłem. Musiałem pisać.

Z Nilsem Erikim pożegnałem się na skrzyżowaniu i wróciłem do swojego mieszkania. Torbę rzuciłem na podłogę w przedpokoju, zatrzymałem się przed lustrem, palcami przegarnąłem włosy, żeby stanęły, i kilka razy wciągnąłem powietrze nosem. Co to za zapach? Perfumy? Ktoś tu był?

Na stole w pokoju leżała złożona kartka, której z całą pewnością tam nie kładłem.

Sprawdziłem, co to jest. List od Irene.

*Cześć, Karl Ove!*

*Złożyłyśmy Ci z Hilde niespodziewaną wizytę. Kiedy byłeś na treningu, posiedzieliśmy tutaj i świetnie się bawiliśmy. Obejrzałyśmy sobie wszystkie płyty. Co za kolekcja! Tak, tak, widzimy, że od naszej ostatniej wizyty przybyło Ci rzeczy. Całe szczęście.*

*Wygładasz na bardzo fajnego chłopaka, więc mam nadzieję, że lepiej Cię poznam. Stęskniłam się za Tobą, nie mogłam się już doczekać, kiedy znów Cię spotkam. Ale to będzie innym razem, bo teraz musimy już lecieć.*

Po prostu weszły i się rozsiały?

No tak, właśnie tak musiało być.

I co, poszły sobie?

Otworzyłem drzwi wejściowe i zrobiłem kilka kroków na zewnątrz, żeby zobaczyć, czy przypadkiem się nie minęliśmy.

Nie, w pobliżu nikogo nie było. Jedyne szum morza, ogromne szare niebo, i tylko gdzieś daleko na drodze majaczyły dwie maleńkie postacie.

Wróciłem do mieszkania, ugotowałem całą paczkę spaghetti, odsmażyłem resztę kartofli, które miałem w lodówce, i już wkrótce siedziałem w pokoju nad parującą górą makaronu i przysmażonymi ziemniaczanymi łódkami, obficie polanymi ketchupem. Pycha. Potem zaparzyłem kawę, nastawiłem pierwszą płytę Led Zeppelin na prawie cały regulator, i krążyłem po pokoju z zaciśniętymi pięściami, kiwając głową. Do diabła, pokażę im! Nabuzowany adrenaliną i złością, usiadłem i zacząłem walić w klawisze maszyny do pisania.

Opowiadanie, które pisałem, brało swój początek ze snu, jaki przyśnił mi się tego lata. Gimnastykowałem się w czymś w rodzaju sieci rozciągającej się w nieskończoność na wszystkie strony. Była trochę lepka, ale gruba i mocna jak ogromne ścięgno. Okazało się, że ta sieć jest w moim mózgu. Zmieniłem więc relację – myśli nie znajdowały się we mnie, tylko ja znajdowałem się w myślach. Ten sen był niesamowity, ale kiedy usiłowałem go opisać, nic mi z tego nie wychodziło, więc zgmiotłem kartkę, wyrzuciłem ją, przełożyłem płytę na drugą stronę i zacząłem pisać od nowa. Również kolejne opowiadanie wywodziło się ze snu, również w nim to, na czym stałem, rozciągało się na wszystkie strony w ciemnościach, lecz w odróżnieniu od ciemności z pierwszego opowiadania to było porożywane ogniskami. Wszędzie, gdzie szedłem, paliły się ogniska. Z mojej prawej strony wznosiła się góra, tuż przede mną rozciągało się morze, nic więcej, nic się nie działo, istniały tylko opisywane przeze mnie żywioły.

Do cholery, z tego też nic mi nie wychodziło!

Wszystkie te ogniska w ciemności, ta wielka góra i bezkresna równina, przecież to było zupełnie fantastyczne!

Na papierze zmieniało się w rzecz bez żadnej wartości.

Przeniosłem się na kanapę i zamiast znów pisać opowiadanie, zacząłem notować w dzienniku. *Muszę pracować nad przenoszeniem nastrojów z wnętrza na zewnątrz, napisałem. Ale jak to osiągnąć? Łatwiej opisywać, co robią ludzie, ale wydaje mi się, że to nie wystarczy. Z drugiej strony, Hemingway właśnie tak pisał. Uniosłem głowę i spojrzałem na góry tuż nad fiordem. W każdym razie dobrze się tu czuję. Kto by pomyślał? No i poznałem dziewczynę. Dość fajną. Chyba mam u niej szanse. Rock'n'roll.*

Wczesnym wieczorem otworzyły się drzwi mieszkania piętro wyżej. Kroki, które się rozległy, były głośniejsze i cięższe niż kroki Torill. Przypomniało mi się, że dzisiaj miał wrócić jej mąż. Pomieszczenia nad moją głową wypełniło zupełnie inne życie. Śmiali się, włączyli muzykę,

a kiedy się kładłem, zaczęli się kochać tuż nad moją głową.

Długo to trwało.

Ona krzyczała, on jęczał, coś rytmicznie stuknęło, może łóżko uderzające o ścianę.

Nakryłem głowę poduszką i usiłowałem myśleć o czymś innym.

Ale się nie dało. Jak się mogło udać? Przecież wiedziałem, kim ona jest i jak wygląda.

Zapadła cisza. Zasnąłem.

A oni znów zaczęli.

Przeszedłem do salonu i tam się położyłem. Miałem takie wrażenie, jakby nasunął się na mnie cień. Nadzieja, którą czułem, kiedy myślałem o tym, że może z Irene coś wyjdzie, runęła jak stara sztolnia w kopalni.

Przecież nie mogłem.

Skończyłem osiemnaście lat, byłem nauczycielem, miałem swoje mieszkanie i ogromną jak na swój wiek kolekcję płyt, w zasadzie samych świetnych. Nieźle wyglądałem, a ze swoim płaszczem, czarnymi džinsami, białymi trampkami i czarnym beretem mogłem nawet uchodzić za członka jakiegoś zespołu. Ale na co mi to wszystko, skoro nie byłem w stanie zrobić tej jednej jedynej rzeczy, na której mi zależało?

Na górze wreszcie skończyli również tę drugą sesję, a ja w końcu zasnąłem na kanapie, odcinając się od tego wszyscyńskiego jak dziecko.

Pisałem cały następny dzień. Zacząłem ten etap od Led Zeppelin i zaciśniętych pięści, ale potem waliłem w maszynę przez cztery godziny bez przerwy. Wróciłem do stylu z tamtego pierwszego opowiadania, tym razem kazałem dwóm chłopcom stłuc szybę w baraku na osiedlu i wyciągnąć pisma pornograficzne, które tam zobaczyli. Wyszło mi nieźle, tylko nie potrafiłem wymyślić żadnego zakończenia. Przecież ten mały nie mógł znów wrócić do domu do rozwścieczonego ojca. Powinno się wydarzyć coś innego, ale co?

Wieczorem poszedłem do szkoły. Ciągle miałem lekkie wyrzuty sumienia, że chodzę tam sam. Czułem się, jakbym tam węszył, ale przecież nic takiego nie robiłem, przekonywałem samego siebie, kładąc z brzękiem wielki pęk kluczy na stole w pokoju nauczycielskim. Otworzyłem drzwi do pokoiku z telefonem i zadzwoniłem do mamy.

Odebrała od razu.

– Jak się miewasz? – spytałem.

– Całkiem nieźle. Zamierzałam dziś wieczorem napisać do ciebie list.

– Dostałaś opowiadanie?

– Tak, bardzo ci dziękuję.

– I co o nim myślisz?

– Bardzo mi się podobało. Zaskoczyłeś mnie. Pomyślałam sobie: t o l i t e r a t u r a !

– Naprawdę tak pomyślałaś?

– Tak. Opowiadasz pewną historię, jest dwóch fajnych bohaterów i wszystko opisujesz bardzo żywo. Czytając, miałam wrażenie, jakbym tam była.

- A coś ci się podobało bardziej?
- Nie, chyba nie. Wszystko mi się podobało.
- No a zakończenie?
- Masz na myśli to z ojcem?
- Tak
- Myślę, że to jest właśnie sedno tej historii.
- Tak miało być.

Chwila milczenia.

- A co z Kjartanem? Miałś od niego jakieś wieści? Jemu też wysłałem egzemplarz.
- Nie. Na ogół dzwonię do niego w niedzielę, więc dopiero później będę z nim rozmawiać.
- Musisz go ode mnie pozdrowić.
- Dobrze, pozdrowię. A co poza tym u ciebie?
- Wszystko dobrze. Wczoraj byłem na treningu piłki nożnej. A jutro znów zaczyna się niewolnicza praca.
- Trudna, twoim zdaniem?
- Prychnąłem.

- Nie, tak naprawdę bardzo łatwa. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, po co trzeba trzy lata chodzić do szkoły nauczycielskiej. Ale może z większymi klasami jest inaczej. Tutaj jest po pięciu, sześciu uczniów w każdej klasie.

- Jesteś tego pewien?

- Czego?

- Że to takie łatwe.

Uśmiechnąłem się.

- Cała ty, że w to wątpisz. Ale jasne, jest też wiele trudnych rzeczy.

- Poznałeś już kogoś?

- Tak, kilkoro nauczycieli. Zwłaszcza jednego, Nilsa Erika. Tutejsi ludzie są niesamowicie towarzyscy. Cały czas przychodzą i dzwonią do drzwi.

- Tak?

- Rozmaite osoby. Nawet moi uczniowie.

- Chyba rzeczywiście jest ci tam dobrze.

- No przecież mówiłem.

Porozmawialiśmy jeszcze z pół godziny, w końcu odłożyłem słuchawkę i usiadłem, żeby obejrzeć wiadomości sportowe. Start znów przegrał. To zaczynało naprawdę źle wyglądać. Musieli się wziąć do roboty, jeśli im zależało na utrzymaniu miejsca w tabeli.

Dwa dni później podczas lekcji przyszedł do klasy Richard.

- Telefon do ciebie. Zastąpię cię na chwilę.

Telefon?

Pospieżyłem do pokoju nauczycielskiego, podniosłem leżącą obok aparatu słuchawkę.

– Słucham – powiedziałem.

– Cześć, tu Irene.

– Cześć!

– Pracujesz?

– Tak

– Dostałeś mój list?

– Dostałem. To była prawdziwa niespodzianka.

– Właśnie o to chodziło. Posłuchaj, chciałbyś, żebym cię odwiedziła? Ktoś od nas jedzie w piątek w tamtą stronę, mogłabym się zabrać.

– Byłoby świetnie.

– No to przyjadę. Wobec tego do zobaczenia.

– Trzymaj się – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Richard nie tylko przypilnował mojej klasy, bo również coś tłumaczył, stojąc przy tablicy. Uśmiechnął się do mnie, ale chyba w jego oczach wychwyciłem chłód.

Na przerwie wziął mnie na bok

– Jeden mały szczegół, Karl Ove. Podczas lekcji nie prowadzimy prywatnych rozmów telefonicznych.

– Nie miałem żadnego wpływu na to, że zadzwoniła. Nie mogłeś po prostu powiedzieć, że się z nią skontaktuję? Oddzwoniłbym na przerwie.

– Twierdziła, że to ważne. Było?

– Owszem.

Puścił oko i poszedł do swojego gabinetu.

Niech to szlag.

Kiedy po szkole otworzyłem swoją skrytkę na poczcie, znalazłem w niej trzy listy. Jeden od firmy windykacyjnej, groziła sprawą sądową, jeśli nie zapłacę. Chodziło o smoking, który wypożyczyłem na sylwestra. Zniszczył się, a nie miałem pieniędzy, żeby go odkupić, więc go po prostu wyrzuciłem, licząc, że z czasem firma o nim zapomni. Pieniądzy nadal nie miałem, więc sprawa musiała dalej toczyć się sama. Co mi zrobią, jeśli nie zapłacę? Wsadzą mnie do więzienia? Przecież naprawdę nie miałem z czego oddać!

Dwa pozostałe listy były od Hilde i od mamy. Otworzyłem je dopiero w domu. Listy to przecież święto, do ich czytania potrzeba idealnych warunków. Kawa w filiżance, muzyka z wieży stereo, gotowy papieros w palcach, na stole jeszcze jeden, naszykowany na później.

Zacząłem od listu od mamy.

*Kochany Karl Ove!*

Z pewnością oczekujesz kolejnych opinii, a więc oto co powiedział Kjartan: był podniecony Twoją twórczością – „to jest literatura, za tym się kryje talent”. To zapamiętałam. Uważa Cię teraz za równego sobie i przesyła Ci (za moim pośrednictwem) swoją ostatnią pracę, on też teraz próbuje swoich sił w prozie. W pełni więc Cię wspiera. Uważa tylko, że z pewnością brakuje Ci kogoś, z kim mógłbyś podyskutować, i zastanawia się, czy w okolicy nie organizują jakiegoś kursu pisania albo seminarium, sam w czymś takim uczestniczy. Wspomnił też, że powinieneś nawiązać kontakt i porozmawiać z jakimś konsultantem (w wydawnictwie). (Ja nie jestem co do tego przekonana – wydaje mi się, że trochę jeszcze za wcześnie w odniesieniu do Twojego osobistego rozwoju, ale taka jest jego opinia, którą Ci przekazuję).

Wygląda na to, że swobodnie przeszedłeś od „ciepłego gniazdka w domu” do „wielkiego, groźnego świata”, skoro dostrzegasz pozytywne strony życia. Nie zawsze odbywa się to równie bezboleśnie. Ale może dom nie był aż tak przytulny? Możliwe że tam, gdzie teraz jesteś, wiatry nie wieją aż tak mocno, no i pomaga Ci muzyka.

W kwestii innych informacji z tych stron, to myślę teraz wyłącznie o szkole pielęgniarstwa psychiatrycznego. Jeździłam niedawno po okolicy i znalazłam stary budynek, opuszczoną szkołę z wielkimi, pięknymi, dostojnymi salami, przesyconymi starą mądrością i wiedzą. Mogłabym się tam wprowadzić z moimi studentami!

W Sørbøvåg jak zwykle jest nie najlepiej – bezradność i ubóstwo, a przy tym niezłomna wola życia, niegasnące zdecydowanie, by jakoś sobie radzić, za wszelką cenę. Dobrze tam być, bo dobrze być w otoczeniu bliskich, ale panująca tam sytuacja odbiera chęć i odwagę do życia. Nie pojmuję, co ich trzyma. Przecież ich życie to wyłącznie zmaganie się z codziennością – ze wstawaniem rano, z ubieraniem się, gotowaniem itp., a jednak mają w sobie taką chęć życia i siłę. Dziadkowi wydaje się, że dożyje setki. Bardzo się z tego cieszy! Babcia mimo swoich problemów emocjonalnych i psychicznych uczestniczy w tym, co się dzieje, ale jednak głównie w tym, co było, przeszłość trochę miesza jej się z teraźniejszością. Dla dziadka ta różnica też nie zawsze jest wyraźna. Deprymuje patrzeć na taką słabość, ale życie bez nich stałoby się takie puste. Rozmowy z ciocią Borghild dodają mi otuchy i przynoszą pociechę, to mądra kobieta, ma duże doświadczenie życiowe i tyle spokoju w sobie, poza tym umie wyrazić swoje myśli. W tym tygodniu zamierzam się do niej wybrać, żebyśmy mogły sobie pogadać.

Rozumiem, że pisanie traktujesz poważnie. Na pewno cieszysz się, że znalazłeś coś, na co zamierzasz postawić. Możliwości rozwoju są wręcz nieskończone, trzeba się tylko odważyć. Naprawdę wierzę, że tak jest.

A jeśli chodzi o sweter, to kupiłam wzór, który może da się przerobić, żeby się do czegoś nadawał. Ale robótki na drutach i szydełkiem niezbyt mnie ostatnio pociągają. Może kupię Ci jakiś gotowy albo wyślę Ci pieniądze. Zobaczymy. Powodzenia we wszystkim.

Ściskam, mama

Czy Kjartan naprawdę powiedział, że mam talent? I że powinienem wysłać opowiadanie do wydawnictwa?

Mama nigdy by tego nie napisała, gdyby tak się nie wyraził.

Ale co miała na myśli, pisząc o moim „osobistym rozwoju”? Teksty są albo dobre, albo nie,

prawda?

Otworzyłem list od Hilde. Tak jak się spodziewałem, posypały się superlatywy. Napisała w ten swój szczerzy, entuzjastyczny sposób, charakterystyczny tylko dla niej, że już się cieszy na lekturę moich następných utworów.

Odłożyłem listy i zasiadłem do maszyny. Ledwie ją włączyłem i już wiedziałem, co powinno się wydarzyć w tej historii z ogniskami.

Palono zmarłych! Wszystkie ogniska na tej bezkresnej równinie były stosami pogrzebowymi! Początkowo bohater tego nie rozumiał, ale kiedy podszedł bliżej, od razu się zorientował. Pod zwłoki wsuwano coś w rodzaju płaskiej drewnianej łopaty i przenoszono je w płomienie.

Skończyłem pisać w godzinę. Dosłownie wyrwałem kartkę z maszyny i pogałem do szkoły, żeby skopiować opowiadanie.

Trzy dni później przed moimi drzwiami stanęła Irene.

Zaprosiłem ją do środka.

Atmosfera była nerwowa. Irene, jak tylko mogła, starała się nad nią zapanować. Piliśmy herbatę i rozmawialiśmy. Nic się nie wydarzyło.

Dopiero gdy wychodziła, objęła mnie, a kiedy zadarła głowę, żeby na mnie popatrzeć, nachyliłem się i ją pocałowałem.

Była ciepła, miękka, pełna życia.

– Kiedy się znów spotkamy? – spytała.

– Nie wiem. A jak ci pasuje?

– Może jutro? Będziesz w domu? Mogę poprosić kogoś, żeby mnie podrzucił.

– Dobrze – powiedziałem. – Przyjedź jutro.

Stojąc w progu, patrzyłem, jak idzie do samochodu. Członek pulsował mi pożądaniem. Odwróciła się, pomachała i zniknęła w aucie. Zamknąłem drzwi i usiadłem na kanapie. Miałem w sobie mnóstwo uczuć dla Irene, lecz wcale niejednoznacznych, podobała mi się, pragnąłem jej, ale czy podobała mi się dostatecznie? Chodziła w niebieskich dżinsach i niebieskiej kurtce dżinsowej, a przecież wszyscy wiedzieli, że taknie można, w każdym razie wszystkie dziewczyny. No i ten jej list, cały ten styl i dialekt. Denerwowały mnie, kiedy czytałem.

Powinniśmy się razem upić, bo wtedy wszelka ambiwalencja znika. A gdybym się upił dostatecznie, może byłbym zdolny patrzeć na jej nagość bez... tak, żeby t o się nie stało.

Spałem, gdy następnego dnia wieczorem zadzwoniła do drzwi. Pobiegłem otworzyć. Stała z kciukami wetkniętymi w kieszenie spodni i uśmiechała się do mnie. Za nią czekał samochód z włączonym silnikiem.

– Przejedziesz się do Finnsnes? – spytała.

– Jasne.

Ta sama dziewczyna, która towarzyszyła jej za pierwszym razem, a której imię już wyleciało mi z głowy, siedziała z przodu obok kierowcy, młodego człowieka w moim wieku, może jej

chłopaka, a może nie. Usiadłem z tyłu obok Irene i ruszyliśmy. Kierowca, jak wszyscy tutaj, jechał szybko. Muzyka głośno grała, Creedence, najwyraźniej ulubieńcy miejscowych. Już na zbiegu poniżej domu wetknięto mi w garść butelkę. Przez całą drogę do miasta czułem, że mam ochotę na Irene. Siedziała tak blisko, zwłaszcza wtedy, gdy opierała ręce na siedzeniu przed sobą i wysuwała głowę, żeby porozmawiać z tymi z przodu. Zadali mi kilka pytań, odpowiedziałem, zrewanżowałem się podobnymi, a ciszę, która później zapadła, Irene wypełniła zwykłym gadaniem ze swoimi znajomymi. Niekiedy odwracała się do mnie, aby wyjaśnić, o czym mówili, cały czas na zmianę to się uśmiechała, to bardzo poważniała, szczególnie, gdy nasze spojrzenia się spotykały.

W ten sposób upłynęła ponad godzina, aż w końcu kierowca zaparkował przed dyskoteką w Finnsnes. Weszliśmy, znaleźliśmy stolik, zamówiliśmy wino na spółkę. Tańczyliśmy. Irene przycisnęła się do mnie, a ja miałem na nią taką ochotę, że nie wiedziałem, gdzie się podziać. Te przekłete gadki, na co komu one? Wlewałem w siebie alkohol, żeby zapełnić czymś otchłań, pęd we mnie narastał, tańczyliśmy już bez przerwy. W powrotnej drodze, kiedy samochód gnał sto dwadzieścia przez długie równiny, całowaliśmy się na tylnym siedzeniu. Z głośników popłynęła nagle piosenka *Stand by Your Man*, odchyliłem wtedy głowę i wybuchnąłem śmiechem. Pomyślałem, że będę miał o czym pisać w listach. Zobaczcie, jaka tu wiocha, tak teraz wygląda moje życie. Irene spytała, z czego się śmieję, powiedziałem, że z niczego, że po prostu jestem szczęśliwy.

Przy zjeździe na Håfjord kierowca się zatrzymał.

– Dalej pójdziesz piechotą – oświadczył. – My jedziemy do Hellevika.

– To przecież cholernie daleko!

– Maks godzina. A jak będziesz szedł szybko, to dojdiesz w trzy kwadransy.

Pocałowałem Irene ostatni raz, otworzyłem drzwi i wysiadłem.

W środku buchnął śmiech. Odwróciłem się. Kierowca wystawił głowę przez okno.

– To tylko taki żart. Wskakuj. Jasne, że cię podrzucę!

Przez tunel, wzdłuż fiordu. Nieruchome morze i góry otulone szarawym, równie nieruchomym powietrzem nocy.

– Masz ochotę przenocować? – spytałem szeptem Irene, kiedy już dojeżdżaliśmy.

– Pewnie, że mam – odszepnęła. – Ale nie mogę. Muszę wracać do domu. Ale mogę przyjechać w następny weekend. Będziesz?

– Będę.

– No to przyjadę.

W poniedziałki zacząłem przychodzić do szkoły godzinę przed rozpoczęciem lekcji. Sprawdzałem, co trzeba zrobić tego dnia, a kiedy rozlegał się dzwonek na lekcję, na ogół siedziałem za katedrą i czekałem na uczniów. Zanim lekcja zaczęła się na serio, zwykle chwilę z nimi rozmawiałem o tym, co robili w weekend.

W ten poniedziałek coś się szykowało. Zorientowałem się, kiedy tylko weszli do klasy. Zajęli miejsca w ten swój niezgrabny szczeniacki sposób. Andrea spojrzała na Vivian, a ta podniosła



rękę.

– To prawda, że chodzisz z Irene z Hellevika? – spytała.

Pozostałe dziewczyny zaczęły chichotać. Kai Roald przewrócił oczami, ale też się uśmiechał.

– To co robisz poza szkołą, to nie wasza sprawa.

– Nas zawsze pytasz, co robiliśmy w weekend – odezwała się Andrea.

– Owszem, i wy też możecie mnie spytać, co robiłem. Odpowiem.

– No to co robieś? – spytał Kai Roald.

– W sobotę cały dzień byłem w domu. Wieczorem pojechałem do Finnsnes. W niedzielę znów siedziałem w domu.

– Aha – powiedziała Vivian. – A z kim byłeś w Finnsnes?

– To nie wasza sprawa. Zaczynamy lekcję?

– Nie.

Rozłożyłem ręce.

– Macie do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Chodzisz z Irene? – spytała Andrea.

Uśmiechnąłem się, nie odpowiedziałem, położyłem na katedrze pudło z książkami i zacząłem je rozdawać. Mieliśmy norweski i zaplanowałem głośne czytanie *Truczny* Alexandra Kiellanda, ponieważ była to jedna z niewielu książek w liczbie egzemplarzy wystarczającej dla całej klasy. Zaczęliśmy już w poprzedni poniedziałek, bo na spotkaniu z panią pedagog poskarżyłem się, że uczniowie źle czytają, a ona mi poradziła, żebyśmy poczytali coś wspólnie.

– O nie! – jęknęli na widok zielonej okładki z lat siedemdziesiątych. – Tylko nie to! My nic z tego nie rozumiemy!

– To przecież po norwesku. Nie rozumiecie po norwesku?

– Ale to taki stary tekst. Naprawdę nie rozumiemy.

– Kai Roald, ty zacznij.

Sluchanie było prawdziwą męką. Chłopak w ogóle słabo czytał, a przy stylu Kiellanda i jego staromodnym języku znikła wszelka nadzieja na gładkie posuwanie się naprzód. Wszystkie słowa zostawały zredukowane do sylab, jąkania się i stękania. Z treści nikt niczego nie rozumiał. Żalowałem, że w ogóle to wymyśliłem, ale nie wyglądałoby najlepiej, gdybym teraz po prostu zrezygnował, więc męczyłem ich dalej przez całą lekcję i zamierzałem to kontynuować również w następny poniedziałek.

Na przerwie był mój dyżur, więc poszedłem do pokoju nauczycielskiego po płaszcz, uczniowie już wychodzili na dwór.

– Karl Ove, twój ojciec telefonował! – Hege podeszła do mnie z karteczką w rękę. – Prosił, żebyś oddzwonił. Tu jest numer.

Podawała mi kartkę, zawahałem się przez chwilę. Uczniowie przecież nie mogli być sami na dworze. Ale z drugiej strony tata też był nauczycielem, więc skoro dzwonił w godzinach pracy, musiało chodzić o coś ważnego.

No tak, oczywiście. Pewnie dziecko się urodziło!

Podszedłem do telefonu i wykręciłem numer.

– Halo – odezwał się.

– Cześć, tu Karl Ove. Przekazano mi, że dzwoniłeś.

– Bo właśnie zostałeś starszym bratem.

– Świetnie! Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewuska.

Był pijany czy tylko bardzo się cieszył?

– Gratuluję – powiedziałem. – Fajnie!

– Tak, bardzo fajnie. Właśnie wróciliśmy do domu. Muszę się nimi trochę zająć.

– Z Unni wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze. Pogadamy później. Na razie.

– Na razie. Jeszcze raz gratuluję!

Odłożyłem słuchawkę i uśmiechnąłem się do Hege, która na mnie patrzyła, zapiąłem płaszcz i pospieszyłem na podwórze. Ledwie wyszedłem, podbiegł do mnie Reidar. Potrafił wprost nieznośnie się mnie czepiać, jak kleszcz, i za wszelką cenę starał się znaleźć w centrum zainteresowania. W klasie koniecznie chciał odpowiadać na każde pytanie, wszystko komentował, zawsze wiedział najlepiej i chciał być we wszystkim najlepszy. Podlizywał się mnie i innym nauczycielom, był naprawdę do bólu nieznośnym dzieckiem. Przypominał mnie w dzieciństwie. Wykorzystywałem każdą okazję, by odczytać go tego, co miało mu utrudnić życie w przyszłości, ale niezbyt mi się to udawało, po każdym ostrzejszym słowie odbijał się jak stalowa sprężyna.

Kiedy się dowiedziałem, że jest bratem Andrei z mojej klasy, zacząłem go traktować nieco łagodniej, bo była moją ulubioną uczennicą, a fakt, że są rodzeństwem, w pewien sposób mnie wzruszał, chociaż nie do końca rozumiałem dlaczego.

– Karl Ove! Karl Ove! – Pociągnął mnie teraz za płaszcz.

– Słucham, o co chodzi? I nie ciągnij mnie tak

– Mogę wrócić do klasy?

– Po co?

– Zapomniałem piłki lanki. Tylko po nią pójde, bardzo proszę.

– Nie. – Już ruszyłem w stronę boiska.

Poszedł za mną.

– Gdyby Torill miała dyżur, toby mi pozwoliła – powiedział.

– A czy ja wyglądam jak Torill?

– Nie. – Roześmiał się.

– No to uciekaj. Biegnij.

Ruszył biegiem, ale zaraz zwolnił. Zatrzymał się przed piątką dzieci ze swojej klasy, skakały na skakance przy ścianie szkoły.

Przez boisko przeleciał podmuch wiatru, poderwał w górę piasek i kurz z drogi, zamrugałem kilka razy, żeby oczyścić oczy.

Dziwne, że tata znów został ojcem.

Odwrociłem się i spojrzałem na szkołę. Akurat wyszły z niej dwie dziewczyny z dziewiątej klasy i zaczęły schodzić z górki. Opięte niebieskie levisy, białe adidasy, wielkie kurtki. Jedna z ciemnymi włosami upiętymi na karku, druga z jasnobrązowymi, z trwałą, wielkie loki stale opadały jej na oczy, dlatego nieustannie poruszała głową. Miała taką ładną szyję, długą, białą, piękną. No i fantastyczny tyłek.

Nie, nie mogłem o tym myśleć, bo albo bym oszalał, albo poszedł do więzienia.

Uśmiechnąłem się i znów spojrzałem przed siebie, na grupkę, która jak zwykle grała w piłkę, potem przeniósłem wzrok na tych skaczących na skakance. Wyglądało na to, że wszyscy dobrze sobie radzą.

O nie! W moją stronę znów szedł ten grubasek.

– Cześć – przywitał się, patrząc na mnie zarazem smutnymi i uradowanymi oczami.

– Cześć. Skakałeś na skakance?

– Tak, ale od razu odpadłem.

– Takie rzeczy się zdarzają.

– Mogę dziś do ciebie przyjść?

– Do mnie? A po co?

– Chyba fajnie mieć gości?

Uśmiechnąłem się do niego.

– Owszem, to prawda, ale dzisiaj nie bardzo mi pasuje. Zamierzam pracować. Ale któregoś dnia weź kolegę i zajrzyjcie do mnie.

– Dobrze.

Sprawdziłem godzinę na zegarku wyjętym z kieszeni.

– Do dzwonnka zostały dwie minuty – stwierdziłem. – Jeśli będziemy iść wolniutko, to akurat dotrzemy do szkoły.

Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę wejścia.

Andrea i Hildegunn, z rękami w tylnych kieszeniach spodni, obserwowały nas, stojąc pod oknem Richarda.

– *Truczina* jest taka nudna – powiedziała Andrea. – Nie możemy tego na coś zmienić?

– To klasyka literatury norweskiej – odpowiedziałem.

– A my to olewamy – oświadczyła Hildegunn.

Pogroziłem im palcem.

Roześmiały się i zaraz rozległ się dzwonek.

W sobotę grałem swój pierwszy mecz, na naszym własnym boisku. Mieliśmy zielone koszulki w wąziutkie białe paski, białe spodenki, zielone getry. Grałem na pozycji środkowego obrońcy. Nils Erik drobił wzdłuż linii bocznej w kalesonach, na które naciągnął szorty.

Sporo ludzi przyszło obejrzeć mecz. Większość stała przy jednym dłuższym boku boiska, kilka

osób na górcie po drugiej stronie. Przyszły też Vivian i Andrea. Pomachałem do nich, zanim mecz się zaczął, a kiedy kilka minut później ktoś zaczął krzyczeć: „Dalej, Karl Ove!”, spojrzałem na nie z uśmiechem. To Vivian wołała, a Andrea ciągnęła ją za kurtkę, chcąc ją zmusić, żeby zamilkła.

Wygraliśmy jeden zero. Po meczu w szatni zrobiło się wesoło. Wszyscy wybierali się gdzieś, żeby oblać zwycięstwo, większość do Finnsnes, jak się zorientowałem, i nie zabrakło propozycji, abym też się z nimi zabrał. Ale nie mogłem. Przecież miała przyjść Irene.

Po drodze do domu zajrzałem do szkoły, do pokoiku z telefonem, i zadzwoniłem do Yngvego.

– Co słychać? – spytałem.

– W porządku.

– A gdzie list, który mi obiecałeś?

– A, list. Miałem trochę innych spraw na głowie.

– Na przykład jakich?

– Na przykład takich, że koniec z Kristin.

– Koniec?

– Tak

– Dlaczego?

– Ty pytasz mnie, a ja ciebie.

Zapadło milczenie.

– Wiesz, właśnie wychodziłem. Wybieram się do klubu filmowego. Pogadamy kiedy indziej, dobra?

– Dobra.

Rozłączyliśmy się, włożyłem kurtkę, zamknąłem drzwi na klucz i wyszedłem. Niebo było szare, od morza wiał silny wiatr. Fale na środku fiordu miały białe grzywy. W domu wsadziłem do piekarnika gotową lasagne, zjadłem ją bezpośrednio z białej plastikowej tacki, popiłem piwem. Właśnie otwierałem drugie, kiedy przed domem zatrzymał się samochód.

Na pewno do mnie, pomyślałem i od razu mi stanął. Kiedy sekundę później rozległ się dzwonek do drzwi, włożyłem rękę do kieszeni, żeby to ukryć, i otworzyłem.

– Cześć – powiedziała Irene.

Samochód zatrząbił i odjechał.

– Cześć – przywitałem ją.

Zrobiła krok i mnie objęła. Wyjąłem rękę z kieszeni, bo też chciałem ją uściskać, jednocześnie się odchylając, żeby niczego nie poczuła.

– Cieszę się, że cię widzę. Nie mogłam się już doczekać, kiedy do ciebie przyjadę. Prawie liczyłam godziny!

– Ja też. Wejdz.

– Będę jednak musiała wieczorem wrócić – zapowiedziała. – Ale mamy jeszcze dużo czasu. Przyjadą po mnie dopiero o wpół do dwunastej. Może tak być?

– Oczywiście.

Odstawiłem piwo na kuchenny blat, otworzyłem butelkę białego wina i nalałem do dwóch kieliszków. Jeśli miało mi się powieść, musiałem się napić, i to czegoś mocniejszego niż piwo. To było oczywiste.

– Na zdrowie. – Popatrzyłem jej w oczy.

– Na zdrowie. – Uśmiechnęła się.

Nastawiłem płytę Chrisa Isaaka, wymyśliłem to już wcześniej. Przytłumiona melancholijna muzyka miała też w sobie atmosferę lekkiej dzikości, która pasowała idealnie.

Irene usiadła na kanapie. Zająłem miejsce obok, ale nie tuż przy niej. Była w tej samej białej bluzce, którą miała na sobie podczas swojej pierwszej wizyty. Nie patrzyłem na jej ciężkie piersi pod bluzką, ale byłem ich świadom, podobnie jak ud, opiętych niebieskimi dżinsami.

Ach.

– Fajnie było w Finnsnes ostatnio – powiedziała.

– Tak, fajnie. Oni ze sobą chodzą?

– Eriki Hilde?

– Tak

Roześmiała się.

– Nie, są ciotecznym rodzeństwem. Przyjaźnią się od zawsze. Są ze sobą tak blisko. – Pokazała mi dwa splecione palce.

– A ty masz rodzeństwo?

– Nie, nie mam. A ty?

– Tak, brata.

– Starszego czy młodszego? Zaczekaj, zgadnę. Starszego?

– Skąd wiedziałas?

– Bo sam nie jesteś typem starszego brata.

Uśmiechnąłem się i dolałem wina. Opróżniłem kieliszek jednym haustem.

– Masz rację – powiedziałem. – Ale mam też siostrę. Przyrodnią.

– Zapomniałeś o tym?

– Ona ma zaledwie kilka dni.

– Naprawdę?

– Tak. Dopiero się urodziła. Jeszcze nawet jej nie widziałem. Mój ojciec ożenił się drugi raz.

Zapadła cisza.

Patrzyliśmy na siebie uśmiechnięci.

Cisza się przedłużała.

To się musiało stać teraz. Nie mogliśmy już dłużej tego przeciągać. To się musiało stać teraz. Chociaż w ogóle nie czułem, żeby wino podziało.

– Co robią twoi rodzice? – spytałem, przeklinając się w duchu, bo bardziej gaszącego nastrój pytania nie dało się wymyślić.

Ale Irene grzecznie odpowiedziała:

– Tata jest rybakiem, a mama gospodynią domową. A twój?

– Ojciec jest nauczycielem w gimnazjum, mama uczy w szkole pielęgniarskiej.

– I ty też jesteś nauczycielem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni!

– Nie jestem prawdziwym nauczycielem. I nie zamierzam nim być.

– Nie podoba ci się to?

– Podoba, ale nie chcę poświęcać życia na uczenie. Przyjechałem tu tylko na rok i pracuję wyłącznie po to, żeby odłożyć pieniądze.

– A na co chcesz poświęcić życie?

– Będę pisał. Zostanę pisarzem.

– Naprawdę? To bardzo ciekawe.

– No właśnie. Nie wiadomo tylko, czy mi się uda.

– Nie wiadomo. Ale uda ci się na pewno.

Popatrzyła mi w oczy.

– Napijesz się jeszcze wina? – spytałem.

Kiwnęła głową, więc jej dolałem. Wypiła łyk. Potem wstała i podeszła do biurka.

– To tutaj piszesz? – spytała.

– Tak.

Wyjrzała przez okno.

Jednym łykiem opróżniłem kieliszek, wstałem i podszedłem do niej. Poczulem aromat jej perfum, lekki, świeży, przypominający zapach łąki.

– Całkiem ładny masz widok – stwierdziła.

Przełknąłem ślinę i delikatnie ją objąłem.

Jakby na to czekała, bo odchyliła głowę, a ja przytuliłem się policzkiem do jej policzka i ostrożnie pogłaskałem ją rękami po brzuchu. Odwróciła się w moją stronę, leciutko ją pocałowałem.

– Ach! – westchnęła i zarzuciła mi ręce na szyję. Całowaliśmy się długo. Przycisnąłem się do niej i zacząłem całować ją w szyję, policzek, w nagie ramię. W uszach słyszałem szum, w piersi mi pulsowało.

– Chodźmy do sypialni – powiedziałem, biorąc ją za rękę. Położyła się na łóżku, ja na niej. Drżącymi rękami rozpiąłem jej bluzkę, pod spodem miała biustonosz, niezdarnie usiłowałem go zdjąć. Roześmiała się wtedy i usiadła. Sięgnęła za plecy, rozpięła haftki, biustonosz opadł, odsłaniając jej nagie piersi. O mój Boże, były takie duże i cudowne. Całowałem je z drżeniem, najpierw jedną, potem drugą. Brodawki pod moimi wargami zeszywniały, a Irene zaczęła wzdychać, mocowałem się z guzikami jej spodni, aż w końcu udało mi się je rozpiąć, rozebrałem ją, zerwałem własne spodnie, ściągnąłem sweter przez głowę i znów się na niej położyłem. Czułem jej skórę przy mojej skórze, cudownie miękka. Przycisnąłem się do niej, tak mocno jak jeszcze nigdy dotąd, ocierałem się o nią, w myślach powtarzając: nie, do diabła, tylko nie teraz! Nie znów!

Ale niestety, jedno drgnięcie, jeden skurcz i już było po wszystkim.

Znieruchomiałem.

– O co chodzi? – spytała, przyglądając mi się. – Coś się stało?

Uniosła się lekko na łokciach.

– Nic. – Odwróciłem się trochę. – Strasznie mi się zachciało pić. Chyba coś przyniosę z kuchni. Ty się napijesz?

Gdybym teraz wyszedł bez zwracania na siebie uwagi, to mógłbym coś „rozlać”, żeby ta wielka mokra plama na moich slipach wyglądała na sok, a nie na spermę. I nawet mi się to udało. Stałem przed lodówką, otworzyłem karton z sokiem jabłkowym, trochę nalałem do szklanki, a trochę wylałem sobie na slipy i na brzuch.

– Cholera! – wrzasnąłem.

– Co się stało? – spytała z sypialni.

– Nic. Sok mi się rozlał. A ty chciałaś coś do picia czy nie?

– Nie, dziękuję.

Kiedy do niej wróciłem, okryła się kołdrą i przyciskała ją do siebie. Przysiadłem na brzegu łóżka ze szklanką w dłoni. Właściwa chwila minęła, straciłem szansę. Teraz chodziło już tylko o to, żeby jakimś cudem wybrnąć z tej sytuacji.

– O, dobrze było się napić – powiedziałem. – Zapalimy? Nie paliłem od twojego przyjścia. Najwyraźniej mnie rozpraszasz.

Uśmiechnąłem się i wstałem, niby w przelocie wciągnąłem spodnie i sweter, poszedłem do salonu i nastawiłem płytę. Tym razem The Housemartins. Chris Isaak ze swoimi hipnotycznymi nastrojami nie był już do niczego potrzebny. Potem usiadłem na kanapie, nalałem wina, skręciłem papierosa. Po niedługiej chwili przyszła Irene, też już ubrana.

Jak u diabła, się z tego wykaraskać?

Czy da się uznać obecną sytuację za punkt zerowy i potem znów dotrzeć na te wyżyny, na których jeszcze przed chwilą się znajdowaliśmy?

Całe napięcie minęło. Irene usiadła na drugim końcu kanapy, lekko rozczochrane włosy odgarnęła na bok sięgnęła po kieliszek. Spojrzała na mnie z uśmiechem i z błyskiem w oku.

Ścisnęło mnie w piersi.

Czyżby ze mnie drwiła? Ponieważ się nie sprawdziłem?

– Chyba zacznę się w tobie na serio zakochiwać, Karlu Ove Knausgårdzie.

Co?

Naśmiewała się ze mnie?

Ale w jej oczach nie dało się wyczytać niczego podobnego, widać w nich było tylko ciepło, radość i szczerść.

Co sobie myślała? Może wydawało jej się, że zrezygnowałem z niej i z tego wszystkiego, co miała do zaoferowania, w przypływie rycerskości? Nie rozumiała, że nie potrafiłem tego zrobić? Że nigdy nie będę mógł? Że kryje się we mnie w pewnym sensie kaleka, nieudacznik?

– Ty też mnie trochę lubisz? – spytała.

– Jasne – odpowiedziałem. Ale uśmiech, który jej posłałem, nie wyglądał na szczególnie

przekonujący. – Wiesz co? A może byśmy tak poszli na spacer? Jeszcze jest ładnie.

– Dobrze. Świetny pomysł. Chodźmy.

Pożalowałem tego, gdy tylko wyszliśmy za próg. Tutaj była tylko jedna trasa spacerowa, a mianowicie droga między domami i z powrotem. Nawet na odcinku jednego metra nie mogliśmy być sami, wszędzie nas widziano.

Irene ujęła moją rękę i spojrzała na mnie z uśmiechem. Lekki ucisk jej dłoni, który od czasu do czasu czułem, a także sama jej bliskość, bo przecież znajdowała się w odległości zaledwie kilku centymetrów ode mnie, sprawiły, że pożądanie wróciło. Wokół nas krajobraz odpoczywał. Morze zupełnie zamarło. Kilka nieruchomych chmur wisiało na horyzoncie i nad górami po drugiej stronie, niemal zupełnie czarnymi o zmierzchu. Miałem ochotę przewrócić Irene na ziemię i tak ją wziąć. Ale tego zrobić nie mogłem. Nie tutaj. Nigdzie. Nawet w domu. Przecież przed chwilą próbowałem i się nie udało. Nie poszło. Byłem blisko krzyku, wrzasku, tak bardzo jej pragnąłem i miałem szansę ją mieć, ale po prostu nie potrafiłem.

Mrok unosił się nad podłogą morza, między ścianami gór, pod sufitem nieba. Zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy, dookoła nie widać było żywej duszy.

– Zamierzasz wrócić do Kristiansand, kiedy minie ten rok? – spytała Irene.

– Z całą pewnością nie. To ostatnie miejsce na ziemi, w którym chciałbym mieszkać.

– Takie okropne?

– Nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Mam pojęcie. Tata ma w okolicy rodzinę.

– Tak? A gdzie?

– Wydaje mi się, że ta miejscowość nazywa się Vågsbygd, ale nie bardzo pamiętam.

– Rzeczywiście, jest taka.

Dotarliśmy do zakrętu na końcu wioski, tam gdzie stała kaplica. Irene się zatrzymała, objęła mnie.

– Jesteśmy teraz parą? – spytała. – Prawda?

– Tak – zapewniłem.

Pocałowaliśmy się.

– Mój pisarzu. – Uśmiechnęła się.

Tym razem ewidentnie ze mnie kpiła. Ale trochę jej to również imponowało.

Boże, kiedy to się skończy. Ledwie mogłem iść, taki byłem podniecony jej bliskością.

Poszliśmy dalej, opowiadała trochę o tym, co robi w Finnsnes, a ja o tym, co robiłem w Kristiansand.

Kiedy zbliżaliśmy się do mieszkania i zobaczyłem już szkołę, wznoszącą się jak coś w rodzaju niedużej socjaldemokratycznej twierdzy, przyszło mi nagle do głowy, że moglibyśmy tam pójść. Wejść na pływalnię i się wykapać. Wziąć razem prysznic, iść razem do sauny, razem popływać. Ale już w chwili, gdy zacząłem to sobie wyobrażać, przeświadczenie, że i tak nie będę w stanie, że nie dam rady, że tam ukrycie tego będzie niemożliwe, wbiło mi szpony w pierś.



Wrócićiliśmy do mieszkania, rozmawialiśmy, wypiliśmy jeszcze trochę wina. Chwile milczenia stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej kłępujące. Na szczęście wreszcie nadeszła umówiona godzina, mogłem odprowadzić Irene do drzwi i pocałować na pożegnanie.

W drodze do samochodu na moment się odwróciła. Oczy jej promieniały. Wsiadła, trzasnęła drzwiczkami i odjechała.

Następnego dnia usiłowałem pisać. Nie szło mi za dobrze. Poczucie kłęski poniesionej poprzedniego wieczoru przesłaniało wszystko inne. Nie tylko pojedyncze godziny z ich zawartością, lecz całe moje przekłete życie. Znałem tego powód, chociaż był on w pewnym sensie niezdefiniowany, otoczony niejasnością, skrywany głęboko, bardzo głęboko, w mglistej krainie moich myśli.

Sprawa przedstawiała się tak, że nigdy się nie onanizowałem, nigdy nie waliłem konia, nigdy nie zabawiałem się sam ze sobą. Teraz miałem już osiemnaście lat, a do czegoś takiego nigdy nie doszło. Ani razu. Nawet nie podjąłem próby. Niejasność związana z tą sprawą polegała na tym, że wiedziałem, a jednocześnie nie wiedziałem, jak to należy robić. A skoro nie próbowałem tego jako dwunasto- czy trzynastolatek, zadziałał czas i coś takiego po prostu nie mieściło mi się w głowie, nie dotyczyło kategorii nieprzyzwoitości, tylko zwyczajnie pozostawało poza moim horyzontem. Bezpośrednim rezultatem tego były niestety także bezustanne zmyzy nocne. Śniły mi się kobiety, a we śnie niepotrzebny był nawet dotyk, wystarczyło mi patrzeć na ich piękne, zgrabne ciała i już miałem wytrysk. Kiedy się do nich we śnie zbliżałem, znów się to powtarzało. Cały drżałem i budziłem się w slipach na wy lot przemoczony ch spermą.

W okresie dorastania tak jak wszyscy oglądałem pisma pornograficzne, ale zawsze razem z innymi, w lesie z Geirem czy Dagiem Lotharem albo innymi chłopakami, nigdy sam, ani razu nie przyniosłem pornosa do domu, bo nie miałem odwagi. Niewiele było rzeczy, które wydawały mi się cielsawsze i bardziej podniecające od przerzucania gazetek pornograficznych, ale pożądanie, które we mnie budziły, nigdy nie skłoniło mnie do onanizmu, bo zawsze był przy tym ktoś jeszcze. Co najwyżej potrafiłem położyć się na brzuchu i oglądając zdjęcia, ocierać się podbrzuszem o ziemię. Kiedy byłem w domu sam, zdarzało mi się oglądać liczne katalogi firm wysyłkowych, tak popularne w tamtych czasach. Gapilem się na modelki prezentujące bieliznę albo kostiumy kąpielowe i w gardle mnie ścisnęło, kiedy patrzyłem na materiał miękko obciskający wzgórek między ich udami albo na sutki, czasami widoczne pod biustonoszem lub górą od bikini. Ale na tym się kończyło, na ściśniętym gardle, na szybko walącym sercu, nigdy jednak się nie onanizowałem. Nigdy nie był to rezultat świadomej decyzji, niczego sobie nie nakazywałem, nie upominałem się, że mam tego nie robić, wszystko to było mgliste, niewyraźne, podświadome i mroczne. Kiedy wszedłem w wiek nastoletni, było już za późno. Czas oglądania pornografii w lesie minął i nic go nie zastąpiło. Jako nastolatek nie obejrzałem żadnego filmu pornograficznego, nie przerzuciłem żadnej gazetki z rozbieranymi zdjęciami. Pożądanie nigdy nie skupiło się na jednym punkcie, tylko się rozpostarło, ogromne, bezwolne i nie do opanowania. Gdzieś w głębi świadomości wiedziałem, że moja sytuacja z dziewczynami czy konkretnie z Irene, bo to o nią w tej chwili chodziło, poprawiłaby się radykalnie, gdybym tylko zaczął się onanizować. A jednak tego nie zrobiłem. Chociaż to wiedziałem, to jednocześnie jakbym o tym nie wiedział, masturbacja nie mieściła mi się w głowie. Właśnie w takim punkcie znajdowałem

się tego dnia, z zapachem Irene wciąż tkwiącym w pościeli. Powiniennem i chciałem to zrobić, ale nie potrafiłem.

Zamiast tego puściłem na cały regulator Led Zeppelin, zmobilizowałem całą koncentrację i popędziłem z nowym opowiadaniem. Kiedy zapadła ciemność, pozwoliłem jej przeniknąć do mieszkania, z wyjątkiem biurka, na którym mała lampka świeciła jak wyspa wśród mroku. Pomyślałem sobie, że ja i moje pisanie też jesteśmy taką rozświetloną wyspą. Potem się położyłem i spałem, dopóki nie zadzwonił budzik. Zaczął się kolejny poniedziałek w Szkole Podstawowej i Gimnazjum w Håfjord.

Gdy tylko wszedłem do klasy, uczniowie zaczęli sobie żartować ze mnie i z Irene.

Pozwalałem im na to przez chwilę, ale potem, patrząc surowo, oświadczyłem, że dość już tych wygłupów, musimy brać się do roboty, jeżeli ma z nich coś wyrosnąć. Wyjęli książki i wzięli się do pracy, a ja chodząc po klasie, pomagałem im, z przyjemnością obserwowałem, jak się uspokajają i w grupce rozchichotanych, nakręcających się nawzajem dzieciaków każde po prostu zaczyna być sobą.

Kiedy tak siedzieli, nie gadając i nie patrząc na innych, pochłonięci własnymi zadaniami, ich wiek nagle jakby się zacierał. Owszem, wciąż widziałem, że są dziećmi, ale w tej chwili to nie dziecięcość ich definiowała, tylko osobowość, to, kim byli naprawdę i kim najprawdopodobniej mieli zostać już na zawsze.

W klasie niewiele myślałem o Irene, cała ta sprawa wróciła do mnie dopiero po szkole, kiedy już byłem sam w mieszkaniu, odezwała się w postaci czegoś w rodzaju szumu w głowie. Wtedy też przyszła rozpacz. Jedno zawsze wiązało się z drugim. Irene o coś chodziło, chciała czegoś ode mnie, a ja, chociaż ją polubiłem, to jednak się w niej nie zakochałem, świadczył o tym już choćby fakt, że nie mieliśmy o czym rozmawiać. Owszem, pożałowałem jej, ale nic więcej.

Czy ona zakochała się we mnie?

Szczerze w to wątpiłem. Chyba bardziej liczyła się moja inność, to, że nie wywodzę się z grupy jej kolegów z klasy, tylko jestem nauczycielem, pozostając zarazem jej rówieśnikiem, a nie starym, trzydziesto- czy czterdziestolatkiem, w dodatku nie stąd, tylko z południa kraju.

Za rok miałem wyjechać, ona – zostać i pójść do ostatniej klasy liceum. To chyba nie najlepsze podstawy do związku? Poza tym chciałem przecież pisać, więc nie mogłem blokować sobie wszystkich weekendów, jak zapewne by się stało, gdybyśmy związali się na poważnie. Obracałem argumenty w głowie na wszystkie możliwe strony.

We wtorek graliśmy mecz, godzinę jechaliśmy na boisko, jak się okazało, zwirowe, unosiło się na nim tyle kurzu, że zawodnicy przypominali cienie beduinów. Przegraliśmy o włos, ale po zamieszaniu w narożniku udało mi się strzelić przynajmniej jedną bramkę. W środę po raz pierwszy dostałem pocztą „Vinduet”, nowe czasopismo, które zaprenumerowałem. Głównym jego tematem był stosunek literatury do innych form sztuki, nic z tego nie mogłem pojąć, ale już sam fakt, że na moim biurku w salonie leżał magazyn literacki, uważałem za wielką rzecz. Wieczorem zajrzała Hege, wcześniej trochę pracowała w szkole i w powrotnej drodze do domu impuls kazał jej wpaść i sprawdzić, jak się miewam. W czwartek pojechałem z Nilsem Erikiem do Finnsnes, odwiedziliśmy monopolowy i bibliotekę, kupiłem butelkę wódki i wypożyczyłem

dwie powieści Tomasza Manna, *Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla* i *Doktora Faustusa*. W piątek poszedłem do szkoły, żeby zadzwonić do Irene. W pokoju nauczycielskim nikogo nie było, więc się nie spieszyłem, zaparzyłem dzbanek kawy w ekspresie, trochę pooglądałem telewizję, trochę się pokręciłem. W końcu wszedłem do pokoiku z telefonem, kartkę z numerem położyłem na aparacie, wykręciłem cyfry i przysunąłem słuchawkę do ucha.

Odebrała jej matka. Przedstawiłem się, zawołała: „Irene, Karl Ove do ciebie!”, usłyszałem kroki i stuknięcie przy poruszeniu słuchawki.

– Cześć – odezwała się Irene.

– Cześć.

– Co u ciebie? Coś się wydarzyło? Masz taki poważny ton.

Lekką chrypkę stale obecną w jej głosie słycać było przez telefon wyraźniej, bo nic nie odrywało od niej uwagi. Głos brzmiał niesamowicie seksownie.

– No, nie wiem... – zacząłem.

Nie wiedziałem wielu rzeczy, gdy chodziło o nią. Bo czy właściwie nie byłem pierwszym lepszym? Na miłość boską, przecież spotkaliśmy się w a u t o b u s i e! A ona bez cienia oporu chciała mi się oddać, od razu położyła się na łóżku, gotowa na wszystko.

– No powiedz – poprosiła.

Co ja robiłem? Chciałem z nią zerwać przez telefon? To tchórzostwo. Takie sprawy załatwia się twarzą w twarz.

– Nie, nic. Tylko że... Akurat nie najlepiej się czuję. Ale to nic poważnego. Trochę jestem przygnębiony.

– Dlaczego? Coś się stało? Tęsknisz za domem?

– Może i tak. Ale właściwie nie wiem. Będzie dobrze. Do jutra mi przejdzie.

– Takbym chciała cię pocieszyć! Stęskniłam się za tobą.

– A ja za tobą – zapewniłem.

– To co, nie możemy się jutro spotkać?

Gdyby ktoś miał po nią przyjechać o dwunastej, tak jak ostatnio, to zerwanie byłoby prawie niemożliwe, bo musiałyby nastąpić od razu, nie można przecież przebywać ze sobą przez cztery godziny, prawdopodobnie znów trafić do łóżka, a potem nagle zerwać. Ale gdybym zerwał z nią od razu, to gdzie by się podział do przyjazdu samochodu?

– Nie uda mi się – powiedziałem. – Już się umówiłem. Ale może w niedzielę.

– W niedzielę wracam do Finnsnes.

– Przyjedź najpierw tutaj! Potem pojedziesz autobusem stąd.

– Może i tak. Właściwie dobrze, tak zrobię.

– Świetnie. Wobec tego do zobaczenia.

– Tak, do zobaczenia. Trzymaj się na razie.

– I ty się trzymaj, Irene.

Następnego dnia przed południem zatrzymali mnie młodzi rybacy stojący przed sklepem, spytali, co u mnie, odpowiedziałem, że w porządku, zaproponowali, żebym wieczorem przyszedł na imprezę, spytałem gdzie, wyjaśnili, że to nie będzie nic wielkiego, zamierzają tylko trochę posiedzieć i popić u Edvalda, i że nie muszą nawet przynosić nic do picia, mają dość swojego alkoholu.

Po rozstaniu z nimi rozmyślałem w drodze do mieszkania o tej zaskakującej otwartości tutejszych ludzi, zapraszali mnie wszędzie, chociaż nie byłem jednym z nich, więc zastanawiałem się, dlaczego tak jest. Co im po kimś z Kristiansand, kto chodzi w czarnym płaszczu i berecie, ma wyrefinowany gust muzyczny, po co go ciągać ze sobą wieczorami? W Kristiansand każde wyjście wymagało planowania, należało przewyciężyć wiele przeszkód, nie wystarczyło ot tak pojawić się u kogoś w domu czy przysiąść się w knajpie do stolika jakiegoś dalekiego znajomego. Tam wszyscy mieli swoje kręgi, a jeśli się do żadnego takiego kręgu nie należało, to właściwie pozostawało się poza nawiasem. Możliwe, że podobne kręgi istniały również tutaj, lecz w takim razie nie były ostatecznie zamknięte. W ciągu tych kilku tygodni, jakie tutaj spędziłem, największe zdumienie wzbudziło we mnie odkrycie, że wszystkim tu akceptowano. Niekoniecznie lubiano, ale zawsze akceptowano. Przecież nie musieli mnie przywoływać i zapraszać do siebie, ale właśnie tak się zachowywali, i to nie tylko niektórzy, lecz wszyscy.

Może po prostu byli do tego zmuszeni? Może dlatego, że w wiosce mieszkało tak niewiele ludzi, nie stać ich było na to, żeby z kogokolwiek rezygnować? A może zwyczajnie mieli inne nastawienie do życia, bardziej brutalnego tutaj, bardziej bezwzględного? Jeśli się żyło na pokładzie kutra, ciężko harowało fizycznie każdego dnia i zaczynało pić natychmiast po zejściu na ląd, to nie było powodu, by przejmować się wszystkimi tymi maleńkimi, kojarzącymi się z werkiem zegarka mechanizmami społecznymi i różnicami między ludźmi. W takim kontekście nie dziwiło machnięcie ręką i zaproszenie: Chodź, siadaj tu z nami, napij się trochę, a słyshałeś, jak..

Z górki zjeżdżały na rowerach damkach Vivian, Live i Andrea. Mijając mnie, pozdrowiły mnie machaniem rąk, miały rozwiane włosy i mrużyły oczy od wiatru. Uśmiechałem się do siebie jeszcze długo po tym, jak przejechały. Były takie zabawne, tę ich wielką powagę zdawała się od środka rozsadać równie wielka dziecinna radość.

Parę godzin spędziłem nad opowiadaniem o chłopcach, którzy gwoździami przybili kota do drzewa. Podgrzałem w piekarniku gotowe danie na obiad, położyłem się na kanapie i czytałem *Doktora Faustusa*, dopóki na zewnątrz nie zaczęło się ściemniać, bo wtedy już musiałem zacząć szykować się do wyjścia.

Nie czytałem wcześniej Tomasza Manna. Podobał mi się ten staroświecki, uroczysty, drobiazgowy styl i przypadły mi do gustu początkowe sceny, kiedy główni bohaterowie są dziećmi i ojciec jednego z nich, Adriana, pokazuje im eksperymenty z martwą materią, którą skłania do tego, by zachowywała się jak żywa – były fantastyczne, miały w sobie coś przerażającego, co najpierw umiejscawiało się na samym przedzie świadomości, a później jakby opadało na jej dno. Przypomniało mi się odslonięte serce, które widziałem w telewizji jako dziecko. Pulsowało, zalewane krwią, wyglądało trochę jak ślepe zwierzątko. Było żywe i należało do innej sfery niż materia w eksperymentach ojca Adriana, ale ślepotą była taka sama, jak również podleganie pewnym prawom, poruszanie się z uwagi na nie, a nie na samą swą istotę.

Nie dotarło do mnie to, co miało związek z muzyką i z teorią muzyki, ale do tego byłem przyzwyczajony – w takich powieściach zawsze mieściły się wielkie obszary, przez które jedynie przelatywałem, niczego nie pojmując, mniej więcej tak jak wtętów po francusku, które tak często nagle się pojawiały w niektórych książkach.

Wziąłem prysznic, przebrałem się, włożyłem do torby butelkę wódki i ruszyłem w stronę domu Edvalda, rybaka nieco starszego od pozostałych młodych ludzi, miał około trzydziestu pięciu lat, był kawalerem i nie wylewał za żołnierz. Przesiedziałem tam prawie do piątej rano i wróciłem do domu z głową równie pustą i wymięcioną jak tunel bez samochodów. Kiedy się obudziłem koło drugiej następnego dnia, nic nie pamiętałem, oprócz tego, że stałem na przystani i przyglądałem się morskim ptakom kołyszącym się na wodzie, zastanawiając się, czy śpią, no i że stanąłem, żeby się wysilić, przy krótszej ścianie sklepu. Wszystko inne całkiem mi przepadło. Wszelkie szczegóły i pojedyncze chwile zniknęły jak zdmuchnięte. Ponieważ wypilem całą butelkę wódki, bo właśnie tak się tutaj piło, obudziłem się wciąż jeszcze trochę pijany. Pisanie nie wchodziło w grę. Ułożyłem się więc na łóżku, żeby poczytać, ale i to mi nie szło. Myśli tkwiły jakby zanurzone w żółtym płynie, nagle stały się czymś, czemu się przyglądałem. Gdy przestawałem się wysilić, mijało również to wrażenie, za to zaczynałem czuć się tak, jakbym w tym żółtym płynie cały się zanurzył.

Kilka minut przed piątą rozległ się dzwonek do drzwi. Zdążyłem znów zasnąć, ale poderwałem się z łóżka. To była Irene.

Otworzyłem jej.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do mnie. Obok niej na ziemi stała torba podróżna.

Zrobiłem dwa długie kroki w tył, żeby nie mogła mnie objąć.

– Cześć – powiedziałem. – Wejdziesz czy nie?

W jej oczach pojawiło się zdziwienie.

– O co chodzi, Karl Ove? Coś nie w porządku?

– W zasadzie chyba tak. Musimy porozmawiać.

Wpatrywała się we mnie.

– Nie mówiłem ci tego wcześniej – zacząłem – ale przed przyjazdem tutaj miałem dziewczynę. Kilka dni później dostałem od niej list. Zerwała ze mną. Chyba jeszcze nie do końca się z tym pogodziłem, rozumiesz? No a między nami zaczęło się na poważnie... A na razie jeszcze nie mam w sobie na to miejsca. Jest za wcześnie, rozumiesz? Ogromnie cię lubię, ale...

– Zrywasz? – spytała. – Jeszcze zanim cokolwiek się zaczęło?

Pokiwałem głową.

– Chyba tak.

– Szłoda – powiedziała. – Bardzo cię polubiłam.

– Mnie też jest przykro. Ale tak się po prostu nie da, czuję, że postąpiłbym nieuczciwie.

– No to nie powinniśmy się wiązać. W takim razie życzę ci powodzenia.

Podeszła, uściskała mnie, potem chwyciła torbę, odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Już idziesz? – spytałem.

Obejrzała się.

– Przecież nie będę teraz siedzieć u ciebie. Po co?

– Ale do przyjazdu autobusu jeszcze dużo czasu.

– To nic. Wyjdę mu naprzeciw. Wsiądę gdzieś po drodze.

Kiedy zobaczyłem, jak schodzi z góry z torbą w rękę, kierując się w stronę drogi biegnącej wzdłuż fiordu, pożałowałem. Przepadła mi wielka szansa. Ale jednocześnie czułem ulgę, że odbyło się to tak bezboleśnie. Już po wszy stkім. Nie było o czym myśleć.

Dni stawały się coraz krótsze, następowało to szybko, dosłownie jakby biegły ku ciemności. Pierwszym śniegiem sy pnęło w połowie października, ale zniknął po kilku dniach, lecz gdy na początku listopada spadł następny, to już na serio, sy pało dzień po dniu i wkrótce wszystko otuliły grube białe poduchy, z wyjątkiem morza, które ze swoją mroczną, czystą powierzchnią i ogromną głębią sprawiało wrażenie czegoś obcego, groźnego, trochę jak morderca czyhający w sąsiednim domu, z blyszczącym nożem odłożonym na kuchenny stół.

Śnieg i ciemność odmieniły Hålfjord nie do poznania. Kiedy tu przyjechałem, niebo było wysokie, pełne światła, morze ogromne, a pejzaż tak otwarty, że wioska z domkami słoczonymi koło siebie jakby nie była w stanie niczego zachować na dłużej i ledwie w ogóle dochodziła do głosu. Odnosiło się wrażenie, że nic się tu nie zatrzymuje. Potem przyszyły śnieg i ciemność. Niebo opadło, nasuwając się na dachy jak pokrywa. Morze zniknęło, jego czerń zlała się z czernią nieba, horyzont przestał być widoczny. Zniknęły nawet góry, a wraz z nimi poczucie przebywania w rozległym otwartym pejzażu. Zostały tylko domy, w których świeciło się na okrągło przez całą dobę, stale otoczone ciemnością, a ich światła stawały się centralnymi punktami, ku którym wszystko ciążyło.

Na drogę schodziły lawiny, uruchomiono prom, i już sam ten fakt, że z wioski można było się wydostać jedynie dwa razy dziennie, wzmógł poczucie, że to jedyne miejsce na ziemi, a mieszkający tu ludzie są jedynymi ludźmi. Ciągłe dostawałem mnóstwo listów i poświęcałem dużo czasu na odpisywanie, ale tamto życie, które reprezentowały, przestało się liczyć, bo liczyło się to, co było tutaj. Rano wstać, wyjść na zadymkę, pod górkę do szkoły i na lekcje. Spędzić dzień w tym niskim, rozświetlonym bunkrze, przyciskanym do ziemi przez ciemność, zrobić zakupy, wrócić do domu, zjeść obiad, a wieczorem albo poćwiczyć w sali gimnastycznej razem z najmłodszymi rybakami, poglądając telewizję w szkole, wykłapać się w basenie, albo posiedzieć w domu, poczytać lub popisać do takiej pory, kiedy można już iść do łóżka i przespać martwe godziny aż do rozpoczęcia kolejnego dnia.

W weekendy piłem. Zawsze znalazł się ktoś, kto proponował mi wyjazd do Finnsnes albo do jakiejś innej wioski, odległej o kilka godzin jazdy samochodem, rzecz jasna, jeśli droga była otwarta. Gdy ją zamykano, zbierano się u kogoś w Hålfjord, zawsze znalazło się miejsce, w którym się piło, i zawsze z chęcią witano towarzystwo. Nie odmawiałem, piłem z nimi, butelka wódki opróżniana w ciągu wieczoru przestała być wyjątkiem, a stała się regułą, więc niemal zawsze następnego dnia z wędrówki do domu nic nie pamiętałem. Raz wypadłem z autobusu należącego do zespołu muzycznego i ruszyłem drogą prowadzącą poza wioskę zamiast w głąb; nikt mnie nie powstrzymał, dopóki nie uszedłem stu metrów ubrany jedynie w koszulę i cienką

marynarke, i już trząsałem się z zimna, gdy w końcu usłyszałem krzyki: „Nie tędy, ty wariacie, tędy!”. Na jakiejś imprezie tańczyłem z młodą nauczycielką z wyspy Husøya, miała na imię Anne, pochodziła gdzieś z Østlandet i była jasnowłosą chłodną pięknoscią, a taka uroda zawsze mnie pociągała, długo całowaliśmy się w kącie korytarza przy szatni, zadzwoniłem do niej kilka dni później, zaprosiłem ją i jej koleżankę do siebie na obiad, z Torem Einaarem i Nilssem Erikiem, ale kiedy znów próbowałem ją pocałować, powiedziała mi, że jest ktoś inny, że ma innego, a to co się zdarzyło na tamtej imprezie, nie powinno się nigdy zdarzyć, mówiła, że w ogóle nie jestem w jej typie, i swojego zachowania nie umiała wytłumaczyć inaczej niż tym, że się upiła. A może jeszcze dlatego, że było ciemno? – usiłowałem obrócić to w żart, ale ona się nie śmiała, to nie było w jej stylu. Zimna i szczerą, taka była Anne.

W inne weekendy w wiosce pojawiała się młodzież, która uczyła się w szkołach gdzie indziej lub studiowała na uniwersytetach, i już sam widok nowych twarzy przynosił ulgę. Za jedną z takich dziewczyn powlokłem się jak pies aż do samych drzwi, miała na imię Tone, była siostrą Franka i córką tej nauczycielki, która mnie nie znosiła. Ale tym w ogóle się nie przejąłem, byłem pijany i gapilem się na nią przez cały wieczór.

Kiedy oświadczyła, że wraca do domu, postanowiłem pójść za nią.

W ciemności na zewnątrz unosiły się drobinki śniegu. W świetle ulicznych latarni Tone szła z pochyloną głową pięćdziesiąt metrów przede mną. Osłoniłem usta szalikiem i ruszyłem za nią. Weszła do domu rodziców. Zanim zamknęła za sobą drzwi, otrzepała buty ze śniegu.

Postałem przed jej domem kilka minut. Uznałem, że bardzo się ucieszy na mój widok, bo przecież cały wieczór chciała się ze mną przespać, prawda?

W oknie kuchni było ciemno, w salonie też, ale z wąskiego okienka na samym końcu domu padało światło.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Nie przejmowałem się zdejmowaniem butów. Rzuciłem okiem na salon, ciemny i pusty, potem ruszyłem korytarzem w stronę otwartych drzwi na jego końcu.

Była w łazience i myła zęby przed lustrem. Usta miała pełne piany.

– Cześć – odezwałem się.

Musiała mnie słyszeć wcześniej, bo ani trochę się nie wystraszyła, kiedy przed nią stanąłem.

– Idź stąd – powiedziała.

Usiadłem na krześle pod ścianą i intensywnie się w nią wpatrywałem, najpierw w jej twarz, potem w piersi pod zielonym wełnianym swetrem.

Pokręciła głową.

– Tracisz czas. Nie masz u mnie żadnych szans – oświadczyła w ten trudny do zrozumienia sposób, w jaki mówią wszyscy z ustami pełnymi piany przy myciu zębów.

– Chcesz, żebym sobie poszedł? – spytałem.

– Owszem – odpowiedziała, więc wstałem i wyszedłem.

Za drzwiami wiatr stawiał opór jak ściana, niósł twarde, lodowate drobiny śniegu. Szkoda, pomyślałem, unosząc głowę i patrząc na rozciągającą się nade mną kolosalną ciemność. Ona jest przecież taka bystra. Tak, niesamowicie bystra. Trochę się błąkałem po zawianej drodze

w rzucałym przez latarnie światło, które na tle śniegu i ciemności wydawało się wręcz zielonkawe, przez co otoczenie kojarzyło się ze światem pod wodą, wreszcie udało mi się trafić z powrotem na tamtą imprezę, która właściwie nie była już imprezą, lecz jedynie stołem zapełnionym szklankami, butelkami, zgniecionymi opakowaniami po papierosach i popielniczkami w całkiem pustym już pokoju. Musiałem stracić wszelkie poczucie czasu, bo przecież to niemożliwe, żebym wyszedł na aż tak długo? Chwilę później straciłem również poczucie przestrzeni, ponieważ dalej pamiętam już tylko przebudzenie w domu.

Za to, że po pijaku robiłem różne rzeczy i niczego sobie nie odmawiałem, pławiąc się w odurzającym poczuciu totalnej wolności, zacząłem w ciągu tych miesięcy płacić wysoką cenę. W liceum albo miałem kaca, albo nie, nigdy nic innego mi nie dokuczało, nawet jeśli pojawiały się jakieś wyrzuty sumienia, to przypominały lekkie nakłuwanie duszy igłą, zawsze wszystko dawało się wykurować dobrym śniadaniem czy wypadem do miasta. Ale tu, na północy, zaczęło być inaczej. Być może przepaść pomiędzy tym, kim byłem zwykle, a tym, kim się stawałem po alkoholu, zbyt się powiększyła. Taka przepaść nie może istnieć w człowieku. Dlatego ten, którym byłem zwykle, zaczął ciągnąć ku sobie tego, którym się stawałem, kiedy piłem. Obie te strony mojej osoby powoli, lecz nieubłaganie zszywały się ze sobą, a łączącą je nicią był wstyd.

O, do diabła, naprawdę to zrobiłem! – rozlegał się krzyk w moim wnętrzu, kiedy leżałem w ciemności dzień później. Cholera, ta kpowiedziałem? I jeszcze to, i to!

Paraliżował mnie strach, czułem się tak, jakby ktoś raz za razem wylewał na mnie wiadro moich własnych odchodów.

Spójrzcie tylko, co za idiota! Kompletny dureń!

Wydobywałem się jednak z tego, rozpoczynałem nowy dzień i zawsze jakoś udawało mi się przetrwać.

Najgorsza była chyba myśl, że w idzie i mnie inni. Że w takie noce wystawiałem się na pokaz. I że ta strona mojej osoby, którą wówczas obnażałem, pozostawała w ich oczach, kiedy patrzyli na mnie w zwykły, powszedni dzień.

Udawałem, że jestem młodym nauczycielem, który stara się jak najlepiej zająć ich dziećmi, takim, jakiego obserwują w drodze na pocztę czy do sklepu, podczas gdy w rzeczy wistoci byłem bełkoczącym, wesołym głupkiem, który co noc ślinał się na widok każdej dziewczyny, gotowym uciąć sobie prawą i lewą rękę, byle tylko któraś poszła z nim do łóżka, ale żadna nie chciała, bo to przecież bełkoczący, zaśliniony dureń.

Również w szkole czasami tak się czułem, chociaż nie przy uczniach, bo w ich obecności kontrolowałem sytuację w zupełnie innym stopniu, i nie przy Nilsie Eriku i Torze Einarze, bo oni przecież wiedzieli, o co w tym wszystkim właściwie chodzi.

Owszem, w szkole kontrolowałem sytuację, lecz to nie powstrzymywało uczucia piekącego w środku bólu również tam, naprzeciwko uczniów, kiedy siedziałem za katedrą na chwilę przed rozpoczęciem serio nowego tygodnia, wciąż mając świeżo w pamięci weekendowe wybryki.

Ucniowie po zdjęciu kurtek rozsiedli się w grubych swetrach, rumiani od mrozu na dworze, niespokojnie wierzili się na krzesłach, wyraźnie mając ochotę jedynie na to, by wrócić do domu,



do łóżka, choć zarazem obecność kolegów ciągnęła ich też w inną stronę; wymieniali spojrzenia, szepcem rzucali pospieszne komentarze, chichotali, oddychali, żyli.

Światło na suficie było ostre i na tle głębokiej ciemności, która stale nas otaczała, w szybach okiennych na drugim końcu sali odbijał się obraz całej klasy. Siedzieli tam Kai Roald, Vivian, Hildegunn, Live i Andrea. Jasnoniebieskie dżinsy, długie białe kozaki, biały wełniany sweter z golfem. A za katedrą siedziałem ja, w czarnej koszuli, czarnych dżinsach, rozdygotany z wycieńczenia. Każda najdrobniejsza nieregularność wydawała mi się diabelską sprawką, pragnąłem i potrzebowałem jedynie poczucia bezpieczeństwa.

Otworzyłem książkę na rozdziale, którym mieliśmy się tego dnia zajmować. Otaczał nas szum głosów z innych klas. Moi uczniowie byli zaszpani, nie wykazywali żadnego zainteresowania.

– Wyjmijcie przynajmniej książki! Koniec z tą ospałością!

Andrea z uśmiechem nachyliła się i wyjęła z plecaka podręcznik, obłożony w szary matowy papier pomazany nazwami zespołów i nazwiskami gwiazd filmowych. Kai Roald jęknął, ale kiedy na niego spojrzałem, też się uśmiechnął. Hildegunn oczywiście miała książkę już gotową. Live odwróciła się do okna. Spojrzałem w tę samą stronę, co ona. Ktoś szedł pod górę, wyglądał jak duch, bo kształtów ciała nie dało się dopatrzeć w postaci otoczonej zademą.

– Live! Wyjmij książkę!

– Dobrze, dobrze. Jaki mamy teraz przedmiot?

– Pytasz poważnie? Nie wiesz?

– Nieee.

– Od pół roku na pierwszej lekcji w poniedziałek zawsze mamy ten sam przedmiot. Czyli...

Spojrzała na mnie z lekkim niepokojem.

– Nie pamiętasz? – spytałem.

Ja też nie pamiętałem. Panika zaczęła we mnie zbierać jak woda w zatkanym kiblu.

Live pokręciła głową.

– Ktoś inny wie?

Wszyscy na mnie patrzyli. Rozumieli, co się ze mną działo?

Nie. Kai Roald otworzył usta.

– Religię – odpowiedział.

– Aha, religię – powtórzyła Live. – Oczywiście. Już wiem. Na chwilę wszystko w głowie mi się zatrzymało.

– U ciebie w głowie zawsze wszystko stoi nieruchomo – stwierdził Kai Roald.

Posłała mu wściekłe spojrzenie.

– A w twojej nigdy? – spytałem go.

Roześmiał się.

– Pewnie też – powiedział.

– U mnie w głowie również właśnie tak się stało – przyznałem. – Ale nic na to nie poradzimy, musimy przerobić program. A żeby to zrobić, należy ciężko pracować.

– Stale tak mówisz – zauważyła Vivian.

– Bo to prawda. Myślicie, że dla własnej przyjemności opowiadam wam o Marcinie Lutrze? Ja już wiem o nim tyle, ile trzeba. A wy nie wiecie nic. Jesteście bandą ignorantów. Ale z drugiej strony tak jest ze wszystkimi trzynastolatkami, więc to nie wasza wina. Czy ktoś z was w ogóle wie, co to znaczy ignorant?

Cisza.

– To ma coś wspólnego z ignorowaniem? – spytała Andrea. Na policzki wystąpił jej lekki rumieniec. Wpatrywała się w swoją dłoń, kreśląc zawijasy na okładce książki.

– Tak – powiedziałem. – Ignorować to znaczy nie zwracać uwagi albo się nie interesować. Ignorant to ktoś, kto się niczym nie interesuje, a jeśli się nie interesuje, to również nic nie umie.

– No to ja na pewno jestem ignorantem – oświadczył Kai Roald.

– Wcale nie. Całkiem sporo wiesz.

– A co?

– Nieźle znasz się na samochodach, prawda? W każdym razie lepiej niż ja. I na łowieniu ryb. Ja nie wiem o tym kompletnie nic.

– Właściwie dlaczego nie masz prawa jazdy? – spytała Vivian. – Przecież skończyłeś już osiemnaście lat.

Wzruszyłem ramionami.

– Radzę sobie bez niego.

– No ale ludzie muszą cię podwozić, kiedy chcesz gdzieś jechać – nie ustępowała.

– Chyba najważniejsze, że docieram na miejsce? No, ale dosyć już tych pogawędek. Naprawdę musimy pracować. – Wstałem. – Co wiecie o Marcinie Lutrze?

– Nic – oświadczyła Hildegunn.

– Nic? Absolutnie nic?

– Nic – potwierdziła Live.

– Czy Luter pochodził z Norwegii? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała Hildegunn.

– A skąd?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba z Niemiec.

– Żyje jeszcze?

– Oczywiście, że nie!

– A kiedy żył? Kiedy wasi rodzice byli mali? W latach sześćdziesiątych?

– W dawnych czasach – powiedziała Vivian.

– W szesnastym wieku – uzupełniła Hildegunn.

– No a co robił? Był hydraulikiem? Rybakiem? Kierowcą?

– Nie – zaśmiał się Kai Roald.

– Był księdzem – oznajmiła Andrea obojętnym tonem, który miał świadczyć o tym, że to tylko

jedna z wielu rzeczy, jakie wie.

– Czyli wiecie o Lutrze całe mnóstwo. Wiecie, że był księdzem i żył w Niemczech w szesnastym wieku. A teraz macie znaleźć i zapisać jeszcze dziesięć innych wiadomości o Marcinie Lutrze. Pod koniec lekcji je omówimy.

– A jak mamy je znaleźć? – spytała Vivian.

– To nie ty powinieneś je nam przekazać? – spytała Hildegunn. – Nie za to ci płacą?

– Płacą mi za uczenie was. Ale nie zawsze będzie stał przed wami nauczyciel i mówił to, co powinniście wiedzieć. Co wtedy zrobicie? Musicie się nauczyć sami szukać. Sprawdźcie w podręczniku, znajdźcie jakiś leksykon, wszystko mi jedno, bylebyście tylko mogli wymienić dziesięć informacji o Lutrze. Zaczynajcie!

Przy wtórze westchnień, jęków i grymasów wstali i ruszyli do kącika bibliotecznego, każde z ołówkiem i zeszytem w ręku. Usiadłem za katedrą i rzuciłem okiem na ścienny zegar. Jeszcze pół godziny. A kiedy ta lekcja się skończy, jeszcze pięć następnych i poniedziałek będzie załatwiony. Zostaną tylko wtorek, środa, czwartek i piątek.

W najbliższy weekend powinienem w każdym razie sporo napisać, nie będzie żadnego wyjazdu do Finnsnes w ciągu dnia, żadnej wieczornej imprezy, tylko siedzenie przy maszynie od wstania do pójścia spać.

Oprócz tych dwóch historii, w których opisywałem swoje sny, miałem gotowych już pięć opowiadań. We wszystkich pojawiał się ten sam główny bohater, Gabriel, a także ta sama galeria postaci. Akcja toczyła się na Tybakøen. Ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, jak bliskie mi są te okolice. Siadanie przy maszynie przypominało otwieranie prowadzących tam drzwi. Pojawiał się we mnie cały krajobraz, wypierając ten, który teraz mnie otaczał. To droga koło domu, a to tamten wielki świerk obok niego przepływa strumień, zбочe schodzące ku zatoce Ubekilen, kamienne ogrodzenie, skałki, szopa na łódzie, krzywa zrujnowana przystań, wysepka z mewami... Jeśli ktoś w takiej chwili zadzwonił do drzwi, a zdarzało się to stale – przychodzili czwartoklasiści, siódmoklasiści, wysoki dziewiętoklasista, który z nieznanego mi powodu szukał mojego towarzystwa, jakiś młody rybak albo nauczyciel – podrywałem się wtedy przestraszony, prawie podskakując na krześle. Miałem wówczas wrażenie, że to wcale nie krajobraz z dzieciństwa wtargnął w ten obecny, lecz odwrotnie, że właściwie znajduję się tam, gdzie przebywałem w dzieciństwie, i w to otoczenie wdziera się z zewnątrz obecny pejzaż. Gdy ktoś mi w ten sposób przerwał, musiała minąć cała godzina lub nawet więcej, zanim okolice z dzieciństwa znów całkowicie przejęły nade mną władzę.

Tęskniłem za tym. Za czasem, kiedy drzewa były drzewami, a nie „drzewami”, samochody samochodami, nie „samochodami”, tata tatą, nie „tatą”.

Wstałem i zrobiłem kilka kroków w głąb przestrzeni klasowej, żeby sprawdzić, jak idzie moim uczniom. Wszyscy siedzieli wokół stołu bibliotecznego, z wyjątkiem Andrei i Hildegunn, które już wracały na swoje miejsca.

– Znalazłyście coś? – spytałem.

– Oczywiście – odparła Hildegunn. – Skończyłyśmy. Co mamy teraz robić?

– Usiądźcie i poczekajcie.

W sąsiedniej klasie, oddzielonej od biblioteki długim regalem z książkami, trzecio- i czwartoklasiści pochylali się nad książkami. Kiloro dzieciaków trzymało rękę w górze, a Torill chodziła między ławkami i im pomagała. W drugim rogu otwartej przestrzeni klasowej pierwszoklasiści siedzieli na poduszkach wokół Hege, która im czytała. Na zaspanych buziach malowało się rozmarzenie. Hege wyczuła mój wzrok, podniosła głowę, nie przerywając czytania, i uśmiechnęła się do mnie. Zrobiłem porozumiewawczą minę, odwróciłem się do własnej klasy i trafiłem wprost na spojrzenie Andrei. Obserwowała mnie. Teraz spuściła oczy.

– I co znalazłyście? – spytałem.

– Chcesz posłuchać? – zgłosiła się Hildegunn.

– Właściwie nie. Zaczekamy, aż wszyscy skończą.

– To dlaczego spytałeś? – zainteresowała się Andrea.

– Czysty odruch – wyjaśniłem.

Po pokrytej wykładziną podłodze szli już Kai Roald i Vivian. Kiedy usiedli, podszedłem do kąćka bibliotecznego, w którym Live ciągle pisała.

– Jak ci idzie? – spytałem.

– Mam pięć punktów, nie, nawet sześć.

– Dobrze. Wystarczy. Dopiszesz pozostałe, kiedy będziemy je omawiać.

Pobierała swoje rzeczy z ważną miną, która zwykle pojawiała się na jej twarzy, gdy ktoś ją obserwował. Nie zdołała nią jednak zasłonić swojej wielkiej wewnętrznej niepewności, w każdym razie nie przede mną. Co sądzili o niej rówieśnicy, nie potrafiłem ocenić.

Ostatnie dwadzieścia minut lekcji poświęciliśmy na omówienie znalezionych przez uczniów informacji. Dopowiadałem i uzupełniałem, a oni patrzyli na mnie pustymi oczami. Trudno było stwierdzić, po co im Marcin Luter. Chodziło raczej o to, żeby przychodzili do szkoły i pisali coś w zeszytach, żeby siedzieli na swoich miejscach i słuchali, co mówi nauczyciel.

Zadzwoił dzwonek. Spytałem, czy na przerwie nie mogliby zostać w klasie, bo taka brzydka pogoda, ale odrzekłem, że nie ma mowy, muszą wyjść, zaczęłałem, aż włożą kurtki i czapki, dopiero potem poszedłem do pokoju nauczycielskiego, gdzie każdy był zajęty swoimi sprawami, i usiadłem w filiżanką kawy, już zgorzkniałej po godzinie stania w ekspresie.

Nils Erik oderwał się od lokalnej gazety i spytał:

– Pójdiesz dziś ze mną na basen?

– Mogę iść. Wstąp po mnie po drodze.

Przed nami Torill otworzyła lodówkę, nachyliła się i wyjęła z niej jogurt. Zerwała wieczko, oblażała je, potem wyrzuciła do kosza na śmieci pod zlewem, z szufłady wzięła łyżeczkę i zaczęła jeść. Uśmiechnęła się do nas, na dolnej wardze miała różową smugę.

– Robię się strasznie głodna o tej porze – powiedziała.

– Nie musisz się tłumaczyć. Przecież my też czasami coś jemy.

Obok mnie Nils Erik złożył gazetę i poszedł do toalety. Wypiłem łyk kawy i odwróciłem się do Jane, która właśnie wychodziła z pokoiku z kopiarką, trzymając w ręku plik kartek. Kąciki ust jak zawsze miała opuszczone, oczy obojętne, jakby wpatrzone w głąb siebie, ale nie budzące przy

tym wcale chęci odkrycia, co też się w niej dzieje.

– To ty parzyłaś kawę, Jane? – spytałem.

Spojrzała na mnie.

– Tak, dzisiaj mam dyżur kuchenny. A co?

– Nic. Oprócz tego, że to najgorsza kawa, jaką w życiu piłem.

Uśmiechnęła się.

– To znaczy, że przywykłeś do luksusu. Ale mogę nastawić nową, jeśli sobie życzysz.

– Nie, no coś ty. Wcale nie o to mi chodziło! Dla mnie jest okej.

Oddała się do swojego biurka, a ja podszedłem do okna. Latarnie otaczał krąg światła, aż gęsto było w nim od drobnych białych płatków, które przez swój wirujący ruch przypominały rój owadów. Kilkoro dzieci bawiło się w śniegu, czworo leżało jedno na drugim w zaspie. Kiedy to zobaczyłem, aż mi drgnęła ręka, tak silny był odruch, aby zrzucić tych na samej górze, bo nie wyobrażałem sobie nic bardziej klaustrofobicznego niż leżenie pod nimi i wbijanie mnie w śnieg.

Przesunąłem się trochę i przeniosłem wzrok wyżej.

Ciekawe, gdzie się podziewa nauczyciel.

O rany, kiedy wreszcie wbiję to sobie do głowy?! Przecież to ja mam dyżur!

Pospieszyłem do rzędu wieszaków w korytarzu.

– Do końca przerwy zostały trzy minuty – zauważył Sture. – Nie ma sensu teraz wychodzić. Możesz to odrobić po lekcjach.

Zaśmiał się z własnego dowcipu. Popatrzyłem na niego bez uśmiechu, naciągnąłem czapkę na głowę, chwyciłem rękawiczki. Chociaż miał rację i wychodzenie teraz rzeczywiście nie miało sensu, istniał jeszcze inny powód, który mną kierował, a mianowicie okazanie skruchy i chęci do działania. Za chwilę będą mogli przez okno zobaczyć mój pospieszny trucht. Nie chciałem być postrzegany jako leń, nie chciałem, by myślano, że się migam.

Spod wiaty przeciwdeszczowej wyłoniła się niewysoka, okrągła postać. Szybkim krokiem ruszyłem w stronę chłopców, którzy przed chwilą walczyli w zaspie, a teraz otrzępywali dżinsy ze śniegu, materiał niemal poczerwiał od wilgoci.

– Karl Ove! – usłyszałem za plecami i poczułem szarpnięcie za kurtkę.

Musiał za mną przybiec.

Odwróciłem się.

– Co się stało, Jo?

Uśmiechnął się.

– Mogę rzucić w ciebie śnieżką?

W zeszłym tygodniu pozwoliłem obrzucić się kulami śnieżnymi, to był błąd, bo dzieciakom tak się to spodobało, zwłaszcza gdy udało im się parę razy mocno trafić mnie w udo, że nie chciały przestać, gdy je o to prosiłem. Malcy doświadczyli czegoś w rodzaju amnestii, nagle pozwolono im na coś, co do tej pory było zakazane, i domyślali się, że trudno byłoby ich ukarać, nawet gdyby nagle znów im się tego zabroniło.

– Nie, dzisiaj nie – odpowiedziałem. – Poza tym zaraz koniec przerwy.

Czterej chłopcy spoglądali na mnie złowrogo spod ciemnych, naciągniętych głęboko na czoła czapek

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Tak – odparł Reidar. – A dlaczego miałoby nie być w porządku?

– Nie bądź taki bezczelny. Uważaj na słowa. Masz okazywać szacunek dorosłym.

– Ty nie jesteś dorosły. Nie masz nawet prawa jazdy.

– Owszem, to prawda, ale przynajmniej znam tabliczkę mnożenia. A to więcej, niż wy umiecie. I jestem dostatecznie duży, żeby wam spuszczać manto trzy razy dziennie, gdyby zaszła taka konieczność.

– Wtedy tata by ci pokazał.

– Karl Ove, chodź! – Jo znów pociągnął mnie za kurtkę.

– Wiesz, ja też mam ojca – powiedziałem. – O wiele większego i silniejszego ode mnie. Ma nawet prawo jazdy. – Przeniosłem wzrok na Jo. – A ty dokąd chcesz iść?

– Chcę ci coś pokazać. Coś zrobiłem.

– A co?

– To tajemnica. Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć.

Uniosłem głowę. Pod ścianą wiaty stały dziewczyny z siódmej klasy. Za nimi, tam gdzie zaczynało się boisko, gromadka dzieci goniła się w kółko.

– Ale wiesz, zaraz będzie dzwonek – zwróciłem się do Jo.

Wziął mnie za rękę. Nie rozumiał, jak to wygląda w oczach jego kolegów?

– To nie będzie długo – zapewnił.

W tym momencie zadzwonił dzwonek

– No to na następnej przerwie – zdecydował Jo. – Pójdiesz ze mną?

– Dobrze, pójdę. A teraz biegnij do szkoły!

Dzieciaki na boisku albo nie usłyszały dzwonka, albo go zignorowały. Odśnieżoną ścieżką ruszyłem w ich stronę. Przyłożyłem dłonie do ust jak tubę i zawołałem, że mają wracać na lekcje. Dzieci znieruchomiały, patrząc na mnie. Boisko, pokryte śniegiem, całkowicie wtapiało się w otoczenie, stało się po prostu płaską polaną pośrodku zbocza pnącego się wyżej i przegradzającego w potężną górę, a wśród całej tej bieli, której ogromna ciemność nieba przydawała odcienia błękitu, uczniowie wyglądali jak zwierzątka, gryzonie dziwnego gatunku, krążące wokół wejść do swojego skomplikowanego systemu korytarzy i tuneli.

Zamachałem do nich. Ruszyli biegiem.

– Nie słyszeliście dzwonka? – spytałem.

Pokręcili głowami.

– I nie pomyśleliście, że przerwa niedługo się skończy?

Znów zaprzeczyli.

– No to teraz się pospieszcie, bo już jesteście spóźnieni.

Wyminieli mnie biegiem. Kiedy okrążyłem róg wiaty, akurat zamykały się za nimi drzwi.

Otrzeptałem buty ze śniegu uderzeniem o występ w murze, i też wszedłem do środka. W pokoju nauczycielskim odwiesiłem ubranie na wieszak i poszedłem po książki na lekcję. Za mną skrzyknęły drzwi do toalety. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Nilsa Erika.

– Siedziałeś tam aż do tej pory? – wyrwało mi się.

– A cóż to za pytanie?

– Po prostu się zdziwiłem. – Zacząłem wodzić wzrokiem po grzbietach książek – Tyle czasu tam spędziłeś. Ale niczego nie insynuowałem.

Spojrzałem na niego z uśmiechem. Wyciągnąłem ćwiczenia z przyrody i środowiska.

– Bardzo dobrze, bo insynuacje to prawdziwy syf. To przez Torill. Jest niewiarygodnie seksowna. Kiedy się tak nachyliła... Po prostu musiałem wyjść, żeby jakoś wybrnąć z tej nagłej sytuacji.

– Sytuacji? – powtórzyłem.

– Tak – Roześmiał się. – No wiesz, mężczyzna widzi kobietę. Mężczyzna odczuwa pociąg. Mężczyzna biegnie do ubikacji i męczy ptaka.

– A, o taką sytuację chodzi? – Posłałem mu uśmiech i poszedłem do klasy.

Na następnej przerwie, gdy tylko pojawiłem się na szkolnym podwórzu, podbiegł do mnie Jo.

– Teraz możesz ze mną iść! – Złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą.

– Spokojnie. Co chcesz mi pokazać?

– Coś, co zrobiłem razem z Endrem.

– A gdzie jest Endre?

– Myśle, że tam!

Endre chodził do trzeciej klasy, Jo do czwartej. Najczęściej bawili się razem, tylko we dwóch.

– Tam! – Pokazał mi wielką zaspę tuż za budynkiem, niewidoczną z innych miejsc na terenie szkoły. – Wykopaliliśmy grootę w śniegu! Naprawdę wielką. Chciałbyś do niej zajrzeć?

Endre zauważył, że nadchodzimy, wczuł się do groty i zniknął nam z oczu.

– Rzeczywiście fajna – powiedziałem, przystając. – Chyba jednak się w niej nie zmieszczę. Ale ty możesz wejść.

Uradowany Jo położył się na śniegu i wpełzł do środka. Cofnąłem się o kilka kroków i obejrzałem. Dwóch chłopców z czwartej klasy wylaniało się zza rogu. Wyraźnie kierowali się w naszą stronę. Jo wystawił głowę z dziury.

– Zmieścisz się, Karl Ove! Grota jest duża!

– Wiesz, muszę przy pilnować innych uczniów.

Jo dostrzegł tamtych dwóch chłopców.

– To nasza grota – oznajmił, patrząc na mnie. – To my ją wykopaliliśmy!

– Owszem, to prawda – potwierdziłem.

– Wykopaliliście grootę w śniegu? – zawołał Reidar.

– Ona jest nasza! – oświadczył Jo. – Nie możecie do niej wchodzić!

Chłopcy zatrzymali się przed wejściem.

– Pokażcie! – zażądał Stig i spróbował przecisnąć się obok Jo.

– Ona jest nasza! – powtórzył Jo, wpatrując się we mnie. – Prawda, Karl Ove?

– To wy ją zrobiliście – przyświadczyłem. – Ale nie możecie zabraniać innym wstępu. Inaczej musielibyście stać tu i pilnować jej na okrągło przez całą dobę.

– Jest nasza!

– Ale znajduje się na terenie szkoły, więc nikomu nie możecie zabraniać wejścia – powtórzyłem.

Reidar się uśmiechnął i przedarł obok Jo. Wkrótce grotę wypełniła się dziećmi. Natychmiast ruszyły plany jej powiększenia, chłopcy zaczęli kopać tunel w głąb. Jo usiłował przejąć dowodzenie, ale inni całkowicie go zignorowali. Musiał z podkulonym ogonem wrócić na swoje miejsce na samym dole hierarchii. Odwróciłem się i odszedłem stamtąd. Miałem trochę wyrzutów sumienia, bo Jo zasmucił się teraz tak, jak się cieszył jeszcze kilka minut temu. Ale przecież nic tu nie mogłem zrobić, z tą grą towarzyską musiał radzić sobie sam. Powinien się nauczyć, że niczego nie osiągnie marudzeniem i narzekaniem, a już na pewno skarżeniem.

– Znów tak stoicie bez sensu? – zwróciłem się do dziewczyn z siódmej klasy, które opierały się o ścianę wiaty i żuły gumę.

– Przecież wieje i śnieg pada! – prychnęła Vivian. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że mamy stać na zewnątrz przy takiej pogodzie?

– Nie musicie stać. Możecie pobiegać jak inne dzieciaki.

– My nie jesteśmy „dzieciaki” – obruszyła się Andrea. – To niesprawiedliwe, że ci z ósmej i dziewiątej mogą nie wychodzić.

– Tylko dzieciaki mówią, że coś jest niesprawiedliwe – stwierdziłem. – Poza tym ósma i dziewiąta klasa mają teraz podwójną lekcję, więc siedzą i się uczą.

– My też tak chcemy. Lepiej się uczyć, niż wychodzić w taką pogodę. – Andrea spojrzała na mnie. Na mrozie jej policzki nabrały rumieńców. Zmrużone oczy były piękne.

Roześmiałem się.

– Tak nagle chcecie się uczyć? To coś zupełnie nowego.

– Ty się tylko z nas wyśmiewasz – poskarżyła się Vivian. – Nie masz dla nas żadnego szacunku.

– Traktuję was tak, jak na to zasługujecie. – Spojrzałem na zegar wiszący na ścianie między wejściem do głównego budynku a dużym bocznym skrzydłem, w którym mieściły się basen i sala gimnastyczna. Do dzwonnka zostały jeszcze cztery minuty.

Musiałem się jeszcze zorientować, co słychać u czwartoklasistów. Ledwie ruszyłem w stronę groty, podeszli do mnie Jo i Endre. Głowy pochylali dla ochrony przed wiatrem, stopy ciężko poruszały się w śniegu.

– I co tam z waszą grotą? – spytałem.

– Zniszczona! – zawołał Jo. – Reidar wpadł przez sufit. Cała ta cholerna dziura się zawałiła!

Oczy miał mokre od łez.

– Nie wolno używać brzydkich wyrazów – upomniałem go.

– Przepraszam.



- Takie rzeczy się zdarzają – stwierdziłem. – Na pewno nie zrobił tego specjalnie.
- Ale to była nasza grota! To my ją zbudowaliśmy, a oni ją zniszczyli!
- Następnym razem zbudujcie coś wspólnie – poradziłem. – Wtedy wam nie popsują.
- Ale my nie chcemy. Chodź, Endre!

Wyminęli mnie.

– Mogę wam pomóc zbudować nową, jeśli macie ochotę – zaproponowałem. – Na następnej przerwie.

– Naprawdę?

– Przynajmniej zaczniemy. Ale możliwe, że inni też do nas dołączą.

– No ale ty tam będziesz. Będą się bali coś zepsuć.

Kiedy kilka minut później wchodziłem do pokoju nauczycielskiego, pomyślałem, że to idiotyczna propozycja. Teraz przez wszystkie pozostałe przerwy będę musiał grzebać w śniegu z dziesięciolatkami. Ale z drugiej strony buzia Jo tak się rozjaśniła. Przypomniałem sobie o tym, zamykając drzwi do toalety. Rozpiąłem rozporek i zacząłem sikać, strumień moczu skierowałem na porcelanę, żeby inni obecni w pokoju nauczyciele nie słyszeli plusku. Myjąc ręce, spojrzałem na własne odbicie w lustrze. Na kilka intensywnych sekund wypełniło mnie to dziwne uczucie przebywania zarówno w środku, jaki na zewnątrz, pojawiające się, kiedy się ogląda własne oczy, które w tak jasny, oczywisty sposób wyrażają stan wewnętrzny, ale wyleciało mi ono z pamięci już w momencie, gdy opuszczałem pomieszczenie, podobnie jak zapomniałem o ręczniku wiszącym przy umywalce czy o mydle leżącym w jej niewielkim zagłębieniu. O wszystkich tych drobiazgach, których istnienie ogranicza się do danej chwili, a poza tym tylko wiszą albo leżą w samotności w pustych, ciemnych pomieszczeniach aż do następnego otwarcia drzwi, kiedy kolejny człowiek chwyci mydło, wytrze dłonie w ręcznik, zobaczy w lustrze swoją duszę.

Jadłem obiad w salonie, kiedy przyszedł Nils Erik. Wokół niego wirował śnieg poderwany z zasy przy wiatrołapie. Szum fal zawisł nad wioską niczym niewidoczna kupała.

– Akurat jem – oznajmiłem. – Ale zaraz kończę, wejdz na chwilę.

– Nie pójdziesz chyba pływać zaraz po jedzeniu?

– Mam dziś na obiad rybę, a one przecież cały czas pływają.

– Rzeczywiście.

– Chcesz trochę? Ikra dorsza z ziemniakami.

Pokręcił głową, rozsznurował buty i wszedł do środka.

– No i jak ci idzie?

Wzruszyłem ramionami, przełknąłem, popiłem dużym łykiem wody.

– Z czym? – spytałem.

– Ze wszystkim. Na przykład z pisaniem.

– Dobrze.

– A z nauczaniem?

– Też dobrze.

– A z życiem erotycznym?

– Hm... co tu powiedzieć? Chyba nie najlepiej. A tobie jak?

– Sam dzisiaj widziałeś, do czego się ogranicza.

– No tak – Zgarnąłem nożem ostatnie kuleczki ikry dorsza, masło i drobiny ziemniaków, nasunąłem to wszystko na widelec i podniosłem do ust. Czulem, jak wargi wygładzają mi się od tłuszczu.

– Widoki na przyszłość pod tym względem też nie należą do najjaśniejszych – podjął Nils Erik – Wszystkie dziewczyny, które skończyły szesnaście lat, już się stąd wyprowadziły. Zostały tylko uczennice naszej szkoły i ich matki. Wszystko, co pomiędzy, wyginęło.

– Co do jednej. – Wstałem, położyłem sztucce na talerzu, wziąłem go w jedną rękę, szklanę w drugą i poszedłem do kuchni. – Mówisz to tak, jakby urządzono jakieś polowanie.

– Przecież tak jest! Gdyby tu zostały, moglibyśmy na nie zapolować. A tak poluje ktoś inny, tam gdzie są.

Odstawiłem talerz i szklanę na blat, poszedłem do sypialni po rzeczy na basen.

– Teraz nareszcie rozumiem, co się kryło za wyrażeniem „krajna wiecznych łowów”. Do tej pory nie pojmowałem, co takiego fantastycznego jest w bieganiu po lesie na okrągło przez całą wieczność. No ale to rzeczywiście była przenośnia.

– Nie wiem, czy to takie znów fantastyczne – powiedział Nils Erik głośno, żeby jego słowa mogły do mnie dotrzeć. – Dużo zachodu, mała korzyść. W każdym razie jeśli chodzi o mnie. O wiele fajniej już z kimś być.

Włożyłem do torby kąpielówkę i ręcznik. Chwilę się zastanawiałem, czy potrzebne mi coś jeszcze, ale nie, wziąłem wszystko.

– Dużo czasu minęło, odkąd miałeś jakąś dziewczynę? – spytałem.

– Trzy lata. – Widząc mnie z reklamówką w ręku, ruszył do drzwi.

– A co z innymi młodymi nauczycielkami?

Nachylony, sznurował buty. Kiedy się wyprostował, miał odrobinę bardziej czerwoną twarz.

– Jeśli by zechciały, to chętnie – powiedział.

Pod stromą górkę podchodziliśmy w milczeniu. Marsz w pełni nas absorbował, tak mocno wiało. Śnieg ostro kłuł w odsłonięte fragmenty skóry. Kiedy wreszcie zamknęliśmy za sobą drzwi szkoły, miałem wrażenie, jakbyśmy z pokładu dużego statku przeszli do jego wnętrza. Nils Erik zapalił światło, długimi krokami pokonaliśmy schody i usiedliśmy w dwóch różnych końcach, żeby się przebrać. Chociaż wiatr tak napierał na ściany, że aż trzeszczały, i wył w przewodach wentylacyjnych, w budynku wydawało się bardzo cicho. Może z powodu bezruchu? Wszystkie pomieszczenia były puste, woda w basenie gładka i nieruchoma.

Zapach chloru miał w sobie magię. Powróciły do mnie wszystkie wrażenia z dzieciństwa, kiedy co tydzień przez całą zimę jeździliśmy na pływalnię w Stintahallen. Papierowe tutki z cukierkami kupionymi w małym sklepiku, smak landrynek w kształcie śrub, zielono-czarnych, lukrecja z miętą. Lampy imitujące tropikalne wodospady, biały czepek z norweską flagą z boku, ciemnoniebieskie okularki pływackie.

Zawiązałem w pasie sznurek kąpielówek i przeszedłem do niewielkiej hali z basenem, kafelki pod bosymi stopami były zimne i szorstkie, na zewnątrz śnieg wirował w kręgu światła lampy, za którym rozciągał się mrok

Woda była ciemna, z lekkim połyskiem błękitu na dnie, i gładka jak lustro. Pomyślałem, że aż szkoda rozrywać taką taflę. W każdym razie nie zamierzałem wskakiwać do niej na główkę. Zszedłem po metalowej drabince, starając się wywołać jak najmniej zmarszczek. Wszystko na próżno, bo zaraz zjawił się Nils Erik, nadbiegł lekkim truchtem i wskoczył do basenu z wielkim pluskiem. Przepłynął pod wodą aż na drugi koniec. Tam przerwał powierzchnię od spodu, wyłaniając się z głośnym parsknięciem i mocnym potrząśnięciem głową.

– Świetnie! – zawołał. – A co z tobą, tchórzysz?

– Ja? Nie! – odkrzyknąłem.

– Wchodzisz do wody jak stara baba!

Nagle przypomniałem sobie, jak kiedyś nabrałem Daga Lothara. Wszedłem do basenu kilka minut przed nim, wywróciłem czepek na lewą stronę, żeby był całkiem biały, trochę ściągnąłem go z głowy, by lekko się zmarszczył i wyglądał jak jeden z tych, których używały starsze panie, a potem zacząłem płynąć wystudiowane powolnymi ruchami, trzymając głowę uniesioną najwyżej jak mogłem. Naśladowanie pływającej staruszki okazało się na tyle dobre, że Dag Lothar w ogóle mnie nie zauważył, mimo że w wielkim basenie znajdowały się zaledwie cztery osoby. Spojrzał na mnie, zaklasyfikował mnie do zupełnie innej kategorii i przestałem dla niego istnieć, zaczął mnie wołać, a ponieważ mu nie odpowiedziałem, wrócił do szatni.

Teraz, wypinając pierś, wolno opadłem w wodę, potem cały się w niej zanurzyłem i paroma mocnymi ruchami dotarłem prawie do samego końca po drugiej stronie. Nils Erik z zacięciem pływał kraulem. Zrobiłem kilka jak najszybszych rundek, po czym zatrzymałem się przy brzegu i zapatrzyłem w śnieżycę na dworze.

Odwróciłem się, oparłem łokciami o brzeg basenu i wpatrywałem w białą wodę wokół pluskających rąk i nóg Nilsa Erika. Przypomniało mi się, jak ojciec Geira porównał kiedyś pływanie kraulem do unoszenia się na wacie. Zahaczyłem wzrokiem o otwarte drzwi do dalszych pomieszczeń.

O cholera, rzeczywiście. Sauna.

Podciągnąłem się na brzeg, poszedłem do szatni i włączyłem piec w saunie. Wróciwszy na basen, skoczyłem na główkę i pływałem tam i z powrotem przez mniej więcej pół godziny, aż w końcu zdecydowaliśmy się wyjść.

W saunie usiedliśmy na najwyższej ławce. Polałem wodą kamienie w piecu, buchnęła gorąca para i aż uderzyła w skórę, a potem rozeszła się po niewielkim pomieszczeniu, mającym kształt sześcianu.

– To największy bonus w tej robocie. – Nils Erik odgarnął do tyłu mokre włosy.

– I jedyny – zauważyłem.

– Jeszcze darmowa kawa. I gazety. No i tort na zakończenie roku.

– Hura! – powiedziałem.

Zapadła cisza. Nils Erik zsunął się o jeden poziom niżej.

– Pracowałeś w wielu różnych miejscach? – spytałem po pewnym czasie, opierając się ramionami o ścianę. W tym gorącu głowa zaczęła mi ciążyć, jakby powoli wypełniała się ołowiem.

– Nie. Tylko w służbie zdrowia. No i w parku przez dwa lata w wakacje już dawno temu. A ty?

– W gospodarstwie ogrodniczym, w fabryce parkietu, w gazecie i w domu wariatów. I w radiu. Ale tam nie płacili, więc to się chyba nie liczy.

– No tak – powiedział sennie.

Popatrzyłem na niego. Zamknął oczy, odchylił głowę i łokciami oparł się o moją ławkę. Miał w sobie energię i bystrość, które nagle jakby trafiały na coś innego, niemal na pewną staruszkowatość, trudną do określenia, bo nie objawiała się w niczym konkretnym, raczej tylko w otaczającej go aurze, a dostrzegałem ją poprzez odwrotność, kiedy na przykład zaskakiwał mnie tym, że słyszał o The Jesus and Mary Chain i w dodatku ich lubił, no bo dlaczego miały o nich nie słyszeć?

Teraz się odwrócił i spojrzał na mnie.

– Posłuchaj... – zaczął. – Zastanawiałem się nad czymś. Słyszałeś o chacie Hildy?

Pokręciłem głową.

– Chata Hildy? A co to takiego?

– Ten żółty dom na zakręcie. Należał do Hildy, teściowej Evy. Umarła kilka lat temu i dom stoi teraz pusty. Rozmawiałem już z nimi, bardzo chętnie go wynajmą. Niezamieszkały szybciej obróci się w ruinę. Dlatego chcą wręcz symboliczny czynsz. Tylko pięć stów miesięcznie.

– Aha, i co?

– Mnie niepotrzebny cały dom. Pomyślałem, że może wynajęlibyśmy go razem. Zaoszczędzilibyśmy mnóstwo na czynszu. No i jedzenie we dwóch też byłoby tańsze. Co ty na to?

– Nooo... Dlaczego nie?

– Weźmiemy sobie po jednej sypialni, a pozostałe pomieszczenia będą wspólne.

– Wszyscy uznają nas za pedałów – powiedziałem. – Będą gadać, że dwaj młodzi nauczyciele w końcu odnaleźli siebie.

Roześmiał się.

– Mówisz to tutaj, kiedy siedzimy we dwóch w saunie...

– To znaczy, że plotki już krążą?

– No co ty, zwariowałeś? Przecież wyraźnie okazałeś już swoje zainteresowanie płcią przeciwną. Nikt tu nie ma wątpliwości co do twoich preferencji. Więc jak, zgadzasz się?

– Tak. A raczej nie. Przecież muszę pisać, a do tego potrzebuję samotności.

– Przy salonie jest osobny pokój. Mógłbyś go zająć. Idealnie się do tego nadaje.

– Właściwie czemu nie?

Kiedy już się ubraliśmy i szliśmy po schodach na górę, spytałem go o to, co od dawna leżało mi na sercu, ale nasza nagość w szatni nie pozwalała mi poruszyć tego tematu.

– Mam pewien problem w tej dziedzinie, o której już dzisiaj wspomnieliśmy – powiedziałem.

– Czy li?

– To ma związek z seksem.

– No to mów.

– Trudno mi o tym gadać. Ale chodzi mi o to, że... że trochę za szybko dochodzę. Po prostu.

– Klasyczne – stwierdził. – I?

– Nic ponadto. Tak się zastanawiałem, czy nie masz jakiejś rady. To niezbyt przyjemne, jak się zdarzy, chyba rozumiesz.

– A o jakim czasie mówimy? O minucie? Trzech? Pięciu?

– No, różnie to bywa. – Przekręciłem zamek w dużych szklanych drzwiach, pchnąłem je. Skóra po saunie była tak rozgrzana, że lodowaty wiatr nawet jej nie kąsał. Widziałem, jak harcuje między budynkami, ale prawie go nie czułem. – Jakieś trzy, cztery minuty.

– To i tak dobrze, Karl Ove. – Nils Erik owinął szyję szalikiem i naciągnął mocno czapkę na uszy. – Cztery minuty to całkiem nieźle.

– A jak z tym u ciebie?

– U mnie? Przeciwnie. Mogę pompować przez całe wieki i nic się nie dzieje. Powiem ci, że to też jest problem. Potrafi minąć pół godziny, a ja się nawet nie zbliżam do wytrysku. Czasami muszę się zwyczajnie poddać.

Ruszyliśmy w dół drogą.

– A kiedy się onanizujesz, to też ci idzie takszybko? – spytał.

Zaczerwieniłem się, ale w taką pogodę nie mógł tego zauważyć. Nie spodziewał się zresztą kłamstw, więc nie miałem się czego obawiać.

– Mniej więcej taksamo – powiedziałem.

– Mhm – mruknął. – Ja też mam z tym problemy. Chyba się dzisiaj zorientowałeś. Za to potrafię się wstrzymać w nieskończoność.

– My ślisz, że to kwestia fizjologiczna? A może raczej psychiczna? Jeśli tak, to chciałbym, żebyś mi powiedział, o co chodzi. Ale tysiąc razy wolałbym to pierwsze.

– Nie mam pojęcia. Przypuszczalnie fizjologiczna. Ja w każdym razie zawsze tak miałem. Od pierwszego razu. Więc nie wiem, jak może być inaczej. Ale słyszałem, że podobno ściskanie końca pomaga. Mocne ściskanie. Albo lekkie pociągnięcie za jajka. No i trzeba ćwiczyć.

– Następnym razem spróbuję. – Uśmiechnąłem się w ciemności.

– Tak, jeśli nadarzy ci się okazja.

– Na przykład na Boże Narodzenie? Wtedy chyba wszystkie młode kobiety wrócą do wioski.

– My ślisz, że przyjadą po to, żeby się bzykać? Raczej wątpię. Wydaje mi się, że bzykają się tam, gdzie są teraz, a tu przyjeżdżają, żeby odpocząć i nabrać sił, zanim znów zaczną w styczniu.

– Pewnie masz rację. – Zatrzymałem się, bo dotarliśmy do drogi odchodzącej do mojego mieszkania. – Jeżeli z tym domem nic się nie zmieni, to kiedy mielibyśmy się wprowadzić?

– Musimy wypowiedzieć wynajem naszych mieszkań. Ale może po świętach? Gdybyśmy skrócili ferie o dwa dni, moglibyśmy dać radę.

– Zapowiada się niezłe – stwierdziłem. – No to na razie!

Uniosłem rękę na pożegnanie i ruszyłem do drzwi. W domu zjadłem osiem kromek chleba i wypilem pół litra mleka. Potem położyłem się na kanapie i przeczytałem pierwsze strony nowo kupionej książki, *Det store eventyret* Jana Kjørstada. Czytałem wcześniej jego *Speil* i *Homo Falsus*, a niedawno w bibliotece w Finnsnes wypożyczyłem *Kloden dreier stille rundt*. Ale ta książka była zupełnie nowa, właśnie się ukazała i kiedy ją wyjąłem, przede wszystkim powąchałem świeży papier. Trochę poprzeczuciałem kartki do przodu i do tyłu. Każdy rozdział zaczynał się wielką literą „O”, tekst niektórych był w kilku szpaltach na stronie, jeden wyglądał na notatkę rozsypane przy głównym tekście. Inne rozdziały zawierały listy. Jedne wydrukowano wytuszczoną czcionką, inne kursywą, jeszcze inne zwyczajnie. Regularnie pojawiało się coś o nazwie *Hazar* oraz druga rzecz o nazwie *Enigma*. I definicje małego „m” – musiało chodzić o miłość.

Zacząłem czytać pierwszą stronę:

*Była dość młoda. Krople rosy na skórze szyi. Stali w osobnych światach, w odległości metra od siebie. Czuł napięcie nawet stojąc tyłem, odwrócił się i ukradkiem na nią zerknął. Ogromny kop. Zrobił kilka ruchów nogą. Zauważyła to, uśmiechnęła się. Spomiędzy kohl i mascary sygnęło iskrami. Dwa razy poruszyła prawym barkiem w jego stronę, jakiś inny beat, przygryzła dolną wargę, spuściła wzrok. Sposób użycia perkusji i pasaż gitary basowej wywołały funky ssanie w jego aparacie zmysłów. Stanie na baczność jest wbrew naturze. Zrobił kilka kroków po dywanie, to zbliżając się do niej, to oddalając, zapraszając, drażniąc. Naśladowała jego kroki, ten sam rytm, tygrysie zmarszczki u nasady nosa. Czarne loki, czoło przewiązane skręconą apaszką, śmiały makijaż. Czego słuchała? Cramps? Split Beavers? ViViVox? Kimono z wzorem w liście. Luźne jedwabne spodnie, sandały z rzemykiem na palec. Ssanie. A dookoła: kwadratowe migotanie figur na okładkach, kolory i fancy kaligrafia.*

Przeczytałem ten fragment kilka razy. Styl był taki obcy, a jednocześnie świetny, te krótkie, niepełne zdania, ten rytm i angielskie wstawki. I te obce słowa. Kimono – to z japońskiego. Tygrysie zmarszczki miały w sobie indyjskość i zwierzęcość. Kohl, czy to nie brzmi z niemiecka? Już w tych kilku linijkach ukazywał się świat. I był to świat inny. Miał w sobie coś z przyszłości, co mnie pociągało. Ale ja nie potrafiłem tak pisać, nawet gdybym chciał, tobym nie umiał. Kiedy czytałem „Vinduet”, którego Kjørstad był redaktorem naczelnym, nie znałem prawie żadnych pojawiających się tam nazwisk ani tytułów i rozumiałem zaledwie niektóre pojęcia. Jeden z artykułów nosił tytuł *O paleniu Eneidy*. Z jakiegoś powodu utkwił mi w pamięci i przypominał mi się od czasu do czasu, chociaż nie wiedziałem, co to jest Eneida. Wszystko to był postmodernizm, a Kjørstad był największym z norweskich pisarzy postmodernistycznych, i chociaż mi się to podobało, to znaczy cały ten świat, którego istnienie wyczuwałem za słowami tego tekstu, nie miałem pojęcia, co to za świat ani gdzie on właściwie istnieje. Na przykład sandały z rzemykiem na palec, czy mają jakiś związek z haremem, ze Wschodem? W książkach Kjørstada roilo się od elementów wschodnich, rodem z baśni z tysiąca i jednej nocy, wplecionych w inne opowieści, wydawało mi się, że on po trosze wciąga ten świat do naszego

wraz z nieprzeliczoną ilością innych światów. Co to oznaczało, nie wiedziałem. Ale intuicyjnie bardzo mi się to podobało, tak samo jak intuicyjnie nie lubiłem Milana Kundery. Kundera również był pisarzem postmodernistycznym, ale brakowało mu tego materiału innych światów, u niego świat zawsze był ten sam, Praga, Czechosłowacja i Sowietci, którzy albo właśnie dokonali inwazji, albo wkrótce mieli jej dokonać, no i dobrze, ale Kundera nieustannie wyrывał swoich bohaterów z akcji, sam się w nią mieszał i opowiadał o tym czy o tamtym, podczas gdy bohaterowie jakby czekali, stojąc nieruchomo przy oknie czy gdzie akurat się znaleźli, dopóki nie zakończył swoich wywodów, dopiero wtedy znów mogli się poruszyć. Okazywało się wówczas, że akcja jest tylko „akcją”, a postacie tylko „postaciami”, wymyślonymi przez niego, można było zrozumieć, że one nie istnieją naprawdę, tylko po co wobec tego w ogóle o nich czytać? Przeciwnieństwem Kundery był Hamsun, nikt nie posunął się równie daleko jak on w realnej obecności jego bohaterów na świecie. Wolałem takie podejście, w każdym razie jeśli porównało się tych dwóch pisarzy, wolałem na przykład fizyczność i realność w *Głodzie*. Tam świat miał swój ciężar, tam nawet myśli były w nim osadzone, natomiast u Kundery myśli wznosiły się ponad światem i robiły z nim, co chciały. Zwróciłem też uwagę na różnicę między powieściami europejskimi, które najczęściej miały tylko jeden wątek, wszystko w nich biegło jakby po jednym torze, a powieściami południowoamerykańskimi, mającymi mnóstwo takich torów, głównych i bocznych; w porównaniu z tymi europejskimi niemal eksplodowały wątkami. Jedną z moich ulubionych powieści było *Sto lat samotności* Márqueza, ale również *Miłość w czasach zarazy* uważałem za fantastyczną. U Kjørstada też dostrzegałem trochę tego bogactwa, ale na sposób europejski, no i miał też w sobie coś z Kundery, tak przynajmniej uważałem.

A co z moim pisaniem?

Postmodernizm taki jak u Kjørstada pozostawał całkowicie poza moim zasięgiem, nie umiałbym tak pisać, nawet gdybym chciał. Po prostu miałem inną wrażliwość. Znałem tylko jeden świat, więc to o nim musiałem pisać. Przynajmniej na razie. Próbowałem jednak wnieść w swoje teksty również tę bujność, którą wykorzystywał Márquez. Mnogość historii również. I hamsunowskie przeżywanie danej chwili.

Czytałem dalej. O tym, że Oslo w tej powieści znajduje się na półkuli południowej, wiedziałem z recenzji książki. Fantastyczny pomysł, bo wtedy Oslo stawało się wszystkim tym, czym nie było. Ale ważniejszy był sposób, w jaki ów świat został wyczarowany. Ten fragment przez ową bujność, zagęszczenie i obfitość miał w sobie coś márquezowskiego.

Odłożyłem książkę, usiadłem przy biurku i zacząłem przerzucać cienki plik tekstów, które napisałem. Jaki cienki! Niewiarygodnie cienki. Opisane wyłącznie to, co konieczne. Las, droga, dom, wszystko inne przemilczane. A gdybym tak pozwolił temu wszystkiemu innemu eksplodować?

Wziąłem świeżą kartkę, wkręciłem ją w maszynę, którą włączyłem, spojrzałem na swoje odbicie w szybie, czekając, aż główka maszyny powoli ustawi się w odpowiedniej pozycji.

Gdzie rozmaite rzeczy się gromadziły? Gdzie tłoczyły się obok siebie?

Wyobraziłem sobie drogę przed domem na Tybakken.

Wyszedłem na drogę. Asfalt był czarny, wzdłuż niego zielone świerki kołysały się na wietrze.

*Przejechał samochód. Bmw Na chodniku Erling z Haraldem stali przy rowerach. Erling miał apache'a, Harald dbs-a. Na wzgórzu ponad nimi ścisnęły się domy. Na trawnikach stały meble ogrodowe, budy dla psów, grille, trzykołowe rowerki, plastikowe baseniki, węże do podlewania, jakieś zapomniane grabie. Po niebie nad nami przemknął samolot, tak wysoko, że widoczna była jedynie zostawiona przez niego biała smuga.*

Wyrwałem kartkę, zgniołem ją i rzuciłem na podłogę. Włożyłem kolejną. Na chwilę zapatrzyłem się przed siebie. Dwa lata temu odwiedziłem Yngvego i mamę w Bergen. Tamtejszy targ rybny był gwałnym miejscem, pełnym ludzi, straganów, ryb i krabów. Samochody i łodzie, flagi i proporczyki, ptaki, woda, góry i domy. Idealne miejsce do zagęszczenia tekstu. Znow zacząłem pisać.

*Ryby leżały ułożone jedna obok drugiej na łóżku z kostek lodu. Lśniły w słońcu. Zdeterminowane gospodynie domowe krążyły z wypchanymi siatkami wśród stoisk. Mały chłopiec w jednej ręce trzymał balon, drugą zaciskał na poręczy dziecięcego wózka prowadzonego przez jego matkę. Nagle się puścił i podbiegł do zbiornika z dorszami. „Zobacz, mamó”, zawołał. Obok przechodził trzęsący się staruszek w czarnym garniturze i kapeluszu, podpierał się laską. Gruba kobieta w płaszczu oglądała makrele. Na szyi miała błyszczący wisior. Dwaj sprzedawcy w fartuchach pobrudzonych rybią krwią, jeden zaśmiał się z czegoś, co powiedział drugi. Ulicą za ich plecami przejeżdżały samochody. Dziewczyna z ciemnymi półdługimi włosami, w białym T-shirtcie, pod którym wyraźnie odznaczały się piersi, i z tyłkiem opiętym na niebiesko levisami 501, patrzyła na port. Zerknąłem na nią, mijając ją szybkim krokiem. Spojrzała na mnie, posłała mi uśmiech. Pomyślałem, że fajnie byłoby ją przelecieć.*

Odchyliłem się, wyjąłem zegarek, dochodziła już dziewiąta. Czuję satysfakcję, to był dobry początek, on mógł się jeszcze spotkać z tą dziewczyną, a wtedy mogło się wydarzyć wszystko. Wyłączyłem maszynę, postawiłem garnek z wodą na kuchence, wyspałem trochę listków herbaty na dno imbryka i nagle sobie uświadomiłem, że pierwszy raz pisałem bez muzyki. Czekaając, aż woda się zagotuje, przeczytałem ten fragment jeszcze raz. Zdania należało poprzerzywać, poodrywać od siebie. Powinno się też dodać coś o różnych zapachach i o dźwiękach. Może jeszcze więcej szczegółów. No i onomatopeje.

Znow włączyłem maszynę, wyjąłem kartkę, włożyłem nową.

*Ryby leżały jedna obok drugiej na łóżku z kostek lodu, w blasku słońca wszystko świeciło i migotało. Powietrze pachniało solą, spalinami i perfumami. Zdeterminowane pulchne gospodynie domowe z wypchanymi siatkami krążyły wśród stoisk i wladczo pokazywały, czego sobie życzą. Krewetki, kraby, homary, makrele, czarniaki, dorsze, wątlusze, węgorze, flądry. Zewsząd dochodziły mamrotanie i śmiechy. Jakieś dzieci coś do siebie wołały. Autobus ciężko westchnął, zatrzymując się na przystanku po drugiej stronie placu. Łopotwały proporczyki rozwieszzone wzdłuż przystani. „Pac! Pac! Pac!” Drobny, bladek chłopczyk w jednej rączce trzymał balon z rysunkiem Kubusia Puchatka, drugą zaciskał na poręczy dziecięcego wózka, który prowadziła jego matka.*



Przez uchylone drzwi zobaczyłem parę unoszącą się z wrzącej wody. Znów wyłączyłem maszynę, zalałem wrzątkiem listki herbaty, zniosłem do salonu imbryk razem z filiżanką, karton z mlekiem i miseczkę z cukrem. Usiadłem, skręciłem papierosa i trzymając go w palcach, znów wróciłem do czytania *Det store eventyret*, tym razem nie koncentrując się na szczegółach ani nie myśląc o stylu, i po kilku minutach powieść kompletnie mnie pochłonęła. Gdy po pewnym czasie w ciszę w mieszkaniu wdarł się dzwonek, to wręcz brutalnie przywrócił mnie do rzeczy wistoci.

Przyszła Hege.

– Cześć. – Odsunęła szalik od ust. – Jeszcze się nie położyłeś?

– Czy się nie położyłem? Przecież dopiero wpół do dziesiątej.

– Dziesiąta. Mogę wejść?

– O rany, no pewnie. Coś się stało?

Weszła do przedpokoju, odwinęła wielki szalik, rozpięła suwak puchówki.

– Nie, i właśnie to jest problem. Nic się nie dzieje. Vidar wypłynął na morze, a ja się tak strasznie nudzę. Pomyślałam, że na pewno jeszcze nie śpisz.

– Idealnie się wstrzebiłaś – powiedziałem. – Mam nawet dla ciebie herbatę.

Przeszliśmy do salonu, Hege usiadła na kanapie, wzięła do ręki książkę i obejrzała okładkę.

– To ostatnia powieść Kjærstada – wyjaśniłem. – Czy tałaś?

– Ja? Skąd. Rozmawiasz z analfaberką. Dostanę trochę herbaty czy to była pusta obietnica?

Przyniosłem jej filiżankę, postawiłem przed nią, sam usiadłem w fotelu po drugiej stronie stołu. Hege podwinęła nogi i nalala sobie herbaty.

Była szczupła, miała długie kończyny, sylwetkę niemal chłopięcą. Wyraziste rysy twarzy, długi nos, duże usta, włosy gęste i kręcone. Była w niej pewna twardość, ale w oczach, żywych i bystrych, często pojawiała się coś przeciwnego, jakaś miękkość i ciepło. Była bojowa, miała cięty język, rybaków ze swojego otoczenia traktowała z osobliwą, pozbawioną lęku wyższością.

Bardzo ją lubiłem, lecz ani trochę mnie nie pociągała, i właśnie dzięki temu, jak się domyślałem, mogliśmy się zaprzyjaźnić. Gdyby mi się podobała, siedziałbym sparaliżowany strachem i myślał o tym, co powiem i jak wypadnę. Ale przy niej mogłem być taki, jaki byłem naprawdę, w ogóle się nad tym nie zastanawiać, tylko siedzieć i gadać. Ona pewnie czuła podobnie. I jak często się zdarzało podczas rozmów z dziewczynami, które lubiłem, lecz które jednak mnie nie pociągały, nie stroniliśmy od szczerości i poruszania dość intymnych tematów.

– Coś nowego? – spytała teraz.

Pokręciłem głową.

– Właściwie nie. Chociaż może i tak Nils Erik zaproponował, żebyśmy zamieszkali razem w żółtym domu przy zakręcie.

– I co ty na to?

– Chyba dobry pomysł. Przeprowadzimy się po świętach.

– Nie potrafię sobie wyobrazić dwóch mężczyzn bardziej różniących się od siebie niż wy dwaj.

– To ja nagle jestem mężczyzną?

Roześmiała się.

– A nie jesteś?

– Nie za bardzo się nim czuję.

– A jak się czujesz?

– Jak chłopak Osiemnastolatek

– Aha, rozumiem. Nie jesteś mężczyzną w takim znaczeniu jak inni mężczyźni z wioski.

– Co masz na myśli?

– Przyglądałeś się kiedyś swoim ramionom? Tak samo szczupłe jak moje. Trudno też powiedzieć, żebyś był barczysty.

– I co z tego? Przecież nie jestem rybakiem.

– Obraziłeś się?

– Skąd.

– „Skąd” – powtórzyła takim samym tonem jak ja i znów się roześmiała. – Ale masz rację. Przez całe życie będziesz siedział i pisał. A do tego nie potrzeba wielkich mięśni.

– No nie.

– Daj spokój, Karl Ove. Podchodzisz do siebie z aż takim nabożeństwem?

– To nie ma żadnego związku z nabożnym traktowaniem samego siebie. Mówisz prawdę. Bardzo się różnię na przykład od Vidara. Ale to chyba nie znaczy, że musisz się w tym pławić?

– Oho, chyba trafiłam w czuły punkt.

– Daj spokój.

– Ho, ho.

– Chcesz, żebym cię wyrzucił?

Groźnie uniosłem filizankę i wstałem.

Hege znów się roześmiała.

Usiadłem z powrotem, sięgnąłem po tytoń i zacząłem zwijać papierosa.

– Wiem, chciałabyś, żeby mężczyźni byli mężczyznami. Powtarzałaś to wielokrotnie. Powinni milczeć i być silni. Ale co ci działa na nerwy w Vidarze? Na co się zwykle skarżysz? Na to, że on nigdy nic nie mówi, nigdy nie opowiada o sobie ani o was, nie ma w nim nawet cienia romantyzmu. Nie możesz mieć wszystkiego, rozum. Nie możesz mieć mężczyzny, który jednocześnie dużo gada i milczy, jest silny i wrażliwy, pozbawiony romantyzmu i romantyczny.

Spojrzała na mnie.

– A na czym polega romantyzm, jeśli nie na ostrym pieprzeniu przez silnego mężczyznę?

Poczułem, że się czerwienię, więc sięgnąłem po zapalniczkę, zapaliłem papierosa.

Roześmiałem się.

– Prawdę mówiąc, nic o tym nie wiem. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to jest.

– Nigdy żadnej ostro nie pieprzyłeś?

Wyчуłem, że na mnie patrzy, spojrzałem jej w oczy.

– Jasne, że tak – Odwróciłem wzrok – Myślałem raczej o sytuacji przeciwnej. O twojej roli. – Wstałem i podszedłem do płyt. – Jakież życzenia muzyczne? – spytałem, patrząc na nią.

– Puść, co chcesz. Ja i tak już niedługo będę musiała iść.

Nastawiłem ostatnią płytę deLillos, *Før var det morsomt med sne*.

– Największą zaletą przeprowadzki będzie to, że oszczędzę sobie słuchania tych dwojga na górze. – Wskazałem sufit.

– Torill i Georga?

Kiwnąłem głową.

– Cholerna akustyka. Zwłaszcza między sypialniami. I bardzo dużo romantyzmu, jeśli będziemy się trzymać twojej definicji tego pojęcia.

– Fajnie dla Torill.

– Dla niego też, sądząc po odgłosach. – Z powrotem usiadłem. – Ty nie za bardzo lubisz Torill, prawda? – spytałem.

– Rzeczywiście, masz trochę racji.

Rozciągnęła usta w fałszywym uśmiechu, napięła mięśnie twarzy i wypowiedziała kilka świergotliwych słów.

– Ona jest taka dobra, taka serdeczna, aż do bólu. A jednocześnie wystawia się wszystkim, którzy tylko chcą patrzeć.

– Wystawia się? – powtórzyłem zdziwiony.

– Nie sądzisz chyba, że porusza się w taki sposób, kiedy jest sama? – Wypięła pierś, na siedząco pokręciła biodrami, kokietyjnie odgarnęła włosy z czoła.

Uśmiechnąłem się.

– Nigdy mnie to nie uderzyło – przyznałem. – Ale kiedy tak mówisz, to wiem, że trafiło Nilsa Erika. I to mocno. Dzisiaj, gdy tylko nachyliła się nad lodówką, od razu musiał wyjść do toalety.

– Sam widzisz. Ona wie, co robi. No a ty?

– Torill? – prychnąłem. – Jest o dwanaście lat starsza ode mnie.

– Wiem, wiem, ale czy ją lubisz?

– W każdym razie nie czuję do niej antypatii. Uważam, że jest miła.

Na chwilę zapadła cisza, w szybach odbijały się światła lamp, a między nimi słabe cienie mebli, wyglądało to tak, jakby pokój zaląła woda.

– Masz jakieś plany na najbliższy piątek? – spytała Hege.

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– Zamierzałam zaprosić wszystkich młodych nauczycieli do domu. Zrobiłabym pizzę, napilibyśmy się piwa. Masz ochotę przyjść?

– Jasne.

Wstała.

– Pora wracać do domu. A ty śpij dobrze, pisarczyku.

– Jak nie będziesz delikatniejsza, ja też zacznę cię przezywać.

– No wiesz, ale ja jestem kobietą, więc nie wypada. Do mnie możesz się zwracać „proszę pani” albo „Hege”. A twoje kwiatki dostają za dużo wody. Dosłownie je topisz.

– To na tym polega błąd? Sądziłem, że najważniejsze, żeby nie wyschły.

– Prawie zawsze jest odwrotnie. Biedne roślinki. Wpadły w łapy mordercy. I to najgorszego rodzaju, takiego, który nie ma świadomości, że zabija.

– Ale przy najmniej przykro mi, kiedy giną.

– A co z rybami?

– To znaczy?

– Też ci przykro, kiedy zdychają?

– Prawdę mówiąc, tak. Nie ma nic gorszego, niż kiedy wylaniają się z morza, rzucają się i podskakują, a ja muszę je uśmiercić.

Roześmiała się.

– Chyba podobne słowa nigdy jeszcze tutaj nie padły. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś tak powiedział. Naprawdę musiałeś być pierwszy.

– Przecież jeden z tutejszych rybaków całe życie cierpi na chorobę morską. To prawie to samo.

– Wcale nie. No, teraz to naprawdę muszę już iść.

Odprowadziłem ją do przedpokoju.

– Dobranoc, proszę pani – powiedziałem. W milczeniu czekałem, aż się ubierze. Uśmiechnąłem się, widząc, że spomiędzy szalika i czapki wystaje jej tylko nos. Pożegnała się i zniknęła w ciemności.

Nazajutrz dwie pierwsze lekcje miałem z trzecio- i czwartoklasistami. Wstałem dziesięć minut przed dzwonkiem na lekcję, włożyłem kurtkę i pognąłem pod górę, niebo było równie czarne i dzikie jak wtedy, gdy Hege wychodziła, dziewięć godzin wcześniej.

Kiedy dzieciaki wbiegły do klasy w samych skarpetkach, w robionych na drutach swetrach, z włosami rozczochranymi po zdjęciu czapek i zmrużonymi zasnymi oczyma, zobaczyłem je takimi, jakimi były, małymi i delikatnymi. Wprost nie mieściło się w głowie, że czasami potrafiłem tak się na te dzieci irtować i złościć. Ale też w ciągu dnia coś się w nich zmieniało, wzbierał ten zamęt, krzyk i wrzask to popychanie i wyśmiewanie się z siebie nawzajem, przemieszanie zabawy z zachwytem, przez co przestawałem je widzieć jako małe osoby, a dostrzegałem jedynie ich nieznośne zachowanie.

Jo usiadł w swojej ławce i podniósł rękę.

– O co chodzi, Jo? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Co będziemy robić na pierwszej lekcji?

– Zaczekaj, to zobaczysz.

– A pod koniec drugiej poczytasz nam jak zwykle?

– Cierpliwość zostanie nagrodzona. Słyszałeś takie wyrażenie?

Kiwnął głową.

– No to już wiesz.

Przez cały czas drzwi na końcu przestrzeni klasowej raz po raz się otwierały i wchodzili kolejni uczniowie. Za każdym razem odruchowo podnosiłem wzrok i patrzyłem w tamtą stronę. Na prawo od wejścia znajdowała się ta część pomieszczenia, z której korzystała moja klasa, lekcje z moimi uczniami miał Nils Erik. Siedział za katedrą i patrzył przed siebie, czekając, aż się uspokoją.

Wpadli Reidar z Andrea. Byli rodzeństwem, razem szli do szkoły i razem się spóźniali. Dlaczego tak mnie to wzruszało?

Reidar przebiegł kilka kroków, przypomniał sobie chyba, że po klasie nie wolno biegać, bo gwałtownie się zatrzymał i spojrzał na mnie, po czym szybko pomaszerował na swoje miejsce. Z drugiej strony przyglądała mi się Andrea. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Prędko odwróciła głowę, spoglądając na część przeznaczoną dla siódmoklasistów, do której za chwilę przeszła.

Całe to zdarzenie powinno być zupełnie naturalne, ale nie było. Ruchy Andrei miały w sobie coś wymuszonego, jakby starała się przemóc, by je wykonać.

– Cześć, Karl Ove. – Reidar się uśmiechnął. Użył mojego imienia jako pewnego rodzaju buforu. Chciał stworzyć poufałość, dzięki której uniknąłby reprimendy za spóźnienie. Oślizgły spry ciarz.

– Cześć, Reidar – powiedziałem. – Siadaj. Zabierasz czas całej klasie.

Andrea była we mnie zakochana.

No oczywiście.

To tłumaczyło jej zachowanie. Wszystkie te spojrzenia, unikanie mnie, rumieńce.

Poczułem rozlewające się po ciele ciepło. Wstałem i podszedłem do tablicy.

– Co to znaczy mieć zawód? – spytałem. – Co to jest zawód?

Biedaczka.

– Praca – wyrwał się Reidar.

– Podnieś rękę, jeśli wiesz – pouczyłem go.

Wyciągnął rękę w górę. Na szczęście zgłosili się też inni. Wskazałem na Lovisę.

– To znaczy, że ktoś ma pracę – powiedziała.

– Przecież ja już to mówiłem! – zawołał Reidar.

– Możesz wymienić jakieś zawody, Loviso?

– Rybak

– Dobrze. – Zapisałem to na tablicy. – Jeszcze jakieś?

– Praca w przetwórni ryb.

– Tak. Znacie jeszcze jakieś zawody? Ręce do góry!

Posypały się propozycje. Kierowca autobusu, kierowca ciężarówki, kierowca wózka widłowego, ekspedientka, kapitan statku, sprzątaczką, policjant, strażak. Dość typowe, że nie przyszedł im do głowy zawód nauczyciela, mimo że jeden z przedstawicieli tej profesji stał przed nimi. Stania i gadania z dziećmi od rana do wieczora nie uważali za porządną pracę.

– A co ze mną? – spytałem w końcu. – Czy ja wykonuję jakiś zawód?

– Jesteś nauczycielem! Nauczycielem! Nauczycielem!

– A jeśli zachorujecie?

– Pielęgniarka! Lekarz! Kierowca karetki!

Kiedy tablica już się zapełniła, poprosiłem, żeby napisali, jaki zawód chcieliby sami wykonywać, i podali powody, by wyjaśnili, na czym ten zawód polega, i coś związanego z nim narysowali. Kiedy zajęli się pracą, chodziłem między nimi, chwilę rozmawiałem z tym czy z tamtym, w końcu stanąłem przy oknie z rękami na plecach i zapatrzyłem się w ciemność. Nie dawała mi spokoju myśl, że ona się we mnie zakochała, że była jednocześnie radosna i smutna.

Wróciłem za katedrę. Zaczęliśmy omawiać to, co napisali, zdążyliśmy z ponad połową przed dzwonkiem. Na następnej lekcji wróciliśmy do tego miejsca, w którym przerwaliśmy, potem przeszliśmy do czytania z podręcznika i ustnych odpowiedzi na zamieszczone tam pytania, a przez dwadzieścia ostatnich minut czytałem im *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. Kiedy wyjąłem książkę i zacząłem czytać, po kolei opuszczali swoje miejsca i siadali w kręgu na wykładzinie przede mną. Zawsze tak robili, musieli się do tego przyzwyczaić w pierwszej czy w drugiej klasie. Miałem wrażenie, że zapewniam im ciepło i poczucie bezpieczeństwa. A raczej że sami je znajdują w tej dość zwyczajnej sytuacji. Zapatrzeni przed siebie, słuchali wschodnich opowieści, poniekąd zwróceni ku swojemu wnętrzu, jakby siedzieli przed studnią własnej duszy, w samym środku pustyni umysłu i mieli przed oczami wszystkie te wielbłądy, cały ten jedwab, latające dywany, duchy, rozbójników, meczety i bazary, całą tę płomienną miłość i nagłą śmierć, falujące niczym fatamorgana na tle błękitnej pustki nieba świadomości. To, że trudno było sobie wyobrazić świat bardziej odległy od ich świata, gdy tak siedzieli na jego skraju, wśród idealnej ciemności i lodowatego chłodu, nie miało dla nich żadnego znaczenia, bo cała rzecz rozgrywała się w ich wnętrzu, a tam wszystko było możliwe, wszystko było dozwolone.

\*

Na następnej lekcji miałem norweski z piątą, szóstą i siódmą klasą.

– Zaczynamy od razu – oświadczyłem zaraz po wejściu do klasy. – Siadajcie i wyjmijcie książki!

– Jesteś dzisiaj zły? – spytała Hildegunn.

– Nie próbuj przeciągać czasu! No, dalej, bierzcie podręczniki! Dzisiaj popracujemy w grupach. To znaczy w parach, po dwie osoby. Hildegunn i Andrea, zsuńcie ławki! Jørn i Live. Kai Roald i Vivian. No, dalej! Zawsze musicie się tak guzdrać?

Zaczęli zsuwać ławki w takim ustawieniu, jak sobie zażyczyłem. Wszyscy, z wyjątkiem Kaia Roalda. Siedział z łokciami opartymi o blat, a dłońmi podtrzymywał policzki.

– Ty też, Kai Roald! – powiedziałem. – Przysuń swoją ławkę do Vivian. Będziecie pracować razem.

Spojrzał na mnie i pokręcił głową. Potem znów zaczął się gapić przed siebie.

– Nie masz wyboru. Musisz robić to, co powiem, więc wstawaj!

– Nie wstanę.

Podszedłem do niego.

– Nie słyszysz, co mówię? Przesuń ławkę do tyłu!

– Nie chcę. Nie zrobię tego.

– Dlaczego?

Pozostali uczniowie, którzy zakończyli już tę operację, teraz się w nas wpatrywali.

– Nie chcę.

– Mam to zrobić za ciebie? – spytałem.

– A ty nie słyszysz, co mówię? – odparował. – Nie zrobię tego.

– M u s i z.

Pokręcił głową.

Złapałem rękami za jego ławkę i próbowałem ją unieść. Z całej siły przycisnął przedramiona do blatu. Pociągnąłem mocniej, przytrzymał go wtedy również dłońmi, czerwony na twarzy. Serce mi waliło.

– Rób, co ci każe! – syknąłem.

– Nie!

Szarpnąłem i wyrwałem ławkę z jego uścisku. Zniosłem ją do ławki Vivian, postawiłem. Kai Roald dalej siedział na krześle.

– Ja się stąd nie ruszę – oznajmił.

Chwyćłem go za ramię, wyślizgnął mi się.

– Przesiądź się tam! – prawie krzyknąłem. – Mam cię zanieść? Tego chcesz?

Kątem oka zobaczyłem, że Hege przygląda się nam z drugiego końca pomieszczenia klasowego.

Kai Roald nie odpowiedział.

Stanąłem za nim, złapałem siedzenie krzesła i już miałem je podnieść, kiedy on nagle wstał, przeszedł za ławkę i chwycił ją, prawdopodobnie po to, by ją przesunąć.

– Odstaw tę ławkę!

Twarz miał czerwona jak burak, spojrzenie twarde i nieustępliwe. Kiedy ruszył do przodu z ławką, szarpnąłem ją z całej siły, wyrywając mu ją z rąk.

– Ty pieprzony koński chuju! – krzyknął.

Odstawiłem ławkę. Wściekłość pulsowała mi w żyłach. Oczy błyszczały z podniecenia. Starałem się oddychać głęboko, żeby się uspokoić, ale to nie pomagało. Drżałem na całym ciele.

– Możesz iść do domu – oświadczyłem. – Nie chcę cię tu dzisiaj więcej widzieć.

– Co?

– Wyjdź!

Nagle zaczął walczyć z płaczem i spuścił wzrok.

– Przecież ja nic nie zrobiłem!

– Wyjdź! – powtórzyłem. – Nie chcę cię tu widzieć, więc wyjdź!

Podniósł głowę, posłał mi pełne złości spojrzenie, odwrócił się powoli i wyszedł.

– Wracamy do lekcji – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem. – Otwórzcie ćwiczenia na stronie czterdziestej szóstej.

Pozostali uczniowie usłuchali. Za oknami przechodził właśnie Kai Roald, niby beztrąsko wymachując rękami i patrząc wprost przed siebie.

Wyjaśniłem uczniom, co mają robić, i znów zerknąłem za okno. Kai Roald akurat dotarł do kręgu światła ostatniej latarni na terenie szkoły. Kark miał zgięty, głowę spuszczoną. Ale postąpiłem słusznie. Nikt nie może bezkarnie nazywać nauczyciela końskim chujem.

Usiadłem za katedrą. Do końca lekcji nie mogłem odzyskać równowagi i ślupałem się wyłącznie na tym, by uczniowie się nie zorientowali.

W pokoju nauczycielskim podeszła do mnie Hege i spytała, co się stało. Wzruszyłem ramionami i wyjaśniłem, że pokłóciłem się z Kaiem Roaldem, powiedziałem też, jak mnie nazwał.

– Dlatego wyrzuciłem go z lekcji już do końca dnia. To przecież niedopuszczalne.

– Wiesz, u nas jest trochę inaczej – stwierdziła. – Brzydki wyraz i wyzwisk nie traktuje się aż tak poważnie.

– A dla mnie to poważna sprawa – oświadczyłem. – To ja jestem wychowawcą.

– Wiem, wiem.

Nalałem sobie kawy, usiadłem przy swoim biurku i zacząłem przeglądać książkę. Nagle



w jednej chwili wszystko zrozumiałem.

Chłopak nie chciał siedzieć koło Vivian, bo się w niej kochał.

Od tej nagłej świadomości zrobiło mi się gorąco. Co za idiota ze mnie! Jak można być takim głupkiem? Odesłanie ucznia do domu to surowa kara, będzie musiał się z tego tłumaczyć, a rodzice uznają, że bardzo zawinił. A tak nie było.

Przecież lubiłem Kaia Roalda.

On się tylko zakochał.

Było już jednak za późno. Nie dało się tego cofnąć.

Wróciłem do pokoju nauczycielskiego, sięgnąłem po leżącą na stole gazetę, usiadłem i zacząłem czytać. Na końcu krótkiego korytarzyka otworzyły się drzwi i pojawił się Richard. Spojrzał na mnie.

– Karl Ove – powiedział. – Mogę cię prosić na słowo?

– Oczywiście.

– Przejdźmy do mojego gabinetu.

Poszedłem z nim w milczeniu. Zamknął za nami drzwi i odwrócił się do mnie.

– Telefonowała matka Kaia Roalda – oznajmił. – Mówiła, że jej syn został wyrzucony z lekcji. Co się stało?

– Odmówił wykonania polecenia. Trochę się pokłóciliśmy. Nazwał mnie końskim chujem, a ja mu kazałem wyjść. Przekroczył granicę.

Richard przyglądał mi się przez chwilę. W końcu usiadł za wielkim biurkiem.

– Wyrzucenie kogoś z lekcji to poważny środek karny – powiedział. – Najsurowsza kara, jaką dysponujemy. Wiele musi się zdarzyć, by do czegoś takiego doszło. Ale ty przecież o tym wiesz. Kai Roald to dobry chłopiec, mam rację?

– No pewnie, ale nie o to chodzi.

– Posłuchaj. Jesteśmy na północy Norwegii. Tutaj jest inaczej niż na południu. Na przykład do brzydkich wyrazów i do przeklinania nie podchodzimy tak poważnie. Niedobrze się stało, że nazwał cię tak, jak cię nazwał, ale też i nie jest to takie ciężkie przewinienie, jak zdaje się, uważasz. Chłopak ma temperament. Na to mu chyba pozwolił?

– Nie zgadzam się, by uczeń nazywał mnie końskim chujem, bez względu na to, w jakim miejscu na świecie by do tego doszło.

– Tak, tak, rozumiem. Ale zawsze istnieją sposoby na rozwiązywanie konfliktów. Trzeba trochę z siebie dać i trochę ustąpić. Wyrzucenie kogoś to absolutna ostateczność. Odnoszę wrażenie, że w tym wypadku sprawy nie zaszły aż tak daleko. Mam rację?

Nie odpowiedziałem.

– Nauczycielem jesteś od niedawna, Karl Ove. A błędnych ocen dokonują nawet ci z największym doświadczeniem. Następnym razem, kiedy nie będziesz mógł sam poradzić sobie z sytuacją, zwołaj mnie. Albo przyrowadź ucznia do mojego gabinetu.

*In your dreams.*

– Pomyślę o tym, jeśli jeszcze raz dojdzie do czegoś podobnego.

– Dojdzie na pewno. A teraz i tak musisz uporządkować sprawę. Zadzwońisz do matki Kaia Roalda i wyjaśnisz, dlaczego jej syn został wyrzucony z lekcji.

– Chyba wystarczy, jeśli jutro dostanie pisemne wyjaśnienie – powiedziałem.

– Dzwoniła do szkoły bardzo zaniepokojona. Sądzę więc, że najlepiej będzie, jeśli z nią od razu porozmawiasz.

– Dobrze, wobec tego zadzwonię.

Wskazał mi ręką szary aparat telefoniczny stojący u niego na biurku.

– Możesz zadzwonić stąd.

– Ale już dzwonek Zatelefonuję na następnej przerwie.

– Wezmę dwadzieścia pierwszych minut twojej lekcji. Którą klasę masz teraz?

– Piątą, szóstą i siódmą.

Kiwnął głową i wstał, stanął obok biurka.

Zamierzał tu być, gdy będę dzwonił? Chciał być świadkiem tej rozmowy? Czyżby miał świra na punkcie kontroli?

Otworzyłem książkę telefoniczną i spojrzałem na Richarda, który bez jednego mrugnięcia patrzył mi w oczy.

Co za dupek!

Wykręciłem numer.

– Halo – rozległ się kobiecy głos.

– Dzień dobry, mówi Karl Ove Knausgård, wychowawca Kaia Roalda.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Doszło dziś do konfliktu między mną a Kaiem Roaldem. Odmówił wykonania mojego polecenia. I nazwał mnie... no cóż, rzucił mi w twarz brzydkie wyzwisko. Dlatego odesłałem go do domu.

– Słusznie – stwierdziła. – Kai Roald potrafi być niekiedy bardzo uparty.

– Owszem – przyznałem. – Ale to dobry chłopiec. Sprawa nie była na tyle poważna, by miała dla niego jakieś dalsze konsekwencje. Musiał jednak dostać nauczkę. Jutro wszystko będzie jak zwykle. W porządku?

– Bardzo dziękuję za telefon.

– To ja dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia.

W chwili gdy odkładałem słuchawkę, zadzwonił dzwonek na lekcję. Richard skinął mi głową, bez słowa opuściłem jego gabinet i od razu poszedłem do tej części sali, w której z piątą, szóstą i siódmą klasą miałem prowadzić matematykę. Z tego przedmiotu byłem najslabszy. Nie umiałem się niczym wykazać, nie potrafiłem w żaden sposób zainteresować uczniów i kończyło się na tym, że rachowali w zeszytach, a od czasu do czasu omawialiśmy jakiś nowy element przy tablicy. Oni o tym wiedzieli i chyba z jeszcze większym uporem niż na początku innych lekcji starali się przeciągać czas i mnie rozpraszać.

– Do kogo telefonowałaś? – spytała Vivian, kiedy usiedli.

– Skąd wiesz, że w ogóle telefonowałem?

– Widzieliśmy przez szybę – wyjaśniła Andrea. – Korzy stałeś z telefonu dyrektora.

– Dzwoniłeś do domu Kaia Roalda? – dopytywała się Hildegunn.

– On jeszcze dzisiaj wróci? – włączyła się Vivian.

– To oczywiście nie wasza sprawa, do kogo dzwoniłem – odparłem. – Natomiast faktem jest, że jeśli się zaraz nie uspokoiacie, to zadzwonię do waszych rodziców.

– Ale oni są w pracy – odparowała Vivian.

– Vivian! – skarciłem ją.

– Słucham?

– Uspokój się. Zaczynamy! Ciebie też to dotyczy, Jørn.

Andrea wysunęła nogi spod ławki i ocierając jedną stopę o drugą, z ołówkiem w ręku, czytała zadanie w książce. Live kilka razy rozejrzała się po sali, jak zawsze, gdy się zacięła, utknęła i nie chciała prosić o pomoc. Popatrzyłem na Jørna, który z językiem w kąciку ust zapamiętałe liczył. W końcu napotkałem spojrzenie Live, podniosła rękę.

Nachyliłem się nad jej ławką.

– Nie umiem tego zrobić – powiedziała. – Tego tutaj.

Pokazała ołówkiem. Jej oczy za szkłem okularów krążyły. Wyjaśniłem jej, jak ma zacząć, westchnęła głośno, z przesadą, w taki sposób umniejszała wobec koleżanek swoje niepowodzenia.

– Rozumiesz już? – spytałem.

– Tak, tak! – Machnęła ręką, żebym odszedł.

– Proszę pana! – Vivian zachichotała. – Proszę pana, mnie nie wychodzi!

Kiedy się nad nią nachyliłem, miałem wrażenie, jakby nagle zrobiła się zupełnie pusta. Twarz miała bez wyrazu, podobnie oczy, niemal mnie przeraziło takie jej nastawienie na odbiór.

– Dlaczego utknęłaś akurat w tym miejscu? – spytałem. – Przecież wcześniej w identyczny sposób rozwiązałaś piętnaście przykładów!

Wzruszyła ramionami.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedziałem. – Przyjrzyj się innym przykładom. Jeśli sobie nie poradzisz, przyjdę i ci pomogę, dobrze?

– Dobrze, proszę pana. – Spojrzała w bok z chichotem.

Kiedy się wyprostowałem, napotkałem oczy Andrei.

W jej spojrzeniu wyczytałem pragnienie, od którego oblało mnie gorąco.

– Wszystko w porządku?

– Nie bardzo – odparła. – Chyba potrzebuję trochę pomocy.

Kiedy stawałem przy niej, serce zabiło mi szybciej. Idiotyczna reakcja, ale świadomość, że dziewczyna na być może się we mnie kocha, uniemożliwiła mi nagle normalne zachowanie.

Nachyliłem się, a ona jakby się skuliła. Jej oddech się zmienił, spojrzenie przywarło do książki. Poczulem zapach jej szamponu. Starannie unikałem jakiegokolwiek formy kontaktu fizycznego, kiedy dotykałem palcem pierwszej napisanej przez nią liczby. Odgarnęła włosy na bok, oparła się

łokiem o blat. Wszystko, co robiliśmy, stało się nagle świadomym działaniem, ukazało w całej swojej mnogości szczegółów i przestało zaliczać do sfery tego, co naturalne i szczerze, a zmieniło w nienaturalne i sztuczne.

– W tym miejscu zrobiłaś błąd. Widzisz?

Zaczerwieniła się, ściszoneym głosem potwierdziła, pokazała kolejne zadanie, spytała, co wobec tego ma zrobić z tym, jeszcze raz potaknęła, miętko i cicho, a oddech, jej oddech drżał.

Wyprostowałem się i przeszedłem dalej, spojrzeniem obrzuciłem swoją klasę i całą przestrzeń, w której odbywały się lekcje, ale nie pozostałem niewzruszony, tamta króciutka chwila wciąż żyła, więc aby się z niej wyrwać, zebrałem książki leżące na katedrze, mocno uderzyłem nimi w stół, z postanowieniem odezwania się do całej klasy. Tamtą chwilę należało zniszczyć inną, wyraźniejszą. Musiałem doprowadzić do tego, by klasa znów stała się jednością, grupą uczniów, którzy mają się nauczyć konkretnych rzeczy.

– Wygląda na to, że większość z was moziła się z tym samym – powiedziałem. – Wobec tego przerobimy to na tablicy. Piąto- i szóstoklasiści niech zatłkają uszy.

Po rozwiązaniu zadania lekcja toczyła się jak przedtem. Nawet jeszcze zanim zrozumiałem, że Andrea żywi wobec mnie uczucia, siłkowałem trzymać uczniów na dystans. Nigdy żadnego z nich nie objąłem, w ogóle starałem się ich nie dotykać, a jeśli rozmowa czy żarty posunęły się za daleko, wchodząc na obszary związane z erotyzmem, zawsze to ucinałem. Pozostali nauczyciele nie musieli tak reagować, dla nich dystans był faktem, czymś, czego nic nie mogło zmienić. Ja musiałem go tworzyć.

Po południu zadzwoniłem do taty. Głos miał mroczny, zimny i trzeźwy. Spytał, jak mi leci, powiedziałem, że wszystko w porządku, ale że już się cieszę na ferie świąteczne.

– Pewnie będziesz je spędzać z matką? – spytał.

– Tak

– Sądziłem, że tak będzie. Fredrik też nie przyjedzie, więc w tym roku znów wybierzemy się na Południe. Ale masz przecież siostrę, Karl Ove. Nie zapominaj o tym.

Naprawdę myślał, że dam się nabrać? Gdybym powiedział, że chcę spędzić święta z nimi, znalazłby tysiąc wymówek. Nie chciał mnie widzieć u siebie. Dlaczego więc tak mu zależało na stwarzaniu pozorów, że to my sprawiamy mu zawód?

– Ale może przyjechałbym podczas ferii zimowych? – zaproponowałem. – Tak by wam pasowało? Wtedy chyba nie wyjeżdżacie na Południe?

– Na razie nie mamy żadnych planów – odparł. – Zobaczmy, gdy ten czas będzie się zbliżał.

– Mógłbym przyjechać statkiem czy czymś takim.

– Może i tak. Miałaś ostatnio jakieś wieści od Yngvego?

– Nie. Rozmawialiśmy już jakiś czas temu. Wydaje mi się, że jest bardzo zajęty.

Przez całą tę krótką rozmowę telefoniczną tata zdawał się szukać pretekstu, żeby ją zakończyć. Rozłączyliśmy się po mniej więcej dwóch minutach. Cieszyłem się z tego. Za każdym razem, gdy tak się działo, otrzymywałem potwierdzenie, że nie jest kimś, kogo potrzebuję.

Ale czy nie tak by było ze wszystkimi?

Idąc drogą w dół pod wiatr, który niósł śnieg wprost znad czarnego morza, zastanawiałem się, czy w ogóle istnieje ktoś, kto jest mi potrzebny. Czy są takie osoby, bez których naprawdę nie mógłbym się obyć? Jeżeli już, to Yngve i mama.

Ale chyba i oni nie są niezastąpieni?

Próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby nie istnieli.

Mniej więcej tak jak teraz, minus rozmowy telefoniczne i spotkania w Boże Narodzenie i wakacje.

Nie byli niezastąpieni?

Ale przecież kiedy już odniosę sukces jako pisarz, to mama musi przy tym być.

Butem odkopałem śnieg, którego nawiało pod drzwi, i wszedłem do środka. No i może kiedy będę miał dzieci?

Ale przecież dzieci nie będę miał. Tego nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić.

A w obecnej sytuacji w ogóle nie wchodziły w grę.

Uśmiechnąłem się do siebie, zdejmując kurtkę. Moment później dopadło mnie przygnębienie. Wszystko, co miało z tym związek, rzucało cień na moje życie. Nie mogłem. Próbowałem. Nie dawałem rady. Nie umiałem.

O, do jasnej cholery, niech to szlag trafi, pierdolone gówno!

Opadłem na kanapę i zamknąłem oczy. Czulem się nieswojo, miałem wrażenie, jakby w każdej chwili ktoś z zewnątrz mógł zajrzeć do środka i popatrzeć na mnie, ba, jakby już na mnie patrzył.

W piątek wieczorem wszyscy młodzi, niewykwalifikowani nauczyciele przyszli do Hege na pizzę i piwo. Hege była siłą napędową imprezy, centralnym punktem, pełna energii, z ciętym językiem, wyciągała jedną historię za drugą. Nils Erik wyraźnie ją lubił i próbował zrobić na niej wrażenie swoim parodiowaniem innych. Na mnie w ogóle nie patrzyła, co było dość dziwne, ponieważ w ostatnich tygodniach często przychodziła do mnie pogadać o tym wszystkim, co jej leżało na twardym sercu.

Po sprzątnięciu jedzenia ze stołu wyjęła z zamrażalnika butelkę wódki. Mnie ten przezroczysty zimny trunek unosił w górę, ku radości, Hege natomiast zaczęła z czasem tracić kontrolę nad mimiką twarzy i koordynacją ruchów. Kiedy wstała, żeby wyjść do toalety, wpadła na ścianę. Chwiejąc się na nogach, oparła się o nią i zajrzała w głąb korytarza. Zaśmiała się i znów podjęła próbę przejścia po tej wielkiej otwartej płaszczyźnie, jaką była podłoga salonu. Tym razem z większym powodzeniem, bo oprócz przesadnego trzymania się linii prostej i paru kroków w bok dla utrzymania równowagi, bez większych problemów dotarła do drzwi łazienki. Pół godziny później już spała w fotelu. Poglądziłem ją po policzku, otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Zaproponowałem, żeby się ze mną przeszła, bo mroźne powietrze dobrze jej zrobi. Zgodziła się, pomogłem jej wstać i podtrzymałem ją, gdy schodziliśmy po schodach. Ze śmiechem wetknęła rękę w rękawy kurtki, którą jej podałem. Mocno naciągnęła czapkę na głowę i powolnymi ruchami owinęła sobie szyję szalikiem.

Na dworze było ciemno i cicho. W ciągu ostatnich godzin temperatura drastycznie spadła i pokrywa chmur, wisząca przez cały tydzień nad wioską jak brezent, rozsunęła się na boki: nad nami migotały gwiazdy. Wzięłam Hege pod rękę i ruszyliśmy w drogę. Wpatrywała się wprost przed siebie, wzrok miała zamglony i pusty, od czasu do czasu śmiała się bez powodu. Doszliśmy do kaplicy i ruszyliśmy z powrotem, potem dalej, do szkoły, znów zawróciliśmy. Nad górami na zachodzie przebiegła po niebie zielonkawa fala, kiedy zniknęła, zostawiła po sobie zielonożółty welon.

– Spójrz, zorza polarna! – powiedziałam. – Widziałeś?

– Zorza, aha, na pewno!

Jeszcze raz doszliśmy do kaplicy. Suchy śnieg chrzęścił pod butami. Po drugiej stronie fiordu wznosiły się milczące dzikie góry, pokryte śniegiem, dlatego odrobinę jaśniejsze niż otaczająca je ciemność. Mróz oblepiał mi twarz jak maska.

– Zaczynamy dochodzić do siebie? – spytałem, kiedy zawróciliśmy.

– Mhm – wymamrotała.

Jeśli ten spacer jej nie otrzeźwi, to już nic jej nie pomoże.

– To co, wchodzimy do środka? – spytałem na podjeździe przed jej domem. Spojrzała na mnie i posłała mi uśmiech, który uznałem za diaboliczny. Potem prędko zarzuciła mi ręce na szyję, przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała.

Nie chciałem jej urazić, więc odczekałem chwilę, zanim się wyprostowałem i uwolniłem.

– Nic z tego nie będzie – oświadczyłem.

– Wiem. – Roześmiała się.

– Dołączamy do reszty, prawda? – spytałem.

– Dobrze.

Przytomność, którą odzyskała na mrozie, w ciepłe szybko przepadła, wkrótce Hege zniknęła w sypialni i zabawiła tam na tyle długo, że my, pozbawieni gospodyni, posprzątaaliśmy ze stołu butelki i kieliszki, zajrzeliśmy do niej i stwierdziwszy, że w ubraniu leży na plecach w dużym małżeńskim łóżku i chrapie, rozeszliśmy się do domów.

Przez resztę weekendu pisałem. W niedzielę po południu przyszyły do mnie Hildegunn, Vivian, Andrea i Live, jak zwykle się nudziły, więc porozmawiałem z nimi pół godziny, unikając patrzenia na Andree, zerknąłem w jej stronę tylko raz, a wówczas odniosłem wrażenie, jakby moje spojrzenie było magnesem, a jej oczy z żelaza, bo ćwierć sekundy później już na mnie patrzyła, zaczerwieniona.

Och nie, biedna mała Andrea!

Ale ona wcale nie była mała, biodra miała bardzo kobiece, piersi wielkości pomarańczy, a w zielonych oczach błyszczała nie tylko dziecięca radość.

Powiedziałem, że muszą już iść, bo mam inne zajęcia niż zabawianie dzieci przez cały wieczór, wyszły, pry chając i wzdy chając, Andrea jako ostatnia nachyliła się i wciągnęła na nogi długie kozaki. Spojrzała na mnie przelotnie i dopiero po chwili dołączyła do koleżanek, które

czekały już na nią na zewnątrz wśród syjącego śniegu, przez moment nieruchome. Zaraz jednak znów wstąpiło w nie życie i ze śmiechem ruszyły drogą w dół, a ja zatrzasnąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku.

Nareszcie sam.

Nastawiłem muzykę tak głośno, jak tylko mogłem, by nie dopuścić do zniekształcenia jej przez głośniki, i usiadłem z zamiarem dokończenia opowiadania, do którego zabrałem się dzień wcześniej.

Mówiło o siedemnastolatkach, którzy w trakcie powrotu z imprezy zobaczyli samochód wbity w skalną ścianę. W ten wczesny niedzielny poranek byli pijani, droga zupełnie pusta, a nad całą okolicą wisiała gęsta, wilgotna mgła. Pokonali zakręt i w miejscu, gdzie szosa wcinała się w skalę, ujrzeli samochód ze zmiażdżonym przodem i zbitą przednią szybą. Początkowo sądzili, że wypadek zdarzył się już dawno, że to jakiś stary wrak, ale po chwili zorientowali się, że w samochodzie ktoś jest, mężczyzna na przednim siedzeniu, przesuniętym i wciśniętym w tył, twarz miał zakrwawioną, zrozumieli, że do tego wypadku musiało dojść całkiem niedawno, może zaledwie dziesięć czy piętnaście minut temu. Zaczęli go wypytywać, jak się czuje. Ranny spojrział na nich i powoli otwierał usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Musieli się zastanowić, co robić. Popatrzyli po sobie. Cała ta historia miała w sobie coś ze snu, zarówno dlatego, że okolica była taka cicha, a mgła taka gęsta, jaki dlatego, że byli pijani.

Gabriel stwierdził, że trzeba zadzwonić po karetkę. Ale skąd? Najbliższy dom znajdował się na osiedlu odległym o kilometr. Zdecydowali, że jeden z nich pobiegnie zatelefonować, dwaj zaś zostaną przy wraku i będą czuwać. Nie mogli w żaden sposób sami pomóc temu mężczyźnie, był uwięziony i z pewnością odniósł poważne obrażenia wewnętrzne.

Dotąd dotarłem. Co miało się wydarzyć dalej, nie wiedziałem, oprócz tego, że ten człowiek umrze na ich oczach. Może powinien coś powiedzieć? Coś związanego z jakąś inną historią, dla nich niezrozumiałą, lecz mimo wszystko oczywistą? Bawiłem się również pomysłem, że mężczyzna jest postacią z całkiem innej opowieści. Na przykład zamknął swojego ojca w jakimś pomieszczeniu, w którym się nad nim znęcał, a teraz miał umrzeć, nikomu nie wyjawivszy tajemnicy. Albo też miało już nie być nic więcej, tylko ten wrak zauważony nad ranem i umierający mężczyzna.

Przebywając w głębi tego obrazu z błyszczącym asfaltem, nieruchomymi świerkami, odłamkami szkła i pogiętym metalem, zapachem spalonej gumy i mokrego od deszczu lasu, być może z pylonami mostu i ledwie widocznymi czerwonymi światłkami na ich szczytach, gdzieś głęboko we mgle, nagle podskoczyłem jak wariat, bo ktoś zapukał w szybę okna tuż przede mną.

Hege.

Serce wpadło mi w poślizg, bo nawet gdy zobaczyłem, że to ona, i zrozumiałem, że musiała dzwonić do drzwi już od jakiegoś czasu, a ja w ogóle tego nie słyszałem, dalej waliło mi w piersi. Roześmiała się, pytając wskazałem na drzwi. Kiwnęła głową, więc poszedłem otworzyć.

– Cześć. Nie przypuszczałam, że tak łatwo cię przestraszyć.

– Pisałem – wyjaśniłem. – I byłem zupełnie gdzie indziej. Wejdiesz?

Pokręciła głową.

– Powiedziałaś Vidarowi, że idę tylko do kiosku. Pomyślałam, że przy okazji zajrzę do ciebie

i przeproszę cię za piątek

– Nie masz za co przepraszać – zapewniłem.

– Być może. Ale i tak przepraszam.

– Dziękuję.

– Tylko nic sobie nie wyobrażaj – dodała prędko. – Zawsze jestem taka, kiedy się upiję.

Kompletnie tracę kontrolę nad impulsami i podrywam pierwszego lepszego. To nic nie znaczy. Rozumiesz, prawda?

– Ze mną przecież jest tak samo.

Uśmiechnęła się.

– Świetnie. To znaczy, że wszystko będzie tak jak dawniej. Widzimy się w poniedziałek!

– Tak, do zobaczenia. Trzymaj się.

– Cześć. – Ruszyła z powrotem w stronę drogi.

Zamknąłem za nią i poczułem, że jestem wkurzony, bo takie wczucie się w tekst jak poprzednio zajmie mi co najmniej godzinę, a była już ósma. Uznałem, że równie dobrze mogę iść do szkoły na wiadomości sportowe. Stałem jeszcze przy biurku, patrząc na ostatnie zdania, które napisałem.

Nie. Jeśli coś ma z tego wyjść, muszę się temu całkowicie poświęcić.

Pisałem dalej.

Pod drzwiami znów się ktoś pojawił.

Wyłączyłem muzykę i poszedłem otworzyć.

To byli trzej młodzi rybacy. Żaden nie grał w piłkę, z dwoma ledwie zamieniłem słowo, lecz mimo to piliśmy już razem trzy czy cztery razy. Trzecim był Henning, o rok starszy ode mnie, skończył liceum i bardzo się starał odróżnić od innych drobiazgami, na przykład butami w szpic, które nosił, czarnymi lewisami, muzyką puszczaną w samochodzie, bardziej w moim guście niż miejscowych.

– Możemy wejść? – spytał.

– Pewnie. – Odsunąłem się na bok. Zdjęli kurtki, przysypane na ramionach śniegiem, zrzucili przemoczone buty, weszli do salonu i usiedli.

Na dworze wiatr się wzmagał. Fale atakowały brzeg jak rozwścieczone zwierzęta. Szum, który tutaj nigdy nie cichł, przy takiej pogodzie nabierał mroczniejszego tonu, przypominał huk ściszonego grzmot.

Wystawili na stół po butelce absoluta dla każdego.

– Niestety, nie mam nic do domieszczenia – powiedziałem.

– Wrzucimy butelki do zamrażarki i wypijemy czystą – zdecydował Henning. – Rosjanie tak robią. I tak powinno się ją pić. A jeśli się weźmie trochę pieprzu, smakuje naprawdę fantastycznie.

– Olej – rzuciłem i poszedłem po szklanki. Kiedy nalali sobie i szczerze napełnili również moją szklankę, nastawiłem jeden z dwóch minilongplayów U2, które miałem, a które mało kto słyszał. Henning lubił U2 i rzeczywiście zaraz mnie spytał, co to jest, więc zarobiłem u niego



punkt.

Muzyka natychmiast przywołała wspomnienia z dziewiątej klasy i z pierwszej licealnej. Ogromna, pusta, piękna, lecz również samotna przestrzeń w muzyce, którą tak kochałem, i jak się zorientowałem, wciąż Kocham, a poza tym wszystko wokół, co się z nią łączyło, wszystko, co działo się wtedy w moim życiu, skondensowane, z tym niewiarygodnym drżącym zgęstnieniem, jakiego dokonać potrafią wyłącznie uczucia. Cały rok przeżyty w ciągu sekundy.

– Cholera, ale to świetne! – wyrwało mi się.

– Na zdrowie! – Kåre wznosił toast.

– Na zdrowie! – przyłączył się Johnny.

– Na zdrowie! – powtórzył Henning.

– Na zdrowie! – powiedziałem, opróżniłem szklankę i aż się wzdrygnąłem. Podkręciłem muzykę. Z gęstą ciemnością za oknem i światłem w środku czułem się niemal tak, jakbyśmy się znajdowali w jakimś pojeździe. Daleko w przestrzeni kosmicznej.

No i przecież tak było. Unosiliśmy się w kosmosie. Zawsze o tym wiedziałem, ale dopiero po przyjeździe tutaj w pełni to do mnie dotarło. Ciemność wpływała na pojmowanie świata. Tak samo jak zorza polarna, ten zimny pożar na niebie. I izolacja.

Niech to szlag trafi, że też nie potrafiłem omijać jej oczu. W żadnym wypadku nie powinienem podsycać jej uczuć.

Nie wolno mi nigdy więcej na nią spojrzeć.

Wyłącznie w związku z lekcjami.

Przecież nie musiałem. To, że ją lubiłem, nie miało żadnego związku ze sprawą, lubiłem również wielu innych uczniów. Zarówno czwarto-, jak i siódmo-klasistów. Wyjątkiem była siostra Vivian, Liv, ale, do licha ciężkiego, miała szesnaście lat, zaledwie o dwa lata mniej niż ja. Patrzeniu na nią nikt nie mógł niczego zarzucić.

– Dzisiaj wróciście do domu? – spytałem, zwracając się do Henninga.

Kiwnął głową.

– Złowiliście coś?

– Puste morze.

Wyszli dopiero koło piątej nad ranem. Zdążyłem wypić prawie całą butelkę wódki. Zostało mi jeszcze dość przytomności umysłu, żeby nastawić budzik, ale gdy zadzwonił, piętnaście po ósmej, miałem być jak martwy, bo piekielny pisk wciąż się rozlegał, kiedy oprzytomnił mnie wmieszany weń inny dźwięk, a mianowicie dzwonienie i walenie w drzwi.

Wytoczyłem się z łóżka, oblałem twarz zimną wodą i otworzyłem.

To był Richard.

– Obudziłeś się? Twoja klasa na ciebie czeka. Już piętnaście po dziewiątej.

– Jestem chory – powiedziałem. – Muszę dzisiaj zostać w domu.

– Bzdura! – obruszył się. – Dalej, weź prysznic i wskałuj w ubranie! Czekam tutaj.

Popatrzyłem na niego. Ciągle byłem pijany. Moje myśli zdawały się sunąć korytarzem ze

szkłany mi ścianami. Richarda widziałem jakby z daleka, chociaż znajdował się o metr ode mnie.

– Na co czekasz? – spytał.

– Chory jestem – powtórzyłem.

– Daję ci szansę. Powinieneś z niej skorzystać.

Spojrzałem na niego, a potem się odwróciłem, poszedłem do łazienki, odkręciłem prysznic i stanąłem pod nim na kilka sekund. Poczulem wściekłość. Byłem zatrudnionym pracownikiem. Nauczycielem. Gdyby któryś z innych pracowników nie przyszedł jednego dnia do pracy, tłumacząc się chorobą, Richardowi nawet by się nie przyśniło, żeby po niego iść, za nic w świecie. To, że miał rację, bo przecież nie zachorowałem, niczego nie zmieniało. Byłem dorosłym, a nie dzieckiem, nauczycielem, a nie uczniem, więc jeśli mówiłem, że jestem chory, to tak musiało być.

Zakręciłem prysznic, wysuszyłem się, wtarłem pod pachy dezodorant, ubrałem się w sypialni, włożyłem płaszcz, buty i szalik w przedpokoju i znów otworzyłem drzwi.

– Bardzo dobrze – powiedział. – No to idziemy.

Upokorzył mnie, ale nic nie mogłem z tym zrobić. To było jego prawo, miał władzę.

Zawsze lubiłem ciemność. W dzieciństwie bałem się jej, gdy zostawałem sam, ale w towarzystwie innych ludzi uwielbiałem ją za tę odmianę świata, której dokonywała. Bieganie po lesie czy między domami było zupełnie czymś innym po ciemku niż za jasnego dnia. Świat wtedy stawał się zaczarowany, a my od razu zmienialiśmy się w zdyszanych poszukiwaczy przygód, którym błyszczały oczy i mocno waliły serca.

Kiedy podrosłem, mało co lubiłem bardziej od siedzenia długo w nocy, pociągały mnie zarówno ciemność, jaki cisza, niosły obietnice czegoś wielkiego. A moją ulubioną porą roku była jesień, wędrowanie drogą nad rzeką po ciemku, w deszczu, prawie nic nie mogło się z tym równać.

Ale tutejsza ciemność była inna. W tej ciemności wszystko zamierało. Była nieruchoma, identyczna, zarówno gdy człowiek się budził, jak wtedy, gdy zasypiał, i coraz trudniej było znaleźć motywację do wstawania rano. Jakos jednak mi się to udawało i pięć minut po przebudzeniu już stawałem przed klasą, lecz również to, co działo się w szkole, wydawało się martwe. Miałem wrażenie, że niczego nie dostaję w zamian, bez względu na wkładany wysiłek, nic do mnie nie wracało, wszystko znikало, jakby rozwiewało się w tej wielkiej ciemności, w której żyliśmy. Nic nie miało znaczenia, mogłem robić i mówić byle co.

Jednocześnie przygnębiało mnie stałe przebywanie pod obserwacją – wszyscy zawsze wiedzieli, kim jestem, i nigdy nie miałem spokoju. Zwłaszcza w szkole, tam Richard wisiał nade mną jak jakiś pieprzony drapieżny ptak, gotów zaatakować w momencie, gdy tylko zrobię coś, co mu się nie podoba.

Picie jeszcze wzmacniało owo nieprzyjemne wrażenie, a ponieważ praca nie dawała mi żadnej satysfakcji, czułem się coraz bardziej znęcony, jakbym się stawał coraz bardziej pusty i wkrótce miał przybrać postać ducha, upiora, równie pusty i ciemny jak niebo i otaczające mnie morze.

Od tamtego dnia, gdy przyszedł po mnie Richard, wielokrotnie piłem w tygodniu, ale zawsze udawało mi się w porę wygrzebać z łóżka i dotrzeć do szkoły. Kiedy znów miał się o co przyczepić, chodziło o coś trochę innego. W weekend balowałem w Tromsø, Jøgge miał przepustkę i koniecznie chciał się ze mną spotkać, a w niedzielę wieczorem nie zdążyłem na statek do Finnsnes, więc musiałem tam spędzić jeszcze jedną noc, a kiedy wreszcie dotarłem do Håfjord, było już tak późno przedpołudnie, że pójście do szkoły wydawało się kompletnie bez sensu.

Następnego dnia Richard wezwał mnie do gabinetu. Powiedział, że miał do mnie zaufanie, że jestem ważnym elementem szkoły, która musi działać, i to codziennie, więc jeśli nie przychodzę do pracy, stwarzam wielkie problemy wszystkim. Również uczniom. Jestem za nich odpowiedzialny, ja i nikt inny, więc taka sytuacja absolutnie nie może się powtórzyć.

Kiedy tam stałem, uczniowie biegali tuż obok za szybą, a on siedział za tym swoim biurkiem i prawił mi morały podniesionym, twardym głosem, byłem wściekły. Ale jego głos paraliżował moją wściekłość, blokował jej ujście, pozostawiając wyłączną jedyną, starą, znenawidzoną drogę: przez łzy w oczach.

Richard mnie poniżał, a jednocześnie miał rację, powinienem być odpowiedzialny, nie mogłem wagarować z pracy, tak jak wagarowałem ze szkoły.

Nie miałem siły się buntować.

Zamknąłem drzwi za sobą, przemyślałem twarz w toalecie dla nauczycieli i usiadłem na kanapie. Nie chciało mi się nawet nalać sobie ławy.

Torill przy biurku wycinała jakieś ozdóbki świąteczne. Wyczuła, że się jej przyglądam.

– Muszę wypróbować, jak to idzie, zanim poproszę dzieci, żeby to zrobiły – wyjaśniła.

– Nie uczyliście się tego w szkole nauczycielskiej?

– Akurat nie na to był nacisk. Więcej było pedagogiki i podobnych nieprzydatnych rzeczy. – Uśmiechnęła się.

Usiadłem prosto.

Przecież mogłem zwyczajnie rzucić tę robotę.

Kto powiedział, że nie mogę?

No kto?

Wszyscy tak mówili, ale kto powiedział, że mam tego słuchać?

Nikt nie mógł mnie powstrzymać od złożenia wypowiedzenia, prawda?

Nie musiałem go nawet składać, wystarczyłoby zostać w domu po świętach, po prostu nie wracać. Zawiódłbym szkołę, ale kto powiedział, że nie mogę tak zrobić?

Nauczyciel, którego moja klasa miała rok wcześniej, przychodził do szkoły pijany, stale bumelował, a w końcu sobie wyjechał i już nie wrócił.

Ależ się na niego skarżono przez te miesiące, które tu spędziłem!

Wstałem, sekundę później zadzwonił dzwonek. A więc już w taką rutynę popadłem? Ale myśl o rzuceniu tej pracy podniosła mnie na duchu. Chciałem być wolny, a wolność była wszędzie indziej, tylko nie tutaj.

Po ostatniej lekcji tego dnia zadzwoniłem do mamy. Złapałem ją akurat tuż przed wyjściem z pracy do domu.

– Cześć, mamó – powiedziałem. – Masz czas, żeby chwilę porozmawiać?

– Tak, tak, oczywiście. Coś się wydarzyło?

– Nie, wszystko jak dawniej. Ale zaczyna mi się robić bardzo ciężko. Ledwie daję radę wstać rano. No i przyszło mi do głowy, że mogę złożyć wypowiedzenie. Bardzo mi tu źle. Nie mam przecież odpowiedniego wykształcenia do tej pracy. Dlatego pomyślałem, że może po świętach mógłbym raczej zacząć studiować, zrobić kurs przygotowawczy.

– Rozumiem, że jesteś sfrustrowany i że ci ciężko. Ale uważam, że powinieneś lepiej to sobie przemyśleć, zanim podejmiesz decyzję. Idą ferie, trochę odpocznieš. Jeśli będziesz chciał, możesz nic nie robić, tylko leżeć tu u mnie na kanapie. Wydaje mi się, że później, po powrocie na północ, całkiem inaczej spojrzysz na wszystko.

– Ale ja nie chcę wracać!

– Takie nastawienie przychodzi i mija. Przecież były chwile, kiedy bardzo ci się tam podobało. Okres przygnębienia jest zupełnie naturalny. Nie mogę ci zakazać rzucenia tej pracy, sam zdecydujesz. Ale nie musisz podejmować decyzji akurat w tej chwili, tylko tyle usiłuję ci powiedzieć.

– Chyba nie rozumiesz, co do ciebie mówię. Tu nie będzie lepiej. To cholerna męka. I za co?

– Życie czasami bywa męką.

– Zawsze to powtarzasz. Ale jeśli twoje życie jest męką, moje chyba nie musi takie być?

– Chciałam ci tylko dać radę. Uważam, że dobrą.

– Okej. Wszystko przemawia za tym, żebym to rzucił, ale masz rację, nie muszę o tym decydować już teraz.

Zwykle pilnowałem, żeby pokój nauczycielski był pusty, kiedy telefonowałem, dopuszczałem ewentualnie obecność Nilsa Erika, ale tym razem we wzburzeniu w ogóle o tym nie pomyślałem. Kiedy wyszedłem z pomieszczenia z telefonem, w kuchni natknąłem się na Richarda.

– Cześć – powiedział. – Tylko zrywam. Idziesz już do domu?

– Tak – Odwróciłem się i wyszedłem.

Słyszał moją rozmowę? Na domiar wszystkiego jeszcze podsłuchiwał?

Nie mogłem w to uwierzyć.

W końcu jednak nadeszły ferie, ostatniego dnia w szkole dzienniczki ze stopniami zostały rozdane, kawa wypita, ciasto zjedzone i już za godzinę miałem wsiąść do autobusu do Finnsnes i wyruszyć w długą drogę do mamy w Førde, gdzie mieliśmy spędzić czas do Wigillii w Sørbøvåg. Nagle stanął przede mną Richard.

– Chciałem ci powiedzieć, że w ciągu tego półrocza wykonałeś fantastyczną robotę. Byłeś nieocenioną częścią grona pedagogicznego. Te drobne niedociągnięcia, które się pojawiły, zdołałeś usunąć. Musisz mi obiecać, że po feriach wrócisz!

Uśmiechnął się, żeby ująć swoim słowom powagi, obrócić je w lekki żart.

– Dlaczego sądzisz, że mógłbym nie wrócić?

– Musisz wrócić – powtórzył. – Tu, na północy, jest ciężko. Ale potrafi też być fantastycznie.

Potrzebujemy cię tutaj.

To było czy ste pochlebstwo, łatwe do przejrzenia i przezroczyście jakszłdo. Ale nie przeszkodziło dumie wzbierającej mi w piersi. Przecież miał rację. Naprawdę odwaliłem kawał dobrej roboty.

– Jasne, że wrócę – zapewniłem. – Wesołych świąt! Widzimy się już w osiemdziesiątym ósmym!

\*

Wieczorem następnego dnia mama czekała na przystani w Lavik, dokąd przyjechałem ekspresowym promem z Bergen. Było wpół do dziewiątej, ciemno choć oko wykol, załoga spuściła trap, a śruby cały czas ubijały wodę na pianę. Światło latarni nad maleńką poczekalnią odbijało się w mokrym asfalcie, pokrytym wodą jak błoną. Zszedłem na ląd, nachyliłem się i uściskałem mamę. Przeszliśmy do samochodu. Wokół nas otwierały się i zamykały drzwiczki, uruchamiano silniki, a prom już sunął dalej po fiordzie. Powietrze było ciepłe, pejzaż bez śniegu, przednia szyba cały czas pokrywała się drobnymi kropelkami, regularnie ścieranymi przez wycieraczkę. Światła reflektorów błędziły przed nami jak spłoszone zwierzęta, wyławiały z ciemności drzewa, stacje benzynowe, rzeki, góry, fiordy, całe lasy. Siedziałem oparty w fotelu i patrzyłem. O tym, że stęskniłem się za drzewami, nie miałem dotąd pojęcia. Uświadomiłem to sobie dopiero teraz, gdy je zobaczyłem.

Mama przed wyjazdem z domu przygotowała danie obiadowe, zjedliśmy je, godzinę pogadałiśmy, zanim poszła się położyć. Ja jeszcze trochę popisałem, ale wyszło mi zaledwie kilka linijek. Mama wynajęła umeblowane mieszkanie i czułem się w nim jak obcy.

Następnego dnia pojechaliśmy do miasta na ostatnie przed świętami zakupy. Niebo było zachmurzone, ale słońce przesłaniała jedynie cienka, poszarpana pokrywa. Ciarki przeszły mi po plecach, kiedy otworzyłem drzwi, wyszedłem przed dom i pierwszy raz od kilku miesięcy zobaczyłem widoczną za chmurami płonąca kulę. Wprawdzie barwy krajobrazu były przytłumione do minimum, a wśród szarości wyróżniały się jedynie blada żółtość trawy i blada zieleń żywopłotu, ale i tak te kolory wydały mi się jaskrawe. Tu nie było żadnej ostrości, żadnych mocnych kontrastów, pionowych szczytów i bezkresnego morza. Tylko trawniki, żywopłoty, domki, za nimi łagodne, przyjazne góry, a wszystko przesyczone wilgocią i szarym zimowym światłem.

Wieczorem przyjechał Yngve. Akurat wypadały jego urodziny, kończył dwadzieścia trzy lata, więc po obiedzie zjedliśmy tort, wypiliśmy kawę i po kieliszku koniaku. Ode mnie dostał w prezencie płytę, a od mamy książkę. Kiedy mama już poszła spać, jeszcze posiedzieliśmy i wypiliśmy parę kieliszków. Poprosiłem, żeby Yngve przeczytał moje ostatnie opowiadanie, sam w tym czasie stałem na balkonie w mżawce i rozglądałem się, całym sobą ciesząc się z tego, że jestem w domu, chociaż obecne w tym mieszkaniu nieliczne ślady mamy i jej życia wcale nie udomowiły obcości, jak należałoby oczekiwać, przeciwnie, domowość stawała się przez to jeszcze bardziej obca. Patrzeć na jej rzeczy przypominało oglądanie ich w muzeum. Ale pojęcie domu przestało już wiązać się z miejscem, domem byli mama i Yngve, to oni go stanowili.

Odwrociłem się i zajrzałem do salonu. Yngve ciągle czytał.

Ciągle czytał to ostatnie?

Na to wyglądało.

Zmusiłem się, żeby postać na balkonie jeszcze chwilę.

W końcu szarpnąłem długi uchwyt i odsunąłem przeszkodzone drzwi na bok. Zamknąłem je za sobą, usiadłem na kanapie po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Yngvego. Ułożył kartki w stos. Skręcał papierosa, nie patrzył na mnie.

– No i co? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– No, to jest dobre.

– Na pewno?

– Tak. Mniej więcej takie jak te inne, które czytałem.

– No to fajnie. Mam już szczęście. Jeśli trochę przyspieszę, to po zakończeniu pracy w szkole będę miał już piętnaście.

– I co wtedy zrobisz? – Yngve wsunął do ust trochę krzywego papierosa i zapalił.

– Wyślę do jakiegoś wydawnictwa, to chyba oczywiste. A jak myślałeś?

Spojrzał na mnie.

– Nie sądzisz chyba, że ktoś zechce to wydać? Serio? Wierzysz w to?

Zmrożony w jednej chwili do głębi duszy, popatrzyłem na niego. Cała krew odpłynęła mi z głowy.

– Naprawdę w to wierzyłeś? – Uśmiechnął się.

Oczy mi zwilgotniały, więc musiałem odwrócić głowę.

– No, wysłać możesz. I zobaczysz, co powiedzą. Może akurat się podpalą.

– Mówiłeś, że ci się podobają. – Wstałem. – Wcale tak nie myślałeś?

– Owszem, ale wszystko jest względne. Czytałem to jako teksty, które napisał mój dwiętnastoletni brat. I jako takie były dobre. Nie sądzę jednak, żeby okazały się dostatecznie dobre do wydania.

– Okej. – Znów wyszedłem na balkon. Zobaczyłem, że Yngve sięga po książkę Fløgstada, którą dostał od mamy. W rękę trzymał kieliszek z koniakiem. Jakby to, co powiedział, nie miało wyjątkowego znaczenia. Jakby to, czym ja się zajmuję, nie było niczym wyjątkowym.

Niech go szlag.

Czy się w ogóle na tym zna? Dlaczego akurat jego miałbym słuchać? Kjartanowi się podobało, a to on był pisarzem. Czy może on też, oceniając te opowiadania, brał pod uwagę fakt, że ich autorem jest jego dwiętnastoletni siostrzeniec?

Mama twierdziła, że kiedy je czytała, uważała mnie za pisarza. Powiedziała: „Jesteś pisarzem”. Jakby ją to zaskoczyło, jakby tego nie wiedziała. Nie potrafiłaby udąć takiej reakcji. Mówiła szczerze.

No ale, do diabła, byłem jej synem.

„Nie sądzisz chyba, że ktoś zechce to wydać? Serio?”

Ja mu jeszcze, do diabła, pokażę! Cholera, pokażę całemu temu pieprzonemu światu, kim jestem i z czego jestem poskładany. Wszystkich zmiażdżę. Wszystkich wprawię w osłupienie. Tak zrobię. Tak do diabła, tak zrobię! Będę taki wielki, że nikt nie będzie mógł się ze mną równać. Nikt.

Nigdy. Za cholere, nigdy. Będe, do kurwy nędy, największy ze wszystkich. Co za cholerni idioci! Niech to szlag, zmiądzę każdego.

M u s z ę być wielki. M u s z ę.

Inaczej równie dobrze mogę od razu odebrać sobie życie.

Widok bladego zimowego słońca wśród wilgotnego, wyciszonego krajobrazu zaskakiwał mnie przez całe święta, jakbym nigdy wcześniej go nie widział, nie wiedział, z jaką mocą potrafi istnieć, jak bogata jest gra światła, gdy jego promienie filtrowane są przez chmury albo przez mgłę lub gdy po prostu leje się z błękitnego nieba, i nie znał wszystkich tych nieskończenie wielu odcieni pojawiających się, gdy jego blask odbija się od elementów pejzażu.

W Sørbøvåg nic się nie zmieniło. Babci nie bardzo się pogorszyło, dziadek niezbyt się postarzał, a żar w oczach Kjartana nie przygasł. Od poprzednich świąt zdał egzamin z filozofii na uniwersyteckim kursie przygotowawczym w Førde i teraz to nazwisko wykładowcy zamiast Heideggera i Nietzschego, chociaż nie tak często jak tamte, było wymieniane w ów poufały, świadczący o bliskości sposób. Sądziłem, że będziemy mieli okazję porozmawiać o literaturze, ale poza tym, że pokazał mi kilka swoich wierszy, których w ogóle nie rozumiałem, nic z tego nie wyszło. Kjartan sprawił sobie teleskop, ustawił go w salonie pod sięgającym sufitu oknem i wieczorami oglądał przez niego wszechświat. Zainteresował się również starożytnym Egipcem, przesiadywał w swoim skórzanym fotelu i czytał o tajemniczej kulturze, tak odległej od naszej, że mnie wydawała się wręcz nieludzka, trochę tak jakby Egipcjanie n a p r a w d ę byli bogami. No ale sam nic o tym nie wiedziałem. Przerzuciłem tylko książki Kjartana pod jego nieobecność i oglądałem ilustracje.

Dwa dni po świętach pojechałem do Kristiansand, na sylwestra. Espen wraz z kilkoma innymi osobami wynajął salę w hotelu Caledonien, niedawno znów otwartym po pożarze. Było aż tłoczno od ludzi, wszyscy pili i palili, nie minęło więc dużo czasu do pojawienia się strażaków z kompletem sprzętu do nurkowania w dymie. Na ich widok uśmiełem się do łez. Wraz z kilkoma innymi osobami byłem wtedy w drodze na dach, usiadłem na brzeżku i machałem nogami. Pod sobą miałem miasto, a nad sobą niebo pełne fajerwerków. Rozmawialiśmy o tym, żeby latem całą bandą wybrać się na festiwal do Roskilde, a z Larsem usiłowaliśmy też planować dalszą podróż autostopem do Grecji.

Zdążyłem również odwiedzić dziadków, gdzie także nic się nie zmieniło, ani oni, ani dom z jego wszystkimi przedmiotami i zapachami. To ja się zmieniłem. To moje życie pędziło naprzód z dużą prędkością.

Trzeciego stycznia poleciałem samolotem do Tromsø, mniej więcej w połowie drogi odniosłem wrażenie, że wpadamy w ciemny tunel, i wiedziałem, że nie będzie miał końca. Dalej będzie już tylko tak całkiem ciemno, jeszcze przez wiele tygodni. Potem wszystko powoli zacznie się odwracać, ciemność zniknie, a światło wypełni każdą godzinę doby. To równie niesamowite, pomyślałem, siedząc w ciasnym fotelu i paląc papierosa.

Ale najpierw ta ciemność. Spowijała wioskę ciężka i gęsta, gdy przyjechałem autobusem przed południem czwartego stycznia. Nie tak otwarta, jak potrafiła być przy bezchmurnym



niebie, z widocznymi w kosmosie gwiazdami, tylko ciężka i gęsta jak dno zabitej deskami studni.

Otworzyłem drzwi do mieszkania, wszedłem, rzuciłem plecak, zapaliłem górne światło. Czuję się, jakbym wrócił do domu.

Tam wisiał plakat Betty Blue, tam plakat Liverpoolu, a tam nowy plakat z krajobrazem, który kupiłem w Finnsnes jednego z pierwszych dni na północy.

Nastawiłem ekspres do kawy, potem kucnąłem przy płytach i zacząłem je przeglądać. Spojrzałem też na nieduży zbiór książek, które zdążyłem tu kupić. Wszystko to sprawiło mi radość.

Wyszedłem do kuchni, nalałem kawy do kubka. Przez okno zobaczyłem grupkę dzieciaków idącą pod górę. Na wypadek gdyby wybierały się do mnie, nastawiłem *Requiem* Mozarta, jedną z dwóch płyt z muzyką klasy czną w mojej kolekcji, i podkręciłem głośność niemal na full.

Dzwonek do drzwi.

Andrea, Vivian, Live, Stian i Ivar, wysocki dziewięcioklasista.

– Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku – powitałem ich. – Wejście.

Z przedpokoj, gdzie się rozbierali, dotarły do mnie słowa Vivian: „On słucha opery!”.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Kiedy weszli, stałem z kubkiem parującej kawy w ręku. Stian był u mnie tylko raz wcześniej, na samym początku, razem z Iwarem, przejrzał moją kolekcję płyt i spytał, czy nie mam żadnego heavy metalu. Przez tych kilka godzin lekcji, które miałem z nim w tygodniu, usiłowałem ignorować go na tyle, na ile się dało, i nie dać się złapać na żadną z jego prowokacji. Traktowałem go obojętnie, a on mimo wszystko zdecydował się przyjść. Tor Einar miał z tą klasą o wiele więcej zajęć i podjął z chłopakiem walkę, ale z marnym skutkiem: raz przyszedł do pokoju nauczycielskiego kompletnie roztrzęsiony, bo właśnie ci dwaj, Stian i Ivar, wspólnie powalili go na ziemię, a Ivar przytrzymał go chwytem duszącym. Po tym incydencie chłopców wydalono ze szkoły na kilka dni, ale szkoła była taka mała, miejscowość tak przezroczysta, więc tego, co gdzie indziej byłoby sprawą naprawdę poważną, tutaj nie traktowano równie ostro. Uważano, że ze Stianem i Iwarem po prostu należy sobie radzić. Kiedy wypływali na połów lub w innych okolicznościach przebywali w towarzystwie młodych mężczyzn, byli dziećmi, gówniarzami, którymi nikt się nie przejmował. Tor Einar nie mógł więc wszem wobec oznajmić, że próbowali go dusić, w każdym razie nie znalazłby u nikogo zrozumienia ani współczucia.

Teraz Stian usiadł na kanapie z nogami rozsuniętymi po męsku, jako jedyne nie zdjął kurtki. Dziewczyny wyraźnie go obserwowały, wydawały się gotowe na każde jego skinienie. Gdy się odzywał, patrzyły na niego z zainteresowaniem, a gdy zwrócił się do którejś bezpośrednio, spuszczały wzroki przejęte, wierciły się na kanapie.

– Fajne prezenty dostaliście na Gwiazdkę? – spytałem.

Vivian tylko wzruszyła ramionami.

Usiadłem w fotelu po drugiej stronie stołu.

– A ty, Stian? Co dostałeś?

Prychnął.

– W Boże Narodzenie wypłynąłem na połów. Sporo zarobiłem. Kupię sobie motorower, jak tylko śnieg zniknie.

– On w marcu kończy szesnaście lat – oznajmiła Andrea.

Dlaczego to powiedziała?

– No to jesteś tylko o trzy lata młodszy ode mnie. Niedługo będziesz mógł przejąć moją robotę. Bo taki chyba właśnie masz zamiar, prawda? Chcesz uczyć w szkole?

Znów prychnął, ale w kącikach jego ust ukazał się lekki uśmiech.

– O nie! – odparł. – Po skończeniu dziewiątej klasy jedyną książką, jaką w życiu otworzę, będzie książeczka bankowa.

– A ty, Ivar? – spytałem.

– Będę łowił.

Miał dopiero szesnaście lat, ale już był najwyższy w całej wiosce. Jego wzrost tak rzucał się w oczy, że prawdopodobnie chłopak nie myślał o niczym innym. Patrzenie na niego w towarzystwie trzech dziewczynek z siódmej klasy sprawiało wręcz ból. Ivar cierpiał w obecności wszystkiego, co małe i delikatne, liter, cyfr, konwersacji, gry w piłkę, dziewczyn. Pod bardzo wieloma względami był jeszcze dzieckiem, śmiał się nieopanowanie z najprymitywniejszych i najgłupszych dowcipów, mocno się czerwienił, gdy był strofowany, i dobrze się czuł chyba wyłącznie ze Stianem, który wydawał mu komendy jak psu. W dzieciństwie stracił ojca i za każdym razem, gdy do mnie przychodził, właśnie o nim chciał rozmawiać. Stało się to w latach siedemdziesiątych, kuter rybacki zaginął bez śladu, przez kilka dni mówiła o tym cała Norwegia, ale w końcu sprawa odeszła w niepamięć i pozostała żywa tylko tutaj, w Ivarze, jego matce i w innych bliskich. Zaledwie rok po wypadku Ivar z matką przenieśli się do jej krewnych w Hålfjord. Taka była jego historia, jego los, los syna zmarłego tragicznie ojca.

– No a wy? – spytałem dziewczyn.

Wzruszyły ramionami. Zwykle gdy przychodziły tutaj, wyczuwałem ich zaufanie, mogłem się z nimi drażnić, śmiały się i odcinały, znajdowały przyjemność w okazywaniu bezczelności. Teraz jednak zachowywały się bardziej powściągliwie. Nie chciały pokazywać się od tej strony przed Stianem. Między nimi toczyła się inna gra, o wyższą stawkę.

– Vivian ma chłopaka – wypaliła nagle Live.

Vivian zgromiła ją wzrokiem i pięścią mocno uderzyła w ramię.

– Au! – jęknęła Live.

– Naprawdę? – spytałem.

– Tak – Live roztarła ramię. – Chodzi ze Stevem.

– Ze Stevem? A kto to?

– Taki jeden, który sprowadził się tu w święta – wyjaśnił Stian. – Jest z Finnsnes. I wiosną będzie łowił. Podobno do niczego się nie nadaje.

– Wcale nie – oburzyła się czerwona jak burak Vivian.

– Ma dwadzieścia lat – dodała Live.

– Dwadzieścia? – zdziwiłem się. – To możliwe? Ty masz dopiero trzy naście.

– I co z tego? – odparowała Vivian.

– Wy tu, na tej północy, naprawdę jesteście zwiariowani. – Roześmiałem się i wstałem. – No, ale dobrze by było, gdybyście już sobie poszli. Przecież ledwie wróciłem. Muszę się rozpakować i w ogóle. Przygotować do początku zajęć, bo mam taką okropną klasę, która nic nie umie.

– Cha, cha, ale śmieszne. – Andrea już się podniosła i pospieszyła do przedpokoju, gdzie wisiała jej biała kurtka. Pozostali ruszyli za nią. Przez kilka sekund liczyły się tylko kurtki, rękawy, czapki i rękawiczki, ale w końcu, lekko się poszturchując i przepychając, ze śmiechem wyszli w ciemność. Wypakowałem ubrania, zjadłem kolację, przez parę godzin na leżąco poczytałem, nim zgasilem światło i zasnąłem. W nocy obudziły mnie odgłosy z pokoju nade mną, Torill i jej męża. Podłoga się trzęsła, Torill jęczała i krzyczała, jej mąż stękał, więc w końcu zabrałem kołdrę na kanapę i tam przespałem już do rana.

Do nowego domu przeprowadziliśmy się z Nilsem Erikiem w następny weekend. Oprócz sypialni i przeznaczonego dla mnie do pisania pokoiku za salonem wszystkie pomieszczenia mieliśmy wspólne. Na zmianę gotowaliśmy i zmywaliśmy co drugi dzień. Nie było prawie wieczoru, żeby ktoś nas nie odwiedzał, przychodzili uczniowie albo inni nauczyciele, zwłaszcza Tor Einar, który zaglądał niemal codziennie, ale często wpadała też Hege. W weekendy Nils Erik jeździł na wycieczki, zawsze pytał, czybym się z nim nie wybrał, a ja zawsze odmawiałem, wśród przyrody nie miałem czego szukać, poza tym najczęściej gdzieś odbywała się jakaś impreza i jeśli na nią nie szedłem, to pisałem, już nie opowiadania, lecz powieść, zatytułowaną *Woda na górze/Woda na dole*. Tytuł wziąłem z piosenki napisanej przez Yngvego i jego kumpla z Arendal, Øyvinda. Była to historia młodego chłopaka, Gabriela, ucznia liceum w Kristiansand; jej ramy miały stanowić tajemnicze krótkie raporty, przeplatane współczesnymi opowieściami, w których dużo było o piciu i dziewczynach, regularnie przerywanymi wtętami z dzieciństwa. Punktem kulminacyjnym była impreza w domku letniskowym w Agder, gdzie Gabriel przeszedł załamanie nerwowe i w kaftanie bezpieczeństwa trafił do szpitala psychiatrycznego; tam krąg się zamykał, ponieważ owe krótkie, rzeczowe raporty, będące wprowadzeniem do każdego rozdziału, pochodziły właśnie z psychiatrika.

Po rozpoczęciu zajęć w szkole, żeby mieć więcej czasu na pisanie, całkowicie odwróciłem rytm doby. Ciemno i tak było na okrągło, więc nie miało znaczenia, kiedy człowiek spał, a kiedy czuwał. Poranki, wieczory, noce i dni wyglądały w zasadzie identycznie. Zacząłem wstawać o jedenastej wieczorem, pisałem do ósmej rano, brałem prysznic i szedłem do szkoły, a kładłem się dopiero po zakończonych lekcjach, koło trzeciej po południu.

Czasami, kiedy pisanie mi nie szło, ubierałem się i wychodziłem, wędrowałem po cichej, spokojnej wiosce, słuchałem szumu fal bijących o brzeg, wodziłem wzrokiem po górach, których pokryte śniegiem szczyty zdawały się unosić w powietrzu, bo w dole pochłaniała je ciemność. Od czasu do czasu zaglądałem w nocy do szkoły, o trzeciej czy czwartej. Widziałem swoje odbicie w mijanych oknach, pustą twarz, puste oczy. Zdarzało się, że tam zostawałem, czytałem książkę na kanapie w pokoju nauczycielskim, oglądałem film w telewizji albo po prostu spałem kilka godzin, dopóki gwałtownie nie zbudził mnie odgłos otwieranych drzwi i nie wszedł Richard, bo to on najczęściej pierwszy zjawiał się rano. Więcej nie było trzeba, aby ogarnęło mnie wrażenie chaosu, nieposiadania kontroli nad niczym, tylko znajdowania się na samym skraju... no właśnie, czego?

Nie zaniedbywałem pracy. A to, że wykonywałem ją pod koniec swojego dnia, nie na początku, chyba nie miało żadnego znaczenia.

Ale było coś w tej ciemności. Było coś w tej malej, odciętej od świata wiosce. W widywaniu codziennie tych samych twarzy. Uczniów z mojej klasy. Kolegów z pracy. Ekspedienta ze sklepu. Niekiedy czyjegoś ojca, czyjeś matki. Niekiedy młodych rybaków. Ale cały czas byli to ci sami ludzie, cały czas trwał ten sam nastrój. Śnieg, ciemność, ostre światło przestrzeni klasowej w szkole.

Którejś nocy, gdy wyszedłem się przejść w stronę szkoły, nadjechał za mną buldożer. Z przodu miał zamontowany pług, śnieg przesuwiał się wzdłuż niego i układał w zasy przy drodze. Na dachu błyskało pomarańczowe światelko, z rury na przodzie wydobywał się gęsty, czarny dym. Mężczyzna, który prowadził maszynę, nie patrzył na mnie, gdy mnie mijał. Kawalek dalej pod górę zatrzymał się z zapuszczonym silnikiem. Kiedy się z nim zrównałem, znów ruszył. Jechał równie wolno, jak szedłem. Spojrzałem na niego, zastanawiając się, co on robi, ale patrzył przed siebie, przeszedł mnie dreszcz, poczułem się nieswojo, ta trzęsąca się, warcząca, zgrzytająca i migająca maszyna dosłownie dotykała mojej duszy. Przyspieszyłem. On przyspieszył. Skręciłem w prawo, on skręcił w prawo. Zawróciłem, on przejechał kawalek do przodu, a potem, cholera, też zawrócił, i kiedy dotarłem do drogi prowadzącej do szkoły, znów znalazł się tuż za mną. Zacząłem biec, ogarnięty przerażeniem, bo wokół nas wszystko było czarne i martwe, wieś spała, krążyliśmy po niej jedynie my dwaj, ja i ścigający mnie szalony kierowca pługa. Biegłem, ale to nie stanowiło dla niego żadnej przeszkody, po prostu przyspieszył i towarzyszył mi aż na szkolne podwórze. Otworzyłem kluczem drzwi, serce waliło mi w piersi jak dzikie. Czy zamierzał za mną wejść i tutaj?

Z pokoju nauczycielskiego obserwowałem, jak metodycznie odśnieża plac przy szkole, trwało to mniej więcej kwadrans, w końcu odjechał z powrotem do wsi.

Po drodze ze szkoły do domu następnego dnia po południu miałem okazję przez chwilę przyjrzeć się dwudziestoletniemu chłopakowi Vivian. Siedziała w jego samochodzie z tak triumfującą miną, że nie wiedziała, gdzie ma patrzeć, gdy mnie mijali i nasze spojrzenia się spotkały. Był jasnowłosym chłopakiem o wyglądzie słabeusza i jaksię zorientowałem, gdy chwilę później natknąłem się na nich w sklepie, dużo się śmiał. Okazało się, że był bezrobotny i przeniósł się tutaj, kiedy ktoś zaoferował mu miejsce na kutrze. Vivian nie mogła teraz pokazać nic z tego, co prezentowała na lekcjach, dziecinnych pytań, żartów i chichotów, musiała się od tego powstrzymać, obserwowałem to ze zdziwieniem, w samochodzie siedziała z przodu jak królowa, z nagle wymuszoną godnością, która w każdej chwili mogła pęknąć, przytrzymywana jedynie kruchymi więzami świadomości, bo dziecko, którym Vivian wciąż jeszcze była, mogło w dowolnym momencie wychylić się z tej szczeliny lub wręcz ukazać się w pełni i całkowicie przejąć nad nią władzę. Wystarczył jeden chichot, jeden gest, rumieniec na twarzy i znów się pojawiała. Jej chłopak łagodnie mówiąc, nie zaliczał się do najbystrzejszych, więc w pewnym sensie pod tym względem pasowali do siebie. W klasie zachowanie Vivian też się zmieniło, zaczęła trochę zadzierać nosa, nie podobały jej się już dziecinne wybryki kolegów. Dawała się

jednak na nie skusić, nie potrzeba było wielu słów, by zapomniała o tym dostojenstwie, które zaledwie kilka minut wcześniej nosiła na sobie jak płaszcz. Owszem, naprawdę się zmieniła, związek z tym chłopakiem wywarł na nią wpływ, tylko że jeszcze nic nie tkwiło w niej na stałe. Potrafiła odmówić śmiania się z moich dowcipów, rzucić mi, że jestem głupi, a mimo to wybuchnąć śmiechem. A kiedy już się uspokoiła, czasami zerkała na mnie z jeszcze innym odcieniem w spojrzeniu, i właśnie przed tym odcieniem, zupełnie nowym, pojawiającym się również w spojrzeniu Andrei, chociaż nie aż tak wyraźnie, musiałem się bronić, bo właśnie on, chociaż bezwiednie, ale przyciągał mnie do nich. Takie spojrzenie zmniejszało dystans między nimi a mną, lecz wcale nie dlatego, że to ja się do nich zbliżałem, tylko odwrotnie, dostrzegałem to w tym spojrzeniu, zupełnie otwartym, pół świadomym, pół nieświadomym.

A może to wszystko rozgrywało się tylko we mnie? Przecież kiedy widziałem te dziewczyny w innych okolicznościach, na przykład podczas lekcji z Torill czy Nilsem Erikiem albo w sklepie z matkami, ta ich strona zdawała się kompletnie nie istnieć. Podporządkowywały się sytuacji, a jeśli nawet nie chciały się podporządkować, to usiłowały się z niej wyrwać buntem, marudzeniem lub protestami, a nie sposobem, do którego niekiedy uciekały się na moich lekcjach – za pomocą elektryzującego spojrzenia.

Wiele się nad tym jednak nie zastanawiałem, były to raczej wrażenia, które przeze mnie przelatywały, lekkie powiewy radości i lęku, kiedy siedziałem i pisałem w te styczniowe i lutowe noce. Nie miałem też za bardzo na czym zatrzymać myśli, przecież nic nie zostało powiedziane ani dokonane, wszystko dotyczyło wyłącznie nastrojów i odczuć wywołanych czymś tak mało konkretnym jak spojrzenie czy gest.

Kiedy szedłem przez wioskę na pierwszą lekcję, towarzyszyły mi bardzo ambiwalentne odczucia, było mi w szkole zarówno dobrze, jak i źle. Niekiedy lekko laskotało mnie w piersi na myśl, że następnego dnia znów ją zobaczę.

Nikt o tym nie wiedział, prawie nie wiedziałem o tym ja sam.

W pewien piątek na początku lutego wszystkie te drobne wrażenia, każde z osobna nic nieznaczące i słabe, a zatem niestawiające żadnych wymagań, nieoczekiwanie nabrały intensywności. Jak zwykle wstałem późnym wieczorem, pisałem w nocy, a gdy minęła piąta, nie miałem już dłuższej siły i wyszedłem w ciemność. Ruszyłem przez wciąż uśpioną wieś do szkoły, gdzie zrobiwszy rundę po całej przestrzeni klasowej, usiadłem na kanapie z książką i siedziałem tak dopóki nie owładnęła mną senność, wtedy odchyliłem się na oparcie i zasnąłem.

Otworzyły się drzwi. Poderwałem się, przegarnąłem dłonią włosy i ze spojrzeniem prawdopodobnie pełnym winy popatrzyłem wprost w oczy Richarda.

– Nocowałeś tu?

– Nie, skąd. Przyszedłem trochę wcześniej, żeby się przygotować, i przyśnąłem.

Długo mi się przyglądał.

– Zrobię mocniejszą kawę – oświadczył w końcu. – Żeby na pewno cię obudziła.

– Musi być taka mocna, żeby podkawa w niej stała – powiedziałem, podnosząc się.

– Tak? A kto tak mówi?

– Chyba Lucky Luke.

Fuknął i nalał wody do dzbanka, a ja usiadłem przy swoim biurku. Już od kilku miesięcy nie przygotowywałem się do lekcji inaczej niż poprzez zajrzenie do podręcznika tuż przed wejściem do klasy. Skończyłem też z wieloma alternatywnymi metodami nauczania, większość lekcji polegała teraz na omawianiu danego tematu, a później na zadawaniu uczniom takich czy innych ćwiczeń. Celem było przerobienie programu ze wszystkich przedmiotów, a tym, czy cokolwiek zostanie im w głowach, już się nie interesowałem. Najważniejsze były stałe ramy, jakie w ten sposób powstawały, i dy stans, który się dzięki temu wytwarzał.

– Jest już kawa, jeśli masz ochotę – oznajmił Richard, wychodząc na korytarz. Pewnie siedł do swojego gabinetu.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem.

Kiedy pół godziny później zadzwonił dzwonek, stanąłem przy oknie w klasie i patrzyłem, jak uczniowie idą pod górkę. Czulem w sobie zmęczenie jak nieświeżą wodę. Na dwóch pierwszych lekcjach mieliśmy matematykę, bez porównania najnudniejszy przedmiot. Był luty, bez porównania najnudniejszy miesiąc.

– No to otwieramy książki i zaczynamy – zarządziłem, kiedy już usiedli na swoich miejscach. Na lekcjach matematyki byli też piąto- i szóstoklasiści, w sumie miałem więc ośmioro uczniów.

– Robimy tak jak zwykle. Rozwiązujecie zadania, a jeśli ktoś będzie miał jakiś problem, to podejść i pomóc. Na początku następnej lekcji omówimy sobie przy tablicy niektóre nowe rzeczy.

Żadnych protestów, bez najmniejszego oporu przeszli od stanu, w jakim dotarli do szkoły, do tego, którego wymagało rozwiązanie zadań z matematyki. Live podniosła rękę, zanim jeszcze w ogóle zajrzała do podręcznika.

Podszedłem do niej, nachyliłem się.

– Spróbuj najpierw coś zrobić sama, nie możesz?

– Ale mnie to i tak nie wyjdzie, wiem na pewno. To takie trudne.

– A może okaże się łatwe? Nie możesz tego wiedzieć, dopóki nie spróbujesz. Popróbuj przez dziesięć minut, potem przyjdę i sprawdzę, jak ci idzie. Dobrze?

– Dobrze.

Jörn, nieduży, bystry szóstoklasista, zamachał do mnie.

– Rozwiązałem kilka zadań w domu – powiedział, kiedy nachyliłem się nad jego ławką. – Ale więcej nie umiem. Możesz mi pomóc?

– O tyle, o ile. Sam nie jestem najlepszy z matematyki.

Z uśmiechem podniósł głowę. Myślał, że żartuję. Ale to była prawda: mniej więcej tuż po programie siódmej klasy zaczynałem mieć kłopoty, czasami nawet i z tym programem sobie nie radziłem, nagle nie mogłem sobie przypomnieć, jak się dzieli duże liczby, musiałem używać sprytu i pytać o to uczniów. Owszem, umiałem to, po prostu nie pamiętałem.

– Ale to tutaj nie wygłąda na trudne – stwierdziłem.

Przyglądał się uważnie, gdy mu demonstrowałem rozwiązanie. W końcu sam je przejął, więc go zostawiłem i podszedłem do okna.

Był ambitnym chłopcem, ale do szkoły miał bardzo zdecydowane nastawienie, albo, albo, matematykę lubił, więc z tym nie było żadnych problemów, lecz z niektórych innych przedmiotów miał ochotę całkiem się wypisać.

Live znów podniosła rękę.

– Nie umiem tego rozwiązać – oświadczyła. – Naprawdę.

Pokazałem jej, co ma zrobić. Kiwała głową, ale oczy miała zupełnie puste.

– Poradzisz sobie dalej sama?

Potwierdziła.

Żał mi jej było, bo prawie każda lekcja łączyła się dla niej z jakimś upokorzeniem, lecz co mogłem na to poradzić?

Usiadłem za katedrą, powiodłem wzrokiem po uczniach, spojrzałem na zegar, który ledwie drgnął. Po pewnym czasie rękę podniosła Andrea, odwróciłem się do niej, lekko uśmiechnąłem i wstałem.

– Karl Ove zakochał się w Andrei! – zawołał głośno Jørn.

Cały aż drgnąłem. Poczulem gorąco na twarzy, ale udałem, że nic się nie dzieje, i nachyliłem się nad jej ławką, usiłując się skupić na niewielkim matematycznym problemie.

– Karl Ove zakochał się w Andrei! – powtórzył Jørn.

Ktoś zachichotał.

Wyprostowałem się i spojrzałem na Jørna.

– Wiesz, jak to się nazywa? – spytałem.

– Co? – Wyszczrzył zęby.

– Kiedy ktoś mówi, że ktoś inny czuje to, co czuje on sam. To się nazywa projekcja. Na przykład gdybyś ty, uczeń szóstej klasy, zakochał się w dziewczynce z siódmej i zamiast się do tego przyznać, mówiłbyś, że kocha się w niej twój nauczyciel.

– Ja się w nikim nie zakochałem – oświadczył.

– Ja też nie. Więc co? Wrócimy do matematyki?

Znów się nachyliłem. Andrea odgarnęła włosy z czoła.

– Nie przejmuj się nim – szepnęła.

Udałem, że tego nie słyszę, wpatrzyłem się w wypisaną przez nią kolumnę liczb i pokazałem, w którym miejscu popełniła błąd.

– Tutaj – powiedziałem. – Tutaj się nie zgadza, widzisz?

– Widzę. Ale co tu powinno być?

– Tego ci nie powiem. To ty masz rozwiązać zadanie. Spróbuj jeszcze raz. Zgłoś się, jeśli nie będzie ci wychodziło.

– Dobrze. – Popatrzyła na mnie i przelotnie się uśmiechnęła.

Roztrząsałem się w środku.

Czyżbym naprawdę zakochał się w Andrei?

Naprawdę byłem z a k o c h a n y ?

Nie, nie.

Ale przecież przy ciągała moje myśli. To fakt.

Gdy przychodziłem do szkoły nocą i stawałem nad nieruchomą, ciemną wodą basenu, wyobrażałem sobie, że ona jest w szatni i że wkrótce do niej pójdę. Wyobrażałem sobie, jak będzie się zasłaniać, jak będzie na mnie patrzeć, a ja uklękę przed nią, ona najpierw się przestraszy, a potem spojrzy na mnie z otwartością i czułością.

Takie obrazy mnie nachodziły, a jednocześnie miałem świadomość, że przecież wcale jej tam nie ma, że nie mogę sobie tego wyobrazić i że nikt nie może się dowiedzieć, co mi staje przed oczami.

Drżałem w środku, ale nikt tego nie zauważył, bo kontrolowałem swoje ruchy, a słowa wypowiadałem przemyślane, nic z tego, co widzieli inni, nie mogło zdradzić moich myśli.

Z takich rozważań właściwie w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, istniały na jakimś pograniczu i gdy się pojawiały niemal z siłą wybuchu, nie zatrzymywałem się nad nimi, pozwalałem im wrócić do tego miejsca, skąd pochodziły, bo dzięki temu jakby w ogóle nie istniały.

Ale słowa Jørna zmieniały wszystko, bo one padły z zewnątrz.

Wszystko z zewnątrz było niebezpieczne.

W samotnym przesiadywaniu przy maszynie po nocach, podczas gdy wszyscy inni spali, a potem uczeniu dzieci resztką sił było coś niemal chorego. Czułem się tym coraz bardziej zmęczony, więc pod koniec lutego wróciłem do normalnego rozkładu doby. W tym samym czasie niewielki błysk światła w środku dnia powolutku zaczął się wydłużać. Świat zaczynał jakby wracać. Wspólne mieszkanie z Nilsem Erikiem też miało swoje plusesy, bo kiedy uczniowie przychodzili z wizytą, zarówno czwarto-, jak i siódmoklasiści, spotkania te nie były aż tak emocjonalne, a to, że nie skupiały się wyłącznie na mnie, nie miało wielkiego znaczenia. Inaczej było z Hege, pojawiała się niemal wyłącznie pod nieobecność Nilsa Erika, skąd się dowiadywała, że go nie ma, nie miałem pojęcia, ani też dlaczego takie pory sobie wybierała. Lubiała jednak ze mną rozmawiać, a ja z nią. Wieczorem potrafiliśmy gadać godzinami, chociaż tak bardzo różniliśmy się od siebie.

gorzej szło mi z pisaniem, dotarłem do punktu, w którym stale powtarzałem to samo, a jednocześnie czasami nagle nie wiedziałem, dlaczego w ogóle się tym zajmuję.

W „Dagbladet” pojawiło się ogłoszenie wydawnictwa Aschehoug o konkursie na opowiadanie, więc znów się zapaliłem i wysłałem dwa najlepsze, to o wysypisku śmieci i o stosach pogrzebowych na równinie.

Zabawy na wyspie odbywały się na przemian w różnych świetlicach i na początku marca przyszła kolej na Håfjord. Przygrywkę urządziliśmy u nas w domu, przyszli prawie wszyscy młodzi nauczyciele i już po kilku drinkach poczułem się szczęśliwy. Przebywanie z tymi ludźmi sprawiało mi radość i powiedziałem im to, kiedy zśliśmy do świetlicy, w torbie niosłem butelkę



wódki, a w ręku trzymałem dodatkowe opakowanie tytoniu.

Wyjątkowość tych zabaw polegała na tym, że nie były one zastrzeżone dla jakiejś konkretnej grupy wiekowej, ani też na takie grupy podzielone, zdesperowani dwudziestolatki tu, zrezygnowani czterdziestolatki tam, nie, nie, na zabawy w wiejskich świetlicach przychodzili dosłownie w s z y s c y. Siedemdziesięciolatki siedzieli przy jednym stole z czternastolatkami, pracownicy przetwórci ryb przy jednym stole z kuratorami oświaty; chociaż wszyscy znali się całe życie, nie przeszkadzało to w pełnym rozluźnieniu, układy społeczne zupełnie się nie liczyły, trzynastolatki obściskowały się z dwudziestolatkami, a pijana staruszka z bezębnym uśmiechem mogła wywijać kankana, zadzierając kieckę. Uwielbiałem to, nie mogłem tego nie kochać. Była w tym taka wolność, z jaką nie zetknąłem się nigdy w żadnym innym miejscu. Jednocześnie dało się to kochać tylko wówczas, gdy samemu się uczestniczyło w tej pozbawionej kontroli euforii, bo przy najmniejszym cieniu krytycyzmu i odwoływania się do dobrego smaku wszystko by runęło i zmieniło się w dziłą parodię, albo wręcz trawestację człowieczeństwa. Młodzież podpalająca swoją kawę, tak że pojawiał się na niej niski, niebieskawy płomyk, prastare kobiety przyglądające się każdemu z szelmowskim, flirtującym błyskiem w oku, łysi mężczyźni w garniturach z krawatem, przypominających uniformy, w jednej chwili podrywający piętnastolatki, w następnej rzygający do rowu obok rozświetlonej wiejskiej świetlicy, rządzące wszystkim rosłe kobiety, płaczące faceci, a całość jakby opakowana w szereg hitów z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, marnie wykonywanych na żywo przez zespoły, którymi nie interesował się już nikt oprócz tutejszych, w chmurze dymu tak gęstego, że ktoś nieorientowany mógłby podejrzewać, iż w piwnicy wybuchł potężny pożar.

Dla mnie to wszystko było obce i egzotyczne. Wychoywałem się w miejscowości, gdzie nikt nie pił, a przynajmniej nie pokazywał się pijany. Mieliśmy sąsiada, który upijał się raz albo dwa w ciągu półroczka, to była sensacja, wielkie wydarzenie. I jeszcze stary alkoholik codziennie jeździł na rowerze do sklepu po swoje brązowe butelki. I tyle. Rodzice w ogóle nie pili, jeśli nie liczyć paru butelek piwa czy czerwonego wina do obiadu. Nie pili dziadkowie ze strony mamy ani dziadkowie ze strony taty, nie pił żaden z moich stryjów, nie piła żadna z moich ciotek, a jeśli nawet, to nie na moich oczach. Dopiero dwa i pół roku temu pierwszy raz zobaczyłem ojca pijanego.

Dlaczego nie pili? Dlaczego wszyscy nie pili? Alkohol dokonuje wielkich rzeczy, jest wiatrem wiejącym przez świadomość, falami bijącymi o brzeg, kołyszącymi się lasami, a światło, które zsyła, wyzłaca wszystko, na co się patrzy, nawet najokropniejsza, najbrzydsza osoba nabiera ładnych rysów, wszelkie zastrzeżenia i obiekcje zostają usunięte jednym potężnym machnięciem ręki, szczyt szczodroblowości, gdzie wszystko, naprawdę wszystko jest piękne.

Dlaczego sobie tego odmawiać?

W ten marcowy wieczór rzuciłem się w wir zabawy, byłem w swoim żywiole, nawet do Richarda, który w trochę za małym garniturze z końca lat siedemdziesiątych siedział razem z żoną, podszedłem powiedzieć, jak bardzo go lubię, trzymał mnie krótko i miał pełną słusność, bo dobrze poszło, prawda? Prawda, że poszło dobrze? Prawda?

Tak wspaniale.

On mnie nie lubił, ale nie mógł tego powiedzieć, lecz jedynie zmusić się do koźlego uśmiechu.

Ja byłem górą, byłem gwiazdą, która miała świecić, on jedynie dyrektorem małej szkoły, więc oczywiście mogłem się poświęcić na chwilę uprzejmej rozmowy.

Widziałem matkę Vivian i Andrei, zaprzyjaźnione, siedziały przy jednym stoliku i paliły papierosy. Przysiadłem się do nich, chciałem chwilę porozmawiać o ich córkach, miały fantastyczne córki, takie pełne życia, takie wspaniałe, dobrze im się ułoży, byłem tego pewien.

Nigdy wcześniej z nimi nie rozmawiałem, z wyjątkiem zebrań z rodzicami, ale wtedy atmosfera była bardzo formalna, omawiałem zachowanie uczniów i ich postępy w poszczególnych przedmiotach, słuchały mnie z uwagą i zadawały pytania, z pewnością przygotowane z góry, a potem znikły w ciemności, wracały do domu do swoich dzieci, które w napięciu czekały, co wyniknie z tego zebrania, co zostanie ujawnione. Teraz sytuacja się odmieniła, przed każdą stała szklanka, dookoła kręcili się ludzie, muzyka grała głośno, powietrze było duszne i ciepłe, a ja, upojony, chciałem dla nich tak dobrze, że o mało mnie nie rozsadziło, kiedy siedziałem nachylony nad nimi i uśmiechałem się radośnie. Powiedziały, że dzieci dużo o mnie mówią, właściwie bez przerwy, prawie jakby się we mnie zakochały! Śmiały się z tego, a ja pokiwiałem głową i stwierdziłem, że może być trudno z nauczycielem, który ma zaledwie osiemnaście lat, ale to i tak niesamowicie fajne dziewczyny!

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie poprosić którejś do tańca, ale zrezygnowałem, przecież one miały co najmniej trzydzieści pięć lat, więc chociaż puszczały do mnie oko, to jednak wstałem i zacząłem krążyć po lokalu. Przysiadłem się raz tu, raz tam, na trochę wyszedłem na zewnątrz popatrzeć na wioskę rozciągającą się w dole, na czarne morze, a kiedy wróciłem do środka, odszukałem Nilsa Erika, żeby mu powiedzieć, jakim świetnym jest kolegą i jak bardzo się cieszę, że razem z nim mieszkam.

Kiedy już to załatwiłem, znów wyszedłem. Chciałem jeszcze raz zobaczyć ten widok. Na zboczach stały moje dziewczyny, Vivian ze Stevem, Andrea z Hildegunn, więc tam się skierowałem. Spytałem, czy dobrze się bawią, potwierdziły, trochę się ze mnie pośmiały, może dlatego, że byłem pijany, ale to i tak w niczym nie przeszkadzało, bo już szedłem dalej, z powrotem do pełnej dymu duchoty, dwoma skokami pokonałem schody, precyzyjnie się do środka i tam nagle ujrzałem objawienie.

Zamarłem.

Wszystko we mnie zamarło. Była piękna, lecz pięknych tu nie brakowało, ale ta miała niesamowite oczy, ciemne i po brzegi wypełnione życiem, którego zapragnąłem być częścią. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Ale pochodziła stąd. Należała do wioski, pojąłem to, gdy uważnie się jej przyjrzałem, bo była ubrana w strój piłkarski, od stóp do głów, miała koszulkę, spodenki, podkolanówki i korki, tak jak wszyscy, którzy pomagali tu tego wieczoru, ponieważ imprezę zorganizowała lokalna drużyna w piłkę nożną, no a chyba nikt spoza wioski nie pracowałby społecznie na zabawie klubu piłkarskiego z Håfjord.

Trzymała w ręku tacę z pustymi szklankami.

Jej widok, takiej pięknej i kształtnej, w stroju piłkarskim, kompletnie mnie rozwalił. Jej gołe uda i łydki przyciągnęły mój wzrok, miałem pełną świadomość, że się na nie gapię, więc aby to zneutralizować, spojrzałem najpierw w jedną stronę, potem w drugą, jakbym uważnie rozglądał się po lokalu.

– Cześć – powiedziała z uśmiechem.

– Cześć. Kim jesteś? Nigdy wcześniej cię nie widziałem, jestem pewien. Jesteś taka piękna, że na pewno bym nie zapomniał.

– Mam na imię Ine.

– Chyba nie jest tak, że tu mieszkasz, tylko nigdy nie wychodzisz z domu?

– Nie. – Zaśmiała się. – Mieszkam w Finnsnes. Ale pochodzę stąd.

– A ja mieszkam tutaj – oznajmiłem.

– Wiem. Pracujesz z moją siostrą.

– Naprawdę? To znaczy z kim?

– Z Hege.

– Jesteś siostrą Hege? Dlaczego mi nie powiedziała, że ma taką śliczną młodszą siostrę? Bo ty jesteś od niej młodszą, prawda?

– Tak. Dlaczego nie powiedziała? Może chciała mnie chronić.

– Przede mną? Jestem najmniej groźnym człowiekiem, jaki tu w ogóle się pojawił.

– Może i tak. No ale muszę odnieść to szkło. Jak widzisz, dzisiaj tu pracuję.

– Owszem, ale czy nie moglibyśmy się jeszcze spotkać? O której kończysz? Na pewno później będzie jeszcze gdzieś jakaś dogrywka. Zorientuj się, dobrze? Pogadaliśmy trochę.

– Zobaczymy – odpowiedziała, odwróciła się i ruszyła do niewielkiego pokoiku koło sceny, w którym mieściła się kuchnia.

Dla mnie w tym momencie zabawa się skończyła. Nie interesowało mnie nic, co się działo. W głowie miałem jedynie śliczną kelnerkę w stroju piłkarskim, za którą już do końca wieczoru wypatrywałem oczy.

Siostra Hege!

Przecież Hege mówiła mi wszystko, dlaczego przemilczała istnienie siostry?

Odszukałem Nilsa Erika i oświadczyłem, że musimy urządzić dogrywkę u nas w domu. Nie zachwylił się tym pomysłem, bo już czuł się zmęczony, ale nie ustępowałem. Urządzamy dogrywkę. W końcu się zgodził, pod warunkiem, że nie będzie musiał sam w tym uczestniczyć. Trochę z nami posiedzisz, powiedziałem, i nie musisz nikogo zapraszać. Co ty masz za plany? – zainteresował się. Czyżbyś miał kogoś na widoku? Możesz się założyć, odparłem i dolałem sobie alkoholu, aby podtrzymać intensywność doznań, a poza tym starałem się jakoś zabić czas. Z rzadka mignęła mi przed oczami Ine, kręciła się między kuchnią a salą. Przez pewien czas obsługiwała w bufecie, ale tam nie podszedłem, chociaż bardzo chciałem kupić u niej hot doga, bodaj zobaczyć, jak wy ciska na parówkę keczup i musztardę, uznałem jednak, że nie powinienem tracić tego krótkiego czasu, jaki mogłem z nią spędzić, na coś bez związku z moim planem dotyczącym późniejszej imprezy u nas. Nie chciałem się naprzykrzać i narzucać. Ale gdy w końcu posłała mi uśmiech, powiedziałem, że dogrywka będzie u nas, w tym żółtym domu na zakręcie, a byłaby o wiele fajniejsza, gdyby ona też przyszła.

– Zobaczymy – powtórzyła, ale nie bez uśmiechu, nie bez błysku w tych ciemnych oczach.

Ach, dobry Boże, niech się zgodzi, niech przyjdzie!

Zespół znów zaczął grać. *Cocaine* Erica Claptona.

Klaskałem, kiedy skończyli, chociaż właściwie nie mogłem już dłużej wytrzymać, więc wytoczyłem się na mróz, zobaczyłem, że uśmiechnięty od ucha do ucha Tor Einar rozmawia z dwiema dziewczynami z dziewiątej klasy, nieco dalej w samochodzie obściskowała się jakaś para. Szkoła na skraju boiska wyglądała w ciemności jak wał wokół twierdzy, zapaliłem papierosa, dopiłem wódkę i dostrzegłem wychodzącą Hege. Intuicja podpowiadała mi, że nie powinienem nic jej mówić o Ine, bo z całą pewnością też by do nas przyszła i sytuacja radykalnie by się zmieniła.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Nie narzekam.

– Widziałam, że rozmawiałeś z moją siostrą.

– Owszem, nieźle ją ukryłaś. Nie miałem pojęcia, że w ogóle masz siostrę.

– Jesteśmy siostrami przyrodnimi. Mamy tego samego ojca, ale nie wychowywałyśmy się razem. Ona ma własne życie.

– Mieszka w Finnsnes?

– Tak. Uczy się w szkole o profilu mechanicznym. Lubi motocykle. I motocyklistów.

– Aha.

W drzwiach pojawił się Vidar. Powiódł wzrokiem po ludziach stojących na zewnątrz. Jego spojrzenie na chwilę zatrzymało się na nas, w końcu ruszył w naszą stronę. Był pijany, poznałem to po sposobie, w jaki starał się iść prosto. Szeroki w barach, mocno zbudowany, z koszulą rozpiętą na piersi, ze złotym łańcuchem na szyi. Podszedł do nas.

– A więc tu stoisz – powiedział.

Hege się nie odezwała. Spojrzał na mnie.

– Dawno cię już nie widzieliśmy. Musisz kiedyś przyjść z wizytą. A może przychodzisz, kiedy mnie nie ma?

– Owszem, zdarzyło się – odparłem. – Parę tygodni temu mieliśmy u was spotkanie nauczycielskie. Ale wieczorami głównie siedzę w domu i pracuję.

– Co właściwie myślisz o Håfjord?

– Fajnie tu.

– Dobrze się tu czujesz?

– Jasne.

– To świetnie. Ważne, żeby nauczyciele dobrze się czuli.

– Wchodzimy do środka? – spytała Hege. – Zimno się robi.

– Ja jeszcze chwilę postoję – powiedziałem. – Muszę trochę przewietrzyć głowę.

Ruszyli obok siebie, ona taka przy nim drobna. Ale to twarda sztuka, pomyślałem i znów odwróciłem się w stronę wioski, tak cichej i spokojnej w porównaniu z tym chaosem ludzi i pragnień, tłoczących się w lokalu za moimi plecami.

Zespół skończył grać, chwilę później wyłączono również muzykę, a kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, zapaliło się światło, ostre i drżące, zrywając ów welon magii, którym wcześniej półmrok wszystko otulił. Parkiet, jeszcze przed chwilą miejsce najśodszych, najgorętszych marzeń, teraz ukazał się nagi i pusty, zabrudzony błotem naniesionym przez wszystkie te buty, deptające po nim przez cały wieczór. Z przestrzeni pod sufitem, wcześniej pulsującej podwodną czerwono-zielono-niebieską poświatą albo migoczącej jak rozgwieżdżone niebo, nie pozostało nic oprócz kilku reflektorów i głupawej błyszczącej nędznej kuli dyskotekowej zawieszanej na środku. Stoliki, przy których ludzie tak dobrze się bawili, znajdując oparcie w ścianie ludzkiego ciepła, stały krzywo, pod nimi wały się puste flaszki i pudełka po papierosach, tu i ówdzie odłamki stłuczonej szklanki czy pasek papieru toaletowego, który ktoś nieświadomie przyciągnął z toalety. Błaty pokrywały lepkie plamy i ślady wypalone przez zapomniane papierosy, stały na nich przesypujące się popielniczki, stopy filiżanek i szklanek, rozmaite opróżnione butelki, tanie termosy z ciemnymi smugami kawy pod dzióbkiem. Twarze tych, którzy jeszcze nie wyszli, nosiły oznaki zmęczenia i obojętności, przypominały konstrukcje z kości obciążone skórą, bladą i pomarszczoną, oczy – dwie grudki galaretowatej masy, ciała – albo tuste, naznaczone fałdami, albo kościste i wychudzone, natychmiast kierowały myśli ku tkwiącemu w środku szkieletowi, który wkrótce zostanie ogryziony do czysta na jakimś smaganym wiatrem cementarzu w słonej ziemi nad morzem.

Nie, w świetle nie prezentowało się to atrakcyjnie. Ale zaraz pojawiło się sześć dziewczyn w strojach piłkarskich i zaczęły sprzątać. Kręciły się po sali z tacami i ścierkami, wyglądało to trochę tak jakby życie przeganiało śmierć. Chętnie postąpiłbym i popatrzył, ale ważne było zrobienie właściwego wrażenia, nie chciałem zaprezentować się jako ktoś, kto się gapi i marudzi, więc wyszedłem przed świetlicę i tam pospacerowałem, pogadałem z jednym i z drugim, usiłując rozeznaczyć się w dalszych planach na ten wieczór, to znaczy dowiedzieć się, gdzie teraz przeniesie się pijaństwo, na wypadek, gdyby Ine nie przyszła.

Kwadrans później tłum przed świetlicą zaczął się przerzedzać, więc ośmieliłem się wrócić do środka, żeby zaatakować. Razem z inną dziewczyną przynosiła stolik do kąta obok sceny. Kiedy go odstawiły, Ine jedną ręką otarła czoło, drugą wsparła na biodrze i spojrzała na mnie.

– Po całej tej męce zasługujesz na odpoczynek – powiedziałem. – Znam pewien dom, bardzo ładnie położony nad wodą, tam będziesz mogła odetchnąć i odzyskać siły.

– I nikt mi nie będzie w tym przeszkadzał? – spytała.

– Nie. – Uśmiechnąłem się.

Przyłożyła palec wskazujący do policzka, brodę oparła na kciuku i patrzyła na mnie, unosząc jednocześnie brwi. Jaka śliczna!

Upłynęło pięć sekund. Dziesięć.

– Okej. Pójdę z tobą. Tutaj i tak już skończyłyśmy y. Tylko najpierw się przebiorę.

– Zaczekałam na zewnątrz. – Odwróciłem się, by ukryć przed nią, że od uśmiechu o mało nie pękła mi usta.

Kilka minut później szła po schodach, zaciągając suwak granatowej puchówki i poprawiając białą, robioną na drutach czapkę w taki sposób, że serce zabiło mi mocniej w piersi, gdy czekałem

na nią w ciemnościach.

Zatrzymała się przede mną i wsunęła dłonie w rękawiczki, również białe, przełożyła torbę z jednej ręki do drugiej.

– To co, idziemy? – spytała, jakbyśmy się znali od lat.

Kiwnąłem głową.

Cała moja lekkość zniknęła, gdy ruszyliśmy w dół zboczem. Teraz zostaliśmy sami, tylko we dwoje. Nieustannie miałem świadomość jej ruchów i min, gdy podążaliśmy przysypaną śniegiem drogą.

Ine była wysoka i szczupła, miała pięknie zaokrąglone biodra, drobne stopy, mały, dziecinny nos, ale mimo wszystko nie sprawiała wrażenia dziewczątka, którym człowiek natychmiast chce się zająć, wzbudzającego ciekawość i chęć opieki, przeciwnie, właśnie jej sile i chłodowi chyba najbardziej nie mogłem się oprzeć.

Jej oczy, kiedy nie błyszczały, były ciemne i spokojne.

To do mnie należał następny ruch. To na mnie czekała. To ja to wszystko rozpocząłem.

Dotarliśmy już do mojego dawnego mieszkania.

– Gdzie mieszkasz, kiedy tu przyjeżdżasz? – spytałem.

– U mamy. – Wskazała w dół po prawej stronie. – To tam.

– Chodziłaś tu do szkoły?

– Nie, wychowywałam się w Finnsnes.

– A teraz uczysz się w mechanicznej?

– Rozmawiałeś z Hege? – Spojrzała na mnie.

– Nie. Zgadywałem.

Zapadło milczenie. Czuję się nieswojo i próbowałem myśleć o czymś innym, żeby Ine nie wychwyciła mojego zdenerwowania. Jeśli psy wyczuwają zapach strachu, to dziewczyny – zapach zdenerwowania, tak mówiło mi doświadczenie.

Już z daleka zobaczyłem, że świeci się u nas w salonie. Zastaliśmy tam Nilsa Erika, Tora Einara i Henninga. Słuchali Nicka Cave'a i pili coś, co musiało być czerwonym winem. Usiedliśmy na kanapie. Panował nastrój zakończonej imprezy, w pokoju totalnie brakowało energii, były jedynie puste oczy i popijanie wina małymi łyżkami. Tor Einar parę razy próbował rzucić haczyk, ale nikt się na niego nie łąpał i odpowiedzią na jego śmiech były uprzejme uśmiechy i znużone spojrzenia.

– Napijesz się czegoś? – spytałem Ine. – Może kieliszek wina? Albo trochę wódki?

– Macie piwo?

– Nie.

– No to małą wódkę.

Wyszedłem do kuchni, jak zwykle lodowatej, wyjąłem z szafki dwie szklanki, nalałem do nich trochę wódki i domieszałem seven up, zastanawiając się, co robić. Może najlepiej po prostu zacząć? Oni niedługo na pewno sobie pójdą, wtedy zostaniemy sami. No ale co będzie, jeśli nie wyjdą? Gdyby ta wizyta przeciągnęła się jeszcze z pół godziny, istniało ryzyko, że wyjdzie Ine.

Nie działa się przecież nic zabawnego. A gdybym zaproponował wprost, abyśmy przeszli do sypialni?

Nie, nie, to ostatnia rzecz, jaką mogłem zrobić. Przecież oni zostaliby na dole i słyszeli każdy najdrobniejszy ruch z góry, Ine, doskonale o tym wiedząc, na nic by się nie zgodziła. To wykluczone.

Ale musiałem zostać z nią sam na sam.

Może przejść do pokoju do pisania?

Wróciłem do salonu, niosąc szklanki. Jedną postawiłem przed Ine, która podniosła głowę i lekko się uśmiechnęła.

– Ta muzyka wpędza mnie w depresję – stwierdziłem. – Mogę puścić coś innego?

– Bardzo cię proszę – odparł Nils Erik.

Co mogła lubić?

A może raczej puścić to, co ja lubię, żeby się zorientowała, kim jestem? Hüsker Dü na przykład? Albo *Psychocandy* The Jesus and Mary Chain?

– Ktoś ma jakieś życzenia? – Kucnąłem przy płytach.

Nikt nie odpowiedział.

Może The Smiths?

Nie, to trochę za smętne, a coś mi mówiło, że ona nie znosi smęcenia.

Coś twardego i męskiego. Ale co?

Naprawdę nic takiego nie miałem? Czyżby cała moja muzyka była smętna i kobieca?

Stanęło na Led Zeppelin.

Kiedy igła zatrzeszczała w pierwszym rowku, wstałem. Chodziło o pozostanie w ruchu, bo gdybym usiadł, na tle bezruchu wszystko, co bym dalej zrobił, zbyt rzucaloby się w oczy.

– No to na zdrowie! – Podniosłem szklankę i lekko trąciłem się z innymi, z Ine na końcu.

– Chodź – poprosiłem. – Coś ci pokażę.

– A co? – spytała.

– To tam. – Ruchem głowy wskazałem drzwi w drugim końcu salonu. – Mówiłem o tym wcześniej. No chodź.

Wstała, przeszliśmy tam, zamknąłem za nami drzwi i znaleźliśmy się wśród stosów książek, papierów i pustych kartonów, każde ze szklanką w dłoni.

Rozejrzała się. Usiadłem na krześle.

– Co mi chciałeś pokazać? – spytała.

– Nic. Tam było tak strasznie nudno. Chodź, usiądź tutaj.

Ująłem ją za rękę, siadła mi na kolanach, ale zaraz odwróciła sytuację, teraz ona ujęła moją rękę i zaczęła się jej przyglądać. Kciukiem pogładziła wnętrze dłoni.

– Masz zupełnie miękkie ręce – stwierdziła. – Nigdy w życiu nie pracowałeś fizycznie, prawda?

– Prawie w ogóle.

– Nigdy nie trzymałeś w rękach łopaty? Ani klucza francuskiego?

– Nie.

Pokręciła głową.

– Niedobrze. No i widzę, że obgryzasz paznokcie. Jesteś z gatunku tych nerwowych?

– Chyba tak.

– A dlaczego chciałeś, żebym przysłała do ciebie do domu, jak mówiłeś?

Siedziałem z erekcją i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Przysunęła się i rozchyliła usta. Pocałowaliśmy się. Poglądziłem ją po plecach, potem objąłem i mocno przycisnąłem do siebie. Była tak c u d o w n a. Ale zaraz odsunęła ode mnie głowę.

Pogłaskała mnie po policzku.

– Miły jesteś – powiedziała.

Oczy jej rozbłyły, kiedy się uśmiechnęła.

Znów się pocałowaliśmy.

Wstała.

– Muszę już iść – zakomunikowała.

– Nie możesz. Nie teraz.

– Muszę. Ale zostaję w Hålfjord do jutra. Zajrzyj do mnie, jeśli chcesz. Będę w domu, u mamy.

Otworzyła drzwi, odprowadziłem ją do sieni. Włożyła kurtkę i wyszła. Ledwie się odwróciła na pożegnanie i zniknęła na drodze.

Zostawiła torbę.

Następnego dnia, no tak, o czym ja myślałem następnego dnia?

Ine.

Stał się cud. W moim pokoju do pracy, dziś w nocy. Cud.

Ine, Ine, Ine.

Ale z wizytą zwlekałem. Poprzedniego wieczoru byłem pijany i wszystko toczyło się samo z siebie. Teraz byłem trzeźwy i mogłem wszystko stracić.

Zrobiła się już trzecia, kiedy w końcu odważyłem się wyruszyć w tę długą drogę do niej.

Drzwi otworzyła mi matka, starsza kobieta z siwymi włosami.

– Czy zastałem Ine? – spytałem.

– Tak, siedzi w salonie. Wejść, proszę.

Ine w salonie była zupełnie kimś innym niż Ine na zabawie. Miała na sobie szare spodnie od dresu i biały T-shirt ze zdjęciem motocykla. Włosy upięła. Na mój widok uśmiechnęła się, wstała ze swobodą i spytała, czy napiłbym się kawy.

– Chętnie, dziękuję.

Przyniosła filiżankę, na stole przede mną postawiła biały termos.



Wziąłem go do ręki i chciałem odkręcić zakrętkę. Ale dłonie miałem za bardzo spocone. Ślizgały się, nie mogły jej złapać. Kiedy zaciskałem palce, chwytaly ją, ale wtedy całą siłę poświęcałem na zaciśnięcie i obrócić zakrętki już nie byłem w stanie.

Spojrzała na mnie.

Zaczerwieniłem się.

– Pomóc ci? – spytała.

Kiwnąłem głową.

– Mam strasznie śliskie ręce – wyjaśniłem.

Podeszła, wzięła termos i otworzyła go bez najmniejszego wysiłku.

– Proszę. – Wróciła na swoje miejsce.

Nalałem sobie kawy, wypilem trochę.

Do tej pory nie powiedziałem jeszcze nic konkretnego.

– Kiedy wracasz? Dzisiaj wieczorem?

Kiwnęła głową. Do pokoju weszła jej matka.

– Pracujesz razem z Hege? – zapytała.

– Tak

– Hege bardzo cię lubi – powiedziała Ine. – W każdym razie dużo o tobie mówi.

– Naprawdę?

– Tak

Co tu się dzieje? Co ja tu robiłem? Mieliliśmy k o n w e r s o w a ć? Przecież to jakaś pomyłka. Pomyłka, pomyłka, pomyłka!

– Gdzie w Finnsnes mieszkasz? – spytałem.

– Na tyłach banku.

– Wynajmujesz?

Kiwnęła głową.

– Dobrze się czujesz w Håfjord? – spytała jej matka.

– Tak, naprawdę. Bardzo mi się tu podoba.

– To przyjemna wioska – powiedziała matka.

– Mamo – odezwała się Ine. – Nudzisz go.

Matka uśmiechnęła się i wstała.

– Dobrze, już dobrze. Zostawię was w spokoju.

Wysła. Ine zabębniła palcami o stół.

– Mogę się jeszcze z tobą spotkać? – spytałem.

– Przecież już się spotkałeś.

– To prawda. Ale jakoś inaczej. Moglibyśmy pójść razem na kolację czy coś takiego? Jak myślisz?

– Może.

Wyglądała fantastycznie. Czerwieniący się, spocony facet był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała w życiu.

– Właściwie zajrzałem po drodze do szkoły – powiedziałem. – Muszę trochę popracować. Zaplanować jutrzejszy dzień.

Wstałem.

Ona też.

Wyszedłem do przedpokoj, poszła za mną. Stała i patrzyła, jak się ubieram.

– No to na razie – pożegnała mnie.

– Cześć – rzuciłem i pognałem pod górę do szkoły, w której oczywiście nie miałem kompletnie nic do roboty, ale mimo wszystko wszedłem do środka, na wypadek, gdyby obserwowała mnie z okna. Co prawda byłem pewien, że wcale za mną nie patrzy, że zapomniała o moim istnieniu już w momencie zamykania drzwi, ale jednak nie chciałem zostać przyłapanym na takim tchórzliwym kłamstwie, a skoro już znalazłem się w szkole, to mogłem trochę pooglądać telewizję, w niedziele zawsze można w telewizji natrafić na sport.

Ine, Ine, Ine, chichotały dziewczynki z mojej klasy, gdy następnego dnia przyszedłem na pierwszą lekcję.

A więc wszyscy już o tym wiedzieli.

Udałem, że nic się nie dzieje, ale o niczym innym nie mogłem myśleć.

Ine, Ine, Ine.

Wieczorami leżałem, nie śpiąc, i obmyślałem następny ruch. Zostawiła torbę. Powinna po nią przyjść, prawda? Czy może sam miałem jej tę torbę zawieźć do Finnsnes?

Wszystko popsulem podczas tej swojej koszarnej wizyty, nie zdołałem nawet otworzyć termosu, więc czego się spodziewałem po następnej? Że Ine rzuci mi się w ramiona?

Musiałem spotkać się z nią pijany, to była moja jedyna szansa.

Ine, Ine, Ine.

Krótkie wspomnienie tej dziewczyny dosłownie we mnie płonęło, nigdy wcześniej nic podobnego nie przeżyłem, z całą pewnością, skupiało ono w sobie wszystko, nagle liczyła się tylko ona.

W tych dniach krążyłem między domem a szkołą, wieczorami daleko biegałem, żeby zmęczeniem przegnać myśli o niej, i w końcu w następną niedzielę nagle się pojawiła.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem i zobaczyłem właśnie ją.

Piękną Ine.

– Chyba zostawiłam tu torbę. Chciałam tylko ją odebrać – wyjaśniła.

– To ta? – Podałem jej.

– Tak, dziękuję.

Odwróciła się, żeby odejść.

– Nie wejdiesz na chwilę? – spytałem.

Pokręciła głową, ale jakby tylko w jedną stronę, ruch w połowie zamarł. Uwielbiałem to.

– Muszę wracać do Finnsnes – oznajmiła i ruszyła pod górkę, do drogi. Było ślisko, więc szła drobnymi kroczkami.

– Przyjechałaś z tak daleka tylko po torbę? – zdziwiłem się.

– Nie, spędziłam tu cały weekend – powiedziała, dotarła na górę i odeszła.

Nic o niej nie wiedziałem, nic oprócz tego, że ma szesnaście lat, lubi motocykle i uczy się w szkole zawodowej.

Niewiele jak na zbudowanie związku.

No ale była cudownie naturalna. I taka twarda.

Miała duży biust, długie nogi.

Czego więcej mógłbym pragnąć?

Niczego. Tyle mi wystarczało.

Co więc mogłem zrobić?

Nic. Byłem dla niej nikim, stwierdzenie tego zajęło jej mniej niż pięć minut.

Zwierzyłem się ze wszystkiego Hege. Siedzieliśmy, grzejąc dłonie o kubki herbaty.

– Ine nie jest dla ciebie – oświadczyła. – Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. Musisz o niej po prostu zapomnieć.

– Nie potrafię.

Spojrzała na mnie uważnie.

– Chyba się nie zakochałeś w mojej młodszej siostrze?

– Chyba właśnie tak.

Wypiła łyczek herbaty, odgarnęła z oczu niesforne włosy.

– Oj, Karl Ove, Karl Ove!

– To zabrzmiało jak jakiś przekłety banał, ale właściwie myślę wyłącznie o niej.

– Nigdy nie będziesz mógł z nią być. To po prostu niemożliwe. Naprawdę nie wchodzi w grę.

– Twoje gadanie w niczym nie pomoże. I tak muszę spróbować.

– Okęj. Wobec tego pojedziemy do Finnsnes, pójdziemy na dyskotekę, nie zdążymy na powrotny autobus do domu i przenocujemy u niej.

– Dlaczego ona nie może iść z nami?

– Bo nie znosi dyskoteki.

Taki był plan i zrealizowaliśmy go co do joty.

W piątek wieczorem stanęliśmy przed domem na tyłach banku, w pobliżu dyskoteki, Hege zadzwoniła, Ine zeszła otworzyć.

Jeżeli była zła, że siostra ją nabrała, to w każdym razie nie pokazała tego po sobie.

Uściskały się, ja spuściłem wzrok, usiłując jak najmniej rzucić się w oczy, wszedłem na górę

po schodach za nimi, usiadłem w fotelu, a nie na kanapie, żeby Ine nie poczuła się zmuszona do zajęcia miejsca przy mnie.

Tego wieczoru też była luźno ubrana. Dresowe spodnie i prosty biały T-shirt.

Zrobiła herbatę, dziewczyny wzięły rozmowę na siebie, ja tylko od czasu do czasu rzucałem jakiś komentarz.

Wynajmowane mieszkanie stanowił jeden pokój z niewielkim łącznikiem kuchennym. Pokój był spory, ale nie miał rozmiarów sali i siedząc tam, zastanawiałem się, jak Hege to sobie wyobrażała. Czy tutaj mogło do czegoś dojść?

Ine rozłożyła na podłodze tuż przy drzwiach dodatkowy materac i na nim miałem spać. Hege położyła się na podwójnym łóżku razem z siostrą.

No cóż.

Zgasło światło, dziewczyny trochę poszeptały, w końcu zapadła cisza.

Leżałem na plecach, gapiąc się w sufit.

Dziwnie zaczęło się układać w moim życiu.

Nagle jak we śnie podniosła się z łóżka jakaś postać. To była Ine. Podeszła i ułożyła się przy mnie.

O Boże, była naga.

Wtulili się we mnie, ciężko oddychając.

Całowaliśmy się, gładziłem ją po całym ciele, dotykałem jej wielkich, ciemnych piersi, wchłaniałem je w siebie, czułem na udzie jej gładkie włosy, ona ciężko oddychała, ja ciężko oddychałem, zdążyłem jeszcze zadać sobie pytanie, czy to się stanie teraz, z tą fantastyczną dziewczyną, która lubi motocykle?

Otarła się o mnie, a ja doszedłem.

Odwrociłem głowę i wcisnąłem się w materac.

Niech to piekło pochłonie!

– Spuściłeś się? – spytała.

– Mhm.

Wstała, podeszła do łóżka i wróciła do tego snu, z którego zaledwie kilka minut wcześniej wstała, taka kusząca.

I tyle.

W następnych dniach zauroczenie Ine walczyło we mnie z ostatnimi resztkami dumy. N i e m o g ł e m znów do niej pojechać. N i e m o g ł e m zadzwonić. N i e m o g ł e m napisać listu. N i e m o g ł e m spojrzeć jej w oczy.

Wciąż tylko o niej myślałem, ale to, co się stało u niej w mieszkaniu, było tak ostateczne i tak upokarzające, że nawet te najbardziej zakochane myśli nie zdołały wytrzymać presji i powoli, ale definitywnie zniknęły z mojej głowy.

Została już tylko szkoła. Szkoła, pisanie i picie.

Ale dni coraz bardziej się wydłużały, śnieg topniał, nadchodziła wiosna. Któregoś dnia znalazłem w skrytce kopertę z logo wydawnictwa H. Aschehoug & Co. Zabrałem ją razem z innymi listami, wyszedłem przed pocztę, zapaliłem papierosa, spojrzałem na postrzępione góry po drugiej stronie fiordu, wyzłocone słońcem, które z każdym mijającym dniem przybliżało się do wioski ze swoim pękiem promieni. Ten widok dodawał otuchy, dowodził, że we wszechświecie istnieje światło, płonące dla nas.

Przejechał samochód. Nie zauważyłem, kto w nim siedzi, ale i tak pozdrowiłem kierowcę. W okolicy przetwórci ryb wrzeszczały mewy, spojrzałem w tamtą stronę, krążyły w powietrzu nad przystanią. Fale pluskały cicho o kamienie przy brzegu. Otworzyłem kopertę. Leżały w niej moje dwa opowiadania. A więc je odrzucono! Towarzyszył im list, wyjąłem go i przeczytałem. Wynikało z niego, że nie przyjęto żadnego tekstu, poziom ogólny był zbyt niski i antologia nie zostanie wydana.

Czyli jednaknie odrzucono konkretnie mnie!

Wyszedłem na drogę i ruszyłem w stronę naszego żółtego domu. Stał przed nim stary niebieski peugeot Tora Einara. On sam w salonie rozmawiał z Nilssem Erikiem, a towarzyszył mu kuzyn, Even, ósmoklasista. Była sobota, wybieraliśmy się do Finnsnes. Gdy skręciłem na ścieżkę prowadzącą do domu, oni trzej wyszli.

– Jesteś gotowy? – spytał Tor Einar.

– Tak, jedziemy już?

– Raczej tak

Zawróciłem do samochodu, otworzyłem drzwi po stronie pasażera, wsiałem. Na tylnym siedzeniu Even objął ramionami oba przednie fotele i wychylił się między nimi. Miał sympatyczne niebieskie oczy, ciemne włosy i dość nędzny wąs nad górną wargą. Głos wznosił mu się i opadał, przybierając tony, których sam nie potrafił przewidzieć. Tor Einar uruchomił silnik i wolno ruszyliśmy przez wioskę, na lewo i prawo pozdrawiając ludzi idących do sklepu albo z niego wracających. Zacząłem przeglądać plik listów, które wyjąłem ze skrytki. Pierwotna liczba dwudziestu osób, z którymi korespondowałem po przyjeździe, skurczyła się do dwunastu, ale i tak skrytka rzadko bywała pusta. Jeden z listów był od Anne, techniczki pracującej przy programach radiowych, w których brałem udział w Kristiansand. Teraz mieszkała w Molde, zdaje się, że coś tam studiowała, nie bardzo byłem nią zainteresowany, w przeciwieństwie do niej, a listy, które od niej dostawałem, rzadko miewały mniej niż dwadzieścia stron.

Otworzyłem kopertę i wyciągnąłem gruby plik kartek. Za nimi wyleciała nieduża brunatna grudka i zatrzymała się na moim udzie.

– Co to? – spytał Even.

Niech to jasna cholera! To była grudka haszyszu.

– Co? – Nakryłem ją dłonią.

– To, co wypadło? Co dostałeś?

– A, nic takiego. To od przyjaciółki, która się uczy w szkole ogrodniczej. Interesuje się drzewami. Przyślała mi kawałek kory jakiegoś rzadkiego drzewa.

– Pokaż!

Patrzyłem prosto przed siebie. Na tunel, do którego wlot był już kilka metrów przed nami. Co by się mogło stać, gdyby Even zrozumiał, co to naprawdę jest? Doniósłby komuś? Wybuchłaby awantura. „Nauczyciel w Håfjord przyłapany z narkotykami!”. Tutejsi ludzie pili jak smoki, ale nie uznawali niczego w jakikolwiek sposób powiązanego z haszyszem, marihuaną czy amfetaminą.

– No pokaż!

– Nie ma czego oglądać. To po prostu kawałek kory.

– Dlaczego ci go przyśłała?

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedyś by liśmy parą – powiedziałem.

Tor Einar zerknął na mnie.

– Opowiadaj!

– Nie ma o czym. – Jedną ręką schowałem grudkę haszyszu do kieszeni, drugą złapałem za uchwyt nad drzwiami, chociaż Tor Einar zawsze jeździł bardzo ostrożnie, on i Nils Erik by li chyba jedynymi osobami, które tutaj przestrzegały ograniczeń prędkości.

– To co, nie pokażesz mi? – nie ustępował Even.

Cholera, skąd ten upór?

Odwrociłem się do niego.

– Strasznie marudzisz. Już go schowałem do kieszeni. To przecież tylko cholerny kawałek kory.

– Ale rzadkiego drzewa.

– Ciebie interesuje kora? – spytałem.

– Nie. – Roześmiał się.

– No właśnie. A teraz chciałbym w spokoju poczytać, jeśli mi pozwolicie. – Zacząłem wzrokiem przelatywać kartki zapisane przez Anne.

Kiedy kilka godzin później wróciliśmy, Tor Einar i Nils Erik postanowili wybrać się na wycieczkę na nartach. Spyтали, czy pójdę z nimi, a ja jak zwykle odmówiłem, tłumacząc się, że będę pisał. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, wyjąłem haszysz, lekko go podgrzałem, wymieszałem z tytoniem i skręciłem jointa. Potem zasunąłem zasłony, zamknąłem się na klucz, usiadłem na kanapie i zapaliłem.

Obok mojego plakatu z Betty Blue Nils Erik powiesił inny, z Charliem Chaplinem. Nagle wydało mi się, że jestem nim, i zacząłem poruszać się tak jak on, chodziłem po pokoju, wywijając stopami na boki i obracając laseczką w dłoni. To było idealne naśladownictwo, z którego nie chciałem rezygnować. Takim samym krokiem wszedłem po schodach na górę, do swojej sypialni, gdzie nie było nic oprócz materaca pod ścianą i stosu ubrań, potem wróciłem na dół, zrobiłem rundkę po kuchni i z powrotem poszedłem do salonu. Kilka razy się roześmiałem, choć właściwie mnie to nie śmieszyło, ale po prostu było mi tak dobrze. Czuję się włóczęgą, wywijając laską, krążąc drobnymi krokami, od czasu do czasu zdejmowałem z głowy kapelusze i wykonywałem przypominający nieco piruet gest pozdrowienia. Nie mogłem popełnić żadnego błędu. Moje wnętrze wypełniło się olejem, każdy ruch rozlewał się po całym ciele, a kiedy położyłem się na kanapie i zacząłem unosić barki, najpierw jeden, potem drugi, napinałem

mięśnie łydek, kolan, brzucha i ramion, czułem się tak, jakbym pływał w rozkołysanym morzu, a właściwie był jego falami.

Obudziło mnie stukanie do drzwi. Na zewnątrz było całkiem ciemno. Spojrzałem na zegarek. Wpół do szóstej. Usiadłem, kilka razy potarłem twarz dłońmi. I znów to pukanie. W pokoju wciąż unosił się zapach haszyszu. Postanowiłem, że nie otworzę, ale po trzeciej rundzie doszedłem do wniosku, że ten, kto puka, wie, iż jestem w środku, więc otworzyłem okno na oścież, zamknąłem salon i poszedłem do wejściowych drzwi.

Przed domem stał mężczyzna około czterdziestki. Był ojcem kogoś z uczniów, ale tak naprędce nie mogłem sobie przypomnieć czy im. W głowie lekko mi szumiało.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry. Jestem ojcem Jo. Chciałbym chwilę porozmawiać. Nie chodzi o nic poważnego, ale sprawa dotyczy Jo. Od dawna już nosiłem się z myślą, żeby tu zajrzeć, ale jakoś mi nie wychodziło, dopiero teraz. Pasuje ci? Wiem, że to trochę poza godzinami zajęć, ale... – Uśmiechnął się.

– Oczywiście, oczywiście, proszę. Napijesz się kawy?

– Jeżeli masz gotową, to chętnie. Ale specjalnie dla mnie nie rób.

Wyminął mnie i wszedł do kuchni.

– Akurat zamierzałem nastawić – powiedziałem. – Trochę się zdrzemnąłem. To był długi tydzień.

Usiadł przy kuchennym stole. Nie zdjął kurtki ani butów. Napełniłem wodą dzbanek do kawy.

Wszystkim tym, co miało związek ze szkołą i dziećmi, zajmowały się tutaj kobiety. To one przychodziły na zebrania rodziców, to one podpisywały się pod uwagami i informacjami w dzienniczkach, to one brały udział w pracach społecznych czy pilnowały opłat za wycieczki.

Włączyłem kuchenkę, a sam usiadłem po przeciwnej stronie stołu.

– Chodzi mi o Jo. Ostatnio nie za dobrze czuje się w szkole.

– Tak?

– Mówi, że nie chce chodzić do szkoły, że woli zostać w domu. Czasami nawet płacze. Kiedy pytam dlaczego, nie chce odpowiedzieć. Albo mówi, że nic się nie stało. Ale widzimy przecież, że coś jest nie tak. Naprawdę nie chce chodzić do szkoły. Wcześniej... kiedy był mniejszy, zawsze lubił się uczyć. Ale teraz już nie. – Spojrzał na mnie uważnie. – Przychodzę do ciebie... Wiem, że nie jesteś jego wychowawcą, że być może naturalną rzeczą byłoby iść do niej, do jego wychowawczynie, ale on tak ciepło się o tobie wyraża. Bardzo cię lubi. Często powtarza, że Karl Ove powiedział to, Karl Ove zrobił tamto, dlatego pomyślałem, że porozmawiam o tym raczej z tobą. Ty go przecież znasz.

Ogromnie się zawstydzilem, nie czułem się tak od wielu lat. Przecież już zawiodłem zaufanie, które ten człowiek mi okazał. Co prawda nie w czynach, ale w myślach. Gdy teraz siedział po drugiej stronie stołu z poważną, udręczoną miną, zrozumiałem, że bardzo kocha synka, że chłopczyk jest dla niego kimś wyjątkowym i bardzo cennym. Pojąłem, że to, co dla mnie było drobiazgiem bez znaczenia, ot, nieprzystosowany grubasek, który płakał o byle co, dla niego jest

treścią życia, najcenniejszym skarbem.

Wyrzuty sumienia płonęły we mnie jak las.

Musiałem to naprawić. I to od razu. Dla tego ojca, który na szczęście, na całe szczęście nie miał pojęcia, co sobie myślałem. I musiałem to naprawić dla Jo. Zając się tym, gdy tylko go zobaczę.

– Tak – powiedziałem. – To bardzo miły chłopiec.

– Zaobserwowałeś coś w szkole? Jakies incydenty?

– Nie, nic konkretnego, ale zwróciłem uwagę na to, że jest troszkę niedostosowany. Inne dzieciaki czasami nie chcą się z nim bawić albo się z niego wyśmiewają. Ale nigdy nie doszło do żadnej poważniejszej sytuacji, mam nadzieję, że rozumiesz, do przemocy czy systematycznego dręczenia. Nic takiego nie zauważyłem i nie sądzę też, by coś takiego miało miejsce.

– No tak – Potarł brodę, patrząc na mnie.

– Ale on jest... Jak by to powiedzieć? Pulchnym chłopcem. Na pewno nieraz ktoś mu to wytknął. No i może nie za dobrze mu idzie gra w piłkę, więc tego unika. Wtedy od czasu do czasu zostaje sam. Sam się bawi.

– Aha.

– Nie wiem... Ale to przecież mała szkoła. Chodzi do niej niewielu uczniów, wszystko jest dość transparentne. I nauczyciele, i dzieciaki znają się nawzajem na wylot, więc gdyby w grę wchodził mobbing, nie powinno być trudno temu zaradzić. Przecież nie mówimy tu o żadnych obcych dzieciach, o dużych bandach i tym podobnych, tutaj są Stig, Reidar i Endre, rozumiesz? Trzeba tylko przemówić im do rozsądku.

– Owszem.

Ach, on miał do mnie zaufanie, zastanawiał się nad moimi radami, to bolało, bardzo bolało, był przecież czterdziestoletnim ojcem, ja – osiemnastoletnim chłopakiem, i on miałby mnie słuchać?

– W klasie wszystko jest w porządku – podjąłem. – Czasami potrafi paść jakiś komentarz, ale komentarze padają w stosunku do wszystkich, częściej lub rzadziej, a jeśli zdarza się coś poważniejszego, natychmiast na to reagujemy. W zasadzie chodzi więc o przerwy. Może spróbujemy wymyślić jakieś zajęcia, które on lubi, i wciągnąć w nie również inne dzieci. Porozmawiam o tym z Hege, opracujemy jakiś plan. A może wystarczy rozmowa z innymi chłopcami i wyjaśnienie im sytuacji? Sądzę, że nie mają pojęcia, jak Jo się czuje.

– A ja uważam, że mają – powiedział. – Myślę, że doskonale to wiedzą. Przeszali już przychodzić do niego do domu i nie dopuszczają go do zabaw.

– Tak, ale mam wrażenie, że nie ze złośliwości, raczej po prostu tak się ułożyło.

– A czy twoja rozmowa z nimi nie pogorszy sytuacji?

– Takie ryzyko istnieje, ale trzeba je podjąć. Należy tylko załatwić sprawę delikatnie. To wszystko są dobre dzieciaki. Wierzę, że nam się uda.

– Naprawdę wierzysz?

Kiwnąłem głową.

– W poniedziałek porozmawiam z Hege, ułożymy plan działania.



Ojciec Jo wstał.

– Wobec tego nie będę ci zabierał więcej czasu.

– To żaden problem – zapewniłem.

– Bardzo dziękuję. – Uścisnął mi rękę.

– Będzie dobrze.

Po jego wyjściu położyłem się na kanapie. W salonie było lodowato, bo jeszcze nie zamknąłem okna. Odgłosy z zewnątrz wypełniły pokój, warunki atmosferyczne w jakiś sposób je znikształcały, wszystko zdawało się rozlegać bardzo blisko. Brzmiało to tak, jakby fale na brzegu uderzały o ścianę domu. Kroki na drodze, skrzywienie śniegu wydawały się dochodzić z powietrza, jakby tuż obok przechodził duch kierujący się ku morzu. Przejechał samochód, warkot silnika odbił się od ściany, przy której leżałem. Ktoś gdzieś się roześmiał, zabrzmiało to strasznie, pomyślałem sobie, że dziś po wiosce krążą diabły. Zachwianie równowagi wywołane wizytą ojca Jo, przepaść dzieląca jego zaufanie od zawodu, który mu sprawiłem, były niczym wrzód w piersi. Wstałem, nastawiłem płytę, tę, której słuchałem najczęściej w ciągu tego roku, ostatnią nagraną przez Lloyd Cole and The Commotions, i która, jak byłem przekonany, już zawsze będzie mi przypominać tutejsze nastroje. Zapaliłem papierosa, zamknąłem okno, oparłem się czołem o chłodną szybę. Po pewnym czasie przeszedłem do pokoiku za salonem, wypełnionego stosami i książek i papierów, zapaliłem światło i usiadłem przy biurku.

Już w momencie, gdy rzuciłem okiem na kartkę wręczoną w maszynę, zorientowałem się, że ktoś coś dopisał. Zmroziło mnie. Pierwsza połowa strony była moja, dalej pięć obcych linijek. Przeczytałem.

*Gabriel głęboko wetknął palce w mokrą cipę. O Boże, stęknęła Lisa. Gabriel wyciągnął palce i powąchał. Cipa, pomyślał. Lisa wita się pod nim. Gabriel wypił wielki łyk wódki. Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu, rozpiął rozporek, wsadził twardego kutasa w pomarszczoną cipę. Lisa aż krzyknęła z radości. Niezły jesteś, Gabrielu!*

Do głębi wstrząśnięty, wręcz bliski płaczu, wpatrywałem się w tych pięć linijek. To była bardzo celna parodia mojego stylu pisania. Naprawdę podobna. Wiedziałem, kto to zrobił. Tor Einar. I wiedziałem nawet, w jakim duchu. To miał być przyjacielski żart. Na pewno „nieźle się uśmieł”, odczytując na głos swój tekst Nilsowi Erikowi, który też rechotał tym swoim cienkim śmiechem ze wschodu Norwegii.

To miał być tylko żart, ale i tak nie potrafiłem im wybaczyć. Wiedziałem, że oprócz sytuacji koniecznych, tych związanych z pracą i ze sprawami praktycznymi, nie będę mógł już z nimi przebywać ani rozmawiać.

Wyrwałem kartkę z maszyny, zgniotłem ją i rzuciłem na podłogę. Potem się ubrałem i wyszedłem w wieczór. Nie było sensu iść w głąb wsi, wzdłuż oświetlonej drogi, tam od razu zostałbym zauważony i być może zatrzymany. Wybrałem więc ślepą ścieżkę, która ciągnęła się kawałek za zakrętem, wzdłuż łagodnego zbocza góry. Stało przy niej kilka domów. Na jej końcu leżała wielka przyzma śniegu. Dalej nie było już nic, to znaczy jedynie śnieg, niskie drzewa i skała,

kóra mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej wznosiła się w górę i znikła w ciemności. Zapadałem się w śniegu po kolana, wędrówka w tę stronę była bezcelowa, zawróciłem więc i brodząc w śniegu, zszedłem nad morze. Chwilę wpatrywałem się w czarną wodę, która nieprzerwanie zalewała falami brzeg, bez większej mocy, trochę jakby bezmyślnie go poszturchiwała.

Niech to wszystko szlag trafi.

On grzebał nie tylko w tekście, bo to by mnie nie zraniło, ale w czymś innym, o wiele głębszym, grzebał w duszy, w mojej duszy. A gdy to zrobił, sam ją dostrzegłem. Wyglądała kompletnie inaczej z zewnątrz niż ze środka i być może właśnie stąd brała się moja największa rozpacz. Moje pisanie nie było nic warte. A zatem i ja nie byłem nic wart.

Wróciłem po własnych śladach. Na skrzyżowaniu zatrzymałem się, nie wiedząc, co dalej robić. Mogłem przejść pięćset metrów jedną drogą kończącą się przy szkole albo pięćset metrów drugą, również kończącą się przy szkole. Więcej możliwości nie miałem. Sklep był zamknięty, uliczny barek też, a jeśli ktoś siedział gdzieś i pił, ja o tym nie wiedziałem. Nikogo nie znalazłem na tyle dobrze, żeby po prostu do niego zajrzeć. Wyjątek stanowili Nils Eriki Tor Einar, z którymi nie chciałem mieć więcej do czynienia, i Hege, której nie miałem ochoty teraz odwiedzać. Zresztą nie mogłem, ponieważ w domu był jej mąż, zawsze otwarcie okazujący mi serdeczność, lecz równie otwarcie aż kipiący zazdrością. Siedzenie u siebie, czytanie i słuchanie płyt także nie wchodziło w rachubę, bo zauważyłem, że w salonie zapaliło się światło, co oznaczało, że wrócił Nils Erik.

Dłużej stać pod słupem latarni też nie mogłem, bo ktoś prędzej czy później by mnie zauważył i zaczął się zastanawiać, co tam robię.

Powoli ruszyłem drogą do domu. Kiedy dotarłem, delikatnie otworzyłem drzwi, ostrożnie się rozebrałem i jak najciszej chciałem wejść po schodach na górę, ale Nils Erik stanął w progu przedpokoju.

– Cześć – powiedział. – Babcia Tora Einara poczęstowała nas *mølje* [8]. Szkoda, że cię nie było, bo to prawdziwy delikates.

– Idę się położyć – oznajmiłem, nie patrząc mu w oczy. – Dobranoc.

– Już?

Nie odpowiedziałem. Otworzyłem drzwi do swojego pokoju i wemknąłem się do środka. Po ciemku położyłem się na materacu w ubraniu. Leżałem i gapiłem się w sufit. Słuchałem odgłosów z kuchni, gdzie Nils Erik zmywał naczynia. Miał włączone radio. Momentami jego ledwo słyszalne nucenie, które po dwóch miesiącach przemieszkań w jednym domu znałem aż za dobrze, przechodziło w mocny, głośny śpiew. Drogą przejechał samochód z muzyką na full. Odgłosy perkusji słabły w miarę, jak podjeżdżał pod górę i podążał drogą na drugi koniec wioski, potem znów się wznogły, aż uderzyły o ścianę, przy której leżałem.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła ósma.

Co miałem, do cholery, zrobić?

Wszystkie drogi wyjścia stąd były zamknięte.

Ugrzązłem.

Godzinę leżałem nieruchomo w ciemności. W końcu postanowiłem pożegnać się ze wstydem i zszedłem na dół. Nils Erik siedział i czytał.

– Czy ty przypadkiem nie miałeś butelki czerwonego wina? – spytałem.

– Owszem, a co?

– Mógłbym ją wziąć? Odkupię ci w tygodniu.

– Możesz. Wy chodzisz gdzieś?

Pokręciłem głową, poszedłem po butelkę, otworzyłem ją i wróciłem do swojego pokoju. Kiedy zacząłem pić, poczułem przebłysk radości. Zdradzili mnie, ogarnęło mnie przygnębienie, czarna rozpacz, ale piłem w samotności, byłem pisarzem.

Oni o sobie nie mogli tak powiedzieć. Jeden i drugi był nikim.

W ciągu dziesięciu minut wlałem w siebie całą butelkę wina. Zamroczony, z uczuciem, że całe wnętrze czaszki spowiła mi mgła, zszedłem na dół do salonu, zignorowałem Nilsa Erika, otworzyłem drzwi do pokoiku do pisania, zamknąłem się tam, włączyłem maszynę, usiadłem przy biurku i zacząłem pisać. Kilka minut później jakby rozsadziło mi żołądek. Rzuciłem się do drzwi, ale były przecież zamknięte na klucz, pawia miałem już w gardle, więc rozejrzałem się za jakąś skrzynką, wiadrem, kłosem, za cokolwiek, ale nic takiego nie znalazłem, usta się otworzyły i wyrzuciły z siebie kaskadę fioletowych wymiocin.

Osunąłem się na podłogę, żołądek znów się skurczył, ponownie wypychając z siebie falę wina i kiełbasek. Jęknąłem, kolejny skurcz, ale teraz żołądek był już pusty. Został w nim jedynie ból przy każdym następnym skurczu i trochę lepkiego śluzu, który wykaslałem.

Och.

Kilka minut siedziałem na podłodze, napawając się spokojem, który ogarnął moje wnętrze. W ogóle się nie przejąłem zarzucanymi papierami i książkami.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kilka razy poruszyła się kłamka.

– Co ty tam wyprawiasz? – spytał Nils Erik.

– Nic szczególnego.

– Co mówisz? Chory jesteś? Potrzebujesz pomocy?

– W każdym razie nie od ciebie, idioto!

– Co mówisz?

– NIC! NIC!

Wyobraziłem sobie, jak stoi, przykładając dłonie do zamkniętych drzwi, w końcu wraca na kanapę. Smród wymiocin wypełnił pokój. Przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego zapach własnych wewnętrznych wydzielin jest ohydny, w przeciwieństwie do zapachu własnych odchodów. Czy mogło to mieć związek ze stosowaną przez neandertalczyków praktyką zaznaczania swojego rewiru w lesie, natomiast rzygi nie miały takiej funkcji, były jedynie odruchem mającym na celu pozbycie się zepsutego jedzenia, i dlatego musiały śmierdzieć?

Podniosłem się na nogi, otworzyłem okno i unieruchomiłem je haczykiem. Sprzątać nie miałem siły. Niech tak zostanie do jutra, pomyślałem, zamknąłem drzwi na klucz i nie patrząc na

Nilsa Erika, wyszedłem na korytarz, na górę po schodach i do pokoju. Tam się rozebrałem, położyłem pod kłodrą i zasnąłem jak kamień.

Przez cały następny dzień omijałem ich szerokim łukiem, kolejny także, ale w końcu się poddałem, wieczorem wybierali się do szkoły na basen, poszedłem z nimi, niezbyt wesoły, ale też i nie wściekły. Niewiele się odzywałem, kiedy pływaliśmy od brzegu do brzegu. Pozwoliłem im pierwszym iść do sauny, żeby posiedzieli przez chwilę sami, a potem też wyskoczyłem z basenu i podszedłem pod same drzwi, żeby podsłuchać, o czym rozmawiają. Miałem pewność, że mówią o mnie, wiedziałem, że się ze mnie naśmiewają. To było oczywiste. Tyle czasu spędzali razem, a to co robiłem i na co traciłem tyle sił, tylko ich śmieszyło.

Ale wewnątrz panowała całkowita cisza, więc w końcu też wszedłem do sauny. Usiadłem w rogu na najwyższej ławce, oparłem się plecami o ścianę, z góry patrząc na ich białe ciała, całe błyszczące od potu, Nilsa Erika pochylone, Tora Einaru odchylone. Twarz Nilsa Erika nieustannie była w ruchu, stale mówił, śmiał się, uśmiechał albo stroił miny. Ale teraz pozostawała zupełnie nieruchoma i pojawiło się w niej coś, co kojarzyło się z drewnem, jakby naprawdę był Pinokiem, lalką wyrzeźbioną w kawałku drewna, w którą czarodziej tchnął życie.

Musiał wy czuć, że mu się przyglądam, bo uśmiechnął się i odwrócił głowę w moją stronę.

– Widziałem dzisiaj coś, co cię może zainteresować, Karl Ove. W „Dagbladet” ogłaszała się jakaś szkoła pisania w Bergen.

– Aha – powiedziałem możliwie najbardziej obojętnym tonem. Chyba nie przypuszczał, że dam się łatwo złapać na taki otwarcie łagodzący gest.

W szkole postanowiono, że mam wziąć kilka dodatkowych godzin tygodniowo z dwoma zmęczonymi szkołą i trochę zbuntowanymi dziewięcioklasistami, Stianem i Iwarem. Miałem ich nauczyć grać na instrumentach, sprzęt pożyczył nam lokalny wioskowy zespół, Autopilot, więc w każdy wtorek szliśmy do świetlicy, podłączaliśmy wszystko i ćwiczyliśmy tych kilka utworów, które znałem, po kolei na każdym instrumencie. Ivar grał na basie, kompletnie się do tego nie nadawał, ale kazałem mu utrzymywać ten sam dźwięk i patrzeć na mnie, a kiedy kiwnąłem głową, miał przesuwać palce według wzoru, którego nauczył się na pamięć. Stianowi na perkusji szło lepiej, tyle że nie słuchał wskazówek był na to za dumny. Ja natomiast grałem na gitarze. Mieliśmy trzy utwory, *Smoke on the Water*, *Paranoid*, *Black Magic Woman*. Do grania bez wokalu byłem przyzwyczajony jeszcze z czasów zespołu, który założyliśmy z Janem Vidarem, wydawało mi się to wręcz naturalne, głos dołożony do fałszującego, kompletnie nieudolnego akompaniamentu jeszcze by to wszystko pogorszył. Graliśmy na scenie, mając przed sobą całą wielką, pustą świetlicę. Stian i Ivar w równym stopniu pozowali z instrumentami, co na nich grali. Pod koniec jednej z takich lekcji kilku czwartoklasistów otworzyło drzwi i gapiło się na nas szeroko otwartymi oczami. Stian i Ivar poczuli dumę, ale usiłowali ją starannie ukryć, burcząc i udając obojętność, jakby granie absolutnie ich nie obchodziło.

Kilka dni później na radzie pedagogicznej zaatakowała mnie Eva. Pożyczono nam instrumenty i sprzęt zespołu, w którym grał jej syn, ale obesłaliśmy się z nim niefrasobliwie, pękła jedna struna, której nie wymieniono, złamała się pałeczka, której również nie wymieniono,

oświadczyła, że zespół nie zgadza się na więcej, i bez żadnych wstępów przeszła do kolejnego punktu – zmotywowania do pracy siódmoklasistów, w którymi nie da się już normalnie rozmawiać, bo w ogóle jej nie słuchają, twierdzą, że Karl Ove mówił co innego, a kiedy poprosiła, żebym przywołał ich do porządku, obiecałem, że to zrobię, ale nie dotrzymałem słowa, w każdym razie ona nie widzi żadnego rezultatu.

Odparłem, że na swoich lekcjach nie mam żadnych kłopotów z dyscypliną, ale że z nimi porozmawiam. Powiedziała, że właśnie to moje „porozmawiam” jest problemem, bo w ogóle nie traktuję tego poważnie, a uczniowie to wyczuwają. Siódma klasa nigdy wcześniej nie sprawiała żadnych trudności, to byli zdolni, zawsze pracowici uczniowie, a teraz się rozleniwili i zrobili kłębni.

– Nie na moich lekcjach – oświadczyłem, patrząc na nią.

Była tak wzburzona, że aż głowa jej się trzęsła.

Włączył się Richard. Powiedział, że zapewne oboje mamy rację, ale powinienem wyraźnie zapowiedzieć uczniom, że dalsze takie zachowanie na lekcjach nie będzie tolerowane, że muszą się liczyć z konsekwencjami. Jasne, przekażę im to, zapewniłem. Kiedy po skończonym zebraniu ubierałem się w korytarzu, Eva dopadła mnie jeszcze, mówiąc, że Grete pyta, co się stało z pościelą, którą pożyczyła mi w sierpniu, a może mi się wydadaje, że dostałem ją na własność?

O, do diabła ciężkiego, czy ona się nigdy nie odczepi?

– Nie, skąd – odparłem. – Tak się po prostu stało przez zapomnienie. Mogę ją oddać już jutro. To dla mnie żaden problem.

Ludzie przejmowali się drobiazgami, wyszukiwali miejsca, gdzie coś nie działało w stu procentach, i wtedy atakowali, zamiast patrzeć całościowo, oto my, ludzie na Ziemi, którym jedynie na krótką chwilę dane jest przebywanie tutaj, wśród całej istniejącej tu wspaniałości, trawy, drzew, borsuków i kotów, ryb i morza, pod obsypanym gwiazdami niebem, a tymczasem ktoś się przejmuje zerwaną struną gitarową? Połamaną pałeczką do perkusji? Jaką cholerną pościelą, którą się przetrzymało trochę za długo? Halo, co jest z wami?

Złamana pałeczka wydawała mi się szczytem małostkowości. To o niej mieliśmy rozmawiać, a nie o wynikach, jakie osiągnąłem ze Stianem i Ivarem?

Dlaczego wybierać to, co małe, skoro istnieje wielkie?

Nienawidziłem tego, co małe, i nie za dobrze sobie z tym radziłem, to musiałem przyznać. Raty za sprzęt grający przejęła firma windykacyjna, a tamta sprawa ze smokiem, który wypożyczyłem rok wcześniej i nie zwróciłem, no bo przecież był zniszczony, całą nogawkę na strzępy rozerwała petarda, trafiła do sądu, który skazał mnie na zapłacenie za smok, a na dodatek nałożył grzywnę za moją nieobecność na rozprawie. Grzywna za nieobecność! Co oni sobie myśleli? Że wsiądę w samolot wyłącznie z powodu jakiegoś smokingu?

Ale tak było. Codziennosc, z nieskończoną mnogością drobnych wymogów i drobnych obowiązków, drobnych rozmów i drobnych spotkań, otaczała nas jak ogrodzenie. Żyłem tak ale nie wtedy, kiedy piłem, bo wtedy liczyły się tylko wielka przestrzeń i wielkie gesty, i choć cena za to była wysoka, a późniejszy lęk ogromny, to zawsze ją placiłem i już po dniu albo dwóch znów zaczynała mnie ogarniać ochota na rzucenie się w ten wir i olewanie wszytkiego.

Którejś nocy po powrocie do domu z zabawy w świetlicy na drugim końcu wyspy zastałem czekającego na mnie Nilsa Erika, który jeszcze nie spał.

– Masz wroga – zapytał.

– Tak? – mruknąłem, pijany i zmęczony, ciągle stojąc w drzwiach.

– Położyłem się zaraz po twoim wyjściu. Obudził mnie ktoś, kto siedział na moim łóżku. To był Vidar. Dopytywał się, gdzie jesteś. Na kolanach trzymał strzelbę.

– Żartujesz sobie! Nie wygłupiaj się.

– Mówię prawdę. Na twoim miejscu zamykałbym drzwi na klucz. No i porozmawiał o tym z Hege.

– Ale przecież między nami nigdy do niczego nie doszło!

– On może nie mieć takiej pewności. Przecież Hege przychodzi tutaj co najmniej dwa razy w tygodniu. To dużo, kiedy jest się związanym z kimś innym.

– Ale ja w ogóle nie jestem nią zainteresowany!

– Sprawa jest poważna. On miał strzelbę. Nie żartuję.

Zacząłem się bać dopiero następnego dnia. Miałem wrażenie, że w każdej chwili mogę się natknąć na Vidara. Wieczorem zamknąłem drzwi wejściowe na klucz, a nazajutrz rano od razu poszedłem do Hege powiedzieć jej, co się wydarzyło.

– Vidarowi gorycz się przelała. Więcej się tak nie zachowa. Wystraszyłeś się?

– Ja? Nie. Nawet nie. Ale Nils Erik miał niezłego stracha.

– To właściwie głupstwo. On i tak nigdy nie użyłby strzelby. Chciał cię tylko nastraszyć.

– Za co? Za to, że rozmawiamy?

Hege potwierdziła.

Już nie mogłem się doczekać, jak opiszę to wydarzenie w listach. Miałem się czym pochwalić: mieszkałem w miejscu, w którym ludzie wchodzi do cudzych domów z bronią w rękach, no i byłem tutaj postacią na tyle znaczącą, by to przeciwko mnie zwrócili się szaleńcy.

Ale w kolejnych dniach też się bałem, może nie tego, że zostanę zastrzelony, ale nieprzyjemna była już sama myśl o tym, że Vidar mnie pobije, jeśli tylko nadarzy mu się okazja.

Czy on naprawdę miał strzelbę?

Takto pamiętam. Ale czy mogło tak być?

Tam, na północy, działy się zupełnie niesamowite rzeczy, które zaledwie rok wcześniej wydawałyby mi się całkiem obce, wręcz niewiarygodne, i które zaledwie po roku okryła taka sama obcość i niewiarygodność, chociaż kiedy tam mieszkałem, zdarzenia te uważałem za w pełni normalne i oczywiste.

Nils Erik na przykład po świątecznym wyjeździe przywiózł z domu sprzęt do nurkowania i wiosną potrafił zejść na przystań w mokrym kombinezonie, włożyć maskę, płetwy i butłę z tlenem, usiąść na krawędzi z harpunem w ręku i zsunąć się do przezroczystej wody, jego drżąca sylwetka stawała się coraz słabiej widoczna, w końcu znikła, a dziesięć minut później znów się

wynurzał z nadzianą na harpun rybą, którą później jedliśmy na obiad.

Czy to się wydarzyło?

Czy n a p r a w d ę miał sprzęt do nurkowania?

Czy naprawdę po szkole ł o w i ł na harpun ryby na obiad?

Nigdy więcej nie wróciłem w to miejsce, ale od czasu do czasu miewam koszmary z nim związane, naprawdę straszliwe koszmary, w których jedynie wjeżdżam do tej wioski po tylu latach i już samo to najwyraźniej mnie przeraża.

Dlaczego?

Czy tam się działy straszne rzeczy? Zrobiłem coś, czego nie powinienem był zrobić? Coś strasznego? Coś oprócz włóczenia się nocami po pijaku bez żadnej kontroli?

Napisałem kiedyś powieść, której akcja tam się rozgrywa. Tworzyłem ją na ślepo, w ogóle nie myślałem o stosunku fikcji do rzeczy wistości, bo w trakcie pisania nowy świat otwierał się przede mną sam. Przez pewien czas był dla mnie wszystkim i częściowo składał się z opisu prawdziwych budynków i ludzi, bo szkoła w tej książce jest taką szkołą jak ta, w której pracowałem, a częściowo z fikcji, i dopiero kiedy wszystko już zostało napisane, a powieść wydana, zacząłem się zastanawiać, jak też zostanie przyjęta tam, na północy, wśród ludzi, którzy znali opisywany przeze mnie świat i wiedzieli, co jest prawdziwe, a co nie. Czasami ze strachu nie mogłem przez to w nocy spać. Przecież ta historia nie wzięła się z powietrza. Przeciwnie, ona w powietrzu tkwiła. Przez rok pracowałem tam jako nauczyciel i gdy czasami zdarzało mi się cieszyć rano z tego, że idę do pracy, to wyłącznie z jednego powodu: tam była ona.

Ona: Andrea.

Spojrzenie, dłoni podpierająca czoło, kołysząca się drobna stopa, dziecko będące kobietą będącą dzieckiem, z którym tak bardzo lubiłem przebywać w jednym pomieszczeniu.

Tak było przez te miesiące, kiedy trwała noc, i tak było, gdy światło otworzyło przestrzeń, początkowo zimną i lśniącą, później powoli, ledwie zauważalnie wypełniającą się ciepłem. Śnieg zniknął z drogi, ogromne zasy wzdłuż jej brzegów kłęsy, na boisku ukazywały się nieduże plamy żwiru, a ze wszystkich dachów i pagórków lało się i kapało.

Mogło się wydawać, że światło zbiera również w tamtejszych ludziach. Wszędzie panował nastrój ożywienia i radości.

Na którejś lekcji Andrea i Vivian wręczyły mi dyplom. Uznały mnie za najbardziej seksownego nauczyciela w całej szkole.

Powiesiłem go na ścianie w klasie, z komentarzem, że konkurencja nie była za duża.

Śmiały się.

Kilka dni później, kiedy słońce świeciło na środku niewyczerpanego błękitu nieba, kazałem uczniom wyjść i opisać to, co zobaczą. Mogli iść, dołąd chcieli, pisać o tym, o czym chcieli, jedynym warunkiem był dwustronicowy opis tego, co ujrzą.

Ktoś poszedł do sklepu, ktoś usiadł pod nasłonecznioną ścianą szkoły. Stałem na tyłach budynku i zapaliłem papierosa, wpatrując się w boisko, prawie całkiem już wolne od śniegu, i w lśniący w słońcu fiord. Potem obszedłem uczniów i spytałem, jak sobie radzą. Patrzyli na mnie, mrużąc oczy.

– Wszystko w porządku – powiedziała Andrea.

– Idzie Karl Ove – Vivian wymówiła słowa powoli, podczas gdy jej pióro biegło po papierze, dając mi tym do zrozumienia, że właśnie to zapisuje w zeszytce. – Jest naprawdę seksowny.

Andrea, słysząc to, odwróciła głowę.

– W każdym razie Andrea tak uważa – dodała Vivian.

– Nie wygłupiaj się! – zachnęła się Andrea.

Obie spojrzały na mnie z uśmiechem. Kurtkami przewiązały się w pasie, siedziały w samych T-shirtach, ramiona miały gołe.

Wypełniły mnie uczucia identyczne jak wiosną tamtego roku, gdy sam chodziłem do siódmej klasy. Kiedy biegaliśmy za dziewczynami, przytrzymywaliśmy je, podciągaliśmy im koszulki i przesuwaliliśmy dłońmi po ich piersiach. Dziewczyny krzyczały, ale nigdy na tyle głośno, by usłyszał je któryś z nauczycieli.

Wypełniły mnie te same uczucia, ale cała reszta była inna. Nie miałem już trzynastu lat, tylko osiemnaście, i nie byłem ich szkolnym kolegą, tylko nauczycielem.

Moich uczuć nie mogły zobaczyć. Nie mogły też wiedzieć, co się we mnie dzieje. Byłem po prostu ich młodym nauczycielem, więc się do nich uśmiechnąłem.

– To co piszecie, będziemy w klasie odczytywać na głos. Więc może z trochę większą precyzją wybieraj to, co zapisujesz.

– Precyzja? A co to znaczy? – spytała Vivian.

– Sprawdzisz sobie, kiedy wrócimy do szkoły.

– Cały ty! – stwierdziła Andrea. – Na okrągło mamy tylko sprawdzać i sprawdzać. Nie możesz nam po prostu powiedzieć?

– Przecież sam tego nie wie – oświadczyła Vivian.

– Jeszcze pięć minut i wracacie.

Ruszyłem w stronę wejścia do budynku, za plecami słyszałem ich śmiech, miałem dla nich tyle ciepłych uczuć, ale nie tylko dla nich, bo dla wszystkich uczniów z całej wioski, w ogóle dla wszystkich ludzi.

To był jeden z takich dni.

\*



Jedenaście lat później siedziałem w pracowni w naszym pierwszym mieszkaniu w Bergen i odpowiadałem na e-maile, kiedy zadzwonił telefon.

– Halo, tu Karl Ove – powiedziałem.

– Cześć, tu Vivian.

– Vivian?

W momencie gdy to powiedziała, cały złodowaciałem w środku i otoczył mnie mrok.

– Tak, pamiętasz mnie? Byłeś naszym nauczycielem.

W jej głosie nie wychwyciłem żadnego wyrzutu. Wytarłem spotałką momentalnie dłoń udo.

– Jasne, że pamiętam. Co u ciebie?

– Wszystko świetnie! Siedzę tu razem z Andrea, przeczytałyśmy o tobie w gazecie i zobaczyłyśmy, że przyjeżdżasz do Tromsø na występy. Pomyślałyśmy, że może się spotkamy?

– Oczywiście – odparłem. – Byłoby ogromnie miło.

– Czytałyśmy twoją książkę. Bardzo fajna.

– Tak uważasz?

– Tak! Andrea też.

Aby nie ryzykować, że rozmowa zejdzie na treść książki, tylko by zdusić ten temat w zarodku, spytałem, czym się teraz zajmują.

– Ja pracuję w przetwórni ryb, więc tu nie ma żadnych niespodzianek. A Andrea studiuje w Tromsø.

– Aha. Naprawdę cieszę się, że was zobaczę. Ustalimy jakieś miejsce i godzinę?

Zaproponowała kawiarnię w pobliżu lokalu, gdzie miało się odbyć spotkanie z czytelnikami. Zgodziłem się, pożegnaliśmy się i rozłączyliśmy. Kilka tygodni później otworzyłem drzwi do tej kawiarni i zobaczyłem je w głębi sali, roześmiały się na mój widok i powiedziały, że ani trochę się nie zmieniłem. Za to wy się zmieniłyście, oświadczyłem. I tak faktycznie było, bo chociaż ich twarze pozostały takie same, podobnie jak gesty i zachowanie, to jednak były teraz dorosłe, a tamten obszar ambiwalencji, w którym żyły wtedy, całkowicie przestał istnieć. W zasadzie w pełni rządził teraz nimi pierwiastek kobiecy.

Zdjąłem płaszcz, podszedłem do lady i zamówiłem kawę. Denerwowałem się. Obie czytały moją książkę i musiały w niej odnaleźć siebie. Postanowiłem chwycić byka za rogi. Usiadłem, zapaliłem papierosa. A więc czytałyście moją książkę? – spytałem. Obie potwierdziły. Ja nie piszę o was, oświadczyłem, chociaż możecie doszukać się podobieństw. No i znajdujemy je, powiedziała Andrea. Ale niczym się nie przejmuj, to bardzo fajne.

Opowiedziały mi o wydarzeniach w wiosce od tamtego czasu, a było ich niemało. Przede wszystkim wybuchł głośny skandal związany z molestowaniem seksualnym w szkole, zakończony

wyrokiem skazującym. Podobno wieś podzieliła się na dwa obozy. Poza tym wielu dawnych nauczycieli wciąż pracowało. Vivian trzymała ze swoimi rówieśnikami, z którymi już wtedy się przyjaźniła, a oprócz tego oczywiście z rybakami, którzy byli moimi rówieśnikami. Andrea mieszkała w Tromsø, tam studiowała, do domu przyjeżdżała na ferie i od czasu do czasu na weekend.

Wciąż traktowałem je obie tak, jakby miały po trzynaście lat. Jakby ta forma była z góry narzucona, nie mogłem się od niej uwolnić, i gdy godzinę później stamtąd wychodziłem, uświadomiłem sobie, jak bardzo było to głupie, zwłaszcza wobec Andrei.

Obie przyszły na spotkanie z czytelnikami i zostały na późniejszą dyskusję. Po zakończeniu podeszły do mnie się pożegnać. Wyszedłem wraz z Torem, z którym razem czytałem teksty, i jeszcze z kilkoma osobami. Piliśmy cały wieczór. Późną nocą znów zobaczyłem Andreę. Stała w kolejce do taksówki z jakimś facetem, on za nią, wyciągała ręce do tyłu, a on całował ją w szyję i dłońmi gładził jej piersi. Naszło mnie wręcz wariackie poczucie niepowodzenia, przeszedłem na drugą stronę ulicy, ona mnie nie widziała, albo przynajmniej udawała, że mnie nie widzi, a ja pomyślałem sobie, że mógłbym ją teraz mieć, gdybym właściwie rozegrał karty. Ale byłem już żonaty i nie brałem udziału w żadnych grach, więc skończyło się na myśli, która nie dawała mi spokoju w następnych miesiącach i latach: powinienem był przynajmniej spróbować zakończyć to raz na zawsze.

\*

Dwa tygodnie po tym, jak Vidar przysiadł na łóżku Nilsa Erika, pytając o mnie, wyjechałem na południe na ferie wielkanocne.

Mama, która czekała na mnie na przystani w Lavik, wydawała się bardzo zmęczona, dużo tego roku pracowała, a kiedy miała wolne, zajmowała się rodzicami w Sørbøvåg.

W ciągu dnia sporo rozmawialiśmy, mama przyrządzała sama wszystkie posiłki, a ja leżałem na kanapie i czytałem. Parę razy wybrałem się do centrum Førde na zakupy, wieczorami oglądaliśmy telewizję.

Powiedziała mi, że Jon Olav też przyjechał do domu, więc do niego zadzwoniłem i umówiliśmy się w Førde następnego dnia wieczorem. On wychował się w Dale, odległym stąd o godzinę jazdy samochodem, więc przez dyskotekę, w której siedzieliśmy, przewijało się mnóstwo jego znajomych.

Piłem piwo, rozmawialiśmy. Poza rezerwatem, jak w myślach zacząłem nazywać Håfjord, wszystko wydawało mi się lżejsze i prostsze. Powiedziałem mu, że zamierzam się ubiegać o przyjęcie na uczelnię o nazwie Akademia Sztuki Pisania w Hordaland. Nigdy o niej nie słyszał, mimo że siedzibę miała w Bergen, czyli w mieście, w którym studiował. Ale była zupełnie nowa, bieżący rok był pierwszym rokiem jej działalności.

– Kto tam wykłada? – spytał.

– Nigdy wcześniej o nich nie słyszałem. Myślę, że to jacyś tajni pisarze z zachodniej Norwegii. Ragnar Hovland, Jon Fosse i Rolf Sagen. Słyszałeś o nich?

Jon Olav pokręcił głową.

– To akurat nie jest zbyt fajne – stwierdziłem. – Może to jakaś lokalna historia. Ale to tylko rok, no i dają kredyt studencki, więc będę mógł przynajmniej pisać na pełny etat.

– W ostatnim liście twierdziłeś, że idziesz do Goldsmiths w Londynie – przypomniał.

– Tam też będę się starał o przyjęcie. Yngve załatwił mi adres. Już do nich napisałem o przesłanie formularzy wniosku.

Jon Olav stale zerkał w głąb lokalu, w którym było tłoczno, bo otworzyli go pierwszy raz po świętach.

– Przejdę się – powiedział.

– Okej, ja tu posiedzę.

Jakdobrze być w miejscu, gdzie nikt mnie nie zna!

Czuć, jak działa alkohol. Wypalić kilka papierosów. Pogapić się na dziewczyny. Wyjątkowo niczym się nie denerwować.

Kiedy Jon Olav wrócił godzinę później, ciągle siedziałem na tym samym stołku i nawet w tej samej pozycji – z łokciem na barze i głową opartą na dłoni.

– Spotkałem kilku kumpli z liceum – oznajmił Jon Olav. – Siedzimy tam, w głębi. Chodź ze mną.

Zsunąłem się ze stołka i poszedłem za nim. Zatrzymał się przy stoliku na drugim końcu sali, blisko drzwi wejściowych.

– To jest mój kuzyn, Karl Ove – przedstawił mnie.

Popatrzyli na mnie obojętnie i pokiwali głowami.

Wśród chłopaków siedziała dziewczyna. Rozmawiała z kimś po drugiej stronie stolika, na mnie w ogóle nie patrzyła, śmiała się nachylna do przodu, obie dłonie położyła na blacie. Miała bladą skórę, ciemna grzywka opadała jej na czoło, ale nie dlatego zacząłem się w nią wpatrywać, tylko z uwagi na jej oczy, niebieskie, w jednej chwili tryskające radością, po to by w następnej złagodnieć i spoważnieć.

Wygląda wręcz na Francuzkę, pomyślałem, zajmując krzesło obok Jona Olava. Miała śliczne rysy, ale dopiero gdy znów zaczęła się śmiać, przesył mnie dreszcz.

Biło od niej światło.

– Zamówić ci piwo? – spytał Jon Olav. – Niedługo zamykają.

Dwie minuty wcześniej ucieszylibym się, że wkrótce opuścimy to miejsce, teraz wpadłem niemal w rozpacz, tak samo bezsensownie, jak smutniałem za każdym razem, gdy ktoś opuszczał poimprezową dogrywkę, jakbym z wyjściem każdej osoby zbliżał się o krok do śmierci czy innego fatalnego w skutkach zdarzenia.

– Pójdę z tobą. – Skierowałem się za nim do baru.

– Dam radę donieść dwa piwa – zdziwił się Jon Olav.

– Co to za dziewczyna? – spytałem.

– Która?

– Ta przy stoliku.

Jon Olav się odwrócił. Czyżby w ogóle nie zauważył, że siedzi z nami i jakaś dziewczyna?

– A, ta. To Ingvild.

– Dobrze ją znasz?

– Prawie wcale. Mieszka w Kaupanger. Ale znam jej chłopaka, Torda. To ten, który śpi w fotelu, widzisz?

Klasyczne.

Tak jakby mogło z tego coś wyjść, nawet gdyby nie miała chłopaka.

Przyjechałem na ferie do mamy, za dwa dni miałem wyjechać, więc co mi się śniło? Jedno spojrzenie rzucone na śliczną, ale obcą dziewczynę i już chciałem na tym budować przyszłość? Niby ja i ona?

Dlaczego?

Biło od niej światło.

Wypiłem pół szklanki piwa na stojąco przy barze, podczas gdy Jon Olav płacił, zamówiłem jeszcze jedno i oba zaniósłem do stolika.

Czterech chłopaków, którzy tam siedzieli, wkrótce wstało. Zorientowałem się, że przyjechali jednym samochodem i razem wracali.

Przy stoliku zostaliśmy we czwórkę, Jon Olav, chłopak z którym rozmawiał, Ingvild i ja. No

i jeszcze ten jej facet, ale on spał i można było nie brać go pod uwagę.

Wypiłem kolejne dwa solidne łyki.

Ingviłd siedziała, oglądając się przez ramię.

– Masz ochotę na to piwo? – spytałem, kiedy wreszcie odwróciła się do stolika. – Zupełnie świeże. Nieruszane.

– Gdyby coś miało wzbudzić we mnie podejrzenia, to właśnie to. Kompletnie obcy facet proponuje mi piwo, które od pewnego czasu przed nim stoi. No ale ty wyglądasz dość sympatycznie.

Mówiła dialektem z regionu Sogn, a kiedy się uśmiechała, oczy jej się zwięzały.

– Bo jestem sympatyczny – powiedziałem.

– Ale dziękuję za piwo. Prowadzę. Muszę na przykład odwieźć do domu jego. – Ruchem głowy wskazała śpiącego chłopaka.

– Doskonale się znam na prowadzeniu samochodu – powiedziałem. – Mogę ci udzielić kilku dobrych rad, jeśli chcesz.

– Chętnie posłucham. Jestem bardzo marnym kierowcą.

– Przede wszystkim trzeba jeździć szybko... – zacząłem.

– Tak?

– Są tacy, którzy twierdzą, że należy jeździć powoli, ale wydaje mi się, że się mylą, szybka jazda jest lepsza.

– Aha. A więc szybka jazda. Coś jeszcze?

– Zaraz, zaraz. Siedziałem kiedyś za kierownicą. Samochód przede mną jechał wolno, a ponieważ uważam, że należy jeździć szybko, więc go wyprzedziłem. To było na zakręcie, dlatego zjechałem na przeciwny pas ruchu, no i przyspieszyłem jak szalenciec. Pstryk, i go minąłem.

– I co?

– Nic poza tym. Pojechałem dalej.

– Ty nie masz prawa jazdy, prawda?

– Nie mam. I ogromnie podziwiam tych, którzy mają. To właściwie niewiarygodne, że odważyłem się z tobą rozmawiać. Normalnie siedziałbym ze wzrokiem wbitym w stolik. No ale trochę wypiłem, a uwielbiam rozmawiać o prowadzeniu samochodu. To znaczy w teorii. Dużo na przykład rozmyślałem o tym, jak zmieniać biegi, żeby wyszło idealnie gładko. Całe to współgranie między sprzęgłem, biegami, gazem i hamulcem. Ale nie wszyscy lubią te tematy. – Spojrzałem na nią. – Twój facet ma prawo?

– Skąd wiesz, że to mój facet?

– Kto?

– Ten w fotelu.

– T o twój facet?

Roześmiała się.

– Tak. I ma prawo.

– Tak właśnie myślałem. Czy to prowadzenie samochodu was połączyło?

Pokręciła głową.

– A dzisiaj wygląda na to, że nas rozłączy. Ja też chętnie napiłabym się piwa. W każdym razie kiedy on śpi. Mógłby spać bez alkoholu, a ja bym się napiła. – Spojrzała na mnie. – Interesuje cię coś innego poza prowadzeniem samochodu?

– Nie. – Wypiłem łyk – A ciebie?

– Polityka. Polityka interesuje mnie ogromnie.

– Jakiego rodzaju polityka? Regionalna, zagraniczna?

– Po prostu polityka. Zwykła.

– Flirtujesz z moim kuzynem, kiedy twój facet śpi? – wtrącił się do naszej rozmowy Jon Olav.

– Ja wcale nie flirtuję – zaprzeczyła. – Rozmawiamy o polityce. No a z czasem zaczniemy rozmawiać o uczuciach, jeśli dobrze znam siebie.

– Z całą pewnością znasz – powiedziałem.

– Mam nędzne życie uczuciowe, a ty?

– W zasadzie też dość ubogie, jeśli mam być szczerzy. Na ogół nie wdaję się w dyskusję na ten temat. Ale coś w tobie sprawia, że się nie boję.

– Ironiczne dziewczyny zwykle tak działają. Wiem z doświadczenia. W końcu ludzie mają tak dość, że zrobią wszystko, byle tylko skończyć taką rozmowę. Wielu zwierzeń wysłuchałam, odkąd zaczęłam uciekać się do ironii.

W lokalu wyłączono muzykę.

Jon Olav spojrzął na mnie.

– To co, idziemy?

– Możemy iść. – Wstając, zwróciłem się do dziewczyny: – Tylko jedź szybko do domu.

– Będę jechać jak pirat drogowy – obiecała.

Kiedy się obudziłem następnego dnia rano, ciągle o niej myślałem. Jon Olav nocował u nas, ale przed południem pojechał do Dale. Był moim jedynym powiązaniem z tą dziewczyną, więc przed wyjściem zmusiłem go do złożenia obietnicy, że po powrocie do domu przyśle mi jej adres, chociaż coś mi mówiło, że nie zrobi tego z lekkim sercem, przecież była związana z jakimś jego znajomym.

Powrót do Håfjord wydawał mi się kompletnie bez sensu, ale z drugiej strony zostały zaledwie trzy miesiące, żeby cała ta historia zakończyła się na dobre. Resztę życia, gdybym chciał, mógłbym spędzić w otoczeniu, które znałem znacznie lepiej.

List od Jana Olava znalazłem w skrytce kilka dni po moim powrocie na północ. Napisał, że dziewczyna mieszka w Kaupanger i chodzi do trzeciej klasy liceum w Sogndal.

Pomyślałem, że Kaupanger musi być fantastycznym miejscem.

Ponad tydzień poświęciłem na napisanie listu do niej. Nic o mnie nie wiedziała, nie miała nawet pojęcia, jak się nazywam, i prawdopodobnie zapomniała o mnie zaraz po wyjściu z tamtej knajpy. Podałem się więc za kogoś innego, ale nawiązałem do prowadzenia samochodu, tak aby

mogła, gdyby chciała, trafić do mnie. Nie zostawiłem żadnego adresu. Jeśli miałyby ochotę odpowiedzieć, musiałyby podjąć pewien wysiłek, aby go zdobyć, a dzięki temu mocniej zapadłbym jej w świadomość.

W tym samym tygodniu przygotowałem wniosek o przyjęcie do Akademii Sztuki Pisania. Życzyli sobie dwudziestu stron prozy albo poezji, więc włożyłem do koperty dwadzieścia pierwszych stron mojej powieści, dołączyłem krótki list, w którym się przedstawiłem, i wszystko razem wysłałem.

Teraz gdy się rano budziłem, schodziłem na dół, żeby wziąć prysznic i zjeść śniadanie, było już jasno. Tuż koło domu rozlegał się krzyk mew, a jeśli otworzyliśmy okno w kuchni, słyszeliśmy również plusk fal o kamienie przy brzegu. W szkole najmłodszy uczniowie biegali na przerwach w samych bluzach i adidasach, a najstarsi siedzieli na ziemi oparci o ścianę i wystawiali twarze do słońca. Wszystko, co wydarzyło się w ciemności, kiedy życie jakby zamknęło się wokół mnie, sprawiając, że nawet najmniejsze szczegóły miały w sobie napięcie i jawiły się jako brzemienne w skutki, teraz wydawało się nieprawdopodobne, bo na otwartej przestrzeni, w tym powolnym zalewie światła, widziałem wszystko takie, jakie było.

A jakie było?

Wcale nie takie straszne. Właśnie tak

Ciągle rzucałem długie spojrzenia na Liv, kiedy miałem okazję, żeby przyglądać jej się ukradkiem, a podczas lekcji angielskiego wciąż potrafił przesyć mnie dreszcz na widok zgrabnego ciała Camilli, ale zaokrąglone kształty, cała ta cudowna miękkość tych dziewczyn już mnie nie wprawiała w osłupienie, nie przykuwała mojej uwagi jak dawniej. Owszem, dostrzegałem ją, podobała mi się, ale nie miała na mnie wpływu. Co innego Andrea, ona była wyjątkowa, ale chociaż się cieszyłem, wyczuwając, jak przygląda mi się z boku, udawałem, że tego nie zauważam, bo nikt nie mógł wiedzieć, co czuję, również ona.

A co czułem?

Nic takiego. Jedynie tkiwość, coś lekkiego, drażniącego, co tylko przemykało i znikało, nie miało prawa, by przetrwać.

Którego dnia przyszedł list z Kaupanger.

Nie mogłem przeczytać go na stojąco na pocztynie, ani też siedząc w salonie czy leżąc na łóżku w sypialni. Otoczenie musiało być idealne, więc odłożyłem go na bok, zjadłem obiad z Nilsem Erikim, zapaliłem papierosa i wypilem kawę, a potem zabrałem ów list na brzeg morza, przyśiadłem na kamieniu i otworzyłem kopertę.

Od wody bił zapach soli i zgnilizny. Nagrzane słońcem powietrze znieruchomiało, tylko od czasu do czasu od fiordu nadciągał powiew wiatru porywającego wszystko, co z takim mozołem osadzało się wśród kamieni. Szczyty gór po drugiej stronie wciąż jaśniały bielą, lecz gdy się odwracałem i patrzyłem na wioskę, na ziemi dostrzegałem już lekko zieloną poświatę, a wszystkie niskie drzewa i krzewy, chociaż wciąż pozostawały bezlistne, to już nie wyglądały na martwe jak zimau, jakby przeczuwały powracające w nie życie.

Otworzyłem list i zacząłem czytać.

Nie pisała nic o sobie. Mimo to stawiała się dla mnie coraz wyraźniejsza, wyczuwałem, z kim mam do czynienia, i myślałem sobie, że to będzie coś innego. Coś zupełnie innego.

Po złożeniu kartki i schowaniu jej do koperty czułem się jak powalony. Wolnym krokiem ruszyłem w stronę domu. Od tej dziewczyny biło światło i każde zdanie, bez względu na to, jak bardzo niepewne i poszukujące, o tym właśnie świadczyło.

Pomyślałem, że następnego dnia rano wskoczę do autobusu, popłynę promem do Tromsø, wsiądę do samolotu do Bergen, potem na prom do Sogndal, po prostu stanę przed nią i oznajmię jej, że należymy do siebie.

To było nierealne, poza tym popsułoby wszystko, ale właśnie o tym marzyłem.

Zamiast tego zasiadłem do kolejnego listu. Wszelkie uczucia i wyznania dławilem w zarodku, to miał być wyrachowany, wyważony list, miał grać na wszystkich klawiszach, jakimi dysponowałem, miał ją rozśmieszyć, pobudzić do myślenia, wzbudzić w niej ochotę, by mnie bliżej poznać.

Pisać przecież potrafiłem.

W święto 17 Maja cały dzień czytałem w salonie. Spodziewano się, że nauczyciele będą uczestniczyć w pochodzie i późniejszych zabawach, ale nie było takiego obowiązku, więc kiedy niewielki pochód maszerował drogą za oknem, siedziałem na kanapie i obserwowałem go przez szybę, słuchając marnych flecistów i słabych okrzyków „hura”, a potem znów się położyłem i wróciłem do *Władcy pierścieni*; czytałem tę powieść zaledwie dwa lata wcześniej, ale zdążyłem ją już w całości zapomnieć. Nigdy nie miałem dość walki między światłem a ciemnością, dobrem i złem, a kiedy słaby człowiek nie tylko oparł się o wiele potężniejszej mocy, lecz także okazał się największym ze wszystkich bohaterem, poczułem lzy w oczach. Ach, jakie to wspaniałe! Potem się wykąpałem pod prysznicem, włożyłem białą koszulę i czarne spodnie, do torby wsadziłem butelkę wódki i poszedłem do Henninga, gdzie cała gromada już siedziała i piła. Na Fugleøya była zabawa, wybraliśmy się tam kilka godzin później, w jednej chwili stałem na parkingu, piłem i z kimś gadałem, a w następnej już byłem na parkiecie i ocierałem się o kogoś, a potem na trawiastym zboczku usiłowałem walczyć z Hugonem, chodziło o pokazanie, że nie jestem wcale takim słabeuszem, za jakiego wszyscy mnie mają. Hugo ze śmiechem powalił mnie na ziemię, a kiedy się poderwałem, znów mnie przewrócił. Był znacznie niższy ode mnie, więc czułem się tym bardziej upokorzony. Pobiegnę za nim, wołając, że kolejny raz mu się nie uda, ale jemu wtedy już się znużyło, więc podszedł do mnie, objął mnie ramionami i walnął mną o ziemię tak mocno, że z płuc uszło mi całe powietrze. Zostawili mnie w takim stanie, z trudem chwytającego oddech. Sięgnąłem po prawie już pustą butelkę i przysiadłem na niewielkim wzgórku koło parkingu. Nad okolicą unosiło się światło. Nagle wydało mi się, że jest w nim coś chorego, a potem nic już nie pamiętam, do chwili kiedy usiłowałem otworzyć zamek w jakichś drzwiach, otoczony młodymi rybakami, chyba im powiedziałem, że mam doświadczenie w takich sprawach, najwyraźniej dałem do zrozumienia, że zamknięte drzwi nie stanowią dla mnie żadnego problemu, bo znam się na różnych rzeczach, różne rzeczy w życiu robiłem, ale



potem, kiedy wypróbowałem już wszystkie klucze znalezione w szufladzie, następnie śrubokręt i wszelkie inne narzędzia, zaczęło do nich docierać, że nie dostaniemy się do zamkniętej części domu wynajmowanego przez Nilsa Erika i przeze mnie, i jeden po drugim zaczęli wycofywać się do salonu, który już zdążyło zalać światło słońca.

Kiedy się obudziłem, początkowo nic nie pamiętałem. Nie wiedziałem, ani gdzie jestem, ani jaki jest dzień. Zalał mnie strach.

Światło na zewnątrz nic mi nie powiedziało, równie dobrze mógł być poranek, jak wieczór.

Chyba nic się nie wydarzyło?

Ależ tak Biegałem za Hugonem, który raz po raz powalał mnie na ziemię.

Usiłowałem pocałować Vibeke, kiedy z nią tańczyłem, odwróciła głowę.

I była jeszcze ta dziewczyna, która stała przed wejściem, ta, którą zatrzymałem i z którą zamieniłem kilka słów, ta z beczelną miną. Z nią się całowałem.

Ile mogła mieć lat?

Przecież mówiła. Powiedziała, że chodzi do siódmej klasy.

Na Boga, czy to możliwe?

Błagam, nie.

Nie, nie, nie.

Przecież jestem nauczycielem. Co będzie, jeśli to wyjdzie na jaw? Nauczyciel całuje się z trzy nastolatką na wiejskiej zabawie?

Panie Boże w niebie.

Zakryłem twarz rękami. Z dołu usłyszałem muzykę, wstałem, nie mogłem tak leżeć, torturowany przez strach, jakim przepelniły mnie moje postęпки. Musiałem się poruszyć, iść dalej, porozmawiać z kimś, kto powie, że nic strasznego się nie stało, że takie rzeczy się zdarzają.

Ale przecież to nieprawda.

Takie rzeczy zdarzały się tylko mnie.

Dlaczego ją pocałowałem? To był przecież tylko jakiś przekłety impuls, coś, co zrobiłem ot tak, coś bez żadnego znaczenia.

Kto mi uwierzy?

Wychodząc z sypialni, musiałem się oprzeć o ścianę, bo ciągle jeszcze byłem trochę pijany. Na dole w kuchni Nils Erik smażył rybie języki. Odwrócił się, kiedy wszedłem, był w kraciestej koszuli i zielonych spodniach traperskich z mnóstwem kieszeni.

– Zaszczy casz mnie swoją obecnością? – Uśmiechnął się.

– Ciągle jeszcze jestem pijany.

– Wierzę.

Usiadłem przy kuchennym stole, podparłem głowę ręką.

– Richard nie był dziś w najlepszym humorze. – Nils Erik wsunął łopatkę do smażenia pod gotowe języki, przełożył je na talerz, wrzucił na patelnię nową porcję surowych, obtoczonych

w mące. Zaskwiercało.

– Co mu powiedziałeś?

– Że źle się czujesz.

– Bo to prawda.

– Owszem, ale i tak się wkurzył.

– Srał go pies. Został już tylko miesiąc. Co mi zrobi? Wywali mnie? Poza tym przez cały ten pieprzony rok ani razu nie chorowałem, więc chyba nic aż tak straszego się nie stało.

– Zjesz trochę języków?

Pokręciłem głową, wstałem.

– Chyba się wykąpię.

Ale leżenie w gorącej wodzie i gapienie się w sufit okazało się nieznośne, bo wcale nie przyniosło mi spokoju, tylko udostępniło jeszcze więcej miejsca wszystkim złym myślom. Wyszedłem więc z wanny po kilku minutach, wytarłem się, włożyłem dres, który był jedynym czystym ubraniem, jakie mogłem znaleźć, i położyłem się na kanapie z Feliksem Krullem.

Zdarzały się kilkuminutowe odcinki, kiedy dawałem się całkowicie pochłoniąć lekturze. Wkrótce jednak straszne myśli uderzały z nową siłą, wszystko deformując. Musiałem od nowa zmuszać się do wejścia w świat hochszaplera, zostawałem w nim na kilka minut, ale zaraz potem następował kolejny atak.

Przyszedł Nils Erik i puścił jakąś płytę. Było w pół do szóstej. Przez chwilę stał, wpatrzony w fiord, w końcu usiadł z gazetą. Jego obecność mi pomagała, to, co zrobiłem, nie wydawało się równie straszne w obecności przyjaźnie usposobionego człowieka.

Na głos przeczytałem mu fragment o pogładach Krulla na Żydów.

– Tomasz Mann nie był całkiem w porządku – stwierdziłem. – To przecież czysty antysemityzm.

– Nie sądzisz, że to ironia? – Nils Erik spojrzał na mnie.

– Ironia? Tak myślisz?

– Przecież on zasłynął jako wielki ironista.

– To znaczy, że w rzeczy wistości wcale tak nie myśli? To chcesz powiedzieć?

– Tak.

– Ja tak nie uważam – zaproponowałem, bo nienawidziłem, kiedy mnie pouczał, a robił to dość często.

Przed oczami znów stanęła mi ta siódmoklasistka z niesfornymi włosami i beczelną miną. Przypomniałem sobie swoje wargi przyciśnięte do jej ust.

Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego? Dlaczego?

– O co chodzi? – spytał Nils Erik.

– Z czym?

– Zrobiłeś tak – Uniósł głowę, zmrugał oczy i mocno zacisnął wargi.

– O nic ważnego. O czymś sobie pomyślałem.

Ale nic się nie stało. Następnego dnia poszedłem do szkoły i nikt nic nie powiedział, wszyscy zachowywali się jak zwykle, nawet moi uczniowie, którzy jak podejrzewałem, też mogli o tym słyszeć. Przecież ktoś z nich na pewno ją znał.

Ale nie.

Czy to po prostu mogło samo przy cichnąć?

Istniało jedynie we mnie. Gdybym pozwolił temu tam pozostać, nie byłoby takie groźne, powoli straciłoby swoją moc, aż w końcu by się rozwiąło, jak wszystkie inne moje wstydlive postęplki, które rozwiewały się prędzej czy później.

Pod koniec maja w skrytce pocztowej leżał list z Akademii Sztuki Pisania, od razu rozerwałem kopertę i przeczytałem go na stojąco na poczcie. Dostałem się. Zapaliłem papierosa i ruszyłem z powrotem do szkoły, chciałem zadzwonić do mamy i jej o tym powiedzieć. Wiedziałem, że się ucieszy. Chciałem też zatelefonować do Yngvego, bo to oznaczało, że od jesieni zamieszkał w Bergen. Z jakiegoś dziwnego powodu liczyłem, że się dostanę, bo chociaż właściwie wiedziałem, że to, co piszę, nie jest być może najlepsze i dlatego powinni mnie odrzucić, lecz z drugiej strony pisałem to ja, a tego nie mogli nie wziąć pod uwagę.

Minął maj, zaczął się czerwiec, w świetle wszystko się jakby rozpuszczało. Słońce w ogóle przestało zachodzić, przez całą dobę wędrowało po niebie i takiego światła, jakie rzucało na tutejszy dziki krajobraz, nigdy wcześniej nie widziałem. Światło było czerwone i gęste, przynależne do ziemi i gór, jakby to one świeciły niczym po jakiejś katastrofie. Przez parę nocy jeździłem z Nilsem Erikiem po pustych drogach wzdłuż wybrzeża i miałem wrażenie, że przemierzamy się po innej planecie, tak obce było wszystko. Jechaliśmy przez uśpione wioski i zewsząd otaczała nas ta czerwona poświata, te dziwne cienie. Również ludzie się zmieniali, wychodzili nocami, pary spacerowały, jeździły samochody, całe bandy młodzieży wypływały na wysęplki piknikować.

Dostałem kolejny list od Ingvild. Napisała, że właśnie podwinęła spodnie do kolan i siedzi ze stopami zanurzonymi w Sognefjorden. Kochałem ten fiord, to przecucie ogromnej głębi bijące od powierzchni, potężne łańcuchy górskie z pokrytymi śniegiem szczytami, które go otaczały. Wszystko takie czyste i spokojne, zielone i chłodne. Tym razem dziewczyna żyjąca wśród tego krajobrazu, która poruszyła mnie pod tak wieloma względami, napisała więcej o sobie. Ale i tak niewiele. Ton tego listu często graniczył z autoironią, najwyraźniej przyjęła pozycję obronną. Przeciwno czemu? Napisała, że przez rok była na wymianie uczniowskiej w Stanach Zjednoczonych i dlatego dopiero kończy trzecią klasę liceum. Pomyślałem, że wobec tego jesteśmy równolatkami. Latem zamierzała tam wrócić na wakacje z goszczącą ją wcześniej rodziną, planowali kamperem przejechać kontynent wszcz. Obiecywała, że napisze do mnie stamtąd. Jesienią wybierała się do Bergen na studia.

Nadszedł ostatni dzień szkoły. Napisałem na tablicy „Milego lata”, rozdałem moim uczniom świadectwa, życzyłem im powodzenia w dalszym życiu, w pokoju nauczycielskim zjadłem tort z innymi nauczycielami, wszystkim uściśnałem rękę, dziękując za miniony rok. Kiedy szedłem do domu, czułem jedynie pustkę, ani śladu radości czy ulgi, której się spodziewałem, bo przecież

tego dnia wy czeka wałem od pół roku.

Po południu zają rżał do mnie Tor Einar. Przy niósł mewie jaja i skrzynkę tutejszego piwa Mack

– To wsty d, że nie jedliście wcześniej mewich jaj – oświadczył. – Nord-Norge to dwa dania. *Mølje* i mewie jaja. Nie można stąd wyjechać, dopóki się tego nie spróbuje.

Nils Erik z gorączką leżał na kanapie, więc w jego wypadku ani piwo, ani jaja nie wchodziły w grę, musieliśmy dać radę wszy stkiemu tylko we dwóch.

– Może zejdziemy na brzeg? – Tor Einar spoj rżał na mnie z tym swoim chytrym uśmieszkiem. – Tała fantasty czna pogoda.

– Możemy – powiedziałem.

Nigdy nie udało mi się znaleź ć wspól nego języka z Torem Einarem. Byli śmy rówieśnikami i wiele nas łączyło, o wiele więcej niż Nilsa Erika i mnie, ale to nie miało żadnego znaczenia, pozostawało jakby bez związku. Przed Torem Einarem zawsze trochę pozowałem, czego nigdy nie robiłem przed Nilsem Erikiem, a nie lubiłem takiego siebie, nie lubiłem dystansu między tym, kim naprawdę byłem, a tym, co mówiłem, swoistego opóźnienia tworzącego przestrzeń dla wyrachowania, mówiłem wówczas raczej to, co on chciał usły szeć, aniżeli to, co sam chciałem powiedzieć.

Z drugiej strony zachowy wałem się tak w stosunku do prawie wszy stkich, nawet do Jana Vidara, najbliższego mi spośród wszy stkich moich kolegów w ostatnich pięciu latach.

Nie było to groźne, tylko trochę nieprzyjemne, a prowadziło jedynie do tego, że raczej starałem się unikać dłuższych rozmów w cztery oczy z Torem Einarem.

Teraz tak się nie dało. Na szczęście nad fiord zabrali śmy ze sobą piwo, a wystarczyły nie więcej niż dwa, by wszy stkie takie problemy zniknęły, jak nakreślone kredą linie w kontakcie z mokrą gąbką.

Usiedli śmy na wielkich kamieniach tuż przy migoczącej w słońcu wodzie, pod intensywnie błękitnym niebem. Tor Einar otworzył piwo, podał mi, otworzył drugie dla siebie i uniósł butelkę, wznosząc toast.

– Ale nam fajnie – powiedział. – Ostatni dzień szkoły już się skończył, słońce świeci i mamy dość piwa na długi wieczór.

– To prawda – przyznałem.

Do brzegu, perląc ząc, pły nęły środkiem fiordu kutry, kołysały się na falach, ciągnąc za sobą jak welon stado mew.

Cóż to za przestrzeń, w której się znajdowaliśmy?

– No to co, podsumujemy? – spytał Tor Einar.

– Rok szkolny? – Wy jąłem paczkę z tytoniem.

– Tak Sprostaa oczekiwaniom?

– Chyba nie miałem żadnych oczekiwań – powiedziałem. – Po prostu przyjechałem tu z nadzieją na najlepsze. A ty? Jesteś zadowolony z tego roku?

Odpowiedział dopiero po chwili:

– Každy rok bez dziewczyny to zły rok – stwierdził, mrużąc oczy od słońca. Potem spoj rżał na

mnie. – Ty przynajmniej miałeś parę przygód. Z Ine i Irene, prawda? No i z tą nauczycielką z Fugleøi. Jak jej było na imię? Anne?

– Tak. Ale nic z tego nie wyszło. Właściwie nic nie było.

– Żadnej nie przeleciałeś?

– Nie.

– Żadnej?

– Żadnej.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem w oczach.

– A ja sądziłem, że przynajmniej jednemu z nas się w tym roku powiodło. Tymczasem mówisz, że i tobie nic nie wyszło.

Spojrzałem na niego z uśmiechem, stuknęliśmy się butelkami, dopiłem resztkę piwa, otworzyłem kolejne.

– A która cię interesowała?

– Tone – odparł.

To ta, która odrzuciła mnie, myjąc zęby w łazience.

– Fajna dziewczyna – stwierdziłem. – Ja też próbowałem. Ale absolutnie nie chciała.

– Tak, nie jest łatwo. Ale coś się ruszyło. Jedziemy razem na interrail. No, nie tylko my dwoje, bo oprócz nas jeszcze cztery osoby, ale cholera, przez miesiąc razem w podróży po Europie chyba musi się nadarzyć jakaś okazja!

– Jedziesz na interrail?

Kiwnął głową.

– Ja też. A raczej może nie na interrail. Po festiwalu w Roskilde zamierzamy z kumplami pojechać stopem na południe Europy.

– Wobec tego będę się starał was unikać. Nie zamierzam robić jej rozgrzewki i szykować na to, że przyjedziesz i mnie zastąpisz.

– Za wysoko oceniasz moje umiejętności uwodziciela. Jeśli na czymś się nie znam, to właśnie na tym.

– Moja strategia polega na byciu przy niej – wyznał. – To moja jedyna szansa. Zamierzam chodzić za nią jak pies, zawsze być pod ręką. I mieć nadzieję, że w końcu kiedyś zechce się ze mną popieścić.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Co za straszny obraz – powiedziałem.

– Straszny, ale prawdziwy.

– Właśnie dlatego taki straszny. Ja też mam w sobie ten psi rys.

Wysunął języki kilka razy szybko zadyślał.

– Za którą jeszcze w tym roku łaziłeś? – spytałem.

– Za Liv – odparł, patrząc wprost na mnie.

– Za Liv? – powtórzyłem.

– Tak Przecież wszystkie dziewczyny w naszym wieku wyjechały z wioski, a ona jest bardzo fajna. Ty taknie uważasz?

– Pewnie. Widziałeś jej tyłek?

– Jasne. Fantastyczny. Camilla też jest nie najgorsza.

– To prawda. Ale Liv ma przynajmniej szesnaście lat, Camilla dopiero piętnaście.

– Kto by o tym myślał?

– No właśnie.

Otworzyliśmy kolejne butelki. Tor Einar się uśmiechnął, twarz oświetlało mu słońce.

– Te jej piersi – powiedział. – Zauważyłeś?

– Pewnie. Na lekcjach z jej klasą prawie na nic innego nie patrzyłem.

– Fajna dziewczyna. Ale Liv nie pobije.

– No nie.

Odwrociłem głowę i spojrzałem w górę. Od strony przetworni ryb nadjeżdżał samochód, dalej drogą szło jakieś dziecko, kijem miarowo uderzając w tyczki wyznaczające trasę odśnieżania. Na kalenicy naszego domu przysiadła mewa i rozglądała się dookoła.

– No i jeszcze jest Andrea – powiedziałem.

– To prawda.

– Też ładna, no nie?

– Tak

– Prawdę mówiąc, dużo o niej myślałem – przyznałem się.

– Świetnie to rozumiem.

– Co mogliśmy na to poradzić? – westchnąłem. – Przecież tylko one tu zostały.

Ze śmiechem wznieśliśmy toast.

– Ma niesamowite oczy – powiedziałem. – I takie długie nogi.

– No a Vivian?

– W porównaniu z siostrą się nie liczy.

– To prawda. Ale też ma coś w sobie, swój własny wdzięk

– Jak myślisz, co by się stało, gdyby ktoś słyszał naszą rozmowę? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Na pewno nie zostalibyśmy już zatrudnieni jako nauczyciele. Tyle przynajmniej jest pewne.

Roześmiał się i uniósł butelkę.

– Zdrowie gimnazjalistek – powiedział.

– Zdrowie!

– A co z ich matkami? – spytał.

– Nigdy o nich nie myślałem.

– Naprawdę?

– A ty?

– Zwariowałeś? No pewnie!

– Wydaje mi się, że trochę się podkochiwałem w Andrei – wyznałem.

– Ja też miałem do niej słabość. Ale zakochać się to się nie zakochałem. Natomiast Liv naprawdę była światłem rozświetlającym mi dni.

– Rozumiem. Dobrze, że mamy to już za sobą.

– To prawda.

Następnego dnia spakowałem swoje rzeczy, zakleiłem kartony i zniosłem je do samochodu Nilsa Erika. Miał mnie odwiedzić na przystań promową w Finnsnes, skąd wysyłałem je dalej, do Bergen. Oprócz nowej wieży stereo, kilku płyt i sporej ilości książek mój dobytek był identyczny jakto, co przyjechało na północ przed rokiem.

Później usmażyłem kielbaski i ziemniaki, zjedliśmy je razem z Nilsem Erikiem w kuchni. To był mój ostatni posiłek w wiosce. Nils Erik zamierzał tu zostać jeszcze przez kilka tygodni, chciał poświęcić ten czas na wycieczki, i oprócz mojej sypialni, którą obleciałem ze ścierką, miał także zająć się generalnym sprzętaniem.

– Jako zapłatę zatrzymam sobie zastaw za butelki. – Uśmiechnął się. – Będzie tego całkiem sporo.

– Dobrze – zgodziłem się. – To co, jedziemy?

Kiwnął głową, wsiedliśmy do samochodu. Sunęliśmy wolno, żegnałem się na lewo i prawo, z każdym przejechanym metrem jakaś cząstka tej wioski znikła mi z oczu na zawsze. Nie oglądałem się za siebie i przyrzekłem sobie, że moja noga nigdy, przenigdy, w żadnych okolicznościach tu nie postanie.

Zniknęła kępka, zniknęła poczta, zniknął dom Andrei i Reidara, Hege i Vidara, zniknął sklep, zniknęły moje dawne mieszkanie i dom Sturego. Zniknęły świetlica, boisko i szkoła...

Odchyliłem się na siedzeniu.

– Niesamowicie fajnie, że już po wszystkim – powiedziałem, gdy do samochodu wiała się ciemność tunelu. – Już nigdy w życiu nie pójdę do pracy, to jest w każdym razie pewne.

– A więc jednak kiedy przychodzi co do czego, to jesteś synem bogatego armatora? – spytał Nils Erik

– Tak

– *Same shipping, new wrapping* – mruknął. – Włączysz jakąś kasetę?

Po nocy spędzonej w tanim hotelu w Tromsø następnego dnia przed południem poleciałem samolotem do Bergen, koło trzeciej wyskoczyłem z lotniskowego autobusu na Bryggen i ruszyłem w stronę hotelu Orion, w którym Yngve pracował jako recepcjonista. Byłem w czarnych bawełnianych spodniach, luźnych w udach, w białej koszuli, czarnej marynarce, czarnych butach i w ciemnych okularach Ray Ban Wayfarer. Na ramieniu miałem swój worek marynarski. Słońce świeciło, woda w zatoce Vågen migotała, znad fiordu wiał łagodny wiatr.

Wyobraziłem sobie, że jestem człowiekiem z pradawnych czasów, który pierwszy raz w życiu

wchodzi do wielkiego miasta, bo wzdygałem się za każdym razem, gdy jakiś samochód podwyższał obroty lub gdy z hukiem przejeżdżał autobus albo ciężarówka, a widok wszystkich ludzi poruszających się w jedną i w drugą stronę po chodnikach wzbudził we mnie niepokój.

Uśmiechnięty i szczęśliwy przerzuciłem worek na drugie ramię.

Kiedy wszedłem do hotelu, Yngve stał w recepcji, ubrany w hotelowy uniform. Nachylny nad rozłożonym na kontuarze planem miasta, tłumaczył coś jakiemuś starszemu małżeństwu w szortach, czapkach z daszkiem i z szaszetkami w pasie.

Kiedy podniósł głowę i mnie zobaczył, wskazał mi łanapę.

Zaraz po odejściu Amerykanów podszedł do mnie.

– Kończę za dziesięć minut – powiedział. – Potem tylko się przebiorę i idziemy, okej?

– Okej.

Miał samochód, małego czerwonego japończyka, którego wziął w leasing od klubu siatkówki, w którym grał, i pół godziny później już siedzieliśmy w aucie i jechaliśmy do jego mieszkania przy Solheimsviken. Znajdowało się dość wysoko na zboczu góry, na końcu długiego murowanego szeregowca, kiedyś wybudowanego dla robotników pracujących w stoczni.

Usiedliśmy na schodach z zimnym piwem. Z pokoju dochodziły dźwięki *Teenage Kicks* Undertones, najwyraźniej najpopularniejsze zespołu tego lata.

– Wyjdzie coś z tego wypadu do Roskilde? – spytał Yngve.

– Chyba tak

– Może i ja się wybiorę. Arvid i Erling też jadą. Ale nie tylko oni. Gdybym tylko uzbierał trochę grosza... Przecież Church przyjeżdżają.

– Naprawdę?

– Tak. Nie chciałbym zmarnować takiej okazji.

Po obu stronach ulicy było aż gęsto od zaparkowanych jeden przy drugim samochodów. Przy sąsiednich domach stale ktoś się kręcił, wchodził albo wychodził. W dole szumiało miasto, przepuszczające przez siebie niekończący się strumień aut. Po niebie od czasu do czasu przemknął samolot, białe smugi kondensacyjne unosiły się jeszcze długo, chociaż maszyna już zniknęła. Słońce płonęło na niebie od zachodniej strony, dachy domów na zboczu lśniły czerwienią i pomarańczem, drzewa między nimi drżały na wietrze.

Po jakimś czasie weszliśmy do domu. Yngve zrobił na obiad pasta carbonara, potem wypiliśmy jeszcze parę piw na schodach. Rozmowa toczyła się opornie, od czasu naszego poprzedniego spotkania pojawił się między nami jakiś dystans. Ale za bardzo się tym nie przejąłem, bo to mogło mieć związek z różnymi rzeczami.

W jednym z listów Yngve dyskretnie mnie poprosił, żebym używał prezerwatyw. Doceniłem troskę, która się za tym kryła, ale uśmiechnąłem się, gdy to przeczytałem, bo czegoś takiego nigdy nie potrafiłby powiedzieć, możliwe było to jedynie w liście, i to rzucone mimochodem, przy najmniej na lekkim rauszu.

– Ciągle jeszcze przeży wasz rozstanie z Kristin? – spytałem.

– Tak. To wszystko jest bardzo przykre.



– Nie możesz jej odzyskać? Nie ma na to żadnej nadziei?

– Myślisz, że bym tu z tobą siedział, gdy by była?

– Pewnie nie. – Uśmiechnąłem się.

– To moja wina. Zacząłem uważać nasz związek za pewnik. Nagle ona nie chciała już dłużej tego ciągnąć, a wtedy było za późno. Cholera, właśnie to jest najgorsze, świadomość, że mimo głębi temu zapobiec. Ale wydawało mi się, że nic już się nie zmieni. Nie doceniałem tego w dostateczny sposób.

– A teraz doceniasz?

– Teraz znalazłem się w tej uprzywilejowanej pozycji, że widzę, co straciłem.

Słońce nie oświetlało już schodów, więc zdjąłem okulary. Złożyłem je i schowałem do kieszonki koszuli na piersi.

– Nie powinieneś ich tam nosić – zauważył Yngve. – To nie wygląda najlepiej.

– Racja. – Wyjąłem okulary z kieszonki.

– A skoro już o tym mówimy, to ten twój pas z ćwiekami chyba już ma za sobą czasy świetności.

– Możliwe. Ale nad tym się jeszcze zastanowię.

Chwila milczenia. Zapaliliśmy papierosy, zapatrzeni na nieoświetloną już słońcem, ale ciepłą ulicę.

– Mogę cię o coś spytać? – odezwałem się w końcu.

– Pewnie.

– Kiedy miałeś... kiedy był twój pierwszy raz?

Zerknął na mnie. Ale zaraz znów się odwrócił.

– Miałem osiemnaście lat. Podczas tamtej wyprawy do Grecji z Helgem. Pamiętasz? Na plaży na Antiparos, w nocy. W blasku księżyca.

– Naprawdę?

– Tak. Późno, ale dobrze. Chociaż pewnie lepiej to wyglądało, niż było w rzeczywistości. Ale właściwie dlaczego o to pytasz?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że jeszcze nie spałeś z żadną dziewczyną? Chyba nie jesteś prawiczkim?

– Jasne, że nie – odparłem. – Przecież wiesz, że nie.

Znów zamilkliśmy. Powietrze wokół nas wypełniały dźwięki dobiegające z pootwieranych wszędzie okien, okrzyki, odgłosy przejeżdżających rowerów, samochodów wolno wspinających się pod górę, i ten cudowny urywany odgłos zatraskiwanych drzwiczek.

Wcale nie skłamałem. Technicznie nie byłem już prawiczkim, przecież wszedłem w tę dziewczynę podczas świętowania matur, nie głęboko, na centymetr albo dwa, ale do diabła, to już był stosunek. Przeleciałem ją. To nie było kłamstwo.

– Zamówię taksówkę – powiedział Yngve, wstając. – Pojedziemy najpierw do Oli, musisz go poznać.

Moje rzeczy przyplłynęły parę dni później. Odebraliśmy kartony na przystani promowej, umieściliśmy je w piwnicy, a potem pojechałem do Kristiansand, gdzie zatrzymałem się w mieszkaniu wynajmowanym przez Larsa. Po festiwalu w Roskilde zamierzaliśmy autostopem wyruszyć na południe Europy i zaplanowaliśmy, że najpierw dotrzemy do Brindisi na obcasie włoskiego buta, potem do Aten, a stamtąd na wyspy greckie. Zaproponowałem Antiparos, Lars się zgodził. Zdążyłem też odwiedzić dziadków, a Gunnar, który dowiedział się, że jestem w mieście, ostatniego wieczoru zaprosił mnie do siebie. Powiedział, że muszę się spotkać z moimi braćmi stryjecznyimi, jesteście niewielką rodziną i ważne jest, abyśmy utrzymywali kontakt. Odebrał mnie na Rundingen, w domu u nich czekała Tove z obiadem, wieczorem długo siedzieliśmy i rozmawialiśmy, a jego synowie cały czas się po nim wspinali i czólgali. Ucieszyło mnie, że się go nie boją, przeciwnie, widać było, że mają do niego zaufanie. Rzuciło mi się to w oczy za każdym razem, gdy ich odwiedzałem. Nikt ani słowem nie wspomniał taty, i dobrze, stwierdziłem. Przenocowałem u nich w pokoju w suterenie, a rano, po szybkim śniadaniu, Gunnar odwiózł mnie na przystań, gdzie już czekał Lars ze swoją dziewczyną.

Na promie przebywaliśmy głównie na pokładzie, świeciło słońce, morze otaczało nas jak ogromna płyta, rozsiedliśmy się na leżakach, piliśmy i paliliśmy, od czasu do czasu wstawaliśmy trochę pochodzić, zwłaszcza ja, bo byłem taki niespokojny.

Do Roskilde dotarliśmy pociągiem. Ustawiliśmy się w kolejce, dostaliśmy bransoletki i poszliśmy na kemping. Pożyliśmy od Larsa mały, brązowy dwuosobowy namiot, on spał ze swoją dziewczyną w jej namiocie.

Porozbiciu namiotów poszedłem szukać Bassena. Umówiliśmy się na placu spotkań, mieliśmy tam zaglądać o każdej pełnej godzinie, ale zobaczyłem go już za pierwszym razem.

– Cześć. – Uśmiechnął się. – Idziemy się napić?

Śmiał się, kiedy opowiadałem o Nord-Norge. O Andrei nic nie powiedziałem, nie zamierzałem o tym mówić nikomu, nie było do tego powodów.

Przeszliśmy się po terenie kempingu, na razie przyjechało niewielu ludzi. Bassen stwierdził, że jest głodny, ja też zgłodniałem, więc kiedy mijaliśmy obozowisko Hells Angels i zobaczyliśmy, że na ognisku grillują wielkie kawały mięsa, Bassen zatrzymał się i zawołał:

– Hej! Dacie nam coś do jedzenia? Strasznie jesteśmy głodni! Kawałek mięsiwa dla dwóch Norwegów!

Jeden z nich wstał i ruszył w naszą stronę.

– Wpuści nas – orzekł Bassen. – Oni są o wiele lepsi niż ich sława. Tylko nie wolno okazywać wobec nich agresji, wtedy nie będą wrogo nastawieni.

– Cześć – powiedział, kiedy Hells Angel, który miał nie tylko długie włosy i nastroszone wąsy, skórzane spodnie, skórzaną kurtkę i chustkę na głowie, ale też czarne, nieprzepuszczające niczego okulary słoneczne, znalazł się w odległości dwóch metrów od nas.

Zbliżał się i wcale nie sprawiał przyjacielskiego wrażenia. Ale może Bassen miał rację, może oni tylko w y g l ą d a j ą na groźnych.

Hells Angel zatrzymał się, splunął, odwrócił się i odszedł.

Płwocina trafiła Bassena prosto w pierś.

– Kurwa mać! – wściekł się Bassen, kiedy w pośpiechu się wycofywaliśmy. – O p l u ł nas. Dlaczego? Przecież chcieliśmy tylko coś do jedzenia!

– Niech idzie do diabła. Chyba i tak tanio się wywinęliśmy. Wydaje mi się, że oni jednak są niebezpieczni.

Bassen się roześmiał.

– Wyruszyliśmy w wielki świat, Karl!

Ja też się śmiałem. Poszliśmy jeszcze się czegoś napić i coś przegryźć. Po godzinie wróciłem do swojego namiotu. Musiałem trochę pobyć z Larsem i jego dziewczyną, przecież z nimi przyjechałem. Siedzieli przed namiotami i pili wino z jakąś inną dziewczyną, której nie znałem.

– Musisz poznać naszą sąsiadkę – powiedział Lars.

– Cześć – przywitała się. – Jestem Vilde.

Podaliśmy jej rękę. Okazało się, że pochodzi z Kongsvinger i na festiwal przyjechała sama. Później wybierała się do przyjaciółki w Århus. Była ciemnowłosa, nieco pulchna, z usposobienia energiczna, chwilami uparta. O dwa lata starsza ode mnie, miała piwne oczy, nie zawsze spoglądające życzliwie, ale nagle potrafiła się w nich pojawić łagodność.

Butelka z winem krążyła, a kiedy już była pusta, Vilde poszła do swojego namiotu po nową. Uklęka i ją otworzyła. Pod naciskiem od spodu uda rozpląszczyły jej się i wyglądały jak drewniane pieńki.

– Proszę. – Z uśmiechem podała mi butelkę.

Pół godziny później i tę opróżniliśmy. Lars i jego dziewczyna porozumieli się wzrokiem.

– Chyba pójdziemy się przejść – oznajmił Lars, wziął dziewczynę za rękę i odeszli.

Zadrzałem, jakby miało się wydarzyć coś strasznego.

Tylko co?

Nie wiedziałem. Ale wydało mi się, że przyjazd tutaj był błędem. Już miałem wszystkiego dość. I ani krzyny ochoty na nic więcej.

– Nie mamy już wina – stwierdziła Vilde. – Pójdiesz ze mną kupić kilka butelek?

– Możemy iść.

Po drodze rozglądałem się za Yngvem i jego kumplami, ale takie szukanie było beznadziejne. Tu przyjechały dziesiątki tysięcy ludzi.

– Halo! – zawołała Vilde. – Łączność! Łączność!

– Słucham?

– Przecież idziesz ze mną, więc bądź choć trochę towarzyski.

– Dobrze. – Nie wymyśliłem nic więcej do powiedzenia.

– Szukasz kogoś? – spytała.

– Mój brat powinien tu być. I jego kumple.

– Tak samo przy stojny jakty?

Zaczerwieniłem się i spojrzałem na nią. Roześmiała się i lekko dotknęła ręką mojego ramienia.

– Żartuję sobie z ciebie. Zabawnie patrzeć, jak się czerwienisz.

– Na pewno się nie zaczerwieniłem.

– W każdym razie nie jesteś takim twardzielem, na jakiego wyglądasz.

Zatrzymaliśmy się przy jednym ze stoisk. Kupiliśmy trzy butelki wina, ruszyliśmy z powrotem.

– Przyjdiesz do mojego namiotu? – spytała Vilde. – Jest duży, możemy posiedzieć i trochę się napić.

– Dobrze. – Poczułem, że otwiera się we mnie otchłań.

Weszliśmy do jej namiotu. Usiedliśmy. Otworzyła butelkę. Popatrzyliśmy na siebie. Wyciągnęła ręce do mnie, ja do niej. Ułożyła się, zdjąłem z niej T-shirt, uwalniając piersi. Rozpiąłem i ściągnąłem z bioder jej spodnie. Boże, tyle ciała! Nachyliłem się i zacząłem całować białe uda. Zanurzyłem nos w jej czarne majtki, dłońmi jednocześnie sięgając do jej piersi, a ona szepnęła: „Rozbierz się, szybko, szybko, chcę cię teraz, już”, więc się poderwałem, zdjąłem koszulkę, spuściłem spodnie, patrząc, jak ona ściąga majtki, jak leży naga, lekko podciągając nogi i jednocześnie je rozsuwając. Prawie nie mogłem złapać tchu, slipy wydeły mi się jak namiot, zsunąłem je czym prędzej i opadłem na nią. Położyła mi rękę na tyle głowy, spróbowałem w nią wejść, ale nie trafiłem, ach nie, Boże, nie pozwól, żeby to się od razu stało. „Poczełaj, pomogę ci”, powiedziała, „o tak, o tak”, byłem w niej i zdążyłem pchnąć dwa razy, zanim wszystko wybuchło i opadłem na nią.

Odbyło się to krótko i głupio.

Kilka razy pogładziła mnie po włosach.

Położyłem się obok niej na plecach.

Przynajmniej w nią wszedłem.

To był pierwszy raz.

Uśmiechnąłem się.

– Napijesz się wina?

– Chętnie – odpowiedziała.

Wypiliśmy po łyku.

– Ile dziewczyn miałeś? – spytała.

Poczułem krew napływającą do twarzy i zasłoniłem rumieniec butelką podniesioną do ust.

Potem udałem, że liczę.

– Wychodzi mi, że dziesięć – powiedziałem.

– Dużo.

– A ty? Ilu miałeś facetów?

– Trzech.

– Trzech?

– Tak

– Ja jestem trzeci czy czwarty?

– Trzeci. Ale chcesz być też czwartym?

– Pewnie.

Tym razem poszło trochę lepiej. Minęło jakieś dwadzieścia sekund, zanim znów leżałem koło niej. Jeszcze się napiliśmy, przerzuciłem rękę przez jej nieco zbyt pulchne ciało, wtuliłem się w nie i takzasnęliśmy. Kiedy się zbudziliśmy, było ciemno. Zrobiliśmy to jeszcze raz i jeszcze.

Leżeliśmy, rozmawialiśmy i piliśmy. Zastanawiałem się, czy to prawda, że to się dzieje, że leżę obok nagiej dziewczyny, z którą mogę robić, co zechcę.

Zasnęliśmy, a kiedy się obudziliśmy, znów się kochaliśmy. Potem poszliśmy się przejść, przez dwie minuty oglądaliśmy koncert, wypiliśmy na spółkę butelkę wina i czym prędzej wróciliśmy do namiotu. Spędziliśmy w nim cały dzień. Byliśmy coraz bardziej pijani. Nie mogłem się nasyć jej tyłkiem i tymi wielkimi białymi piersiami, nie potrafiłem pojąć tego szczęścia, które nagle przypadło mi w udziale. Byliśmy w trakcie, gdy ona nagle obróciła głowę na bok i zakryła usta ręką. Natychmiast zrozumiałem, co się dzieje. Wysunąłem się z niej, a ona podczołgała się do wejścia do namiotu, rozpięła zamek i z tyłkiem w środku, a głową na zewnątrz zwymiotowała, jęknęła, targnął ją kolejny skurcz, a ja, widząc przed sobą jej wielki tyłek, nagle nie mogłem mu się oprzeć, położyłem ręce na jej pośladkach, wszedłem w nią i znów zacząłem ją posuwać.

# Przypisy

- [1] Fleksnes – bohater norweskiego serialu komediowego.
- [2] Audun Automat – postać z norweskiego serialu komediowego *Pelle Parafins bøljeband og automatspøkelsene* grupy teatralnej Tramteatret.
- [3] Kyrkjebø (norw.) – kościelna zagroda.
- [4] Knausgård (norw.) – gospodarstwo na skalistym pagórku.
- [5] Porucznik Glahn – bohater powieści Knuta Hamsuna *Pan*.
- [6] Norwescy maturzyści hucznie świętują ukończenie szkoły (jeszcze przed egzaminami). Organizują szalone imprezy, noszą specjalne stroje, najczęściej czerwone, jeżdżą starymi, zwykle pomalowanymi na czerwono samochodami lub autobusami, wystawiają rewię, wydają gazetkę, przygotowują specjalne wizytówki. Punktem kulminacyjnym obchodów jest święto narodowe 17 Maja, kiedy osobną grupą maszerują za pochodem dzieci.
- [7] Larsen z Szetlandów – Leif Andreas Larsen (1906–1990) – najsłynniejszy członek grupy operacyjnej marynarki norweskiej nazywanej Grupą Szetlandzką, składającej się głównie z kłtrów rybackich i kilku ścigaczy torpedowych, która w okresie II wojny światowej pływała między Szetlandami, Szkocją i Norwegią, przewożąc do Norwegii agentów, broń i amunicję, a wywożąc na Wyspy Szetlandzkie ludzi poszukiwanych przez Niemców.
- [8] *Mølje* – danie z gotowanego mięsa, ikry i wątroby dorsza, tradycyjnie serwowane na północnych wybrzeżach Norwegii.